



**MACIEJ
SIEMBIEDA**
NEMEZIS



**MACIEJ
SIEMBIEDA
NEMEZIS**

A

Redakcja: Paweł Goźliński
Korekta: Ewa Gładysz-Jeż, Teresa Kruszona
Projekt graficzny okładki: Krzysztof Rychter
Zdjęcie na okładce: Copyright © 2015 Tom Karola/Shutterstock
Opracowanie graficzne, skład: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf
Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

© copyright by Agora SA, 2023
© copyright by Maciej Siembieda, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-268-4224-5



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIIS TREŚCI

PROLOG

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1.

Rozdział 2.

Rozdział 3.

Rozdział 4.

Rozdział 5.

Rozdział 6.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 7.

Rozdział 8.

Rozdział 9.

Rozdział 10.

Rozdział 11.

Rozdział 12.

Rozdział 13.

Rozdział 14.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 15.

Rozdział 16.

Rozdział 17.

Rozdział 18.

CZEŚĆ CZWARTA

Rozdział 19.

Rozdział 20.

Rozdział 21.

Rozdział 22.

EPILOG

POSŁOWIE

PODZIĘKOWANIA

*NEMEZIS, w mit. gr. jedna z najbardziej zagadkowych postaci panteonu.
(...) Dbą o właściwy podział szczęścia i sprawiedliwości między ludzi, aby
każdy dostał to, co mu się należy (gr. némein – ,przydzielać')*

Władysław Kopaliński, *Słownik mitów i tradycji kultury*, Warszawa 1985

PROLOG

Czterdzieści osiem lat później Bruno Janoschek zupełnie nieoczekiwanie przypomniał sobie twarz włoskiego żołnierza z Campo Imperatore.

Był wrzesień, ciepły nawet wysoko w Apeninach. Żołnierz miał rozpiętą bluzę munduru, pod nią biały podkoszulek poplamiony krwią albo sosem pomidorowym. Janoschek nie zdążył się nad tym zastanowić, bo kiedy Włoch wyskoczył zza węgła, unosząc broń, została sekunda na podjęcie decyzji.

Bruno wykonał krótki zamach prawą ręką, w której trzymał nóż zrobiony z kawałka stali owiniętej plastrem opatrunkowym zamiast rękojeści, i rzucił nim w kierunku Włocha. Ostrze wbiło się w jego ramię. Upuścił pistolet maszynowy i skulił się z bólu. Nie krzyknął.

Dowódca, który biegł obok Bruna, posłał mu spojrzenie pełne uznania.

Tak właśnie miało się to odbyć. Błyskawicznie i po cichu. Oczywiście nikt nie wierzył, że karabinierzy broniący ośrodka narciarskiego i jego największej tajemnicy nie otworzą ognia. Ale na razie nie padł ani jeden wystrzał.

Bruno odpowiedział na spojrzenie kapitana krótkim skinieniem głowy i wyprzedził go o pół kroku. Wraz z dwoma innymi komandosami SS dopadli do ściany budynku. Ruszyli wzdłuż niej, szukając bocznego wejścia do hotelu. Ale drzwi nie było. Pędem minęli załom obiektu i stanęli jak wryci.

Przed nimi wznosił się trzymetrowy betonowy cokół zwieńczony balustradą tarasu. Tam musiało być wejście. Komandos po prawej stronie Janoschka skoczył w stronę muru, mocno zaparł się na rozstawionych nogach i pochylił, opierając dłonie nad kolanami.

Dowódca w tej samej sekundzie zrozumiał, na czym polega jego plan.

Ruszył z impetem, wskoczył na plecy żołnierza i odbił się od nich, chwytając dłońmi balustradę. Był wielkim, dwumetrowym i stukilowym

mężczyzną, a jednak wspiął się po betonowej ścianie z małpią zręcznością. Mimo trzydziestu pięciu lat zachowywał niebywałą sprawność i odwagę. Nie bał się nawet samego diabła. Nie bez powodu Amerykanie i Anglicy uważali go za najbardziej niebezpiecznego człowieka w Europie.

Przerzucił ciało przez barierkę, mignął podszwami butów i zniknął, nie czekając na komandosów, którzy mieli go osłaniać. Ci wdarli się na betonowy bastion dobre pół minuty później. Część ruszyła za kapitanem w głąb hotelu. Reszta rozstawiała karabin maszynowy, żeby związać ogniem prawie dwustu Włochów pilnujących obiektu.

Ale karabinierzy nie mieli ochoty na bohaterską śmierć.

Patrzyli ponuro na Niemców, swoich niedawnych sojuszników, kładli broń na ziemi i podnosili ręce. To była roztropna decyzja. Na płaskowyżu pod szczytem Gran Sasso lądowały i rozlatywały się na kawałki kolejne szybowce, z których wyślizgiwali się na brzuchach i wypełzali na czworakach już nie tylko komandosi SS, ale też spadochroniarze Luftwaffe. Elita elit.

Janoszkowi przypomniało to scenę, na jaką natknął się w dzieciństwie na leśnej polanie koło Opola: wielka i gruba żmija, która teraz skojarzyła mu się z kadłubem szybowca, rodziła jaja, które pękały, a z nich wylęgło się kilkanaście młodych osobników. Na samo wspomnienie przeszedł go dreszcz.

Tymczasem zieleń polany w Apeninach zbladła od niemieckich mundurów. Żołnierze sił specjalnych błyskawicznie podnosili się z ziemi, otrzepywali dłonie i biegli w stronę ośrodka narciarskiego Campo Imperatore. Uwijali się jak w ukropie, zajmując najlepsze stanowiska strzeleckie lub zaganiając poddających się Włochów jak owczarki stado owiec.

Nagle wszystko się uspokoiło jak na stopklatce.

Bruno poszukał wzrokiem przyczyny i znalazł ją tam, gdzie patrzyli już wszyscy. Na betonowym cokole pojawił się rozpromieniony dowódca, a obok niego o wiele niższy mężczyzna w płaszczu i kapeluszu. Przełknął ślinę i spojrzał na swojego wybawcę, kapitana SS.

– Wiedziałem, że mój przyjaciel Adolf Hitler nie zostawi mnie w potrzebie – powiedział wzruszony.

Bruno Janoschek rozpoznał Benita Mussoliniego.

Wiedział z odprawy oddziału, że wyruszają na trudną, niemal samobójczą misję. Że mają odbić kogoś bardzo ważnego. Ale nie spodziewał się, że będzie to wódz faszystowskich Włoch, zdradzony i uwięziony przez swoich rodaków. Przez chwilę stał jak skamieniały.

Tymczasem komandosi SS i spadochroniarze Luftwaffe triumfowali na dziedzińcu hotelu.

Uśmiechali się szeroko i klepali po plecach. Znów byli panami świata. Znów byli górą w tej wojnie. Ich legendarny kapitan, na prośbę samego Führera, dokonał cudu, namierzając miejsce uwięzienia Mussoliniego. A potem zaplanował i przeprowadził błyskawiczną akcję jego odbicia na niedostępnej górze Gran Sasso, do której można się było dostać tylko kolejką linową.

Jej wagonik właśnie dotarł do stacji narciarskiej i wysypali się z niego kolejni niemieccy żołnierze wraz z fotografem, który rozemocjonowany zaczął pstrykać zdjęcia.

Bruno Janoschek patrzył na entuzjazm kolegów, gdy jego wzrok w pewnej chwili zatrzymał się na twarzy karabiniera, w którego rzucił nożem. Włoch był blady i przygnębiony. Ktoś założył mu opaskę uciskową, tamując upływ krwi, której sporo zakrzepło na betonowym chodniku prowadzącym do hotelu.

Bruno drgnął. Chciał podejść do karabiniera, aby odzyskać nóż, który wykonał własnoręcznie i doskonalił przez ostatnie dni, ale powstrzymał go wyraz twarzy Włocha. Malowała się na niej skrajna rezygnacja. Ten człowiek miał wszystkiego dość. Wojny, swojego w niej udziału, porażek, triumfów, a może nawet życia.

Szeregowy Janoschek, komandos specjalnego oddziału SS kapitana Otta Skorzenego, uznał, że dobrze wyważony kawałek ostrej stali jest mniej ważny od tych uczuć.

CZEŚĆ PIERWSZA

*Strzeżcie się Greków,
nawet kiedy niosą dary*

(Wergiliusz, *Eneida*, ks. II, w. 49)

ROZDZIAŁ 1.

Oppeln,
lato 1936 roku

Greta Gajda przyłożyła dłoń do czoła, aby osłonić oczy przed słońcem, i spojrzała w odległą perspektywę Breslauerstrasse. Powietrze falowało od upału. Przez chwilę była przekonana, że to, co widzi na końcu ulicy, jest jakąś kolorową fatamorganą, ale dudnienie bębnow i dźwięki fanfar udowodniły jej, że się myli.

Z końca Breslauerstrasse nadciągał cyrk Buscha.

Egzotyczne zwierzęta i jeszcze bardziej ekscytujący ludzie. Filigranowe wołyżerki w obcisłych trykotach i półnaczy atleci wysmarowani oliwą. Akrobaci i treserzy. Karły i olbrzymy. Klauni w kusych kraciastych marynarkach, żółtych melonikach, z piłkami zamiast nosów i karminowymi ustami wymalowanymi od ucha do ucha. Sztukmistrze i linoskoczkowie. Fakirzy połykający ogień i iluzjoniści wypuszczający w niebo białe gołębie z cylindrów, które jeszcze przed sekundą były puste.

Bajeczny pochód, zapowiadający wieczorne widowisko, tańczył, zonglował i wykonywał salta, jakby wiatr znad Odry rozwiął po Breslauerstrasse worek barwnego konfetti.

Greta wpatrywała się w niego jak urzeczona.

Wiwatujący tłum, usiłujący przekrzywić muzykę cyrkowych orkiestr, o mało nie zepchnął jej z trotuaru wprost w łapy niedźwiedzia prowadzonego na łańcuchu, ale bracia Janoschek błyskawicznie opanowali sytuację.

Całe Zaodrże tak o nich mówiło.

Nie „bracia Janoschkowie” czy „Janoschki”, ale „bracia Janoschek”. Jakby byli jednym. Syjamskim rodzeństwem, które łączyły nie kości miednicy czy klatki piersiowej, ale dusze. Szemrana opolska dzielnica za rzeką,

nosząca oficjalną nazwę Odervorstadt, wiedziała, że kryje się w tym głęboka prawda. Bracia Janoschek poszliby za sobą w ogień.

Starszy, szesnastoletni Herbert, miał metr osiemdziesiąt, sylwetkę greckiego posągu i proste blond włosy. Próbował czesać je do tyłu, ale przy każdym energicznym ruchu głowy rozsypywały mu się na czoło poniżej brwi, a wtedy oczy Herberta – przedmiot westchnień sentymentalnych pensjonarek – wyglądały jak chabry kwitnące w łanie pszenicy. Kochała się w nim większość dziewcząt z Zaodrza. Ale Greta woląa Bruna.

Był niższy, miał jednak dopiero czternaście lat i ciągle rósł. Jego słomiane włosy były ostrzyżone na krótko jak u rekruta albo młodocianego bandyty wypuszczonego właśnie z więzienia, co w ich dzielnicy nie było rzadkim przypadkiem.

Młodszy z braci Janoschek nie szukał kolegów wśród przestępców z Odervorstadt, ale i oni omijali go szerokim łukiem. Chłopak był twardy i wysportowany. Doskonale posługiwał się pięściami i namiętnie ćwiczył ju-jitsu, korzystając ze starego podręcznika z rysunkami, który zdobył w zamian za komplet książek Karola Maya o Winnetou. Chodził z Gretą do tej samej klasy i od kiedy pamiętała, budził podziw nauczycieli gimnastyki. Dzień zaczynał od ćwiczeń ze sprężynami i podciągania się na drążku. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni codziennie pływał w Odrze i potrafił skakać do wody z mostu Wielbłądziego między Bolko-Insel a Pasieką, co imponowało nawet bandytom.

Każdy z mięśni Bruna był wyrzeźbiony tak wyraźnie, że studenci mogliby się na nim uczyć anatomii. Zabrakło mu urody i uroku Herberta, ale kobieta, która budziła się w Grecie, nawet w kinie woląa nieustraszonych kowboi niż pięknych amantów.

Bracia Janoschek jak na komendę przytrzymali ją za ramiona i plecami naparli na tłum, przesuając gapiów o krok do tyłu i przewracając kilku z nich, co zwróciło uwagę niedźwiedzia na łańcuchu. Bestia ryknęła, a Greta poczuła gęsią skórkę. Jednak treser momentalnie odciągnął

brunatnego olbrzyma, a uwagę dziewczyny przykuło zupełnie inne zwierzę.

Była to małpka kapucynka w wąskich czarnych spodniach z szamerowanymi złotymi lampasami, bufiastej białej koszuli i bogato wyszywanej czarnej kurtce. Na szyi miała zawiązaną czerwoną chustkę, a na głowie sombrero w kolorze kostiumu. Siedziała na ramieniu mężczyzny o długich kruczoczarnych włosach w stroju, który był wierną, choć o wiele większą kopią ubrania małpki. Meksykanin stąpił z godnością po bruku Breslauerstrasse, pobrzękując ostrogami, gdy wśród tłumu powstało nagłe ożywienie.

– Don Alvaro! – krzyknął ktoś tuż obok Greta, a kilka osób natychmiast zaczęło bić brawo. Najwyraźniej Meksykanin musiał zrobić na nich niezapomniane wrażenie podczas ubiegłorocznych występów cyrku Buscha.

Mężczyzna odsłonił w uśmiechu białe zęby, podszedł do trotuaru, zdjął sombrero i wytwornie się uklonił.

Małpce nie trzeba było tłumaczyć sytuacji.

Błyskawicznie ściągnęła kapelusz, odwróciła go do góry rondem i podstawiała gapiom. Posypało się trochę fenigów, a elegancka pani w letniej fiołkowej sukience sięgnęła do torebki po portmonetkę, wydobyła z niej srebrną pięciomarkówkę i podała małpce. Kapucynka otaksowała monetę fachowym spojrzeniem kasjera Reichsbanku, ukryła ją w kieszeni kurtki i też się ukloniła, co wywołało aplauz tłumu.

W tej samej chwili pani w fiołkowej sukience krzyknęła:

– Złodziej!

Zdezorientowani gapie przez moment gotowi byli uznać, że dotyczy to małpki, ale zaraz dołączył ktoś obok:

– Wyrwał torebkę! Ten w marynarskiej koszulce! Zatrzymać go!

Greta odwróciła wzrok i dostrzegła młodego mężczyznę brutalnie rozpychającego tłum. W lewej ręce pewnie trzymał skradzioną torebkę, prawą rozdawał ciosy tym, którzy nie chcieli lub nie zdążyli ustąpić mu z drogi. Nawet z odległości kilkunastu metrów widać było więzienny

tatuaż z nagą kobietą, która prężyła się na przedramieniu złodzieja, gdy torował sobie drogę ucieczki.

Spojrzała na braci Janoschek.

Obaj stali w milczeniu, przyglądając się zamieszaniu. Takie były reguły Zaodrza. Zнали napastnika, dwudziestoletniego złodzieja o pseudonimie „Flink”, ale przestrzegali prawa dzielnicy. W takich sytuacjach nikt nie interweniował, nikt niczego nie widział i nie zeznawał na policji. Bo i cóż się takiego stało? Bogata damulka straciła torebkę. Nie ona pierwsza i nie ostatnia. A poza tym sama jest sobie winna. Nikt jej nie zapraszał na Odervorstadt i nie kazał świecić ludziom w oczy srebrną pięciomarkówką.

Greta popatrzyła na nich oburzona. Bruno odpowiedział wzruszeniem ramion, ale Herbert drgnął, oblał się rumieńcem wstydu i ruszył w stronę złodzieja. Brat przytrzymał go za ramię, ale starszy Janoschek wyrwał się krótkim szarpnięciem.

Dopadł „Flinka” w ciągu trzydziestu sekund.

Oburącz chwycił za marynarską koszulkę, która wydała charakterystyczny trzask rozrywanej tkaniny i została Herbertowi w dłoniach. Złodziej przebiegł jeszcze kilka kroków, a potem zatrzymał się i odwrócił. Na jego spoconej twarzy gniew mieszał się ze zdumieniem.

Krzyknął coś, czego Greta nie mogła usłyszeć, bo orkiestra cyrkowa zadudniła nagle głośnym marszem, który miał zagłuszyć incydent jak awanturę na weselu.

„Flink” to wykorzystał. Błyskawicznie wyciągnął z kieszeni spodni brzytwę i tym samym ruchem wyprowadzonym z biodra ciął w poprzek przez tors Herberta. Najpierw rozstał się materiał koszuli, a wraz z nim skóra. W kilka sekund pierś starszego z braci Janoschek przepasała krwawa szarfa.

Bruno, który nadal tkwił nieruchomo obok Greta, obserwując rozwój sytuacji, w tej samej chwili rozepchnął tłum i rzucił się w stronę walczących.

Biegł jak olimpijczyk.

Doskoczył do Herberta, który zbladł i upadł na kolana. Bruno przez moment się zawahał. Spojrzał na krwawiącą pierś brata, potem podniósł wzrok na jego twarz. Troska walczyła w nim z chęcią zemsty.

„Flink” uciekał. Najpierw w stronę podwórka, ale szybko pojął, że mogą stanowić pułapkę, dlatego skręcił nad Odrę. Wbiegł na nadrzeczną łąkę i obejrzał się, oceniając sytuację. Bruno był kilka metrów za nim. Zaraz go dopadnie.

Złodziej upuścił torebkę, poszukał stopami pewnego podparcia i machnął dłonią, otwierając trzymaną w niej brzytwę.

Bruno dopadł go, zrobił unik i kartki podręcznika do ju-jitsu zamigotały mu przed oczami, jakby przewracał je silny wiatr. Wybrał prostą blokadę ramienia i dźwignię, która bez trudu mogła złamać „Flinkowi” rękę w łokciu, jednak w ostatnim momencie zabrakło mu odwagi. Docisnął na tyle, że brzytwa poszybowała w powietrzu i spadła na trawę dwa metry dalej. Mimo to napastnik nadal był groźny. Sześć lat starszy, masywniejszy i zaprawiony w ulicznych bójkach.

Zdyszany i purpurowy z wściekłości cofnął się o pół kroku, aby zadać Brunowi cios kończący starcie, ale chłopak nagle przykucnął, mocno oparł się otwartymi dłońmi o ziemię i wyrzucił prawą nogę niczym Rosjanin tańczący kozaka. Zatoczył nią łuk i podciął „Flinka”, który runął na plecy.

Bruno poderwał się, podskoczył do leżącego i wykorzystując ciężar całego ciała, nadepnął mu na kolano. Rozległ się paskudny chrupot, zagłuszony przez podniesione głosy ludzi nadbiegających z Breslauerstrasse.

Na ich czele sapało dwóch tęgich policjantów, których widok wyraźnie zaniepokoił „Flinka”. Próbował wstać i rzucić się do ucieczki, ale uszkodzona rzepka dała o sobie znać. Zdołał jedynie podeprzeć się na łokciach i kantem prawej dłoni przeciągnąć po szyi, posyłając Brunowi gest symbolizujący podezrzenie gardła. Chwilę później był już w kajdankach.

Wyższy z policjantów podniósł go i trzymał pod pachę. Niższy schylił się i podał torebkę spoconej pani w fiołkowej sukience, która w biegu

zupełnie straciła szyk. Podziękowała, pobieżnie sprawdziła, czy nic nie zginęło, po czym wyciągnęła w stronę Bruna dłoń z banknotem dziesięciomarkowym. Za odzyskanie torebki i obezwładnienie złodzieja honorarium dwa razy wyższe niż za ukłon małpki.

Chłopak odmówił.

Fiołkowa dama wzruszyła ramionami z wyrazem dezaprobaty, odwróciła się na obcasach drogich czółenek i odeszła w stronę *wachtmeistra*, który trzymał już w dłoni kajet, aby spisać zeznania.

– Było brać – odezwał się Meksykanin, który wyrósł nagle obok Bruna wraz z ciągle przestraszoną Gretą. – Kiedy ostatnio miałeś w ręku dziesięć marek?

Mówił po niemiecku z obcym akcentem. Kapucynkę i sombrero pewnie zostawił pod opieką cyrkowców, żeby nie utrudniały pościgu.

– Nie zrobiłem tego dla nagrody – odparł młodszy Janoschek. – Tylko dla brata – dodał i pytająco spojrzał na Gretę.

– Będzie żył – uspokoiła go dziewczyna. – Za pochodem cyrkowym zawsze jedzie ambulans. Na wszelki wypadek – wyjaśniła. – Opatrzyli Herbertowi ranę i zabrali do szpitala.

– Gratuluję odwagi. – Meksykanin złożył Brunowi artystyczny pokłon, aż długie włosy opadły mu na twarz. – I sprawności. – Odrzucił je do tyłu ruchem głowy. – Nadawałbyś się do cyrku.

– Codziennie się gimnastykuje – odpowiedziała Greta dumna z komplementów dla przyjaciela.

Południowiec spojrzał szarmancko.

– To twoja narzeczona? – spytał, nie odwracając wzroku na Bruna.

– Tak – potwierdził chłopak stanowczo, a Grecie nagle zrobiło się bardzo błogo.

Meksykanin sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i podał chłopakowi wizytówkę.

– Zapraszam na wieczorne przedstawienie. Pokaż to bileterowi i powiedz, że jesteś osobistym gościem Don Alvara. Przyjdźcie razem. – Uśmiechnął się do Grety, aż się zarumieniła. – Bo brat to chyba dziś nie da rady...

– Parę dni musi poleżeć – poinformowała rzeczowo Greta, która zawsze wszystko wiedziała. – Zszyją go, ale zostanie szrama. – Będzie mógł udawać jednego z tych dupków z hitlerowskich stowarzyszeń studenckich, którzy przechwalają się bliznami z pojedynków na szpady – dodała po polsku, żeby Meksykanin jej nie zrozumiał.

Ale Don Alvaro nagle przestał się uśmiechać. Przecząco pokręcił głową i położył palec na ustach.

Czterech akrobatów w barwnych trykotach szybowało pod kopułą cyrku tak wysoko, że Greta musiała zadzierać głowę, aby nie uronić ani sekundy z ich popisu.

Już w kołysce była chorobliwie ciekawska, a osobiste zdobywanie wiedzy o wszelkich rzeczach i zjawiskach stanowiło jej największą namiętność. Teraz z zapartym tchem obserwowała niewiarygodną koordynację ruchów ludzi i lin. Nawet olśniewający Johnny Weissmuller, który grał w filmach o Tarzanie, nie potrafił robić takich rzeczy.

Akrobaci fruwający pod sklepieniem lekko jak kolorowe papugi przekazywali sobie z rąk do rąk dziewczynę w białym trykocie. Gimnastyczka wylądowała właśnie na najwyższym trapezie i znieruchomiła, jakby sparaliżował ją nagły warkot werbli.

W tej samej chwili w cyrku zgasły wszystkie światła.

Nastąpiło kilka coraz bardziej niepokojących sekund, a potem w ciemności zatańczyły dwa jasne kręgi reflektorów. Pierwszy odnalazł postać dziewczyny na trapezie, wysoko jak na ósmym albo i dziewiątym piętrze drapacza chmur, który Greta oglądała dwa lata temu w Katowicach.

Drugi wydobył z mroku postać konferansjera w czarnym fraku i cylindrze. Pojawił się na środku areny nie wiadomo skąd. Wypowiedział tylko dwa słowa: salto mortale.

Rozbłysło blade światło, a werble znów zawarczały, potęgując napięcie. Widzowie wpatrywali się w pracowników cyrku, którzy ściągali siatkę ochronną rozpiętą na wysokości kilku metrów. Skok śmierci odbywał się bez asekuracji.

Uwinęli się w dwie minuty, a wtedy warkot przybrał na sile i za moment zamilkł.

W cyrku zapanowała absolutna cisza.

Dziewczyna na trapezie wyprężyła ciało, puściła liny trzymane w wyprostowanych rękach i zanurkowała w przestrzeń głową w dół, jakby skakała do basenu.

Przez kilka metrów leciała swobodnie niczym spadochroniarz pewny niezawodności swojego sprzętu. Nagle podwinęła kolana i wykonała obrót całego ciała. To zdawało się dodawać jej szybkości, bo kiedy się wyprostowała, nikt nie miał wątpliwości, że spada wprost w ramiona śmierci. Wysokość, ciężar i grawitacja robiły swoje.

Nagle z rozpędzonego bocznego trapezu oderwał się akrobata w błękitnym trykocie. W chwili, gdy było pewne, że dziewczyna roztrzaska się o ziemię, chwycił ją prawą dłonią za nadgarstek, jednocześnie zagarniając lewą pałąk trapezu rozbujanego przez kolegę. Oboje wylądowali na arenie z wdziękiem łabędzi.

Widzowie oszaleli.

Wszyscy zerwali się z miejsc i bili brawo na stojąco. Mijały minuty, a akrobaci kłaniali się tak często, że pewnie kręgosłupy rozboleły ich bardziej niż od wyczynów na trapezach. Z opresji wybawiła ich dopiero para klaunów w olbrzymich buciorach, którymi usiłowali wymierzyć sobie nawzajem kopniaka w tyłek, co kończyło się upadkami i wywoływało salwy śmiechu.

Greta sięgnęła po chusteczkę, żeby wytrzeć łzy, które pociekły jej z rozbawienia, i zerknęła na siedzącego obok Bruna. Był pogrążony w myślach. Krążyły gdzieś daleko poza cyrkiem. Zauważył spojrzenie i ujął ją za rękę. Znieruchomiała. Robił to wcześniej wiele razy podczas spacerów, na które zawsze chodzili we trójkę, z Herbertem. Ale teraz byli tylko we dwoje i to był zupełnie inny dotyk. Jakby wynikał z całego tego czarodziejskiego dnia. Z korowodu na Breslauerstrasse. Z incydentu, w którym jej Bruno wykazał się brawurową odwagą i pokonał jednego z najgorszych bandytów Zaodrza. A potem potwierdził Meksykaninowi,

że Greta jest jego narzeczoną. Nigdy tego nie zapomni. Jeszcze dziś rano liczyła fenigi, których starczyło ledwo na zwiedzanie cyrkowego zwierzyńca i stajni, a teraz dzięki Brunowi siedziała w trzecim rzędzie na przedstawieniu galowym.

Jestem egoistką. Myślę tylko o sobie – przemknęło jej nagle przez głowę na wspomnienie zła, które spotkało Herberta, ale poczucie szczęścia nie dało się spłoszyć. Odwzajemniła uścisk, uświadamiając sobie, jak bardzo czekała na tę chwilę.

Na chłopaka, który ją pociągał i onieśmiał jednocześnie. Fascynował i zastanawiał. Darzył przyjaźnią i... kochał?

Popatrzyła na niego ukradkiem, jakby chciała się upewnić, ale miłość nie wystawia zaświadczeń na żądanie. Bruno wpatrywał się w arenę, skupiony i zdecydowanie zbyt poważny jak na rozradowaną widownię cyrku. Zawsze taki był. Milczący, szorstki, może nawet trochę mroczny.

Przeciwieństwo brata.

Herbert dla każdego miał w zanadrzu uśmiech i dobre słowo. Dużo czytał, pięknie mówił i recytował wiersze przy ogniskach nad Odrą, aż dostawało się gęziej skórki. Greta mogłaby pójść z nim na spacer dookoła świata i ani przez chwilę nie zabrakłoby im tematu do rozmowy. Sto razy zastanawiała się, czy właściwie ulokowała uczucie, a jednak to, co ciągnęło ją do Bruna, było magnetyczne i pierwotne jak instykt. Przeczytała zbyt wiele książek, aby nie odróżniać prawdziwych emocji od złudzeń.

Zresztą nikt nie stawiał ją przed koniecznością wyboru: albo-albo. Przyjaźniła się z obydwoma braćmi Janoszek. Chodzili w trójkę pod rękę i byli obiektem plotek sąsiadek z Zaodrza oraz wulgarnych żartów ich szemranych synków. Zdarzały się jej nagminnie, ale nigdy nie mówiła o nich Brunowi. Z litości dla żartujących.

Światła w cyrku przygasły i Greta na chwilę zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, zmieniano dekoracje.

Kilku silnych mężczyzn w paradnych mundurach wynosiło elementy toru przeszkód, po którym biegały tresowane tygrysy, a ich koledzy

instalowali wielkie koło wielkości człowieka. Przez kilka minut trwało zamieszanie rekompensowane przez komiczne pościgi klaunów i skoczną muzykę orkiestry cyrkowej, która w pewnym momencie przeszła na meksykańskie rytmy.

Na arenie najpierw pojawiła się małpka kapucynka, tym razem ubrana w kolorowe poncho i czerwone sombrero, a tuż za nią człowiek, który zaprosił ich na przedstawienie. W identycznym stroju i kapeluszu.

– Powitajcie Don Alvara i jego małego asystenta Paco! – zawołał do mikrofonu konferansjer i cyrk znów zagrział brawami.

– Widzów o słabych nerwach uprasza się o opuszczenie widowni – uprzedził spiker, ale to tylko rozochociło tłum.

Paco wskoczył na niewielki stolik, obok którego stał Don Alvaro, i coś z niego zabrał. Podbiegł do pracownika cyrku i wręczył mu talię kart. Ten wybrał cztery asy i przyczepił je do drewnianego koła specjalnymi szpilkami.

W tym czasie małpka wróciła na stolik i zaczęła podawać Meksykaninowi noże. Ten brał je po kolei i rzucał w stronę tarczy, idealnie trafiając w symbole umieszczone w środku kart: pik, trefl, karo i kier – za każdym razem anonsując, w co trafi.

Dłonie publiczności puchły od oklasków.

Brawa spotęgowały się jeszcze bardziej, gdy na arenę weszła powabna dziewczyna w meksykańskim stroju, który najpierw z siebie zrzuciła, wywołując gwizd zachwyty męskiej części widowni, a potem – w staniku i krótkich spodenkach nabijanych cekinami – oparła stopy i dłonie na uchwytach koła.

Werble zabrzmiały jak przed egzekucją.

Don Alvaro tym razem sam wziął ze stolika pęk noży. Błyskawicznymi rzutami umieścił je po obu stronach ciała dziewczyny, która nie przestawała się uśmiechać.

A potem zrobił to samo z zawiązanymi oczami.

Ponad dwa tysiące ludzi na widowni odprowadzało wzrokiem każdy nóż, wstrzymując oddech i kwitując udane rzuty głośnym westchnieniem

ulgi. Greta miała wrażenie, że namiot cyrku nabiera powietrza, a potem wypuszcza je niczym olbrzymi dinozaur.

Wyszli przed północą.

Z placu przy Nikolaistrasse, gdzie usadowił się cyrk, mieli niedaleko na Zaodrze. Ale dziewczyna zwlekała z powrotem. Trajkotała jak katarynka, ujmując Bruna pod rękę i delikatnie ciągnąc w stronę namiotów dla zwierząt. Opowiadała o egzotycznych gatunkach pokazywanych na arenie, o afrykańskich czarownikach i hinduskich fakirach, a kiedy zaczęła wyliczać rasy koni hodowanych przez cyrk Buscha, chłopak z niedowierzaniem pokręcił głową:

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Z „Nowin Codziennych” – odparła. – Ojciec prenumeruje.

– I co tam jeszcze wyczytałaś?

– O cyrku?

– W ogóle.

– Mussolini wysłał wczoraj depezę dziękczynną do kanclerza Austrii i pogratulował mu sojuszu z Niemcami. Ma to zapewnić pokój w Europie na długie dziesięciolecia.

– Kto to jest Mussolini?

– Przywódca Włoch. Taki tamtejszy Hitler.

Bruno przystanął.

– Interesujesz się takimi rzeczami?

Greta wzruszyła ramionami:

– Wszystkim się interesuję. Świat po to jest, żeby się nim ciekawić.

– Mów lepiej o cyrku – uznał.

Dziewczyna nabrała powietrza.

– Fronton – wskazała dłonią wejście do głównego namiotu – jest szeroki na sześćdziesiąt metrów i ozdabia go sześć tysięcy żarówek.

– Siedem tysięcy – usłyszeli nagle za swoimi plecami. – Gazeta się pomyliła.

Odwrócili się jak na komendę.

Przed nimi stał Don Alvaro. Na jego ramieniu przycupnął Paco i przyglądał się im badawczo. Jego właściciel jak na Meksykanina całkiem dobrze mówił po polsku.

– To pan – szepnął zauroczony Bruno, co Grecie nie wydało się stwierdzeniem błyskotliwym, ale rozumiała tę fascynację.

– Jak się podobało przedstawienie? – Alvaro przeszedł na niemiecki.

– Fantastyczne. – Oczy Bruna świeciły nie gorzej od iluminacji frontonu.

– Najlepsze było rzucanie nożem. Czy tego można się nauczyć?

– Jak widać – ukłonił się Don Alvaro.

– Ale tylko w cyrku? – dopytywał chłopak.

– Nie tylko. Możesz nauczyć się sam. Na drzwiach od komórki albo byle jakiej desce opartej o mur.

– Wiele razy próbowałem – Bruno spuścił głowę. – Nóż wbija się raz na sto rzutów.

Zerknął na Meksykanina i nagle zdobył się na odwagę.

– Dałby mi pan jakieś wskazówki?

Don Alvaro spochmurniał.

– Żebyś mi potem robił konkurencję? – spytał poirytowany.

Zapanowała niezręczna cisza, przzerwana przez Paco, który najwyraźniej wszystko rozumiał i zaczął klaskać swoimi małpimi dłońmi.

Meksykanin wybuchnął śmiechem.

– Żartowałem – klepnął Bruna w plecy. – Jestem w Opolu do niedzieli. Zajrzyj jutro po popołudniowym przedstawieniu, to pokażę ci parę sztuczek.

Chłopak się rozpromienił, ale za moment uśmiech zastygł mu na twarzy.

Za bramą prowadzącą na teren cyrku stał ojciec. Był wyraźnie przygnębiony.

Bruno dobiegł do niego w kilkanaście sekund.

– Tato? – spytał, łapiąc oddech. – Co się stało? Coś złego z Herbertem?

Ojciec spojrział na niego, jakby nie rozumiał.

– Nic mu nie będzie. – Oprzytomniał dopiero po chwili. – Chodzi o ciebie.

– O mnie? Dlaczego o mnie?

– Ludzie „Flinka” od dwóch godzin stoją na ulicy przed naszym domem.

– Ilu?

– Dwóch.

Bruno machnął dłonią.

– Dam sobie radę – zapewnił buńczucznie, ale ojciec chwycił go mocno za ramiona.

– Synu, to są mordercy! Mają rewolwery. Na nic twoje ju-jitsu. Zabiją cię bez mrugnięcia okiem, rozumiesz?

– Za złamane kolano? – chłopak próbował się targować.

– Za to, że przez ciebie „Flink” pójdzie na długie lata do więzienia. To recydywista. A ty pomogłeś policji go złapać. Wiesz, co za to grozi na Zaodrze. Dzielnica już huczy, że „Flink” wydał na ciebie wyrok. Ponoć wyznaczył też nagrodę za twoją głowę.

Do Bruna dotarło wreszcie, że sytuacja jest naprawdę poważna.

– Nikt za tobą nie szedł, tato? – rozejrzył się dookoła. Tłum opuszczający cyrk dawał potencjalnym napastnikom doskonałą okazję, aby podkraść się i uderzyć znienacka. A potem zniknąć w ciżbie.

Ojciec zaprzeczył ruchem głowy.

– Wyszedłem przez okienko od piwnicy i przekradłem się przez krzaki nad rzeką. Nie widzieli mnie. Stali po drugiej stronie i ćmili papierosy.

Uniósł w stronę syna parciany plecak.

– Musisz uciekać. Tu są twoje dokumenty, trochę jedzenia i najpotrzebniejsze rzeczy. Matka ci spakowała. Ja włożyłem tyle pieniędzy, ile miałem na podorędziu. Niewiele tego – dodał przepraszająco.

– Gdzie mam uciekać? – Bruno wydawał się coraz bardziej bezradny.

– Dziś prześpisz się na Gartenstrasse u mojego kolegi z parowozowni – odparł ojciec. – A jutro rano pojedziesz do Cieszyna, do stryja Emila. Najlepiej będzie, jeśli zostaniesz tam kilka tygodni. Może miesięcy. Napisałem list do stryja, jest w plecaku. Emil ci pomoże. Przechowa i da zajęcie w warsztacie, żebyś zarobił na swoje utrzymanie.

– Mam być szewcem? – spytał chłopak przestraszony, jakby do tego sprowadzała się cała groza sytuacji.

– Masz żyć! – odparł ojciec. – Rozumiesz, synu? Masz żyć.

Greta, która podeszła do nich zaniepokojona, stała kilka kroków dalej. Od jakiegoś czasu patrzyła na twarz Bruna i czuła, jak za gardło chwyta ją silny i brutalny lęk. Nie знаła jego przyczyny, ale była pewna, że stało się coś bardzo złego.

Mimowolnie spojrzała na zegar umieszczony obok kasy biletowej przy wejściu do cyrku.

Była minuta po północy.

Najszczęśliwszy dzień w jej życiu właśnie się skończył.

ROZDZIAŁ 2.

Berlin,
lato – jesień 1938 roku

Dwie przystojne kobiety w modnych kapeluszach dopijały kawę na tarasie Karstadt, gdy młodsza z nich dostrzegła młodzieńca, który przyglądał się im z odległości kilku metrów. Dyskretnie trąciła swoją towarzyszkę dłonią w koronkowej rękawiczce i szepnęła jej kilka słów.

Starsza nie obejrzała się od razu. Sięgnęła po pustą filiżankę, udając, że pije ostatni łyk, po czym obrzuciła taras kawiarni obojętnym spojrzeniem. Tylko na moment zatrzymała wzrok tam, gdzie miała go zatrzymać.

– Apetyczny – powiedziała z przekąsem. – Tyle że dzieciak jeszcze.

– Może i dzieciak – zgodziła się młodsza, ale zobacz jak zbudowany. Chętnie bym... – nie dokończyła, bo jasnowłosy chłopak o idealnej figurze, zachęcony spojrzeniami, podszedł do ich stolika, czarująco się uśmiechnął i ukłonił z dużą wprawą. „Aktor albo tancerz” – pomyślała starsza i w tej samej chwili czar prysł.

– Panie zwalnają? – spytał uprzejmie.

Starsza, która liczyła na coś bardziej szarmanckiego, poczuła się dotknięta.

– Chętnie wskażę panu kilka wolnych stolików – oświadczyła chłodno, wykonując niedbały gest ogarniający taras.

– W rzeczy samej – zgodził się młodzieniec. – Jednak zależy mi, aby siedzieć przy krawędzi dachu. Lubię stąd patrzeć na miasto.

– „Lubię stąd patrzeć na miasto” – zacytowała go młodsza, jakby wygłosił jakąś poetycką frazę. – Tylko niechże pan się nie zapatrzy i nie spadnie. Szkoda by było.

Chłopak lekko się zarumienił i ponownie złożył im ukłon.

– Zwalniamy – zdecydowała starsza i zaczęła zbierać pakunki z zakupami. Najnowocześniejszy w Europie dom handlowy z ruchomymi schodami i salonami modowymi znamienitych marek był ulubionym adresem berlińskich bogatych dam.

Bruno usiadł na jeszcze ciepłym krześle i zamówił lemoniadę.

Dziś mijały dwa lata od jego wyjazdu z Opola.

Nie musiał wysilać pamięci, aby znów ścisnęło go w dołku na wspomnienie strapionego ojca, który odprowadził go do mieszkania swojego kolegi kolejarza przy Gartenstrasse. Greta, połykająca łzy, szła tuż obok, kurczowo trzymając go pod ramię, jakby się bała, że rozluźniając uchwyt, straci chłopaka na zawsze.

Delikatnie wyjął jej rękę, gdy stanęli przed furtką domu, w którym miała się zacząć jego odyseja. Ojciec zatrzymał się kilka kroków dalej.

– Nie płacz. – Bruno otarł jej policzki wierzchem dłoni. – To tylko na jakiś czas. Jak tamci się uspokoją, wrócę. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Akurat dziś – zaszlochała. – Nigdy nie czułam się tak cudownie jak tego wieczoru.

Położył jej palec na ustach.

– Czeka nas jeszcze wiele takich. Przyrzekam. Będę do ciebie pisał.

– Może lepiej nie – wtrącił się ojciec. – Przynajmniej przez najbliższe tygodnie będziecie się musieli obejść bez listów. Zbiry „Flinka” będą się starały dowiedzieć, gdzie zniknąłeś. Wolałbym, żeby nie dowiedzieli się tego od listonosza.

– A Herbert? – Bruno nagle się zmartwił. – Nie będą go...? – Przez moment szukał słowa, które nie zabrzmiałoby zbyt niepokojąco. – ...naciskać?

– Na razie jest w szpitalu – powiedział ojciec – i zostanie tam, dopóki mu nie zdejmą szwów. Tak powiedział lekarz. Mam nadzieję, że ci od „Flinka” uznają, że nie miał nic wspólnego z twoim wyjazdem.

Greta szlochała.

– Ale potem napiszesz? – spytała.

– No przecież. – Bruno znów uniósł dłoń do jej twarzy, ale ojciec klepnął go w plecy.

– Romeo – udał, że jest w dobrym nastroju – całus w policzek i spływaj. Musisz się wyspać. – Spojrzał na kieszonkowy zegarek. – Ruszasz o szóstej dwanaście.

Leżanka w kuchni znajomych ojca była nawet wygodna, ale sen przyszedł dopiero przed świtem. Godzinę później Bruno przełknął kromkę z marmoladą, podziękował i odprowadzany wzrokiem gospodarzy stojących w oknie ruszył prosto na dworzec.

Jednak nie zamierzał jechać do Cieszyna. A przynajmniej nie dziś.

Do południa włóczył się po ogrodzie zoologicznym na wyspie Bolko. Potem znalazł ustronne miejsce pod rozłożystym platanem, zjadł chleb ze smalcem przygotowany poprzedniego wieczoru przez matkę, wyciągnął się na ciepłej ziemi i zasnął w kilka sekund.

Gdy się obudził, słońce odpływało już na zachód. Zerwał się, otrzepał z trawy, chwycił plecak i pobiegł na plac przy Nikolaistrasse.

Cyrk za dnia nie miał wczorajszej magii.

Miasto niebieskich namiotów drżało od wiatru znad Odry i bez blasku siedmiu tysięcy żarówek bardziej przypominało ludzkie mrowisko niż krainę baśni. Opiekunowie zwierząt, ponaglani ich rykiem, taszczyli kubły z jedzeniem, które należało się za występ. Artyści w niedbale narzuconych kostiumach spieszyli się na kolejną próbę, mechanicy grzebali w maszynierii rękami ubrudzonymi smarem po łokcie, a obsługa szykowała rekwizyty na wieczorny spektakl.

Poinstruowany przez porządkowych, którym pokazał wizytówkę Don Alvara, Bruno odszukał żółty wóz pomalowany w zielone kaktusy i nieśmiało zapukał do drzwi.

Odpowiedziała mu cisza.

Przez moment miał wrażenie, że wewnątrz słyszy stłumione dźwięki, i poczuł się zaniepokojony. Czyżby przyszedł zbyt późno? Meksykanin powiedział wyraźnie „zaraz po popołudniowym przedstawieniu”,

tymczasem od jego zakończenia musiało już minąć sporo czasu. W namiocie cyrkowym, odsłoniętym na wiatr, żeby się przewietrzył, nie było już ani jednego widza, a świeże trociny na arenie zdążyły wyschnąć.

Może Don Alvaro obraził się za niepunktualność? Albo gdzie wyszedł? – zastanawiał się Bruno, siadając na schodkach furgonu. Miał zamiar czekać do skutku. Nawet za cenę gniewu Meksykanina.

Pół godziny później usłyszał głosy wewnątrz wozu, a zaraz potem szcęk otwieranego zamka i skrzypnięcie drzwi. W progu stanęła dziewczyna, która wczoraj asystowała Don Alvarowi. Tym razem miała na sobie cienką spódnicę i bluzkę ze źle zapiętymi guzikami, przez co jeden z kołnierzyków ledwo zakrywał obojczyk, a drugi sięgał podbródka.

Tuż za nią pojawił się Meksykanin ubrany tylko w krótkie kalesony. Jego tors pokrywały gęste i kręcone czarne włosy. Podrapał się po nich i rozpromienił na widok Bruna.

– Pogromca bandytów! Witamy. Wybacz bohaterze, że kazałem ci czekać, ale musieliśmy z *senioritą* Inez przećwiczyć kilka układów przed wieczornym przedstawieniem. Nasza praca wymaga skupienia.

Dziewczyna zachichotała i lekko sfrunęła ze schodków, posyłając Brunowi całusa na pożegnanie. Odprowadził ją wzrokiem, a kiedy się odwrócił, Don Alvaro zdążył już narzucić na siebie jedwabny szlafrok i sięgnąć po dwa rozkładane krzeselka, jakich używają wędkarze.

– Zatem chcesz się nauczyć rzucać nożami? – spytał, gdy usiedli w cieniu namalowanych kaktusów.

– Chcę – skwapliwie potwierdził chłopak i dodał, uważnie patrząc na Meksykanina: – Ale jest coś jeszcze.

– Co?

– Chciałbym przystać do cyrku. Mogę pracować tylko za jedzenie.

– Aż tak się rozochociłeś?

Chłopak niepewnie skinął głową, ale opowiedział wszystko, co o północy usłyszał od ojca.

Don Alvaro słuchał w skupieniu.

– Takich chętnych jak ty mamy po każdym występie – powiedział. – Wielu wymyśla niestworzone bajki, żeby tylko dostać się do trupy cyrkowej. Szczerze mówiąc, gdybym nie był świadkiem wczorajszego zajścia, też pomyślałbym, że zmyślasz.

Bruno spojrział na niego z nadzieją.

– Ale to nie takie proste – ostudził go Meksykanin. – Powinieneś napisać list do dyrektora Buscha, przedstawić swoje kwalifikacje i przewagi nad innymi. Przyjechać na konkurs kwalifikacyjny...

Chłopak posmutniał. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, po czym wstał z krzesła.

– Pokornie dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas – powiedział. – W moim obecnym położeniu nauka rzucania nożem na nic się nie zda. Chyba już pójdę.

Alvaro ze współczuciem pokiwał głową.

– Powiedz przynajmniej, jak się nazywasz, żebym cię lepiej zapamiętał.

– Bruno Janoszek.

Przez twarz Meksykanina przebiegł jakiś cień.

– Janoszek – powtórzył. – A skąd ty pochodzisz, panie Janoszek?

– Stąd. Z Zaodrza.

– Rodzice też stąd?

– Matka tak, ojciec jest Czechem. Stryj do dziś mieszka w Cieszynie i właśnie tam mam się udać. Będę szewcem – uśmiechnął się i wyciągnął rękę na pożegnanie. – Jeszcze raz dziękuję.

Don Alvaro przez dłuższą chwilę bił się z myślami.

– Zaczekaj – powiedział, nie podając mu dłoni. – Zrobimy tak: do niedzieli możesz spać w moim wozie. Na podłodze. W poniedziałek wracamy do Berlina. Udamy się obaj do dyrektora i poprosimy o miejsce dla ciebie.

Chłopak nie ukrywał zaskoczenia.

– A jeśli odmówi? – spytał. – Co wtedy?

– Mnie nie odmówi – Meksykanin po raz kolejny zaprezentował w uśmiechu białe zęby. – Za dużo dla niego zarabiam.

Bruno pił lemoniadę małymi łydkami i obserwował Hermannplatz.

Lubił patrzeć na Berlin z góry. Warkot aut, zgrzyty tramwajowych kół na żelaznych szynach, stukot końskich kopyt i gwar tłumu docierały na taras Karstadt w znacznie mniejszym natężeniu. Plac z tej perspektywy wyglądał jak scena teatru kukiełkowego, po której poruszały się kolorowe figurki nakręcane sprężynami codziennych zajęć.

Z dachu nie było widać wśród nich coraz liczniejszych marionetek w hitlerowskich mundurach, które od paru sezonów stały się kanonem niemieckiej mody. Bezpruderyjny, ekstrawagancki Berlin, do niedawna jedna ze stolic europejskiej kultury i stylu, zamienił kolory swoich kreacji na czerń kurtek SS oraz brunatne koszule SA. Każda z organizacji, choćby zrzeszała wędkarzy albo kolekcjonerów motyli, uznawała za stosowne umundurować się i opieczętować swastyką. Mimikra zawsze była funkcją przetrwania.

Tymczasem faszyzm zasłaniał państwo jak chmura burzowa, która nie zwiastowała dobrych prognoz, choć głośniki na słupach Unter den Linden szczykały coś wręcz przeciwnego.

Bruno początkowo chwalił narodowych socjalistów za rozwój tężyzny fizycznej, ale po kilku rozmowach z Alvarem pojął, że nie służy ona sukcesom sportowym, tylko politycznym. Kultowi siły, brutalności i nienawiści wobec wszystkich, których nieomylny wódz wskazywał jako wrogów. W zamian nagradzał bezkarnością za tłuczenie sklepowych szyb, wrzask, bicie pałkami ludzi i palenie książek. Berliński jazz zastąpiły marsze, stepowanie tancerzy ucichło wobec łoskotu podkutych wojskowych buciorów, a próżnię po zamkniętych kabaretach i rewiach wypełniły wiece z pochodniami.

Kilka wieczorów po tym, gdy młodszy z braci Janoshek przystał do cyrku Buscha, na widowni pojawiła się zgraja podchmielonych Bawarczyków.

W skórzanych krótkich spodniach na szelkach, podkolanówkach i kaftanach z grubego sukna wyglądali, jakby właśnie wyszli

z Octoberfestu. Byli butni, głośni i aroganccy. Przepychali się do drugiego rzędu ławek, potrącając innych widzów i wybuchając rechotem, gdy młody człowiek w okularach upadł na podłogę, tracąc równowagę po silnym zderzeniu z ramieniem bawarskiego byczka. Zajęli miejsca wokół jednego z masztów podtrzymujących kopułę namiotu, ale zanim to się stało, grubas w tyrolskim kapeluszu objął oburącz drewniany słup i próbował nim zatrząść jak jabłonką, na której dojrzały owoce. Dopingowały go donośne beknięcia towarzyszy.

Część widowni odwróciła wzrok, ale inni patrzyli z wyraźną przyganą. Zwłaszcza gdy na arenę wyszedł Don Alvaro, zawarczały werble, a Meksykanin szarmanckim ruchem zdjął sombrero i ukłonił się publiczności.

– Wynoś się stąd smoluchu! – wrzasnął gruby Bawarczyk, któremu nie udało się przewrócić cyrkowego słupa. Jego koledzy zaczęli głośno gwizdać.

Alvaro udał, że nie słyszy.

Uśmiechnął się do widowni po drugiej stronie i podszedł do stolika, na którym Paco szykował się do podania mu noży. Bruno stał nieruchomo przy wejściu dla artystów, zerkając zza kotary w stronę bawarskich chamów. Ryczeli coraz głośniej.

Mistrz powoli odwrócił się w ich stronę.

– Jesteście w cyrku niemieckim, nie rzymskim, panowie – powiedział z uśmiechem. – Nie mamy w programie rozszarpywania ludzi przez dzikie bestie, chyba że sami chcecie wystąpić w tej roli.

Zapadła cisza.

Bawarczycy starali się zrozumieć, co chciał im przekazać bezczelny śniady pajac, ale drwiące miny widzów były najlepszym komentarzem. Grubas od słupa zerwał się z ławki i cisnął w stronę areny butelkę po piwie.

Była wymierzona w Alvara, ale mistrz znał doskonale trajektorię lotu rzuconych przedmiotów. Nawet nie drgnął, gdy ciężki szklany pocisk przeleciał kilkanaście centymetrów od jego głowy. W tej samej sekundzie

sięgnął po jeden z kilku noży podanych mu wcześniej przez Paco i wykonał ruch tak szybki, że prawie niewidzialny. Głownia utkwiła w słupie, przy którym stał grubas, a stal przez chwilę drgała jak membrana.

Bawarczyk pobladł i przełknął ślinę niemal tak głośno, jak wcześniej wrzeszczał.

Publiczność zamarła.

Grubas, próbując ratować honor, chwycił rękojeść noża i próbował go wyszarpnąć, ale poszło mu tak samo słabo jak wcześniej ze słupem. Poszukał wzrokiem pomocy kolegów, a ci zaczęli podnosić się z ławki, ściągać kaftany i podwijać rękawy koszul.

Kilku policjantów stojących przy wejściu natychmiast ulotniło się z namiotu. Paco, który do tej pory jedynie obserwował incydent, teraz obnażył kły. Wyjątkowo groźne jak na małpkę przypominającą dziecięcą zabawkę. W takim stanie nawet cyrkowe tygrysy czuły przed nim respekt.

Fala Bawarczyków zamierzała właśnie wpłynąć na arenę, gdy nagle pojawiło się na niej kilkunastu niespodziewanych gości. Trupa zwinnych i umięśnionych akrobatów uzbrojona we wszystko, co dało się znaleźć pod ręką, oraz pięciu atletów. Prowadził ich Berthold, dwustukilowy gigant, który na arenie zawiązywał sobie krawat z szyny tramwajowej.

Bawarczycy obrzucili ich wściekłymi spojrzeniami i przeformowali tyralierę w szereg zmierzający w stronę wyjścia.

W tej samej chwili od areny oderwał się klaun Waldo. Podbiegł do wychodzących i zaczął ich żarliwie przeproszać, ale najwyraźniej uznali to za błazenadę. Jeden z Bawarczyków uderzył go pięścią prosto w okrągły czerwony nos i Waldo wylądował na plecach, demonstrując widowni podeszwy swoich olbrzymich butów.

Cyrkowcy z trudem stłumili wesołość.

Waldo był żarliwym nazistą. Składał Gestapo regularne raporty o tym, co działo się w przedsiębiorstwie rozrywkowym Buscha. Wiedzieli o tym wszyscy, łącznie z dyrektorem, ale nawet on był bezradny wobec systemu totalitarnego państwa, które wszędzie miało swoje oczy i uszy.

Berthold spojrział na znokautowanego klauna i wskazał go widowni gestem otwartej dłoni, jakim na arenie prezentuje się artystę.

Publiczność, która nadal nie wiedziała, jak zareagować na wszystko, czego była świadkiem przez ostatnie minuty, wybuchła gromkim śmiechem.

Bruno zerknął na cyferblat niedawno kupionej recty i w tym samym momencie dostrzegł sylwetkę Don Alvara. Stał w drzwiach windy dowożącej gości na taras Karstadt. Meksykanin miał oko równie szybkie jak rękę, więc natychmiast wyłowił chłopaka z tłumu oblegającego stoliki i ruszył w jego stronę.

Odprowadzały go zaciekawione spojrzenia.

Długowłosa, z czarnymi wąsami i hiszpańską bródką, którą teraz nosił, opalony na mahoń i ubrany w kremowy letni garnitur wyglądał jak egzotyczny książę. Odsunął krzesło, usiadł obok Bruna i skinął na kelnera.

Często się tu spotykali. Alvaro miał jakieś sprawy na mieście, w które chłopak nie wnikał. Przyzwyczał się, że wóz Meksykanina odwiedzała nie tylko *seniorita* Inez, ale i wołyżerki, akrobatki, treserki i asystentki iluzjonistów, liczne jak kolce na kaktusach. Czajnik jest jeden, ale filiżanek wiele – mawiał Alvaro z rozbajającym uśmiechem, czemu sprzyjała niepospolita rozwiązłość panująca w cyrku. Bruno parokrotnie sam jej doświadczył i jak mógł unikał pań artystek, które najwyraźniej uknuły spisek przeciwko jego przyzwoitości.

– Co tam w domu? – spytał Meksykanin, dziękując kelnerowi skinieniem głowy za podany kieliszek szampana. – Greta wciąż tęskni?

– Píše co tydzień – odparł Bruno. – Zresztą pan wie najlepiej. Przecież listy przychodzą do pańskiej skrzynki pocztowej.

– Ale ich nie czytam, to skąd mam wiedzieć, czy płomień namiętności nadal strzela wysoko?

Bruno się uśmiechnął, choć wypadło to dość smętnie.

– A ty? – dopytywał Meksykanin. – Nadal...

– To najwspanialsza dziewczyna, jaką znam. Uczy się w gimnazjum i chce iść na uniwersytet – dodał z dumą, ale nagle zmarkotniał. – Obawiam się tylko, że ta rozłąka nam zaszkodzi.

– Zaproś ją do Berlina. – Don Alvaro zawsze miał konkretne rady w kwestiach damsko-męskich.

– Zaprosiłem – westchnął Bruno. – Za dwa miesiące przyjeżdża mój brat. Greta chciała się z nim zabrać, ale jej rodzice się nie zgodzili. Powiedzieli, że jest za młoda. Ma dopiero szesnaście lat.

Alvaro z dezaprobatą pokręcił głową nad moralnym konserwatyzmem tego świata.

– A ty nie chcesz jej odwiedzić? Ciągłe boisz się zemsty gangsterów?

– Herbert pisze, że sytuacja jeszcze się pogorszyła. Nie chciał wyjawiać szczegółów w liście, obiecał wszystko opowiedzieć, jak przyjedzie. Wiem tyle, że „Flink”..

– Ten, któremu wtedy pogruchotałeś nogę?

– Tak. Nadal jest w więzieniu. Ale jego banda sieje postrach na Zaodrze, choć paru z nich aresztowano za komunizm.

– Bandytów za komunizm? – zdziwił się Alvaro.

– U nas wiecznie są jakieś wiece albo protesty. Brat pisze, że miesiąc temu komuniści postanowili zakłócić jakąś hitlerowską manifestację, a że chuligani lubią awantury i starcia z policją, to chętnie się przyłączyli. Ale tym razem źle trafili. Gliny zrobiły wielką obławę i wszystkich prowodyrów, zarówno komunistów, jak i łobuzów, wywieźli do jakiegoś ośrodka odosobnienia.

– Ośrodka odosobnienia?

– To się chyba nazywa obóz koncentracyjny.

Twarz Meksykanina stężała.

– Nigdy nie wymawiaj tej nazwy – szepnął ostrzegawczo, pochylając się nad stolikiem. – Rozumiesz? Nigdy.

– *Si, patron* – odparł Bruno tonem pokornego meksykańskiego sługi, którym odpowiadał na polecenia Don Alvara podczas występów na arenie.

Szef nie zareagował. Przez całą drogę z Karstadt do cyrku wpatrywał się w miasto za oknem tramwaju i nie odezwał ani słowem.

– Braciszku, tu jest życie! – Herbert wyciągnął się na skrzypiącym metalowym łóżku taniego pensjonatu niedaleko Stettiner Bahnhof i zaplótł ręce pod głową.

Bruno spojrział krytycznie na jego bladą twarz, podkrążone oczy, poplamiony podkoszulek, wygniecione gacie i podwiązki do skarpet, w których najwyraźniej spał.

– Widzę, że noc była udana – skwitował z kwaśną miną. Wyrwał się z cyrku na parę godzin, liczył, że zabłąśnie przed Herbertem, pokazując mu miasto, tymczasem brat bardziej potrzebował snu niż atrakcji stolicy Trzeciej Rzeszy.

– Żebyś wiedział – zamruczał Herbert. – Żałuj, że jesteś nieletni, bo partia narodowosocjalistyczna rygorystycznie pilnuje moralności i nikt by cię nie wpuścił do prywatnego klubu, w którym się wczoraj bawiłem. – Żałuj – powtórzył z wymowną miną.

– Przespałeś się z jakąś? – spytał Bruno.

Herbert zrobił zagadkową minę.

– Dżentelmen nie chwali się takimi rzeczami – odparł i obdarzył brata jednym z tych uśmiechów, od których dziewczętom na Zaodrze miękły nogi.

– Doprowadź się do porządku – stwierdził stanowczo Bruno. – Zaczekam na dole.

– A postawisz mi mocną czarną kawę? – spytał Herbert, ale Bruno w odpowiedzi tylko pogroził mu pięścią.

W szkole wiele razy używał jej do obrony starszego brata. Łobuzy z Odervorstadt, zazdrośni o jego powodzenie u dziewcząt, nieustannie szukali z Herbertem zwady, ale brat nie lubił się bić. Wolał chodzić na zajęcia kółka teatralnego niż na treningi *handballu*, na które ciągnął go Bruno. Lepiej niż na boisku i w sali gimnastycznej czuł się w kawiarniach, na tańcach, w burleskach i wodewilach. Młodszy z braci Janoschek nieraz

uratował jego urodziwą twarz przed zniekształceniami i bliznami. Sam też ich nie miał, ale tylko dlatego, że niełatwo było go trafić. Zawsze powtarzał, że złamane nosy i popękane łuki brwiowe wcale nie świadczą o umiejętnościach walki na pięści, ale raczej o ich braku.

Wciągnął do płuc rześkie powietrze jesiennego berlińskiego poranka i nagle poczuł się szczęśliwy. Czekało go kilka godzin z Herbertem. Od wczesnego dzieciństwa lubił z nim chodzić po wyspie Bolko albo siedzieć na trawie nad rzeką. Jeździć na sankach i puszczać latawce. Spierać się i godzić. Rozmawiać i milczeć. Jakby sama obecność brata miała jakieś magiczne znaczenie.

Wyglądem i charakterami różnili się tak bardzo, że połowa plotkarek z dzielnicy twierdziła, że któryś został podmieniony na porodówce. Druga połowa powątpiewała w wierność małżeńską matki braci Janoshek, ale Greta miała swoje zdanie. Przeciwieństwa przyciągają się najsilniej – mówiła. Tak jest z magnesami. Zbliżysz do siebie takie same bieguny – odepchną się. Żadną siłą nie połączysz. Zbliżysz odmienne – przyciągną się i chwycą tak mocno, że nie rozerwiesz.

Prawie każda wielodzietna rodzina na Zaodrze miała męskich potomków, ale nigdzie nie było między nimi takiej więzi. I nikt nie umiał jej do końca wytłumaczyć. Być może młodszemu z braci Janoshek imponowało, że opiekuje się starszym? A może był dumny z jego urody amanta filmowego? Z listów z zasuszonymi fiołkami i wyznaniem miłości, jakie dziewczęta dawały mu do przekazania Herbertowi, po każdym jego występie podczas szkolnych uroczystości? Może starszy podziwiał sprawność i odwagę młodszego? I wszystko to razem wzięte łączyło się ze sobą? Jedno było pewne: wieczorami nad Odrą, gdy butelka wina robiła rundę wśród słuchaczy, opowiadano o tutejszych bandytach, synach tych samych rodziców, którzy donosili na siebie do biura śledczego, skakali sobie do oczu, nienawidzili się, a nawet zabijali jak Kain Abla. Takie życie. A jednak wszyscy wiedzieli, że braci Janoshek to nie dotyczy.

Bracia Janoshek poszliby za sobą w ogień.

Godzinę później znaleźli stolik w jednej z kawiarni Haus Vaterland przy Potsdamer Platz.

– Wyborna – ocenił Herbert mokkę, która sprawiła, że krew zaczęła w nim krążyć z nowym entuzjazmem. – Tu jest życie – powtórzył poranną sentencję. – Chyba nie myślisz wracać do Opolu? – zerknął z zaciekawieniem na Bruna.

Młodszy z braci Janoschek wzruszył ramionami.

– Niczego nie planuję, ale przeszło mi przez głowę, że gdyby Greta chciała tu studiować, to może...

– Ta dziewczyna to skarb – przerwał Herbert. – Nie zmarnuj tego.

Bruno pokiwał głową.

– Pisałeś, że w Opolu jest jeszcze gorzej niż wtedy, gdy musiałem uciekać.

Brat potarł podbródek.

– Chodzi o kumpli „Flinka” – wyjaśnił. – Ci dwaj, których tamtego wieczoru tato widział pod naszym domem, wstąpili do SA. Wiesz, tej bojówki NSDAP.

– Przecież to kryminaliści – zdziwił się Bruno.

– Tym lepiej. Partia Hitlera potrzebuje ludzi bez skrupułów, gotowych na wszystko. A jakie jest najlepsze rozwiązanie dla bandyty, który ma z władzą na pieńku? Przystać do tej władzy. Przywdziać jej barwy. W ten sposób w jednej chwili staje się swój. Już nikt go nie ściga. Jest nietykalny, a w zamian na zlecenie wybija ludziom zęby i podpala sklepy. Tak to funkcjonuje.

– Ci dwaj działają w Opolu?

– Tak, ale często znikają na parę dni. Podejrzewamy z ojcem, że napadają Żydów. Wyrzucają ich z domów, składów towarów, fabryk. Przejmują majątki dla Trzeciej Rzeszy, a przy okazji sami się obławiają. Lepiej, żebyś nie wpadł w ich łapy.

– Dlaczego? – oburzył się Bruno. – Bo poturbowałem złodzieja? Działalem dla dobra społeczeństwa. Jako funkcjonariusze SA nic mi nie

mogą zrobić. Jestem takim samym obywatelem państwa niemieckiego jak oni.

Herbert spojrzał na niego z politowaniem.

– Musisz się jeszcze dużo nauczyć, braciszku. Bardzo dużo – westchnął i przełknął łyk kawy.

Trzeci nóż wykonał pełny obrót w powietrzu i pewnie wbił się w drewnianą tarczę. Przez chwilę drżał jak struna gitary, ale zanim znieruchomiał, Bruno rzucił kolejny. Ten utkwił po prawej stronie poprzednika. Gdyby wszystkie cztery ostrza połączyć liniami, powstałby regularny kwadrat.

– Bravo! – usłyszał za plecami głos Alvara. – Powtórz to samo, wypuszczając noże z odległości dalszej o jeden krok, a powiem ci ważną nowinę – dodał z tajemniczą miną.

– Coś się stało? – zaniepokoił się chłopak.

– Nic złego. Najpierw chcę zobaczyć kwadrat.

Bruno wymierzył i wykonał rzut, ale pierwszy nóż z brzękiem odbił się od tarczy i spadł na arenę.

– Byłem pewien, że tak się stanie – westchnął Alvaro. – Usłyszałeś, że mam nowinę, i to wystarczyło, abyś stracił skupienie.

– Nie straciłem. Byłem maksymalnie skoncentrowany – zaprotestował chłopak.

– Tak ci się tylko zdawało. Żeby to była prawda, skoncentrowana powinna być twoja dłoń. Nadgarstek. Przedramię. Ramię. Tułów. Biodra. Noga wysunięta do przodu. Tyle razy ci to powtarzam – dodał z wyrzutem.

– Pół sekundy nieuwagi i nie oceniasz właściwie ani ciężaru noża, ani jego prędkości. Ćwierć sekundy oderwania myśli i nie rozpoznajesz momentu, w którym powinienes go wypuścić z ręki. Nieważne, czy popełniłeś jeden z tych błędów, czy wszystkie naraz. Efekt zawsze będzie taki sam – wskazał dłonią nóż leżący na arenie jak zawodnik, który przegrał walkę.

– Dobrze, *patron* – Bruno pokornie skinął głową i nagle poczuł, jak zalewa go fala rezygnacji.

Kiedy dwa lata temu rozpoczynał naukę u Don Alvara, wydawało mu się, że wystarczy złapać dryg. Podpatrzyć mistrza, poćwiczyć, zepsuć sto rzutów w poniedziałek, ale za tydzień już tylko dziewięćdziesiąt. Potrafił trenować. Był cierpliwy i wytrwały. Powtarzał mozolne serie z ciężarkami i sprężynami bez najmniejszego zniechęcenia. Wierzył w siłę fizyczną i doświadczenie wynikające z praktyki. Jak największej praktyki.

Tymczasem Meksykanin przez pierwsze tygodnie nie pozwolił mu nawet dotknąć noża.

Całymi godzinami opowiadał o budowie ręki i jej współpracy z resztą ciała podczas rzutu. Kazał Brunowi przyjmować pozycje niczym buddyjscy jogini i trwać w nich w nieskończoność. Nazywał to studiowaniem balansu. Potem przyszedł czas na fizykę. Rysunki i obliczenia na tablicy trudniejsze niż w szkole. Wyważanie środka ciężkości noża. Wektory siły rzutu. Prędkość kątowna i liniowa – w zależności od chwytu za rękojeść albo głownię. Prawo zachowania pędu. Trajektoria lotu po łuku i linii prostej.

Jeszcze później neurologia. Koordynacja zachowania ciała z pracą mózgu.

– Moment idealnego zgrania ciała i celu trwa ułamek sekundy – tłumaczył Don Alvaro. – Jeśli wyczujesz tę chwilę, będziesz trafiał każdym nożem, w każdy punkt, z każdego miejsca. Warunek – bez odrobiny emocji. W tym jednym momencie musisz się stać maszyną do rzucania. Precyzyjną, niezawodną maszyną.

Przez dwa lata Bruno uczył się odnajdywania tej magicznej chwili odpowiedniej na rzut. A kiedy był przekonany, że absolutnie nad nią panuje, że jest już na trwale zakodowana w jego ciele i umyśle – chybiał. Tak jak przed chwilą.

Z wściekłości kopnął kupkę trocin na podłodze areny.

Meksykanin cmoknął z dezaprobatą.

– Co? Podłamałeś się? Gdybyś pilnie słuchał moich lekcji, byłbyś dziś o wiele lepiej przygotowany. Ale w twoim wieku wszystko wydaje się łatwe, co? Rzucanie nożem – żadna filozofia. A jednak, młody przyjacielu, to trudna sztuka. Rzucanie to dar, jaki Bóg dał na tym świecie tylko człowiekowi. Wiesz, że żadne ze zwierząt nie potrafi rzucać? Nawet małpa.

Paco, siedzący na stoliku z rekwizytami, drgnął i zaskrzeczał z oburzenia. Alvaro uspokoił go ruchem dłoni.

– No dobrze, mały trochę potrafią. Ale nie do celu.

Położył chłopakowi dłoń na ramieniu.

– Dziś nic już z tego nie będzie. Chodź, przekażę ci nowinę.

Wyszli z namiotu.

– Zapraszam do mojego wozu – rzekł Meksykanin. Paco śmignął między nimi i pobiegł przodem.

– Ten nie ma kryzysów psychologicznych – uznał Bruno, wskazując kapucynkę ruchem podbródka.

– Mylisz się – sprostował Alvaro. – To bardzo wrażliwy zwierzak. Znasz go z występów, gdzie zachowuje się jak na zawodowego artystę przystało. Ale prywatnie bardzo wszystko przeżywa. Winien mu jesteś szacunek – upomniał chłopaka – jest znacznie starszy od ciebie.

Gdy weszli do wnętrza, a Paco uznał za stosowne nałożyć swoje sombrero, Meksykanin sięgnął do szafki, z której wyjął butelkę lekkiego reńskiego wina. Podał ją Brunowi wraz z korkociągiem i rozejrzał się za kieliszkami.

– Nie mam jeszcze osiemnastu... – zaczął chłopak, gdy *patron* napełnił szkło trunkiem w kolorze szampana bez bąbelków.

– Ale masz moje pozwolenie – odparł Alvaro i stuknął się z nim.

– To jakaś okazja?

– Tak. Dostałeś od dyrekcji angaż do mojego zespołu. Nie będziesz już sprzątał końskiego łajna i dźwigał rekwizytów. Zostajesz trzecim asystentem – uniósł kieliszek. – Po Paco i *senioricie* Inez.

– Potrzebuje pan trzeciego asystenta?

Alvaro podrapał się w głowę.

– Od nowego afisza wprowadzamy zmianę w naszym numerze. Będę rzucał nożami obok postaci na kole, które ma się obracać. Tak zdecydował szef programu. Pewnie podpatrzył to u konkurencji, bo to tępy Szwab z Augsburga, który sam jeszcze nigdy na nic nie wpadł. No i rzecz w tym, że ty będziesz się obracał na tym kole.

– Ja? – zdziwił się Bruno. – A dlaczego nie Inez? Boi się?

– Nie boi się. Rzyga.

Chłopak pokiwał głową.

– Nie cieszysz się?

– Cieszę – potwierdził bez przekonania, uśmiechając się blado. – Tylko jestem zaskoczony. Nie myślałem o karierze w cyrku. To wszystko wyszło tak jakoś przypadkiem. Sam pan zresztą wie najlepiej. Uciekłem tu przed kłopotami w Opolu, tymczasem wejście do zespołu na stałe to poważna decyzja.

Meksykanin nalał sobie drugi kieliszek wina.

– Posłuchaj – powiedział po chwili namysłu. – Idą złe czasy. Cyrk to idealne miejsce, żeby się przed nimi schronić. Nie mówiąc o tym, że możesz stać się prawdziwym artystą i nieźle z tego żyć.

– Nigdy panu nie dorównam.

– Ja się urodziłem z nożem w ręku – zaśmiał się Alvaro.

Bruno, zachęcony szczerością rozmowy, zdobył się na śmiałość:

– Zawsze chciałem zapytać, gdzie się pan urodził, *patron*? Naprawdę w Meksyku? Niech mi pan o nim opowie.

– Gdzie się urodziłem? W wozie cyrkowym – znów się roześmiał.

Chłopakowi najwyraźniej to nie wystarczyło.

– Wiem, że nie lubi pan mówić o sobie – zaczął ostrożnie – ale czy mogę o coś jeszcze zapytać?

– Pytaj – zgodził się Meksykanin. – Najwyżej nie odpowiem.

– Parę razy zorientowałem się, że pan rozumie po polsku. Skąd...?

Alvaro wstał.

Podszedł do półki nad swoim pościelaniem i odszukał na niej fotografię oprawioną w drewnianą ramkę. Bez słowa podał ją chłopakowi.

Bruno spojrział i przeszedł go dreszcz.

– Straszne, co? – spytał Alvaro.

Chłopak przyjrzał się zdjęciu raz jeszcze. Przedstawiało fizjonomię człowieka, a może zwierzęcia. Jego czaszka, czoło, policzki i dolna część twarzy porośnięte były gęstymi, prostymi włosami, długimi

na kilkadziesiąt centymetrów. Wyzierały z nich jedynie skupione oczy, masywny lwi nos porośnięty sierścią i wąskie usta.

Bruno spojrział zakłopotany na Alvara, nie wiedząc, jak sformułować pytanie: „Kto to?” czy „Co to?”

– To Lionel – Meksykanin wybawił go z opresji. – Człowiek o lwiej twarzy. Jeden z najwspanialszych artystów cyrkowych, jakich poznałem. Zmarł pięć lat temu na serce, tu w Berlinie, ale spotkaliśmy się, gdy robił wielką karierę w Ameryce. Był wielką postacią. Mimo wyglądu wynikającego z choroby genetycznej uchodził za arbitra elegancji. Nosił garnitury od najlepszych krawców, miał nienaganne maniery, znał pięć języków. Wybitni malarze zabiegali o możliwość stworzenia jego portretu, a ludzie z towarzystwa zapraszali go na przyjęcia. Ale nie po to, aby zabłysnąć przed gośćmi osobliwością Lionela. Po to, aby go słuchać i z nim rozmawiać. Był niezwykle mądry.

– Dlaczego mi pan pokazał tę fotografię?

– Bo jeśli choć trochę czujesz się Polakiem, to twój rodak. Nazywał się Stefan Bibrowski i urodził się we wsi niedaleko Warszawy. To on nauczył mnie trochę po polsku. Miał cztery lata, gdy rodzice sprzedali go do niemieckiego cyrku Meyera.

– Sprzedali? Własne dziecko?

Meksykanin skinął głową.

– Można powiedzieć, że uratowali mu życie. Wieś od urodzenia uważała Stefana za wilkołaka. Prędzej czy później skończyłby przebity widłami albo zatłuczony kijami podczas pełni księżyca.

Bruno wpatrywał się w fotografię z nowym zdumieniem.

– Do wszystkiego doszedł sam – powiedział Alvaro. – Mógł być najwyżej dziwadłem, ale wykierował się na wybitnego artystę i wspaniałego człowieka. Gdzie? W cyrku. Dlaczego? Bo to jedyne miejsce, które daje ochronę i zgodę na bycie innym. Wyobrażasz sobie jego życie gdzieś wśród ludzi na ulicy? W fabryce? Na wsi? Nie – Meksykanin wymownie pokręcił głową. – To jest możliwe tylko w cyrku.

ROZDZIAŁ 3.

Berlin/Oppeln,
wiosna – lato 1939 roku

Greta minęła most Stulecia prowadzący z Zaodrza w stronę rynku i skręciła w Hafenstrasse. Dochodziła szesnasta. Herbert właśnie kończył pracę w nowym gmachu rejencji. Byli umówieni za kwadrans.

Dziewczyna z troską spojrzała na wieżę, pozostałość po dawnym zamku Piastów, jakby chciała się przekonać, czy baszta nadal jest na swoim miejscu. Kiedy nadprezydent rejencji górnośląskiej wydał decyzję o rozbiórce zamku, mniejszość polska w Opolu protestowała tak licznie i tak głośno, że dla uspokojenia nastrojów postanowiono zostawić przynajmniej wieżę.

Uwielbiała to miejsce. Uroczy zakątek wyspy Pasieka z Domkiem Lodowym, gdzie tato zabierał ją na zimową ślizgawkę. Wypożyczali niklowane „polluksy” przeznaczone dla początkujących, choć Greta upierała się, że chce jeździć na zawodowych łyżwach. Tak jak jej starsza o rok koleżanka Maxi Herber, która w wieku dwunastu lat zdobyła na opolskim lodowisku mistrzostwo Niemiec w jeździe figurowej, a potem zrobiła światową karierę.

Usiadła na ławce. Pomyślała, że beztroskie czasy dzieciństwa bezpowrotnie minęły i obróciły się w popiół. Dokładnie tak jak wznosząca się obok Stawku Zamkowego wspaniała synagoga, po której zostały tylko zgliszcza. Ci, którzy doprowadzili do jej spalenia, coraz wyżej podnosili głowy, mieniąc się panami świata.

Kilka chwil później dostrzegła Herberta z daleka machającego jej ręką.

Starszy z braci Janoschek w popielatym dwurzędowym garniturze wyglądał olśniewająco. Nosił teraz niewielki wąsik i wielką teczkę

ze świńskiej skóry, które miały dodawać mu powagi. W końcu był kancelistą najważniejszego urzędu w regionie.

Posadę dostał przypadkiem.

Gdy kilka miesięcy temu Hitler dokonał rozbioru Czechosłowacji, zajmując część jej terytorium, do rejencji opolskiej przyłączono Kraj Hulczyński, czyli kawałek Górnego Śląska niedaleko Opawy, który Niemcy straciły po I wojnie światowej. Potrzebni byli nowi urzędnicy w administracji regionu, a Herbert znał nie tylko polski i niemiecki, ale też czeski – rodzinny język ojca.

Podszedł do Greta i pocałował ją w policzek.

– Niezłe miejsce wybrałaś – uśmiechnął się, wskazując oczami tabliczkę z nazwą ulicy „Strasse der SA”.

Podążyła za jego wzrokiem i zrozumiała. Temat dwóch prześladowców Bruna, którzy wstąpili do SA, od miesięcy był komentowany na Zaodrze. Zwłaszcza że bandyci „Flinka” czuli się bezkarni i mogli prowadzić swój przestępczy proceder pod ochroną partii hitlerowskiej. Teraz to oni rządzą na dzielnicy. I budzili powszechny strach.

– Masz jakieś wieści o „Flinku”? – spytała Greta pod wpływem tych myśli.

Herbert przecząco pokręcił głową.

– Nic nowego. Poza tym, że z więzienia przeniesiono go do jakiegoś obozu, gdzie ma się o wiele lepiej. Ale to już wiesz. Najważniejsze, że prędko nie wyjdzie. Dziesięć lat, które dostał za okaleczenie mnie i kradzież torebki, to surowy wyrok, ale miał pecha. Kobieta, którą zaatakował, okazała się siostrą sędziego z Wrocławia, a ten już zadbał o to, aby skazać „Flinka” za napad rabunkowy z bronią w ręku, bez prawa ubiegania się o zwolnienie warunkowe. Czytałem akta. Na wolność wyjdzie w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym – dodał z satysfakcją.

– Niemniej zagrożenie dla Bruna ciągle istnieje – uznała dziewczyna.

– To prawda – zgodził się. – Nie powinien wracać. Ci ludzie są pamiętliwi i potrafią pielęgnować zemstę. Matka „Flinka” splota pod nogi, ilekroć widzi mnie na ulicy.

Greta milczała.

– Dostałeś list od Bruna? – spytała po chwili.

Herbert położył jej dłoń na ramieniu.

– Greto – powiedział łagodnie. – Wiem, że ci przykro, bo częściej pisze do mnie niż do ciebie, ale on taki już jest. Zawsze był szorstki i nie potrafił wyrażać uczuć. Ale jestem pewien, że cię kocha i myśli o tobie.

Uśmiechnęła się blado.

– Dobry z ciebie przyjaciel, Herbercie. Najlepszy, jakiego mam – uścisnęła jego dłoń. – Więc co u niego?

– Robi karierę w cyrku – odparł.

Sięgnął do teczki, z której wydobył fotografię młodszego z braci Janoschek w stroju kowbojskim. Podał ją Grecie.

– To jego kostium. Obraca się w nim na drewnianym kole, a Don Alvaro rzuca w nie nożami. A na koniec pokazu ludzie z obsługi przynoszą mniejszą tarczę i Bruno też wykonuje jeden popisowy rzut.

Greta nie sprawiała wrażenia zachwyconej.

– Myślisz, że zostanie w cyrku na stałe? – spytała.

Herbert wzruszył ramionami.

– Diabli wiedzą. A ty jak myślisz?

– Sama nie wiem – dziewczyna wyraźnie się strapiła. – Z jednej strony cieszę się, że jest bezpieczny, z drugiej – tęsknię i...

– Boisz się, że rozłąka wam zaszkodzi? – przerwał.

– Herbert, ja go nie widziałam od trzech lat. Zdjęcie w stroju rewolwerowca z Teksasu tu nie pomoże. Tyle razy chciałam do niego jechać – pokręciła głową. – Ale rodzice zabronili. „Skończysz osiemnaście lat, to będziesz o sobie decydować”. Wiesz, jacy są. A przecież z domu nie ucieknę – uniosła i opuściła ręce. – Najgorsze, że Bruno też nie może przyjechać, bo to zbyt niebezpieczne. Sama mu to powtarzam za każdym razem, kiedy pisze, że już nie może wytrzymać i wybiera się do Opola. Znasz bandytów „Flinka”. Oni ciągle go szukają. Dlatego listy wysyłam na adres skrytki pocztowej w Berlinie i nawet nie znam jego adresu – stwierdziła i dodała gorzko:

– W przyszłym roku skończę te cholerne osiemnaście lat. Nie uważasz, że to śmieszne? Jednego dnia będę dzieckiem pod mamusią spódnicą, a następnego – kobietą, która będzie mogła jechać do swojego mężczyzny w Berlinie. Co za bzdura – zirytowała się. – A co będzie, jeśli nie wytrzymamy tego roku?

Zapadła kłopotliwa cisza.

– Kiedy byłem jesienią w Berlinie – zaczął ostrożnie starszy z braci Janoschek – Bruno aż kipiał z dumy, że chcesz iść na studia. I... – zawahał się – powiedział, że może mogłabyś wybrać uniwersytet w Berlinie...

Oczy Greta rozbłyły.

– Naprawdę tak powiedział?

– Naprawdę.

– Czy chcesz mnie tylko pocieszyć? – nabrała podejrzeń. – Nigdy nie wspomniał o tym w żadnym liście.

– Słowo daję.

Dziewczyna klasnęła w dłonie.

– Wybierałam się na uniwersytet do Wrocławia – ożywiła się. – Ale Berlin przecież niewiele dalej. Moglibyśmy nareszcie być razem. Byłoby cudnie.

– Byłoby cudnie – potwierdził Herbert i odwrócił głowę, żeby nie zauważyła, jak nagle posmutniał.

W tym samym czasie czterysta pięćdziesiąt kilometrów dalej Bruno Janoschek rozpiął się na drewnianym kole jak człowiek Leonarda i kiwnął na chłopaka z obsługi.

– Możesz zakręcić – zawołał.

Pomocnik techniczny podskoczył i zaczął majstrować przy mechanizmie obrotowym, a wtedy Bruno zauważył, że w namiocie, w którym trwała próba przed weekendową premierą, pojawił się ktoś jeszcze. Krępy, przygarbiony mężczyzna w pocerowanym swetrze, który zaplótł ręce na piersiach i przyglądał się, jak Don Alvaro waży w dłoniach noże. Wydawało mu się, że rozpoznaje twarz tego człowieka, ale koło ruszyło

i mógł się jej przyjrzeć dopiero, gdy przez chwilę znów znalazł się w pozycji głową do góry.

Waldo. Klaun na usługach tajnej policji Hitlera.

Trudno go było skojarzyć bez charakteryzacji – krzykliwego makijażu i olbrzymiej kolorowej pizamy, uwielbianej przez tłumy widzów, którzy nie mieli pojęcia, że pod zabawną maską kryje się gnida donosząca na kolegów.

Widok ponurego klauna zaniepokoił Bruna. Czego tu szuka? Widział, że odprowadza wzrokiem każdy nóż rzucany przez Meksykanina. W końcu Alvaro pozostał z pustymi rękami. Bezbronny.

W tej samej chwili Waldo wykonał jakiś gest i do namiotu wpadli dwaj rośli mężczyźni w kapeluszach i długich płaszczach. Podbiegli do Don Alvara. Jeden z nich przewrócił go na arenę, o mało nie łamiąc Meksykaninowi ręki. Sekundę później przycisnął go kolanem do ziemi i próbował założyć kajdanki. W tym momencie na jego plecach wylądował rozwścieczony Paco.

Małpka strąciła tajniakowi kapelusz, rozorała mu pazurami policzek i wbiła zęby w kark. Oprawca Alvara wrzasnął i z trudem strząsnął ją z siebie. Wtedy drugi z tajniaków wyciągnął pistolet i przygryzając język, usiłował trafić uciekającą kapucynkę.

Ale Paco biegł przez arenę slalomem, a kiedy usłyszał trzask oznajmiający, że w magazynku skończyły się naboje, zatrzymał się, stanął na dwóch łapkach i wydał wybitnie szyderyczy małpi jazgot. Po czym czmychnął pod ławki widowni.

– Wyłącz mnie! – krzyknął Bruno do pracownika technicznego, który stał sparaliżowany i zatykał sobie uszy przed hukiem wystrzałów.

Ocknął się dopiero po chwili, zatrzymał mechanizm koła i pomógł chłopakowi stanąć na nogach.

Bruno usiłował opanować zawroty głowy, a kiedy się to udało, zobaczył, jak Alvaro mozolnie, z rękami skutymi za plecami, dźwiga się na kolana. Obaj tajniacy odczekali do tego momentu, a potem z furią zaczęli go bić i kopać, mszcząc się za atak i bezkarność Paco.

Bruna zalała fala wściekłości.

Chwytał jeden z noży leżących na stoliku, uniósł go i w tej samej chwili poczuł silnego kopniaka w tyłek. Odwrócił się. Za nim stał dyrektor cyrku, którego wcześniej nie zauważył. Zbyt mocno kręciło mu się w głowie.

– Co ty chciałeś zrobić, durny szczeniaku? – syknął. – Rzucić nożem w gestapowca?

Incydent odwrócił uwagę tajniaków i Walda, którzy na szczęście nie zauważyli zamiaru Bruna. Ci dwaj w płaszczach chwycili Alvara pod rękę i wyprowadzili z namiotu.

– Czy to wszystko, panie kolego? – dyrektor spytał Walda, ale ten nie zaszczycił go odpowiedzią. Podejrzliwie wpatrywał się w Bruna. Dyrektor podążył za jego wzrokiem.

– A ty, gówniarzu, do mojego biura! – wrzasnął. – W tej chwili!

Popchnął chłopaka przodem. Na trocinach areny krzepły krople krwi Don Alvara, wyznaczające szlak do wyjścia, tak jak na mapie wyznacza się granice.

– Ten kop w dupę był dla twojego dobra – powiedział dyrektor, gdy zamknął drzwi gabinetu. – Zdajesz sobie sprawę?

Ale mina Bruna nie wydawała się tego potwierdzać.

– Co ci do łba strzeliło? Gdybyś rzucił tym nożem, już byłoby po tobie. Zastrzeliliby cię na miejscu.

Chłopak kiwnął głową.

– Dziękuję, panie dyrektorze. I przepraszam. Przez chwilę zaślepiła mnie biała gorączka. Gdyby nie pan dyrektor...

– Masz szczęście – szef cyrku wytarł spocone czoło i kark chustką wyciągniętą z kieszeni spodni.

– Za co aresztowano Don Alvara? – spytał Bruno.

Dyrektor zamachał rękami w powietrzu.

– Za głupotę. Łaził na jakieś zebrania przeciwników Hitlera przy Hermannplatz. Byłeś tam z nim? – spytał podejrzliwie. – Waldo mógł go śledzić, więc jeśli widział was tam razem...

– Parę razy jeździłem z Don Alvarem na Hermannplatz, ale zawsze czekałem na niego w restauracji na dachu Karstadt. Byłem pewien, że chodziło o schadzki z kobietami.

– Oooo tak – sapnął dyrektor. – Nasz Alvaro to przedstawiciel wybitnie jurnego narodu.

– Nie wiedziałem, że Meksykanie... – zaczął Bruno, ale urwał na widok miny dyrektora.

– Jacy Meksykanie?! Alvaro to Cygan. Czeski Cygan. Z Moraw. Wiedziałaś o tym?

– Nie – odparł zaskoczony chłopak.

– Ja też nie. Waldo to wywuchał. Gestapowski pies – dyrektor splunął z pogardą. – To mu ułatwiło sprawę. Cyganie według przepisów rasowych to tacy sami podludzie jak Żydzi.

Kawałki układanki w głowie Bruna zaczęły wskakiwać na swoje miejsca. Teraz zrozumiał, dlaczego Alvaro nagle zmienił zdanie i pomógł mu w Opolu, gdy dowiedział się, że ojciec braci Janoschek jest Czechem. I dlaczego „Meksykanin” nie miał trudności z rozumieniem polskiego.

– Parszywe czasy – dyrektor ciężko opadł na fotel za biurkiem. – Nasz cyrk zawsze był domem ludzi utalentowanych. Nigdy nie było ważne, kto skąd pochodzi i jakie ma poglądy. Ważne było to, co umie. A teraz? Najważniejszy na arenie jest klaun, który należy do partii nazistowskiej. Na dodatek marny klaun. Tymczasem mistrz rzucania nożem, jeden z najlepszych w Europie w swojej dyscyplinie, trafi do obozu koncentracyjnego, bo myślał nie tak, jak powinien, i urodził się nie tam, gdzie powinien.

Bruno drgnął na dźwięk nazwy, której Alvaro zabronił mu kiedykolwiek używać. Milczał.

– Zastąpisz go? – spytał nieoczekiwanie dyrektor. – Dasz radę?

Chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć.

– No tak – dyrektor nie czekał na rozstrzygnięcie jego dylematów. – Nie jesteś pewien – westchnął ciężko. – Masz czas do jutra. O ósmej rano egzamin. Na arenie.

Tej nocy Bruno nie zmrużył oka.

Lojalność wobec Alvara szarpała się w nim z pokusą wielkiego awansu. Perspektywa kariery walczyła z lękiem o los człowieka, który go wszystkiego nauczył. Radość z jutrzejszej próby ścierała się z obawą, czy jej sprostą.

O świcie doszedł do wniosku, że zda egzamin dla Alvara. On nie pozwoliłby mu się wahać.

Rano nie był w stanie niczego przełknąć, ale zagotował na kuchence spirytusowej wielki garnek wody, zaparzył mocnej kawy, a resztę wrzątku wlał do miednicy, do której wsypał garść ziół. Odczekał, aż puszcza kolor, i uzupełnił zimną wodą. Przez kwadrans trzymał dłonie zanurzone w kąpieli, tak jak to robił mistrz przed występami, relaksując stawy i szukając w tym czasie równowagi ducha. Wreszcie je wyjął, osuszył ręcznikiem, zaplótł i wygiął palce.

Żadnego trzasku. Żadnego drżenia. Dłonie działały jak dobrze naoliwiony mechanizm. Ubrał się, spakował najlepiej wyważone noże i ruszył do namiotu widowisk.

Komisja już czekała.

Dyrektor w trenczu zarzuconym na ramiona palił grube cygaro i sprawdzał na zegarku przytroczonym do złotego łańcuszka, czy Bruno nie obraził go choćby parosekundowym spóźnieniem. Upewniwszy się, że nie – skinął na jednego z żonglerów, który w cyrku pracował od początku świata.

– Najpierw pięć rzutów na pół obrotu rękojeścią do przodu – zakomenderował żongler. – Odległość trzy metry. Skupienie dziesięć centymetrów.

Bruno stanął w wyznaczonym miejscu, odnalazł punkt podparcia dla wysuniętej do przodu lewej nogi i chwilę prawdy, w której wypuszcza się noże tak, aby nie chybiły celu. Ta sama siła rzutu, ta sama kombinacja szybkich ruchów.

Usłyszał brawa dyrektora i kolejne polecenie:

– Metr dalej, ostrzem do przodu. Trzy rzuty. Skupienie co dziesięć centymetrów od lewej do prawej.

Wykonał bezbłędnie.

Dyrektor głośno wyraził uznanie, zadowolony, że numer nie spadnie z afisza, i kiwnął na stojącą z boku *senioritę* Inez. Miała szarą twarz i oczy podkrążone od płaczu. Stała wyprostowana przy drewnianym kole.

– Sześć rzutów – oznajmił żongler. – Trzy z jednej strony, trzy z drugiej. Technika mieszana.

Inez nawet nie mrugnęła, gdy pierwsze ostrze utkwilo w desce kilkanaście centymetrów od jej lewego policzka. Bruno poczuł, jak zalewa go fala radości, i wtedy usłyszał dziwny dźwięk. Mimowolnie spojrzął w jego kierunku.

Na ławce w pierwszym rzędzie widowni stał Paco. Skrzeczał po swojemu, ale tym razem cicho i jękliwie. W jego oczach malowała się rozpacz. Przednie łapki złożył tak, jakby modlił się o powrót Alvara.

Bruno odwrócił głowę poruszony i posłał w kierunku Inez kolejny nóż, który odbił się od koła i spadł na arenę. Zapanowała cisza, którą uszanowała nawet przerażona małpka.

Chłopak wziął głęboki oddech, ale zanim wrócił do egzaminu, sprawdził ręce tak, jak to zalecał Don Alvaro. Wyprostował je przed sobą najdalej, jak się da, i powoli unióśł na wysokość oczu.

Trzęsły się jak osika na wietrze.

Muzyka wytwarzana przez podwórkowego katarzyniarza w połatany fraku i cylindrze zawsze nastrajała Gretę optymistycznie. Przełożyła do drugiej ręki kankę z piwem, które niosła dla ojca z gospody Cimbollka przy Bleicherstrasse, i przystanąła, aby się nasłuchać. Zamknęła oczy, odwróciła twarz do słońca, które operowało coraz śmieiej, i trwała tak aż do momentu, gdy usłyszała nieprzyjemny ostry dźwięk zagłuszający melodię.

No tak. Szlifierz. Gość, który na Zaodrze miał stałą wizę pobytową. Gdy tylko usłyszał katarzynkę i zobaczył gromadzących się przy niej ludzi,

rozkładał swój stojak z kamiennym kołem i głośno zachwalał ostrzenie narzędzi domowych. Klienci pojawiali się natychmiast. Muzyka jest przyjemna, ale chleba nią nie ukroisz. Nożem tak.

Pisk szlifierki sprawił, że Greta skrzywiła się z niesmakiem i ruszyła w stronę kamienicy przy Kräuterei, w której mieszkała od urodzenia.

Podwórze było pełne wiosny. Na parapetach otwartych okien wietrzyły się pierzyny, starcy wygrzewali się na ławce, dzieci z krzykiem biegły za fajerkami toczonymi po chodniku za pomocą wygiętych prętów. Nawet psy czekały inaczej niż wtedy, gdy ostrzegały przed złodziejami.

Odgarnęła włosy, które przylepiły się jej do czoła, i wtedy zobaczyła Bruna.

Stał przed drzwiami ich domu, ubrany w eleganckie szare spodnie, nowe półbuty, jasną koszulę i sweter bez rękawów w drobne zielono-granatowe romby.

W pierwszej chwili zamarła z zaskoczenia, które niemal natychmiast ustąpiło miejsca entuzjastycznej radości. Uważając, aby nie wylać piwa, podbiegła, postawiła kankę na ziemi i rzuciła mu się na szyję.

Objął ją mocno, ale to nie powstrzymało drżenia.

– Myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę – szepnęła z przejęciem wtulona twarzą w jego sweter, jakby wełniany wzór był kratkami konfesjonału.

– Już dobrze – powiedział. – Jestem.

Odsunęła się na kilka centymetrów, upewniając się, że to prawda, i znów do niego przylgnęła.

Sąsiadki, od dłuższego czasu wyczekujące w oknach na rozwój sytuacji, osłoniły dłonią oczy, aby lepiej widzieć.

Takie sceny znały tylko z kina. Ona pocałowała go w usta, on się spleśnił, a potem, żeby ukryć skrępowanie, podał jej paczkę ciastek opakowaną w firmowy papier cukierni Gebela i przewiązaną szpagatem z pętelką na palec. Greta uśmiechnęła się rozradowana, znów go pocałowała i ujęła pod ramię. Sięgnął po kankę z piwem i obydwójce zniknęli w sieni, prowokując pytania, jakie zawisły nad pierzynami.

Rodzice dyskretnie zniknęli w kuchni, zostawiając ich samych.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę – wyznała Greta, gdy usiedli na krzesłach przy okrągłym stole nakrytym koronkową serwetą. – Dostałeś urlop czy cyrk Buscha będzie zaraz występował w Opolu?

– Z cyrkiem koniec – odparł Bruno.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Dyrektor mnie wylał. Gestapo aresztowało Alvara i pryncypał liczył, że go zastąpię. Ale podczas egzaminu zaczęły mi się trząść ręce. Najpierw jeden z noży upadł na arenę, a potem asystentka uciekła z koła, bojąc się, że ją skaleczę, albo jeszcze gorzej.

– Aresztowali Alvara?

Bruno smutno pokiwał głową.

– Za co?

– Z ustawy rasowej i za działalność antypaństwową. Jeden szpicel dopatrzył się, że jest Cyganem, a nie Meksykaninem, i chodzi na jakieś nielegalne zebrania.

Twarz dziewczyny wykrzywił grymas gniewu i oburzenia.

– Straszne – uznała. – Podobnie jak to, że po prawie trzech latach wyrzucono cię z powodu jednego chybionego rzutu.

– Temu się akurat nie dziwię – stwierdził Bruno. – Wyobrażasz sobie takie coś podczas występu? Widzowie mogą podziwiać i oklaskiwać tysiące udanych rzutów nożem, ale żaden z nich nie zostanie im w pamięci. Zapamiętają tylko ten, który się nie udał. Takie jest prawo publiki. Tu nie ma miejsca na błąd.

– Co zamierzasz? – w głosie Grety radość z powrotu Bruna mieszała się z troską.

– Jeszcze nie wiem. Za szybko się to wszystko wydarzyło. Pewnie poszukam jakiejś pracy.

Milczała, uznając, że nie wypada zapytać o strach przed ludźmi „Flinka”.

– Pewnie się zastanawiasz, co teraz zrobią bandziory z Zaodrza? – wyręczył ją Bruno.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie martw się – powiedziała. – Wymyślimy coś.
- My? – uśmiechnął się.
- My – potwierdziła. – Teraz liczymy się tylko my. Mam nawet pewien pomysł.

Topola była martwa, dlatego żaden z noży rzucanych przez Bruna nie robił jej krzywdy. Rosła na polanie nad Odrą, przy ścieżce prowadzącej wzdłuż rzeki w stronę Zakrzowa. Wokół nie było żywej duszy, dlatego chłopak mógł rozłożyć na trawie swoje akcesoria przywiezione z Berlina i urządzić Grecie prywatny pokaz. Był trochę niezadowolony, że dziewczyna, zamiast podziwiać jego zręczność i kunszt, bardziej interesuje się techniką i fizyką rzutu, ale i tak dał z siebie wszystko.

- Doskonale – oceniła, gdy skończył, jakby to ona go teraz egzaminowała. – Właśnie na coś takiego liczyłam.

Spojrzał na nią, nie bardzo rozumiejąc, co ma na myśli.

- Na co liczyłaś?

- Że jesteś taki dobry. Posłuchaj. Mam taki plan: zamiast się kryć, przemykać opłotkami i oglądać za siebie, czy nikt na ciebie nie poluje, proponuję ci urządzić huczne powitanie na Zaodrze.

Teraz już zupełnie nie rozumiał.

Greta sięgnęła do torby, do której spakowali kanapki i wodę sodową, wydając z niej zrolowany arkusz papieru.

- Zobacz, czy taka treść anonsu ci odpowiada?

- Anonsu? – rozwinął rulon i przeczytał głośno: „W tę sobotę o godzinie 17.00 na błoniach nad Odrą odbędzie się premiera artysty sławnego cyrku Buscha, Bruna Janoschka. Mistrz zaprezentuje publiczności Odervorstadt wyjątkowy pokaz sztuki rzucania nożami. Dla mieszkańców dzielnicy wstęp darmowy”

Popatrzył na nią pytająco.

- Mam się sam oddać w łapy ludzi „Flinka”? Przecież cała banda tam się zleci.

- Taką mam nadzieję.

– Chyba za tobą nie nadążam.

– Bruno – położyła mu dłoń na ramieniu – przy wszystkich niczego ci nie zrobią. A dzięki temu pokazowi zyskasz popularność, która zawsze jest jakąś ochroną. To po pierwsze. A po drugie i najważniejsze: niech zobaczą, co potrafisz. Co ryzykują, jeśli zechcą cię zaatakować. Nie bałbyś się napaść na mistrza rzucania nożem? Bo ja bym się bała.

Piegowaty siedmio-, może ośmiolatek, usiłujący dopchać się do wózka z watą cukrową, odwrócił głowę i automatycznie zrobił kilka kroków w tył. Podobnie jak inne dzieci z Zaodrza znał doskonale tutejszych bandytów i kiedy zobaczył kilkunastu z nich zmierzających w kierunku łąki nad Odrą, przezornie wolał zejść z drogi.

Tak jak przewidziała Greta, przyszli tłumnie.

Dawni ludzie „Flinka”, ale też złodzieje z innych grup i wolni strzelcy, kradnący i rabujący na własną rękę. Plus kilkunastu zwykłych łobuzów, wiecznie podpitych i szukających okazji do bójki. Gdyby policja była mądra – pomyślała Greta – mogłaby przy tej okazji nieźle się obłowić, wypełniając aresztowanymi ze trzy furgony. Ale najwyraźniej stróże prawa oszczędnie gospodarowali sprytem. Albo odwagą. Nie byli mile widziani na Zaodrzu i nie narzucali się tubylcom ze swoją obecnością.

Żulia i szumowiny dzielnicy zbili się w gromadę, jakby przygotowano dla nich specjalny sektor, bo wokół nagle zrobiło się pusto. Mieszkańcy Odervorstadt, którzy bardzo chcieli zobaczyć, co też pokaże młodszy z braci Janoshek, odsuwali się i unikali kontaktu wzrokowego z bandytami. Niejedno ciężkie pobicie zaczęło się od banalnego „na co się gapisz?”

Zwłaszcza że w tłumie lokalnych mętów dawało się wyczuć wyraźną nerwowość. Pewnie wynikała z bezczelności Bruna, który nie tylko ośmielił się wrócić na dzielnicę, gdzie miał wyrok śmierci, ale jeszcze demonstrować tu cyrkowe wygłupy. Chuligani podśmiewali się i rzucali szydercze uwagi, ale tak naprawdę byli beczką prochu. Spragnioną iskry. Wczoraj ograniczyli się do zrywania afiszy zapowiadających występ i wydrukowanych przez Gretę w zakładzie poligraficznym niedaleko

dawnego Regierungsplatz. Wczoraj wystarczył im zapach kleju. Dziś chcieli powąchać krwi.

Bracia Janoschek zdawali się tego nie zauważać. Herbert sprawdzał mocowania podpórek pod trzema szerokimi deskami, na których farbą olejną namalowano kontury ludzkich postaci. Nie miały twarzy. Poza jedną, na której umieszczono wąską kreskę ust i nos rozklepany jak rostbef. Tłum bez trudu rozpoznał w niej „Flinka” i zaczął szemrać, ale w tej samej chwili na łące pojawili się dwaj funkcjonariusze SA.

Przywitali się z bandytami, ściskając im dłonie, a kiedy skończyli, jeden z hersztów dzielnicy ruchem głowy wskazał im braci Janoschek.

SA-mani podeszli do Herberta poprawiającego deski i Bruna, który ubrany w czarne spodnie i trykot tego samego koloru gimnastykował dłonie przed pokazem.

– *Halt!* – wrzasnął jeden z nich, choć bracia nie zamierzali nigdzie uciekać. – Co się tu dzieje?

– Pokaz sztuki cyrkowej – odparł spokojnie Bruno, zerkając na wyższego z SA-manów, który podszedł do niego, uderzając w swoją lewą dłoń drewnianą pałką trzymaną w prawej.

– Zezwolenie jest?! – krzyknął jego kolega i tłum nagle ucichł. SA-mani mieli prawo uznać zgromadzenie za nielegalne i rozpędzić ludzi do domów, nie szczędząc im ciosów pałkami.

Bruno wpadł w chwilowy popłoch, ale odsunął go Herbert, który sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął arkusz opatrzony pieczęciami. Nie po to był urzędnikiem w rejencji, żeby nie przewidzieć takiej sytuacji. Załatwienie papierka u znajomego kancelisty w ratuszu zajęło mu pięć minut.

– Coś jeszcze? – spytał SA-mana, który bez słowa oddał mu zezwolenie i odwrócił się na pięcie, kiwając na kolegę.

Tłum odetchnął.

Bruno, który uznał to za najlepszy moment do rozpoczęcia programu, uniósł ręce do góry, żeby przyciągnąć uwagę.

– Witajcie, przyjaciele! – zawołał. – Dziękuję, żeście przyszli. Długo mnie na Zaodrze nie było, ale chcę wam powiedzieć, że nie zmarnowałem tego czasu. Przez prawie trzy lata byłem w Berlinie, w sławnym cyrku Buscha, gdzie pobierałem nauki u Don Alvara – jednego z najlepszych na świecie miotacza noży. Pamiętacie go?

Kilkanaście osób entuzjastycznie potwierdziło.

– No właśnie – skwitował Bruno. – Dlatego ku chwale mojego mistrza chciałbym dziś wam, sąsiedzi i przyjaciele, pokazać, czego mnie nauczył.

Rozległy się brawa zagłuszone za moment przez gwizdy chuliganów.

Bruno udał, że ich nie słyszy. Sięgnął po pierwszy komplet czterech noży i z szybkością błyskawicy, niemal nie robiąc przerw, po kolei i bezbłędnie wbił je w korpus pierwszego konturu.

Tym razem żulia nie miała szans wygrać z donośnością oklasków.

– A teraz – zawołał Bruno, cofając się o krok z drugim kompletem noży w lewej dłoni i stając naprzeciwko drugiego konturu – jeszcze raz to samo, ale z trzymaniem za rękojeść i pełnym obrotem.

Tłum zawył z zachwytu na widok serii udanych rzutów.

– I wreszcie – oznajmił Bruno, zajmując pozycję przed konturem z namalowaną twarzą – do celu!

– Do celu! – potwierdził głos wydobywający się z kilkudziesięciu gardeł.

Chłopak uniósł nóż w powietrzu i spytał głośno:

– Głowa?

– Głowa! – potwierdził tłum.

Nóż mignął i wbił się tuż nad rozklepanym nosem.

– Serce? – Bruno podkreślił atmosferę.

– Serce!

Ostrze wbiło się idealnie.

– Lewa ręka?

– Lewa! – krzyczał tłum, a Odra niosła głosy po wodzie na drugą stronę miasta.

Po skończonym pokazie Bruno ukłonił się, wyprostował i znieruchomiał, wbijając wzrok w gromadę przestępców. Ci na przedzie

patrzyli na niego twardo i gniewnie, ale z satysfakcją dostrzegł u innych coś, co bardzo pragnął zobaczyć. Przelotne, niemal niedostrzegalne, a jednak wyraźne: respekt, podziw i obawę.

Obok stali dwaj funkcjonariusze SA. Wytrzymali jego spojrzenie z kamiennymi twarzami doświadczonych bandytów.

Wyższy splunął na ziemię i odeszli. A żulia za nimi.

– To był majstersztyk! – oświadczył Herbert tydzień później, gdy jak zwykle w trójkę wybrali się do winiarni braci Prüfer przy Tuchmarkt. Patrzył na Gretę z niekłamanym podziwem, aż poczuła się skrępowana.

– Cieszę się, że się udało – lekko kiwnęła głową. – Ale to też wielka zasługa Bruna.

– Udało się? – oburzył się Herbert. – Od paru dni jest tak: wystarczy, że mój brat wyjdzie z domu, a ludzie go pozdrawiają i ściskają mu rękę na powitanie. Rozumiesz? Ulica go broni. Popularność go osłania. Bandziory pochowały się w swoich szcurzych norach. Greta! Twój pomysł był genialny propagandowo! Żeby się tylko minister Goebbels o tym nie dowiedział, bo zrobi cię swoją zastępczynią.

Dziewczyna popukała się w czoło.

– Żeby ciebie nie zrobił pierwszym amantem kina Trzeciej Rzeszy – odgryzła się. – Ponoć coraz lepiej radzisz sobie na scenie.

– *All the world is a stage* – powiedział refleksyjnie Herbert. Jego brytyjski akcent był bez zarzutu. Nie na darmo wydawał część pensji na lekcje angielskiego.

– Co to znaczy? – chciała wiedzieć.

– Cały świat jest sceną – wyjaśnił. – To Szekspir.

Bruno przysłuchiwał się ich dyskusji, milcząc i popijając rieslinga.

– Duszno tu – powiedział wreszcie. – Trzeba było iść do Siwinnego przy rynku. Tam przynajmniej chłodno, bo w piwnicy.

– Ale drogo – podsumował Herbert.

– Nie stać cię? – młodszy z braci Janoschek uniósł brwi. – Myślałem, że Trzecia Rzesza dobrze płaci swoim wiernym urzędnikom.

– Dałbym ci po mordzie – odparł Herbert. – Ale po tym, jak zobaczyłem, co wyprawiasz z nożem, wolę nie ryzykować – wyznał i wszyscy troje się roześmiali.

Wieczór był wymarzony na spacer.

Opolski rynek w romantycznym świetle latarni wyglądał jak scenografia hollywoodzkiego melodramatu. Młode kobiety w kwiecistych sukniach o oczach zamglonych szczęściem szły pod rękę z przystojnymi mężczyznami w nienaganych mundurach, a wokół pachniało latem.

– To mi śmierdzi wojną – Bruno popsuł nastrój, wskazując grupę oficerów Wehrmachtu okupującą stoliki w ogródku piwiarni. W ostatnich tygodniach przybywało ich w Opolu jak wody w Odrze po ulewnych deszczach. Trwała rekwizycja koni i samochodów, a obywateli Niemiec kierowano do obowiązkowego *Sofortprogramm*, czyli prac przy wzmacnianiu mostów i dróg prowadzących w kierunku polskiej granicy. Przed kilkoma dniami Greta otrzymała wezwanie z lecznicy na badanie kontrolne płuc, ale wróciła z niczym, bo jej lekarzowi odebrano stetoskop, wręczono łopatę i na sześć tygodni wysłano do kopania rowów na potrzeby wojska. Za czterdzieści osiem fenigów za godzinę – szepnęła znajoma pielęgniarka, wywracając oczami z oburzenia.

Na Zaodrze dotarli przed dziesiątą. Herbert pożegnał się i taktownie zostawił ich samych. Przeszli jeszcze kilkanaście kroków, gdy Greta zatrzymała się i przywarła do Bruna całym ciałem.

Od niedawna byli kochankami.

Wszystko odbywało się pośpiesznie w zaroślach nad Odrą, w wiecznej obawie, że ktoś nadejdzie, i z asystą komarów, ale i tak dawało Grecie rozkosz. Czy Brunowi również?

Kończył jak typowy samiec, w milczeniu i z pomrukiem ulgi, ale nigdy nie zwierzał się ze swoich doznań. Brakowało mu wrażliwości starszego brata, który rozczytywał się w poezji, potrafił pięknie mówić i czule pogłaskać po łbie bezdomnego kundla.

Marzyła, że kiedyś z Brunem wynajmą apartament w drogim hotelu, z patefonem, szampanem i dużym łóżkiem. Że będą świece i koronkowa

bielizna zamiast pospolitych majtek wiszących na kostce jej uniesionej nogi jak biała flaga oznaczająca kapitulację. Ale ta wizja czekała na lepszy świat i lepsze czasy.

Przyłgnęła do chłopaka całym ciałem i pocałowała go w usta.

– Dobrze ci było wczoraj nad rzeką?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Chyba czułaś, nie?

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Nie lubisz mówić o sobie, co? Przez ostatnią godzinę w ogóle się nie odezwałeś. Coś cię zmartwiło? Ci żołnierze? Wojna?

Wzruszył ramionami.

– Może trochę.

– Boisz się, że z Herbertem powołają cię do niemieckiego wojska?

– Nie – lekceważąco machnął ręką. – Nas nie wezmą. Herbert mówił, że jesteśmy kategoria trzecia. Pierwsza to Niemcy czyści rasowo, którzy wierzą w Hitlera. Druga to też Niemcy, ale bierni politycznie. A trzecia to ni Niemcy, ni Polacy. Rozwodnieni – jak to mówią ci z SA. *Wasserpolen*. To my. Ludzie, którym żaden niemiecki dowódca nie da do ręki karabinu, bo nie wie, czy przypadkiem nie skierujemy lufy w jego stronę.

– Zatem co cię martwi, Bruno?

– Zamieszanie. Wojna to zamieszanie. Zakazy, nakazy, przepustki, kartki na żywność i godzina policyjna. Wehrmacht ruszy na wschód, a my zostaniemy w państwie, w którym niczego nie będzie wolno. Pozwolą nam milczeć i każą wykonywać polecenia takich bydlaków jak ci od „Flinka”, obecnie wielcy funkcjonariusze SA.

– Nie sądziłam, że jesteś obrońcą swobód obywatelskich.

Bruno nie odpowiedział. Ujął ją pod rękę i skręcili w Kraütereii.

– Mam pewien plan – odezwał się po dłuższej chwili.

Zerknęła pytająco.

– Po tym widowisku nad rzeką przyszło mi do głowy, że może mógłbym zarobić na rzucaniu nożami.

– Co masz na myśli?

– Pokazy. W całych Niemczech. W małych miejscowościach, do których cyrk nigdy nie dojedzie. W dzielnicach, takich jak nasza. Zobacz, ilu ludzi przyszło na Zaodrze. Wystarczyło parę afiszy, a ściągnęli odpustowi sprzedawcy świecidełek, waty cukrowej i pierników. Noże mam, akcesoriów dużo nie potrzeba, a gdyby do tego dołożyć to, o czym ja marzyłem trzy lata temu, czyli naukę rzucania za parę marek... Myślę, że chętnych będzie bardzo wielu.

– Znów chcesz mnie zostawić?

– Tylko na miesiąc. Zamyślam pojechać do Berlina, kupić trochę rekwizytów. Może dyrektor zgodzi się sprzedać mi małpkę Don Alvara. Koledzy zorganizują kilka występów w Berlinie, przywiozę jakieś pieniądze. A potem zobaczymy. Co powiesz?

– Pomysł wydaje się mi się dobry. Pewnie właściciele słynnych cyrków zaczęli tak samo – uśmiechnęła się. – Muszę gdzieś o tym poczytać. Smutno mi tylko, że znów się rozdzielimy.

– Miesiąc minie raz-dwa – zapewnił i tym razem to on ją pocałował.

Paco zniknął.

Tuż po oblanym egzaminie Bruna wybiegł z namiotu cyrkowego i rozplątał się w powietrzu. Klauni, u których mieszkał od czasu aresztowania Alvara, znaleźli tylko meksykańskie kostiumy małpki poszarpane zębami i pazurami. Sombrero Paco zabrał ze sobą, ale porzucił w pobliskich zaroślach.

Nikt go więcej nie widział.

Może znalazł nowego przyjaciela, wpadł pod auto albo umarł ze smutku i starości, bo ponoć miał już trzydzieści lat.

– Waldo podejrzewał, że ty go ukradłeś – powiedział dyrektor, gdy Bruno odwiedził go z ofertą kupna kapucynki. Wcześniej podnajął pokój u znajomego w Kreuzbergu, dał kilka pokazów rzucania nożem w robotniczych dzielnicach Berlina. Odłożył ładny grosz.

Z cyrku pojechał tramwajem na Hermannplatz, zamówił kufel pilznera na dachu Karstadt i oddał się myślom, co robić dalej. Zamierzał

przedłużyć pobyt o kolejne dwa tygodnie i zorganizować tournée po peryferiach stolicy Trzeciej Rzeszy. Ale bez Paco stracił cały zapał do tego pomysłu.

Wracam – postanowił, wycierając czoło z potu. Ostatnie dni sierpnia 1939 roku były wyjątkowo upalne.

Decyzja podniosła go na duchu.

Przez trzy lata zdążył przywyknąć do rozłąki z Gretą i bratem, ale wtedy przynajmniej miał ich listy. Teraz od miesiąca nie miał pojęcia, co się dzieje w Opolu, a kiedy człowiek nie ma wiedzy, to zastępuje ją przypuszczeniami.

Na Zaodrze był już raczej bezpieczny. Po pokazie lokalni bandyci nie szukali z nim zwady. Zresztą po co? Bo „Flink” kiedyś tam wydał wyrok? „Flink” od trzech lat siedział, a trzy lata w świecie przestępczym to epoka. Tu żyje się szybko i krótko. Umiera młodo. Od policyjnej kuli, noża konkurencji, pałki strażnika albo szydła wbitego w serce przez współwięźniów. Po trzech latach mało kto o człowieku pamięta. Jego miejsce na ulicy dawno jest zajęte, a prawo, jakie ustanowił, podlega zmianie niczym ustawy Reichstagu pisane pod dyktando nowego dyktatora. A nagroda za głowę Bruna? Z czego niby „Flink” miałby ją wypłacić? Z więziennych wszy? Cała dzielnica widziała jego matkę, która, żeby przeżyć, handlowała kradzionymi rzeczami, rozkładając na trotuarze Breslauerplatz wyliniałe kołnierze z lisów, pocerowane swetry i buty, które wyglądały, jakby przeszły pół świata.

Wyrok na Bruna był już tylko wzmianką historyczną. Równie nieważną jak średniowieczna lokacja Opola dokonana przez prawnuka jakiegoś tam polskiego króla, którego na Zaodrze kojarzy pewnie tylko Greta.

Tęsknił za nią.

Ucieszył się na myśl, że wkrótce się zobaczą i poczuje ciepło jej ciała. Wracam – powtórzył w myślach. Pokazy równie dobrze mogą urządzić w rejencji górnośląskiej. Nawet bez Paco.

Przewijała z matką motek wełny, gdy usłyszały pukanie do drzwi.

Miała ręce skrępowane kosmatą nicią, więc matka wstała z krzesła i poszła otworzyć. W progu stał rozpromieniony Bruno, który ucieszył się jeszcze bardziej na widok jej kompletnie zaskoczonej miny.

– Nie spodziewałaś się, co? – spytał.

Greta pokręciła przecząco głową.

Sprawiła wrażenie kompletnie oszołomionej. Podniosła się z krzesła i stała nieruchomo z rękami uniesionymi jak do błogosławieństwa i spętanymi wełną.

Bruno nie tracił czasu.

Sięgnął do kieszeni, wyjął niewielkie czerwone pudełeczko. Widząc, że dziewczyna nie może się ruszyć, otworzył je i umieścił na otwartej dłoni, którą podsunął w jej kierunku.

– Greto... – zaczął, gdy jej matka zaczęła szlochać. Moment był naprawdę wzruszający. Jak w kinie.

Dziewczyna zbladła z wrażenia, a jej usta zaczęły drżeć. Zaciśnęła je, a potem wzięła głęboki oddech.

– Nie mogę tego przyjąć – oświadczyła nie swoim głosem.

Uśmiech na twarzy Bruna zgasł w ułamku sekundy.

– Dlaczego? – spytał zaskoczony.

Greta, pomagając sobie podbródkiem, odsunęła wełnę z lewego nadgarstka i odwróciła dłoń w stronę Bruna.

Na serdecznym palcu lśnił pierścionek.

– Bo już jeden przyjąłam przed tygodniem. Wychodzę za mąż za Herberta.

ROZDZIAŁ 4.

Oppeln,
lato 1939 – lato 1940 roku

Membrany szczekaczek zawieszonych na latarniach Hindenburgstrasse trzęsły się z oburzenia.

Otaczały je gromady ludzi zadzierających głowy i wpatrzonych w paszcze głośników, jakby do słuchania służyły oczy, nie uszy.

Wewnątrz urzędzeń krzyczał Hitler.

Grzmiał o śmiertelnym zagrożeniu, jakie pokojowej Trzeciej Rzeszy stworzyła prąca do wojny, agresywna i wroga Polska. Wczoraj jej oficerowie, nawet nie zdejmując mundurów, dokonali bandyckiego napadu na niemiecką radiostację w Gliwicach. Dlatego dziś nad ranem Führer został zmuszony do obrony swojego państwa i wydał rozkaz o przekroczeniu granic Polski.

Ludzie zgromadzeni przed głośnikami słuchali w napięciu. Z opolskiego ratusza wypadło kilkunastu wiwatujących mężczyzn ze swastykami w klapach marynarek, ale ich euforia nie była w stanie pokonać milczenia i odpowiedzieć na niepewność oraz pytanie, które zadawał sobie każdy słuchacz przemówienia Hitlera: co będzie dalej?

Ulica wiedziała, że z żadnej wojny nie wynika nic dobrego.

Jedynie dobrze zbudowany młodzieniec w poplamionych spodniach i wymiętej marynarce z naderwanym rękawem wydawał się zupełnie obojętny wobec wydarzeń na świecie. Miał potargane blond włosy, naderwane ucho i przypominający mapę Morza Kaspijskiego siniec na lewym policzku.

Poprzedniego dnia upił się, wdał w awanturę z policją, kiedy usiłował dostać się do siedziby rejencji, gdzie rzekomo pracował jego brat. Chyba nieźle oberwał. Rwała go lewa strona twarzy, a kiedy językiem dotykał dziąseł, czuł, że rusza mu się kilka zębów. Pamiętał, że uciekł glinom

na wyspę Bolko, gdzie musiał spędzić noc, bo na sfatygowanym ubraniu nadal pozostało sporo trawy.

Wyminął slalomem gromadki słuchaczy, przeciął rynek, w dwie minuty pokonał Oderstrasse i znalazł się na moście prowadzącym na Zaodrze. Chodnikiem po drugiej stronie ulicy ciągnął w stronę centrum hufiec wyrostków szukających wrażeń.

– Słyszałeś, Janoschek? – zawołał jeden z nich. – Wojna!

Ale Bruno nie zareagował.

Odszukał w kieszeni klucz od mieszkania i ostrożnie otworzył drzwi. Ojca nie było w domu, o czym świadczył brak jego jedynej pary butów. Matka czekała w przedpokoju. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, podeszła i wymierzyła mu siarczasty policzek. Za swoje zmartwienie, nieprzespaną noc i lęk.

Odwróciła się i zniknęła w kuchni.

Spał do południa.

Obudziły go ból głowy i mdłości, ale o wiele gorsze było wspomnienie wczorajszej rozmowy z Gretą.

– Jak to wychodzisz za męża za Herberta? – wydukał w odpowiedzi na jej oświadczenie.

– Nie zrozumiesz tego – odparła.

– Bo co? Bo jestem głupszy od mojego kulturalnego i wygadanego brata?

Spojrzała na matkę, szukając u niej ratunku, ale ta podeszła, zsunęła jej z rąk wełnę i bez słowa wyszła z pokoju.

Bruno zacisnął powieki i położył dłonie na twarzy. Powoli przesunął je w dół, jakby chciał zmazać minę, którą wywołały słowa Grety.

– Dobrze – udał uspokojonego, choć serce waliło mu jak po serii ćwiczeń na drążku. – Dobrze – powtórzył, kiwając głową. – Niech będzie. Wybrałaś Herberta, wyjdź za Herberta. Szkoda tylko, że już ci dał pierścionek, bo bym mu sprzedał. Akurat mam na zbyciu – dodał szyderczo.

– Wiedziałam, że nie zrozumiesz – Greta wbiła wzrok w ścianę.

– Nie! Nie rozumiem – na twarzy Bruna pojawił się drapieżny grymas. – Nie rozumiem tych wszystkich listów, czułych słówek, zapewnień o miłości. Jak mogłaś tak kłamać w żywe oczy?

– Nie kłamałam. Ja ciebie... Jesteś mi bardzo drogi.

– O, tak. Właśnie się dowiedziałem, jak bardzo.

– Bruno, musiałam... – powiedziała i bezwiednie położyła dłoń na brzuchu, który przeszył gwałtowny ból.

– Jesteś z nim w ciąży?

Spojrzała przestraszona.

– Jak możesz?

– Co jak mogę? Jak mogę myśleć, że mnie zdradziłaś? W końcu to, że wychodzisz za mojego brata, to żadna zdrada, nie? Wszystko zostaje w rodzinie.

Greta przez chwilę biła się z myślami. W końcu wyszeptała:

– Gdybyś tylko chciał, moglibyśmy...

– Co moglibyśmy?! – Bruno tracił panowanie nad sobą. Od eksplozji dzieliły go sekundy. – Moglibyśmy nadal chodzić w krzaki nad Odrę? W parzyste dni z jednym braciszkiem, w nieparzyste z drugim. Kim ty jesteś? – podniósł głos. – Kurwą? A może mało ci jednego kutasa i stąd to wszystko?

Twarz Greta w sekundę zrobiła się purpurowa.

– Nie zrozumiemy się dzisiaj, Bruno – powiedziała, gdy udało jej się opanować zniechęcenie. – Porozmawiamy, jak ochłoniesz.

– Nie – syknął. – Nie porozmawiamy. Ani jak ochłonę, ani jeszcze później, ani nigdy. Rozumiesz?

Zbliżył do niej twarz.

– Pamiętaj, żebyś się nie ważyła kiedykolwiek do mnie odzywać.

Odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Nie wejdiesz, człowieku – powiedział kwadrans później woźny w urzędzie rejencji, zastawiając drzwi, w których sam ledwo się mieścił. –

Nic nie poradzę, że pilna sprawa rodzinna i musisz się natychmiast widzieć z bratem. Brat jest teraz na naradzie wagi państwowej.

– Kiedy się ta narada skończy? – Bruno doszedł do wniosku, że nawet w furii wywołanej przez Gretę nie pokona stu dwudziestu kilogramów ciecicia. Tym bardziej że przyglądali się mu policjanci stojący przed Regierungsamt.

– A bo ja wiem? – olbrzym wzruszył ramionami. – Skończy się, jak się skończy.

Zamknął drzwi i ostentacyjnie przekręcił klucz.

Bruno miał wrażenie, że świat wokół niego wiruje jak cyrkowe koło do pokazów rzucania nożami. Na sztywnych nogach, które z trudem utrzymywały go w pionie, dotarł do ogrodu pobliskiej restauracji. Ciężko opadł na krzesło.

Wąsaty kelner obrzucił go krytycznym spojrzeniem, w którym kryło się pytanie o wiek, ale nie powiedział nic. Chłopak wyglądał na zdesperowanego, a tacy zazwyczaj dużo piją i zostawiają wysokie napiwki. Poza tym zbliżała się wojna. Nie wiadomo, czy jutro do Opola nie wkroczą hordy polskich barbarzyńców. Trzeba korzystać z okazji.

Uśmiechnął się przymilnie, ukłonił i dwie minuty później przyniósł pierwszego sznapsa z obowiązkową przekąską. Wybrał dla gościa indyka w maladze, ale chłopak nie tknął jedzenia. Wychylił kieliszek wódki, zamówił następny i rozejrzał się dookoła.

Wszędzie pełno było Greta i Herberta.

Przy Hafenstrasse, którą w trójkę spacerowali wzdłuż kanału. Nad Stawkami Zamkowym, gdzie jeździli na łyżwach. Na uliczkach Pasieki, na których we wrześniu zbierała kasztany.

Zapadł w letarg, z którego wyrwało go pytanie kelnera:

– Nie za ostre tempo, młody przyjacielu?

Bruno spojrzął na jego biały kitel, który rozmywał się w alkoholowej mgłę, i wyglądało to tak, jakby w powietrzu wisiąca sama głowa z wąsami. Przyjrzał się jej, marszcząc brwi, bo za chwilę się rozdziwiła.

– Ostatni – wybełkotał. – Ostatni i do domu.

Dziesięć minut później znów zastukał do urzędu, ale woźny tylko pogroził mu pięścią zza szyby.

– Muszę się widzieć z bratem, cieciu pierdolony! – wrzasnął, kopiąc w drzwi, gdy nagle pojawili się policjanci. W tym momencie film stracił ostrość. Z przebłysków zapamiętał wymianę ciosów, policyjne czako toczące się po trotuarze, potem jakiś szalony bieg po zaroślach i gałęzie smagające go po twarzy.

Matka gotowała *eintopf*. Kartofle, cebula, marchew, seler, trochę wołowiny i boczku. Od ostrej woni wywaru Bruno poczuł mdłości i oparł się o framugę drzwi.

– Wcześniej zaczynasz – stwierdziła gorzko, nie odwracając się w jego stronę. Siedemnaście lat i już pijany jak świnia.

– Wybacz, *Muti* – nagle zrobiło mu się przykro. – To przez to, że chciałem się zaręczyć i... – głos uwiązał mu w gardle.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Co się stało?

– Gdzie jest Herbert? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– W pracy. Zostawili ich dziś na całą noc. Wojna wybuchła. Wiesz o tym?

– Wojna to dopiero wybuchnie – odparł.

Brat wrócił następnego ranka. Był blady i nieogolony. Wyglądał, jakby nagle postarzał się o dziesięć lat. Jego sylwetka straciła pion, ruchy sprężystość, a twarz urok, którym zwykle promieniował. Tak wyglądają ludzie na progu życiowej katastrofy.

Wszedł do pokoju, który zajmowali razem z Brunem, i w sekundę wszystko zrozumiał.

– Już wiesz – powiedział, odkładając teczkę i zdejmując marynarkę.

Bruno nie odpowiedział. Stał przy oknie, pociemniały od gniewu jak chmura gradowa. Przeniósł wzrok na noże ułożone na etażerce.

Herbert podążył za jego wzrokiem.

– Chcesz mnie zabić? – spytał. – Śmiało. Może tak byłoby lepiej.

Bruno oprzytomniał.

Kilka razy w milczeniu przeszedł wzdłuż pokoju, omijając nieruchomego Herberta. Wszystko się w nim gotowało, dusiło i kipiało niczym w dzisiejszym „jednogarnkowym” daniu matki. Zdrada, żal, urażona ambicja, przykrość, gorycz i złość. Ale najważniejsze było siedemnaście wspólnych lat nierozłącznych braci Janoschek.

Zatrzymał się naprzeciwko Herberta i spojrzał mu w oczy. Brat nie uciekł wzrokiem.

– Czego chcesz, Bruno? – spytał. – Wyjaśnij? Przepraszam?

– Prawdy. Długo to trwa? Od kiedy mnie oszukujecie?

– To nie tak.

– A jak?

Herbert milczał.

– Jesteś moim bratem. – Bruno wycelował w niego palec. – Nikomu nie ufałem tak jak tobie – miało to zabrzmieć jak oskarżenie, ale okazało się skargą.

– To wszystko, co zaszło podczas twojej ostatniej nieobecności, nie powinno się wydarzyć – Herbert był coraz bardziej przygnębiony. – Wiem, jak bardzo cię zawiodłem. Ale proszę, nie odwracaj się ode mnie. Życie bym za ciebie oddał – dodał ze łzami w oczach. – To wszystko, co mogę powiedzieć.

Bruno głośno wypuścił powietrze. Słabość brata zawsze budziła w nim współczucie.

– To jej wina, prawda? – raptem znalazł wyjaśnienie, którego potrzebował. – To przez nią?

Herbert przełknął ślinę.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytał.

– Bo Don Alvaro zawsze powtarzał: jeśli suka nie da, pies nie weźmie. To ona cię uwiodła, tak?

Brat pokręcił głową, co równie dobrze można było uznać zarówno za zaprzeczenie, jak i wyraz zakłopotania.

- To wszystko nie powinno się zdarzyć – powtórzył smutno.
- Ale się zdarzyło – skwitował Bruno. – I nic już tego nie cofnie.

Ospowaty pajęczarz, specjalizujący się w kradzieżach prania ze strychów, stanął na rogu Sebastians Platz i nonszalancko oparł się o latarnię.

Przyszedł zbyt wcześnie. Przed miniaturowym kościołem, wciśniętym między dwie kamienice, stało zaledwie kilka staruszek, które zawsze przychodzą przed czasem. Przejrzał się w szybie pobliskiego sklepu, wyjął grzebień z tylnej kieszeni spodni, napluł na niego i przeczesał włosy. W końcu szykowała się uroczystość. Trzeba jakoś wyglądać.

Ferajna z Zaodrza jeszcze nie ściągnęła, chociaż na ślub Herberta Janoschka z Gretą Gajdą wybierali się wszyscy. Nie było wśród nich entuzjastów sakramentu małżeństwa, ale chcieli zobaczyć coś znacznie ciekawszego. Upokorzenie frajera, któremu rodzony braciszek podprowadził pannę.

Tylko że Bruno nie przyszedł.

Herbert czekał na niego dłużej, niż wypadało. Znosił zniecierpliwione spojrzenia rodziców i niepokój przyszłych teściów. Irytację księdza i szmery gości stojących w ławkach. Po jednej stronie głównie urzędnicy rejencji. Niezadowoleni, że muszą przebywać w kościele, w którym do niedawna odprawiano msze po polsku i modlił się konsul Rzeczypospolitej. Po drugiej głównie bandyci z Odervorstadt. Niezadowoleni z powodu nieobecności młodszego z braci Janoschek.

Wreszcie księdzu puściły nerwy.

Nie oglądając się na pana młodego, gniewnym gestem wydał polecenie ministrantowi, a ten uniósł uchwyt, do którego przymocowane były cztery liturgiczne dzwonki. Potrząsnął nimi. Po chwili dołączyły organy.

W tym samym czasie w gospodzie *Zum weissen Ross* na Przedmieściu Odrzańskim Bruno Janoschek wysupłał z kieszeni garść fenigów, rozsypał je na blaszanym kontuarze zalany piwem i usiłował odliczyć właściwą sumę. Nie było to łatwe. Monety umykały spod palców i ślizgały się niczym łyżwiarze na zamrożonym Stawku Zamkowym. Baczenie

obserwowany przez właściciela lokalu chłopak zdołał wreszcie zbić je w gromadę, nakrył dłonią i przepawił na drugą stronę baru.

– Jeszcze jednego sznapsa – wychrypiał.

Szef Białego Konia skrzywił się z niesmakiem, obrzucając mokre monety niechętnym wzrokiem.

– Mogę dać ci małe piwo. Za mało masz pieniędzy, cyrkowiec.

– Cyrkowiec? – podchwycił jeden z podpitych żołnierzy siedzących przy stoliku obok kontuaru. Mimo wczesnej pory gospoda była pełna gości, wrzawy, stukania kufli i dymu papierosów. Świątowano wygraną wojnę z Polską, którą Wehrmacht rozdeptał w miesiąc, choć zdaniem niektórych i tak trwało to za długo.

– Pokaż jakąś sztuczkę, cyrkowiec – zapalił się jeden z żołnierzy, rzucając na kontuar monetę o wiele cięższą od fenigów.

Bruno potrzebował dłuższej chwili, aby ułożyć to wszystko w całość.

– Może pan przynieść z kuchni jakiś nóż? – spytał mężczyznę za barem.

– Chcesz nas zarżnąć? – zawołał wojskowy, a jego kumple ryknęli śmiechem.

– Chcę wam pokazać, jak się rzuca do celu.

Właściciel gospody ocenił, na ile mocno chłopak trzyma się na nogach, po czym wyszedł na zaplecze i wrócił z wielkim nożem do szatkowania kapusty. Parę miesięcy temu słyszał o pokazie nad Odrą i wiedział, że Bruno potrafi wyczyniać cuda. Pomyślał, że przyda się do reklamy lokalu.

– W tamtą belkę – wskazał palcem, a siedzący obok goście przezornie odsunęli się wraz z krzesłami.

– Rzucaj, cyrkowiec! – dopingowali żołnierze. – Pokaż, co potrafisz.

Chłopak przekładał nóż z ręki do ręki, raz trzonkiem do przodu, raz ostrzem. Wreszcie wybrał najlepszą opcję. Cofnął się o pół kroku, odszukał moment prawdy i rzucił.

Nóż minął belkę o dobre piętnaście centymetrów. Uderzył w starą lampę, tłukąc klosz i rozlewając naftę. Knajpę ogarnął jej ostry zapach i głośny, szyderczy śmiech.

– Tak to i ja potrafię! – krzyknął kapral Wehrmachtu i podtrzymał okazały brzuch trzęsący się z uciechy.

Właściciel *Zum weissen Ross* nie podzielił powszechnej wesołości.

– Jazda stąd! – syknął do Bruna. – I żebym cię tu więcej nie widział, śmierdzielu.

Mroźna noc po wczorajszych roztopach pokryła trotuary Zaodrza warstwą lodu.

Bruno drobił kroki jak baletnica, starając się utrzymać równowagę, co przy stanie chodników i jego zelówek nie było łatwe. Wracał z nocnej zmiany w kolejowych warsztatach naprawczych. Pracę załatwił mu ojciec, jeszcze jesienią, i chyba tylko z uwagi na starego Janoschka jeszcze go z niej nie wyrzucono na zbity pysk. Spóźniał się i często zalatywał alkoholem.

Wczoraj też.

Jakoś przetrwał noc, choć majster nie dopuścił go do tokarki i kazał czyścić ze smaru podwozia wagonów dowożących zaopatrzenie wojskom stacjonującym w Polsce. Rano, po skończeniu pracy, powlókł się do umywalni, gdzie przeszedł go dreszcz na widok własnego odbicia w lustrze. Trząśł się ze zmęczenia i kaca.

Kuląc się z zimna, ruszył do domu. Myślał tylko o jednym: ukrytej w szafie butelce piwa. Od wielu tygodni krył się przed rodzicami. Przykładowie oddawał matce całą wypłatę, a pił za to, co dorobił na boku. Jeśli przeholował – spał na strychu, byle nie włączyć rodzicom w oczy. Był pewien, że świetnie się kamufluje.

Minął most, znalazł się na Breslauerplatz i nagle stanął twarzą w twarz z Gretą, która właśnie wychodziła zza rogu Kräuterei.

– Witaj, Bruno – powiedziała cicho, patrząc na niego z lękiem. Domyślił się, że to z powodu jego wyglądu, a nie obawy, co mógłby jej zrobić.

Nie odpowiedział.

Od dawna nie widywał jej na Zaodrzu. Pewnie była u rodziców, a teraz wraca na tamtą stronę miasta. Na Oderstrasse, gdzie po ślubie wynajęli

z Herbertem niewielką garsonierę.

– Bruno – znów się odezwała. – Możesz mnie nienawidzić. Rozumiem. Ale proszę cię nad wszystko, w imię dawnej przyjaźni: nie pij. Jesteś wspaniałym, wartościowym człowiekiem. Nie niszc...

Nie dokończyła.

Jej dawny narzeczony drgnął jak podłączony do prądu. Zaczął wykonywać dziwne ruchy głową i z niedowierzaniem rozglądać się wokół siebie.

Zapamiętał ten numer z cyrku. Robili go klauni u Boscha. Jeden, zamknięty w skrzyni na środku areny, przez niewielki otwór wołał drugiego, który udawał, że nijak nie rozumie, skąd dobiega głos, i zachowywał się, jakby miał do czynienia z duchem. Kręcił głową i szukał, kto do niego mówi, a widownia ryczała ze śmiechu.

Bruno powtórzył dokładnie to samo.

Greta zrozumiała. Dotarło do niej, że jest dla niego niewidzialna. Nie ma jej. Nie istnieje.

Pokiwała głową, ominięła go i odeszła w stronę mostu.

Wiele nocy później Bruno miał piękny sen.

Znów był chłopcem i biegał na łąkach nad Odrą. Puszczał latawce wielkie jak cyrkowy namiot i w środku lata zjeżdżał na sankach ze wzgórza z cukrowej waty. Mógł wystawić rękę i w pędzie nabrać jej do woli. Wokół fruwały papugi. Dziesiątki bajecznie kolorowych papug. Przez całe dzieciństwo marzył, żeby mieć taką w domu, a teraz było ich mnóstwo. Podlatywały, skubały watę i muskały go skrzydłami po twarzy.

To go obudziło.

Na łóżku siedział ojciec i delikatnie głaskał go dłonią po policzku. Miał zaczerwienione i załzawione oczy.

– Co się stało, tato? – spytał.

– Nic. Nic się nie stało.

– Płaczesz?

– Nie – ojciec odwrócił głowę.

Bruna nagle ogarnął lęk. Nigdy nie widział ojca w takim stanie. Stary Janoschek, weteran pierwszej wojny, był szorstki, ale zawsze tryskał dobrym humorem. Stwardniał w okopach nad Sommą, gdzie walczył razem z austriackim gefrajtem spod Linzu – Adolfem Hitlerem, i bardzo żałował, że nie przebił go wtedy bagnetem. A były okazje.

– Co się stało? – Bruno powołał pytanie.

Ojciec sięgnął po chustkę i wysmarkał nos.

– Dziś Wigilia – powiedział. – Chcielibyśmy z matką...

– Nie martwcie się – odparł Bruno. – Idę na nocną zmianę, zgłosiłem się na ochotnika. Nie siądę do stołu z moją bratową – ostatnie słowo podkreślił z szyderstwem. – Zatem skandalu nie będzie. Podzielcie się w spokoju opłatkiem i zaśpiewajcie sobie *Stille Nacht* jak dobra, szczęśliwa rodzina.

– Nie o to chcielibyśmy cię prosić.

– A o co?

Ojciec ciężko przełknął ślinę.

– Żebyś się po świętach wyprowadził.

Bruno gwałtownie usiadł na łóżku.

– Wyrzucacie mnie?

– Matka nie może patrzeć, jak się zabijasz. A ja nie mogę patrzeć na jej ból i rozpacz. Nie mogę dłużej słuchać, jak szlocha po nocach. Chcesz się zapać na śmierć, twoja decyzja. Ale nie na naszych oczach.

– Ale o co chodzi? Przecież nic się takiego nie dzieje. Możesz mi wskazać jeden dzień, kiedy przyszedłem do domu pijany?

Ojciec pokręcił głową.

– Ty naprawdę myślisz, że tego nie widać? Że nie znajdujemy butelek pochowanych po zakamarkach? Że nie domyślamy się, dlaczego wróciłeś dopiero rano? Że nie czujemy twojego oddechu, mimo że nieustannie ssiesz miętowe cukierki?

Twarz Bruny powlekła się gniewem.

– Dobrze – oświadczył. – Pójdę z domu. Przykro mi tylko, że ty, tato, choć zawsze byłeś moim przyjacielem, nawet mnie nie ostrzegłeś. Tylko od razu:

won.

– Kiedy musiałeś uciekać przed bandziorami – powiedział smutno ojciec – puszczałem cię bez obaw. Bo choć miałeś zaledwie czternaście lat, to widziałem w tobie mężczyznę. Dziś go nie widzę. Może dlatego nie umiem już z tobą rozmawiać. Wybacz. – Wstał i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Bruno odprowadził go wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na swoim drążku zamontowanym we framudze. Między metalowym prętem a szczytem drzwi rozciągała się pajęczyna.

Zerwał się z łóżka, wciągnął spodnie i sweter, wybiegając do przedpokoju. Z trudem zawiązał sznurowadła trzewików rękami trzęsącymi się z przepicia i emocji. Chwytał palto i trzasnął drzwiami.

Mróz go otrzeźwił.

Przez dłuższą chwilę stał na podwórzu jak podróżny na nieznanym skrzyżowaniu dróg, z którego usunięto drogowskazy. Wsunął dłonie do kieszeni, aby je ogrzać i uspokoić, po czym ruszył w kierunku Odry. W knajpie na Ostrówku zamówił chleb z cebulą i duże piwo, ale odmówił sznapsa, którego kelner polecał jako lekarstwo na ziąb. Dziś miał nocną zmianę w parowozowni. Nie mógł znów pojawić się tam podpity, bo groziło to utratą pracy. Bez niej i bez domu za parę tygodni skończy pod mostem.

Powinien wrócić na Breslauerplatz, umyć się, ogolić, zjeść śledzia z kartoflami i przespać przed robotą, ale po rozmowie z ojcem nie był w stanie. Żal wywołany poczuciem krzywdy był tak silny, że najchętniej nie pokazałby się tam nigdy więcej.

Wyrzucali go jak psa, który ma iść zdychać gdzie indziej.

Tak postępują rodzice? Nie zauważyli, co się stało? Powieka im nie drgnęła, gdy jeden syn zabrał dziewczynę drugiemu. Ktoś próbował mu to wytłumaczyć? Okazać współczucie? Nie. „Jesteś młody, przejdzie ci. Będziesz miał dziewczyn na pęczki”. To wszystko, co usłyszał od matki. A od ojca: „Bądź mężczyzną”. Jakby nie był. Jakby nie udowodnił sto razy,

że jest. Bijąc się za brata na pięści, chroniąc go, a potem zostając dorosłym w wieku czternastu lat, gdy przyszło opuścić dom i zacząć pracę w cyrku.

Jestem mężczyzną! – miał ochotę krzyknąć w twarz pijakom, którzy od rana nasączali się alkoholem i raczej nie zobaczą w tym roku pierwszej gwiazdki. Albo zobaczą ją podwójnie.

Żal znów ścisnął go za gardło. Za mocno. Nie do wytrzymania.

Odpowiedział na pytające spojrzenie kelnera z rezygnacją oskarżonego przyjmującego wyrok, byle już dłużej na niego nie czekać. Uniósł dwa palce w geście zwycięstwa, który w tym wypadku oznaczał porażkę: podwójnego sznapsa. Wychylił wódkę, zapłacił i uciekł. Przed następną.

Przez kilka godzin włóczył się po mieście. Stawał przed wystawami, nie zastanawiając się, czy należą do aptek, księgarni, czy sklepów z towarami kolonialnymi. W szybach widział ulice za swoimi plecami. Ludzi spieszących się do domów, dzieci podniecone świętami, choinkowe świece w oknach, uśmiechy, pozdrowienia. Dobry nastrój innych, który zaczynał go coraz bardziej irytować.

Tuż przed zamknięciem sklepów kupił butelkę wódki. Co chwila znikał w bramach, upijał łyk i życie od razu stawało się znośniejsze. Na jakiś czas.

Zaczęło się ściemniać, gdy wszedł w wąwóz wąskiej Oderstrasse, między dwa rzędy kamienic.

Często mu się to zdarzało. Gdy nie potrafił znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania, a wódka nie pomagała, po zmroku zakradał się w pobliże domu, w którym Herbert z Gretą uwili sobie gniazdko. Potrafił tkwić tam godzinami. Czasami dostrzegał któreś z nich kręcące się po kuchni, której okno wychodziło na ulicę, i starał się cokolwiek wyczytać z ich sylwetek. Potem światło gasło, a on wracał do domu jeszcze bardziej przygnębiony.

Dziś było inaczej.

Żarówka nad stołem w kuchni zgasła niemal w tej samej chwili, w której Bruno przyczał się w bramie domu naprzeciwko. Zdziwił się. Było o wiele za wcześnie na sen. Dopiero gdy zobaczył, jak wychodzą na ulicę odświętnie ubrani i niosący paczuski z upominkami, dotarło do niego,

że przecież jest Wigilia. Idą na Zaodrze. Do jednych i drugich rodziców. Pewnie mają też prezent dla niego – pomyślał i ogarnęła go wściekłość.

Sięgnął po butelkę, ale w tym samym momencie rozbłysły uliczne latarnie i musiał się cofnąć w mrok bramy. W świetle widział ich wyraźnie jak nigdy po tym, gdy zostali małżeństwem. Greta sprawiała wrażenie powściągliwej, pewnie skupionej na tym, aby dobrze wypaść przed teściami, ale Herbert...

Bruno wpatrywał się, z jaką radością otacza żonę ramieniem i całuje w policzek, a potem ujmuje pod rękę. Jak prowadzi ją uśmiechnięty w stronę kościoła zamykającego perspektywę ulicy. Jakby nadal szli do ołtarza. Jakby ciągle celebrował radość ślubu.

Prawda, którą sobie uświadomił, była oczywista, a jednak podziała na niego jak kubeł zimnej wody:

Jego brat był szczęśliwy.

Kwadrans później wszedł do hotelu Form przy Krakauerstrasse, ale odźwierny nie pozwolił mu zrobić ani kroku dalej. Tępy osiłek w liberii. Nie było sensu się z nim szarpać. Przy tej samej ulicy były jeszcze dwa identyczne przybytki dla podróżnych. Krakowska nazywana była ulicą hoteli.

Recepcjonista w Deutsches Haus obrzucił go niechętnym spojrzeniem, ale nie protestował, gdy Bruno podszedł do jego kontuaru.

– Życzy pan sobie pokój? – zapytał.

– Idę na nocną zmianę do pracy – odparł młodszy z braci Janoschek. – A wracam z bardzo dalekiej i męczącej podróży – położył na blacie banknot. – Chciałbym się umyć i ogolić.

Portier rozejrzał się po pustym holu, wykonał gest „proszę zaczekać” i zniknął za tablicą z kluczami. Wrócił po chwili z ręcznikiem, mydłem do golenia, pędzlem i brzytwą.

– Tam na końcu jest łazienka – wskazał korytarz. – Mydło na umywalce.

Majster w parowozowni obrzucił go podejrziwym spojrzeniem. Rzadko widywał młodszego Janoschka świeżo ogolonego i pachnącego. Był

pewien, że Bruno jest po paru głębszych, a że sam nie wylewał za kołnierz, potrafił to zrozumieć. Właśnie za picie w pracy dostał karę w postaci dyżuru w Wigilię.

– Wesołych świąt – Janoschek wyciągnął w jego stronę butelkę, w której brakowało jednej trzeciej zawartości. – To dla pana, panie majster, i dla kolegów.

– Napijesz się z nami? – spytał wyraźnie ucieszony.

– Nie piję – odparł Bruno.

– Oooo... – pochwalił go majster, choć wiedział doskonale, ile są warte deklaracje alkoholika. – Widzę, żeś podjął świąteczne zobowiązanie. Żeś się narodził na nowo jak nasz Jezusek. No dobra, jak chcesz.

Nazajutrz wrócił do domu, czekając za węglem, aż rodzice wyjdą na mszę. Szybko przekręcił klucz w zamku, umył twarz i włosy, które starannie zaczesał do tyłu. Nałożył czystą koszulę i wyprasował spodnie. Spojrzał w lustro. Był prawie nie do poznania. O zmaganiach ostatnich dwóch dni świadczyły tylko przekrwione oczy i krople potu na bladym czole.

A następnie nakrył do stołu i rozłożył na półmiskach produkty kupione wczoraj w hotelu Deutsches Haus. Skończył minutę przed tym, gdy weszli do przedpokoju i na moment zastygli bez ruchu.

– Chodźcie – wskazał im dłonią wejście do pokoju. – Bo jajka wystygną.

Matka podeszła niepewnie, zastanawiając się, czy może zaufać przemianie syna. W końcu otoczyła go ramionami.

Greta odsunęła pogrzebaczem najmniejszą z fajerek i wrzuciła do paleniska dwa kawałki węgla. Na ugotowanie kartofli powinno wystarczyć.

Sięgnęła do worka za zastłonką miniaturowej spiżarni. Wybrała sześć ziemniaków, umyła je w misce z wodą i wrzuciła do garnka z osoloną wodą, którego dno lizały już języki ognia. Przez chwilę wahała się, czy nie obrać kartofli, ale porzuciła ten pomysł. Od kiedy w maju Hitler zaatakował Francję, Belgię i Holandię, zdobycie prowiantu stawało się

coraz trudniejsze. A skórki ziemniaka były jadalne i pożywne, choć przed wojną gotowało się je tylko świniom.

Woda w garnku zaczynała bulgotać, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku i do przedpokoju wszedł Herbert.

Usiadł na niskim stołku, na Śląsku nazywanym ryczką, ściągnął buty i założył kapcie. Greta, która wyjrzała z kuchni, zdążyła zauważyć, że duży palec jego prawej stopy wyłazi przez dziurę w skarpecie.

W starszym z braci Janoschek nie było już dawnego szyku.

Nosił podniszczone buty, stare spodnie z wypchanymi kolanami i marynarkę, której rękawy sięgały mu do połowy przedramienia. Po teściu. Ojciec Greta, należący do Związku Polaków w Niemczech, nie czekał na aresztowanie i zaszył się gdzieś pod Krakowem, na terenach, które teraz nazywały się Generalnym Gubernatorstwem. Gestapo parę razy o niego wypytywało, ale tylko matkę. Gretę być może ochroniła zmiana nazwiska. Cała rodzina Janoschków figurowała na niemieckiej liście narodowościowej, choć wśród tych, którym należało patrzeć na ręce i nie ufać.

W urzędzie rejencji robiło się coraz duszniej.

Najdrobniejszy gest, najbardziej niewinny żart czy komentarz był wyławiany przez armię donosicieli czujnych jak nietoperze i traktowany jak akt wrogości przeciwko Trzeciej Rzeszy. W państwie urządzonym tak, jak sobie życzył psychopatyczny wódz, ludzie zaczęli bać się swoich własnych myśli.

Herbert już raz przeżył burzę, która o mały włos nie skończyła się dla niego wywózką do obozu koncentracyjnego. Na drugą nie czekał. Wiosną 1940 roku przeczytał ogłoszenie w gazecie i zgłosił się do pracy w cementowni. Jako zwykły robotnik. Wynagradzany gorzej, ale o wiele bezpieczniejszy. Miał *ausweis* z pieczętką, która jak dotąd chroniła przed powołaniem do wojska i zainteresowaniem tajnej policji. Bunkry Hitlera potrzebowały betonu.

Obyty z przedwojennym kółkiem teatralnym Herbert łatwo przyswoił rolę cichego, skromnie ubranego i pokornego obywatela. Rolę człowieka

niewidzialnego.

– Byłeś u rodziców? – zawołała z kuchni Greta.

– Ojciec wygospodarował kawałek ziemi za domem i na wiosnę zamierza posadzić pomidory. Nie chce słyszeć, że mu je ukradną, zanim zdążą się zaczerwienić.

– A jak Bruno? – spytała akurat, gdy Herbert wchodził do kuchni.

Rozpromienił się.

– Wygląda na to, że dobrze – odpukał trzy razy w niemalowane drewno deski do krojenia mięsa. – Nie pije. Ojciec mówi, że w pracy go chwala. Znowu ćwiczy to swoje ju-jitsu, biega i podciąga się na drążku. Chce dawać pokazy w koszarach, dla wojska. Nie masz pojęcia, jak się cieszę – podsumował.

– A jak ja – wyznała Greta i złożyła dłonie jak do modlitwy. Herbert wycelował w nią wskazujący palec i obydwój się roześmiali.

ROZDZIAŁ 5.

Oppeln/Brandenburg, wiosna – lato 1943 roku

Brama koszar przy Malapanerstrasse połknęła kilkudziesięciu rekrutów, aby ich przeżuć i wydalić w postaci mięsa armatniego, którym żywi się wojna.

Na twarzach mężczyzn zбитych w stado nie malował się patriotyczny entuzjazm. Jeśli śmierć za Führera rzeczywiście była zaszczytem, to ci tutaj najchętniej odstąpiliby ten zaszczyt innym.

Bruno Janoschek dobrze znał te koszary.

Parę razy urządzał tu pokazy rzucania nożem. Były atrakcją rozmaitych świąt pułkowych i triumfów z okazji zwycięstw Wehrmachtu na wszystkich frontach. Zapraszano go do chwili, gdy ludzie w Opolu zaczęli szeptem wymawiać słowo „Stalingrad”, a słowa wymawiane szeptem są znacznie bardziej donośne niż te krzyżące z głośników i pierwszych stron gazet. Orkiestry wojskowe ucichły, szpitale wypełniły się jękiem rannych, a cmentarze dźwiękami pogrzebowych hejnałów.

Ale opętany bóg wojny żądał nowych ofiar.

Bracia Janoschek najwyraźniej i dla niego byli jednością, bo otrzymali karty powołania tego samego dnia, na ten sam adres. U rodziców. Bruno usiadł na krześle, studiując swoje wezwanie; matka bez słowa zawiązała chustkę na głowie i poszła do Herberta na Oderstrasse zanieść złą nowinę. Mieli się stawić tego samego dnia, o tej samej godzinie, w tym samym miejscu.

Stalingrad sprawił, że nie było już ważne, że są niepewnymi Niemcami kategorii trzeciej. Że pracują na kolei i w cementowni, czyli dla wojska. I że może lepiej byłoby, gdyby pracowali dalej, niż miałyby ich poszatkować kule albo szrapnele. Po Stalingradzie nie liczył się już ani stan,

ani poglądy, ani wiek poborowych. Na dziedzińcu koszar przy Malapanerstrasse stali wąтли chłopcy wyglądający na gimnazjalistów i przygarbieni mężczyźni, którzy mogliby być ich dziadkami. Wojna wciągała wszystkich jak próżnia.

Bruno oddalił się o kilkanaście kroków od brata i przystanął obok tablicy propagandowej pokazującej zupełnie innych żołnierzy: dumnych, dzielnych i uśmiechniętych.

Usilnie wypatrywał na dziedzińcu koszar kogoś znajomego i się nie zawiódł.

Parę minut później przed kantiną zamajaczyła postać otyłego feldfebla ze sztabu, z którym załatwiał gażę za występy w koszarach. Dyskretnie zaszedł go z boku i stuknął obcasami.

Grubas się nie ucieszył, choć należał do żarliwych wielbicieli Bruna i najgłośniej bił brawo podczas występów.

– Co tu robisz? – rozejrzał się uważnie. – Rekrut?

– Tak jest – zameldował chłopak.

– No, to teraz dopiero zobaczysz prawdziwy cyrk – skwitował feldfebel.

– Gdzie nas wyślą? – spytał Bruno.

– Stul pysk! – syknął grubas. – Jesteś już żołnierzem, a żołnierz nie zadaje pytań. To sobie zapamiętaj raz na zawsze.

– Tak jest.

– No – powiedział feldfebel i najwyraźniej szykował się do odejścia, gdy Bruno lekko zastąpił mu drogę.

– Panie Knothe – powiedział prosząco. – Pan pracuje w kancelarii. Udałoby się zrobić tak, żeby mojego brata przydzielić gdzieś do sztabu? Odwdzięczę się.

Grubas popukał się w czoło.

– Ja jestem feldfebel, a nie feldmarszałek. Ty chyba kompletnie nie rozumiesz, co to armia. I to w warunkach wojny. Jak macie iść na front, to Święty Boże nie pomoże.

– To chociaż zrób pan tak, żeby mnie przydzielić wszystko jedno gdzie, byle z bratem.

Grubas odsunął go gniewnie i odszedł bez słowa.

Trzy godziny później umieli już formować dwuszereg, robić w prawo i w lewo zwrot oraz jako tako maszerować. Nadgorliwy Obergefreiter od musztry chciał ich jeszcze nauczyć chodzić czwórkami, ale skończyło się to choreograficznym Stalingradem. Wściekł się, zarządził serię przysiadów i z sadystyczną lubością odliczał każdy z nich, gdy na placu pojawił się otyły feldfebel.

Prowadzący musztrę zasalutował. Feldfebel zarządził pięć minut przerwy. Rekruci, dysząc ciężko, siadali na betonie lub pochylali się, opierając dłonie na udach. Bruno, na którym przysiady nie zrobiły żadnego wrażenia, stał wyprostowany i może dlatego zauważył wymowny gest grubasa, który powoli wyjął papierosa, włożył go do ust i mrugnął do chłopaka.

Bruno pomacał się po kieszeniach, ale nie znalazł zapalek.

– Który ma ognia? – spytał nerwowo sąsiadów, a kiedy w dłoni jednego z nich pojawiło się pudełko z draską, pochwycił je, zagrzechotał w powietrzu i podbiegł do feldfebela.

– Masz u mnie dług, Janoschek – szepnął grubas, przypalając papierosa.

– Większość jedzie na front wschodni walczyć z Iwanem. Ale ty z bratem i paroma innymi – w drugim kierunku. Pod Berlin. Na szkolenie do jednostki specjalnej.

Zaciągnął się dymem, odwrócił i odszedł, głośno zachęcając Obergefreitera, żeby wycisnął z rekrutów siódme poty.

W Breslau mieli stać dwie godziny na boczniczy.

Szły wielkie transporty na wschód, i to one potrzebowały torów. Cywilny skład do Berlina, z jednym wagonem trzeciej klasy zajęтым na potrzeby wojska, musiał poczekać. Pasażerowie przyjęli to z ulgą. Dopasowali ciała do drewnianych ławek i po chwili zaczęli chrapać. Byli żołnierzami zaledwie od paru godzin, ale już przyswoili sobie podstawową zasadę wojny: spać, kiedy tylko jest okazja. Następna może się zdarzyć dopiero za parę dni.

– Gorąco – Bruno odpiął guzik nowego munduru, którego szorstkie sukno zdążyło mu już obetrzeć szyję. – Panie komendancie – zwrócił się do eskortującego ich podoficera. – Skoczę na dworzec po piwo, co? Dla pana przyniosę dwa. Ja stawiam – podrzucił na dłoni kilka monet.

Rudy czterdziestolatek w furazerce z dystynkcjami kaprała spojrzął na niego podejrzliwie, ale jednocześnie przełknął ślinę. Był spod Monachium, w jego stronach piwo znaczyło mniej więcej tyle, ile woda dla Beduinów.

– A jak pociąg ruszy? – spytał, wyraźnie rozdarty zmaganiem, jakie jego bawarska natura toczyła z regulaminem.

– Jak ruszy? – Bruno przywołał go gestem do otwartego okna wagonu. – Kiedy nam parowóz odłączyli.

– Leć – przekonał się kapral. – Tylko raz-dwa.

Kwadrans później sączyli zimnego wrocławskiego *schultheissa*.

– Co powiesz? – Bruno przysiadł obok brata, któremu wyraźnie poprawił się humor.

– Bardzo dobre – uznał Herbert, unosząc butelkę.

– Ja nie o tym.

Kiedyś rozumieli się bez słów. Wystarczyło, żeby jeden o czymś pomyślał, a drugi natychmiast wiedział, o co chodzi, jakby mieli wspólny mózg. Ale od ślubu Herberta z Gretą Bruno miał wrażenie, jakby z każdym dniem oddalali się od siebie o parę milimetrów. Odległość nie do zauważenia z dnia na dzień, ale po miesiącu już tak.

W tamten wigilijny wieczór, kiedy z bliska ujrzał szczęście brata, coś w nim pękło. Od piaskownicy dbał o to, aby Herbertowi nie stało się nic złego. Aby był bezpieczny i beztroski. Spełniło się. Jego kosztem. Trudno. Nieraz obrywał w obronie brata. Nieraz się poświęcał.

W tamtej chwili, w imię tego samego poświęcenia, wszystko mu wybaczył.

Ale gniewu i żalu nie da się usunąć jak plam z ubrania. Przeniósł je na Gretę. Nienawidził jej jeszcze bardziej, obwiniął o zdradę i przeciągnięcie brata na swoją stronę. To były złe, trujące myśli.

Herbert je wyczuwał.

Ściskali sobie dłonie, ale tkwiła w nich jakaś drzazga. A dłonią, w której tkwi drzazga, można robić wszystko: pracować, głaskać, witać się i żegnać. Byle unikać wrażliwego miejsca, bo wtedy zaboli. Obaj szanowali tę zasadę. Nigdy nie mówili o życiu Herberta po tamtej stronie rzeki.

– Pytam – wyjaśnił Bruno – co powiesz o tym wszystkim – wskazał podbródkiem wagon, rudego kaprała, mundury i plecaki.

– Nie wiem, dokąd nas wiozą – odparł Herbert. – Ale gdziekolwiek by to było, to wolę w nieznanne niż na front wschodni. Stamtąd mało kto wraca.

Bruno skinął głową.

– Ciekawe, co to za jednostka specjalna – myślał głośno. – Może zrobią z nas spadochroniarzy?

Starszy z braci Janoszek obrzucił wagon krytycznym spojrzeniem. Na ławkach spało kilku osiłeków, ale pozostali nadawali się raczej do obierania kartofli w kuchni polowej niż skoków z samolotu na terytorium wroga. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń jeden z nowych towarzyszy broni, wątyły młodzian w grubych okularach, ocknął się i spojrzał na nich lękliwie.

– Widziałeś tych ludzi? – spytał Herbert. – Jeśli wyślą nas na front, to chyba po to, aby zbierać i grzebać trupy. Lepiej się prześpij – doradził bratu, odstawiając pod ławkę pustą butelkę.

Bładym świtem zatrzymali się na stacji, która nie miała nazwy. Peronu też nie.

Wprost ze stopni wagonu zeskoczyli na kamienie nasypu, stanęli w dwuszeregu, a kiedy pociąg odjechał, przekroczyli tory i pomaszerowali szeroką i solidnie udeptaną leśną ścieżką. Musiało tędy przejść wielu takich jak oni. Jeśli feldfobel w Opolu się nie mylił i rzeczywiście jechali „pod Berlin”, to byli gdzieś w Brandenburgii.

Ptaki śpiewały jak najęte i nie spłoszył ich nawet gwizd parowozu. Ale gdy tylko usłyszały tupot żołnierskich butów, ucichły. Pewnie wojsko nie kojarzyło im się z niczym dobrym.

Po trzydziestu minutach dotarli do obozu szkoleniowego.

Znajdował się na głębokich peryferiach jakiegoś miasteczka, z daleka widzieli wieżę kościoła i komin niewielkiej fabryki, może cegielni. Wokół kwitł rzepak i fruwały motyle.

Kilkanaście drewnianych budynków koszarowych pomalowanych na kolor *feldgrau* zajmowało połowę terenu. Pozostałą część przeznaczono na plac ćwiczeń z licznymi przeszkodami, rowami z wodą, małym gajem i usypanym z ziemi kulochwytem strzelnicy. Całość otaczało ogrodzenie z drutu kolczastego urozmaiconego tabliczkami ostrzegawczymi.

Znów ustawiono ich w dwuszeręgu, a potem rozdzielono, kierując do miejsc zakwaterowania.

Bruno z Herbertem trafili do budynku stojącego tuż przy murowanej łaźni. Wewnątrz panował półmrok, z którym nie radziły sobie niewielkie okienka umieszczone pod sufitem. Wzdłuż ścian ciągnęły się dwa szpalery łóżek polowych zrobionych z drewnianych ram i parcianych pasów. Większość z nich była starannie zasłana szarymi kocami, na których leżały idealnie uformowane poduszki.

Podoficer, który przyprowadził braci Janoszek, wskazał im dwie wolne prycze obok siebie i wyjaśnił, do czego służy wieszak na mundur oraz szafka na przybory higieniczne, jakby nigdy wcześniej nie mieli z tymi rzeczami do czynienia.

Odstawili manierki i zabrali się do ścielenia łóżek, gdy po drugiej stronie baraku usłyszeli jakiś odgłos. Spojrzeli tam jak na komendę.

Na pryczy paręnaście metrów dalej leżał ktoś, kto zadał im dość oczywiste pytanie:

– Nowi?

– Tak – odparł Herbert i delikatnie szarpnął Bruna za rękaw, ciągnąc go w tamtą stronę.

Leżący był wysokim i szczupłym mężczyzną, miał szczurzą twarz i rozbiegane oczy.

– Co to za jednostka? – spytał go Bruno, nie bawiąc się w powitania i prezentacje.

– To nie jednostka – chudy uniósł dłoń z zaostrzoną zapałką i zaczął nią dłubać w zębach.

– Tylko co?

– Ośrodek szkoleniowy.

– Do czego nas będą szkolić? – naciskał młodszy Janoszek.

– Wyglądasz na miastowego chłopaka – skrzywił się szczurowaty. – A pytasz jak jakiś ciołek. Do wojska nas szkolą, synku, do wojska.

Bruno lekko się zarumienił.

– Słyszałem, że to jednostka specjalna.

Chudy cmoknął z uznaniem.

– Dobrze słyszałeś. Mamy być uzupełnieniem 999. Lekkiej Dywizji Afrykańskiej. Już trwają ostre treningi. Chłopaki ledwo dyszą. Ja na szczęście wczoraj skręciłem nogę – wskazał zabandażowaną stopę usztywnioną dwoma deszczułkami.

– Wyślą nas do Afryki? – zaintrygował się Herbert.

Szczurowaty wzruszył ramionami.

– Hitlera się zapytaj. Ja nie wiem.

– Powiedziałaś, że mamy być uzupełnieniem – podchwycił Bruno. – Dywizja poniosła duże straty?

Chudy roześmiał się cynicznie.

– Całkowicie. Pełen stan osobowy.

– Wszyscy zginęli? – przestraszył się Herbert.

– Wszyscy poszli w Tunezji do niewoli. To jednostka specjalna. Tu nie służą frajerzy, tylko ludzie myślący. A ludzie myślący nie lubią ginąć – puścił do nich oko. – A wy koledzy skąd?

– Z Opola.

– Z Opola? – szczurowaty przyjrzał się im uważnie. – Prosto od mamusi?

– Z poboru – wyjaśnił Herbert.

– Czyli politycznie podejrzani.

– Dlaczego? – spytał zaczepnie Bruno.

Szczurowaty zrobił zagadkową minę.

– Bo dziewięćset dziewięćdziesiąta dziewięć to dywizja karna, synku. Tu innych nie ma. Czterech na dziesięciu to politycznie podejrzani, a pozostałych sześciu to tacy jak ja.

– Czyli?

– Czyli kwiat niemieckiego świata przestępczego – uśmiechnął się szeroko.

Jakby na potwierdzenie jego słów drzwi budynku otworzyły się z hukiem i do środka wpadła gromada półnagich mężczyzn w podkoszulkach ze swastyką i szortach gimnastycznych. Byli rozochoceni treningiem i zdyszani. Ich umięśnione ramiona lśniące od potu pokrywały liczne tatuaże.

Bracia Janoschek spojrzeli z ciekawością, która nagle zastygła im na twarzach.

Wśród ich nowych towarzyszy broni stał „Flink”

Udał, że się nie znają.

Przeszedł obojętnie na tył baraku i wyciągnął się na pryczy, gdzie obsiadło go kilku podobnie wyglądających zbirów. Szeptali, a ich ukradkowe spojrzenia rzucające w stronę braci Janoschek nie pozostawiały wątpliwości, kto jest tematem rozmowy. W pewnej chwili jeden z kumpli „Flinka” wstał i ruszył w stronę drzwi wejściowych. Przechodząc obok braci, strzyknął im śliną prosto pod nogi.

– O co mu chodzi? – spytał Bruno szczerowatego, ale ten ostentacyjnie odwrócił się na swoim łóżku.

Splunięcie powiadomiło cały barak, że nowi są trefni.

Zaczęło się od milczenia. Nieodpowiadania na pytania. Traktowania jak powietrze. Potem pojawiły się szykany. Niby przypadkowe potrącenia podczas zajęć, zachłapanie błotem świeżo wyczyszczonych butów, piasek w zamku karabinu. Dla podoficerów prowadzących szkolenie – niewinne koszarowe psikusy. Dla braci Janoschek – zwiastuny dintojry z Zaodrza.

Kryminaliści, zgodnie z regułami watahy wilków, próbowali dopaść najsłabszego. Herberta. Kilka razy starcie wisiało na włosku, ale wtedy

zawsze pojawiał się Bruno.

Tak było i tamtej soboty.

Wraz z całym plutonem bandytów przeniesionych z więzień do armii zmywali z siebie brud popołudniowych ćwiczeń, polegających na czołganiu się w grząskim terenie i ćwiczeniu rzutu granatem z pozycji leżącej. Herbert szorował się pod prysznicem, stojąc twarzą do ściany, gdy nagle usłyszał głos „Flinka”:

– Ty, Janoschek! Masz coś mojego.

Odwrócił się zaskoczony.

Bandyta z Zaodrza tkwił przed nim otoczony kilkoma wytatuowanymi kolegami. Mieli ręczniki zawiązane na biodrach i samo to dawało im przewagę nad nagim, mokrym przeciwnikiem.

– Nie mam nic twojego – odparł zaniepokojony Herbert, a wtedy „Flink” wskazał palcem ciągnącą się od lewego biodra po prawą pierś bliznę przecinającą brzuch starszego z braci Janoschek.

– Masz. Pamiątkę po mojej brzytwie. I tak sobie myślę, że przydałaby ci się jeszcze jedna. Koledzy zarechotali.

W tej samej chwili wyrósł przed nimi Bruno. Bez ręcznika, ale w odróżnieniu od Herberta wcale go to nie krępowało.

– A może tobie przydałoby się drugie złamane kolano, co „Flink”?

Bandzior zawahał się, przechwytyjąc zdziwione spojrzenia kumpli. Wykorzystał to krępy blondyn, który wyskoczył zza pleców herszta i z impetem wyprowadził cios w głowę Bruna. Ale chłopak uchylił się i pięść napastnika przecięła powietrze, co na moment pozbawiło go równowagi.

Bruno dokładnie tak, jak go nauczył Don Alvaro, chwycił oburącz uniesione ramię blondyna, sprawnym ruchem wyłamał je ze stawu barkowego i z całą siłą, którą dodał do rozpędu atakującego, pchnął go na ceglana ścianę łaźni. Tamten nie miał szans zamortyzować uderzenia o mur. Ani prawą ręką, którą rozpaczliwie machał, łapiąc równowagę, ani lewą, zwisającą wzdłuż tułowia jak u zepsutej marionetki. Jego twarz

dosłownie rozmazała się na ścianie, niczym dojrzały pomidor rzucony o beton. Kratka ściekowa prysznicza wypełniła się krwią.

Ferajna „Flinka” najwyraźniej straciła ochotę do walki. Tak działa podstawowa zasada starcia z kilkoma przeciwnikami. Należy wyeliminować najbardziej agresywnego i zrobić to jak najbrutalniej. Zdzielić go w skroń kamieniem, wbić w oko obtłuczoną butelkę albo strzaskać szczękę. Wszystko jedno. Byle nie wstał, a pozostali za nic nie chcieli znaleźć się w jego położeniu.

Zadziałało.

Incydent w łaźni oficjalnie uznano za poślizgnięcie się na mydle, ale od tej chwili rozgrywka rozpoczęta siedem lat temu na Zaodrze weszła w zupełnie inną fazę.

Bruno bez specjalnego wysiłku mógłby być pierwszy na mecie marszobiegu w pełnym rynsztunku i wygrać jednodniową przepustkę do miasteczka. Wolał jednak mieć oko na Herberta. Truchtał tuż za nim, niemal ziewając z nudów i zbierając kilka soczystych przekleństw od sierżanta, który doskonale znał jego sprawność fizyczną i podobne zachowania uważał niemal za dezercję.

– Jesteś najlepszy z tej hałastry – wrzeszczał sierżant, przed wojną zapalony lekkoatleta. – A wleciesz się jak okulawiona krowa!

Bruno uśmiechnął się przepaszająco, co jeszcze bardziej rozsierdziło przełożonego. Rozkazał wszystkim zrobić po piętnaście pompek, po czym pognął dyszący pluton do drewnianych koszar.

– Krowy! – wrzeszczał, jakby wołowe porównanie było najgorszą z obelg. – Wykastrowane byki! Wracać do obory. Do niczego się nie nadajecie!

Przy bramie podoficer dyżurny wyłuskał Bruna z tłumu.

– Janoszek, masz się stawić u dowódcy kursu.

Bruno spojrzał pytająco na sierżanta, ale ten nie raczył nawet na niego spojrzeć. Więc bez pozwolenia ruszył w stronę sztabu, zastanawiając się, o co może chodzić.

Walka w łaźni miała miejsce prawie dwa tygodnie temu. Niemożliwe, żeby to o nią chodziło. A może coś złego w domu? Z matką, ojcem albo Gretą? Przyśpieszył kroku.

W pięć minut dotarł do budynku sztabu. Leniwy kapral w biurze przepustek wpisał go do ewidencji i odesłał w głąb korytarza, gdzie przy stoliku z lampką siedział adiutant dowódcy.

Bruno zameldował się regulaminowo.

– Żarty sobie stroisz? – zirytował się adiutant. – Jakie wezwanie? Dowódca od wczoraj jest poza terenem jednostki.

Wtedy Bruno zrozumiał.

Przytrzymał hełm, który ciągle miał na głowie, i kołysząc się od ciężaru wypchanego plecaka, ruszył biegiem do ich baraku.

Kryminaliści leżeli na łóżkach. Brakowało dwóch. Najgroźniejszych, przybocznych „Flinka”. I samego „Flinka”. I jeszcze Herberta.

Nie zdejmując rynsztunku, wpadł do łaźni. Pusto. Za barakiem to samo. Stał zdezorientowany i przez moment wydawało mu się, że widzi jakiś ruch na placu ćwiczeń. Pognał w tamtą stronę. Mundur lepił mu się do pleców.

Sprawdził kilka przeszkód – bez żadnego rezultatu. Instynktownie czuł, że każda sekunda się liczy, a do wyboru miał jeszcze szeroki rów z wodą po jednej stronie placu i wysoką drewnianą ścianę do wspinaczki po drugiej.

Tak intensywnie nie myślał nigdy wcześniej. Co byś zrobił, gdybyś był „Flinkiem”? – jego skołatany mózg domagał się odpowiedzi, którą po chwili sam podrzucił: utopiłbym Herberta. W wykopie, który forsowali podczas ćwiczeń, woda była na tyle głęboka, że trzeba było przez nią płynąć.

Ruszył w tamtą stronę, ale nagle stanął. Później nie umiał sobie wytłumaczyć dlaczego, ale odwrócił się i pobiegł w stronę drewnianej ściany.

Gdy znalazł się kilka metrów od niej, Herbert konał.

Leżał na plecach, a ręce i nogi drgały mu jak w agonii. Jego głowa leżała na kolanach „Flinka”. Bandyta przysiadł na piętach i zaciskał na szyi ofiary garotę z grubego sznurka przymocowanego do dwóch drewnianych uchwytów. Tuż nad nimi wisiła lina do wspinaczki zawiązana w szubieniczną pętlę. A więc to miało wyglądać na samobójstwo – pomyślał Bruno i skoczył w stronę mordercy.

– Zostaw go! – krzyknął. Ale „Flink” na jego widok tylko wzmocnił ucisk. Na czoło wystąpiła mu gruba pionowa żyła, a ręce zaczęły drżeć z wysiłku.

– Nie! – wrzasnął Bruno i skoczył w jego stronę. W tym samym momencie ktoś ukryty za sąsiednią przeszkodą podciął mu nogi potężnym uderzeniem długiego drąga.

Runął za ziemię.

Spojrzał w oczy brata uciekające w głąb czaszki i próbował się poderwać, ale ból goleni był nie do wytrzymania.

W ostatniej sekundzie, która decydowała o życiu lub śmierci, sięgnął po bagnet przytroczony do pasa. Nigdy nie rzucał czymś tak ciężkim i nieporęcznym. Od „Flinka” dzieliło go pięć metrów. Mało. Odległość zaledwie na półobrót. Uniósł się na lewym łokciu, prawą dłońią chwycił bagnet za rękojeść i rzucił. Wierzył, że jeśli nawet nie ugodzi zabójcy, to przynajmniej obezwładni go uderzeniem solidnego kawałka stali.

Nie wziął pod uwagę tego, co kiedyś zapowiedział mu Alvaro.

Że moment prawdy – najwłaściwszy ułamek sekundy, w którym należy wypuścić nóż, aby znalazł się na linii celu – kiedyś będzie miał we krwi. Już na zawsze.

„Flink” jęknął głucho, gdy ostrze wbiło mu się pomiędzy obojczykami i mimo oporu kości przeszło go na wylot. Żył jeszcze przez jakiś czas. Na tyle długo, żeby zobaczyć, jak młodszy z braci Janoschek podwija nogi i klęka z grymasem bólu. A potem podnosi się z kolan.

ROZDZIAŁ 6.

Berlin/Oranienburg/Rzym/Gran Sasso,
lato 1943 roku

Scharführer SS Manfred Broll dopił wodę sodową, zostawił na stoliku kilka drobnych monet i sięgnął po czapkę. Wytarł chusteczką jej wewnętrzny otok wilgotny od potu, nałożył na głowę, wstał i szarmancko uśmiechnął się do dwóch młodych kobiet, które taksowały go wzrokiem. Szczupły, sprężysty, o regularnych rysach twarzy i w nienagannie dopasowanym mundurze mógłby pozować do plakatu werbunkowego zachęcającego niemieckich zuchów do służby w SS.

Jedną z dwudziestu wind zjechał z tarasu Karstadt na parter, wyszedł na Hermannplatz i odszukał wzrokiem odkryty *kübelwagen*. Parkował przy krawężniku sto metrów dalej. Za jego kierownicą siedział żylasty komandos jednostki specjalnej *Friedenthaler Jagdverbände*, a obok jego kolega. Obaj byli niewysocy, ale należeli do najlepiej wyszkolonych żołnierzy batalionu, który był oczkiem w głowie Ernsta Kaltenbrunnera, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Stanowili coś w rodzaju osobistej obstawy Scharführera.

Broll lubił robić sobie „przerwy w wojnie”. Tak nazywał krótkie wypadki do Berlina, gdzie jadał obiady w drogich restauracjach lub napawał się widokiem rodzinnego miasta z tarasu na dachu Karstadt. Dodatkowym walorem była tu obfitość przystojnych, modnie ubranych kobiet, zwabionych ofertą wykwintnych sklepów i perfumerii.

Manfred wyrósł w luksusie.

Ojciec, przemysłowiec z branży motoryzacyjnej, przed wojną robił interesy w całej Europie, zapewniając jedynakowi, czego dusza zapagnie. Syn odkrył w sobie pociąg do szermierki – wynajęto dla niego najlepszego trenera w elitarnym klubie. Chciał pływać – papa kupił mu żaglówkę

i zacumował na jeziorze Wannsee. Syn pragnął jeździć na nartach – co roku wysyłano go do najlepszych ośrodków w Alpach. Pasjonował się wyścigami samochodowymi – na osiemnaste urodziny dostał dwudrzwiowego roadstera BMW 328.

Późną wiosną trzydziestego dziewiątego roku ojciec zabrał go na piknik przedsiębiorców motoryzacyjnych zorganizowany przy budowie najwspanialszego toru wyścigowego świata, Grossdeutschlandring w Saksonii. Wymyślił go Adolf Hitler wraz ze swoim przyjacielem Ferdinandem Porschem.

Wiał ciepły czerwcowy wiatr, który marszczył płótno baldachimów rozpiętych nad drewnianymi bufetami, przy których jadło się na stojąco. Kelnerzy w strojach ludowych roznosili miski z saksońską zupą kartoflaną i talerze z tutejszym *Bratwurstem*. Ustawiali je przed gośćmi wśród pękatych kufli drezdeńskiego piwa. Panował radosny gwar, przez który przebijał się głos wysokiego, niemal dwumetrowego właściciela fabryki z Austrii i specja od silników samochodowych, z którym ojciec Manfreda robił interesy. Olbrzym, najwyraźniej obeznany z wyścigami, wyrażał zachwyt konstrukcją toru, którego zakręty można było pokonywać z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a na najdłuższej prostej osiągać znacznie więcej.

Coś w tym człowieku przyciągało młodego Brolla. Może to, że mimo pokażnej masy pozostawał wysportowany i zwinny, poruszał się z gracją i tryskał energią? A może to, że z jego twarzy nie schodził zawadiacki uśmiech, spotęgowany szeroką blizną przecinającą twarz – pamiątką po pojedynku na białą broń z czasów studiów w Wyższej Szkole Technicznej w Wiedniu?

Mężczyzna był inżynierem. Jego rodzina pochodziła z Wielkopolski, z miejscowości Skorzęcin pod Gnieznem, dlatego swoje nazwisko wymawiał przez „ż”: „Skożeny”. Nie „Skorceny”, jak Niemcy.

To spotkanie miało odmienić życie młodego Brolla.

Otto Skorzeny mocno potrząsnął jego dłonią i pochwalił sportową sylwetkę. Był dwanaście lat starszy, a jednak od razu zaproponował

Manfredowi przejście na ty i zaprosił go na obóz kondycyjny swojego towarzystwa gimnastycznego z Wiednia. Tam się zaprzyjaźnili.

Gdy Hitler postanowił wreszcie dać nauczkę Polakom zagrażającym Trzeciej Rzeszy, inżynier Skorzeny uznał, że prawdziwa męska przygoda może przydarzyć się tylko na wojnie. Podzielił się tym spostrzeżeniem z Manfredem, gdy podczas wizyty w Berlinie przechadzał się z nim bulwarem nad Sprewą.

– No nie wiem, Otto – Broll junior podrapał się po głowie. – Mam dopiero dziewiętnaście lat. Nie jestem przekonany, czy przygodą jest gnicie miesiącami w okopach, jak mój stryj pod Verdun.

– Kto mówi o okopach? – roześmiał się Skorzeny i cisnął do rzeki kamień, który od jakiegoś czasu podrzucał w dłoń. – Zaciągniemy się do Luftwaffe. Zostaniemy asami przestworzy. Zobaczysz.

Ale z lotnictwa nic nie wyszło. Otto miał trzydzieści jeden lat, był za stary i za duży. Nie mieścił się w kabinie myśliwca. Manfreda chcieli, ale nie zdecydował się pójść bez przyjaciela. Wybrali Waffen-SS. Skierowano ich do szkoły podoficerskiej, ale Skorzenemu się tam nie spodobało. Wolał od razu iść na front.

– Szlify zdobywa się w ogniu – powiedział Manfredowi. – Nie w sali wykładowej. – Uścisnął mu dłoń i wskoczył na pakę wojskowej ciężarówki.

Gdy młody Broll po żmudnych kursach dorobił się naszywek plutonowego, Otto był już podporucznikiem, bohaterem kampanii francuskiej i holenderskiej. Walczył i rozrabiał. Urządzał brawurowe akcje bojowe i libacje. W Holandii po pijanemu strzelił do męża królowej i chociaż był to tylko portret księcia Bernarda, a nie on sam, to Skorzenemu cofnięto awans. Zrehabilitował się na Bałkanach, gdzie wziął do niewoli oddział prawie sześćdziesięciu żołnierzy i oficerów.

O jego wyczynach krążyły legendy w całym SS.

Z frontu wschodniego przywiózł Krzyż Żelazny i ciężką ranę głowy, która na długie miesiące uziemiła go w Niemczech. Manfred obiecywał sobie, że przy najbliższej okazji odwiedzi przyjaciela w Berlinie, ale o urlopie nie

było mowy. Dowódca kompanii go nie lubił. Odmawiał nawet przepustki. Dlatego kiedy plutonowy Broll został wezwany do jego kwatery wiosną czterdziestego trzeciego roku, nie potrafił ukryć zaskoczenia.

Stary esesman jeszcze z monachijskiej gwardii Hitlera, który uważał Manfreda za paniczyka, był wyraźnie zakłopotany. Chodził po pokoju, trzymając w dłoni rozkaz, który rano otrzymał pocztą polową.

Broll wyprężył się na baczność, ale przełożony wskazał mu krzesło. Usiadł tym bardziej zaskoczony.

– Jedziecie do Berlina, plutonowy – dowódca po raz pierwszy zwrócił się do Manfreda ze służbową uprzejmością, choć wcześniej walił na ty i nie szczędził epitetów. – Zostaliście wezwani do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy – dodał z niedowierzaniem.

Broll poczuł ukłucie niepokoju.

Znał ponury gmach przy Prinz-Albrecht-Strasse i jego jeszcze bardziej ponurą sławę. Mieściła się w nim centrala Gestapo oraz wszystkich służb wewnętrznych wyspecjalizowanych w wykrywaniu i likwidowaniu nieprzyjaciół Hitlera od Rosji po Portugalię i od Afryki Północnej po Norwegię. A zwłaszcza w Niemczech. Na wszystkim łapę trzymało SS.

Stąd wychodziło się albo z wieńcem laurowym, albo pogrzebowym.

Na laurowy nie liczył.

Kilka dni później Broll zameldował się na parterze Urzędu. Adiutant zaprowadził go do pokoju na pierwszym piętrze, gdzie czekało dwóch oficerów w mundurach SS. Jednym z nich był nieznany mu porucznik, drugim Otto Skorzeny. W randze kapitana.

– Melduję się na rozkaz, panie Hauptsturmführer – Broll strzelił obcasami przed przyjacielem, który był tu najstarszy stopniem, na co Skorzeny zareagował szerokim uśmiechem.

– Spocznij, Manfredzie – powiedział i wyjaśnił porucznikowi: – Jesteśmy starymi znajomymi.

– Mamy dla ciebie pewną propozycję – wyciągnął w stronę Brolla srebrną papierośnicę, ale ten uprzejmie odmówił.

– Obergruppenführer Kaltenbrunner, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy – Skorzeny wykonał gest podkreślający powagę miejsca, w którym się znaleźli – powierzył mi organizację jednostki do zadań specjalnych. Coś na wzór brytyjskiego *commando* – dodał – choć oficjalnie nie przyznajemy się do naśladowania tych pyszałków pojonych herbatą i karmionych krakersami.

Broll słuchał w skupieniu.

– Porucznik – Skorzeny wskazał głową oficera – jest moim szefem rekrutacji i wyszkolenia. Tobie chcielibyśmy powierzyć pewne poufne zadanie w tym obszarze.

– Poufne? – upewnił się Manfred. – Na czym miałyby ono polegać?

– Na poławianiu pereł – wtrącił się porucznik.

– Nie bardzo rozumiem.

– W tej chwili mamy trzystu chłopca – powiedział Skorzeny. – Najlepszych żołnierzy z najlepszych formacji SS. Razem tworzą sprawną maszynę do zabijania. Maszynę, która działa, gdy ma operatora. Ale to za mało. Bo co będzie, jak operator dostanie kulkę? – zatrzymał się przed Manfredem i spojrzał mu w oczy.

– Dlatego potrzebuję indywidualności – wyjaśnił. – Ludzi o wyjątkowych umiejętnościach. Sprawnych i odważnych jak sam diabeł, a przy tym myślących. Samodzielnie i błyskawicznie podejmujących decyzje. Szukamy takich orłów. Wszędzie. Nawet w wojskowych więzieniach SS. Możemy wszystko. Kaltenbrunner daje nam nieograniczone możliwości działania. Chcemy, żebyś do nas dołączył i zajął się tymi poszukiwaniami. Wszędzie poza SS. W Wehrmachcie, SA, w żandarmerii, nawet w cywilnym półświatku, jeśli będzie trzeba.

– Dlaczego ja? – spytał Broll.

– Jesteś doskonałym materiałem na komandosa. Czystym diamentem, z którego nasze szkolenie zrobi brylant. A przy tym masz obycie, błyskotliwość i inteligencję. Znasz się na ludziach i potrafisz z nimi rozmawiać.

– Nie jestem pewien, czy będę umiał właściwie ocenić predyspozycje kandydatów, nawet jeśli takich znajdę – powiedział ostrożnie.

– Dostaniesz dwóch moich chłopaków – uśmiechnął się Skorzeny. – Oni sobie z tym poradzą.

Manfred pokiwał głową.

– Ile mam czasu na decyzję? – spytał.

Hauptsturmführer Otto Skorzeny wyciągnął dłoń w jego stronę.

– Teraz albo nigdy.

Broll odpowiedział na uścisk i zachwiał się po potężnym klepnięciu w ramię.

Trzy tygodnie później przeciął Hermannplatz, podszedł do *kübelwagena* i nie czekając, aż któryś z komandosów otworzy mu drzwiczki, wskoczył na tylne siedzenie.

– Jedziemy do ośrodka szkoleniowego, godzinę drogi stąd – podał namiary jednostki. – Ponoć mają tam ciekawe uzupełnienie dywizji afrykańskiej.

Ani kierowca, ani jego kolega siedzący obok nie odpowiedzieli ani słowem. Byli od działania, nie od mówienia. Pierwszy z nich uruchomił silnik, ruszyli.

Major, dowodzący ośrodkiem uzupełnień, niedbale zsalutował w odpowiedzi na dziarskie *Heil Hitler!* Brolla i uważnie przeczytał podane przez niego pismo z pieczętkami i osobistym podpisem szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

– Mam udzielić wszelkiej pomocy – powiedział do stojącego przed nim esesmana, jakby ten nie był świadomy swojej misji. – Czym zatem mogę panu służyć, panie Scharführer?

– Chciałbym poznać dziesięciu najlepszych kursantów z uzupełnienia dla 999. dywizji. Takich, którzy najlepiej radzą sobie na treningach i nie cofną się przed niczym.

Major uniósł brwi, ale nie protestował.

– Chodźmy – wskazał plac treningowy. – Akurat trwają zajęcia.

Podoficer prowadzący ćwiczenia zameldował się regulaminowo, przyjął rozkaz dowódcy i ustawił podopiecznych w dwuszeregu. Tym z przodu kazał zrobić cztery kroki przed siebie i wykonać w tył zwrot.

Wszedł w alejkę utworzoną przez rekrutów teraz zwróconych do siebie twarzami i starannie wybrał dziesięciu z nich. Ponurych, wytatuowanych byków, z gatunku tych, których lepiej nie spotkać w ciemnej uliczce.

– Czy możemy odesłać pozostałych do miejsca zakwaterowania? – Broll zwrócił się do majora, a ten skinął na podoficera, który kilkoma szczenięciami, niczym doświadczony owczarek, ustawił, a potem odprowadził swoje stado.

Na placu zostali sami. Major, Broll i dziesięciu bandytów.

Manfred spojrzał pytająco na dowódcę ośrodka, upewniając się, czy może przejąć inicjatywę, a tamten zrobił minę oznaczającą „proszę bardzo”.

Broll podziękował skinieniem głowy i gestem przywołał swoich dwóch komandosów stojących kilkadziesiąt metrów dalej. Po paru sekundach pojawili się obok, zajmując miejsce na środku niewielkiego dziedzińca apelowego.

– Żołnierze! – zwrócił się do kryminalistów. – Dostaliście szansę zamienienia więziennych cel na wojskowe koszary, ale ja chciałbym zaoferować wam coś jeszcze lepszego: służbę w specjalnej jednostce SS. O wiele wyższy żołd, doskonałe jedzenie i panienki raz w tygodniu.

Przez gromadę zbirów przeszedł szmer aprobaty.

– Mało tego – dodał Broll. – Obowiązuje nas lojalność i sztama, a nie sztywne regulaminy. Rozumiecie to, prawda? Widać, że jesteście charakterni.

Szmer zamienił się w odgłosy potwierdzenia.

– To co? – Manfred zatarł dłonie. – Który się pisze?

Ramiona ozdobione sercami przebitymi nożem, kotwicami, splotami węży i sylwetkami nagich kobiet z obfitymi biustami powędrowały w górę bez żadnego wyjątku.

– To rozumiem – ucieszył się Scharführer SS. – Zapomniałem dodać, że przed przenosinami do naszej jednostki macie tydzień urlopu.

Bandyci zaczęli gwizdać i wiwatować.

– Droga do tej pięknej przyszłości wiedzie tamtędy – Broll wskazał plac apelowy, na którym stali jego ludzie. – Ale na drodze macie tych dwóch, którzy nie zamierzają was przepuścić. Nie są uzbrojeni. Żeby przejść, musicie ich obezwładnić, powalić albo nawet zabić, jeśli będzie trzeba. Wy-e-li-mi-no-wać – podkreślił dobitnie. – Rozumiecie? Są tylko dwaj i mają gołe pięści. Was jest dziesięciu i pozwalam wam użyć bagnetów, saperek lub kastetów, jeśli któryś ma. Śmiało!

Bandyci ruszyli bez chwili zastanowienia, nie planując rozgrywki. Za moment plac wypełniła chmura pyłu wznieconego przez tańczące podeszwy i rozległy się jęki rannych. Kurz powoli opadł, ukazując komandosów stojących w tym samym miejscu. Wyglądało na to, że nie ruszyli się nawet o krok. U ich stóp kilka ciał wiło się z bólu. Reszta leżała bez ruchu z powodu utraty przytomności.

– W imieniu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy bardzo panu dziękuję, majorze – Manfred ukłonił się dowódcy – ale nie skorzystamy z pańskich najlepszych podopiecznych – dokończył z lekko wyczuwalnym sarkazmem.

– Najlepszy siedzi w areszcie – odgryzł się zawstydzony major.

– Doprawdy? – Broll najwyraźniej miał ochotę na dalszą kompromitację ośrodka szkolenia. – Za cóż to?

– Zabił kolegę z kursu.

Manfred spoważniał.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– I jeszcze żyje? W naszej jednostce...

– To nie takie proste, sierżancie – upomniał go major.

– Nie? – zdziwił się Broll. – Jest wojna. Są sądy doraźne. Pięć minut rozprawy i pod ścianę.

– Ten żołnierz zabił napastnika, który zaatakował i o mały włos nie pozbawił życia jego brata. Uratował go w ostatniej sekundzie. Chłopak przeżył, ale jest w szpitalu w ciężkim stanie. Nie wiadomo, czy

kiedykolwiek będzie mówił. Tą sprawą musi się zająć sąd wojskowy w Berlinie.

Manfred pokiwał głową.

– Zastrzelił tego napastnika?

– Rekruci nie mają ostrej amunicji – wyjaśnił major. – Większość z nich to bandyci. Naboje dostają pojedynczo i tylko na strzelniczy.

– To jak go zabił?

– Bagnetem. To znaczy rzucił bagnetem. Z paru metrów.

– I trafił?

Major skinął głową.

– Trudno uwierzyć, co? – Broll odwrócił się do swoich komandosów, którzy z niedowierzaniem pokręcili głowami.

– To będzie panu jeszcze trudniej uwierzyć, panie Scharführer – dowódca ośrodka poczuł, że zyskuje przewagę. – Bo on rzucił tym bagnetem, leżąc na ziemi i podpierając się jedną ręką.

Manfred zaniemówił.

– Mogę go poznać?

Major z triumfującą miną sięgnął do kieszeni munduru po gwizdek, którym przywoływał adiutanta.

– Jak to zrobiłeś? – spytał Broll stojącego przed sobą blondyna ze skutymi rękami. Byli mniej więcej w tym samym wieku. Może tamten trochę młodszy, ale brudny, z jednodniowym zarostem i zmartwieniem na wiele lat. O ile uda się uniknąć wyroku śmierci.

– Potrafię rzucać nożem – odparł Bruno.

– Bagnetem z kilku metrów? Tego nikt nie potrafi.

Młodszy z braci Janoschek wzruszył ramionami. Nie zamierzał tłumaczyć się przed tym esesmańskim elegancikiem, pies go trącał.

Broll przyglądał mu się z zainteresowaniem, wreszcie skinął na jednego z komandosów.

– Macie noże szturmowe? – spytał.

– Tak jest, panie Scharführer.

– Ile?

– Nasze dwa i pański. To trzy. Są w samochodzie.

– Skocz po nie.

Tamten natychmiast wykonał rozkaz, a kiedy pojawił się z powrotem, Broll poprosił o zdjęcie aresztowanemu kajdanek.

– To niebezpieczny człowiek – ostrzegł major, ale Manfred tylko machnął ręką. Wziął od komandosa trzy sztylety bojowe i podał Brunowi.

Ten roztarł nadgarstki i sięgnął po noże, po kolei ważąc je w dłoni, choć były identyczne.

– No, to pokaż, co potrafisz – Broll wskazał dłonią drewnianą ścianę najbliższej przeszkody.

Bruno instynktownie poczuł, że to egzamin o wiele ważniejszy niż tamten w cyrku Buscha.

Spojrzał na ścianę, ale nagle odwrócił się, zrobił krok do tyłu i zanim komandosi zdążyli zareagować – w mgnieniu oka wbił noże jeden po drugim w wąski słup, na którym wisiała czerwona flaga ze swastyką, poruszająca się na tle czerwcowego nieba, jakby ścierała z niego kurz.

Zapanowała absolutna cisza.

Scharführer Manfred Broll chrząknął i zwrócił się do dowódcy ośrodka:

– Kto jest pańskim przełożonym, majorze?

Dowódca wymienił nazwisko generała z Berlina.

– Jutro – powiedział powoli Broll – ci dwaj moi ludzie przywiozą panu rozkaz generała przekazania aresztanta do dyspozycji Hauptsturmführera Otta Skorzenego z batalionu Friedenthal. Proszę do tego czasu nie podejmować żadnych innych decyzji w tej sprawie – zsalutował, tym razem bez hajlowania. – Pozwoli pan, że się pożegnám.

Ruszył w stronę bramy wraz ze swoimi dwoma cieniami, ale odwrócił się po kilku krokach:

– Jeszcze osobista prośba: będziemy wdzięczni, jeśli pozwoli pan temu człowiekowi skorzystać z łaźni, przyborów toaletowych i kantyny. Kapitan Skorzeny lubi zadowolonych, schludnych i dobrze nakarmionych żołnierzy.

Od kilku minut Bruno Janoschek wpatrywał się w szklane oczy wypchanych zwierząt, które ozdabiały jedną z komnat zamku Friedenthal koło Oranienburga. Przyszło mu do głowy, że gdyby nie to, co zaszło w ośrodku szkoleniowym, być może i on, i Herbert staliby się trofeami „Flinka”. Efektem polowania, które zaczęło się siedem lat temu na opolskim Zaodrze, a zakończyło przed kilkoma dniami w Brandenburgii. Śmiercią myśliwego.

– Na taką zwierzynę nóż nie wystarczy – usłyszał nagle za swoimi plecami i natychmiast się odwrócił.

Na miękkim dywanie, który stłumił odgłos kroków, stał Manfred Broll, a obok niego potężny mężczyzna w mundurze kapitana SS. Jego lewy policzek, od ucha po podbródek, przecinała głęboka blizna.

Młodszy z braci Janoschek wyprężył się w postawie zasadniczej.

– Słyszałem o twoich wyjątkowych umiejętnościach – powiedział olbrzym z blizną i nie czekając na reakcję, zapytał:

– Co tak naprawdę zaszło podczas szkolenia?

– Uratowałem życie bratu, panie Hauptsturmführer – odparł Bruno. – W ostatniej chwili zabiłem człowieka, który go dusił.

– Zabiłeś towarzysza broni, chłopcze. Jesteś teraz w armii, stanowisz jedność z innymi. Tu nie liczą się wasze prywatne bandyckie porachunki. Rozumiesz?

– Ja to rozumiem, panie Hauptsturmführer – potwierdził Bruno. – Ale ten drugi nie rozumiał.

Olbrzymowi spodobała się ta odpowiedź.

– I jeśli można wyjaśnić – wykorzystał moment – nie jestem bandytą.

– Nie odzywaj się niepytany – rzucił Broll, ale Skorzeny uciszył go gestem dłoni.

– Gdzie się nauczyłeś tak rzucać nożem? – spytał.

– W cyrku, panie Hauptsturmführer.

Blizna na twarzy olbrzyma przemieściła się na skutek szerokiego uśmiechu.

- Uwielbiam cyrk. W którym byłeś?
- U Buscha, w Berlinie.
- Widziałem wasze występy w Wiedniu. Ale tam nożami rzucał jakiś Meksykanin. Pamiętam, bo miał śmieszna małpkę, która nosiła takie samo sombrero jak on.
- To mój nauczyciel i mistrz – powiedział Bruno i posmutniał, ale Skorzeny tego nie zauważył.
- Przeszedł się po komnacie z rękami założonymi do tyłu.
- Czyli działałeś w obronie brata – myślał głośno. – Ktoś to może potwierdzić?
- Potwierdza dowódca ośrodka – wtrącił się Manfred.
- To wystarczy – uznał Skorzeny. – Zostaniesz oficjalnie uniewinniony, a wtedy będziesz mógł wstąpić do SS. Z osobistej rekomendacji Scharführera Brolla.
- Zatrzymał się na chwilę. Coś go zastanowiło.
- Skoro nie jesteś bandytą, to dlaczego dostałeś przydział do karnej dywizji? Kombinowałeś coś przeciwko Trzeciej Rzeszy?
- Nie, panie Hauptsturmführer. To z powodów narodowościowych. Matka jest z polskiej rodziny, a ojciec pochodzi z Czech.
- Skorzeny wybuchł śmiechem.
- Ja jestem Austriakiem, a rodzina pochodzi spod Gniezna, które Polacy uważają za swoją historyczną stolicę. To tylko polityka, chłopcze. Nie nasza rzecz. Naszą rzeczą jest walczyć. Doskonale walczyć – podkreślił. – Od polityki są nasi towarzysze z SS, którzy stacjonują tam, kawałek dalej. – Wskazał dłonią ścianę z trofeami, klepnął nowego rekruta w ramię i wyszedł z komnaty.
- Musimy załatwić formalności – powiedział Manfred Broll, gdy zostali sami.
- Co jest tam? – spytał Bruno, odwracając głowę w kierunku, który pokazał Skorzeny.
- Manfred ponownie chciał go zbesztać za zadawanie pytań, ale odpuścił.
- Sachsenhausen – odparł. – Obóz koncentracyjny.

Po capstrzyku miał być jeszcze apel.

Z reguły trąbka zapraszała batalion do snu, ale dziś komandosi z zamku Friedenthal spodziewali się specjalnego gościa. Ich dowódca miał przyjechać z Berlina i zakomunikować coś bardzo ważnego.

Kilka minut po tym, gdy ustawili się w czworobok z pochodniami, na dziedziniec wjechało auto, z którego wysiadł Otto Skorzeny. Miał na sobie wizytowy czarny garnitur, białą koszulę i ciemny krawat, a jego mina zwiastowała dobre wieści.

– Koledzy – powiedział donośnie, stając w środku czworoboku. – Zostałem pilnie wezwany na jutro do Wilczego Szańca, kwatery Führera w Prusach Wschodnich, żeby porozmawiać z Adolfem Hitlerem w cztery oczy. A to oznacza tylko jedno – zrobił teatralną pauzę. – Możemy się spodziewać ważnego zadania. Ruszamy do akcji!

Dziedziniec wypełnił się wiwatami.

Hauptsturmführer uciszył je, podnosząc dłonie.

– Na radość przyjdzie czas, jak już pokażemy, na co nas stać. W co nie wątpię!

Znów zagłuszyły go okrzyki gotowości i werwy.

– A jak tam dzisiejsze szkolenie? – spytał, gdy batalion nieco się uspokoił. – Manfredzie, zdasz raport swojemu dowódcy?

– Rano był marszobieg na dziesięć kilometrów – zameldował Broll. – Potem zajęcia z orientacji w terenie i maskowania. Po obiedzie trening walki wręcz, kurs z obsługi radiostacji i materiałów wybuchowych.

– Kto wygrał marszobieg?

– Janoschek, panie Hauptsturmführer.

– Gratuluję!

Bruno wystąpił z szeregu i złożył krótki, energiczny ukłon.

– To już kolejny raz – przypomniał sobie Skorzeny. – Należy ci się nagroda.

Pomyślał przez chwilę i dodał:

– Masz jutro dzień wolny. Pojedziesz z Scharführerem Brollem do Berlina odwiedzić brata w szpitalu.

– Dziękuję, panie Hauptsturmführer! – krzyknął Bruno, a kilku kolegów poklepało go po plecach.

– Na mnie czas. – Skorzeny spojrzął na zegarek. – Czekać na rozkazy.

Kierowca *kübelwagena* mocno naciskał pedał gazu, choć z Oranienburga do Berlina mieli zaledwie trzydzieści parę kilometrów. Obok niego siedział milczący towarzysz, z którym bez trudu pokonali dziesięciu bandytów w ośrodku szkolenia. Broll i Bruno zajmowali miejsca z tyłu.

Szosa zwężała się za nimi jak piasek przesypany się do dolnego naczynia klepsydry, a pęd powietrza idealnie łagodził lipcowy upał.

Kiedy dotarli pod szpital, Manfred sięgnął pod siedzenie i wydobył stamtąd niewielką paczkę.

– Dla brata – powiedział, wręczając ją Brunowi. – Czekolada, herbatniki, trochę suszonych owoców i prawdziwa kawa – uśmiechnął się. Kwatermistrz batalionu z zamku Friedenthal korzystał chyba z tego samego źródła zaopatrzenia co Kancelaria Rzeszy.

Bruno mocno ucisnął dłoń Scharführera. Umówili się, że Bruno wróci za godzinę.

Herbert siedział na ławce w ogrodzie przed kliniką chirurgii. Ubrany był w piżamę i lekki szlafrok. Bandaż na jego szyi przypominał wykwinnty fular. Nawet w takich warunkach potrafił być elegancki.

Na widok brata poderwał się na równe nogi.

– Boże, Bruno – chwycił go w ramiona. – Byłem przekonany, że cię aresztują i skazą – mówił ochrypłym szeptem. Cały drżał. – Bałem się najgorszego. Że przeze mnie wpakowałeś się w kłopoty z „Flinkiem” i przeze mnie staniesz przed sądem wojennym.

– Jak widzisz, nic mi nie jest. Nawet na tym skorzystałem.

Herbert odsunął go na długość ramion i spojrzął kompletnie zaskoczony.

– Jak to?

– Dostałem nowy przydział.

- Gdzie?
- Do jednostki kapitana Skorzenego.
- Czytałem o nim w „Völkischer Beobachter”. To bohater. Pupil Hitlera – Herbert starał się szeptać jak najkrótszymi zdaniami. Wyraźnie sprawiało mu to kłopot.
- Równy gość – uznał Bruno. – Ale mów lepiej, co u ciebie.
- Wszystko dobrze. Jestem po operacji. Trafiłem na wspaniałego chirurga. To anioł nie człowiek – wzruszył się. – Dzięki niemu mówię. Musisz go poznać – rozejrzał się po parku.
- Byłbym zapomniał – Bruno podał mu paczkę, którą przez cały czas trzymał w rękach. – To dla ciebie. Same rarytasy. Będziesz mógł poczęstować tego swojego anioła.
- Świetna myśl – podchwycił Herbert. – Chodźmy do niego. Na pewno jest na oddziale.
- Chodźmy – zgodził się Bruno. – Ja też powinienem mu podziękować.
- Chirurg okazał się trzydziestoletnim blondynem o szczupłej, inteligentnej twarzy i mądrych oczach. Ucieszył się, ale nie chciał przyjąć prezentu.
- Nie po to pomagam chorym – wyjaśnił z przepaszającym uśmiechem, ale Bruna niełatwo było pokonać.
- Chociaż czekoladę – nalegał. – Dla dzieci.
- Lekarz pokręcił głową, ale wziął tabliczkę i włożył do kieszeni fartucha.
- Wybaczcie – przeprosił – ale muszę już iść. Mam zabieg.
- Tacy ludzie to rzadkość – Herbert odprowadził go wzrokiem. – Zwłaszcza w tych parszywych czasach.
- Wrócili do ogrodu.
- Jakież wieści z domu? – spytał Bruno.
- Greta pisała – szepnął Herbert i urwał na widok cienia, który na moment pojawił się w oczach brata. – Rodzice zdrowi – dodał. – Ojcu ukradli wszystkie pomidory...
- Będę leciał – przerwał mu Bruno i klepnął się w udo.

– Odwiedzisz mnie jeszcze? Mam tu być przez jakiś czas na rehabilitacji. – Mimowolnie dotknął zabandażowanej szyi. – Poza strunami głosowymi „Flink” uszkodził mi kręgosłup.

– Oczywiście, że cię odwiedzę. – Bruno uściskał go, gdy wstali z ławki. – Przecież jesteśmy jedno. Pamiętasz?

Berlin udawał, że nie ma wojny.

Wystrojone kobiety, nieoszczędzające szminek, cieni i pudru, siedziały w kawiarnianych ogródkach, prowadziły za ręce rozbrykane dzieci gotowe wpaść pod tramwaj i spacerowały po trotuarach niczym na pokazie mody. Oficerowie prężyli się jak cyrkowi akrobaci, kwiaciarki zachwalały róże na ulicznych straganach, a kelnerzy zapraszali na południowy *vorspeis*. Nawet policjanci porzucili służbową ponurość.

Miasto chłonęło zapach lata jak opary opium, które dają poczucie spokoju i oddalają złe myśli. Po lipcowym Berlinie tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku nie snuły się widma narzeczonych, mężów, ojców i braci zamarzniętych pod Stalingradem albo spalonych żywcem w czołgach i kabinach messerschmittów. To wszystko działo się gdzieś nierealnie daleko, w zupełnie innym wymiarze. Lipcowy Berlin czterdziestego trzeciego roku, który przez ostatni rok tylko parokrotnie słyszał syreny ostrzegające przed nalotem, nie przyjmował wojny do wiadomości. Pozostawała ukryta w domach, na fotografiach oprawionych w ramki i przepasanych czarną wstążką.

– Skręć na następnym skrzyżowaniu w prawo – polecił kierowcy Manfred. – Zajrzę na Hermannplatz.

Komandos swoim zwyczajem nie powiedział ani słowa.

– Wracam za pół godziny – poinformował Broll, gdy zaparkowali w pobliżu Karstadt. – Chyba że nie będzie wolnego stolika.

Bruno uśmiechnął się do swoich myśli.

– Na górze nadal podają słone precle, panie Scharführer? – spytał.

Broll uniósł brwi.

– Znasz tę knajpę?

– Bywałem tam często, kiedy pracowałem w cyrku.

Manfred zawahał się przez sekundę.

– Wobec tego chodź ze mną. Trzeba ożywiać dobre wspomnienia.

Znaleźli stolik z widokiem na miasto.

– Jak się czuje brat? – spytał Broll.

– O wiele lepiej. Raz jeszcze bardzo panu dziękuję za paczkę dla niego, panie Scharführer.

– Manfred – Broll wyciągnął do niego dłoń. – Mów mi po imieniu, jesteśmy tu prywatnie.

Bruno posłał mu zaniepokojone spojrzenie.

– Nie mogę, panie Scharführer.

– Dlaczego?

– Bo mam do pana prośbę, a nie chciałbym, żeby pan pomyślał, że chcę od razu wykorzystać okazję.

– Nie pomyślę. O co chodzi?

– O brata.

– A jaśniej?

– Wkrótce wyzdrowieje i wróci do tej samej jednostki, w której byliśmy. Do kryminalistów, kumpli tego, którego zabiłem. To mściwi ludzie.

– Co ci chodzi po głowie?

– Może mógłby pan... może mógłbyś – poprawił się upomniany wzrokiem Brolla – porozmawiać z Hauptsturmführerem? Może wzięłby Herberta do naszego batalionu?

– Aż tak się o niego troszczysz?

– Zawsze tak było. Jest starszy, ale to ja go broniłem w szkole i na podwórku.

Manfred na chwilę odwrócił głowę i popatrzył na Berlin.

– Dobry jest?

– To kawał chłopa. Wyższy ode mnie o głowę.

– Nie bujaj mnie, Bruno. Gdyby był dobry, nie musiałbyś go bronić.

Zaczerwienił się.

– Wyszkoli się, sam dopilnuję – zapewnił. – Poza tym Hauptsturmführer nieraz mówił, że potrzebuje ludzi wszechstronnych. A Herbert to bystry facet. Daję głowę, że mógłby być specem od dywersji. Wszystko chwyta w lot. Dobrze prowadzi auto i motocykl, zna się na łodziach...

– No, nie wiem – zastanawiał się Broll.

– Mówi kilkoma językami – przypomniał sobie Bruno. – Po polsku, czesku, po angielsku.

– Po angielsku też?

– W Londynie wzięliby go za Amerykanina. Wyuczył się perfektnie, łącznie z naśladowaniem akcentu. Chciał być aktorem. Przed wojną przez parę lat chodził na zajęcia teatralne. Marzył, że kiedyś wyjedzie do Hollywood.

Broll skapitulował.

– Dobrze, pogadam z Hauptsturmführerem. Zobaczymy, co da się zrobić.

Do zamku wrócili późnym popołudniem. Już z kilkuset metrów dało się zauważyć ożywiony ruch na dziedzińcu.

– Co się dzieje? – Manfred wyskoczył z samochodu, zaczepiając adiutanta Skorzenego.

– Hauptsturmführer przekazał tajną depezę z Wilczego Szańca. Jutro o szóstej rano w pełnej gotowości mamy być na lotnisku Staaken ubrani w mundury strzelców spadochronowych.

– Dokąd lecimy?

– Dowiemy się dopiero w powietrzu. Ale ty nie, Manfred. Tylko trzydziestu wybranych ludzi. Biorę tych dwóch asów z twojej obstawy – zdecydował adiutant. – I Janoschka.

– Dlaczego nie mnie?

– Nie masz doświadczenia bojowego.

– A Janoschek ma?

– Skorzeny go chciał – oświadczył adiutant. – Nie dyskutuj, tylko pomóż mi wyposażyć chłopców. Potrzebują sprzętu i lewych dokumentów.

Następnego dnia, kiedy Bruno wysiadał z samolotu transportowego, miał wrażenie, że znalazł się w rozgrzanym piecu chlebowym.

Brandenburskie lato w porównaniu z włoskim można było uznać za chłodne. Powietrze dryfowało nad pasami startowymi lotniska jak meduza w płytkiej wodzie, a gruczoły potowe natychmiast ruszyły do walki o uregulowanie ciepłoty organizmu. Kilka minut później komandosi Skorzenego byli mokrzy jak po ulewie.

– Teoretycznie jesteśmy wśród sojuszników, ale działamy jak na terytorium wroga – ostrzegł jeden z oficerów, gdy zrobili zbiórkę przed samolotem. – Włosi zdradzili Führera. Obalili swojego przywódcę. Jego następca deklaruje lojalność Trzeciej Rzeszy, ale po cichu dogaduje się z Amerykanami i Anglikami. Musimy się dobrze zakamuflować i zachować najwyższą czujność. Są pytania?

Kilka rąk powędrowało do góry.

– Jeśli interesuje was cel misji – powiedział oficer – to jest ściśle tajny.

Ręce opadły.

Następnego dnia w umówionym miejscu spotkali się ze Skorzenym. Zarządził przegrupowanie, rozdał zadania. Bruna wyznaczył do swojej obstawy.

– Będziemy się przebierać w cywilne łachy – uprzedził. – Mówisz po polsku, prawda?

– Tak jest.

– Dobrze. Masz fałszywe papiery żołnierza Wehrmachtu. Jakbyś wpadł, udawaj dezertera. Mów, że Niemcy wcielili cię do wojska siłą. I jeszcze jedno: po cywilnemu nie będziemy nosić broni palnej. Gdyby doszło co do czego, posługujesz się nożem, jasne?

Bruno potwierdził skinieniem głowy.

Skorzeny wskazał sztylet szturmowy u jego pasa.

– Masz tego więcej?

– Mam dwa. Ale przydałyby się specjalne noże, do rzucania.

Hauptsturmführer pomyślał przez chwilę.

– Muszę jutro być w Rzymie – stwierdził. – Pojedziesz ze mną.

Uroda Wiecznego Miasta zapierała dech. Bruno nie potrafił oderwać oczu od budowli, które w niczym nie przypominały zwalistych gmachów Berlina. Miasto skąpane w słońcu wydawało się uśmiechać do ludzi, choć wyraźnie czuć w nim było nerwowość.

Pod koniec lipca, po potężnym nalocie na Rzym, Wielka Rada Faszystowska pozbawiła Mussoliniego stanowiska premiera. Chwilę później go aresztowała. Nikt nie miał już wątpliwości: Włochy weszły na ścieżkę porozumienia z aliantami. Niby nadal były sojusznikiem Trzeciej Rzeszy, niby nadal wyznawały faszyzm, ale następca Mussoliniego ogłosił rozejm. Zjadacze makaronu odłożyli broń i sięgnęli po *cannoli*. Hitler wpadł w szal. A nazajutrz rano wysłał do Rzymu swój bicz boży, czyli Skorzenego i jego najlepszych ludzi.

Rzym sprawiał wrażenie zdeorientowanego.

Niemców, którzy do wczoraj byli traktowani jak *amici*, dziś zaczęto uważać za okupantów. Włoscy fryzjerzy, listonosze, właściciele pizzerii, urzędnicy, policjanci i mafiosi już ich nie chcieli. Chcieli Amerykanów. Skończyła się uprzejmość, uśmiechy i perskie oczka puszczone przez ogniste brunetki wyblakłym blondynom w mundurach Wehrmachtu. Zaczęła się wzajemna nieufność, z której nigdy nie wynika nic dobrego.

Janoszek ze Skorzenym zatrzymali się przy fontannie Neptuna na Piazza Navona. Czekali na kogoś, z kim umówił się Hauptsturmführer. Byli w cywilnych ubraniach, dlatego kilka przechodzących obok młodych kobiet obrzuciło ich zaciekawionymi spojrzeniami. Zatrzymywały wzrok zwłaszcza na olbrzymie z wąsami, zawadiacką miną i blizną przez pół twarzy, ale Skorzeny tym razem nie zwracał na to uwagi. Milczący i maksymalnie skupiony co chwilę zerkał na zegarek.

Człowiek, na którego czekał, pojawił się chwilę później.

Miał trudną do zapamiętania twarz. Nosił szerokie spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami – identyczny strój jak połowa mężczyzn na placu. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne.

– Zostaw nas – powiedział Skorzeny, zanim tamten zdążył się zbliżyć. Bruno ruszył w stronę Campo di Fiori.

Hauptsturmführer i jego znajomy przysiedli na kamiennym obramowaniu fontanny. Rozmawiali. To znaczy tamten mówił, a Skorzeny słuchał, od czasu do czasu notując coś kawałkiem ołówka na pudełku papierosów. Wreszcie wstali i dowódca przywołał Bruna gestem dłoni.

– To nasz przyjaciel z Rzymu – Skorzeny przedstawił nieznanego, nie wymieniając nazwiska.

Podali sobie dłonie.

– Jak mogę panu pomóc? – spytał ten w ciemnych okularach.

– Nie rozumiem – Janoszek wpadł w konsternację.

– Kapitan Skorzeny mówił, że potrzebuje pan jakichś noży.

Teraz zrozumiał.

– Tak – przytaknął. – Najlepiej, jakby były...

– Chodźmy – przerwał mu człowiek w okularach. – Znam warsztat ślusarski niedaleko stąd.

Mężczyzna w przetłuszczonym kombinezonie i chustce na czole, na której tkwiły okulary ochronne, przywitał ich jak starych znajomych.

Przyjaciel Skorzenego natychmiast przeszedł na włoski i tłumaczył, na czym polega zamówienie Bruna. Ślusarz słuchał i kiwał głową, dokładając do każdego gestu kilkadziesiąt słów wypowiedzianych z szybkością karabinu maszynowego. Wreszcie poszedł na zaplecze warsztatu i przyniósł stamtąd szkolny zeszyt oraz ołówek.

– Chce, aby pan narysował dokładny kształt, na jakim panu zależy – przetłumaczył człowiek w ciemnych okularach, których nie zdjął nawet w pomieszczeniu.

Bruno spełnił prośbę, wyjaśniając przy okazji kilka detali.

– Czy może na dziś wieczór zrobić trzy takie noże? – spytał, ale gdy ślusarz usłyszał to samo po włosku, zaczął machać przecząco rękami i wzywać Madonnę.

– Nie może – odparł przyjaciel Skorzenego. – Nie ma odpowiednich okładzin na rękojeści. Jutro kupi i noże będą na pojutrze.

– Nie potrzebuję okładzin – stwierdził Bruno. – Niech to będą jednolite kawałki stali. Owinę je taśmą.

Właściciel warsztatu popatrzył na niego jak na wariata. Stał niezdecydowany i wtedy do akcji wkroczył pierwszy komandos Hitlera.

Wyjął plik funtów brytyjskich, za który mógłby kupić całą tę budę wraz z maszynami, i odliczył dwa banknoty.

– Powiedz mu – zwrócił się do tłumacza – że jeśli wykona zamówienie na dziś wieczór, dostanie drugie tyle.

Ślusarz rozpromienił się, jakby Madonna we własnej osobie przyszła mu z pomocą, i entuzjastycznie pokiwał głową.

– Za takie pieniądze sam bym te noże zrobił – stwierdził z żalem Bruno, gdy pożegnali się z człowiekiem w ciemnych okularach.

– Nie opłacałoby ci się – roześmiał się Skorzeny. – To fałszywe funty. Mam ich cały plecak.

Bruno popatrzył na niego zaskoczony.

– A jeśli on się do wieczora zorientuje...

– Przestań jęczeć jak baba – skarcił go dowódca. – Banknoty są dziełem najlepszych niemieckich fałszerzy. Sam dyrektor Banca d'Italia by się nie zorientował.

Dzień później ruszyli w podróż, która trwała cały sierpień. Sardynia, wyspa Ponza, znów Rzym i jakaś miejscowość nad jeziorem Bracciano. Skorzeny czegoś szukał. Węszył jak pies myśliwski, badał tropy, spotykał się z dziesiątkami informatorów. Zawsze w innym wcieleniu. Udawał przedsiębiorcę, handlowca, nawet żeglarza. Za wiadomości, jakie były mu potrzebne, hojnie płacił w funtach brytyjskich.

Bruno nie uczestniczył w rozmowach. Trzymał się na dystans, ale był cieniem dowódcy. Nauczył się prześwietlać otoczenie jak aparat Roentgena. Reagować na każdy niepokojący ruch, nietypowe zjawisko, podejrzanych ludzi. Patrzył. A trzy nowe noże, niemal identyczne jak te w cyrku, czekały na jego rozkazy ukryte w ubraniu. Od butów po kołnierz marynarki.

Na początku września sprawy się skomplikowały. Alianci uderzyli na Półwysep Apeniński, a rząd Włoch ogłosił kapitulację. Teraz naprawdę

byli na terytorium wroga.

Trzy dni później po raz kolejny pojechali do Rzymu.

Ten sam człowiek w tych samych przeciwslonecznych okularach czekał pod tą samą fontanną na Piazza Navona.

Przywitał się ze Skorzenym, potem z Janoschkiem.

– No dobra, zuchu – dowódca komandosów klasnął w dłonie. – Zabezpieczaj tyły.

Bruno odszedł.

– Wszystkie twoje informacje okazały się przydatne – powiedział Skorzeny, gdy zostali sami z człowiekiem w ciemnych okularach. – Ale miałem pecha. Parę razy spóźniłem się dosłownie o parę godzin. Cały czas go przewożą z miejsca na miejsce. Raz w przebraniu, innym razem w ambulansie jako pacjenta. Może mu zakładają perukę i przyklejają brodę, co?

– Dziwisz się? – spytał tamten. – To Mussolini. Gdyby makaroniarze oddali go Amerykanom, wojna mogłaby się skończyć szybciej, niż myślimy. Obecny rząd w Rzymie chętnie by to zrobił, ale wojska naszego Führera nadal tu są i trzymają ich za mordę. Nie mają jak przekazać Mussoliniego jankesom. Dlatego koncentrują się na tym, żebyśmy my, Niemcy, go nie odbili, bo wtedy sytuacja może się odwrócić: faszyzm gotów się odrodzić, a jego zwolennicy znów stanąć do walki po stronie Hitlera.

– Drobiazg. Trzeba tylko znaleźć Mussoliniego. – Skorzeny zmarszczył brwi. – Igłę w stogu siana.

Człowiek w ciemnych okularach popatrzył na niego uważnie.

– Właśnie dlatego chciałem się z tobą spotkać – powiedział. – Chyba go wreszcie namierzyliśmy.

Skorzeny oblizał wargi.

– Jesteś pewien?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Na jakiej podstawie?

– Wykryliśmy nadzwyczajną aktywność włoskiej radiostacji w masywie Gran Sasso. Mówię ci, to on.

– Skąd ta pewność?

– Tam jest ośrodek narciarski. Bardzo wysoko. Praktycznie niedostępny. Można się do niego dostać tylko kolejką linową. Na dole broni jej pięćdziesięciu karabinierów. Na górze jest ich cztery razy tyle.

– Skąd wiesz?

– Zwiad lotniczy.

– No to zaatakujemy z powietrza.

– Wykluczone. Jeśli wyląduje tam samolot, to tylko najlżejszy. Dwuosobowy. O desancie możesz zapomnieć.

– Bo?

– Bo na tej wysokości człowiek na spadochronie spada dwa razy szybciej. Z twoich ludzi zostaną mokre plamy.

Skorzeny się zamyślił.

– Wobec tego szybowce – powiedział. – Wylądują? – spytał z wyczekiwaniem.

– No, jest tam kawałek łąki... Ale i tak pewnie się rozbiją.

Hauptsturmführer klepnął go w plecy.

– To już moje zmartwienie – uznał i podał człowiekowi w ciemnych okularach dłoń na pożegnanie.

Do Bruna podszedł minutę później.

– Byłeś kiedyś w górach? – spytał wyraźnie podekscytowany. Nie trzeba go było znać, żeby się domyślić, że znalazł swój trop.

– W Sudetach, panie Hauptsturmführer.

– To teraz wybierzemy się jakieś dwa kilometry wyżej. Jesteś gotowy?

– Tak jest.

– Dobrze. Przeprowadzimy operację, która jest ryzykowna, ale jeśli zrobimy to dobrze, kiedyś będą o nas pisać książki i kręcić filmy. Najważniejsze, żebyśmy działali szybko i cicho. Im później padnie pierwszy strzał, tym lepiej. Rozumiesz?

Bruno zacisnął dłoń na nożu ukrytym w kieszeni i skinął głową.

Trwająca dwanaście minut akcja w ośrodku narciarskim Campo Imperatore sprawiła, że świat wstrzymał oddech, a Skorzeny stał się legendą. Odnalazł i uwolnił Benito Mussoliniego, którego Włosi aresztowali i ukryli na niedostępnej górze Gran Sasso.

Hitler oszaleje z radości.

Tymczasem szaleli komandosi z zamku Friedenthal. Z triumfem spoglądali na zrezygnowanych włoskich karabinierów, którzy nie oddali ani jednego strzału, oraz kwaśne miny spadochroniarzy Luftwaffe. Byli o wiele liczniejsi niż ludzie Skorzenego, a jednak dali się wyprzedzić i odebrać sobie palmę pierwszeństwa. Mieli zagrać główne role w tej sztuce, ale zanim się obejrżeli, brawurowy Hauptsturmführer zafundował im jedynie miejsca na widowni.

Teraz eskortował uradowanego Mussoliniego do niewielkiego samolotu kołującego na górskiej polanie. Skorzeny pomógł Duce wsiąść do kabiny, po czym bez wahania wpakował tam swoje stukilowe cielsko.

– Muszę osobiście dostarczyć „przesyłkę” Hitlerowi – wyjaśnił przerażonemu pilotowi.

– Nie podniesiemy się – ostrzegł lotnik, ale beztronski Hauptsturmführer tylko machnął ręką.

– Leć, pan. Nie gadaj.

Przeciążona maszyna oderwała się od górskiej łąki, zasłanej wrakami szybowców, dosłownie na ostatnich metrach przed urwiskiem, a potem omal nie roztrzaskała się o ostre skały Gran Sasso. Ale poleciała.

Zmierzchało, gdy bohaterowie z Campo Imperatore kilka dni później wrócili do zamku witani jak gwardziści Cezara po wyprawie egipskiej.

Bruno rozpakowywał plecak, gdy wyrósł przed nim podoficer ze sztabu Skorzenego.

– Masz się zameldować u Hauptsturmführera – powiedział i odszedł.

Ucieszył się. Wezwanie mogło oznaczać tylko jedno: oficjalną pochwałę za postawę podczas akcji w Apeninach. Kto wie, może nawet Krzyż

Żelazny. Przeczesał grzebieniem włosy, poprawił mundur i parę minut później zapukał do drzwi gabinetu dowódcy.

Skorzeny był zdenerwowany. Obok stał Manfred Broll z kamienną twarzą.

– Mamy złą wiadomość – powiedział krótko dowódca. – Manfred, proszę – oddał głos Scharführerowi.

Broll nabrał powietrza.

– Twój brat nie żyje.

Bruno poczuł silny zawrót głowy. Zachwiał się, ale tamci nie zareagowali. W takich chwilach trzeba zachować twardość. Zwłaszcza tu, w zamku Friedenthal.

Nie potrafił wykrztusić ani słowa.

– Powiadomiłem Hauptsturmführera o twojej prośbie – powiedział Manfred, zerkając na Skorzenego, który potwierdził to ruchem głowy. – Osobiście wystąpiłem do władz szpitala, aby na razie nie wysyłali Herberta do macierzystej jednostki. Zgodzili się. Jednak do załatwienia formalności z dowództwem 999. dywizji potrzebny był osobiście Hauptsturmführer Skorzeny, ale tego samego dnia został pilnie wezwany do Wilczego Szańca, a stamtąd poleciał na misję do Włoch. Nie było was kilka tygodni. Szpital nie mógł czekać. Twój brat całkowicie wyzdrowiał i musiał wracać do swojej jednostki.

– Czy... – Bruno miał problem z wydobyciem głosu przez ściśnięte gardło. – Czy to kryminaliści od „Flinka”?

– Nie – uciął Manfred. – Resztki 999. dywizji i jej uzupełnienie zostały wysłane do Grecji. Kilka dni później twój brat zginął tam w walce z partyzantami.

– To jest wojna, synu – wtrącił twardo Skorzeny. – Wszyscy musimy liczyć się ze śmiercią. Moje kondolencje. Możecie odejść.

– Jak to się stało? Wiesz? – Bruno zatrzymał Manfreda, gdy wyszli na korytarz.

Broll opuścił głowę.

– Herbert z kolegami z patrolu natknęli się na grupę greckich partyzantów. Zanim zdążyli otworzyć ogień, tamci ich zauważyli i się poddali. Odłożyli broń na ziemię i podnieśli ręce do góry. Nasi ruszyli w ich kierunku, nie mając pojęcia, że dzielący ich obszar stu metrów jest gęsto zaminowany. To była pułapka. Zginęli wszyscy. Z ciał nie było co zbierać.

Bruno milczał. Po policzkach spływały mu dwie ciężkie łzy.

– *Timeo Danaos et dona ferentes* – powiedział Manfred.

– Co to znaczy?

– Strzeżcie się Greków, nawet kiedy niosą dary – przetłumaczył. – Cytat z Wergiliusza. Znasz?

– Nie. Ale Herbert znał na pewno – powiedział cicho i nagle dotarła do niego bolesna świadomość, że w tandemie braci Janoszek zawsze któryś wiedział coś lub potrafił coś za tego drugiego. Bić się, czytać poezję, gwizdać na palcach, recytować w kółku teatralnym, rzucać nożami i grać na pianinie. Uzupełniali się. Nigdy już tak nie będzie.

– Chciałbym zapamiętać te słowa – powiedział ze złym błyskiem w oku.

– Z czego to?

– Z *Eneidy*. Opowieści o Troi, mieście, które Grecy zdobyli, udając pokonanych i przedostając się za mury we wnętrzu drewnianego konia. To podstępny naród.

Bruno zatonął w myślach.

– Muszę się dowiedzieć, gdzie dokładnie zginął Herbert – powiedział. – Do kogo mam napisać w tej sprawie? Pomożesz mi?

– Nie musisz pisać – odparł Manfred. – To się stało na wyspie Rodos. Nie powinienem ci tego ujawniać, bo to tajemnica wojskowa. Tam wciąż trwają działania wojenne.

– W jakiej miejscowości?

– W górach.

– Znasz ich nazwę?

Broll spojrzał na niego lekko zniecierpliwiony.

– Nie, ale to było gdzieś w pobliżu najwyższego szczytu na wyspie.

Bruno pokiwał głową, a jego twarz wykrzywił grymas bólu:

– Muszę zawiadomić rodziców – powiedział. – I żonę Herberta – dodał po chwili dziwnym tonem, który nie uszedł uwagi Brolla. Scharführer spojrzał na niego badawczo.

– Nie wiedziałem, że miał żonę – powiedział i nie spuszczać oczu z Bruna, dodał: – Jeśli wolisz, to zawiadomi ją dowództwo dywizji.

Janoschek skwapliwie pokiwał głową.

CZEŚĆ DRUGA

*Bogowie inaczej
raczyli rozsądzić*

(Wergiliusz, *Eneida*, ks. II, w. 428)

ROZDZIAŁ 7.

Stuttgart – Madryt,
wiosna 1945 – lato 1952 roku

Niski Alzacyjny o twarzy pucołowatej jak dynia i włosach koloru marchwi wytrzasnął skądś fotel obity purpurowym aksamitem, być może pamiętający jeszcze Napoleona. Kazał dwóm żołnierzom ustawić mebel na placu prowizorycznie ogrodzonym drutem kolczastym i rozwalił się w nim z miną imperatora. Miał na sobie mundur sierżanta francuskiej armii „Ren i Dunaj”, a obok siebie dowódcę w randze podporucznika.

Podporucznik był chudym brunetem o cerze gruźlika, niemal przezroczyściej i bladej jak pietruszka. Paskudnie kaszłał. Gdyby ubrać go w beret i pelerynę poplamioną farbami, mógłby uchodzić za impresjonistę, który najdalej pojutrze umrze na suchoty. A wtedy jego obrazy, zalegające pracownię i niebudzące zainteresowania nawet pijanych marszandów, sprzedadzą się w zawrotnych cenach od Paryża po Nowy Jork.

Śmierć nobilituje artystów, nie żołnierzy, dlatego podporucznik trwał na posterunku z wybitnie smutną miną. Musiał zadowolić się krzesłem dostawionym do stołu, na którym leżało coś w rodzaju księgi kondolencyjnej, a podporucznik wpisywał w niej personalia pokonanych żołnierzy Hitlera.

Wczoraj mianowano go komendantem tymczasowego obozu dla jeńców wojennych. Bez etatu sekretarza. Za to z rudym pyszałkowatym tłumaczem, który nie mówił poprawnie ani po francusku, ani po niemiecku, jednak sprawiał wrażenie, jakby on był tu najważniejszy. Podporucznik znosił to z arystokratyczną godnością.

Bruno Janoschek, trzeci w kolejce do stołu, powtarzał w myślach wyuczoną legendę i błogosławił Skorzenego za lewe dokumenty, jakie

dowódca rozdał im przed akcją odbicia Mussoliniego, a potem pozwolił zostawić na pamiątkę. Żeby mogli pokazywać wnukom.

Bruno wnuka nie miał, ale w tej chwili zastępował go chuderlawy Francuz, wyraźnie zmęczony wojną.

– SS? – spytał, a siedzący obok rudzielec o posturze antałka przetłumaczył:

– SS?

– Nie – skłamał Janoschek, pokazując wojskowe dokumenty i blaszki Wehrmachtu. Miał na sobie brudny mundur szeregowca piechoty, który dobrał sobie kilka dni temu na peryferiach miasta. Trupów nie brakowało. Wystarczyło znaleźć takiego w miarę w dobrym stanie, który jeszcze nie śmierdział i miał odpowiednie rozmiary. Biegły w technice kamuflażu Bruno odwdzieczył się swojemu martwemu dobroczyńcy, oblekając go w polowy kombinezon komandosa SS, a następnie ściągnął mu z szyi nieśmiertelnik i cisnął w krzaki.

– Służyłeś we Włoszech? – spytał chudzielec przez rudzielca.

– Tak jest, panie poruczniku.

– Sprawdźmy – ostrzegł go rudy, ale Janoschek wcale się tym nie przejął. Gdyby chcieli prześwietlić tłum chętnych do niewoli, zajęłoby to im kolejne kilka lat. Tymczasem zbombardowany Stuttgart czekał na odgruzowanie.

Odprowadzany groźnym spojrzeniem sierżanta rozpartego w fotelu Bruno znalazł sobie kawałek ziemi obok ogrodzenia. Czekąca go noc pod gołym niebem, ale podczas walk w Ardenach bywało o wiele zimniej i niebezpieczniej. A tu przynajmniej nikt do niego nie strzelał. A do tego pracującym jeńcom dawano jeść.

Usiadł po turecku, starając się nie myśleć o niczym, gdy jego uwagę przykuł patrol trzech francuskich żołnierzy idących powoli po tamtej stronie drutów i obserwujących teren obozu.

Mówili po polsku.

W pierwszej chwili chciał się poderwać, podejść i pozdrowić ich w języku, w którym rozmawiali w domu z Herbertem, ale w porę się

opamiętał. Dla tych żołnierzy był Niemcem. Albo jeszcze gorzej: Polakiem, który włożył niemiecki mundur, stając po stronie oprawców i morderców własnego narodu. Nie, to był stanowczo zły pomysł.

Kapral dowodzący patroliem podchwycił jego zaciekawione spojrzenie.

– Na co się gapisz, szwabska świnió? – spytał zaczepnie.

Bruno uśmiechnął się szeroko i bezradnie rozłożył ręce, udając, że nie rozumie dziwnego języka.

Kapral splunął w jego kierunku.

On i jego towarzysz należeli do Zgrupowania Piechoty Polskiej armii „Ren i Dunaj”, która zdobyła Stuttgart. Walczyli we wrześniu 1939 roku, potem przez Węgry i Rumunię przedarli się do Francji. Przez całą okupację byli w tamtejszym ruchu oporu i nienawidzili Niemców z całego serca.

Identycznie jak Bruno Greków.

Od śmierci Herberta modlił się, aby komandosów z zamku Friedenthal przerzucono na Rodos, gdzie greccy partyzanci zamordowali starszego z braci Janoschek. Właśnie tak: zamordowali. Bruno nigdy nie przyjął do wiadomości, że Herbert zginął na wojnie śmiercią żołnierza. Podstępne zwabienie go w pułapkę, gdzie został rozerwany przez minę, uznał za zbrodnię. Łaknął krwi. Jego umysł nauczony koncentracji na jednym punkcie, w który ma trafić nóż, miał też jeden cel: zabijać Greków. Codziennie przez niemal dwa lata prosił Boga, aby dał mu wojnę, która to umożliwi, ale Bóg nie słucha modlitw o zemstę.

Uważał, że ma na nią wyłączność.

Pył zburzonego miasta był wszędzie.

Po godzinie pracy zamieniał włosy w siwą skorupę, zatykał uszy i wiercił w nosie jak tabaka, prowokując kichanie, za które można było dostać kopniaka od strażników. Wzerał się w skórę i wypełniał usta, zabierając ślinę. Wzniecały go setki kilofów i łopat, a wspomagało słońce, które przez całe lato uparcie zamieniało gruzy dawnej starówki Stuttgartu w płową pustynię.

Bruno przestał zwracać uwagę na brud, czyraki i strużki potu, które spływały po skórze pokrytej pyłem i tatuowały na niej swoje wzory. Co jakiś czas podchodził do przeraźliwie chudego starca, na którym wisiały strzępy podkoszulka Wehrmachtu. Żywy szkielet był zbyt wycieńczony, aby pracować, dlatego wydawał wodę. Nabierał jej do manierki wprost z zardzewiałego blaszanego wiadra i podawał spragnionym, obserwując ich jabłka Adama i licząc łyki. Wolno było wziąć trzy, inaczej traciło się prawo do następnego podejścia.

Janoschek zamachnął się oskardem na spory kawałek muru, gdy w pobliżu zatrzymało się dwóch polskich strażników. Oparli karabiny o cokół dawnej fontanny, wytarli spocone czoła rękawami mundurów i zapalili papierosy.

Od tej chwili uderzał w mur tak, aby nie uronić ani słowa.

– Wkrótce likwidujemy ten bajzel – powiedział starszy z żołnierzy, wskazując dłonią z papierosem pracujących jeńców.

Młodszy zrobił pytającą minę i wykonał gest sugerujący rozstrzelanie z karabinu maszynowego.

– Niestety, nie – wyjaśnił starszy. – Czerwony Krzyż zrobił raban, że przetrzymujemy szwabów na gołej ziemi w „niehumanitarnych warunkach” – zakpił, cytując sformułowanie, które gdzieś usłyszał, ale z pewnością się z nim nie zgadzał. – Gryzpiórki już zapomniały, w jakich warunkach te bydlaki więziły naszych w obozach koncentracyjnych.

Młodszy z oburzeniem pokręcił głową.

– I co niby chcą z nimi zrobić? – spytał.

– Hołotę mają wywieźć do Anglii – poinformował starszy. – Do pracy na farmach tych, którzy zginęli na wojnie. A oficerów zabierają do dawnego łagru w Sachsenhausen.

Bruno wyłowił dźwięk znajomej nazwy i tym bardziej nastawił uszu.

– Ale zanim to nastąpi, będzie śledztwo – dodał starszy.

– Śledztwo?

– Komenda obozu wysłała Amerykanom dokumenty wszystkich, których tu trzymamy.

– Na co im to?

– Jankesi urządzają wielkie polowanie na esesmanów. Czytałem w biuletynie, że chcą przetrzepać każdego fryca. Mają dostęp do szwabskich archiwów i sprawdzają papiery. Nasz komendant z nimi gadał. Powiedzieli, żeby im przekazał dokumenty, to sprawdzą, które są fałszywe. Ponoć w obozach dla jeńców ukrywa się cała masa tych skurwysynów z SS.

– Co z nimi zrobią?

– Zamkną w więzieniach i postawią przed sądem jako zbrodniarzy wojennych. Mam nadzieję, że wszystkich powieszą – dodał i zaciągnął się dymem wraz z pyłem, który natychmiast wywołał u niego atak kaszlu.

Następnego dnia Bruno wypił o wiele więcej wody, niż było wolno, wywołując skrzeczący protest starca od wiadra, który przysiągł, że dziś nie da mu już ani kropli. Wrócił do pracy, odłożył kilof, rozpiął rozporek i ostentacyjnie oddał mocz na stertę odzyskanych cegieł.

Francuski strażnik zamarł z oburzenia, a kiedy ponownie ożył, ruszył pędem w kierunku jeńca i walnął go otwartą dłonią w tył głowy.

Bruno się zachwiał. Udawał kompletnie zaskoczonego.

Francuz szarpnął go za rękaw i odprowadził, popychając, do sąsiedniego komanda, gdzie pracowali ci, którzy zostali ukarani. Oczyszczali piwnice zbombardowanych kamienic, wynosząc gołymi rękami gruz i szczątki pogrzebanych pod nim ciał. Nie było dnia, aby któryś nie zginął od niewybuchu lub miny pozostawionej przez kumpli z Wehrmachtu broniących miasta parę miesięcy temu.

Brunowi właśnie o to chodziło.

Znał te piwnice. Wielokrotnie lądował tu za przewinienia i wiedział, że przed wojną należały do właściciela kilku sąsiednich sklepów. Łączyły się. Można było nimi przejść na drugą pierzeję placu, o czym Francuzi nie wiedzieli, bo nigdy nie schodzili na dół w obawie przed minami.

Kilka dni wcześniej, podczas wynoszenia cuchnących trupów, trafił na „votulię”, czyli minę niespodziankę o dużej sile. Znał ją doskonale

ze szkolenia saperskiego w batalionie Friedenthal. Miała chemiczny zapalnik wraz z czułą spłonką pobudzającą.

Delikatnie oczyścił ją z pyłu i ukrył.

Dziś wrócił z kawałkiem grubej liny, świeczką i zapałkami, kupionymi za papierosy. Wybrał odpowiednie miejsce w jednej z piwnic, ustawił „votulię”, a nad nią umieścił spory odłam muru. Oparł go na murowanej półce i przywiązał liną do zawiasu, który został po drzwiach. Pod sznurem zbudował konstrukcję z cegieł i umocował na niej świeczkę, zapalając knot. Za kilka minut płomień przepali napięty sznur, a ten zwolni kawał muru oparty tak, aby stracił równowagę i runął wprost na minę.

Wybiegł na korytarz, którym nadchodziło dwóch innych jeńców z nosiłkami do transportu zwłok.

– Spieprzajcie stąd! – ostrzegł. – Zaraz tu będzie wielkie bum.

Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać.

Na szczęście ten fragment podziemi był już uprzątnięty z gruzu, co pozwoliło na szybką ewakuację. Jeńcy uciekli, porzucając nosiłki, a on uskoczył w bok do pomieszczenia, które wydawało się bezpieczne.

Parę chwil później ściany piwnicy zadrżały od silnej eksplozji.

Kilogram materiału wybuchowego zrobił swoje, burząc więcej, niż Bruno przypuszczał. Doskonale. Francuzi czmychną jak zające i wrócą dopiero wtedy, gdy nabiorą pewności, że eksplozja nie uruchomi innych ładunków ukrytych w piwnicach. Uznają, że jakiś szkop wlaźł na niewybuch. Nawet nie policzą, ilu jeńców zeszło do piwnic, a ilu z nich wyszło. Nikt się tym nie przejmował. Życie żołnierzy Hitlera nie miało żadnej wartości.

Na wszelki wypadek Bruno zamaskował wejście do swojej kryjówki i czekał na wieczór, aż ucichną odgłosy prac. Usiadł, oparł się plecami o mur i natychmiast zasnął.

Wyjrzał, kiedy zyskał pewność, że zapadł zmrok.

Chyłkiem przedostał się przez ruiny, ruszając na wschód w stronę rzeki Neckar. Peryferyjne dzielnice Stuttgartu były znacznie mniej okaleczone przez wojnę, a francuskie patrole zapuszczały się tu o wiele rzadziej.

Bo i po co? Lokatorami przedmieść byli w miarę zamożni mieszczaństwo, a tacy mają w genach dbanie o własne tyłki i majątki. Nie sprawiają kłopotów i obojętnie stosują się do przepisów, bez względu na to, czy wprowadza je Führer, czy okupant.

Tu był inny świat. W śródmieściu, cuchnącym beznadzieją i odchodami, tysiące ludzi żyło jak szczury, koczując w ruinach i zagryzając się w walce o coś do jedzenia. Tu pachniały ogrody, okna miały szyby, a na balkonie jednej z willi Bruno dostrzegł w świetle księżyca wietrzącą się kołdrę. Kołdrę! Usiłował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni spał pod kołdrą, ale było to zbyt trudne. Nagle zapragnął jej całym sobą.

Zręcznie przeskoczył parkan posesji, wdrapał się po rynnie i przyczaił na balkonie, kontrolując sytuację. Przedmieście spało. Kołdra była gruba i zupełnie nie nadawała się na gorącą letnią noc, ale sam jej dotyk hipnotyzował. Zwłaszcza po kilku tygodniach spania na gołej ziemi.

Bruno przesunął po niej dłonią i nagle oprzytomniał.

Był komandosem z zamku Friedenthal. Wyszkolono go, jak przetrwać, a nie ulegać zgubnym sentymentom. Zabierze kołdrę i co? Rano cała dzielnica dowie się, że w sąsiedztwie grasuje złodziej, i odtąd będzie podwójnie czujna. Zabierze kołdrę i co z nią zrobi? Schowa do kieszeni? Kołdrę łatwiej znaleźć niż człowieka. Człowiek potrafi się kryć i maskować. Kołdra nie.

Pożegnał się z nią jeszcze jednym dotknięciem i po tej samej rynnie zszedł do ogrodu. W rogu przy parkanie stała opuszczona altana. Miała drewniane ażurowe ściany, solidny dach i podłogę. Położył się na deskach, które po obozowym klepisku wydały mu się miękkim materacem, i nawet nie skojarzył, kiedy zasnął.

Obudził go szmer.

Otworzył oczy i w tej samej sekundzie napiął mięśnie odpowiedzialne za to, aby się zerwać i walczyć.

Przed nim stał zgarbiony człowiek. Miał białe włosy, twarz pokrytą pajęczyną zmarszczek i długi pikowany szlafrok, choć noc nie była ani trochę chłodna. W ręku trzymał lampę naftową.

– Jest pan żołnierzem? – spytał. – Ukrywa się pan?

Bruno uniósł się na łokciach i skinął głową.

– Proszę do domu – powiedział starzec i ruszył przodem, nie czekając na jego reakcję.

Weszli do niewielkiego holu, a stamtąd do salonu, gdzie w wypłóviałym fotelu siedziała krucha starsza pani, z pewnością po siedemdziesiątce.

Bez słowa wskazała mu miejsce przy stole, na którym stał kubek gorącej zbożowej kawy, a na talerzyku leżała kromka czarnego chleba z marmoladą tak twardą, że pewnie trzeba było ją kroić nożem.

Bruno musiał się powstrzymać, aby nie rzucić się na jedzenie jak wygłodniałe zwierzę. Powoli gryzł, żuł i unosił brwi na znak niewypowiedzianej rozkoszy.

– Nasz syn i wnuk zginęli na wojnie – pani domu wyjaśniła powód gościnności.

– Byli w SS? – wypalił Bruno, przełykając kęs chleba.

Staruszkowie popatrzyli po sobie w popłochu.

– Nie... – zaczął niepewnie siwy mężczyzna, ale od razu dało się wyczuć, że kłamstwo nie jest jego najmocniejszą stroną.

– Pytam – uspokoił ich Bruno – bo nie widzę ich zdjęć. – Wskazał ruchem głowy galerię fotografii stojących na komodzie. – Matki i żony boją się dziś wystawiać na widok nasze portrety w mundurach SS – dyskretnie podkreślił słowo „nasze”

Gospodarze odetchnęli z ulgą.

– Może pan spać na strychu – powiedział staruszek. – Jak długo pan chce. Jutro żona da panu jakieś ubranie po synu.

Bruno spojrział na niego zaskoczony.

– Dobry z pana człowiek – dodała staruszka. – Nie ukradł pan naszej kołdry.

Dwa dni później Bruno wyszedł na zwiad.

Ubrany w przykrótkie spodnie i ciasną koszulę syna starszych państwa starał się iść swobodnie. Nerwowość, rozglądanie się, szybki krok przykuwają uwagę. Nienaturalność jest jak reflektor w teatrze, który kieruje krąg światła na postać na scenie i wskazuje widzom, gdzie mają patrzeć.

Naturalność jest jak mrok. Łatwiej się w niej ukryć.

Na pobliskim skwerze rdzewiał czołg rozstrzelany przez pocisk z rusznicy przeciwpancernej. Zerwana gąsienica, wyciągnięta na trawniku jak ręka prosząca o ratunek, zdążyła pokryć się drobnymi roślinami, które prędzej czy później maskują skutki wojen. Obok wraku kilku gówniarzy, zbyt młodych na Hitlerjugend, bawiło się nożem szturmowym, przekrzykując się podczas prób wbicia go w ziemię po wykonaniu półobrotu.

Bruno poczuł znajome mrowienie w dłoni, ale nie zareagował. Chętnie pokazałby smarkaczom parę sztuczek, ale uznał, że zwrócenie na siebie uwagi byłoby fatalnym błędem. Nie po to uczył się w zamku Friedenthal, jak się stać niewidzialnym.

Nogi same zanosły go do śródmieścia.

Nie miał żadnych dokumentów, ale służba u Skorzenego dawała pewność, że w razie czego sobie poradzi. Wybierał miejsca, gdzie łatwo było odskoczyć w ruiny, a zwłaszcza te, które doskonale znał, bo sam je odgruzowywał.

Pokręcił się do popołudnia, obserwując i notując w pamięci wszystko, co mogło się kiedyś przydać. Właśnie zamierzał wrócić na przedmieście przed godziną policyjną, gdy dostrzegł dwóch francuskich żołnierzy. Byli mocno pijani i bardziej płynęli chodnikiem, niż szli. „Ren i Dunaj” – pomyślał rozbawiony, ale nagle uśmiech na jego twarzy ustąpił miejsca skupieniu.

Rozejrzał się, podszedł do Francuzów i pokornie się uklonił.

– Panie poruczniku – powiedział do wyższego, który prowadził pod ramię kolegę, usiłując zgrać z nim kroki. Miał naszywki kaprała i awans nadany przez Bruna wyraźnie mu się spodobał.

– Czego chcesz, frycu? – spytał.

– Tam – Bruno wskazał dłonią podwórze kamienicy, z której zostały tylko zręby parteru. – Tam być esesman. Ukrywać się – wyjaśnił łamaną francuszczyzną. – Wy jego aresztować.

Kapral momentalnie wytrzeźwiał. Poczuł w sobie krew napoleońskich huzarów, wyszarpnął z kabury rewolwer i rozkazał szeregowcowi, aby ubezpieczał tyły.

Gdy tylko znaleźli się za załomem muru, Bruno uderzył go kantem dłoni w szyję, pozbawiając przytomności. Szeregowiec chciał krzyknąć, ale Janoszek doskoczył do niego, zatkał mu usta dłonią, zablokował ramiona i pozbawił tlenu. Rozluźnił chwyt dopiero wówczas, gdy tamten osunął się na ziemię.

Odciągnął ich pod mur, przeszukując kieszenie. Zabrał pieniądze, zegarek kaprala i papierosy. Przez chwilę ważył w dłoni rewolwer, ale wsunął go nieprzytomnemu kapralowi głęboko za pasek spodni i zakrył bluzą mundurową. Kradzież broni oznaczała śledztwo. Pozostawiając ją, zyskał szansę, że dzielni Galowie nawet się nie przyznają, że załatwił ich jeden cywilny fryc.

Na pchlim targu przy Marktstrasse można było kupić wszystkie artykuły pierwszej powojennej potrzeby: chleb, buty, nową tożsamość. Ale też amerykańskie papierosy i francuskie pończochy. Perfumy i wołowinę w puszkach. Koniak i płyn na wszy. Skórzaną kurtkę brytyjskiego pilota i frak skrzypka stuttgarckiej orkiestry symfonicznej.

Bruno przeciskał się przez tłum handlarzy i gapiów, szukając okazji do korzystnej wymiany trofeów zdobytych na Francuzach. Przeglądał towary wyłożone wprost na chodniku, gdy jego wzrok nagle zatrzymał się na bordowym bmw, które zaparkowało po drugiej stronie ulicy.

Wysiadło z niego trzech mężczyzn. Szpakowaty francuski pułkownik, szczupły brunet w nienagannie skrojonym brązowym garniturze i jeszcze jeden elegant. Bruno przyjrzał mu się uważnie. Chyba go poznał, chociaż twarz zasłaniało mu rondo letniej panamy. Dopiero gdy uniósł kapelusz,

aby pożegnać się z damą siedzącą za kierownicą auta, Bruno upewnił się, że ma przed sobą Manfreda Brolla.

Dawny towarzysz broni wyczuł, że ktoś mu się przygląda z przeciwległego trotuaru. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

Brolla zamurowało.

Stał jak skamieniały tak długo, że francuski pułkownik podążył za jego wzrokiem i dostrzegł oberwańca po drugiej stronie ulicy.

Spytał o coś Brolla, który już unosił rękę, aby pozdrowić Bruna. Nagle zrezygnował. Widocznie nie chciał, żeby ktoś wiedział, że go zna. Wykonał dłonią gest „nie mam pojęcia, kto to jest” i odwrócił się w stronę kobiety w bmw. Ale kiedy ta uruchomiła silnik, spojrzął szybko na Bruna i spojrzeniem dał mu do zrozumienia, że spotkają się na prawo od miejsca, gdzie stał ze swoimi znajomymi. Janoschek zerknął w tamtą stronę – dostrzegł niewielki placyk z poranionym kulami słupem ogłoszeniowym.

Czekał dziesięć minut.

Broll pojawił się z zaaferowaną miną i skinął, aby odeszli w cień ruin. Dopiero tu rzucił mu się w ramiona.

– Bruno! Bogu dzięki! Przeżyłeś... Niech ci się przyjrzę – odsunął go i obrzucił spojrzeniem.

– Nie wyglądasz kwitnąco.

Janoschek zamruczał coś niewyraźnie, zaskoczony wylewnością powitania.

– Co robisz w Stuttgarcie? – spytał Manfred.

– Ukrywam się. A ty?

– Pracuję.

– Dla Francuzów?

Broll się lekko skrzywił.

– Dla przyszłości. Francuzi dziś są, a jutro ich nie będzie. Niemcy zostaną. Przed kim się ukrywasz?

– Uciekłem z obozu jenieckiego.

Manfred na wszelki wypadek rozejrzał się wokół. Byli sami.

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedział. – Gdy mnie ranili w Ardenach, trafiłem do szpitala polowego, gdzie któryś z chłopaków przysięgał, że widział twoje pokiereszowane zwłoki.

– Bo tak było – potwierdził Bruno. – Siedzieliśmy pod amerykańskim ostrzałem w ruinach jakiejś przydrożnej gospody z kilkoma łajzami z Wehrmachtu. W pewnej chwili usłyszałem świst. Pocisk armatni trafił chłopaka obok. Rozerwał go na kawałki, a na mnie chlusnęło krwią jak ze szlauchu do podlewania ogrodu. Chwilę później dostałem w łeb kawałkiem cegły i nic więcej nie pamiętam. Nie wiem, jak długo tam leżałem. Jak się ocknąłem, wyglądałem jak w rzeźni. Cały we krwi i mięsie tamtego. Wszystko działo się przy drodze, którą przejeżdżały nasze auta. Ktoś musiał mnie widzieć w takim stanie i...

Manfred wyraźnie się strapił.

– Masz papierosa? – spytał i zaraz się zreflektował: – Zapomniałem. Przecież ty nie palisz. Ciągłe sport, co? – spojrzał na sylwetkę Janoschka, która po pracy w ruinach stała się jeszcze bardziej żylasta.

Bruno zawahał się, ale sięgnął do kieszeni spodni i wydobył pół paczki gauloise'ów. Podsunął je Brollowi, starając się zamaskować poczucie straty. Mógł za nie dostać bochenek chleba.

– Nie wierzę – Manfred zrobił wielkie oczy. – Jednak palisz?

To zdobywcze – chciał powiedzieć Bruno, ale ugryzł się w język. Machnął ręką.

Manfred sięgnął po złotą zapalniczkę, użył jej i zaciągnął się dymem.

– Kiedy uciekłeś z tego obozu? – spytał.

– Parę dni temu.

– Jesteś poszukiwany?

– Nie sądzę. Francuzi myślą, że zginąłem od wybuchu miny.

– Masz jakieś papiery?

– Żadnych.

Manfred sięgnął do kieszeni, wydobył z niej wizytówkę, którą wyciągnął w stronę Bruna, ale w ostatniej chwili cofnął rękę.

– Chciałem cię zaprosić do biura, ale skoro uciekłeś z obozu, to może lepiej się tam nie pokazuj. Firma jest kontrolowana przez Francuzów – wyjaśnił. – Spotkajmy się jutro tutaj, o tej samej porze – uścisnął mu dłoń na pożegnanie. Uszedł kilka kroków, odwrócił się w stronę Janoschka, który ciągle tkwił pod słupem ogłoszeniowym, i wycelował w niego palec wskazujący.

– Jutro zaczynasz nowe życie – powiedział.

Dobę później podjechał tym samym bmw, które wczoraj prowadziła elegancka dama. Pochylił się, otworzył drzwiczki od strony pasażera i zawołał Bruna stojącego przed słupem ogłoszeniowym.

– Wsiadaj! Przeznaczenie czeka.

Janoschek z namaszczeniem przesunął dłonią po desce rozdzielczej auta.

– Takim cackiem jeszcze nie jechałem – uznał. – Niewielu Niemców w dzisiejszych czasach ma takie przywileje – stwierdził. Miało to zabrzmieć jak podziw, ale Manfred się skrzywił.

– Znów będziesz mi robił wymówki, że kolaboruję z Francuzami?

Bruno wydał się zakłopotany.

– Wiesz, co robisz.

– O, to już brzmi lepiej – uznał Broll. – Wszystko, co robię, służy Niemcom. Musimy wstać z kolan, Bruno. Odbudować naszą potęgę.

– A potem rozpętać kolejną wojnę? – wyrwało się Janoschkowi.

Manfred uśmiechnął się gorzko.

– Hitler popełnił błąd. Po co podbijać inne państwa, skoro można je sobie podporządkować o wiele łatwiej i bez ofiar.

– Niby jak?

– Gospodarczo. My, Niemcy, jesteśmy wzorem porządku, pracowitości i dyscypliny. Mając takie cechy, szybko możemy się stać europejskim ekonomicznym mocarstwem.

Bruno z powątpiewaniem rozejrzał się wokół. Za szybami samochodu rozciągała się panorama zburzonego miasta.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – uprzedził go Broll. – Ale na tych gruzach powstanie nowa Rzesza Niemiecka – oczy zapłoneły mu jak nawiedzonemu kaznodziei. – Zwycięzcy tej wojny nie pozwolą nam produkować czołgów – powiedział z udawanym smutkiem i nagle się rozpromienił. – I bardzo dobrze – oderwał prawą rękę od kierownicy i ścisnął ramię Bruna. – Bo wiesz co? Wcale nie będziemy ich potrzebować. Nie pozwolą nam budować czołgów, ale pozwolą maszyny rolnicze, obrabiarki, tramwaje, samochody. A my, Niemcy, zrobimy je o wiele lepsze niż oni. Wspomnisz moje słowa. Ci Francuzi, z którymi mnie widziałeś, to znajomi ojca z branży motoryzacyjnej. Z czasów, gdy papa robił interesy ze starym André Citroënem. Myślisz, że ich obchodzi, że byłem w SS? Mają to gdzieś. Interesuje ich tylko to, co umiem i co mogę zrobić w nowych Niemczech dla wspólnego biznesu.

– A co możesz?

– Wiele – skwitował Broll. – I nie jestem sam. Tworzymy nieformalny kartel gospodarczy nowych Niemiec. Musisz do nas dołączyć, Bruno. Potrzebujemy takich ludzi jak ty.

– My? Czyli kto?

– Dawni towarzysze broni. Zdziwiłbyś się, ile w SS było ludzi przedsiębiorczych, handlowców, konstruktorów. Choćby Otto Skorzeny. Przecież to spec od silników samochodowych z wiedeńskim dyplomem inżyniera.

– On też jest w tym kartelu?

Broll wyraźnie się strapił.

– Skorzenego aresztowali Amerykanie – powiedział. – Sądzą, że to on upozorował samobójstwo Hitlera, w ostatniej chwili wywiózł go z Berlina i gdzieś ukrył.

Żrenice Janoschka rozszerzyły się ze zdumienia.

– Skąd to wiesz?

– Mam wpływowych przyjaciół – stwierdził Manfred.

– Na moje prawdziwe nazwisko? – zdziwił się Bruno kilka dni później, oglądając dokument tożsamości, który Broll wręczył mu z triumfującą miną. Siedzieli w mieszkaniu Manfreda, niewielkim, ale urządzonej tak, jakby przeniesiono je w inny wymiar na czas wojny i bombardowań, a teraz odczarowano jednym machnięciem różdżki.

– A co, ty jesteś Adolf Eichmann, żeby ci trzeba było zmieniać personalia? – roześmiał się Broll. – Wszystko załatwione z władzami okupacyjnymi. Przeszłości w SS nie ma i nie było. Od tej chwili oficjalnie pracujesz na rzecz sojuszu niemiecko-francuskiego, i tylko to się liczy.

– Sojuszu? – Bruno uniósł brwi.

– Gospodarczego – wyjaśnił Manfred. – Jak postawimy Niemcy na nogi, będziemy mieli przyjaciół na całym kontynencie. Nie tylko Francuzów, ale też Anglików, Hiszpanów, Szwedów, Holendrów...

– Greków – wtrącił cierpko Bruno.

Broll z dezaprobatą pokręcił głową.

– Nie wybaczysz im śmierci brata, co? – w pytaniu zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. – Rozumiem. Dziś jeszcze przemawiają przez ciebie gniew i gorycz. Ale to minie.

– Wcale nie chcę, aby minęło.

Manfred udał, że nie słyszy. Podszedł do lakierowanej dębowej szafy z gzymsem rzeźbionym w dębowe liście i wyjął z niej szary garnitur w delikatną kratkę. Zmrużył jedno oko, jakby celował z karabinu, i z drugiego końca pokoju przymierzył ubranie do sylwetki Bruna.

– Będzie pasował – uznał.

– Ale... – zawahał się Janoschek, choć oczy mu rozbłyły. – Nie mogę tego przyjąć.

– Bierz. To twój strój służbowy. Do pracy.

– A co ja miałbym robić?

– To, co umiesz najlepiej.

– Rzucać nożem?

– Może i to się przyda – stwierdził Broll. – Chcemy, żebyś został kimś w rodzaju szefa ochrony naszych interesów. Na razie będziesz sam, ale gdy

firma się rozrośnie, zatrudnimy ludzi do twojej sekcji. Sam będziesz mógł ich wybrać – dodał, widząc, że Bruno zмага się z podjęciem decyzji. – No! – ponaglił go. – Co to za ponura gęba? Jeszcze przed chwilą byłeś zbiegłym jeńcem, bez grosza przy duszy. A teraz? Zakładaj garnitur i oddychaj pełną piersią. Z tymi papierami Francuzi mogą ci co najwyżej salutować. Idziemy to oblać! – rozkazał.

Sięgnął do portfela i odliczył kilka banknotów.

– To zaliczka – uprzedził. – Ty stawiasz.

Brolla znali tu wszyscy.

Kelner w przybrudzonym kitlu, pamiętającym czasy cesarza Wilhelma II, rozpromienił się na jego widok i wskazał stolik w kącie sali. Lokal urządzone w obskurnej piwnicy nie wyglądał jak paryska kafejka przy Champs Élysées, ale nosił nazwę bistro. Ot, kropelka wazeliny dla ułatwienia stosunków francusko-niemieckich.

Pierwszy toast spełnili podłym sznapsem, który smakował, jakby był pędzony z piołunu. Trzeba było kilku sekund, aby odzyskać po nim oddech i mowę.

– Czym dokładnie zajmuje się ta twoja firma? – spytał Bruno, sięgając po kawałek czarnego chleba z cebulą.

– Mówiłem ci: motoryzacją.

– Będziemy budować auta dla Francuzów?

Broll zapalił papierosa.

– No właśnie – powiedział po chwili namysłu. – Po to przyjechałem do Stuttgartu. Mój ojciec dogadał się z Francuzami i wysłał mnie do swojego przyjaciela i kontrahenta Ferdinanda Porschego – popatrzył na Bruna wyczekująco, ale ten nie kojarzył.

– Nie słyszałeś? – zdumiał się.

– Nie – Bruno wzruszył ramionami. – Kto to?

– Geniusz – zapalił się Manfred. – Wynalazca i prawdziwa bestia, jeśli chodzi o samochody. Dawno temu był osobistym kierowcą arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, którego zastrzelili w Sarajewie. Potem tworzył

różne patenty. Hitler go uwielbiał.. – zawiesił głos. – No i to mu zaszkodziło. Miałem nakłonić starego Ferdinanda do współpracy z Francuzami przy projektach motoryzacyjnych, ale zanim dotarłem z tą misją do miasta, żabojady zamknęły go w więzieniu. Że niby zatrudniał w swoich zakładach więźniów obozów koncentracyjnych. Stary się wkurzył. Do nikogo się nie odzywa i nie chce słyszeć o jakichkolwiek rozmowach z Francuzami. Zwłaszcza że trzymają go bez sądu i wyroku. Wiesz, żeby zmiękł. Ale w tym przypadku nic z tego nie będzie. To twarda sztuka. Może syn okaże się bardziej elastyczny. Planuje uruchomić w Stuttgarcie produkcję sportowego samochodu marki Porsche, ale zastanawia się, czy to chwytliwa nazwa. Co myślisz?

Janoschek zrobił minę, z której wynikało, że nadawanie imion samochodom jest teraz ostatnią rzeczą, jaka go interesuje.

– No, dobra – Broll nalał kolejną kolejkę. – Starego Porschego nie ma, Skorzenego nie ma, ale my jesteśmy. Wkrótce zaczynamy przygotowania do budowy fabryki młodego Porschego. Za niemieckie samochody! – uniósł kieliszek. – Za opla, volkswagena, mercedesa, bmw, audi! Za porsche! Za motoryzacyjny podbój rynku! *Heute Deutschland, Morgen Europa, Übermorgen die ganze Welt* – powtórzył ulubiony slogan Hitlera. Dziś Niemcy, jutro Europa, pojutrze cały świat.

Bruno wypił w milczeniu.

Od tamtego dnia jego życie zmieniło się jak w bajce po wypowiedzeniu magicznego zaklęcia. Nadal mieszkał u starszych państwa na przedmieściu Stuttgartu, ale teraz oficjalnie wynajmował od nich poddasze domu, płacił czynsz i dostarczał prowiant o wiele lepszy od tego, który można było dostać na kartki.

Traktował ich jak rodziców.

Pod koniec lata, gdy starszy pan zachorował na kręgosłup i stracił władzę w nogach, całe dni spędzał w ogrodowym fotelu nakryty pledem, a jego jedyną rozrywką były pokazy rzucania nożem w blat zniszczonego, ustawionego na boku stołu. Bruno krygował się przy tym jak w spektaklu

Buscha, składał ukłony i zapowiadał emocjonujące rzuty z pełnym obrotem, a jego jedyny widz klaskał w dłonie wykrzywione reumatyzmem. Opowiadał mu o cyrku i mistrzu Don Alvarze, nie wspominając, że był Cyganem i trafił za to do obozu koncentracyjnego. Kto wie, może dzielny syn starszych państwa zatłukł go tam trzonkiem od łopaty, bo Alvaro nie miał siły nosić brył granitu w jakimś kamieniołomie. Może ich najbliżsi esesmani pełnili służbę za drutami łagru?

Janoschek próbował szukać Alvara przez Czerwony Krzyż, ale odbił się od pierwszego urzędniczego biurka. Nie znał prawdziwego nazwiska wirtuoza rzucania nożem. Jego meksykańska legenda odeszła wraz z nim i być może uleciała przez komin krematorium, mieszając proch Alvara z tysiącami innych w urnie płytko wykopanego dołu.

Czasami w wyobraźni odwiedzała go Greta.

Nie nacieszyła się małżeństwem z Herbertem – myślał. Gorzko, ale bez satysfakcji, jakby miał w tym swój udział. A może miał? Tyle razy złorzeczył im w myślach, że zamieniło się to w klątwę? Może to przez niego brat leży teraz na przekłętej wyspie Rodos w zbiorowej mogile żołnierzy 999. dywizji rozszarpanych przez miny? Greta została dwudziestojednoletnią wdową – policzył łatwo, przecież byli z tego samego rocznika. Jest sama. A może ma już nowego męża, w którego ramionach zapomniała o braciach Janoschek – przyszło mu do głowy i poczuł, jak w jego serce, bardzo powoli, wbija się bardzo długa i bardzo zimna igła.

Zdarzały się chwile, że bez względu na wszystko chciał wracać do Opolą. Sprawdzić, co z rodzicami, może z daleka spojrzeć i na nią. Uspokoić się albo wpaść w szal, w którym gotów był zabijać. Ale od myśli, że zobaczy Gretę z obcym mężczyzną pod rękę, straszniejsze było spojrzenie w oczy matce. Pilnuj Herberta – szepnęła, żeby brat nie słyszał, gdy wychodzili z domu do koszar na Malapanerstrasse.

Nie upilnował.

Klakson roadstera marki Porsche był tak donośny, że przeraził gołębia spacerującego po Schlossplatz w Stuttgarcie. A świat jest już tak urządzony, że gdy jeden spłoszony gołąb panicznie poderwie się do lotu, w tej samej sekundzie robią to wszystkie w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Chmura ptaków na moment przysłoniła widok i Bruno Janoschek musiał odczekać, aż wiatr i instynkt przepędzą ją gdzie indziej. Wychylił się z okna, spojrzął w dół i wyciągnął w stronę Manfreda, siedzącego w srebrnym kabriolecie, rozcapierzone palce prawej dłoni. Pięć minut – mówił gest. Za pięć minut będę gotowy.

W chwili, gdy Broll niespiesznie zapalał papierosa, trzy piętra wyżej Bruno bezradnie rozłożył ręce i tym samym dał do zrozumienia dorodnej obywatelce Badenii-Wirtembergii, że jej wizyta dobiegła końca.

– Obowiązki wzywają – westchnął i zniknął w łazience.

Kiedy wyszedł z niej po trzech minutach, dziewczyna nadal była w pokoju. Zapięła bluzkę, wygładziła spódnicę i poprawiła włosy, korzystając z lustra w przedpokoju.

– Wyjdziemy razem – oświadczyła.

Po siedmiu latach, które upłynęły od końca wojny, Stuttgart nadal był miastem kobiet. Wdów i panien, z których większość szukała stabilizacji, pragnęła mieć męża oraz dom z bieżącą wodą, kredensem i dywanem. Robić *Kartoffelsalat*, wychowywać dzieci i nie być artykułem jednorazowego użytku. Jednak mężczyźni mający w czym wybierać próbowali tworzyć cywilizację, w której seks był tani i nie niósł ze sobą zobowiązań. Prym wiedli w tym żołnierze francuscy, którzy oczekiwali miłości w zamian za paryską szminkę albo parę pończoch.

Trzydziestoletni, dobrze zbudowany, prawie przystojny i dobrze sytuowany Bruno Janoschek był towarem deficytowym. Z dziewczyną, która czekała na niego oparta o komodę, spotykał się od kilku tygodni i choć nie robił jej żadnej nadziei, ona powoli, uważnie, z kobiecą dyskrecją wypełniała kolejne linijki aktu notarialnego, który miał dać jej Bruna na własność. Wspólne wychodzenie z jego mieszkania pod rękę i z całusem na pożegnanie było elementem tej strategii.

Od kilku lat Janoschek zajmował niewielką, ale wygodną garsonierę w dzielnicy Mitte, z widokiem na Nowy Pałac. A raczej to, co z niego zostawiły bomby, które nie potrafiły odróżnić magazynów amunicji od arcydzieła architektury baroku.

Pracował w firmie kierowanej przez Manfreda Brolla, choć to nie on był jej właścicielem. Spółka należała do „grupy przyjaciół” – ukrytych udziałowców, którzy poza handlem autami, częściami samochodowymi i inwestowaniem w przemysł motoryzacyjny zajmowali się też „działalnością patriotyczną”.

Bruno nigdy o nic nie pytał. Niemiecka Republika Federalna od trzech lat była samodzielnym państwem, ale ciągle pod okupacją Amerykanów, Anglików i Francuzów, którzy na wszelkie miejscowe „grupy przyjaciół” reagowali ostro i brutalnie. Zwłaszcza gdy stał za nimi „patriotyzm” wyrażający się tęsknotą za Hitlerem, Trzecią Rzeszą i legendą SS.

Odwrocił głowę, powodując, że dziewczyna pocałowała go w policzek, choć bardzo chciała w usta – na użytek Manfreda, który pieszczotliwie pomachał jej dłonią w cienkiej rękawiczce.

– Kiedy ślub? – spytał z przekąsem, gdy Bruno schował w bagażniku torbę podróżną i zajął miejsce pasażera.

Janoschek udał, że nie słyszy.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Teraz na lotnisko – odparł Manfred. – A potem zobaczysz. Paszport wzięłeś?

– Tak jak mówiłeś – potwierdził Bruno. – Plus rzeczy na kilka dni w ciepłym klimacie. Bardzo jesteś tajemniczy. Jedziemy sprzedawać auta w Afryce?

– Ciepło, ciepło... – Broll uśmiechnął się zagadkowo i ruszył z piskiem opon. Porsche, kupione za zawrotną sumę dwóch tysięcy sześciuset dolarów, wystartowało jak koń na torze wyścigowym.

Wieczorem, po przesiadce w Paryżu, wylądowali w Madrycie.

Miasto parowało od gorąca. Różany zapach hibiskusa porastającego klomb przed lotniskiem mieszał się z wonią spalin i paelli oferowanej

przez ulicznego sprzedawcę. Manfred rozpoznał w niej aromat chorizo i pod jego wpływem spojrzął na zegarek.

– Spóźnimy się na kolację – powiedział do Bruna. – Łap taksówkę.

Gdy wsiedli, sięgnął po wizytówkę i podsunął ją kierowcy.

Hiszpan przeczytał adres, przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył lewy kierunkowskaz, sprawdzając w lusterku, czy ma wolną drogę.

Bruno wykorzystał sytuację i wyjął bilet wizytowy z dłoni Manfreda.

– Rolf Steinbauer – przeczytał półgłosem. – Przedsiębiorstwo motoryzacyjne. Niemiec?

Broll potwierdził i wlepił wzrok w widok za oknem.

Kilkanaście minut później zatrzymali się przed willą na przedmieściu. Za bramą tkwił kamerdyner, wyglądający raczej na goryla niż lokaja. Po żołniersku skinął im głową i bez słowa wskazał chodnik obok domu prowadzący do ogrodu oświetlonego licznymi pochodniami. Pod parkanem stół ugiął się pod potrawami i butelkami, a na trawniku stało kilkunastu mężczyzn, którzy z pewnością nie byli Hiszpanami. Jasna skóra, krótko ostrzyżone włosy, sprężyste sylwetki, twarde rysy twarzy. Kilku z nich odpowiedziało na pełen szacunku ukłon Manfreda i obrzuciło Bruna badawczym spojrzeniem.

Stanęli z boku, przyjmując od kelnera kieliszki z winem, gdy Bruno usłyszał wymowne chrząknięcie za swoimi plecami. Odwrócił się.

Gospodarz, w letniej marynarce, białej koszuli i wzorzystym fularze, chrząknął jeszcze raz i uniósł kieliszek na powitanie. Światło pochodni złowrogo podkreślało bliznę na jego policzku.

Bruno miał przed sobą Otta Skorzenego.

ROZDZIAŁ 8.

Kair,
jesień 1952

Kula odłupała kawałek muru i wznieciła obłok pyłu, który upudrował śniadą twarz mężczyzny stojącego pół metra dalej.

Karim Ali Hassan nie zdążył się nawet przestraszyć.

Może dlatego, że nie usłyszał wystrzału, bo obdarty fellach, pędzący tuż obok kilku wielbłądów, darł się na nie wniebogłosy, a zwierzęta hałasowały, tłukąc kopytami o bruk.

Gdy po sekundzie zrozumiał, co się stało, rozejrzał się dookoła. Po drugiej stronie ulicy drżał z emocji wyrostek z rewolwerem w ręku. Amator. Dostał kilka funtów za zastrzelenie wskazanego człowieka. Albo przekonano go, że robi to na chwałę Allaha, bo ten, który miał zginąć, zdradził islam. Pewnie z ochotą podjął się też misji, ale już po pierwszym strzale wpadł w panikę.

Wymierzył jeszcze raz, ale rewolwer odmówił posłuszeństwa.

To stary model – pomyślał Karim, jakby był widzem, a nie uczestnikiem tego wydarzenia. – Trzeba odciągnąć kurek.

Wyrostek jednak najwyraźniej o tym zapomniał. Przerażony upuścił broń, jakby go parzyła, i rzucił się do ucieczki.

Nie było sensu go ścigać. Nawet schwytany i oddany w sprawne ręce któregoś z kumpli Karima z Gestapo podałyby najwyżej bezwartościowy rysopis człowieka, od którego dostał zlecenie. A potem umarłyby śmiercią, jakiej nie powinno się życzyć nawet najgorszemu wrogowi.

Karim Ali Hassan zerknął na dziurę w murze i wytarł twarz chusteczką. Teraz dopiero dotarło do niego, że kawałek ołowiu, który utkwiał między cegłami, mógł znaleźć się w jego czaszce. Potrzebował kilku chwil, żeby

ochłonać. Potem otrzepał marynarkę z pyłu i ruszył w stronę gmachu, w którym czekali na niego ludzie od kilku miesięcy rządzący Egiptem.

Zamach obudził w nim wspomnienie sprzed jedenastu lat, kiedy sam był niewiele starszy od chłopaka, który do niego strzelał. Maszerował po tej samej ulicy wraz z innymi studentami, ściskając pod galabiją kolbę podobnego rewolweru. Na wszelki wypadek, gdyby brytyjscy żołnierze stacjonujący w Kairze otworzyli ogień do demonstrantów.

Protestowali przeciwko Francuzom i Anglikom panoszącym się w krajach arabskich. Szli równym krokiem, jakby chcieli pokazać, że są armią, a nie bandą smoluchów w nocnych koszulach, jak pogardliwie nazywali ich pyszałkowaci oficerowie z Londynu. Skandowali w rytm kroków, akcentując sylaby uderzeniami sandałów o bruk: „Nigdy więcej *monsieur!* Nigdy więcej *mister!* W niebie rządzi Allah, a na ziemi Hitler!”

Karim wierzył tylko w tych dwóch bogów. Tego z Koranu i tego z *Mein Kampf*, książki, którą czytał w arabskim tłumaczeniu. Za obydwu gotów był oddać życie.

Miał ku temu wiele okazji.

Anglicy tłumili rozruchy z całą brutalnością, a gdyby któryś z nich zauważył, że Karim ma rewolwer – zastrzeliliby go jak psa.

Potem w Kairze zaczęły się aresztowania ludzi z Bractwa Muzułmańskiego, tortury i wyroki. Zabójstwa w więzieniach i śmierć z powodu panujących tam chorób.

Zdążył tego uniknąć w ostatniej chwili.

Jesienią czterdziestego pierwszego wraz ze swoim mentorem Aminem al-Husajnim, wielkim muftim Jerozolimy, zdołali uciec do Włoch. Poczuli się tam jak w baśniowej krainie z tysiąca i jednej nocy. Zdyscyplinowane oddziały zuchów w czarnych koszulach. Czysta nienawiść do Anglików. Naród wpatrzony w wodza. Wreszcie on sam. Duce.

Mussolini był o wiele niższy na zdjęciach, ale biła od niego hipnotyczna moc. Miał silny uścisk dłoni, wyraźnie zarysowane szczęki urodzonego przywódcy i oczy miotające błyskawice. Mówił krótko, konkretnie.

Widział przyszłość świata. I rządzącej nim koalicji: Niemiec i Włoch w Europie, Japonii w Azji i Ameryce, Egiptu w Afryce.

Karim żył tym spotkaniem. Przez miesiąc. Pod koniec listopada przyćmiła je audyencja u Adolfa Hitlera.

Führer, który traktował Al-Husajniego jak najbliższego przyjaciela, w skupieniu wysłuchiwał jego teorii o konieczności całkowitej likwidacji rasy żydowskiej jako największej plagi współczesnego świata. Zatrutego jabłka w koszu owoców cywilizacji.

Od czasu do czasu kiwał głową, a na jego twarzy z charakterystycznym wąsikiem pojawiał się wyraz aprobaty. Potem wspomniał coś, co tłumacz przełożył jako „ostateczne rozwiązanie”. Karim nie zrozumiał, bo po pierwsze, zajmował krzesło z tyłu, wśród kilku wysokich rangą oficerów, a po drugie, był tak poruszony spotkaniem z wodzem Trzeciej Rzeszy, że nawet rozmowa o zniechęconych Żydach nie była w stanie wyrwać go z hipnozy.

Po zakończeniu rozmowy Hitler podniósł się z fotela, a mufti poszedł w jego ślady. Uścisnęli sobie dłonie, patrząc w obiektyw aparatu fotograficznego, a potem jeszcze raz – prywatnie, o wiele serdeczniej. Führer ujął Al-Husajniego pod ramię i odprowadził do drzwi.

Mufti nagle się zatrzymał.

– Mój wychowanek – wskazał Karima wyprężonego jak struna. – Chce wstąpić do egipskich oddziałów Waffen-SS.

– Brawo, chłopcze – Hitler podał mu dłoń, którą Karim uściskał z najwyższą czcią. – Jesteś żołnierzem?

– Jeszcze nie, *mein Führer*, odpowiedział łamaną niemczyzną. – Dopiero skończyłem studia.

– Jakie?

– Architekturę.

Hitler spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Dlaczego chcesz iść na front?

– Angielska okupacja w moim kraju została przez muftiego obłożona fatwą. Dla mnie śmierć na wojnie z nimi będzie zaszczytem i otworzy mi

drogę do Raju.

Hitler pokiwał głową.

– Dobrze. Będziesz walczył. W szeregach organizacji Todt. Nauczysz się budować umocnienia, obiekty wojskowe, fabryki zbrojeniowe. Po wojnie twój kraj zjednoczy sąsiednie państwa i stanie się wielką Rzeszą. Arabską odpowiedniczką naszej, niemieckiej. Będziecie potrzebowali inżynierów i konstruktorów o wiele bardziej niż żołnierzy.

Karim Ali Hassan trzasnął obcasami półbutów, jakby miał za sobą wiele tygodni niemieckiej musztry.

Otoczony wspomnieniami przeciął plac dawnych demonstracji i podszedł do żołnierzy pilnujących siedziby Wolnych Oficerów, którzy latem przejęli władzę w Egipcie. Bez słowa pokazał przepustkę.

Sierżant o czujnych oczach obejrzał dokument, dał znak dłonią, żeby Karim zaczekał, po czym zniknął za drzwiami budynku. Dziwne. Z reguły wartownikom wystarczył rzut oka na zdjęcie i pieczętki, ale dziś coś się zmieniło.

Spokojnie zapalił papierosa i obserwował ulicę, nie okazując żadnych oznak zaniepokojenia.

Sierżant pojawił się po pięciu minutach. Oddał przepustkę i poinformował, w którym pokoju na niego czekają. Wszedł na pierwsze piętro, odnalazł właściwe drzwi, zapukał, nacisnął klamkę i wszedł.

Wewnątrz siedziało kilku ludzi, których doskonale znał.

Bracia Salim, Amir, Sadat i Naser, który praktycznie kierował państwem. Twardzi, bezwzględni i przebiegli. Wytrawni politycy, choć żaden nie skończył trzydziestu pięciu lat. Kiedyś razem ze swoim rówieśnikiem i przyjacielem Karimem Ali Hassanem walczyli z Brytyjczykami i byli żarliwymi wyznawcami Hitlera. Potem ich drogi się rozeszły.

Pozdrowił wszystkich, jak uczy Koran, i zajął wskazane mu krzesło.

– Co to się wydarzyło na ulicy? – spytał nieoczekiwanie Sadat.

Jakim cudem już wiedzą? – zastanowił się Karim i natychmiast znalazł odpowiedź: jestem śledzony. Nie ufają mi i przyczepili ogon. To dlatego

sierżant zatrzymał moją przepustkę na dole, żeby szpicel zdążył wejść do budynku bocznymi drzwiami i złożyć raport.

– Ktoś do mnie strzelał – odparł. – Chybił, jak widać – dodał z nutką cynizmu.

Żadnemu z mężczyzn w pokoju nawet powieka nie drgnęła. Karim domyślił się, że znają szczegóły incydentu sprzed kwadransa.

– Jak to? – Sadat udał, że jest wstrząśnięty. – I nawet się nie zdenerwowałeś? Nie wiem, jak bym się zachowywał, gdyby doszło do zamachu na mnie – teatralnie uniosł ręce do góry i upuścił je jak wynajęta płaczka na pogrzebie.

– Staram się zachowywać zimną krew – oświadczył Karim.

– Więc pewnie ruszyłeś za zamachowcem? – drążył Sadat, choć doskonale znał przebieg wypadków. – Dopadłeś go?

– Nie, nie ścigałem tego człowieka.

– Dlaczego? – spytał starszy Salim z dobrze zagranyim zdziwieniem.

– To był chłystek, który nie zdradziłby, kto mu to zlecił. Nawet gdybyśmy go obdarli ze skóry i tak by nie powiedział. Bo nie wie. Pewnie było jak zwykle: ktoś podszedł do niego na targu, spytał, czy się podejmie zabić wroga islamu, zapłacił, wskazał cel...

– Kto? Podejrzewasz kogoś?

– Bractwo Muzułmańskie, to pewne – powiedział Karim. – Od kiedy się od nich odwróciliście, wydali na mnie wyrok za zdradę. Nie mogą wybaczyć, że stanąłem po waszej stronie i pracuję dla rządu, który ich prześladowa.

Sadat chciał coś dodać, ale Naser powstrzymał go ruchem dłoni.

– Dość – uciął dyskusję. – Możemy się różnić w kwestiach wyznaniowych, ale...

– Nie różnimy się – przerwał mu Karim.

– Dość – powiedziałem. – Na czole Nasera zarysowała się pionowa żyła, do złudzenia przypominająca kartograficzną linię Nilu. – Możemy się różnić – powtórzył – ale łączy nas wspólny cel: Izrael.

Pozostali oficerowie poruszyli się niespokojnie, jak myszy na wieść o tym, że w pobliżu ich gniazda zadomowił się wąż. Powstanie państwa żydowskiego przed czterema laty było dla nich największą plamą na honorze. A fakt, że dopiero co przegrali z Izraelem wojnę – hańbą.

– O tym mieliśmy rozmawiać – przypomniał Naser. – Doszły mnie słuchy, że możesz sprowadzić do Kairu kolejnego z naszych niemieckich przyjaciół. Czy to prawda?

Karim skinął głową. Rozgrywka wkraczała w decydującą fazę. Nie mógł sobie teraz pozwolić na najmniejszy błąd.

– Kogo? – spytał Naser.

– Skorzenego.

Któryś z braci Salim gwizdnął pod nosem.

– To pewne?

– Znasz mnie – Karim ukłonił się Naserowi, dotykając dłonią serca. – Czy kiedykolwiek rzucałem słowa na wiatr?

Nieformalny przywódca Egiptu zrobił pojednawczą minę.

– Pytam, bo ten człowiek ma opinię nieobliczalnego. Może się wycofać.

Karim przecząco pokręcił głową.

– On się nie cofa przed niczym. Wszyscy słyszeliście o odbiciu Mussoliniego.

Zebrani pokiwali głowami.

– To była operacja, która przyniosła mu światową sławę, ale potem dokonał czegoś jeszcze trudniejszego.

Naser spojrzał na niego pytająco.

– Jesienią czterdziestego czwartego Skorzeny praktycznie przejął władzę na Węgrzech – wyjaśnił Karim.

– Co?! – wtrącił się Sadat. – Nie opowiadaj nam tu bajek.

– To nie bajka. Kiedy węgierski przywódca admirał Horthy zorientował się, że Niemcy przegrywają na wszystkich frontach, chciał zerwać sojusz z Trzecią Rzeszą i dogadać się z aliantami oraz Ruskimi. Hitler znów wpadł w szal i wysłał na Węgry swojego zucha. Skorzeny wpadł do Budapesztu

z dwudziestoma ludźmi. Zajął główną siedzibę armii i porwał syna admirała.

– To wariat – uznał Sadat.

– Mylisz szaleństwo z odwagą i geniuszem operacyjnym – upomniał go Karim. – Wszyscy byliśmy na wojnie i znamy dowódców, u których brawura zastępuje myślenie. Oni nigdy nie liczą się z ludzkim życiem. Tymczasem podczas odbicia Mussoliniego i operacji w Budapeszcie Skorzeny nie stracił ani jednego żołnierza.

Sadat nie odpowiedział.

– Niemniej szalona odwaga nigdy nie przeszkadzała mu dobrze liczyć – Karim zwrócił się do Nasera. – Przed wojną odnosił sukcesy w biznesie i teraz też świetnie sobie radzi.

– Chcesz mu zaproponować inwestowanie w Egipcie? – prychnął Sadat.

– W co? W hodowlę wielbłądów czy uprawę daktyli?

Karim go zignorował.

– Chcę mu zaproponować, oczywiście w twoim imieniu – spojrzał wymownie na Nasera – budowę fabryki.

Egipski przywódca pytająco uniósł brwi.

– Fabryki rakiet dalekiego zasięgu – uzupełnił Karim.

– Bzdura – uznał Sadat, ale został skarcony wzrokiem.

– Jak dalekiego? – zaciekawiał się Naser.

– Takiego, że bez trudu doleczą do Tel Awiwu.

– Wystrzelone z ziemi? – upewnił się Amir, najbardziej doświadczony w kwestiach militarnych.

– Z ziemi.

– Niemożliwe.

– Możliwe. Słyszałeś o V-1 i V-2? – spytał Karim.

Amir wzruszył ramionami.

– Wszyscy słyszeli.

– Ale nie wszyscy wiedzą, że dla Skorzenego pracuje współtwórca tych pocisków Wolfgang Pilz, eksperci od naprowadzania rakiet oraz szef

Instytutu Badawczego Napędu Raketowego w Stuttgarcie. Tak, to pewne – uprzedził pytanie.

Naser odpalił papierosa od papierosa.

– Jeśli to załatwisz – powiedział z namysłem – będę twoim osobistym dłużnikiem. Orientujesz się, ile może kosztować to przedsięwzięcie i powierzenie go Skorzenemu?

– Piramidy były tańsze – stwierdził Karim.

Przez minutę po jego wyjściu w pokoju panowała cisza.

– Co powiecie? – spytał Naser.

– Nie ufam mu – wyrwał się Sadat. – Nie wiem, co ten człowiek kombinuje. Był ważną postacią Bractwa Muzułmańskiego, naszych zagorzałych wrogów. Pupilkim wielkiego muftiego. I co? Nagle przesiadł się na drugą stronę szachownicy i zaczął grać białymi przeciwko czarnym, którymi zaczął partię? Nie – pokręcił z niedowierzaniem głową. – Nie wierzę w takie przemiany. To lis. Głowę dam, że działa na dwa fronty.

– Pół godziny temu Bractwo chciało go zabić – przypomniał Naser.

– Jesteś pewien? – Sadat przyjrzał mu się badawczo. – Kula, choć wystrzelona z bliska, trafiła w mur. No dobrze, to się zdarza. Ale przypomnij sobie słowa naszego człowieka, który wszystko widział: Karim zachowywał się tak, jakby się nic nie stało. Nie wpadł w panikę, nie rzucił się do ucieczki, nie ruszył w pościg za zamachowcem, choć ten upuścił broń i nie stanowił już zagrożenia. Dlaczego? Jak ci się zdaje?

– Sugerujesz, że sam to zaaranżował?

Sadat wyjął wargi.

– A może być bardziej przekonujący dowód lojalności wobec nas? Spójrzcie – zakomunikował nam nasz drogi Karim. – Jestem z wami, ryzykując życie. Bractwo Muzułmańskie urządza na mnie zamach, a ja i tak stoję po waszej stronie.

Naser przyjrzał mu się badawczo.

– Jaka jest twoja rada? – spytał.

Sadat przyłożył dwa palce do skroni i wykonał nimi ruch, jaki wykonuje pistolet po oddaniu strzału.

– Nie zgadzam się. – Nil na czole Nasera wezbrał jak przed powodzią. – Zapomniałeś, ile dla nas zrobił? Ilu wybitnych oficerów SS szkoli egipską armię? Ilu ekspertów Himmlera pomaga naszej tajnej policji? Ilu wybitnych ludzi z administracji Trzeciej Rzeszy nam doradza? Kto ich tu wszystkich sprowadził? Dzięki komu przenieśli się do Kairu po klęsce Niemiec i działają dla naszego państwa? Nikt z nas – zatoczył dłońią krąg obejmujący wszystkich siedzących w pokoju – nie ma takich koneksji wśród bliskich współpracowników Hitlera jak Karim Ali Hassan. A teraz jeszcze przychodzi z pomysłem ściągnięcia Skorzenego i budowy fabryki rakiet, dzięki którym zetrzemy Izrael z powierzchni ziemi, nie ruszając tyłków z tych foteli.

– Co on wie o rakietach! – prychnął Amir.

– Najpierw przeczytaj jego akta – Naser spojrział z politowaniem – a potem zabieraj głos, dobrze? Karim był podczas wojny w Europie wysokim funkcjonariuszem organizacji Todt. Pracował przy budowie ściśle tajnych, podziemnych fabryk zbrojeniowych. W górach, które teraz należą do Polski. Nie pamiętam nazwy. Zapewniam cię – zapalił kolejnego papierosa, prowokacyjnie wydechając dym w twarz Amira – że Niemcy nie produkowali tam drewnianych kolb do karabinów, ale nowoczesną broń, która mogła zmienić losy wojny. Niestety, nie zdążyli. Myślę, że nasz przyjaciel Karim wie o wiele więcej, niż możemy przypuszczać.

– Parę kropel roztopionego ołowiu w odbytu i wyśpiewa wszystko – podpowiedział Sadat, ale natychmiast zamilkł, widząc, jak Naser blednie z gniewu.

Zrozumiał, że przekroczył granicę. Czym prędzej sięgnął po swoją oficerską czapkę, założył ją i zasalutował.

– Panowie pozwolą, że ich pożegnam.

Nikt mu nie odpowiedział.

Dwie godziny później Karim Ali Hassan zamówił kawę w restauracji na wyspie Gezira, która z lotu ptaka wyglądała tak, jakby Nil trzymał ją w objęciach. Usiadł przy ogrodowym stoliku na zewnątrz i głęboko odetchnął powietrzem znad rzeki.

Miał powody do zadowolenia.

Oficerowie, z którymi się spotkał, okazali się banalnie łatwi do ogrania. Przypominali mu naiwnych i nadpobudliwych gimnazjalistów należących do tej samej drużyny krykieta. Mówili, co myśleli, nie potrafili maskować emocji i nieudolnie udawali przebiegłych. Po paru minutach wiedział doskonale, kto jest po jego stronie, a kto po przeciwnej – jakby sami sobie namalowali na czołach kółka i krzyżyki. I dawali się wodzić za nos. Jakim cudem udało im się obalić króla i przejąć władzę w Egipcie? – pokręcił głową z niedowierzaniem, aż kelner, który przyniósł kawę, przestraszył się, że zrobił coś nie tak.

Naser jest mój – uznał Karim. Sadat szczeka, ale jeśli pomysł z fabryką rakiet wypali, pierwszy będzie się łąsił. Najważniejsze, że znajdą fundusze na sprowadzenie do Kairu Skorzenego i jego ludzi.

Karim Ali Hassan tylko na to czekał.

Osiem lat temu, będąc Frontführerem organizacji Todt, zbudował w Sudetach bunkier ukryty w lesie, w którym tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej Niemcy złożyli dwanaście pojemników ze wzbogaconym uranem. Więźniowie obozu koncentracyjnego, którzy transportowali zasobniki, zostali rozstrzelani tuż po zakończeniu pracy. Eskortujący ich esesmani zginęli parę minut później. Ostatniemu z nich Karim roztrzaskał czaszkę kamieniem, bo zabrakło amunicji.

Był jedynym człowiekiem, który znał miejsce ukrycia uranu w zamaskowanym górskim magazynie, na terenach należących dziś do Polski.

Przepełniało go to radością i przerażało jednocześnie.

Wiedza, którą miał, była równie bezcenna jak niebezpieczna. Zwłaszcza teraz, gdy szalała zimna wojna. Pół świata budowało schrony

przeciwatomowe, a jednocześnie marzyło, aby zgotować wrogom powtórkę Hiroszimy. Tylko komu mógłby tę wiedzę sprzedać?

Chłopcóm Nasera? Anglikóm? Amerykanóm? Ruskim? Wszyscy chętnie by mu zapłacili. Dostałby walizkę dolarów za informację i milczenie, a zaraz potem kulkę w łeb, która by to milczenie zagwarantowała.

Od siedmiu lat był w tej grze całkiem sam.

Potrzebował współnika. Kogoś, kogo nie interesowała polityka, ale duże pieniądze i jeszcze większa przygoda. Kogoś kochającego brawurę i gotowego na misje niewykonalne, jak odbicie Mussoliniego w Campo Imperatore czy operacja w Budapeszcie.

Znał tylko jednego takiego człowieka na świecie.

Samolot Air France uderzył kołami o płytę lotniska Heliopolis, wzniesając obłok beżowego pyłu. Dziś wiał południowo-wschodni wiatr znad piramid, a on lubił przypomnieć podróżnym, że wylądowali w pustynnym kraju.

Kiedy kilkanaście minut później do drzwi samolotu przystawiono schody, miejscowi, wychodząc, zasłaniali twarze chustami, a reszta krztusiła się i tarła oczy, co dawało skutek odwrotny do zamierzonego.

Karim Ali Hassan obserwował pasażerów schodzących na płytę lotniska zza ciemnych okularów, których szylkretowa oprawka idealnie pasowała do lica jego angielskich butów i koloru chusteczki w kieszonce sportowej marynarki. Uwielbiał harmonię drobiazgów.

Przyglądał się każdemu z mężczyzn, wypatrując dwumetrowej sylwetki byłego szefa niemieckich sił specjalnych, ale nikogo takiego nie zauważył. Otto Skorzeny nie przyleciał.

Karim przeklął pod nosem i szybkim krokiem ominął budynek portu lotniczego, w którym trwało już sprawdzanie paszportów i wiz. O wiele za głośno trzasnął drzwiczkami auta i o wiele za szybko ruszył w stronę miasta, więc opony zaprotestowały piskiem.

Nagle ogarnęły go wątpliwości.

A może coś się stało? Może wywiad izraelski dowiedział się o planach budowy fabryki rakiet i udaremnił przylot Skorzenego do Kairu? Może w Paryżu wsypali mu coś do kawy albo spowodowali wypadek w drodze na lotnisko? Żydzi byli przebiegli jak nikt na świecie.

Ta myśl prześladowała go przez kilkanaście kilometrów dzielących Heliopolis od centrum Kairu. Niepokojąca i natrętna jak wszystko, czemu nie można zaradzić.

Na ruchliwych ulicach miasta Karim skoncentrował się na prowadzeniu auta, aż uświadomił sobie, że właściwie nie wie, dokąd jedzie. Do siedziby rządu rewolucyjnego zawieźć złą nowinę, że najbardziej oczekiwany gość się nie pojawił? A może do domu napić się whisky zakazanej przez islam i rozpamiętywać niepowodzenie? Może przypadkowe, a może nie. Może z planów ściągnięcia Skorzenego nic nie wyjdzie, a wraz z tym przepadnie jego reputacja i coś znacznie ważniejszego – szansa na odzyskanie uranu?

Zatrąbił wściekle na mężczyznę w brudnej galabii, który zajechał mu drogę na motocyklu z brytyjskiego demobilu. Skręcił w stronę biura Nasera. Zaparkował na miejscach dla urzędników, zapalił papierosa i spróbował uporządkować myśli.

Poniosło go. Uległ impulsowi gniewu, a nie powinien. Powinien pójść do stanowiska Air France w Heliopolis i spytać, czy jego gość odebrał bilety pierwszej klasy na rejs do Kairu, które czekały na niego w biurze francuskich linii lotniczych w Paryżu. To byłaby już jakaś informacja. Jeśli odebrał, to znaczy, że nie wsiadł na pokład samolotu w ostatniej chwili. Czyli coś zatrzymało go nagle.

Postanowił, że zanim pójdzie do Nasera, zadzwoni ze swojego biura do kairskiego przedstawicielstwa Air France. Ale najpierw musi ochłonać. Pokazać, że działa spokojnie i profesjonalnie.

Rozejrzał się za miejscem, w którym mógłby napić się wody sodowej. Nie znalazł, ale przypomniał sobie o przytulnej kafejce przy następnej przecznicy. Przeszedł tam spacerem i wybrał stolik przy ulicy, choć prawie wszystkie były puste. Usiadł i w oczekiwaniu na kelnera rozłożył gazetę, którą pozostawił któryś z poprzednich gości. Kiedy ją opuścił, dostrzegł,

że na krześle naprzeciwko siedzi szczupły mężczyzna z modnym wąsikiem. Bez wątpienia Europejczyk. Tuż za nim stał drugi. Krótko ostrzyżony blondyn o sportowej sylwetce. Byli w podobnym wieku.

– Pan Karim Ali Hassan, prawda? – spytał ten, który się przysiadł, ozdabiając swoją ciekawość uprzejmym uśmiechem człowieka dobrze wychowanego. Mówił po niemiecku, z absolutną pewnością, że Egipcjanin go rozumie.

– Kto pyta? – Karim spokojnie odłożył gazetę, nie dając po sobie poznać niepokoju.

– Nazywam się Manfred Broll – przedstawił się nieznajomy. – A to mój współpracownik Bruno Janoschek. – Dyskretnym ruchem głowy wskazał mężczyznę za swoimi plecami. – Jesteśmy byłymi podkomendnymi pułkownika Skorzenego.

– Pułkownik – zaczął Karim – miał przylecieć dziś do Kairu, ale...

– Ale przyleciał wczoraj – przerwał mu Broll. – My również jesteśmy w mieście od wczoraj. Pozwoliliśmy sobie dziś potowarzyszyć panu na lotnisku i przyjechać za panem taksówką aż tu. Pan rozumie, względy bezpieczeństwa. Pułkownik chciał się przekonać, czy jego wizyta zaplanowana na dziś nie wzbudzi niepotrzebnego zainteresowania. Zwłaszcza sąsiadów – zakręcił palcem koło ucha, co miało imitować żydowskie pejsy.

Karim spojrzał na niego wyczekująco.

– Nie wzbudziła – uspokoił go Broll. – Dlatego jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, napijemy się waszej wybornej kawy i pogawędzimy o starych czasach. Wszak jesteśmy towarzyszami broni, czyż nie? A mój przyjaciel pojedzie w tym czasie po pułkownika do hotelu i razem złożymy wizytę panu Naserowi.

Karim Ali Hassan poczuł, jak spada z niego ciężar większy od piramidy Cheopsa.

Wyjechali przed świtem, gdy staroegipski bóg Ra przeciągał się jeszcze na swoim niebiańskim materacu, czekając na dzwonek budzika i początek

jego rządów na ziemi, które trwać będą aż do zachodu.

Manfreda Brolla od kilku dni pociągała pustynia i Karim postanowił tę ciekawość zaspokoić. Polubił eks-Scharfürera SS i jego kolegę. Bruno był małomówny i nieufny, ale z Manfredem dało się porozmawiać o wszystkim. Wyrósł w dobrym domu niemieckiego przemysłowca, odebrał staranne wychowanie, skończył dobre szkoły. Potrafił dyskutować. Był czytany i wierzył w przyszłą wielkość swojego państwa opartą na gospodarce, kulturze, nauce i nowej cywilizacji, gwarantującej pozycję lidera na kontynencie. Karim w ten sam sposób myślał o Egipcie. Czuł, jakby obaj z Manfredem byli wykonawcami dziejowego testamentu Amina al-Hasajniego i Adolfa Hitlera. Genialnych wizjonerów, którzy chcieli zbudować powojenny sojusz Trzeciej Rzeszy z faszystowskim imperium arabskim.

Zerknął na Manfreda, zajmującego fotel pasażera w willysie idealnym na egipskie bezdroża, i uśmiechnął się do swoich myśli.

Do niewielkiej oazy położonej na południowy zachód od Kairu dotarli po dwóch godzinach.

Bóg Ra nabrał animuszu po porannej kawie i podkręcił słońce na cały regulator. Beduini, których zamierzali odwiedzić, byli do tego przyzwyczajeni. Mieli studnię, kilkanaście palm, trochę drzew akacji, kilka chudych wielbłądów i namiot, który pełnił jakieś funkcje komunalne, bo służył wszystkim. Tu zbierała się plemienna starszyzna. Tu jedzono, złorzeczono, rozstrzygano spory i decydowano o najważniejszych kwestiach. Oraz przyjmowano gości.

Starszy klanu przywitał się z Karimem, którego najwyraźniej znał, i kiwnął na kilku swoich ludzi, którzy natychmiast zarzucili boczne płachty namiotu na dach, zamieniając miejsce spotkań w wiatę otwartą ze wszystkich stron.

Szerokim gestem zaprosił cudzoziemców do środka.

Usiedli na ubitej ziemi nakrytej derkami, a wtedy gospodarz klasnął w dłonie i w namiocie jak spod ziemi wyrosły dwie kobiety. Od palców stóp po czubki głów okrywały je czarne szaty z wąskimi szparkami

na oczy. Bruno pomyślał, że wyglądają jak okienka strzelnicze bunkrów, z których można razić przeciwnika ogniem, samemu pozostając nietykalnym.

Wysłuchały kilku zdań wypowiedzianych po arabsku i zniknęły równie bezszelestnie, jak przyszły, aby po dłuższej chwili pojawić się z metalową tacą średnicy koła od roweru, którą postawiły na ziemi między mężczyznami. Na środku piętrzyło się coś, co przypominało babkę z piasku, ale zrobioną nie za pomocą dziecięcego wiaderka na plażę, tylko znacznie większego naczynia.

– *Makluba* – powiedział Karim, jakby anonsował ważnego gościa.

– Czyli? – zaciekał się Manfred.

– Po arabsku to znaczy „odwrócona”. Potrawa z ryżu, kawałków mięsa i smażonych warzyw duszona w specjalnym garnku, który potem odwraca się do góry dnem, umieszczając zawartość na tacy – wyjaśnił i nie czekając na gospodarza, któremu nie wypadało zacząć jako pierwszemu, nachylił się i nabrał garść *makluby*, jak nabiera się śnieg, aby uformować z niego kulkę. Manfred i Bruno, zachęceni gestem Beduina, poszli w jego ślady.

Jedli w milczeniu, na przemian wyrażając oczami uznanie i obserwując kolejnych mężczyzn w tradycyjnych szatach, którzy bez słowa wchodzili do namiotu, siadali i sięgali po jedzenie. Panowała tu wyraźna hierarchia. Pierwszeństwo w ucztowaniu z gośćmi miał przywódca, potem przybywali niżej postawieni, aż po tych, dla których porządek klanu przeznaczył zaszczyt sprzątnięcia z tacy ostatnich ziarenek ryżu.

Gdy kończyli, jedna z kobiet zjawiła się za plecami starszego klanu z wypchanym płóciennym workiem pełniącym funkcję poduszki. Gospodarz wytarł tłuste palce w swoją i tak już lśniąca brodę, po czym oparł się o worek, przyjmując znacznie wygodniejszą pozycję. Poły jego szaty rozchyliły się przy tym, odsłaniając zakrzywiony sztylet z rogową rękojeścią noszony za szerokim pasem.

Bruno wbił w niego wzrok.

– Podoba ci się? – Beduin zrozumiał to spojrzenie.

Janoschek skinął głową, gdy Karim przetłumaczył pytanie, a wtedy gospodarz uniósł się na łokciu, wyciągnął broń i podał ją gościowi rękojeścią do przodu.

Oczy Bruna rozbłysły, co sprawiło Beduinowi niekłamaną przyjemność.

Przez kilka minut wygłaszał jakąś arabską przemowę, na którą jego współplemieńcy reagowali pomrukami aprobaty.

– On mówi – wyjaśnił Karim – że wśród ludzi pustyni ci tutaj nazywani są klanem dżambii. Dżambia to arabski nóż. Symbol wolności. Dla mężczyzny nie ma większej kary niż odebranie mu noża. Ćwiczą się we władaniu dżambią od wczesnego dzieciństwa i nikt z pustynnych wojowników nie kwapi się, aby walczyć na tę broń z którymś z nich. Jego bratanek Szaraf – wskazał dłonią młodzieńca siedzącego naprzeciwko – jest w tej sztuce niedoścignionym mistrzem. Zabił wielu wrogów.

Bruno spojrzał na niego z zaciekawionym.

Szaraf miał około trzydziestu lat, lodowate oczy, ostre rysy drapieżnego ptaka i garbaty nos, który tym bardziej potęgował to wrażenie. Budził respekt. Z lekką drwiną patrzył na sztylet w rękach Bruna.

– Mój przyjaciel też jest mistrzem noża – wyrwał się Manfred, co po przetłumaczeniu wyraźnie zaintrygowało młodego Beduina.

– Lepiej tego nie sprawdzajmy – uznał przywódca klanu.

– Nie musimy walczyć – odezwał się Bruno. – Zróbmy zawody.

Szaraf wstał i spojrzał na niego pytająco. Był gotów na wyzwanie.

– Wbij swój sztylet w tamten słupek namiotu – powiedział Bruno.

Gdy Karim przetłumaczył, młodzieniec o twarzy jastrzębia roześmiał się głośno, wyjął broń z ręki Bruna, podszedł do wskazanego słupka i zagłębił czubek ostrza w drewnie.

Pozostali spojrzeli na jasnowłosego gościa jak na kogoś, kogo Allah pozbawił rozumu.

– Nie. Wbij go stąd – pokręcił głową Bruno, wskazując palcem ziemię, na której siedział. – Nie ruszając się z miejsca.

Beduinowi niebezpiecznie drgnął policzek. Zrozumiał, że cudzoziemiec z niego żartuje. Przełknął to, napotykać karcący wzrok stryja, po czym

uprzejmie wyjaśnił, że džambia nie nadaje się do spełnienia prośby niewiernego. Proste ostrze może tak, ale nie takie zakończone półksiężycem. Poza tym to zbyt duża odległość.

Bruno ukłonił mu się z szacunkiem, po czym zza paska spodni wyciągnął skórzany futerał, z którym nigdy się nie rozstawał, bo po pierwsze, czuł się z tym pewniej, a po drugie, ciągle ćwiczył swoje umiejętności.

Wydobył trzy płaskie kawałki stali z ostrzami, choć bez okładin rękojeści. Powoli ułożył je na derce przed sobą, na co Beduini z rozbawieniem pokręcili głowami. To nie były noże. To była kpina z noży. Może nawet obelga w namiocie klanu džambii.

Tymczasem cudzoziemiec wstał, otrzepał spodnie, sięgnął po swoje noże, uniósł je w lewej dłoni, a prawą po kolei rzucał w słupek namiotu. Czysto, perfekcyjnie, w idealnej odległości.

Beduini zaniemówili.

Ale już po chwili zerwali się z miejsc i podnieśli wrzawę. Na przemian klepali Bruna w plecy, cmokali z zachwytu i unosili ręce. Padła nawet propozycja wymiany latających noży cudzoziemca za kożę.

– Gdzie się pan tego nauczył? – spytał Karim, gdy po południu wracali dżipem do Kairu. Tym razem prowadził Broll.

– W cyrku – odpowiedział Bruno.

– W cyrku? – spytał Egipcjanin z niedowierzaniem. – Myślałem, że to jakiś specjalny program szkolenia komandosów pułkownika Skorzenego.

– Był taki program – wtrącił Manfred. – Prowadził go właśnie pan Janoschek, na prośbę dowódcy. Kilku naszych kolegów nawet nieźle sobie radziło z rzucaniem nożami.

– Janoschek – powtórzył Karim. – To polskie nazwisko?

– Czeskie – odparł Bruno. – Ale był pan blisko. Moja matka jest polskiego pochodzenia.

– Rodzice żyją?

– Od sąsiadów wysiedlonych z Opola do Niemiec wiem, że tak. Ale nie mam z nimi kontaktu. Znajomi mówili, że moje listy mogłyby ich narazić

na przykrości ze strony komunistów.

Karim głęboko się zamyślił.

– Ja wysyłam listy do Polski – powiedział po dłuższej chwili milczenia.

– Ma pan tam przyjaciół? – zainteresował się Manfred.

– Kobietę – uśmiechnął się Egipcjanin. – I synka – sięgnął do portfela i podsunął im fotografię chłopca trzymanego za rączkę przez bardzo atrakcyjną blondynkę. Malec miał trzy, może cztery lata, śniadą skórę jak ojciec i bystre oczy. Stał na plaży, na tle kilku kutrów rybackich.

– Po wojnie Królestwo Egiptu jako jedno z pierwszych państw na świecie otworzyło swoje poselstwo dyplomatyczne w Warszawie – wyjaśnił Karim. – Wyjechałem tam w charakterze radcy handlowego. Christinę – uniósł fotografię – poznałem w Gdyni. Była w ciąży z naszym synkiem, gdy polska tajna policja dogrzebała się mojej współpracy z Trzecią Rzeszą i wyrzuciła mnie ze swojego kraju. Nawet nie zdążyłem się pożegnać.

Manfred pokiwał głową z uprzejmym współczuciem.

– Wysyłam listy raz w miesiącu i w każdym trochę pieniędzy dla chłopca. Myślicie, że Christina może mieć nieprzyjemności z tego powodu? – spytał lekko zaniepokojony.

– Egipt to nie Niemcy Zachodnie – uspokoił go Broll. – Z całym szacunkiem, ale pewnie wasz kraj mało Polaków obchodzi. A nami ciągle straszą dzieci i w każdym obywatelu Republiki Federalnej widzą szpiega. To zupełnie inna sytuacja.

Karim odetchnął z ulgą. Przykrości Krystyny, którą poznał w Polsce, tak naprawdę mało go obchodziły. Ważny był kontakt z nią i synkiem, bo stwarzało to wiarygodny pretekst do powrotu do Gdyni, a stamtąd w Sudety. Po uran.

Uśmiechnął się do swoich myśli i podziękował Manfredowi spojrzeniem.

– Po powrocie do Kairu zapraszam panów na drinka – powiedział. Wprawdzie nie mam w domu sznapsa, ale znajdzie się butelka whisky. Trzeba poznawać kulturę wroga – wyjaśnił.

Jego niemieccy koledzy wyraźnie się ucieszyli, a Broll dodał gazu.

– Czyli mówi pan, że rodzice mieszkają w Opolu – Karim popatrzył na Bruna. – Teraz to Polska – oświadczył dziwnym tonem coś, co było przecież oczywiste.

ROZDZIAŁ 9.

Kair,
jesień 1954

Egipski chłopak w podkoszulku i spodniach od munduru polowego z małpią zręcznością wspiął się na dwumetrowy mur, lekko przerzucił przez niego ciało i wylądował po drugiej stronie, umiejętnie amortyzując skok. Nie zwlekając ani sekundy, przebiegł kilkanaście metrów zgięty w pół, aby nie zaczepić o zasieki z drutu kolczastego, i wypadł na wolną przestrzeń. Tu wykonał przewrót w przód, podczas którego wyciągnął z pochwy nóż i rzucił nim w drewnianego manekina cztery metry dalej. Ostrze utkwilo w korpusie i przez chwilę drgało jak membrana.

Obserwujący ćwiczenia Karim Ali Hassan nagroził go brawami i z uznaniem spojrzął na stojącego obok Bruna Janoschka.

– Robią postępy – uznał. – Gratuluję panu.

Bruno niemal niezauważalnie skinął głową.

Od dwóch lat szkolił żołnierzy egipskich sił specjalnych. Trafiali do nich tylko najlepsi ludzie z innych jednostek. Ale i tak kurs wstępny zaliczał jeden na dwudziestu. Ci, którzy zostawali, byli naprawdę dobrzy. Ostatni chłopak na bojowym torze przeszkód właśnie to potwierdził.

Karim podszedł do drewnianego nieprzyjaciela i wyciągnął z jego piersi wąski sztylet z obosieczną głownią. Jego rękojeść doskonale leżała w dłoni.

– To fairbairn-sykes – wyjaśnił Bruno. – Nazwany tak dla upamiętnienia swoich projektantów: brytyjskiego instruktora walki wręcz i oficera sił specjalnych szanghajskiej policji. Według mnie to najlepszy nóż szturmowy na świecie. Ma swoje lata, ale wciąż jest bezkonkurencyjny. Poręczny, skuteczny i doskonale wyważony.

– Zastanawiam się, czy egipcscy komandosi powinni mieć angielską broń – rzucił Karim.

Bruno nie skomentował. Dla niego liczyła się jakość noża, a nie kraj, w którym go wyprodukowano.

– Ma pan inne propozycje? – spytał.

– Słyszałem o pomysle noża z rtęcią w środku. Wie pan, taki kanalik w tym miejscu – przejechał palcem wzdłuż głowni. – Podczas rzutu rtęć przelewa się w kierunku czubka ostrza i wtedy ono zawsze się wbija. Oszczędziłoby to panu setek godzin uczenia żołnierzy, jak skutecznie rzucać, bo taki nóż osiągnie to samoczynnie.

Bruno zastanowił się przez chwilę.

– Z całym szacunkiem – powiedział – ale to bzdura.

Karim poczuł się lekko urażony.

– Nóż to nie oszczep – wyjaśnił Janoschek. – Rzut na dalszą odległość wymaga obrotu w locie, a rtęć nie jest tak mądra, żeby przelewać się tylko w kierunku czubka. Poza tym: zna pan koktajle Mołotowa? – spytał.

Egipcjanin potwierdził.

– Proszę sobie wyobrazić, że butelka, którą miota się w czołg, nie jest wypełniona benzyną w całości, ale – powiedzmy – w jednej trzeciej. Jaką butelką łatwiej jest wykonać rzut: pełną czy taką, w której przelewa się ciecz?

Karim uśmiechnął się i przyznał Janoschkowi rację. Oddał sztylet żołnierzowi, który stał obok równie sztywno jak drewniany manekin.

– Dobrze ci się tym rzuca? – spytał po arabsku.

– Bardzo dobrze, proszę pana – odparł chłopak. – Pan instruktor sprowadził dla nas na próbę różne noże bojowe. Niemieckie, amerykańskie i nawet te – przez chwilę poszukał w pamięci – rosyjskie. Ale ten nie ma sobie równych, proszę pana.

Karim nie skomentował. Kiwnął na Bruna i ruszyli w kierunku koszar, gdzie raz jeszcze pogratulował mu postępów w szkoleniu.

– Ma pan dziś jakieś plany na wieczór? – spytał na koniec.

– Nie. Będę potrzebny?

Egipcjanin pokiwał głową. Od powrotu z wycieczki do oazy Beduinów przed dwoma laty Janoschek godził obowiązki instruktora komandosów

z funkcją prywatnego ochroniarza Karima Alego Hassana. Po próbie zamachu zleconego przez Bractwo Muzułmańskie Egipcjanin czuł się o wiele lepiej, mając obok siebie człowieka, który był jak sokół. Miał wszystkowidzące oczy, działał błyskawicznie i bezszelestnie.

– Naser chce dziś uczcić zakończenie pierwszego etapu prac nad projektem, którym zajmuje się Otto Skorzeny – powiedział. – Najpierw mamy się spotkać w siedzibie rządu, a potem chcą iść na kolację do jakiegoś lokalu w mieście. Wolałbym, żeby był pan w pobliżu.

– Jasne – potwierdził Bruno. – O której mam po pana przyjechać?

– O wpół do ósmej – Karim spojrzał na zegarek. – A wracać będziemy...

O drugiej?

– Obersturmbannführer też będzie? – upewnił się Janoschek.

– Będzie.

– To wracać będziemy minimum o czwartej. Wcześniej was nie wypuści.

Tancerka była mistrzynią w swoim fachu.

Ubrana w skąpą kamizelkę i długą, powłóczystą spódnicę opinającą szerokie biodra potrafiła rozpalić zmysły. Decydowały o tym jej pełne piersi, usiłujące wyrwać się z niewoli stanika, zgrabne nogi i gwiazdozbiór cekinów na niewielkim trójkącie tkaniny zakrywającej wzgórek łonowy, doskonale widoczny przez przezroczystą szatę.

Ale najważniejszy był jej brzuch.

Nagi, choć prawo tego zabraniało. Zakazany, ale nie tu, gdzie gładziły go spojrzenia mężczyzn, którzy prawo stanowili. Niby nieruchomy, a przecież rozdający zadania innym częściom ciała: biodrom, ramionom, dłoniom i nogom, które tańczyły posłuszne choreografii brzucha: falom uruchamianym przez przeponę, kaskadom mięśni po obu stronach pępka, wreszcie drzeniu, które przenosiło się stąd na ciało tancerki. A z niego na widzów.

Karim Ali Hassan podziwiał każdy ruch dziewczyny, ale coraz częściej zerkał na Skorzenego.

Był dowódca sił specjalnych Trzeciej Rzeszy wyglądał i zachowywał się jak hollywoodzki gwiazdor. Na jego włosach lśniła brylantyna, a pod koszulą rozpiętą o dwa guziki za dużo barwna jedwabna apaszka. Był głośny. Przyciągał spojrzenia.

Grał samego siebie.

Legendarnego wybawcę Mussoliniego, Supermana z amerykańskich komiksów, nieustraszonego zucha, dla którego nie ma zadań niewykonalnych. Z szelmowskim uśmiechem, przyklejonym do twarzy przeciętej blizną, roztaczał wokół aurę półboga. Kokietował tancerkę, wysyłał powłóczyście spojrzenia kobietom, hipnotyzował kelnerów i ministrów. Była w tym chciwość wywoływania zachwyty, megalomania, którą Karim znosił coraz gorzej.

Gdzie się podział jego idol? Skupiony, dyskretny i cichy najlepszy komandos Europy? Zaufany człowiek Hitlera, który nie tolerował blichtru? Podstarzały, lepki na pochlebstwa playboy z nadwagą był zaledwie jego karykaturą.

Karim patrzył na Skorzenego owianego siwą chmurą dymu z cygara, co chwilę wybuchającego śmiechem z byle powodu, a jego wizja wyprawy po uran oddalała się jak droga w lusterku pędzącego auta.

Posmutniał.

Pozwolił sobie nalać jeszcze jeden kieliszek szampana, spełnił toast z Naserem i szepnął mu do ucha, że musi już iść. Nie miał tu czego szukać. Otto Skorzeny za olbrzymie pieniądze załatwił Egipcjom niemieckich fachowców od rakiet, ale z pewnością nie był już człowiekiem, którego potrzebował Karim. Komuś takiemu nie powierzy tajemnicę uranu.

Wyszedł z lokalu i wciągnął do płuc zimne powietrze kairskiej nocy.

W tej samej chwili od krawężnika sto metrów dalej oderwał się zielonkawy ford consul. Błysnął reflektorami i podjechał pod wejście do restauracji. Karim bez słowa zajął fotel pasażera.

Bruno Janoschek nie zadawał pytań. Żadnego „jak się udało spotkanie?” czy „dobrze się pan bawił?”. Bruno Janoschek robił swoje.

Egipcjanin zerknął na niego i usiłował wyobrazić sobie, jak na arenie rzuca nożami, wywołując aplauz publiki, ale ta wizja nie chciała się pojawić. Ledwo przenosił się myślami do cyrku, zaraz widział Skorzenego. W roli klauna.

W milczeniu podjechali pod dom.

Karim otworzył drzwi auta i przez moment się zawahał.

– Wejdzie pan na chwilę? Mam dla pana niespodziankę.

Bruno skinął głową.

Pokonali schody prowadzące do mieszkania Karima, bronionego przez kilka patentowych zamków.

Wnętrze salonu było skromne, ale schludne i gustownie urządzone. Jedną ścianę zajmował regał z książkami, naprzeciwko stała ratanowa komoda spokrewniona z trzema identycznymi fotelami i stolikiem kawowym. Nad nim, pod sufitem, obracał się wentylator wielki jak śmigła myśliwca zaprojektowanego przez Willy'ego Messerschmitta, który też pracował teraz dla Egipcjan. Wolną przestrzeń po obu stronach drzwi wejściowych zajmowały ryciny starożytnych bogów.

Gospodarz wskazał Brunowi jeden z foteli, odszukał w radiu jakąś arabską muzykę i zniknął w kuchni.

Po chwili wyszedł z tacą, na której stała puszka soku pomarańczowego, naczynie z lodem i dwie szklanki. Postawił ją na stoliku i z uśmiechem iluzjonisty sięgnął za plecy, gdzie pasek spodni podtrzymywał butelkę wódki.

– Kupiłem od marynarzy z Gdyni – oświadczył z triumfującą miną. – Polska żytnia.

Na twarzy Bruna przez moment pojawił się przelotny cień sentymentu.

– Nostalgia? – zauważył Karim. – Czuje się pan trochę Polakiem?

– Nie wiem – odparł szczerze Bruno. – Mam połowę polskiej krwi. Po matce. Gdy byłem mały, w domu rozmawialiśmy tylko w jej języku. Ale w szkole czy w sklepie gładko przechodziłem na niemiecki, nawet nie zauważając różnicy.

– Nadal pan dobrze mówi po polsku?

Bruno pokiwał głową.

– Oczywiście. Byliśmy nierozłączni ze starszym bratem, a on czuł się Polakiem. Chyba nigdy nie zamieniliśmy ani jednego zdania po niemiecku.

– Gdzie teraz jest?

– Zginął na Rodos. W ubiegłym roku minęło dziesięć lat.

– Moje kondolencje.

– Zamordowali go greccy partyzanci.

– Zamordowali? Był w niewoli?

– Nie. Zwabili jego pluton w pułapkę i wprowadzili na pole minowe. Rozerwało połowę ludzi, w tym Herberta. Resztę rozwalili z karabinów. Strzelali do nich jak do kaczek, bo koledzy brata bali się zrobić krok w jakąkolwiek stronę.

– Wojna – powiedział cicho Karim.

– Wojna? – mięśnie na policzkach Bruna drgnęły z wściekłości. – Tak się nie prowadzi wojen.

Egipcjanina zaskoczyła jego przemiana. Twarz Janoschka nabrała nagle drapieżności, a w oczach pojawiło się coś niebezpiecznego. Dziwne – pomyślał. Komandosi Skorzenego byli specjalistami od pułapek. Przebierali się w amerykańskie mundury i prześcigali w podstępnych pomysłach, byle zabić jak najwięcej żołnierzy nieprzyjaciela. Bruno był jednym z nich i powinien rozumieć takie metody walki.

– Musiał być pan mocno związany z bratem – uznał. – Zostawił rodzinę?

Bruno spojrzał na niego z dziwną niechęcią. Nie odpowiedział.

Karim nalał po porcji wódki do szklanek i sięgnął po otwieracz do konserw, aby uzupełnić drinki sokiem pomarańczowym.

– Mam propozycję – powiedział. – Wypijmy brudersaft.

Janoschek powstrzymał go gestem.

– Jeśli mamy to zrobić polską wódką, to czystą. Bez soku. I do dna.

Egipcjanin uniósł szklankę. Stuknęli się i wypili. Karim przez dłuższą chwilę nie mógł złapać tchu. Pomogła dopiero kostka lodu, którą przełknął, aby ugasić pożar w przełyku.

– Kiedyś pojedę na Rodos – powiedział Bruno, odstawiając szklanę. – Odnajdę tych ludzi, którzy byli w partyzantce tam, gdzie zginął Herbert. I wszystkich ich zabiję.

– W pojedynkę?

Skinął głową.

– To misja samobójcza.

– Byłem w takich nieraz.

– Czemu do tej pory nie pojechałeś?

Bruno potarł kciuk o palec wskazujący.

– Nie miałem pieniędzy. Dopiero tu zacząłem jako tako zarabiać, dzięki pa..., dzięki tobie.

Karim wstał, zrobił kilka kroków, układając coś w myślach. Wreszcie usiadł, otworzył puszkę i tym razem zmieszał drinki z sokiem pomarańczowym.

– Mówiłeś, że rodzice żyją – przypomniał, jakby ojciec i matka Bruna interesowali go znacznie bardziej niż historia brata zabitego w Grecji.

– Wojnę przeżyli. A teraz? Nie wiem. Mam nadzieję, że tak.

Karim spojrzał Brunowi prosto w oczy.

– Chcesz, żebym się dowiedział?

– Jak?

– Mówiłem ci: mam w Polsce kobietę i synka. Piszę do nich i co jakiś czas wysyłam trochę dolarów na utrzymanie małego. Mogę poprosić Christinę w liście, aby wypytała o twoich bliskich.

Bruno zmarszczył brwi.

– Twoja kobieta pojedzie do Opola to sprawdzić?

– Człowieku – uśmiechnął się Egipcjanin. – To jest Polska. Tam każdy zna kogoś, kto zna kogoś, kto zna kogoś. Wiesz, jak oni tam to nazywają? Poczta pantoflowa. Bo wszystkiego się dowiesz, nie wychodząc z domu.

– Nie boisz się, że polskie służby czytają twoje listy?

– Gdyby tak było, zabieraliby z nich dolary. Tymczasem Christina cały czas podsyła mi zdjęcia synka w rzeczach, które mu kupuje na czarnym rynku, i zawsze dziękuje za wysłane pieniądze. Nie martw się – poklepał

go po ramieniu – podaj adres, a ja napiszę Christinie, że przyjaciel z Niemiec martwi się o rodzinę i tak dalej. Już ona wszystko wywącha. To bardzo rzutka kobieta.

– Przed wojną mieszkaliśmy w dzielnicy Odervorstadt, przy Breslauerplatz – powiedział Bruno. Karim podszedł do stolika telefonicznego, zapalił lampkę i zapisał obydwie nazwy w leżącym pod nią notesie. A kiedy zgasił światło, odwrócił twarz w kierunku okna. Świtało. Bóg Ra szykował się do porannej gimnastyki.

– Trzeba odpocząć – powiedział. – To był bardzo długi dzień.

Po wyjściu Bruna napuścił wody do wanny, aby zmyć z siebie aromat całonocnego bankietu. Wygodnie ułożył się w ciepłej kąpeli, która powoli zabierała z jego włosów i skóry mieszankę zapachów agresywnych damskich perfum, palonego tytoniu, alkoholu i spoconych ciał innych ludzi, którzy albo wanien nie mieli, albo nie robili z nich użytku.

Zatonął w myślach.

Wstał, kiedy woda zrobiła się zbyt chłodna. Mocno wytarł się ręcznikiem, wskoczył do jedwabnej pościeli i wyciągnął na wznak w pozycji, w której osiągał idealny spokój.

Zamknął oczy, ale sen wymknął się przez okno, przez które widać było piramidy w Gizie, a myśli pomknęły do sudeckiego lasu.

Coś się musiało stać – pomyślał Bruno, obserwując zza ciemnych szkieł okularów przeciwsłonecznych Karima Alego Hassana, który machał do niego z samochodu zaparkowanego za bramą placu ćwiczeń. Egipcjanin był podekscytowany, co podkreślały jego coraz bardziej zniecierpliwione ruchy. Nie widzieli się od dwóch miesięcy.

Janoschek posłał mu uspokajający gest i zniknął w baraku kadry, gdzie zamienił strój treningowy na kraciatą koszulę z krótkim rękawem, jasne szorty i sandały. Nie spiesząc się, podszedł do bramy, wymienił pozdrowienie z wartownikiem i wszedł do auta Karima.

– Coś się stało? – zamienił w pytanie swoją pierwszą myśl.

– Przyszedł list od Christiny – oświadczył Karim, wskazując kopertę poczty lotniczej leżącą na tylnym siedzeniu. – Czytaj.

Bruno sięgnął, wyjął arkusz papieru pokryty równym pismem i zagłębił się w treść napisaną niepoprawną, za to bardzo pikantną niemczyzną.

– To zbyt prywatne – uznał, odsuwając arkusz papeterii.

– Czytaj – nalegał Karim, ruszając spod koszar w obłoku beżowego kurzu.

– Nie będę czytał o twoim kutasie – zirytował się Bruno – i o tym, jak ona za nim tęskni – rzucił list na tylne siedzenie. – Chcesz mi zaimponować?

– Pomiń to – stwierdził Karim. – Dalej pisze o twojej rodzinie. Christina była w Opolu. Jak się okazuje, ma tam kuzynkę.

– I czego się dowiedziała? – zaintrygował się Bruno.

– Najpierw złe wiadomości – uprzedził Egipcjanin. – Twój ojciec nie żyje. Janoschek spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem, jakby ktoś zadał mu ogłuszający cios.

– Co ty mówisz? – szepnął. – Kiedy?

– Dwa lata temu. Zmarł na zapalenie płuc. Moje kondolencje.

Bruno bezwiednie objął głowę dłońmi.

– Dwa lata... A ja nawet nie wiedziałem. Matka...

– Matka zdrowa – pocieszył go Karim. – Ale z tego, co pisze Christina, to jej dość ciężko. Jest sama, ma rentę po twoim ojcu, ale pewnie skromną, bo dorabia, przyjmując od ludzi pranie i prasowanie.

– Muszę do niej jechać – zdecydował Bruno.

Karim Ali Hassan zerknął na niego badawczo.

– Może lepiej nie – powiedział bez przekonania.

– Muszę.

– Skoro tak postanowiłeś – wątpliwości Egipcjanina zniknęły szybciej, niż się pojawiły. – W końcu jesteś obywatelem Niemieckiej Republiki Federalnej. Komuniści nic ci nie mogą zrobić.

Przez kilka minut jechali w milczeniu.

– Masz pieniądze na podróż? – spytał Karim.

– Na bilet wystarczy. Ale myślę, żeby wrócić do Stuttgartu i zabrać matkę ze sobą. Według naszego prawa ona też jest obywatelką Niemiec, urodzoną na terenach należących przed wojną do Rzeszy. Muszę na to zarobić.

Karim nagle zwolnił i zjechał na pobocze drogi prowadzącej z koszar. Poczuł, że nadeszła chwila, na którą czekał od lat. Oparł obie dłonie na kierownicy i wziął głęboki oddech.

– Posłuchaj – powiedział z jakimś nienaturalnym skupieniem. – Powiem ci coś, czego przez dziewięć lat nie mówiłem nikomu innemu.

Bruno spojrzał na niego uważnie.

– Tuż przed końcem wojny, gdy Rusczy deptali nam już po piętach, stacjonowałem w Sudetach. Budowałem tajny podziemny schron w lesie niedaleko miejscowości Klessengrund, dziś Kletno. Niemcy umieścili tam coś bardzo ważnego i bardzo cennego, po co zamierzali wrócić, ale się nie udało. Jestem jedynym człowiekiem, który wie, co to jest i gdzie to jest.

– Jakim cudem? – spytał Bruno.

– Więźniów obozu koncentracyjnego, którzy transportowali ładunek i umieścili go w bunkrze, zlikwidowano na miejscu. Chwilę potem oficer dowodzący akcją zrobił to samo z trzema esesmanami z eskorty. Mnie też chciał zastrzelić, ale zabrakło mu amunicji w parabelce. Roztrzaskałem mu czaszkę kamieniem.

– Co tam jest ukryte? – spytał Bruno.

– Chciałbym, aby na razie pozostało to tajemnicą.

– To po co mi to wszystko mówisz?

Karim odwrócił głowę znad kierownicy i spojrzał mu prosto w oczy.

– Pomyślałem, że skoro chcesz jechać do Polski, mógłbyś sprawdzić, czy miejsce w lesie koło Kletna jest bezpieczne. I czy można się tam łatwo dostać. Przygotuję ci dokładny szkic terenu.

– Dlaczego nikomu wcześniej o tym nie powiedziałeś?

– Bo nikomu nie mogłem zaufać.

– A mnie możesz?

Egipcjanin wymownie dotknął nosa.

– Wyczuwam ludzi. Znam cię dwa lata. Jesteś człowiekiem honoru. A poza tym dobrze mówisz po polsku i masz wyjątkowe umiejętności. W końcu byłeś komandosem jednej z najlepszych jednostek specjalnych na świecie. Możesz dyskretnie zbadać teren, a jeśli wszystko jest w porządku – zaplanować i przeprowadzić akcję przerzutu tego, co Niemcy ukryli w bunkrze.

– Dlaczego nie zwrócisz się z tym do Skorzenego? To spec od takich operacji.

Karim się skrzywił.

– Obersturbannführer to już nie jest ten człowiek co kiedyś. Dużo pije, za dużo gada. Ostatnio rozpowiadał, że pilnuje w Egipcie interesów CIA. Dasz wiarę? Nie poznaję go. Załatwił Naserowi naukowców i specjalistów od rakiet dalekiego zasięgu, skasował za to fortunę i zniknął, zostawiając temat na głowie Manfreda Brolla. Myślę, że ma już wszystko w dupie. Interesują go Wyspy Kanaryjskie, brylowanie na salonach i ubarwianie własnej legendy.

Bruno nie skomentował.

– To coś. Z bunkra. Jest ciężkie? – spytał.

– Sam nie dasz rady. Będzie potrzebna druga para rąk. Silnych rąk.

– Manfred?

– Stanowczo nie. On traktuje Egipcjan jak biały właściciel plantacji bawełny czarnych niewolników. Gardzi nami i nie będzie wykonywał moich poleceń.

– Dla Nasera pracuje – stwierdził Janoschek.

– Bo mu Skorzeny kazał.

Bruno kiwnął głową.

– To coś z bunkra – wrócił do kwestii technicznych. – Jest duże?

– Zmieści się na niewielkiej ciężarówce.

– Gdzie trzeba przewieźć?

– Wystarczy do Austrii.

– Odległość?

– Niewiele ponad dwieście kilometrów. Dostaniesz ode mnie pieniądze na wszystkie wydatki. A jeśli wszystko się uda, sprowadzisz matkę do Stuttgartu i nie będziesz już musiał się o nic martwić. W Austrii wypłacę ci trzydzieści tysięcy dolarów. Co ty na to?

Bruno milczał przez dłuższą chwilę.

– Da się zrobić – powiedział.

Karim odsłonił zęby w uśmiechu, pochylił się i ze schowka na rękawiczki wyciągnął niewielką cieką książeczkę. Podał ją swojemu pasażerowi.

– Co to jest? – spytał Bruno, patrząc na orła wytłoczonego na okładce.

– Polski dowód osobisty.

– Czyj?

– Zobacz.

Otworzył, zdziwił się na widok swojego zdjęcia. Przeczytał: „Bruno Janoszek. Opole, plac Hanki Sawickiej...” – Kto to Hanka Sawicka?

– Bo ja wiem? – Karim wyduł wargi. – Pewnie jakaś komunistka, skoro jej imię nosi dawny Breslauerplatz.

– Po co mi lewy polski dowód?

– Na zwykłą kontrolę milicyjną wystarczy. Lepszy niż paszport z Niemiec Zachodnich, który dla każdego gliniarza na Śląsku oznacza szpiega.

Bruno przyjrzał mu się uważnie.

– Skąd wiedziałeś, że się zgodzę?

Karim Ali Hassan ponownie się uśmiechnął i wymownie dotknął swojego nosa.

Wrzawa wypełniająca suk Chan al-Chalili w starym Kairze była nie do zniesienia, ale Bruno wydawał się jej nie słyszeć.

Od wczorajszej rozmowy z Karimem perspektywa wyjazdu do Polski wypełniała jego myśli tak szczelnie, że nie było w nich miejsca na inne rozważania. A już na pewno nie na poświęcanie uwagi jazgotowi

arabskiego bazaru, gdzie rywalizowały ze sobą okrzyki zachwytu i oburzenia, lamenty, targi i wzywianie imienia Boga.

Bruno przeciskał się przez ciżbę kupców i sprzedawców. Co kilka sekund ktoś próbował zainteresować go swoją ofertą, szarpiąc za rękaw albo podtykając towar pod nos. Nie reagował. Był całkowicie zaprzątnięty wizją spotkania z matką. Pierwszym od czasu, gdy spojrzał jej w oczy, wychodząc na wojnę, i przysiągł, że będzie się opiekował Herbertem. Cieszył się z tego spotkania jak mały chłopiec, a jednocześnie przepełniał go lęk. Jak matka go przyjmie? Zrozumie czy może zatrzaskać drzwi? Nie dopilnował brata, uciekł, nie odzywał się przez jedenaście lat? Czy potrafi mu to wybaczyć?

Od kwadransa szukał na bazarze upominku dla niej. Czegoś, co nie sprawiłoby wrażenia, że próbuje ją przekupić, ale co ociepliłoby jej uczucia, kiedy go zobaczy. Czegoś wyjątkowego, co niosłoby przesłanie: wyjechałem aż do Egiptu, ale ciągle o tobie myślałem.

Nie znalazł.

Wszystko, co leżało na straganach i chodnikach suku, było zbyt ozdobne, zbyt natrętne, zbyt obce. Zrezygnowany minął ostatnią alejkę i wyszedł z targowiska wprost w ciasną uliczkę. Na jej bruku rozłożyli towary najbiedniejsi, żyjący nadzieją, że sprzedają coś, co choć na chwilę wydrze ich z nędzy i głodu.

Uwagę Bruna przykuł zwłaszcza jeden z nich, kościsty starzec w brudnej szacie. Siedział na skrzynce po owocach z kilkoma przedmiotami rozłożonymi tuż u bosych stóp, których paznokcie wrosły w ciało. Na głowie miał turban, twarz pokrytą siwą szczeciną i niemal zupełnie białe oczy. Chora i nigdy nieleczone rogówka zmętniała do tego stopnia, że starzec pewnie był kompletnie ślepy.

A jednak, gdy Bruno zatrzymał się przed nim, zasłaniając słońce, przyłożył dłoń do brwi i powolnym gestem zaprosił obcego, aby się pochylił.

Janoschek przykucnął i sięgnął po niezwykle piękną chustę, lekką jak muślin, ale ciepłą i skromnie ozdobioną wyszywanymi hieroglifami.

Spytał o cenę.

Starzec pokazał ją na palcach, a kiedy Bruno wręczył mu kilka monet, oburącz przytrzymał jego rękę palcami przypominającymi szpony ptaka. Nie przeliczając, schował pieniądze do kieszeni szaty. Za to dłoń Bruna zbliżył do oczu na odległość kilku centymetrów i obejrzał z największym skupieniem. Być może wynikało to z faktu, że widział jedynie przez wąską szparkę, a może dostrzegł coś, co go zaintrygowało.

Janoszek nie protestował. Słyszał o egipskich chiromantach, którzy potrafili przepowiedzieć los, czytając z linii dłoni. Był ciekaw rezultatu, ale twarz starca pozostała niewzruszona. Puścił jego rękę, ale kiedy Bruno podniósł się i chciał odejść, zatrzymał go gestem.

Sięgnął do kieszeni szaty i wydobyl stamtąd niewielką wąską tabliczkę wypaloną z gliny i pokrytą rysunkiem. Przedstawiał kobietę z głową lwa, na której opierała się kula opasana przez węża.

Człowiek o mleczych oczach wręczył ją Brunowi.

Janoszek chciał zaprotestować. Nic więcej nie potrzebował, ale zrobiło mu się żal starca. Wyjął jeszcze dwie monety i podał je sprzedawcy pamiątek. Ale ten odmówił. Odsunął jego dłoń z pieniędzmi i wykrzywionym palcem wskazał najpierw tabliczkę, a potem Bruna: to dla ciebie.

Janoszek stał przez chwilę zaskoczony, ale kiedy tamten powtórzył gest, spytał, kogo przedstawia rysunek. W odpowiedzi człowiek o mleczych oczach szeroko otworzył usta. Nie miał języka.

Po raz kolejny wyciągnął palec w kierunku Bruna, który w tym samym momencie poczuł ciarki na plecach.

Zabrał tabliczkę, podziękował i odszedł.

Wieczorem zadzwonił do jednego z niemieckich ekspertów, którzy pracowali dla Skorzenego w fabryce rakiet. Inżynier był czynnym człowiekiem, interesował się starożytnym Egiptem i chętnie przystał na propozycję drinka.

Sięgnął po tabliczkę, którą Bruno położył na stole w jego mieszkaniu obok butelki johnniego walkera.

Inżynier przeprosił, wyszedł z pokoju i wrócił za chwilę z okazałą lupą. Obejrzał przedmiot raz jeszcze i westchnął głęboko.

– Nie wiem, ile pan zapłacił, ale to nie jest stara rzecz.

– Nic nie zapłaciłem – odparł Bruno. – Dostałem w prezencie i chciałem wiedzieć, co to jest.

– Amulet. Z wizerunkiem Sechmet. Bóstwa Dolnego Egiptu. Przedstawiano ją najczęściej tak ja tu – w szacie do kostek, z głową lwicy. Owal na górze to dysk słoneczny, a wąż, który go otacza, nazywa się Ureusz i symbolizuje boską władzę. Przyniosłem lupę, aby spróbować odczytać hieroglify, ale nie potrafię. Ale to na pewno amulet. Ma ułatwić komuś, kto go nosi, realizację misji, której patronuje Sechmet.

– A jakiej misji ona patronuje? – spytał Janoschek.

– Zemście.

Manfred Broll wyszedł z domu stojącego w bogatej kairskiej dzielnicy Zamelek i przyklęknął na chodniku, aby zasznurować buty. Wstał i pomachał żonie, która przyjechała do niego na kilka tygodni ze Stuttgartu. Stała w oknie sypialni na piętrze, a z kondygnacji niżej, zza żaluzji salonu, ulicę bacznie obserwował ochroniarz. Dawny komandos z zamku Friedenthal. Ten sam, który był cieniem Brolla, gdy prowadził rekrutację do batalionu Skorzenego podczas wojny.

Drugi cień siedział za kierownicą mercedesa, którym Manfred jeździł do biura. Przechylił się nad fotelem pasażera i otworzył mu drzwi.

Broll wszedł i zerknął we wsteczne lustro.

Sto metrów dalej parkował niebieski chevrolet. Towarzyszył im od czasu do czasu. Agenci Mosadu. Nie było wątpliwości. Oficerowie SS, naukowcy i funkcjonariusze Gestapo pracujący dla Nasera bardzo interesowali izraelski wywiad.

Manfred dał znak ochroniarzowi, że mogą ruszać, ale tamten spojrzął na zegarek i przecząco pokręcił głową.

– Jeszcze nie – powiedział.

Odczekał kilka minut, wypatrując czegoś przed przednią szybą, a kiedy wreszcie to zauważył, błyskawicznie uruchomił silnik, wrzucił bieg i odskoczył od krawężnika. Chevrolet zrobił to samo, choć znacznie wolniej. Dopiero na prostej dodał gazu, aby nie zgubić śledzonego mercedesa. Jednak kiedy dojeżdżał do pierwszej przecznicy, z prawej nagle wtargnął na jezdnię wózek zaprzęzony w osła i wypełniony po brzegi pomarańczami.

Chevrolet zahamował tak gwałtownie, że spod opon wydobyły się smużki dymu cuchnącego paloną gumą. Osioł się przestraszył i szarpnął. Z wózka wysypało się trochę owoców, a poganiacz narobił wrzasku na całą okolicę.

Opanowanie sytuacji zajmie kilkanaście minut – uznał Manfred, zerkając w lusterko i klepiąc po ramieniu ochroniarza – reżysera akcji, dzięki której izraelscy szpiedzy wyszli na osłów.

Roześmiał się, wygodnie usadowił w fotelu i skupił na widoku za szybą samochodu.

Kair.

Mein Gott, jak on nie cierpiał tego miasta. Było niehigieniczne, niestaranne, pełne nędzy przenikającej się z luksusem, cuchnące i rozwrzeszczane. Przypominało mu szelf, na który Nil naniósł odpadki z całego swego dorzecza. Chłopów nadal niepiśmiennych i prymitywnych jak za czasów faraonów, żebraków, złodziei oraz wszelkiej maści poszukiwaczy lepszego losu. Wszystko to mieszało się z cwaniactwem arabskich kupców, frustracją spadkobierców kolonializmu, fanatyzmem wyznawców islamu oraz nerwowym niepokojem szpiegów i biznesmenów usiłujących wywróżyć przyszłość Kanału Sueskiego. Manfred miał wrażenie, że nawet ruiny niemieckich miast zmasakrowanych przez bombowce miały więcej klasy i godności.

Zwłaszcza że z dumą powstawały z klęzek. Na gruzach wojny rosły nowe Niemcy. Gospodarcza potęga Europy. Za dziesięć lat to my będziemy rozdawać karty – myślał Manfred, przejeżdżając przez ulice Kairu. A tu

przyjedziemy się opalać i robić sobie zdjęcia na tle piramid. O ile powstaną w tym kraju przyzwoite hotele.

Tymczasem firma motoryzacyjna Brolla robiła w Egipcie kokosowe interesy, a on sam był pełnomocnikiem Skorzenego w „Fabryce 333” – ściśle tajnym projekcie produkcji rakiet balistycznych Nasera. Zarabiał krocie i choć był tylko Scharführerem, to wysocy oficerowie SS z szacunkiem ściskali mu dłoń. Dzięki Manfredowi żyli w Kairze jak pączki w maśle i tworzyli własny klub. Specjalnie dla nich Broll sprowadzał samolotem z Monachium *hofbräuera* – ulubione piwo Hitlera, *Bratwurst* i kapustę z grochem. A potem z pełnymi brzuchami płakali jak bobry, śpiewając tęskną *Lili Marlene*, piosenkę o pożegnaniu z dziewczyną pod bramą koszar w mglistym świetle latarni.

Wszyscy z wyjątkiem Bruna Janoschka.

On nie był sentymentalny. Zadowalał się dziewczynami spod innych latarni, które nie wymagały romantycznych pożegnań. Obywał się bez kiełbasy i żył jak odludek. Na uboczu Niemców. Zbyt blisko Egipcjan.

Szkolił ich komandosów? W porządku. Dla armii Nasera pracowali nawet wybitni dowódcy Wehrmachtu, mieszkający dziś nad Nilem i noszący arabskie nazwiska. To było normalne. Ale faktu, że Bruno był prywatnym ochroniarzem Karima Alego Hassana, Manfred nie potrafił mu wybaczyć. Jak Niemiec mógł służyć jakiemuś pastuchowi kóz? A na dodatek twierdził, że go lubi, bo Egipcjanin przypominał mu jakiegoś dawnego znajomego z cyrku. Pewnie dogadują się, bo obaj reprezentują niższe rasy – tłumaczył to sobie Manfred. Jeden Arab, drugi pół Czech, pół Polak. Pokrewieństwo defektów genetycznych.

Musiał wywołać Bruna telepatycznie, bo kiedy wszedł do swojego kairskiego biura, Janoschek siedział w sekretariacie, popijając miętową herbatę. Nieustannie dbał o formę. W białej bawełnianej koszuli, oliwkowych spodniach i półbutach z plecionej skóry wyglądał naprawdę dobrze.

– Właśnie o tobie myślałem. – Mimo wcześniejszych nieprzychylnych refleksji Manfred ucieszył się na widok kolegi. – Świetnie się prezentujesz.

Zostałeś już egipskim generałem?

Bruno przełknął złośliwość.

– Możemy chwilę pogadać na osobności? – spytał.

– Jasne. Zapraszam – Broll otworzył przed nim drzwi gabinetu.

Usiedli.

– Coś się stało? – Manfred sięgnął do srebrnej papierośnicy stojącej na biurku, wyjął camela i postukał nim o blat.

– Chciałbym wyjechać. Na tydzień, może dziesięć dni.

– Mnie nie musisz prosić o urlop – stwierdził Broll, wypuszczając dym. – Nie jestem już twoim szefem.

– Wiem, ale chciałem cię spytać o zdanie. Nie wiem, czy Obersturbannführer Skorzeny by to pochwalił.

– Gdzie się wybierasz? – zaciekał się Broll.

– Do Polski.

Manfred zatrzymał papierosa w połowie drogi do ust.

– A tam po co?

– Chcę odwiedzić matkę. Ojciec umarł dwa lata temu. Nawet nie wiedziałem. Ona została sama, Manfred. Straciła męża, jeden syn zginął w Grecji, po drugim ślad zaginął. Dorabia u ludzi. Nie mogę jej tak zostawić.

– I co chcesz zrobić?

– Według naszego prawa jest obywatelką Republiki Federalnej i może się starać o wyjazd do NRF.

– Komuniści ją puszczą? – w pytaniu Brolla zabrzmiało zwątpienie.

– Sami wyrzucają Ślązaków do Niemiec.

Manfred się zamyślił.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał po dłuższej chwili.

– Co?

– No to, że ojciec umarł i tak dalej.

– Z zaufanego źródła.

Broll popatrzył na niego przenikliwie.

– Masz jakieś kontakty w Polsce? Powinienem zacząć się martwić?

– Spokojnie. Nikt tam nie wie, że tu jestem i czym się zajmuję. I nikt się nie dowie.

Manfred uniósł brwi.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – uznał. – Potrzebujesz czegoś? Pieniędzy?

Bruno przecząco pokręcił głową.

– Czyli przyszedłeś tylko po błogosławieństwo? – Uniósł dwa złączone palce jak ksiądz, którzy zamierza wykonać znak krzyża nad głowami wiernych.

– Zawsze byłem w porządku wobec ciebie i Obersturbannführera. Po prostu nie chciałem ukrywać tego wyjazdu przed wami.

Broll w milczeniu dokończył znak krzyża, w czym była lekka nuta szyderstwa.

– Będę się zbierał – gość wstał z krzesła.

– Pozdrów matkę – powiedział Manfred. – I wdowę po Herbercie – dodał, przyglądając się uważnie reakcji Bruna.

To, co dostrzegł na jego twarzy, być może było tylko złudzeniem. Niemniej Manfred Broll dałby sobie rękę uciąć, że w relacji Janoschka z bratową kryła się jakaś tajemnica.

ROZDZIAŁ 10.

Opole,
jesień 1954 roku

Zmęczony funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej machał ramionami jak stary, wysłużony wiatrak po starciu z Don Kichotem.

Od godziny próbował opanować chaos na placu Hanki Sawickiej.

Zaczęło się od tego, że w dwóch furmanach odezwał się temperament woźniców rydwanów i urządzili sobie wyścig po ulicy Wrocławskiej. W efekcie ich wozy szepiły się burtami, konie stanęły dęba, a jeden z nich zerwał uprzęż i uciekł na błonia nad rzeką. Furmanki zatarasowały ruch na placu, zwłaszcza że po chwili wjechał w nie autobus wiozący robotników do cementowni, a potem auto jakiegoś ważniaka, który zaczął się drzeć na pół Zaodrza, że wyciągnie z tej sytuacji konsekwencje po linii partyjnej.

Gdy milicjantowi udało się jako tako poustawiać pojazdy i wskazać im właściwy kierunek, ze spaceru nad Odrą wrócił zbiegły koń, który ugryzł swojego ziomka zaprzężonego do konkurencyjnej furmanki i znów rozpętało się piekło. Ludzie przekrzykiwali się z klaksonami, a wszystko to skutecznie zagłuszało gwizdek władzy.

Funkcjonariusz MO miał dość.

Pasek służbowej czapki wrzynał mu się w podbródek, a ręce mdlały od energicznych gestów. Takie zdarzenie pod koniec służby można było uznać wyłącznie za dopust boży, gdyby wiara w Boga była w milicji dozwolona.

Piętnaście minut później plac udało się odetkać. Konie mechaniczne oddaliły się w oparach cuchnących spalin, a żywe dały liczne dowody na to, że są żywe. Dozorcy ruszyli z szuflami sprzętać łajno, a milicjant

zdjął czapkę i rękawem wytarł pot z czoła. Mimo chłodnego dnia był rozgrzany jak po wyjściu z bani.

I wtedy właśnie jego wzrok zatrzymał się na mężczyźnie, który nagle pojawił się na placu z niewielkim skórzanym neseserem. Miał około trzydziestu lat, sportową sylwetkę i garderobę, która od razu informowała, że nie był stąd. Drogie buty, kaszmirowy szalik, spodnie i płaszcz jak z żurnala, pilśniowy kapelusz oraz cienkie kawaleryjskie rękawiczki stanowiły asortyment, jakiego nie można było kupić nawet na wrocławskim bazarze. Tu, w zaułkach Zaodrza, pokazywanie się w takim stroju groziło utratą zdrowia, a może nawet życia. Bo stroju na pewno.

Milicjant przyjrzał mu się baczniej.

Przybysz zatrzymał się na placu kilkanaście metrów od niego i przez dłuższą chwilę stał zdezorientowany. Można było odnieść wrażenie, że zabłądził lub szuka adresu, pod którym nigdy nie był. Ale stróż prawa szybko się domyślił, że waha się z innego powodu. Ten człowiek odnajdował obrazy z przeszłości. Przypominał je sobie jak utrwalone na starym filmie, klatka po klatce, a potem porównywał z tym, co miał przed oczami. Chwilami twarz mu się rozpogadzała, to znów smutniała na widok ruin i okaleczeń, jakie Zaodrze wyniosło z wojny.

Kim był? Dawnym mieszkańcem dzielnicy? Sentymentalnym podróżnikiem? A może szpiegiem? – pomyślał funkcjonariusz i znów się spocił. Na kursie z kontrwywiadu mówiono wyraźnie, jak wygląda szpieg. Tak właśnie. Wszystko się zgadzało. Milicjant poprawił czapkę i ruszył w stronę przybysza, ale w tej samej chwili z bramy jednego z domów wyszła przygarbiona, licho ubrana kobiecina. Spojrzała na obcego i upuściła wiklinowy koszyk, który trzymała w dłoni.

A potem wybuchnęła płaczem.

Przybysz podszedł do niej, zamknął w ramionach i całował chustkę na jej głowie.

Milicjantowi zrobiło się głupio. Chrząknął, odwrócił się na pięcie, zanotował w myślach, że trzeba będzie sprawdzić, czy obcy został zapisany

w książce meldunkowej posesji, i powoli odszedł w stronę mostu. Jego służba właśnie dobiegła końca.

Matka nie potrafiła opanować drżenia rąk.

Próbowała przyciskać je do blatu stołu, używając jednej przeciwko drugiej, ale nie dawało to żadnego rezultatu.

– Herbaty ci zrobię – poderwała się z krzesła, ale Bruno przytrzymał ją za ramiona.

– Siedź, mama. Herbata może zaczekać.

– Ale ty z podróży przecież. Chleba ukroję...

– Zostaw, mama. Daj się sobą nacieszyć. Jedenaście lat minęło.

– Liczę te lata, miesiące, a nawet dni, jakie upłynęły od chwili, gdy w czterdziestym trzecim poszliście z Herbertem na wojnę – dodała i jej oczy natychmiast wypełniły się łzami.

Bruno spuścił głowę.

– Obiecałem ci wtedy, że będę na niego uważał – powiedział tonem ciężkim od poczucia winy. – Przysięgam, zrobiłem, co mogłem...

– Daj spokój, synu. Dobrze, że chociaż ty mi zostałeś – rozpłakała się na dobre.

Nie pocieszał jej. Nie klepał po plecach, nie przytulał, nie okazywał tej niemądrej litości, która ma gasić ból, a dolewa nafty do ognia. Patrzył w podłogę, nie śmiąc rozglądać się po izbie i porównywać ją ze swoją pamięcią, która zatrzymała się tu jak zegar jedenaście lat temu.

– Jak zginął? – spytała matka, wycierając nos w chusteczkę. – Greta dostała list, że bohatersko i że może być dumna. Nawet nie wiemy gdzie.

Bruno drgnął na dźwięk imienia bratowej, ale skupił się na pytaniu.

– W Grecji. Na wyspie Rodos. Bohatersko.

– Jak? – matki nie zadowalał frazes.

Zastanowił się przez chwilę, wiedząc, że to, co teraz powie, zostanie z nią już na zawsze.

– W walce. Poległ na miejscu. Nie cierpiał.

W oczach matki dostrzegł ulgę. Znała wojnę. Widziała zabitych żołnierzy z wnętrznościami rozciągniętymi na kilka metrów. Bez nóg. Bez głów. Spalonych żywcem w czołgach. Pewnie nieraz przykładała te obrazki do nieznannej historii śmierci swego syna. Przynajmniej to nie będzie już jej dręczyć.

– Tam jest pochowany?

– Mówiono mi, że tak – potwierdził Bruno. – Z kolegami z plutonu.

– Byłeś na jego grobie?

Nagle zrobiło mu się wstyd.

– Pojedziemy tam razem, mamo. Chcesz?

Spłoszyła się.

– Mnie stąd nie puszczą. Myślisz, że się ucieszą, jak powiem, że chcę jechać odwiedzić mogiłę syna, który poległ za Hitlera? – W jej oczach błysnął gniew.

– Nie musisz tego mówić. – Bruno położył dłoń na jej ręce. – Poza tym nie stąd będziemy jechać. Przyjechałem zabrać cię do siebie.

– Gdzie to jest „u ciebie”?

– W Stuttgarcie. W Niemczech Zachodnich.

– A nie tu?

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Tu? Sama mówisz, jak jest tu. Nie puszczają za granicę. Czyli żyjesz pod butem. Ale masz pełne prawo wyjechać na stałe, bo w świetle prawa jesteś obywatelką niemiecką.

– Jestem Polką – stwierdziła twardo.

– Mamo – zmienił ton na znacznie bardziej pojednawczy. – Nie mówmy teraz o tym. Nie pora – uśmiechnął się. – Zdrowa jesteś? Bo to najważniejsze.

W milczeniu skinęła głową.

– A jak sobie radzisz?

– Dobrze. Mam rentę po ojcu.

– Pójdziemy jutro na jego grób?

– Pójdziemy.

– Pochowałaś go na cmentarzu przy Breslauerstrasse?

– Przy Wrocławskiej – sprostowała.

Bruno przemilczał poprawkę.

– Chorował? – spytał.

– Miał zapalenie płuc. Nowa władza krzywo na niego patrzyła. W parowozowni dawali mu najgorszą robotę. W zimnie, po nocach. To się musiało tak skończyć. Sprzedałam wszystko, co mieliśmy cennego i co udało się ukryć przed Ruskimi, ale na penicylinę zabrakło.

I ty chcesz tu zostać? – o mało nie zapytał Bruno, ale ugryzł się w język. Milczał.

– Dlaczego nie dałeś znaku życia? – spytała matka.

– Byłem u Francuzów w obozie jenieckim, potem pracowałem, żeby się jakoś utrzymać. Od ludzi, których wysiedlono z Opolą, dowiedziałem się, że żyjecie i że nie trzeba do was pisać, bo narobię wam kłopotów u władz.

– To dlaczego teraz przyjechałeś?

Bruno głośno wypuścił powietrze.

– Od dwóch lat pracuję w Egipcie, mamo. Ale nie powtarzaj tego nikomu. Niemcy są tam potajemnie. Dlatego stamtąd tym bardziej nie mogłem pisać... Sięgnął po paczuszkę z chustą kupioną od starca.

– To z Kairu. Dla ciebie, mama.

Otworzyła, uśmiechnęła się i podziękowała, przytulając policzek do miękkiej tkaniny. Ale jej oczy nadal oczekiwały odpowiedzi.

– Mój przyjaciel Egipcjanin pracujący dla rządu był w Polsce zaraz po wojnie. Musiał wyjechać, ale zostawił tu narzeczoną i synka. Ta narzeczona ma krewnych w Opolu, więc poprosiłem, aby dyskretnie wypytała o was. Przekazała informację, że tata zmarł i że tobie jest bardzo ciężko. Że pierzesz i prasujesz ludziom, aby się jakoś utrzymać.

– Bzdura – zachnęła się matka. – Jeśli to robię, to z przyjaźni albo żeby pomóc. Nie za pieniądze.

Bruno zrobił zdezorientowaną minę.

– Może ten twój Egipcjanin chciał cię w ten sposób nakłonić, abys odwiedził matkę? – spytała, starając się ukryć pretensję, co niezupełnie się

udało.

A może chciał, abym pojechał w Sudety – pomyślał Bruno, ale na wszelki wypadek pojednawczo pokiwał głową.

– Mniejsza z tym. Ważne, że jestem, mama – uśmiechnął się. – I nie chcę już żyć z tobą osobno.

– Ty też pracujesz w Egipcie dla rządu? – spytała podejrzliwie.

– Szkolę ich żołnierzy – potwierdził skinieniem głowy.

– Na kolejną wojnę?

– Dla obrony przed Żydami.

Matka nie skomentowała. Wstała od stołu. Tym razem Bruno jej nie powstrzymał. Przez dłuższą chwilę krzątała się po kuchni, zajrzała do kredensu i za zasłonkę, za którą mieściła się miniaturowa spiżarnia. Sprawiała wrażenie osoby, która mechanicznie wykonuje pewne czynności, skupiając się na czymś zupełnie innym, co zaprzęta jej myśli. Przez cały czas była odwrócona plecami.

– Spotkasz się z Gretą? – zaskoczyła go pytaniem.

– Po co?

– Ma prawo wiedzieć, jak zginął jej mąż.

– Ty jej powiesz.

Odwróciła się i spojrzała ze smutkiem na syna.

– Ciągłe żywisz urazę?

– To nie tak. Nie urazę. Po prostu ona jest dla mnie obcym człowiekiem.

Nie znam jej.

– Jak możesz tak mówić? Przecież...

– Przecież byliśmy ze sobą? – dokończył. – Tak, byliśmy. Była mi bardzo bliska. Bliższa niż ty, ojciec, momentami nawet bliższa niż Herbert. Otwarłem przed nią duszę, mama. A ona? Przez cały ten czas udawała i kombinowała, jak wskoczyć do łóżka mojemu przystojnemu bratu. Dobrze! Niechby sobie wskakiwała, ale po co mam ją mnie wyznaniem miłości? Tak robi tylko fałszywy człowiek o dwóch twarzach.

– Spotkaj się z nią. Matka cię prosi.

Bruno odwrócił głowę.

Miał ochotę odmówić z całą stanowczością, ale to wywołałoby kolejne zadrażnienie. Nie za dużo jak na pierwszą rozmowę z matką po jedenastu latach?

– Ona mieszka w Opolu?

– Przy Małym Rynku, niedaleko hotelu Bristol.

– Nie wiem, gdzie to jest.

– Wiesz. Przed wojną Tuchmarkt, a hotel nazywał się Monopol. Pamiętasz?

– Oczywiście. Herbert uwielbiał wina z tamtejszej piwnicy Buchera – twarz rozpogodziła mu się przez chwilę, aby zaraz stężeć.

– Wyszła drugi raz za mąż?

Matka przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

– Nie. Jest sama. Pracuje w nowej bibliotece przy Piastowskiej. Nareszcie może czytać, ile chce. Zawsze była ciekawa świata.

Bruno nie zareagował. Nie spytał nawet, która to Piastowska.

– Jest jeszcze coś – powiedziała matka.

– Co?

– Greta bardzo mi pomaga. Wspiera mnie od śmierci Herberta, choć niedługo po mężu straciła ojca. Stary Gajda zapłacił życiem za to, że był w Związku Polaków w Niemczech. Mówią, że będzie miał w Opolu swoją ulicę. Dzięki Grecie nie wysiedlono nas i mogliśmy zostać w naszym starym mieszkaniu, a jak zmarł tato – to ona poszła do władz i załatwiła mi rentę po nim. To bardzo dobra...

– Niech będzie – przerwał jej Bruno, przełykając ślinę. – Skoro ci zależy, to się z nią spotkam.

Gwizd był krótki i ostry.

Na Zaodrze mogły się zmieniać państwa, nazwy ulic, szyldy sklepów i afisze na słupach ogłoszeniowych, ale nie ten dźwięk. Od zawsze zawiadamiał, że ktoś się zbliża. Policjant, niepożądani świadkowie albo właściciele mieszkania obrabianego właśnie przez ludzi z ferajny.

Bruno uważnie zlustrował otoczenie, ale nikogo nie zauważył. A to mogło oznaczać, że gwizd nie dotyczył jego albo był obserwowany z ukrycia, co świadczyło o pewnym rodzaju uznania. Przed zwykłym frajerem nikt się nie chował. Zwykły frajer dostawał w łeb, nawet nie wiedząc kiedy i od kogo, a potem budził się bez pieniędzy, zegarka, palta i butów.

Z ukrycia obserwowano „elektrycznych”. Czujnych, rozglądających się wokół, wymagających „prowadzenia” do miejsca, w którym atak był najskuteczniejszy.

Nie przejął się tym.

Skręcił w kierunku podwórza, na którym się wychował, i zniknął w mroku bramy akurat w chwili, gdy na placu Hanki Sawickiej nieśmiało rozbłysły latarnie. Skierował się do drzwi oficyny, w której znajdowało się mieszkanie Janoszków, i wtedy go zobaczył.

Oparty dłońmi o framugę, jakby chciał zagrodzić mu przejście, stał mocno zbudowany wyrostek, najwyżej siedemnastoletni, ale doświadczony w bojach. Świadczyły o tym jego drapieżna koncentracja, chytre oczy i twarz wyglądająca jak sklep z pamiątkami po bójkach: nienaturalnie zgrubiały łuk brwiowy, nos źle złożony po złamaniu i szeroka blizna lśniąca na podbródku. W jego rysach było coś znajomego. Bruno przyjrzał się uważniej i dostrzegł wyraźne pokrewieństwo z „Flinkiem”.

Syn? Niemożliwe. W chwili aresztowania bandzior z Breslauerplatz nie miał żony ani dzieci. Kuzyn? Tak – dotarło do niego chwilę później. „Flink” miał brata, a brat małego bajtla. Gdy z Herbertem szli na wojnę, gówniarz nie chodził jeszcze do szkoły. Teraz wyrósł i zapewne pielęgnował rodzinną tradycję.

W tej samej chwili na podwórzu pojawiło się dwóch innych łobuzów. Stanęli jak dobrze wyszkolone pododdziały, oskrzydłające w bitwie flanki przeciwnika. Jeden uśmiechnął się szyderczo, prezentując brak przedniego zęba, co bardzo ułatwia gwizdanie.

Ciekawe, czy wie, że zabiłem mu stryja? – pomyślał Bruno o chłopaku w drzwiach. Spojrzał mu prosto w oczy. Jeśli nie, będą chcieli mnie obrabować z cennych przedmiotów i ciuchów, za które na szaberplacu dostaną sporo pieniędzy. Jeśli tak – chodzi im o zemstę. Nie będą tracić czasu na rozbieranie mnie z płaszcza. Na pewno nie, dopóki żyję.

Od chwili, gdy na ulicy usłyszał gwizd, sięgnął za pazuchę i przełożył do bocznej kieszeni płaszcza swoje trzy płaskie noże. Nie rozstawał się z nimi. Chwila, w której mogły się przydać, mogła nadejść już za moment. Albo za kolejne jedenaście lat. To nie miało znaczenia.

– Po coś przyjechał? – spytał bratanek „Flinka” głosem ochrypłym od zimna albo wódki, którą dodał sobie kurażu przed walką.

A więc zemsta.

Bruno nie odpowiedział.

Tamten poruszył się, aby jak dyrygent w orkiestrze wydać polecenia kompanom. W tym samym momencie ramię Bruna wykonało błyskawiczny ruch i we framudze, tuż obok twarzy młodego bandyty, utkwił nóż. Chłopak zbladł, a dwaj pozostali jak na komendę wycofali się o krok.

– Spierdalać stąd – powiedział spokojnie Bruno, unosząc dłoń z drugim, identycznym nożem, który pojawił się w niej jak wyczarowany z mroku. – Albo ten trafi w twoje oko. Które wybierasz?

Młody pękł.

Wbił wzrok w Bruna, dopóki miał jeszcze parę oczu, ale wszyscy uczestnicy zajścia zobaczyli w nich nie hardość, ale przerażenie. A przerażeni bandyci są nic niewarci.

Najpierw bezszelestnie zniknęli jego kompani, a potem on sam. Sunął w stronę wyjścia z podwórza powoli, wzdłuż ściany, o którą opierał się plecami. Ani przez ułamek sekundy nie spuścił oczu z Bruna. Nie pozwolił sobie nawet na mrugnięcie. W oczach zabójcy stryja widział prośbę: daj mi najmniejszy powód, abym mógł rzucić tym nożem. Zrobił wszystko, żeby tego powodu nie dać. Ze skupieniem linoskoczka zniknął w bramie i dopiero z bezpiecznej ciemności krzyknął:

– Jeszcze się spotkamy.

Odzywka tchórza.

Bruno nie odpowiedział.

– Zameldowałeś się na milicji? – spytała matka krzątająca się przy kuchni.

– Pół godziny temu – potwierdził.

– Wypytywali?

– Taka ich rola.

– O co?

– Gliniarz spisał wszystko z paszportu. Chciał wiedzieć, gdzie pracuję, czy mam rodzinę i czy przed przyjazdem kontaktował się ze mną ktoś z niemieckich służb wywiadowczych z jakąś propozycją lub prośbą. Najbardziej interesowało go, po co przyjechałem i kiedy wyjeżdżam z powrotem.

– I co powiedziałaś?

– Że przypadkiem dowiedziałem się o śmierci ojca i przyjechałem cię odwiedzić. I że wyjeżdżam za cztery dni. Bardzo mu się to spodobało. Chyba mnie tu nie chcą.

– Udało mi się kupić młodego koguta na rosół – matka zmieniła temat. – Oskubałam go już, ale trzeba opalić. Pamiętasz jeszcze, jak to się robi?

Uśmiechnął się. Wziął ze stołu pustą puszkę po sardynkach przygotowaną do ceremonii podobnie jak flaszka denaturatu. Umieścił naczynie na podłodze, nalał do niego trochę fioletowego płynu i podpalił. Następnie ujął w dłonie kurczaka i starannie przesuwając go nad ogniem ze wszystkich stron, aż płomienie wyczyściły skórę ze wszystkich drobnych piórek. Kuchnię wypełnił swąd palonego białka.

Matka przejęła od niego kurzy korpus, ułożyła go w miednicy i sparzyła wrzątkiem z czajnika. Następnie odsunęła dwie fajerki, postawiła na palenisku duży garnek z osoloną wodą i zabrała się do obierania warzyw.

– Będzie ucza – skwitował Bruno.

– Jak byłeś mały, uwielbiałeś zjadać gotowane kurze serduszko, wątróbkę i żołądek. Wiecznie były o to kłótnie z Herbertem, bo on też chciał. Ale ty zawsze wygrywałeś. Dopiero jak byłeś starszy, nauczyłeś się wszystko mu oddawać.

Łącznie z Gretą – chciał spuentować Bruno, ale się powstrzymał.

– Stare, dobre czasy – westchnął Bruno. – Rosół był co niedzielę.

– Teraz też – stwierdziła matka, odwracając wzrok. Zrozumiał, że chciała podkreślić, jak dobrze jej się wiedzie. Naprawdę nie musi pracować ani prasować ludziom. A tym bardziej wyjeżdżać do Niemiec.

– Na dzielnicy ktoś cię widział? – spytała niby od niechcienia.

– Pewnie wszyscy – odparł. – Wiedzą, że ja... „Flinka”..

– Wiedzą.

– Ci, co przeżyli, patrzą na mnie jak na wroga, ale nie zwracam uwagi – matka wzruszyła ramionami.

– A kto przeżył?

– Matka „Flinka”. Prowadzi magiel. Brata zabili Rusczy. Został bratanek, kawał łobuza. Musisz na niego uważać.

– Dobrze, mamie. Będę uważał. A ci dwaj dawni przyboczni, co potem wstąpili do SA?

– Jeden zginął w obozie w Świętochłowicach. Zaraz po wojnie trzymali tam Ślązaków, co mieli konszachty z Niemcami – wyjaśniła. – Drugi się wykupił, oddając wszystko, co obaj zrabowali Żydom. Wrócił do bandyterki, ale całe Zaodrze wie, że to konfident ubecji. Kiedy wybierasz się do Grety? Uprzedzę ją, żeby nie dostała ataku serca.

– Muszę wyjechać na dwa dni. Jak wrócę?

– Dokąd się wybierasz?

– Na Dolny Śląsk. Stare sprawy – postarał się, żeby zabrzmiało to lekceważąco, ale nie wyszło.

Matka przerwała skrobanie marchewki i wytarła dłonie w fartuch.

– Tam jest niebezpiecznie, Bruno. Dużo ludzi nie wraca. Grasują bandy szabrowników, milicja jest wyczulona na obcych, a do niedawna po lasach siedzieli ponoć niemieccy dywersanci. Po co ci tam jechać?

– Nic nie będę robił, przysięgam – uniósł dwa palce. – Pojadę, spojrzę na coś z daleka i wracam. Nic się nie stanie.

– Bruno, czy ty jesteś szpiegiem? – spytała nagle matka. – Tylko mów prawdę. Wiesz, że zawsze poznam, kiedy kłamiesz.

Spojrzał na nią osłupiały.

– Co ty, mama? Ktoś mnie prosił o drobną przysługę, mam coś sprawdzić. Wiesz, czy dom jeszcze stoi i takie tam sentymenty.

Nie odpowiedziała.

Podstawą przetrwania jest wtopić się w otoczenie, przybrać jego barwy, być takim jak ono. Upodobnij się, a pozostaniesz niewidzialny – Bruno uśmiechnął się do swoich myśli, przypominając sobie zajęcia z instruktorem kamuflażu z zamku Friedenthal.

Na dworcu w Kłodzku, do którego dotarł pociągiem, dowiedział się, skąd odchodzi autobus do Łądka-Zdroju. Miał szczęście. Na przystanku stała kilkusobowa grupa ludzi ubranych tak jak on. Kobiety i mężczyźni w spodniach ciasno przylegających do łydek dzięki owijaczom lub grubym wełnianym podkolanówkom, zimowe, wielokrotnie cerowane swetry i czapki, krótkie *battle dress'y*. Identycznie jak plecaki – z wojskowego demobilu. Wyglądali na inteligentów. Obrzucili go przychylnymi spojrzeniami, w których było sporo sympatii i może trochę zazdrości wywołanej prawdziwą turystyczną kurtką kupioną w Stuttgarcie oraz solidnymi butami. Żadne z nich nie domyśliło się, że wewnątrz cholewek mają pieczątki z emblematem sił specjalnych SS.

– W góry? – zagadnęła go ładna blondynka, której najwyraźniej wpadł w oko.

– Tak – uśmiechnął się.

– Do Łądka? – spytał któryś z mężczyzn.

– Na turystyczny rekonesans – odparł Bruno. – Nigdy nie byłem w Sudetach.

– Skąd pan przyjechał? – zainteresowała się blondynka.

– Ze Śląska. Dotychczas chodziłem tylko po Beskidach.

– My z Wrocławia – zrewanżowała się. – Ja jestem Zośka, to Genia i Lucyna – przedstawiła koleżanki. – Koledzy: Bronek, Czesiek i Tadek. Pięcioro z nas jest lekarzami, a Lucyna to geolog. Obiecała nam pokazać jaskinie koło Stronia.

– Jestem Herbert – Bruno przedstawił się pierwszym imieniem, jakie przyszło mu do głowy, choć zaraz tego pożałował.

– Rodowity Ślązak? – zainteresował się podejrzliwie jeden z mężczyzn.

– Polak – stwierdził Bruno z dumną powagą, z jaką wszyscy wymawiali to słowo. – Ojciec należał do Związku Polaków w Opolu. Nie żyje – skłamał i nie skłamał.

– My z Kresów – oświadczyła blondynka i wskazując palcem jak w dziecinnej wyliczance, śpiewnie wymawiała nazwy miejscowości: Lwów, Stanisławów, Drohobycz, znów Lwów.

Bruno uśmiechnął się przyjaźnie. Zastanawiał się, co teraz powinien powiedzieć, ale uratował go kierowca autobusu, który podjechał na przystanek, zapiszczał hamulcami i otworzył drzwi:

– Nie pchaj się, narodzie – ostrzegł i wyciągnął bloczek z biletami. – Wszyscy się zmieszczą.

Bruno celowo przepuścił wrocławskich turystów przodem, aby nie siedzieć obok nich i nie narażać się na długą rozmowę. Udał, że sznuruje but, ale Zośka nie dała się nabrać. Zaczekała, a potem zajęła miejsce obok niego.

– Lubię Łądek – nie wiadomo dlaczego uznała za stosowne, aby go o tym poinformować.

Znów się uśmiechnął.

– Czuję się tam jak w domu. Sami nasi ludzie. Ze Wschodu. Wszystkich Niemców stamtąd wysiedlili. Wie pan, że w Łądku jeszcze miesiąc po wojnie rządził niemiecki burmistrz i administracja z czasów Hitlera?

– Co pani powie? – spytał autentycznie zaskoczony. – Rosjanie o nich zapomnieli?

– Nie – roześmiała się. – Nie było komu objąć urzędu. No to wydali Niemcom polecenia, co i jak, a oni sumiennie dbali o dobro miasta

i mieszkańców. Pod okiem Sowietów, ma się rozumieć, bo jeszcze przed rokiem było tam sanatorium Armii Czerwonej.

– I już go nie ma? – zainteresował się. Nie byłaby to dobra wiadomość.

– Już nie.

– To i lepiej – puścił do niej oko i obydwójce się roześmiali.

Szarzało, gdy dotarli do miasteczka.

Okazałe wille i pałacyki, w których często mieściły się zakłady lecznicze, powoli przysłaniała kurtyna ciemna i ciężka jak kształty gór otaczających Łądek. Wrocławianie poszli do jakiegoś medycznego internatu, Bruno ruszył na poszukiwanie kwatery. Zośka pomachała mu na pożegnanie, przypominając adres, pod którym będzie przez kilka najbliższych dni.

Nazajutrz gospodyni, u której wynajął pokój, podała mu kromkę chleba posmarowanego powidłami i kubek gorącego mleka.

– Jak najlepiej dostać się do Stronia? – spytał, przełykając śniadanie.

– Niech idzie na szosę – wskazała kierunek ścierką trzymaną w dłoni. – Tam złapie jaki zaprzęg. Dużo jeździ. Z mleczarni i z drzewem. Złapie. Niech się nie martwi.

Podziękował, nałożył kurtkę i sukienną czapkę z nausznikami. Sprawdził, czy w plecaku ma polski dowód osobisty od Karima, i wyszedł z domu.

Niecałą godzinę później był w Stroniu. Podwiózł go kierowca ciężarówki z nadleśnictwa, który przez całą drogę starał się zrozumieć, jak rozumni ludzie mogą z własnej woli męczyć się, chodząc po górach.

– Wy, turyści – kręcił głową szofer – to jesteście tacy ludzie, co drapią się tam, gdzie ich nie swędzi – wygłosił złotą myśl. – Ale po co? Powiedz mi pan, bo za diabła tego nie pojmuję.

Bruno znów zamaskował brak odpowiedzi rozbajającym uśmiechem. W Polsce była to całkiem skuteczna metoda unikania konwersacji.

Zatrzymali się koło eleganckiego nowoczesnego osiedla. Wyglądało imponująco i kompletnie nie pasowało do miejsca, które wydawało się zapomniane przez Boga i ludzi.

– Morawka – wyjaśnił szofer. – Dla górników zbudowana, lat temu parę.

– Górników? – zdziwił się Bruno. – To tu jest jakaś kopalnia?

Kierowca spojrział na niego przestraszony, że się wygadał, i niemal wydarł mu z dłoni banknot, który miał być wynagrodzeniem za podwózkę.

– Ja tam nic nie wiem – rzucił niechętnie. – I panu radzę nie pytać.

Zerwał żółte źdźbło trawy i żując je, wpatrywał się w szkic Karima.

Co chwilę przenosił wzrok z rysunku na niemiecką mapę sztabową, w którą Egipcjanin wyposażył go jeszcze w Kairze. Od miejsca, w którym się znajdował, do celu było siedem kilometrów. Drogą. Przez las krócej. W sensie odległości. Bo czasowo to dłużej. Teren ciężki do marszu, za to łatwiej przejść niezauważonym. Bułka z masłem. Pamiętał treningi batalionu Friedenthal, gdy maszerowali po dwadzieścia kilometrów dziennie.

Starannie złożył papiery i schował je do kieszeni. Zapiął guziki kurtki, poprawił plecak i wszedł w las.

Dwie godziny później dotarł na miejsce.

Przyroda trwała tu jak na fotografii. Nie w filmie. Głucha cisza, żadnych ptaków, wiatru, szumu gałęzi. Żadnego ruchu. Jakby tabliczki z napisem „Wstęp surowo wzbroniony” zakazywały tu jakiegokolwiek życia.

Co u diabła? – pomyślał Bruno i on też zatrzymał się jak sfotografowany. Dlaczego nie wolno wchodzić na leśne wzgórze, takie samo jak wszystkie inne wokół? I to akurat na tę stromizną porośniętą jodłami, na którą miał wejść.

Wtopił się w ten milczący bezruch na dobre piętnaście minut, ale nic się nie wydarzyło. Zakazanego terenu nie pilnowały żadne patrole. Choć stał z zamkniętymi oczami, maksymalnie skupiony, nie usłyszał najmniejszych odgłosów, choć przecież szkolono go w wyławianiu i rozpoznawaniu dźwięków.

Nic.

Ośmielony pustką i ciszą przeszedł kilkadziesiąt kroków i znów się zatrzymał, jakby był przenośnym urządzeniem pomiarowym. Sytuacja się powtórzyła.

Po kolejnym etapie wędrówki natknął się na zasieki z drutu kolczastego. Metal zdążył pokryć się rdzą, ale nalot był świeży. Roczny, może dwuletni, nie starszy. Na pewno nie z czasów wojny. Bariere zbudowano znacznie później, dlatego Karim nie wiedział o jej istnieniu. Ale na pewno był w pobliżu miejsca, do którego prowadził go szkic Egipcjanina. Znajdowało się na lewo od drucianego ogrodzenia. Nie trzeba więc było go pokonywać, a tym samym zostawiać śladu swojej obecności. Ostrożnie, wpatrzony w rysunek ruszył pod górę, aż natrafił na to, czego szukał. Pień zwalonego drzewa maskujący wejście do bunkra. Wszystko tak, jak opowiadał Egipcjanin. Porośnięte mchem i krzaczkami jagód, ale dające wyraźny głuchy odgłos przy nakłuwaniu ziemi kijem.

Bruno dokładnie zlustrował teren.

Tabliczki zakazujące wstępu okazały się pomocne. Nikt tu nie wchodził, a to dawało większą szansę dobrania się do podziemnego magazynu i jego zawartości bez świadków. Z niewielkiego płaskowyzu w lesie, gdzie leżał pień, było blisko do drogi. Powoli i starannie zaplanował w wyobraźni całą akcję.

Mógł wracać.

A jednak ciekawość, co znajduje się w bunkrze, wzięła górę. Odłamał solidną gałąź leżącego nieopodal wiatrołomu i zaczął nią odgarniać poszycie, pomagając sobie rękami. Dotarł do krawędzi betonowej płaszczyzny, w którą wmurowano metalowe obramowanie podtrzymujące klapę prowadzącą pod ziemię.

Była przyspawana. Odsunął jeszcze trochę poszycia, aby przekonać się, że metal połączony jest w ten sposób na całej długości. Bez narzędzi nie miał szans dostać się do środka.

Otarł pot z czoła, a potem dokładnie zamaskował wejście do bunkra.

Do Łądka dostał się furmanką miejscowego gospodarza, który wiozł kartofle do jakiejś lecznicy. Był ponurym, zgarbionym mężczyzną, o włosach pokrytych siwizną i nieobecnych oczach. Połakomił się na parę złotych za podwiezienie turysty.

W pewnej chwili koń ciągnący wóz szarpnął i zarżał, jakby zobaczył diabła. Woźnica przywołał go do porządku energicznym ruchem lejc. Przeklął. Po niemiecku. Natychmiast zerknął na Bruna, ale ten udał, że nie usłyszał. Przez jakiś czas bił się z myślami, czy nie odezwać się do chłopca w tym samym języku i wypytać o tajemniczą kopalnię oraz zakazany las. Uznał jednak, że to zbyt ryzykowne.

Dwa dni później, rozebrany do pasa, namydlił policzki i podbródek, po czym dokładnie ogolił je brzytwą naostrzoną o szeroki skórzany pas.

Matka przyniosła z kuchni garnek gorącej wody, wlała ją do blaszanej miednicy i uzupełniła zimną. Na toaletce obok położyła czysty ręcznik. Bruno wymył się, wytarł i założył czystą koszulę oraz zielony sweter.

Od rana zastanawiał się, czy powinien zabrać coś do Greta, aby nie składać wizyty z pustymi rękami. Ale każdy pomysł wydał mu się zły. Kwiaty? Z jakiej okazji? Zdrady, której się dopuściła, wychodząc za Herberta? Słodocze – też zły sygnał. Wino – jeszcze gorszy.

Skończyło się na garnku, w którym Greta przyniosła kiedyś matce jakieś jedzenie i trzeba go było oddać.

Otworzyła mu bardzo spięta. Policzki jej płonęły; nie wiedziała, co zrobić z rękami.

– Wejdz, proszę – odsunęła się w głąb przedpokoju.

Przekroczył próg i przez chwilę obydwójce gorączkowo myśleli, czy podać sobie dłonie.

W końcu Greta przejęła od niego garnek i wskazała drzwi do pokoju.

– Zaraz zrobię herbatę – obiecała i, chyba z ulgą, zniknęła w kuchni.

Mieszkanie było skromne. Salon z szafą i tapczanem był jednocześnie sypialnią, a widoczna z niego mikroskopijna kuchnia nie miała nawet okna. Przy jednej ze ścian stała etażerka, a na niej lalka z porcelany i muszla na kamiennym postumencie z pozdrowieniami znad Bałtyku. Do tego słomiana szkatułka na nici i parę książek. Ani jednego zdjęcia Herberta. Ubodło go to.

– Dziękuję, że zgodziłeś się przyjść – powiedziała Greta, stawiając na stole tacę ze szklankami w metalowych uchwytach, cukiernicę i talerzyk z herbatnikami.

– Matka nalegała – odparł Bruno i nie zabrzmiało to zbyt taktownie, bo gospodyni zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Mamy sobie wiele do wyjaśnienia – zaczęła, ale przerwała na widok jego zniecierpliwionego gestu.

– Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień – oświadczył stanowczo.

– A nie przyszło ci do głowy, że ja potrzebuję?

Spojrzał na nią oburzony.

– Co chcesz wyjaśniać? Dlaczego wyszłaś za mojego brata, skoro przez cały czas obiecywałaś mi... Szkoda słów. Nie jestem ciekaw twoich wymówek. Matce zależało, żebym ci powiedział o śmierci Herberta, to mogę powiedzieć. O niczym innym nie chcę rozmawiać.

Greta zacisnęła usta.

– Wszystko już wiem, mama mi powiedziała.

Mama? – w Brunie na sam dźwięk tego słowa w jej ustach zagotowała się złość. Jaka ona dla ciebie mama? – pomyślał, ale zaraz się uspokoił. No tak, jest wdową po Herbercie. Ma prawo tak mówić do ich matki.

– Więc nic tu po mnie – rzekł zniecierpliwiony.

Wstał.

Ona również.

– Bruno – powiedziała cicho. – Usiądź. Porozmawiajmy jak normalni ludzie.

Wahał się, ale posłuchał.

– Jak ci się wiedzie? – spytała.

– Dobrze.

– Mieszkasz w Niemczech.

Skinął głową.

– Zostaniesz tam?

Powtórzył kiwnięcie.

– Chcę zabrać matkę do siebie – przemógł się, aby coś powiedzieć.

– Nie zechce.

– Może ty ją przekonasz? – spytał.

– Mogę porozmawiać – powiedziała ostrożnie. – Ale ona jest tak samo uparta jak moi rodzice.

– Co u nich? – zapytał kurtuazyjnie.

– Mama choruje na płuca. Wychodzą lata pracy w cementowni. A tato... Ukrywał się, pamiętasz? Gestapo go wytropiło. Trafił do obozu w Auschwitz – głos jej się lekko załamał. – Po wojnie odwiedził nas jego kolega z baraku. Tatę zastrzelił jakiś bydlak z SS, bo nie zdjął przed nim czapki.

– Ja też byłem w SS – powiedział Bruno, nieoczekiwanie chyba nawet dla samego siebie. Po co? Chciał jej dopiec? Zemścić się za zdradę?

Ale tego zdania nie dało się już wycofać.

Greta patrzyła na niego z przerażeniem, które mieszało się z czymś, czego nie potrafił rozpoznać. Pogardą? Nienawiścią?

– W obozie? – wykrztusiła.

– Nie. Na froncie.

Milczała, ale wszystko w niej wrzało. Ślub z Herbertem, który nagle powrócił, jakby odbył się wczoraj. Śmierć męża. Jedenaście lat codziennego myślenia o nim i o Brunie. I teraz jeszcze ta wizyta i makabryczna prawda, którą ujawnił.

Nie wytrzymała. Zaczęła szlochać. Z bezradności, ale on odebrał to inaczej. Jako wyraz żalu za dawnym przyjacielem, który zaprzedał duszę diabłu i nie ma już dla niego zbawienia. Wstał, o mało nie przewracając krzesła.

Ale nie potrafił zrobić kroku.

Zauważyła to. Podniosła się i nagle przylgnęła do niego całym ciałem, obejmując ramionami.

– Zostawmy przeszłość, Bruno – szepnęła.

Stał z opuszczonymi rękami jak słup soli, dopóki nie pocałowała go w usta.

Odepchnął ją.

– Czyli co? – syknął. – Twoja dupa jest nadal dziedziczna? Tak?

Popatrzyła na niego oczami, w których nagle wyschły zły.

– Wynoś się stąd! – powiedziała, wyprostowanym palcem wskazując mu drzwi.

Nesesser stawiał zaciekle opór.

Mimo dociskania kolanem nie chciał się zamknąć, a w opinających go paskach zabrakło dziurek. Bruno bezradnie rozłożył ręce i zaczął wyjmować rzeczy po ojcu, które matka przygotowała mu na wyjazd. Kilka koszul, całkiem dobre spodnie, dwa swetry i zupełnie nowe kalesony. Na co mi w Egipcie narciarski golf i długie gacie? – pomyślał zirytowany, ale nie potrafił jej odmówić.

Nesesser potrafił.

– Nic z tego nie będzie, mama – powiedział. – Nie domknę. Zostaw to w szafie – podał jej naręcze ubrań. Następnym razem przyjadę z większą walizką. Albo samochodem – dodał, zerkając na nią pytająco. – Mógłbym wtedy zabrać również twoje rzeczy.

Rano wracał do Niemiec, a matka ciągle nie odpowiedziała mu, czy zgodzi się na przeprowadzkę. Wyraźnie unikała tematu. Najpierw była zła, że pokłócił się z Gretą, potem uciekała w inne wymówki.

– Mama – odezwał się, klęcząc przed nesesperem i podając jej plik ubrań złożonych w idealną kostkę. – Nie będę na ciebie naciskał, ale obiecaj, że przynajmniej się zastanowisz.

– Zastanawiam się cały czas – odparła.

– No i dobrze. Nic na siłę. Powoli sobie wszystko przemyśl. Ja rano wyjeżdżam do Berlina, a stamtąd dalej. Chcą mnie jeszcze zostawić na parę lat w Egipcie, ale się nie zgodzę. Wrócę do Niemiec i będę czekał na twoją decyzję.

– Z czego będziesz żył?

– Mam coś do załatwienia w Sudetach. Prosta sprawa i bezpieczna – skłamał, żeby jej nie niepokoić. – Zarobię dużo pieniędzy. Kupię domek na wsi pod Stuttgartem i tam sobie zamieszkamy. Ty i ja.

– I chcesz przez resztę życia trzymać się maminej spódnicy? Lepiej się ożeń.

– Dobrze – Bruno gotów był obiecać wszystko. – Ożenię się i zamieszkamy razem: ty, ja i moja żona.

– I co ja bym tam miała robić? Będę obca. Polka wśród Niemców.

– Co ty mówisz, mama? A jak było przed wojną? Mieszkałaś w państwie niemieckim i nie narzekałaś. Komu by przyszło do głowy, że Oppeln będzie polskie.

– Opole – upomniała go.

– Opole – machnął dłonią. – W Stuttgarcie są bardzo dobrzy ludzie. To nie takie zatwardziałe szwaby jak w Bawarii. Zobaczysz, będziesz tam miała wielu znajomych. Poznam cię z moimi przyjaciółmi, u których się ukrywałem, jak uciekłem z obozu jenieckiego, a potem wynajmowałem u nich mieszkanie. Wspaniali są, zobaczysz. Znajdziecie wiele wspólnych tematów – perswadował. – Przecież od urodzenia mówisz po niemiecku.

– Ale myślę po polsku – stwierdziła.

Tym razem nie znalazł argumentu.

– Ci twoi przyjaciele w Stuttgarcie – zagadnęła po chwili ciszy, żeby coś powiedzieć. – W jakim są wieku?

– Po siedemdziesiątce.

– Dzieci nie mają?

– Jedyne go syna i wnuka stracili na wojnie – odparł i nagle go olśniło. – Mama, pomyśl tylko: polscy komuniści nigdy nie dadzą ci paszportu i nie pozwolą wyjechać do Grecji. Na grób Herberta. Ale jeśli przeniesiesz się do mnie i zostaniesz obywatelką niemiecką, taką samą, jaką byłaś przez pięćdziesiąt lat aż do końca wojny, będziesz mogła jeździć, gdzie tylko zechcesz. W pierwszą podróż wybierzemy się na Rodos.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Nie próbuj mną kręcić.

– Nie próbuję – wyparł się. – Mówię tylko, jak jest.

Zaniosła ubrania do szafy, której drzwi przez parę dekad skrzypiały po niemiecku, a teraz od dziewięciu lat po polsku. Tak samo.

– Kiedy przyjedziesz następnym razem? – spytała, domykając bielizniarkę.

Bruno ujrzał w tym promyk nadziei.

– Wiosną. Jak tylko śniegi stopnieją. Zobaczysz...

Uciszyła go gestem.

– Jeszcze się nie zgodziłam. Zostaw ten neseser. Zjemy coś i czas spać – powiedziała zupełnie jak w czasach, gdy z Herbertem byli dziećmi. – O świcie musisz wstać na pociąg. Pomodłę się do dusz czyścicówych. Wtedy nie zaśpimy.

Dusze czyścicowe dały o sobie znać tuż przed wschodem słońca.

Bruno, śpiący na leżance w kuchni, miał najbliżej do drzwi wejściowych i jako pierwszy usłyszał stłumione głosy na klatce schodowej. Wstał w samej bieliznie, a kiedy dźwięki zatrzymały się przed ich mieszkaniem, zaczął pośpiesznie wciągać spodnie. Wtedy usłyszał walenie do drzwi.

Błyskawicznie zapiął pasek i sięgnął po futerał z nożami. Widać bratanek „Flinka” i jego ferajna nie wzięli sobie do serca niedawnej przestrogi. Tylko dlaczego postanowili zaatakować w mieszkaniu? Żeby Bruno nie miał szans na rzut nożem? Żeby nie mieć świadków napaści?

Wątpliwości rozwiął donośny głos:

– Otwierać! Urząd Bezpieczeństwa.

Zamarł, identycznie jak matka, która narzuciła na siebie rozpinany wełniany sweter i stała przerażona kilka kroków dalej.

Przekręcił klucz i odblokował zasuwkę.

Weszło ich trzech.

Wysoki blondyn w cywilnym płaszczu oraz dwóch funkcjonariuszy milicji. Z paskami pod brodą i dłońmi błędzącymi w pobliżu odpiętych kabur z pistoletami.

– Wy jesteście Bruno Janoszek? – spytał cywil.

– Ja.

– Ubierajcie się. Pójdziecie z nami.

– Ale to chyba jakaś pomyłka – powiedział zaskoczony. Zrobił uspokajający gest w stronę milicjantów i sięgnął po bilety leżące na półce na buty w przedpokoju.

– Jestem obywatelem Niemieckiej Republiki Federalnej. Przyjechałem w odwiedziny do matki. Za godzinę mam pociąg do Wrocławia, a stamtąd do Berlina – wyciągnął przed siebie rękę z biletami.

– Dokładnie za godzinę i dziesięć minut – powiedział ubek. Na bilety nawet nie spojrzął. Nie musiał. Był dobrze poinformowany.

– Ubierajcie się – powtórzył.

– A co z wyjazdem syna? – spytała matka, wysuwając się o pół kroku przed Bruna i wskazując głową bilety.

Ubek spojrzął na nią z aktorskim zdziwieniem, wyjął kartoniki z ciągle wyprostowanej dłoni Janoszka, przedał je na pół i bez słowa podał matce.

– O co jestem oskarżony? – spytał Bruno.

Mężczyzna po cywilnemu zignorował jego pytanie.

– Papiery jakieś macie?

Bruno skinął głową.

Podszedł do wieszaka, sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i nagle serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Obok legalnego niemieckiego paszportu znajdował się polski dowód osobisty, który dostał od Karima.

Jeśli odkryją, że mam sfałszowany dokument tożsamości, to po mnie – pomyślał. Każdy sąd uzna mnie za szpiega przysłanego przez obcy wywiad i wyposażonego w lewe papiery. A szpiegów w komunistycznej Polsce się wieszają.

Poczuł strużkę zimnego potu ciekącą po plecach, zamknął oczy i w jednej sekundzie przypomniał sobie wskazówki Don Alvara. Oddech, wewnętrzna cisza, koncentracja. Spokój. Przede wszystkim spokój.

Ujął fałszywy dowód w dwa palce, jak kiedyś uczył go iluzjonista w cyrku Buscha, i nie pomagając sobie drugą dłonią, zręcznie wsunął go pod długi rękaw podkoszulka. Całą operację idealnie zakrywały połę płaszcza.

Następnie wyjął paszport, podając go ubekowi.

Cywil otworzył książeczkę, sprawdził stemple kontroli granicznej, po czym umieścił paszport w swojej kieszeni.

– Idziemy – zakomenderował.

– Mogę się ubrać? – spytał Bruno.

Tamten wykonał niecierpliwym, ale aprobującym gestem.

Janoszek zaczął wyciągać sweter, w którym niepostrzeżenie zapiął dwa górne guziki, dzięki czemu głowa mu utknęła.

– Pomóż, mama – powiedział, a kiedy podeszła i uniosła dłonie, aby odpiąć guziki i uwolnić go od kłopotu, upuścił do kieszeni jej wełnianego swetra dowód wyłuskany z rękawa. Mogą przeszukać dom, ale nie starszą kobietę.

Kiedy uporał się ze swetrem, butami i płaszczem, ubek założył mu kajdanki i pchnął w stronę drzwi. Jeden z milicjantów je otworzył, a wtedy na progu mieszkania pojawiło się jeszcze dwóch tajniaków po cywilnemu, którzy czekali na klatce schodowej. Bez słowa wyminęli się w przedpokoju z kolegami wychodzącymi z aresztantem.

– Rewizja – powiedział jeden z nich do matki. – Nie ruszać się.

Stała w przedpokoju przez godzinę, gdy tamci plądrowali mieszkanie. Wyrzucili naczynia z kredensu i ubrania z szaf. Rozbebeszyli pościel, pocięli nożami materace i obicia krzeseł. Poranili kanapę, z której wyciągnęli sprężyny. Podłogę w pokoju zasłali książkami, zdjęciami wypędzonymi z albumów rodzinnych i rękopisami wierszy Herberta. Deptali wspomnienia, zaglądając pod obrazy i do wazonu z suszonymi kwiatami.

W pewnej chwili matka dojrzała w lustrze w przedpokoju, jak jeden z nich wyciąga z bieliźniarki nowe kalesony, które miał zabrać Bruno, przymierza je do swoich spodni, sprawdzając, czy są dobre na długość, a potem zwija i chowa pod kurtkę.

Wreszcie wyszli. Najpierw niższy, potem wyższy, który trzasnął drzwiami bez słowa pożegnania.

Matka została sama.

Przez dłuższą chwilę nie była w stanie się ruszyć, ale gdy łzy napłynęły jej do oczu, sięgnęła do kieszeni swetra po chusteczkę. Było w niej coś jeszcze. Dowód osobisty.

Obejrzała go dokładnie i zrozumiała. Bruno nigdy nie był w powojennej Polsce. Dokument nie mógł być więc prawdziwy.

Poszła do kuchni, pogrzebaczem odsunęła fajerki, wrzuciła dowód do zimnego paleniska i polała denaturatem, który stał na parapecie od czasu opalania kurczaka.

Przez chwilę patrzyła na fioletowy płomień, który wychynął ponad poziom fajerek.

ROZDZIAŁ 11.

**Opole – Strzelce Opolskie,
jesień 1954 – lato 1961 roku**

Kapitan Wacław Pietrzak z Departamentu Kontrwywiadu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego spojrział na żółknące paprotki w swoim gabinecie i uznał, że potrzebują wody co najmniej tak samo jak on sukcesu.

Był dzieckiem wojny.

Miał piętnaście lat, gdy Niemcy spalili jego wieś na Lubelszczyźnie, mordując niemal wszystkich mieszkańców. Z kulą w obojczyku wyczołgał się spod stosu trupów i uciekł do lasu. Uratował go lekarz z oddziału ludowej partyzantki. Dał mu się napić spirytusu, a potem w ziemiance, przy lampie naftowej wyjął z obojczyka ołów, a w serce wszczepił komunizm.

Po operacji Wacek Pietrzak złożył przysięgę. Najpierw leśną, a później polną – wśród setek innych rekrutów polskiej armii, co szła spod Lenino. Ze wszystkich, którzy powtarzali wtedy słowa roty, z ogolonymi głowami i w nowych szorstkich mundurach, chyba on najbardziej nienawidził Niemców.

Dowództwo to wykorzystało.

Po zdobyciu lewobrzeżnego Opola Wacka, rozpędzonego w pogoni za Niemcami, zatrzymano. Dano mu dzień urlopu, oficerską gwiazdkę i zadanie zwalczania *Wehrwolfu* – też partyzantki, ale hitlerowskiej. W ten sposób trafił do kontrwywiadu bezpieczeństwa, a ściślej do Wydziału I zajmującego się niemieckim szpiegostwem i dywersją.

Ostatnią zbrojną grupę *Wehrwolfu* na Opolszczyźnie – Freikorps Gross Mossdorf, zlikwidował dopiero w sierpniu 1949 roku i od tamtej pory zaczął się nudzić. W lasach nie było już Niemców, a szpiegów z NRF albo

przyjeżdżali coraz rzadziej, albo byli coraz sprytniejsi i nie dawali się łapać. Tymczasem ministerstwo oczekiwało wyników.

Bruno Janoszek spadł mu z nieba.

– Przyznał się? – Pietrzak przeniósł wzrok z paprotek na sierżanta UB, specjalistę od przesłuchań.

– Do szpiegostwa? – upewnił się sierżant. – Nie. Twardy skurwysyn.

– Czyli to wszystko, co na niego mamy? – kapitan postukał palcem w leżącą na jego biurku kartkę z odręcznie napisanym donosem.

– Mało? – zdziwił się sierżant. – Przecież potwierdził, że był w niemieckim wojsku. Wywieźć takiego do lasu za Grudzice, towarzyszu kapitanie, i...

Pietrzak skrzywił się z niesmakiem.

– Podczas próby ucieczki, ma się rozumieć – wyjaśnił sierżant, ale przełożony nie zmienił wyrazu twarzy.

– Nie potrzebujemy martwych szwabów – wycedził. – Tylko żywych i potwierdzających fakt współpracy z niemieckim wywiadem kierowanym do dziś przez hitlerowskiego generała. Rozumiecie, sierżancie? Potrzebujemy ich wieszać w myśl wyroków sądów, a nie strzelać jak do psów po lesie.

Oprawca poskrobał się w czaszkę.

– Przeprowadźcie więźnia – rozkazał Pietrzak.

– Tak jest!

Dziesięć minut później Bruno Janoszek ciągle nie mógł przyzwycząić oczu do światła. Ostatnie cztery dni spędził w pustej, ciemnej celi wypełnionej do kostek zimną wodą. Dlatego więzień nie mógł ani usiąść, ani tym bardziej położyć się i zasnąć. A nawet gdyby mógł, to i tak kilkanaście razy na dobę wzywano go na przesłuchania. Choćby po to, aby setny raz zapytać o nazwisko albo wymierzyć kilka ciosów gumową pałką z metalowym prętem w środku.

Pietrzak obrzucił go fachowym spojrzeniem.

Więzień miał złamaną nasadę nosa i rozbite usta, które drżały przy każdej próbie wypowiedzenia choćby jednej sylaby. Pod oczami, z których

jedno całkowicie zasłaniał olbrzymi guz, rozpływały się dwie sine zatoki sięgające poniżej kości policzkowych. Pęknięty łuk brwiowy pokrywał strup zakrzepłej krwi. Chwiał się jak pijany. Bito go kijem w pięty, więc jego mózg nie był w stanie utrzymać ciała w równowadze.

– Na czyje polecenie przyjechaliście do Polski, Janoszek? – spytał kapitan.

– Na niczyje. Przyjechałem odwiedzić matkę – odparł Bruno z wysiłkiem. Miał spuchnięte i popękane wargi, ale jeszcze bardziej niż ich ból męczyła go konieczność nieustannego powtarzania tego samego.

– Jesteście szpiegiem.

Nie odpowiedział. Już nie miał siły rozmawiać z tymi tępakami.

– Zaprzeczacie?

Skinął głową.

– Czyli potwierdzacie?

– Nie. Potwierdzam, że zaprzeczam. Nie jestem żadnym szpiegiem.

– To po co wam te specjalistyczne narzędzia? – Pietrzak przygwoździł go pytaniem i wyciągnął z szuflady biurka futerał z nożami niczym magik w cyrku królika z kapelusza.

– Do rzucania.

– Czyli do zabijania ludzi – zinterpretował ubek. – Po cichu – dodał z triumfującą miną odkrywcy. – Stęskniony syn, odwiedzający po latach starą matkę, zabiera ze sobą narzędzia zbrodni. – Pietrzak udał, że się zastanawia. – Jak wam się wydaje, sierżancie? – zwrócił się do podwładnego. – Dlaczego?

– Bo to zbrodniarz – wypalił sierżant bez chwili zastanowienia.

– To noże, które służą do rzucania w tarczę. Dla rozrywki. Jestem artystą cyrkowym – powiedział Bruno, pokonując ból warg.

– Oj, artystą to wy jesteście, jesteście – kapitan z przekąsem pogroził mu palcem. – I wszystko nam wyśpiewacie.

– Byliście w niemieckim wojsku? – spytał nieoczekiwanie.

– Byłem. Wcielony przymusowo w czterdziestym trzecim do 999. Dywizji Afrykańskiej Wehrmachtu. Razem z bratem. Z pewnością zachowało się to w jakichś rejestrach.

- Gdzie jest brat?
- Poległ na wyspie Rodos.
- Nie poległ, tylko został zabity przez greckich patriotów jako faszystowski najeźdźca – stwierdził Pietrzak.
- On się tam nie prosił.
- Ale zginął za Hitlera.
- A wie pan, dlaczego wcielili nas dopiero w czterdziestym trzecim? – spytał nieoczekiwanie Bruno.

Ubek zaniemówił. Chciał wrzasnąć, że do niego mówi się „obywatelu kapitanie”, ale więzień go uprzedził.

- Bo byliśmy niepewni narodowo i politycznie. Ojciec był Czechem, matka jest Polką.

- Wasza matka – kapitan sięgnął do teczki – jest szanowaną mieszkanką dzielnicy Zaodrze. Po wojnie podpisała deklarację lojalności narodowi polskiemu. W czasie przeszukania – sprawdził w papierach – nie znaleziono w waszym mieszkaniu ani jednej książki po niemiecku. Nawet modlitewnik był polski – doczytał.

Bruno nie wiedział, jak zareagować. Czyżby błysnęła iskierka nadziei?

- Tym większym jesteście zdrajcą! – wrzasnął ubek w tej samej chwili, aż sierżant podskoczył na krześle. – Zdrajcą Polski, zdrajcą własnego narodu i zdrajcą własnej matki!

Milczał.

Wyzwiska miały go zmiękczyć tak jak bicie, zimna woda, głód i ciemność.

Pietrzak pochylił się nad papierami.

- 999. dywizja Wehrmachtu, mówicie? – przeszył go wzrokiem, a kiedy Bruno potwierdził ruchem głowy, ubek sięgnął po donos, do którego przyczepiona była okładka nazistowskiego tygodnika „Der Stürmer” z października 1943 roku. A na niej wielkie zdjęcie uśmiechniętego Otta Skorzenego z Benitem Mussolinim, tuż po jego uwolnieniu w Campo Imperatore.

Kapitan Waław Pietrzak wskazał ołówkiem jednego z komandosów stojących w tylnym szeregu i zmrużył oczy z wściekłości:

– A co powiesz na to, ty esesmańska świnió?

Najlepszymi komandosami w więzieniu są pluskwy.

Wszy czają się we włosach jak partyzanci w lesie i atakują skrycie. Mimo to łatwo je pojedynczo wyłapać i wytłuc albo zbombardować trującym proszkiem. Ich alianci – pchły – skaczą jak dobrze wyszkoleni żołnierze, starając się w ten sposób uniknąć zagrożenia. Ale na niewiele się to zdaje. W starciu ze zręczniejszym przeciwnikiem żyją krócej niż piechurzy na polu walki.

Ale z pluskwami człowiek nie ma żadnych szans.

Potrafia się doskonale maskować. W ciągu dnia możesz przeszukać każdy centymetr kwadratowy celi i żadnej nie znajdziesz. Przekonany o własnym sprycie odsuniesz pryczę od ściany, żeby na ciebie nie przeszły, gdy nocą zjawią się jak duchy, ale to na nic. Morderczym marszem przejdą na sufit i spadną jak spadochroniarze. Błyskawicznie i po cichu. Dopiero nad ranem obudzi cię alarm skóry. Ale pluskiew już nie będzie. Znikną równie niespostrzeżenie, jak się pojawiły. Zostaną straty. Rumienie na ciele, swędzenie nie do wytrzymania, bolesna pokrzywka, czasem gorączka. Będziesz osłabiony i rozbity. Z powodu ataku i licznych ran, ale też z poczucia bezsilności. Następnej nocy możesz zrobić wszystko, aby nie zasnąć, ale wystarczy, że zamkniesz oczy na kilka minut, a desant się powtórzy. Przegrasz.

Bruno posmarował śliną piekące przedramię, co na kilka sekund przyniosło ulgę. Ręka była pokryta strupami, ale co noc pojawiały się nowe ukąszenia. Musiałby odgryźć sobie palce, żeby nie rozdrapywać bąbli paznokciami.

Wpatrzony w ciemność nad głową starał się przypomnieć sobie coś przyjemnego, ale każda ucieczka myśli z więzienia kończyła się na sali sądowej.

Adwokat spocony ze strachu, że zwicnie sobie karierę z powodu obrony esesmana, nie był w stanie nic zdziałać. Matka pewnie sprzedała wszystko, łącznie z resztą rzeczy po ojcu, aby go opłacić, ale był to wydatek daremny. Nie pomogły argumenty, że oskarżony był zwykłym żołnierzem i wykonywał rozkazy. Nie przydał się fakt, że miał obywatelstwo innego państwa. Schutzstaffel, w skrócie SS, dwa lata po wojnie zostało uznane przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze za organizację zbrodniczą. A dla zbrodniarzy hitlerowskich nie istniały okoliczności łagodzące.

Bruno dostał dziesięć lat.

W więzieniu zegary chodzą inaczej.

To jedyne miejsca na ziemi odporne na dyktaturę czasu. Dla tych z wyrokami dożywocia nie ma on żadnego znaczenia. Dla pozostałych jest złem koniecznym; czymś, co musi minąć, i nie ma sensu podążać wzrokiem za wskazówką sekundnika, bo to prowadzi do obłądu.

Szczególnie w pojedynczych celach, w których umieszczano takich jak Janoszek. Więźniów będących obiektem powszechnej nienawiści.

Byłego esesmana chcieli wykończyć zarówno bandyci, w których nagle odezwał się patriotyzm, jak i skazańcy polityczni. Zwłaszcza akowcy mający z SS stare rachunki do wyrównania.

Lepiej go było izolować.

Nie wypuszczać na dziedziniec.

Chronić podczas wspólnych posiłków. Zakazać pracy w więziennej fabryce obuwia, w której pracować chcieli wszyscy, bo czas mijał tam szybciej, a za szycie skórzanych trzewików można było dostać parę złotych na wypiskę.

Nie mówiąc już o możliwości ucięcia sobie palca, co dawało rozkosz krótkiego pobytu w szpitalu. Lepszego jedzenia, spania w czystej pościeli i gapienia się na tyłki pielęgniarek.

Bruno został wygnany z więziennego raj.

Jego jedyną rozrywką były wizyty oficerów, którzy przyjeżdżali do Strzelec Opolskich specjalnie dla niego. Może z Opola albo Wrocławia. A może i z Warszawy. Byli schludni, mieli wyprasowane mundury i wyczyszczone buty. Jeden pachniał nawet wodą kolońską. Wysokie stopnie na pagonach i żadnych wstążeczek orderów czy medali. Ludzi pracujących po cichu nie nagłaśnia się odznaczeniami.

Gdy Bruno wchodził do pokoju przesłuchań, już siedzieli za stołem. Z reguły we trzech. Ten w środku uprzejmie wskazywał mu krzesło po drugiej stronie stołu, a w tym samym czasie ten z lewej znacząco spoglądał na strażnika, który przyprowadził Bruna, i strażnik się ulatniał.

Drzwi ledwo się za nim zamknęły, a już otwierał je więzień w białym kitlu, który pracował w kantynie dla klawiszy. Przynosił kawę. Zbożową, ale aromatyczną i nie rozwodnioną jak ta w stołówce. Do kawy rarytasy. Jabłko, pszenny chleb z masłem, kawałek kaszanki albo parę herbatników. Oficerowie, których interesowały informacje Bruna, wiedzieli doskonale, że w ten sposób dowiedzą się znacznie więcej niż za pomocą krzyku i pałki.

Pozwalali, aby zjadł, zagadując o samopoczucie niczym pensjonariusze tego samego sanatorium spotykający się podczas podwieczorku. Do Bruna zwracali się per pan.

Gdy przełykał ostatni kęs, zaczynali swoje.

Pytania zadawali rzeczowo i w skupieniu, jakby przeprowadzali wywiad do gazety. Notowali sami. Bez protokolanta i stukotu maszyny do pisania, który podczas przesłuchań czasami trudniej znieść niż uderzenia.

Prowadzili grę, nie zdając sobie sprawy, że Bruno też gra. Oni dobrych śledczych, on skruszonego esesmana, który ma nadzieję wcześniej wyjść za wzorowe sprawowanie. Podczas każdego z przesłuchań był chętny do współpracy, uczynny i uprzejmy. Godzinami opowiadał o Skorzenym, batalionie Friedenthal, szkoleniu, odbiciu Mussoliniego, operacji „Mickey Mouse”, podczas której porwali syna regenta Węgier, i znów o Skorzenym.

Potem zamykali zeszyty i znikali na parę tygodni.

Wracali niezapowiedziani i wszystko się powtarzało. Interesował ich każdy szczegół i Bruno nie skąpił im informacji. Usta mu się nie zamykały. Bez wahania zdradzał tajemnice oddziału komandosów SS, wraz z tymi, które podpadały pod sąd wojenny. Bo niby co mu groziło? Nic. On już wyrok dostał. A Skorzeny? Mogli go sobie szukać. Nie tacy próbowali. Jego były dowódca był już dwukrotnie aresztowany po wojnie i za każdym razem uciekał z więzienia. Ci tu byli dla niego za chudzi w uszach.

Tamtego dnia przyjechali nieco później niż zwykle, ale nie chcieli już rozmawiać o wojnie.

– Kiedy ostatnio widział pan Otta Skorzenego? – spytał ten od wody kolońskiej.

Bruno udał, że starannie przeszukuje pamięć.

– Nie podam dokładnej daty – oświadczył z miną, z której wynikało, że jest mu przykro z tego powodu. – Ale to było na początku kwietnia czterdziestego piątego. Pułkownik pojechał do Berlina, gdzie Hitler udekorował go Krzyżem Rycerskim z liśćmi dębu i polecił udać się w Alpy, gdzie mieliśmy organizować oddziały partyzanckie do walki z Amerykanami. Udaliśmy się do Bawarii, ale tam już nie było żadnych wojsk niemieckich. Skorzeny kazał się nam ukryć i czekać w konspiracji na dalsze rozkazy. Ja przedostałem się do Stuttgartu, gdzie trafiłem do obozu jenieckiego. Nie wiem, co się stało z pułkownikiem. Parę lat później dowiedziałem się, że aresztowali go Amerykanie.

– Rozkazy, na które miał pan czekać – wtrącił się oficer siedzący po lewej. – Nadeszły?

– Nigdy.

– Nie spotkał pan nikogo z dawnych kolegów lub przełożonych z batalionu Friedenthal?

– Tylko Manfreda Brolla – powiedział Bruno, żeby dodać wiarygodności zeznaniu, które tamten natychmiast zanotował.

– Kto to jest?

– Sierżant SS, syn bogatego przemysłowca z branży motoryzacyjnej, którą zajmował się również inżynier Skorzeny. Broll ma w Stuttgarcie firmę samochodową pracującą dla francuskiego rządu. Spotkaliśmy się przypadkiem i dał mi pracę. Byłem u niego zatrudniony do czasu przyjazdu do Opola.

– Nie miał pan żadnych kontaktów ze Skorzenym w tym czasie?

– Nie – gładko skłamał Bruno.

– A ten Broll?

– Nie wiem, w każdym razie mnie nie wtajemniczał – dodał, całkowicie przemilczając wyjazd do willi Skorzenego w Madrycie oraz misję w Egipcie. I tak nie sprawdzą. Mógł im do woli opowiadać o wojnie, bo ona była zamkniętą kartą. Ale w Kairze pisał się nowy rozdział, w którym miał nastąpić zaskakujący zwrot akcji.

Odpowiadał, a oni zerkali na siebie, zadając sobie oczami pytania: kłamie czy nie? Mówi wszystko, co wie, czy coś ukrywa?

Czuł to. Czuł ich nieufność.

W pewnej chwili ten od wody kolońskiej zdjął okulary, przetarł je chusteczką i powiedział spokojnie:

– To wszystko, panie Janoszek.

A do kolegi po lewej:

– Wezwijcie strażnika, kapitanie.

Do pomieszczenia wszedł klawisz i stanął na baczność.

– Więzień nie będzie nam już potrzebny – rzucił do niego szef przesłuchujących.

Dziwnie to zabrzmiało.

Strażnika, który odprowadzał go na blok 4C, nie bez przyczyny więźniowie nazywali „Skunksem”. Zwalisty chłop o dłoniach jak bochenki chleba był regulaminowo ogolony i ostrzyżony, ale jego tłuste włosy lśniły identycznie jak rękawy i kłapy kurtki mundurowej pranej po raz ostatni pewnie z okazji zdobycia Berlina.

Cuchnął gorzej od więzienia, wypełnionego odorem niemytych ciał, brudnych onuc, gnijącej spermy i odchodów przetrzymywanych

w kubłach, których pokrywki chroniły przed smrodem jak druciana siatka przed deszczem. Bruno szedł przed nim, starając się oddalić choćby o dodatkowe pół metra, co dawało już jakąś ulgę, ale „Skunks” ciągle przyśpieszał kroku. Jego podkute oficerki dudniły o metalowe schody i platformy, przenosząc drgania niemal na cały gmach.

Więzień zatrzymał się przed swoją celą, ale klawisz zamiast rozkazu „w lewo zwrot twarzą do drzwi” ukłuł go w plecy końcówką pałki.

– Dalej – zarządził. – Dziś masz spacer.

Wyszli na niewielki wewnętrzny dziedziniec, na który „Skunks” wypchnął więźnia, samemu wycofując się za żelazne drzwi, które zamknął ze szczękiem potężnego zamka.

Brunowi zakręciło się w głowie.

Po marszu przez dwa piętra oddziału pod eskortą „Skunksa” świeże powietrze wydało mu się czystsze niż kiedykolwiek. Tym bardziej że nie wychodził na dwór przez ostatnie pół roku.

Oparł się o mur wysoki na pięć metrów i opleciony na szczycie drutem kolczastym. Nawet gdyby człowiek był zdolny wspiąć się tak wysoko, raniąc dłonie o odłamki tłuczonego szkła zatopionego w betonie, kolczatka by go zatrzymała. A jeśli nie ona, to z pewnością kule strażnika stojącego tuż obok na wieżyczce wyposażonej w reflektor, olbrzymi jak w latarni morskiej. Z tą różnicą, że ten wskazywał drogę śmierci.

Bruno przykucnął.

Ciekawe – pomyślał, zadzierając głowę, czy trupa wołyżerów z cyrku Buscha dałaby radę się stąd wydostać. Co wieczór, przy akompaniamencie orkiestry, budowali na arenie piramidę z własnych ciał. Na samym dole stawało czterech najlepiej zbudowanych, a na ich ramiona wdrapywało się trzech innych. Mniejszych. Ci z kolei wciągali na swoje barki dwóch jeszcze mniejszych i drobniejszych. Na koniec po ludzkim rusztowaniu wdrapywał się najmniejszy i najlżejszy o posturze dziecka. Stawał na samym szczycie, w triumfalnym geście unosząc ręce, dzięki czemu żywa konstrukcja wydawała się jeszcze bardziej niebotyczna.

Szybko dokonał obliczeń. Ci, co stali na arenie, mieli około metra siedemdziesiąt, następni jakieś dziesięć centymetrów mniej, trzecia kondygnacja... Bez problemu. Ten, co stał najwyżej, mógłby łatwo pokonać mur i druciane zasieki. Ale co ze strażnikiem na wieżycze? Poza kolegami z cyrku przydałby się jeszcze snajper z batalionu Friedenthal – uznał i zaraz posmutniał, jak każdy, kto uświadamia sobie, że to, co mogłoby być całkiem realne, jest tak naprawdę poza jego zasięgiem.

Marzenia w więzieniu są naprawdę groźne.

Otrząsnął się z nich przywołany do porządku przez szcęk zasuwki i pisk zawiasów metalowych drzwi. Na spacerniak wtoczyła się gromadka ponurych mężczyzn.

A więc tak to wymyślili – doszedł do wniosku Bruno i wyprostował się, nie odrywając pleców od muru. Ci, co mnie przesłuchiwali, dowiedzieli się wszystkiego o Skorzenym. Przestałem być użyteczny. Nie chcąc sobie brudzić rąk, nasłali na mnie bandytów, którzy załatwią sprawę po więziennemu.

Kilka razy już próbowali. Kiedy na początku kary wychodził na spacer, gdy inni dreptali w kółko jak stado baranów, Bruno ćwiczył pompki.

– Obejrż się, ciulu esesmański: babę spod ciebie wywiało! – krzyknął któryś ze spacerujących, a reszta zarechotała.

Nie zareagował.

Ale gdy posypały się wyzwiska i groźby, ściągnął górę drelichu i wykonał zapraszający gest palcami dłoni, przywołując ich do siebie.

– Który chce spróbować? – syknął. – No, który?

Popatrzyli na węzły jego mięśni i szybko skalkulowali ryzyko. Ruszał się jak puma. Z gracją, za którą kryła się siła. Wiadomo: wyszkolony. Komandos. To słowo przylgnęło do niego w Strzelcach jak polisa ubezpieczeniowa. Zwłaszcza po tym, gdy jednego chojraka o mały nie udusił w łaźni, posługując się zaledwie dwoma palcami.

Ale tych było teraz co najmniej dziesięciu.

Udali, że go nie widzą, i przeszli w drugi kąt betonowej studni. Wtedy na spacerniak wyszedł ktoś jeszcze. Starszy mężczyzna o wyprostowanej

wojskowej sylwetce i przeredzonych, zaczesanych do tyłu włosach. Stał obok, niemal w równej odległości od Bruna i tamtych, powoli zapalając papierosa. Rzadki przywilej.

Ktoś znaczny. Przyzwyczajony do wydawania rozkazów. To on da sygnał do ataku – pomyślał Bruno i ustawił się tak jak podczas najtrudniejszego numeru w cyrku. Stabilnie, ale maksymalnie elastycznie. Co by teraz dał za swoje noże?

Ale starszy mężczyzna palił spokojnie. Zaciągał się i wypuszczał dym bez żadnych emocji, a kiedy skończył i zgasił niedopałek czubkiem buta, powoli podszedł do Bruna.

– Jestem Geibel – powiedział po niemiecku i krótko skinął głową.

– Janoszek – odpowiedział Bruno, rewanżując się identycznym żołnierskim ukłonem.

– Słyszałem – powiedział tamten – że jesteście towarzyszami broni z SS. Bruno potwierdził.

– Znałem pańskiego dowódcę – stwierdził Geibel. – Od kiedy pan pod nim służył? – zapytał.

– Dołączyłem w czterdziestym trzecim.

– Przed czy po Campo Imperatore?

– Przed.

– Gratuluję. To była świetna akcja.

Bruno podziękował skinieniem głowy.

– Szkoda, że nie wypaliła następna – westchnął Geibel.

– Następna?

– Operacja „Długi skok”, dwa miesiące później w Teheranie. Skorzeny chciał zabić za jednym zamachem Churchilla, Roosevelta i Stalina podczas ich konferencji, ale mu nie pozwolono. Berlin uznał to za niewykonalne. Ale moim zdaniem szalony Otto by sobie poradził. A jak pan uważa? Udałoby się wam czy nie? Od kiedy się dowiedziałem, że siedzimy w tym samym więzieniu, chciałem panu zadać to pytanie. Opinia bliskiego współpracownika Skorzenego bardzo mnie ciekawi.

Janoszek starał się skupić, ale żaden rozsądny komentarz nie przychodził mu do głowy.

– Musiałbym znać dokładne okoliczności planu – stwierdził ostrożnie.

– Nie był pan w nie wtajemniczony?

– Nie.

Geibel popatrzył na niego z lekką podejrzliwością.

– Byłem przekonany, że w batalionie konsultowaliście, panowie, szczegóły takich operacji.

– Oficerowie tak – zgodził się Janoszek. – Ale ja byłem tylko szeregowcem.

Geibel uniósł brwi. Nie odpowiedział.

– A pan? – spytał Bruno. – Jaki pan miał stopień w SS?

– Byłem generałem.

Janoszek zamarł przez chwilę, a potem sprężył się, aby stanąć na baczność, ale Geibel powstrzymał go, kładąc dłoń na ramieniu.

– Niech pan da spokój. Obserwują nas. Za oddawanie honorów hitlerowskiemu SS-Brigadeführerowi pójdzie pan do karceru. Szkoda zdrowia – odwrócił się i odszedł.

Kilka chwil później ruszyli za nim pozostali mężczyźni.

Matka osuszała łzy chusteczką, zanim zdążyły wypłynąć z oczu.

Nie widziała Bruna od wielu lat i miała wielką nadzieję, że odwilż polityczna roztopi również jego wyrok. Sprzedała ślubną obrączkę, aby zapłacić adwokatowi, ale wszystko, co udało mu się załatwić, to widzenie.

– To niesprawiedliwe – starała się pokonać szloch. – W gazecie wyczytałam, że sąd w Opolu zwolnił nawet Geibla – kata Warszawy, który wymordował tysiące ludzi i zrównał miasto z ziemią. On wyszedł z więzienia, a ty...

– Geibel już siedzi z powrotem – przerwał jej Bruno. – Puścili go, ale zrobił się rwetes w polskiej armii i znów go zamknęli. Ma celę tuż obok mnie.

– Wcale się nie dziwię, że polscy wojskowi zaprotestowali. To zbrodniarz wojenny skazany na dożywocie. Generał SS. Ale ty? Wcielili cię pod przymusem i byłeś zwykłym żołnierzem na wojnie. Chyba że czegoś mi nie mówisz? – spojrzała podejrzliwie.

– Nigdy cię nie okłamałem, mama – popatrzył jej w oczy.

– Okłamałeś.

– Kiedy?

– Jak cię aresztowali. Coś mi wrzucił do kieszeni swetra? Fałszywy dowód – szepnęła. – A wcześniej zapewniłeś, że nie jesteś... No wiesz... Na literę „sz”

– Bo nie jestem. Ten dowód dostałem od człowieka w Egipcie – Bruno również zniżył głos. – Żeby tam w Sudetach nie musiał machać niemieckim paszportem, jakby co.

– Nie szeptać – warknął strażnik stojący obok. – Bo skończę widzenie.

– Chwała Bogu, że tak zrobiłeś – podsumowała matka, już głośniej. – Z tą kieszenią. Gdyby znaleźli...

– No wiem, mama. – Bruno położył palec na ustach.

Zamilkli.

– Jak sobie radzisz? – spytał po chwili.

Skrzywiła twarz w grymasie, który miał być uśmiechem beztroski, ale kompletnie się nie udał.

– Dobrze. Trochę dorabiam. Sprzątam u Greta w bibliotece i w paru innych miejscach. Nie jest źle.

– Mama... – zawiesił głos. – Zastanawiałaś się, kto mógł napisać do UB ten list na mnie?

– Nie gadać o sprawie – wtrącił się strażnik.

Matka oczami dała do zrozumienia, że nie ma pojęcia.

– Gre-ta? – Bruno poruszył ustami bez dźwięku, akcentując sylaby samą mimiką.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Ten ktoś był dobrze przygotowany – stwierdził Bruno. – Do listu dołączono wycinek z gazety. A ona zawsze lubiła szperać i wszystko

wiedzieć...

– Mówiłem, nie gadać o sprawie – strażnik szarpnął go za ramię. – Na blok. Koniec widzenia.

Matka ponownie sięgnęła po chusteczkę.

Bibliotekarz przyłożył linijkę do arkusza szarego papieru i powoli przedał go na dwa idealnie równe kawałki. Dopasował jeden z nich do opastego tomu radzieckiego pisarza i z satysfakcją pokiwał głową. Po czym przygryzł język i zabrał się do wykonania nowej obwoluty.

Tu nie oceniano się książek po okładce.

Wszystkie były obłożone w szary papier, jednakowy jak drelichy czytelników. Więzienne książki miały tylko numery, tak samo jak ludzie, którzy je wypożyczali. Nikt nie interesował się tytułami, a już na pewno nie autorami. Za kratami nie ma nazwisk. Skazani ludzie podzieleni są według kategorii na morderców, złodziei, zbrojców, malwersantów i więźniów politycznych. Skazane książki tak samo: obyczaj, romans, poezja, tematyka społeczna. Okładki nie są tu do niczego potrzebne.

Opiekun książek posmarował pasek nowej obwoluty klejem biurowym, przytrzymał nadgarstkiem, żeby nie poplamić papieru, i spojrzał z satysfakcją na swoje dzieło. Wtedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Do pomieszczenia wszedł strażnik, prowadząc przed sobą szczupłego więźnia ze złamanym nosem.

Bibliotekarz znał tego człowieka. Widywał go i wiele o nim słyszał. Szczupły był skryty i nie nawiązywał znajomości. Na spacerniak wychodził z Niemcami oraz Ślązakami skazanymi za służbę w Wehrmachcie.

– Naczelnik dał mu nagrodę za dobre sprawowanie – klawisz wskazał szczupłego ruchem głowy. – Może korzystać z biblioteki. Wybierz mu coś. Ja idę do ustępu – oznajmił i wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

– Niech pan siada – bibliotekarz wskazał gościowi taboret.

– Klawisz zaraz wróci – odparł Bruno.

– Nie tak zaraz. Jak on idzie za potrzebą, to na pół godziny. Ma zatwardzenie – wyjaśnił i dodał: – Warto dużo wiedzieć o strażnikach. To się przydaje.

– Takie informacje kosztują – Bruno spojrzął na niego podejrzliwie.

– To prawda – zgodził się bibliotekarz. – Ale ponieważ będzie pan wypożyczał książki, liczę na pogawędkę od czasu do czasu. Wiele wiem o tym więzieniu – pochwalił się. – Prowadzę kronikę i audycje w radiowęźle. Wiele też rzeczy mnie interesuje.

Janoszek dopiero teraz skojarzył jego głos z pogawędkami nadawanymi przez głośnik na oddziale.

– Szuka pan kapusia? – spytał.

Bibliotekarz się skrzywił.

– Źle mnie pan zrozumiał. Wszystko, co panu mówię, mówię w zaufaniu. Jak koledze.

– Koledze? Nie znamy się.

– Ja też nosiłem mundur SS – powiedział bibliotekarz.

Bruno spojrzął na niego zaskoczony.

– Jest pan Niemcem?

– Polakiem. Ale to długa historia – machnął ręką. – Może kiedyś opowiem. Obydwaj nie mamy tu kolegów, prawda?

Janoszek nie odpowiedział. Jemu to akurat nie przeszkadzało.

– Co pan lubi czytać? – bibliotekarz zmienił temat.

Bruno zrobił bezradną minę. Przez chwilę intensywnie poszukiwał czegoś w myślach.

– Ma pan coś o Grecji? – spytał.

– O Grecji? – powtórzył bibliotekarz. – Ale co pana interesuje? Mity greckie? Historia starożytna?

– Bardziej to, co było w czasie wojny.

Bibliotekarz się zastanowił.

– Nic takiego nie mamy – stwierdził. – Ale dla lekarza z izby chorych prenumerujemy pismo podróżnicze. Tam są artykuły o Grecji. Mogę panu

poszukać. Coś konkretnego? Dużo się teraz pisze o Grekach po ich wojnie domowej.

– Wyspa Rodos – powiedział Bruno. – Chciałbym poczytać o wyspie Rodos.

– Dobrze – obiecał bibliotekarz. – Poszukam. Tymczasem niech pan pożyczy to – podsunął tom świeżo obłożony papierem. – Zrobi pan dobre wrażenie. Klawisz to zagorzały komunista.

– Co to jest?

– *Cichy Don*.

– O mafii?

– Nie, o rzece. W zbiorach nie mamy książek o przestępstwach. Za dużo ich po celach – uśmiechnął się i zerknął na drzwi, w których ponownie zgrzytnął klucz.

– Masz książkę? – spytał klawisz.

– Tak jest, obywatelu oddziałowy – zameldował Bruno.

– Jaką?

– Radziecką, obywatelu oddziałowy.

– Bardzo dobrze. Idziemy.

Na korytarzu Janoszek zdobył się na odwagę.

– Czy mogę zadać pytanie, obywatelu oddziałowy?

– Jedno możesz. W nagrodę za właściwy wybór literatury.

– Kim jest bibliotekarz?

Strażnik zerknął na niego niechętnie.

– Pocieszę cię – powiedział. – O wiele większym esesmańskim szubrawcem niż ty. Nazywa się Ludwik Kalkstein. Ma dożywocie. I szczęście – dodał – że od razu nie poszedł na stryczek.

– Za co?

– Miało być jedno pytanie – burknął klawisz, otworzył drzwi celi i popchnął go tak mocno, że Bruno, nie chcąc upuścić książki, zatrzymał się dopiero na pryczy.

Od czasu wizyty w bibliotece konieczność pomszczenia Herberta przeniosła się w inny wymiar.

Dotychczas wynikała z instynktu. Bo brat. Bo więzy krwi. Bo na Zaodrze wendeta to święty obowiązek. Bo śmierć Herberta była największym ciosem, jaki go spotkał, i największą stratą, której świadomość powracała, powodując, że zaciskał pięści aż do bólu. Tak było podczas walk w Ardenach, w obozie, potem u Brolla i w Egipcie. Impuls narastał i słabł. Konieczność odwetu na Grekach rozpalala się i przygasała tłumiona codziennością.

Teraz stała się misją. Planem wymagającym odpowiedniej strategii i przygotowań. W więzieniu po zgaszeniu świateł scenariusze zemsty powstają w każdej celi. Każdy z tysięcy skazanych hrabiów Monte Christo obmyśla zemstę i zasypia ukołyszany wizją, jak wymierzy sprawiedliwość.

Bruno szybko dowiedział się, że bibliotekarz to polski zdrajca numer jeden, który wydał Gestapo przywódcę podziemnej Armii Krajowej, a potem założył mundur SS. Szczerze mówiąc, mało go to obchodziło.

Potrzebował wiedzy, do której ten człowiek miał dostęp. Potrzebował Grecji. Chciał się jej nauczyć, poznać i zrozumieć tak dokładnie, jak zwiadowcy w batalionie Friedenthal rozpracowywali wroga. Najłatwiej zabijać ludzi, o których się dużo wie.

Odczekał tydzień i oddał *Cichy Don*, przejrzaawszy zaledwie kilka kartek. Strażnika okłamał, że przeczytał powieść od deski do deski. I tak nie sprawdzi. Całe więzienie wiedziało, że klawisz ma trzy klasy szkoły powszechnej i ledwie składa litery.

Bibliotekarz ucieszył się na jego widok.

Fachowo sprawdził książkę. Poprzednie wydanie trzeba było spisać na makulaturę, bo skazani doszczętnie zniszczyli strony, na których opisana była uroda Aksinii, kozackiej piękności. Ale Janoszek najwyraźniej nie używał ich do pobudzenia swoich fantazji.

Odstawił tom na półkę i sięgnął po czasopismo podróżnicze.

– Znalazłem Rodos – powiedział.

Bruno ujął podniszczone wydanie drżącymi rękami, jak muzułmanin, któremu wręczono autorski rękopis Koranu.

– Strona dwanaście – pomógł mu bibliotekarz.

Artykuł nie był długi.

Wspominał o czasach starożytnych, kiedy to stolicy wyspy strzegł olbrzymi posąg Heliosa – boga słońca. Wykonany z brązu i żelaza miał ponad trzydzieści metrów wysokości. Dziesięć pięter. Stał w rozkroku na falochronach przy wejściu do portu, a jego nogi były bramą, przez którą przepływały statki. Potem przyszło trzęsienie ziemi. Kolos runął, ale leżał przy nabrzeżu przez długie lata, a podróżni z całego świata przybywali, aby go oglądać. Dopiero na ziemi można było uświadomić sobie rozmiar posągu: żaden z ludzi nie potrafił objąć oburącz metalowego palca boga.

Historia Kolosa Rodyjskiego posłużyła autorowi artykułu do postawienia tezy, że tak samo upadnie reżim panujący dziś w Grecji. Reżim, który morduje komunistów i ciemnieży lud pracujący miast i wsi. Ale wolność wkrótce nastąpi – prorokował korespondent gazety. Nadejdzie z siłą trzęsienia ziemi i obali ustrój przeżarty przez rdzę kapitalizmu.

Bruno skrzywił się nad propagandową wymową tekstu, ale czytał dalej. Nagle drgnął.

W przedostatnim akapicie autor wspomniał o Atawiros. Górze na zachodnim krańcu Rodos. Najwyższej na wyspie.

Odłożył czasopismo na pryczę, aby uspokoić emocje. To było miejsce, gdzie Grecy zamordowali Herberta.

– Jak wyjdę z więzienia, to tam pojedę – oświadczył bibliotekarzowi kilka tygodni później, gdy jak zawsze rozmawiali o Rodos.

Kalkstein tylko się uśmiechnął. Nie chciał psuć samopoczucia nowemu znajomemu, który rozmawiał z nim jako jeden z nielicznych. Nie zamierzał przepędzać złudzeń, że władze pozwolą mu wyjechać z Polski. W duchu uważał Janoszka za nieszkodliwego maniaka, ale zostawiał to dla siebie.

Mania potrafi napędzać nadzieję, a nadzieja w więzieniu potrzebna jest jak penicylina na zapalenie płuc. Bez niej człowiek może umrzeć.

Tymczasem Bruno wypożyczał wszystko, co tylko miało związek z Grecją. Najczęściej były to artykuły polityczne o wojnie domowej, ale nawet z nich Janoszek potrafił wycisnąć coś dla siebie. Z karty wypożyczeń można było wyczytać, że jest wielkim miłośnikiem kraju i jego mieszkańców. Tylko on sam wiedział, że jest dokładnie odwrotnie. Jego zainteresowanie napędzały nienawiść i obsesja.

Pod koniec jednej z wizyt w bibliotece Kalkstein wsunął mu do ręki szkolny, szesnastokartkowy zeszyt w niebieskich okładkach i ołówki.

– Po co to? – zdziwił się Bruno.

– Powinien pan notować te swoje greckie ciekawostki.

Janoszek nabrał podejrzeń.

– Zapamiętuję – odparł wymijająco, nie wyciągając ręki po prezent.

– Pamięć jest zawodna – uznał bibliotekarz.

– Jak klawisz znajdzie w celi jakieś gryzmoły, pójde do karceru. Nie mam zgody na żadne pisanie.

– Niech pan powie, że ja przygotowuję pana do referatu o prześladowaniu greckich komunistów i że ma pan wystąpić w radiowęźle. Wtedy dadzą panu spokój.

Bruno spojrział na niego uważnie. Ten człowiek musiał być wyjątkowo przebiegły.

Po zgaszeniu świateł kładł się na prycy na wznak, patrzył w ciemność i trenował swoją zemstę. Cierpliwie jak kiedyś rzuty nożem. Odtwarzał w pamięci mapę wyspy, którą wydrukował kiedyś magazyn geograficzny, szeptem powtarzał zapisane w zeszycie nazwy miejscowości na Rodos i kilka greckich zwrotów, jakie znalazł w prasie. „Dzień dobry”. „Dziękuję”. „Jak dojechać do...?”

Potem, przed północą, godziną duchów, nadchodził czas tworzenia planu. Szlifował go codziennie.

Po zakończeniu wyroku zabierze matkę do Stuttgartu. Stamtąd pojedzie do Grecji z niemieckim paszportem, co ułatwi mu przekroczenie granicy. Ale na Rodos zamieni się w Polaka. Będzie mówił po polsku i udawał korespondenta czasopisma podróżniczego z Warszawy. Nawet postara się o legitymację prasową. Znajomy fałszerz dokumentów przeżył wojnę i ciągle mieszkał na Zaodrze.

Wieśniacy na Rodos wiedzą, że Polska udziela pomocy i schronienia tysiącom greckich komunistów. Dlatego przyjmą go z otwartymi ramionami. Ugoszczą i powiedzą, kto z wioski pod górą Atawiros dwadzieścia lat temu walczył w partyzantce z Niemcami. Konkretnie z 999. dywizją.

A potem odszuka tych ludzi i zapłaci im za śmierć brata.

Jakiś czas później wyszedł na spacer, zachęcony słońcem za kratami.

Po tylu latach wszyscy go już znali. Już im zobojeźniał. Ale kilka postaci zbitych w ciasną gromadkę pod murem było nowych. Pewnie z transportu z Barczewa, o którym było głośno parę dni temu. W więzieniu wszyscy wszystko wiedzą.

Obrzucił ich pobieżnym spojrzeniem. Bandyci. Debiutanci. Większość z pierwszym wyrokiem. Tacy lubią pokazać, co to nie oni. Podwijają rękawy, żeby było widać tatuaże, niektóre jeszcze otoczone czerwonymi obwódkami infekcji po brudnej igle. Mówią grypsem i szukają zaczepki.

Jeden z nich oddalił się o kilka kroków od grupy, stając na drodze Bruna. Był wyższy i masywny, ale ruszał się zbyt ślamazarnie. Dlatego Bruno zatrzymał się, nie wyjmując nawet rąk z kieszeni drelichu. Patrzył na tamtego zupełnie obojętnie. Ale tylko pozornie.

Przybysz z Barczewa nie był w stanie go zaskoczyć, a jednak zaskoczył.

– Słyszałem, że twój brat zginął w obozie koncentracyjnym – powiedział tak, że wszyscy wokół słyszeli.

Bruno drgnął. Na słowo „brat” reagował od dziecka.

Ściągnął brwi.

– O czym ty mówisz, człowieku? Mój brat? Zginął w obozie koncentracyjnym?

– No – potwierdził tamten. – Ponoć spadł z wieżyczki.

Reszta grupy z Barczewa ryknęła śmiechem.

Dowcipniś nie czekał na jego reakcję. Odchylił głowę do tyłu, żeby zadać potężny cios czołem w twarz, ale Bruno nie wpadł w popłoch. Jak przy rzucie nożem czekał na właściwy ułamek sekundy i mocno pochylił głowę, dzięki czemu przeciwnik z impetem uderzył w sklepienie jego czaszki.

Bruno to odczuł, ale tamten o wiele bardziej. Rozległ się trzask łamanej kości nosowej i przeciwnik osunął się na ziemię, mocno krwawiąc. Znokautował sam siebie. Człowiek, którego zaatakował, nawet nie wyjął rąk z kieszeni. Kryminał będzie mu to pamiętał. Był pokonany i skończony. Nikomu już nie zaimponuje.

Grupa nawet nie ruszyła, aby go pomścić. Patrzyli spode łba na Bruna, który stał obojętnie, czekając, aż podbiegną strażnicy.

Dwaj unieśli tamtego pod ramiona i powlekli w stronę wyjścia ze spacerniaka. Pozostali mierzyli z karabinów do reszty grupy barczewskiej, choć nie zanosilo się na ciąg dalszy przedstawienia.

– Janoszek do karceru – rzucił dowódca zmiany.

Bruno odwrócił się i ruszył sam, nie czekając na asystę.

– Dziesięć dni – usłyszał pod drzwiami karnej celi, ale następnego dnia obudził go szcęk zamka. Dziwne. Żarcie i kibel podawano przez klapę w drzwiach.

W ciemnym pomieszczeniu pojawił się pionowy prostokąt światła, od którego bolały oczy.

– Wychodzisz – powiedział klawisz, który stanął w środku prostokąta.

Bruno nie odpowiedział. Jeszcze dziewięć dni – pomyślał. Pewnie z jakichś powodów zmieniają karcer na inny.

Ale strażnik kazał mu wracać na blok.

– Pakuj mandżur – powiedział, gdy weszli do celi, w której spędził ostatnie lata.

- Jadę w transport? – upewnił się Bruno.
- Powiedziałem ci już – skrzywił się klawisz. – Wychodzisz. Za dobre sprawowanie. Dziś przyszło postanowienie sądu.

ROZDZIAŁ 12.

Opole,
lato 1961

Konduktor pociągu relacji Strzelce Opolskie – Opole widywał już takie papiery. Złożone na czworo arkusze pokryte tekstem wystukany na maszynie i uwiarygodnionym stemplami. Że taki i taki zakończył odbywanie kary pozbawienia wolności, wobec czego przysługuje mu przejazd Polskimi Kolejami Państwowymi, klasą drugą, do miejsca zamieszkania.

Złożył dokument tak, jak chciały zgięcia, i zwrócił go szczupłemu mężczyźnie siedzącemu na drewnianej ławce wagonu. Miał mizerną, trudną do zapamiętania twarz i bardzo krótko ostrzyżone włosy, po których nietrudno się było domyślić, skąd wraca. Ciekawe, za co siedział? – pomyślał konduktor. Na bandziora nie wyglądał. Pewnie malwersant albo polityczny. No, chyba że złodziej – przestraszył się i machinalnie sprawdził portfel, który nosił w tylnej kieszeni spodni. Z takimi nigdy nic nie wiadomo.

Bruno schował dokument do kieszeni ciepłego płaszcza przełożonego przez ramię. Trencz, w którym go aresztowano, ucierpiał w więzieniu nie mniej niż jego właściciel. Spłowiał, przeszedł stęchlizną i był mocno pogryziony przez mole, które z jego jedwabnej podszewki zrobiły coś w rodzaju koronkowej sukni.

Wysiadł na opolskim dworcu, przeszedł przez halę drżącą od pośpiechu podróżnych i znalazł się na zewnątrz.

Miasto wypiękniało.

Z Hindenburgstrasse, która teraz nosiła nazwę ulicy Krakowskiej, wysiedlono ruiny. Ich miejsce zajęła architektura napływowa. Gmachy i domy mieszkalne budowane w stylu tych, które Bruno w więzieniu oglądał na zdjęciach w radzieckich czasopismach. Na dawnym Annaberg

Platz nie było już śladu po siedzibie rejencji i pomniku cesarza Wilhelma. Stare koryto Odry, nie wiadomo czemu nazywane kanałem, drzemało nieniepokozone przez barki z węglem.

Zmiany pojawiły się również na Zaodrze, ale nie poświęcił im uwagi. Wszedł na podwórze, pokonał skrzypiące schody i zastukał do drzwi.

Matka otworzyła po krótkiej chwili i kolana się pod nią ugięły.

– Uciekłeś – szepnęła przerażona, z trudem łapiąc oddech.

– Nie, mama – uśmiechnął się. – Zwolnili mnie.

– Mów prawdę.

Uniósł w jej stronę zgiętą rękę, przez którą przerzucił płaszcz.

– Mama, czy uciekinierom wydają rzeczy z magazynu?

Rzuciła mu się na szyję.

Sierżant MO, który wezwał go tydzień później do komendy miejskiej, mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat i im bardziej próbował dodać sobie powagi, tym bardziej wyglądał na dzieciaka przebranego w milicyjny mundur na szkolny bal kostiumowy.

Wnikliwie czytał więzienny dokument Janoszka, po czym wskazał mu drewniany pulpit przymocowany do ściany pomalowanej burą olejną farbą.

– Piszcie życiorys – powiedział, podając kartkę papieru kancelaryjnego i ołówek kopiowy, wymagający nieustannego ślinienia.

Bruno wykonał polecenie. W więzieniu pisał życiorys średnio raz w miesiącu, co miało ułatwić przyłapanie go na jakiejś nieścistości, ale przechytrzył pomysłodawców tej gry. Nauczył się swojej biografii na pamięć i przepisywał ją z głowy, słowo w słowo.

Teraz zrobił to samo, dodając zdanie o odbyciu kary więzienia w wymiarze siedmiu lat i zwolnieniu trzy lata wcześniej za dobre sprawowanie.

– Nie napisaliście, za co byliście skazani – milicjant oderwał wzrok od rękopisu.

– Za służbę w wojsku niemieckim.

– Za to nie dostawało się dziesięciu lat.

Bruno skinął głową, przyznając mu rację.

– Byłem w SS.

Dzieciak w mundurze zamarł.

Nigdy nie widział esesmana, a jeśli widział, to nie pamiętał, bo jeszcze nosił koszulę w zębach i na stojąco wchodził pod szafę.

Nie miał zielonego pojęcia, jak zareagować, gdy do kancelarii bez pukania wszedł mężczyzna w podniszczonym garniturze. Guziki jego marynarki nie miały szans na spotkanie z dziurkami z powodu wydatnego brzucha. Gładkie ciemne włosy nosił zaczesane do tyłu, co uwydatniało spore zakola. Jego pulchną twarz ozdabiał papieros nonszalancko przyklejony do dolnej wargi, jak u detektywów w kinie.

Milicjant wstał, ale przybysz nie zaszczycił go swoją uwagą.

– Witam starego znajomego – zwrócił się do Janoszka, który wyglądał na kompletnie zdezorientowanego.

– Major Pietrzak – przypomniał się, wyjmując papierosa z ust. – Służba Bezpieczeństwa. Dowiedziałem się, że pan dziś do nas wpadnie, i przyszedłem powinszować wcześniejszego zwolnienia.

– Poznaję. – Pod warstwami tłuszczu Bruno zidentyfikował ubeka sprzed siedmiu lat, specjalistę od niemieckich szpiegów.

– To świetnie – ucieszył się Pietrzak. – Zapraszam do siebie. Pogawędzimy.

Wyszli bez słowa.

„Witam”, „to świetnie”, „pan dziś do nas wpadnie”, „pogawędzimy” – Bruno katalogował w myślach uprzejmości, co do których natychmiast nabrał podejrzeń. Ostatnio był esesmańską świnią, a współpracownicy Pietrzaka złamali mu nos i kilka żeber.

Mimo że podróż korytarzami komendy trwała kilka minut, Pietrzak milczał, wskazując dłonią, gdzie powinni skręcić, a gdzie wejść na schody.

Wreszcie otworzył obite dermą drzwi bez tabliczki i przepuścił gościa przodem.

Bruno znalazł się w niewielkim pomieszczeniu z oknem na wprost wejścia, identycznymi drzwiami po prawej i lewej stronie, metalową szafą i biurkiem, za którym tkwiła bezbarwna sekretarka.

– Pani Jadziu, zrobi nam pani po herbatce – rzucił Pietrzak i zaprosił Bruna na prawo.

Gabinet był kopią pomieszczenia, w którym rezydował naczelnik więzienia w Strzelcach. Taka sama przeszklona szafa z kilkoma resortowymi wydawnictwami, kodeksami i dziełami klasyków socjalizmu. Wazon, proporczyki, jakiś puchar. Nad biurkiem godło państwowe, strzeżone po obu stronach przez portrety partyjnych oficjeli. Kilka krzeseł pod ścianą.

Pietrzak wskazał je Brunowi, gasząc papierosa w popielniczce pełnej niedopałków, mimo wczesnej pory dnia.

– To jakie ma pan plany, panie Janoszek? – spytał, jakby rzeczywiście chodziło o pogawędkę. – Rozumiem, że zamierza pan znaleźć pracę i wrócić na łono społeczeństwa.

– A po co społeczeństwu ktoś taki jak ja? Były esesman po siedmiu latach w kryminale.

– O, niech pan nie będzie dla siebie tak surowy – stwierdził pobłaźliwie Pietrzak i rozwiązał tasemki teczki leżącej na biurku. Zajrzał do środka i dodał:

– Odpokutował pan za grzechy. Tu piszą, że był pan wzorowym więźniem, świadomym popełnionego błędu i okazującym skruchę. Nie ma pan jeszcze czterdziestu lat. Może zaczynać nowe życie. Co pan zamierza, panie Janoszek?

– Myślałem o powrocie do Niemiec – odparł Bruno.

– Do których Niemiec? – spytał major niby od niechcienia.

– Jestem obywatelem NRF. Wrócę tam, jak tylko oddacie mi paszport.

– Jaki paszport? – Esbek zrobił minę, z której wynikało, że nie ma pojęcia, o czym Janoszek mówi.

– Mój. Niemiecki. Został mi zatrzymany podczas aresztowania.

Pietrzak wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Pewnie stracił ważność i poszedł do pieca.

– Czy mogę napisać podanie o nowy?

– A do kogo, panie Janoszek? Żeby dostać paszport, potrzebna jest ambasada albo konsulat. Tymczasem Polska Ludowa nie utrzymuje żadnych stosunków dyplomatycznych z NRF.

– Nie mogę napisać prośby o wydanie paszportu do Bonn?

– Może pan. Oczywiście, że pan może. Problem w tym, że taka prośba nigdy nie wyjdzie poza granice naszego państwa.

– Dlaczego? – Bruno był coraz bardziej zaniepokojony.

– Bo widzi pan, panie Janoszek, w Polsce oficjalnie nie ma Niemców. Wszyscy zostali wysiedleni i z naszymi zachodnimi sąsiadami zgodziliśmy się, że temat jest ostatecznie zamknięty. Jakbyśmy wyglądali, gdyby teraz strona polska uznała, że jednak jeszcze jeden Niemiec jest, bo zawieruszył się nam Herr Janoschek? Nie chce pan chyba przekreślać umów międzynarodowych?

– Czyli? – Bruno przełknął ślinę.

– Czyli dupa, panie Janoszek.

– Muszę tu zostać?

Pietrzak przeczesał dłonią włosy.

– Na to wychodzi. Ale przecież jest pan u siebie. Tu się pan urodził. Ludzie pana znają i przyjmą jako swojaka. Gdyby miał pan teraz zaczynać nowe życie gdzieś w Warszawie, no... tobym nie radził, panie Janoszek. Z pana przeszłością mogliby tam pana zlinczować jak Murzyna w Ameryce. Ale tu? Tu co drugi był w niemieckim wojsku. Wyrobi się panu polski dowód i pomyślimy, jak pana urządzić. A jeśli za jakiś czas, rzecz jasna, będzie tu panu niewygodnie, to znajdziemy rozwiązanie, żeby pan jednak wyjechał do tych swoich Niemiec – major spojrzął na niego wymownie.

– Nie rozumiem.

– To proste. Przysługa za przysługę. – Esbek wstał zza biurka i podszedł do mapy wiszącej na ścianie.

– Wie pan, co to jest białe złoto?

Bruno nie wiedział.

– Margiel. Niezbędny do produkcji cementu, którego kraj bardzo teraz potrzebuje. W Opolu i okolicy mamy kilka kopalń tego surowca. Pracuje w nich wielu Ślązaków. To trudni, zamknięci ludzie. Nie wiadomo, co myślą. Są małomówni i totalnie nieufni wobec obcych. Ale pan z pewnością potrafiłby do nich przeniknąć.

– Ja? Przecież ja też jestem dla nich obcy.

– Myli się pan – Pietrzak splótł ręce z tyłu i nadal wpatrywał się w mapę. – Pan jest tutejszy. Był pan w niemieckim wojsku. Mieszkał pan w ich wymarzonym NRF-ie. I ma pan najlepsze świadectwo wiarygodności, jakie można mieć: przez siedem lat był pan w polskim więzieniu, skazany za to, kim pan jest i gdzie pan służył. Myślę, że będzie pan bardzo szanowaną postacią i nie będą mieć przed panem sekretów.

– Czyli mam być szpiclem?

Major skrzywił się z niesmakiem.

– Co za paskudne słowo. Ma pan być strażnikiem bezpieczeństwa bardzo ważnej gałęzi gospodarki państwa. Strzec przemysłu cementowego przed wrogami i sabotażystami, którzy mogą docierać do miejscowych Ślązaków i mieszać im w głowach. Jest pan byłym żołnierzem sił specjalnych, dla pana inwigilacja tego podejrzanego środowiska to bułka z masłem.

– Mogę o coś zapytać?

– Śmiało.

– Skoro miejscowi są dla was tacy podejrzani, to czemu ich nie wysiedliliście do Niemiec?

– Bo znają się na tej robocie. Repatrianci zza Buga potrafią kopać kartofle motykami, ale nie margiel. Nie mają pojęcia o wapiennikach. To tutejsza specjalność. Od wieków. To jak będzie, panie Janoszek? – odwrócił się do Bruna.

– Co dostanę w zamian?

– Lubię tak myślących ludzi – ucieszył się Pietrzak. – Najgorsi są ci, którzy się zarzekają, że nie mogliby na nikogo donieść, choć wiedzą doskonale, że będą to robić, i to gorliwie. Brzydzi mnie to, powiem panu w zaufaniu. Ale pan jest konkretny, i to mi się podoba. Co w zamian?

Zrobimy pana jakimś inspektorem od BHP albo zaopatrzeniowcem, zobaczymy. Chodzi o to, żeby mógł się pan kręcić w różnych miejscach: kopalniach, cementowniach i tak dalej. Zadbamy o dobrą pensję. A jeśli chodzi o relacje między nami – uniósł podbródek – to powiem tak: jeśli będzie nam się dobrze współpracować i pan się sprawdzi, wyślemy pana do Niemiec. Tam też potrzebujemy bystrych, dyskretnych i sprawnych fizycznie ludzi.

Janoszek z namysłem pokiwał głową.

– Czy mógłbym dostać skromną zaliczkę? – zapytał.

Major Pietrzak chytrze się uśmiechnął.

– Nie widzę przeszkód. Wyrobi pan dowód, zamelduje się na placu Hanki Sawickiej u szanownej mamusi, a potem podpisze deklarację współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa, na podstawie której wypłacimy panu sumę na rozruch działalności. Którą pan oczywiście pokwituje. Zaraz każę sekretarce załatwić formalności w ratuszu – major zrobił krok w stronę biurka.

Bruno poruszył się na krześle.

– Nie chodzi mi o pieniądze.

– A o co? – Pietrzak się zatrzymał.

– Skoro mamy współpracować, chciałbym być pewien, że sobie nawzajem ufamy.

– Ja panu zaufałem – zadeklarował major. – Gdyby nie to, nie byłoby tej rozmowy.

– Pan ma mnie w garści – odparł Janoszek. – Zaufanie panu niepotrzebne.

– Czego pan chce? – Pietrzak przeszył go wzrokiem.

– Chcę wiedzieć, kto napisał na mnie donos, że byłem w SS, i wysłał do was wraz z wycinkiem z niemieckiej gazety – wskazał dłonią teczkę leżącą na biurku.

Major głośno wypuścił powietrze.

– Dużo pan żąda. Ale... Zgoda.

– Podszedł do biurka, otworzył teczkę i wyjął z niej list sprzed siedmiu lat. Okładka „Der Stürmer” ze zdjęciem z Campo Imperatore mocno pożółkła, ale nadal była z nim połączona zszywaczem biurowym.

– Donos napisała kobieta – powiedział. A potem wymienił jej nazwisko i spojrzał na Bruna pytająco:

– Zna ją pan?

Janoszek zacisnął szczęki i potwierdził skinieniem głowy.

Trzy wieprzowe nerki, które matka dostała w taniej jatce na targowisku po godzinie stania w kolejce, były prawdziwym rarytasem. Gdy tylko wróciła do domu, nawet nie zdejmując chustki, rozpałała pod kuchnią, nastawiła wodę w czajniku, rozkroiła je i porządnie wyparzyła wrzątkiem, aby nie przeszły nieprzyjemnym zapachem. Następnie pokroiła na niewielkie kawałki, roztopiła w rondlu kawałek smalcu, wrzuciła nerki i podlała odrobiną gorącej wody. Rozgrzany tłuszcz przyjął to sykiem i wzburzeniem, ale jego protest szybko stłumiła pokrywka.

Obierała cebulę, niezbędną do duszenia potrawy, gdy do domu wrócił Bruno. Miał zagadkową minę. Kiwnął jej ręką i bez słowa podszedł do szuflady w kredensie, którą zaczął uważnie przeszukiwać.

– Czego stamtąd potrzebujesz? – spytała, ale nie odpowiedział.

Przyjrzał się jej uważnie, podszedł i wyciągnął rękę:

– Mama da na chwilę ten nóż.

– Po co ci on?

– Mama da – powtórzył.

Wytarła ostrze pokryte łzawiącym sokiem o brzeg fartucha i podała synowi.

Bruno parę razy podrzucił nóż, po czym zważył go w dłoni, trzymając raz za czubek, raz za rękojeść, i schował za pasek spodni.

– Pożyczam – oświadczył.

– A czym mam obrać cebulę?

– Są tam inne w szufladzie – odparł.

– Sam sobie weź inny.

– Żaden się nie nadaje – stwierdził i zrobił krok w kierunku drzwi na klatkę schodową.

– A ty dokąd z tym nożem? – przestraszyła się.

– Zaraz wracam – powiedział.

– Za godzinę jemy.

Machnął ręką.

– Zdążę.

– Bruno! – zawołała, gdy był już na progu. – Jak poszło na milicji?

– Nie teraz, mama – odparł. Nie odwracając się, zamknął drzwi i zbiegł po schodach.

Zaniepokojona podeszła do okna wychodzącego na Odrę i zobaczyła to, co przewidywała zobaczyć.

Syn podszedł do pnia uschniętego drzewa, które przeżyło wojnę może dlatego, że było martwe, pieścotliwie dotknął kory i cofnął się o kilka wymierzonych kroków.

Po czym zaczął rzucać.

Nóż migotał w słońcu jak bardzo odległa błyskawica gdzieś nad Czarnowąsami albo i dalej. Wbijał się za każdym razem, a wtedy Bruno podchodził, wyrywał ostrze z pnia, wracał dokładnie w to samo miejsce, w którym stał, i znów rzucał.

To był stan jego najwyższego skupienia.

Tak zachowywał się, gdy miał kłopot albo niezwykle ważną sprawę do rozwiązania. Tak wychodził z pijaństwa po tym, gdy zostawiła go Greta. Po prostu szedł z nożem nad rzekę i zabijał swoje demony zaklęte w martwym drzewie. Czasami przez kilka godzin.

Matka poprawiła odchyloną firankę, wytarła rękawem cebulowe łzy i zaczęła się martwić, że wkrótce może mieć powód do prawdziwych.

– Powiesz mi czy nie, jak było na komendzie? – spytała godzinę później, gdy syn wznosił oczy do nieba i całował w zachwycie koniuszki palców. Duszone cynaderki z tłuczonymi kartoflami i kiszonym ogórkiem były ucztą, jaka rzadko się Janoszkom zdarzała.

Odłożył widelec.

– Mama – spojrzał na nią i od razu zorientowała się, że nie usłyszy niczego dobrego. – Będę musiał na jakiś czas wyjechać.

Nie odpowiedziała.

– Esbek, który mnie aresztował siedem lat temu – wyjaśnił – dziś zaproponował mi, abym zostałem jego szpiclem.

– Kogo miałbyś szpiegować?

– Ślązaków. Tych, którzy pracują w kopalniach margla, wapiennikach i cementowniach.

– Dlaczego?

– Służba Bezpieczeństwa im nie ufa. Uważa, że mogą przekazywać informacje niemieckiemu wywiadowi i robić sabotaże.

– Jakie sabotaże?

– No choćby cement gorszej jakości, mama. Z lichego cementu powstanie licha zaprawa, a z lichej zaprawy lichy mur, który prędzej czy później się zawali.

Zamyśliła się przez chwilę.

– Ale przecież ty nie masz nic wspólnego z cementowniami.

– Daliby mi taką robotę, że bym miał. Jeździłbym po wszystkich zakładach. I bardzo dobrze bym zarabiał.

Matka wpatrywała się w niego badawczo.

– Mało tego, mama – dodał. – Gdybym się spisał, puściliby mnie z powrotem do Niemiec. Tam też mógłbym dla nich pracować, rozumiesz?

Przełknęła ślinę.

– I co odpowiedziałeś?

– Nic. Ale dałem do zrozumienia, że jestem zainteresowany.

W oczach matki pojawił się strach.

– Ten wyjazd na jakiś czas, to... Na esbecki kurs?

– No co ty, mama? Przecież nie będę donosił na ludzi. Muszę się ulotnić.

– Znowu? – spytała tonem skazańca, który otrzymał określoną liczbę batów, ale okazało się, że kat się pomylił w rachunkach i chłostę trzeba powtórzyć.

- Tylko na parę miesięcy, aż sprawa przyschnie.
- Gdzie chcesz jechać?
- W Sudety.
- Szukać kolejnych kłopotów?
- Odwrotnie. Zgubić się. Mama, tam mało kto mieszka. Jak byłem ostatnio, widziałem puste wsie po wysiedlonych Niemcach i piękne wille w uzdrowiskach, na które nie było chętnych. Nie sądzę, aby przez siedem lat wiele się zmieniło.
- Esbek się wścieknie.
- Pewnie tak.
- Będzie cię szukał. Może nawet listem gończym.
- Za co? Za to, że nie chciałem zostać jego szpiclem? To nie przestępstwo. Poza tym tam trudno mu będzie mnie znaleźć.

Pokręciła głową.

- Nie będzie. Teraz w Polsce musisz mieć dowód osobisty, a od połowy lipca jest ścisły obowiązek meldunkowy. Czytałam w gazecie. Wystarczy, że gdzieś zatrzymujesz się na trzy dni i już musisz się zgłosić. I to w ciągu pierwszej doby. Nowy przepis, więc dzielnicowi z milicji go skrupulatnie pilnują.

Bruno uśmiechnął się chytrze.

- Ja to wszystko wiem, mama. Dowód pomoże mi wyrobić towarzysza esbek. Od razu z meldunkiem u ciebie. A jak pojedę w Sudety – nie będę mieszkał nigdzie dłużej niż dwa dni.
- Jak to?
- Ujął jej dłonie leżące na stole.
- Spróbuję żyć z tego, co umiem.
- Czyli?
- Będę rzucał nożem.
- Gdzie?
- Gdzie się da. Założę jednoosobowy cyrk Bruna Janoszka. Pseudonim artystyczny Paco. Będę objeżdżał małe miasteczka, odpusty i jarmarki.
- Co ty pleciesz?

– Ludzie potrzebują rozrywki. Pamiętasz pokaz, który Herbert wymyślił przed wojną? Przyszło pół Zaodrza. I każdy wrzucił coś do czapki. Mogliśmy za to kupić używany rower w dobrym stanie. Zarobię i wrócę na zimę. Nie martw się.

– Jecz, bo wystygnie – upomniała go, bo nie była w stanie powiedzieć nic innego.

Kończyli obiad w milczeniu.

– Gdyby Herbert żył, pewnie pomógłby ci to jakoś zorganizować – stwierdziła, zbierając ze stołu puste talerze.

Bruno pokiwał głową i nagle sobie coś przypomniał.

– Przed aresztowaniem zostawiłem na półce w pokoju taką glinianą tabliczkę z Egiptu. Esbecy jej nie zabrali?

– Nie. Jest w szufladzie w kredensie.

Ucieszył się.

– To coś ważnego? Jakaś pamiątka?

– Drobnny upominek, który chciałbym kiedyś zawieźć Herbertowi na grób, o ile uda mi się stąd wydostać.

Chciała jeszcze o coś zapytać, ale przerwał jej pytaniem:

– Mama, wiem, że się wykosztowałaś na adwokata, ale pożyczysz mi parę złotych na start? – spytał Bruno po dobrych kilku minutach. – Muszę obstałować noże u ślusarza i mieć na życie, zanim zacznę zarabiać. Oddam ci z pierwszych pieniędzy.

– Nie mam ani grosza – zmartwiła się. – Do czasu, aż przyjdzie renta po ojcu, zabraknie nam nawet na jedzenie. Ale to nic. Pójdę wieczorem do Grety. Ona nigdy nie odmawia pomocy.

– Od niej niczego nie chcę – Bruno opuścił widelec.

Matka pokręciła głową.

– Po kim ty jesteś taki zapiekły? Jak długo można chować urazę?

Popatrzył na nią zimno i do końca już się nie odezwał.

– Kiedy chcesz wyjechać? – spytała, myjąc naczynia.

– Rano pójdę do esbeka i powiem, żeby mi szybko załatwił dowód, bo nie mogę dłużej siedzieć na twoim garnuszku. Uwierzy. Wie, że ci się

nie przelewa, i uzna, że przyjmę jego propozycję, bo nie mamy z czego żyć. Natychmiast jak odbiorę dokumenty, znikam. Ale do tego czasu muszę jeszcze coś załatwić – dodał.

Bała się spytać. Sięgnęła po ścierkę wiszącą na gwoździu wbitym obok miednicy z wodą i zaczęła wycierać talerze.

Kilka dni później plan Bruna był już dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Kobieta, która odebrała mu tyle lat życia, musiała za to zapłacić.

Nazwisko Gertrudy Wajs przed wojną pisało się zupełnie inaczej, o czym świadczyły przede wszystkim kartoteki policyjne notujące wyczyny jej syna, noszącego pseudonim „Flink”.

Do czasu jego aresztowania i śmierci Frau Weiss żyła dość wygodnie i dostatnio dzięki przychodom z rodzinnej aktywności przestępczej. „Flink” poza tym, że był utalentowanym złodziejem, przewodził bandzie, która dokonywała kradzieży, napadów i włamań, oddając swojemu hersztowi część zysków. I wszyscy, poza ofiarami, żyli błogo i szczęśliwie. Wszystko runęło, gdy na drodze „Flinka” stanął przeklęty Bruno Janoschek.

Najpierw upokorzył jej syna, gruchocząc mu kolano i doprowadzając do publicznego aresztowania na oczach połowy dzielnicy. Potem – gdy ich losy skrzyżowały się ponownie – pozbawił go życia.

Tego dnia Gertruda Weiss zrozumiała, że nie zazna spokoju, dopóki młodszy z braci Janoschek będzie stąpał po tej ziemi.

Wraz z nią zemstę zaprzysięgło dwóch najbliższych kumpli „Flinka”, którzy obiecali jej głowę Bruna. Ale ten nagle zniknął. Daremnie próbowali wytropić go przed wojną i usiłowali dopaść, gdy jakiś czas później pojawił się na dzielnicy. Obaj wstąpili do SA, co znacznie ułatwiało sprawę, ale zabójca jej syna znów się wywinął. Uratowało go powołanie do wojska. I to nie byle gdzie.

Któregoś dnia przynieśli jej niemieckie czasopismo z wielkim zdjęciem na okładce. Środek kadru zajmował olbrzym z zawadiackim uśmiechem, w połowym mundurze, furażerze i z lornetką na szyi. Tuż obok niego stał

niższy o głowę mężczyzna w kapeluszu i ciemnym płaszczu z postawionym kołnierzem. Benito Mussolini. Przywódca Włoch. Gertruda Weiss знаła go doskonale z gazet i kronik filmowych wyświetlanych przed seansem w kinie.

Popatrzyła pytająco.

– Fotografia z uwolnienia Mussoliniego – wyjaśnił kumpel syna. – Pani się przyjrzy.

Posłuchała, ale niczego nie dostrzegła, a wtedy tamten wskazał palcem twarz jednego z żołnierzy otaczających postacie w środku kadru. Nie było wątpliwości. W odbiciu Mussoliniego brał udział młodszy z braci Janoschek. Był komandosem SS. Bohaterem. Człowiekiem nietykalnym.

Dawni towarzysze syna bezradnie rozłożyli ręce, ale dalej jej pomagali. W ramach złodziejskiej kasy zapomogowo-pożyczkowej, która funkcjonowała na Zaodrze, od czasu do czasu dostawała parę marek, coś do jedzenia i rzeczy po Żydach, które mogła sprzedać, bo towarzysze z SA nadal uprawiali swój bandycki proceder. Mundury i opaski ze swastyką tylko w tym pomagały.

Wiosną ostatniego roku wojny przepadli jak kamienie w Odrze.

Albo uciekli z Niemcami, albo utłukli ich Ruscy, którzy po dwóch miesiącach postoju w Opolu po drugiej stronie rzeki ruszyli na Berlin, depcząc po drodze Odervorstadt. Tamtych z SA nikt więcej nie widział.

Po wojnie Gertruda zastanawiała się nad wyjazdem do Niemiec, ale ludzie z marginesu są największymi lokalnymi patriotami. Oni naprawdę kochają swoje dzielnice. Znają każdy kamień, strych, piwnice, skróty przez podwórka ułatwiające ucieczkę, miejsca, gdzie można coś ukraść, i miejsca, gdzie lepiej tego nie robić. Wojna niczego w tym nie zmienia.

Weiss została Wajs, podpisując polską *volkslistę* i przyjmując pod dach, z powodu nadmetrażu, chłopaka po młodszym bracie „Flinka”, który poległ pod Stalingradem.

Wnuk dobrze się zapowiadał.

Z babcią dorobili się na szabrze, po czym ona otworzyła na Zaodrze magiel, a on kontynuował wielopokoleniowe tradycje. Gdyby rodzina

miała nad drzwiami szyld, trzeba by na nim napisać „Weissowie. Kradzieże i rozboje”. W każdym razie młody rozwijał się we właściwym kierunku i babcia każdego dnia dokładała do wieczornego pacierza osobistą modlitwę, aby dobry Bóg to jemu pozwolił wbić nóż w serce młodszego z braci Janoschek.

Nic zatem dziwnego, że na widok Brunna wchodzącego do piwnicy z maglem Gertruda Wajs skamieniała.

Rozejrzał się, upewnił, że jest sama, i zamknął na klucz drzwi od wewnątrz, wcześniej przekręcając na nich wywieszkę tak, że teraz oznajmiała: „Zamknięte”

– Wynoś się stąd! – podniosła głos. – Ale już! Bo zawołam milicję!

– Poważnie? – uniósł brwi. – To zawołaj. Ucieszą się. Cała dzielnica wie, że trzymasz na zapleczu kradzione fanty i żyjesz z paserstwa, a magiel to przykrywka. Tylko gliny nie wiedzą. To jak? Wzywamy ich?

Zamilkła.

– Mój wnuk cię zabije – powiedziała po chwili przez zaciśnięte zęby.

– Tak, tak – Bruno machnął dłonią. – Już nawet próbował, ale jak widzisz, nie bardzo mu wyszło. Nie chwalił się? Nie dziwię się. A ty mu się pochwaliłaś, że jesteś konfidentką milicji?

– Co ty pierdolisz?

– Co? A to, że napisałaś na mnie donos, po którym poszedłem do pierdła.

– Skąd to wiesz? – zbladła.

– Mam swoje chody.

– A może to ty jesteś konfidentem i dlatego wiesz takie rzeczy?

– Przekonajmy się – zaproponował. – Ja rozpowiem, że ty mnie wsypałaś, a ty, że jestem kapusiem. Jak ci się zdaje? Komu uwierzy dzielnica? Paserce, która wydymała tu połowę ludzi, czy gościowi, który właśnie garował okrągłą siódmkę?

– Zabiłeś mi syna.

– W chwili, gdy mordował mojego brata.

Dyszała ciężko z gniewu i gorąca produkowanego przez maszynę do prasowania.

- Czego chcesz? – spytała.
- Pieniędzy.
- Nie mam.
- To poszukaj. I lepiej znajdź.

Gertruda Wajs taksowała go wzrokiem, wreszcie otworzyła szufladę pod ladą pełną firanek, obrusów i poszewek na kołdry.

- Proszę, weź sobie – wykonała zapraszający gest.
 - Nie mogę – stwierdził Bruno. – Gdybym sam je wziął, to byłby napad.
- Wyjęła kilka banknotów i podała mu z oburzeniem w oczach.
Nawet ich nie przeliczył.

– Skąd mogę wiedzieć, że nie wrócisz po więcej? – spytała. Nie bała się milicji, partii, skarbowki ani całej tej komunistycznej władzy. Bała się Zaodrza. Opinia konfidenta od zawsze oznaczała tu wyrok.

- Nie wrócę. Dziś wyjeżdżam.
- Nie wiem, gdzie jedziesz – powiedziała powoli. – Ale obyś tam zdechł.

ROZDZIAŁ 13.

Dolny Śląsk,
lato 1962 – jesień 1964 roku

Szczupła dziewczynka z warkoczykami jak mysie ogonki zakryła oczy dłońmi i pisnęła przerażona. Pan Paco właśnie rzucił nożem w jej tatę.

Tato stał przyklepiony plecami do drewnianej ściany domu na przedmieściach Wałbrzycha i niby się uśmiechał, ale był blady jak kreda. Nie wiadomo, czy bardziej bał się śmierci, czy mamy, która stała obok. Była wściekła i wygrażała mu pięściami. Mimo jej protestów tato podjął wyzwanie rzucone przez pana Paco i ustawił się pod ścianą. Rozłożył ręce jak Pan Jezus na krzyżu, a wtedy pan Paco z daleka wbił pod jego prawym ramieniem trzy noże i pod lewym trzy, tak że tato mógł śmiało położyć na nich ręce jak na podpórkach.

Tłum, który obserwował całe widowisko, wył, gwizdał i bił brawo, a kiedy ostatni, szósty nóż utkwiał w desce najbliższej serca taty, pan Paco spytał, czy tata przyjmuje kolejne wyzwanie. Tym razem noże miały się wbić po obydwu stronach jego głowy.

Mama krzyknęła ostrzegawczo, ale tato się zgodził. Młoda pani ubrana w bardzo obcisły trykot, która towarzyszyła panu Paco, zabębniła na werblu.

Tato chyba bardzo się starał, żeby mieć szeroko otwarte oczy, ale mu nie wyszło. Zacisnął powieki. Jego córka też zamknęła oczy. Najpierw usłyszała jeden świst, potem drugi, a w końcu śmiech tłumu. Otworzyła oczy. Tato wciąż zaciskał powieki, za to na jego spodniach, w kroku, pojawiła się ciemna plama.

– Złał się ze strachu! – krzyknął ktoś z tłumu. Chwilę później tata chwycił za rączkę dziewczynkę z mysimi warkoczykami i pociągnął ją w stronę domu.

Kilku innych młodych mężczyzn natychmiast rzuciło się, by zająć miejsce taty i ratować honor Wałbrzycha, co pana Paco wyraźnie ucieszyło. Dłuższe przedstawienie to więcej pieniędzy.

Jego asystentka przekreśliła werbel na drugą stronę, po czym obesła tłum jak ksiądz z tacą w kościele. Datki okazały się hojne, czemu trudno się było dziwić. Paco, sztukmistrz szybki jak błyskawica, był już dobrze znany w dolnośląskich miastach i miasteczkach, do których rozrywka docierała rzadko i opieszale. Trasa ostatniego tournée wiodła od Bolkowa przez Kamienną Górę i Wałbrzych – hen na południe, po Złoty Stok i Kłodzko, a stamtąd do Dusznik-Zdroju, gdzie lada dzień miały zawisnąć plakaty zapowiadające jego mrozące krew w żyłach widowisko. Spodziewano się wielu kuracjuszy.

Mimo obietnicy złożonej matce Bruno nie wrócił ubiegłej zimy do Opolą. Trochę z obaw przed majorem Pietrzakiem, a trochę z powodu Elzy – dziewczyny, którą poznał podczas występu w Lwówku Śląskim. Miała dwadzieścia kilka lat, cygańską urodę i temperament. Dojrzały mężczyzna rzucający nożami zawładnął jej sercem od pierwszego wejrzenia.

Rodziców nie znała, dzięki czemu poszła do szkoły i była jedną z nielicznych przedstawicielek swojego narodu, która umiała czytać i pisać. Po opuszczeniu sierocińca dostała pracę w zakładzie dziewiarskim i pokoik w czynszowej kamienicy, ale wyła w niej tęsknota za niezwykłością. Za stepem, tętentem koni, kręceniem się w tańcu aż do upadłego i życiem szybszym niż to, które wiedli sąsiedzi poruszający się między fabryką, domem, sklepem i kościołem jak lunatycy.

Na zimę zamieszkali razem.

Na wiosnę rzuciła pracę i nareszcie ruszyła na szlak. Kolorowy konny tabor zastąpił brudnozielony motocykl Bruna z przyczepą, w której wieźli rzeczy osobiste, akcesoria do występów i wydrukowane afisze, na których dopisywało się tylko miejsce i datę kolejnego spektaklu. Ale to nic. Ważne, że był wiatr we włosach. Zajmując tylne siodełko motocykla,

mocno obejmowała prężne ciało swojego mężczyzny, a on czuł na plecach jej duże piersi, obietnicę wieczoru.

– Zostaniesz dwa dni sama – powiedział rano, kończąc serię przysiadów i pompek, które wykonywał codziennie od dwudziestu kilku lat.

Szybkim ruchem odrzuciła pościel, jakby chciała, by zatrzymała go jej bezwstydną nagość.

– Dokąd jedziesz?

– Do Opola, odwiedzę matkę.

– Masz tam kogoś?

– Mówiłem, matkę.

– Jak mnie zdradzisz, rzucę na ciebie urok.

– Na siebie rzuć, jesteś młodsza kilkanaście lat. Tylko patrzeć, jak sobie znajdziesz chłopaka w swoim wieku.

Cisnęła w niego zapalniczką leżącą na nocnym stoliku. Uchylił się i popukał w czoło.

– Pokój jest opłacony do piątku – powiedział. – Będę pojutrze.

– Co mam tu robić? – krzyknęła, gdy był już w drzwiach.

– Rozbierz się i pilnuj ubrania. Dobra w tym jesteś.

Gwałtownie sięgnęła ręką na stół, ale nie było już na nim niczego, czym mogłaby rzucić.

Matka odsunęła pieniądze w jego stronę.

– Tobie przydadzą się bardziej – stwierdziła.

– Mama, ja naprawdę dobrze zarabiam. Weź, kup sobie coś ładnego.

Najlepiej z brylantami – puścił do niej oko.

– Żarty się ciebie trzymają. Masz tam jakąś babę.

Westchnął.

– Niestety, na wesele cię nie zaproszę. Nic poważnego.

– Nie mam najlepszych wspomnień z wesel moich synów – powiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Udał, że go to nie obeszło.

– Jak żyjesz, mama? – spytał. – Esbecy cię nachodzą?

– Byli parę razy w zeszłym roku. Raz nawet ten twój Pietrzak osobiście. Wypytywał, gdzie jesteś i co robisz.

– I co?

– Powiedziałałam, że wyjechałeś i masz jakąś pracę, i co trochę jesteś w innym mieście. Pokazałam mu te pocztówki od ciebie na dowód. Że też cię nawet do Gdańska zaniósł?

– Wcale tam nie byłem – uśmiechnął się. – Ciągłe kręcę się tu w pobliżu, ale kupiłem trochę widokówek w księgarni i jak ktoś znajomy gdzieś jedzie, to wypisuję pozdrowienia dla ciebie, przyklejam znaczek i proszę, żeby wrzucił do skrzynki. To zmyli Pietrzaka.

– Na pewno cię nie złapią? – spojrzała zmartwiona.

– Mama, nikt mnie nie szuka. Nie ma podstaw. Zagrałem na nosie jednemu esbekowi, to się chce odegrać. Ale nie ma się o co martwić. Przejdzie mu.

– Zostaniesz na noc?

– Lepiej nie. Wpadnę znów za jakiś czas. Tymczasem lecę. Chcę jeszcze dziś dotrzeć do Łądką, załatwić sobie występy. Pocztówkę wyślę – uśmiechnął się.

Droga przez Nysę uciekała spod kół motocykla podobnie jak szaraki przeskakujące przez szosę. Nafciarz na stacji benzynowej w Otmuchowie, który przygotowywał mu mieszankę do baku, wspomniał, że w lasach pełno zajęcy i jak się jedzie po ciemku, łatwo upolować jakiegoś na pasztet. Długie światła, krótkie i znów długie – instruował, a same stają na drodze jak ogłupiałe. Tylko niech pan za mocno nie przywali, mięsa szkoda.

Dojechał po dziesiątej. Z gołymi rękami. Żadnych zajęcy po drodze nie spotkał.

W pierwszym z brzegu pensjonacie zjadł talerz zupy pomidorowej z ryżem i wyciągnął się na łóżku.

Tajemnica Karima prześladowała go od lat.

Setki razy myślał o niej w więzieniu, zachodząc w głowę, co mógł kryć bunkier, o którym wiedział tylko Egipcjanin.

I on, Bruno Janoszek.

Od siedmiu lat obiecywał sobie, że wróci w to miejsce. Na kontakt z Karimem i realizację jego planu nie było już szans, ale pozostawała ciekawość. Nieznośna jak swędzenie, którego nie można podrapać. Dziś nadarzała się idealna sposobność, by ją zaspokoić. Z Opola do Łądka nie było daleko, z Łądka do Dusznik jeszcze bliżej. Niecałe pięćdziesiąt kilometrów przez Bystrycę Kłodzką. A wcześniej przez Stronie, z niewielkim odbiciem w zakazane góry z okolic Kletna.

Rano zjadł w pensjonacie jajecnicę na słońnie, zapłacił za pokój i wyszedł na miasto w poszukiwaniu miejsca dobrego na występ. Bez trudu odnalazł dom, w którym wynajmował pokój podczas pierwszej wizyty w Łądku. Usiłował przypomnieć sobie twarz Zośki, turystki z Wrocławia, ale zamazała się w pamięci.

Kupił kulkę lodów śmietankowych wciśniętą między dwa kwadraty wafla i usiadł na ławce niedaleko parku zdrojowego. Uważając, żeby nie poplamzić ubrania, jadł powoli i obserwował otyłego jegomościa w elastycznej koszulce polo, który najwyraźniej był ważną figurą miejscowego przemysłu rozrywkowego.

Prowadził stragan z koszmarnymi pamiątkami, obok którego stała niewielka strzelnica sportowa. Na tle blaszanej ściany pocętkowanej trądzikiem śrutu kwitła kolekcja sztucznych kwiatów na patykach. Trofeum dostawało się po trafieniu w patyk nie grubszy niż te od lizaków. Co było małe realne. Celowniki dwóch wiatrówek, które były atrakcją strzelnicy, zostały tak rozkalibrowane, że nie poradziłby sobie z nimi najlepszy snajper batalionu Friedenthal.

Bruno skończył lody i podszedł do plenerowego centrum rozrywki. Pogłaskał olbrzymiego owczarka podhalańskiego zaprzęzonego do wózka, w którym dzieci mogły odbyć krótką przejażdżkę lub – taniej – zrobić sobie zdjęcie. Pies polizał mu palce, a właściciel wyszedł ze straganu z handlowym uśmiechem.

Pół godziny później uścisnęli sobie dłonie, pieczętując umowę na pokaz, jaki Bruno miał dać w Łądku pod koniec tygodnia. Właściciel straganu,

strzelnicy i fotogenicznego psa wziął na siebie organizację i propagandę występu w zamian za jedną trzecią zysków.

Uruchomił motocykl i wyjechał na szosę prowadzącą do Stronia.

Na parapetach domów w centrum miasteczka wygrzewało się kilka rudych kotów. Być może spokrewnionych. Ich sierść była spłowiała jak futrzany kołnierz starego palta, a oczy przymrużone. Mimo to miały pełną kontrolę nad otoczeniem. Odprowadzały sennym wzrokiem sylwetkę motocykla aż do chwili, gdy właściciel zaparkował pojazd przed gospodą i wszedł do wnętrza.

Mimo wczesnej pory było tłoczno, a stoliki wyglądały, jakby brały udział w zawodach, na których zmieści się najwięcej kufli. Za całą obsługę odpowiadał starszy mężczyzna tkwiący za barem i przyjmujący zamówienia. Miał chytre oczy i dziwną fryzurę. Jakby włosy z prawej strony czaszki miały zasłonić całą głowę. Tak właśnie je ułożono, stabilizując konstrukcję jakąś lśniąca substancją przyklejającą ją do skóry. W więzieniu w Strzelcach pracował strażnik z identyczną fryzurą. Skazańcy mówili, że się czesze spod pachy.

Bruno przepuścił gościa, który niósł naraz tyle piw, że śmiało można by jego przemarsz pokazywać w cyrku, i podszedł do kontuaru obitego blachą.

– Uprzejmie witam szanownego pana – ukłonił się barman.

– Czy można coś zjeść?

– Bigos.

– I co jeszcze?

– Bigos.

– Niech będzie.

Przylizany zanurkował w okienko łączące bar z kuchnią:

– Pani Lusi, bigos raz – zawołał, po czym odwrócił się do gościa:

– Szanowny pan uprzejmie zajmie miejsce. Zawołam.

Bruno kiwnął głową, ale nie odszedł.

– Chciałbym rozmawiać z kimś z kierownictwa – oświadczył.

Przylizany przez chwilę zgadywał w myślach, czy zły los przysłał mu sukinsyna z sanepidu czy z wydziału finansowego, ale zamaskował to nieszczerym uśmiechem.

– Uprzejmie pana słucham.

– Czy na waszym dziedzińcu można by było zorganizować za parę dni cyrkowy pokaz rzucania nożami? Za miejsce i reklamę oferuję godziwą część zysku.

– Pan Paco? – rozpromienił się przylizany. – Uprzejmie przepraszam, nie poznałem w pierwszym momencie. Widziałem pana w tamtym roku w Złotoryi. Taki gość, taki gość – powtarzał i nagle coś do niego dotarło.

Ponownie zanurkował w okienku kuchennym.

– Pani Lusi, pani da ozorki w chrzanowym. Mogą być? – spytał Bruna.

– Oczywiście. A co z bigosem?

– Uprzejmie nie polecam – uśmiechnął się przylizany. – Proszę łaskawie zająć stoliczek. Przyniesiemy. A potem pogawędzimy o występie.

Odprowadził Bruna do stolika, po drodze odpowiadając na pytania bywalców zaintrygowanych pojawieniem się obcego. Po chwili jeden z nich uniósł kufel:

– Zdrowie mistrza!

Bruno podziękował.

Toast zachęcił niewysokiego, zgarbionego mężczyznę w brudnym podkoszulku, który nagle odkleił się od ściany gospody i tanecznym krokiem zbliżył się do stolika przybysza. Był nieogolony, cuchnął potem i alkoholem.

– Postawi mistrz małe piwko? – spytał.

Jeden z tubylców siedzących obok wstał i chwycił go za kark, próbując odciągnąć od gościa:

– Spieprzaj, Sztymar. Daj panu zjeść w spokoju. Jazda stąd, ale już.

Bruno spojrział z wdzięcznością, ale nagle coś do niego dotarło: Sztymar. Kopalnia. I przestach kierowcy ciężarówki, który podrzucił go do Stronia siedem lat temu, a potem uciekł, gdy tylko Bruno zapytał, co tu wydobywano.

Dlatego powstrzymał swojego obrońcę ruchem dłoni.

– Niech siądzie. Postawię mu to piwo.

– Ale to śmierdziel – ostrzegł tamten.

– To nic.

Mężczyzna z sąsiedniego stolika wzruszył ramionami i wrócił na swoje krzesło.

Sztygar usiadł obok Bruna, usiłując opanować dygot rąk. Telepało nim, dopóki barman nie przyniósł piwa. Pochwycił kufel oburącz i wypił do dna, nie odrywając ust. Wytarł je wierzchem dłoni i spojrzał na Bruna jak na zbawcę.

– Dlaczego mówią na pana Sztygar?

– Jo jes Zygfyrd – tamten wyciągnął prawą dłoń. – Robił żech tu na grubie.

– To tu była kopalnia? – Bruno udał zdziwienie.

– Ja, była – potwierdził Sztygar i wykrzywił twarz, aby się lepiej przyjrzeć gościowi spowitemu alkoholową mgłą. – Ale co cię to...

– Może jeszcze piwko? – spytał Bruno, będąc pewnym odpowiedzi.

– Uran – szepnął Sztygar w połowie drugiego kufła. – Uran my kopali. Ale potym gruba zawarli i nie kozali nikomu godać.

Bruno położył palec na ustach i zabrał się do przyniesionego właśnie ozorka.

Gdy skończył, odniósł talerz do baru i omówił z właścicielem warunki występu. Tamten był rozradowany, nie chciał zapłaty za obiad i obliczał, ile zarobi na wyszynku podczas widowiska Bruna. Na koniec pochylił się do niego i szepnął:

– Niech mistrz nie słucha tego Zygfyda. On nie ma piątej klepki, uprzejmie zawiadamiam. Został się jako ostatni ze Ślązaków, którzy przyjechali tu na ochotnika do dawnej kopalni.

– Reszta wyjechała?

– Yhmm – mruknął przylizany i wymownie wzniósł oczy. – Do nieba. Ale o tym nie rozmawiamy tu w Stroniu. Uprzejmie odradzam. A ten

Zygfryd... – Spojrzał nad ramieniem Bruna w głąb sali restauracyjnej, ale Sztygara już nie było.

Uran – myślał Bruno, nie popędzając motocykla, żeby łatwiej mu było zebrać myśli. To jest skarb ukryty przez Niemców w Kletnie, który pragnął odzyskać Karim Ali Hassan. Nie złoto, nie diamenty czy bezcenne dzieła sztuki, ale uran. „Ciężkie, ale zmieści się na niewielkiej ciężarówce” – przypomniał sobie słowa Egipcjanina. Czyli uran już przerobiony. Być może gotowy do produkcji bomby, jaka spadła na Hiroszimę. A być może wielu bomb.

Nagły powiew wiatru, który uderzył w niego na sudeckiej drodze, miał w sobie coś niepokojącego, jak lodowaty oddech śmierci. Za przemyt kosztowności czy obrazów słynnych malarzy groziła odsiadka – uznał, przypominając sobie korytarze strzeleckiego więzienia. Ale za takie coś szło się do piachu. Ludzie, którzy interesowali się uranem, nie stawiali przed sądem tych, którzy wchodzili im w drogę. Załatwiali to szybko i po cichu. Ciekawe – zastanowił się Bruno, czy gdyby wtedy udało mi się odnaleźć bunkier i przerzucić uran do Austrii, dostałbym obiecane trzydzieści tysięcy dolarów czy kulkę?

Przekręcił manetkę motocykla i dodał gazu. Był pewny, że oddalając się od Kletna i jego tajemnic o każdy metr, jest coraz bezpieczniejszy. Ani myślał wracać do zakazanego lasu i próbować odnaleźć kryjówkę oznaczoną na szkicu Egipcjanina. To łajdak – pomyślał o Karimie. Mamił mnie przyjaźnią i obietnicami, a tak naprawdę byłem jego pionkiem w grze o uran. Przez niego utknąłem w Polsce i trafiłem do więzienia. A mogło się skończyć jeszcze gorzej – doszedł do wniosku i uniósł głowę, aby pęd powietrza ostudził jego wściekłość.

Elza czekała w łóżku, jakby przez dwa dni w ogóle się z niego nie ruszała. Wyglądała na przestraszoną.

- Coś się stało? – spytał, gładząc ją po plecach.
- Wkrótce się stanie – odparła. – Coś bardzo złego.
- Skąd wiesz?

– Mam przecucie.

Próbował obrócić to w żart o cygańskich przesądach, ale odwróciła się do ściany i tego wieczoru nie powiedziała już ani słowa.

Elza zakryła kieliszek dłonią, na co Bruno uniósł brwi, udając zdziwienie, i nalał sobie wódki z butelki stojącej na stole.

Jedli kolację w restauracji w Zgorzelcu, tuż po występie. O ile ostatnie pokazy w Dusznikach i Łądku okazały się sukcesem, gromadząc tłumy wczasowiczów, wiwaty i zyski, o tyle dzisiejszy był totalną klapą.

Tuż przed pierwszym rzutem Bruno ujrzał wśród publiczności młodego mężczyznę łudzaco podobnego do Herberta, niemal sobowótora. Przeszedł go dreszcz, który ustąpił dopiero wtedy, gdy uświadomił sobie, że Herbert wyglądał tak dwadzieścia lat temu. Dziś byłby facetem po czterdziestce.

Uspokoił emocje, ale ich chwilowy skok wystarczył, aby stracić kontrolę nad rzutem. Nóż odbił się od tarczy, co wywołało śmiech i gwizdy, po których nie potrafił się już skoncentrować. Nikt z widzów nie uwierzył w pewność jego ręki na tyle, aby zgłosić się na ochotnika i wypróbować własną odwagę. A na dodatek po dziesięciu minutach zaczął lać deszcz i publiczność czmychnęła, zostawiając Bruna z Elzą i porażką.

Dawno nie był tak wściekły.

Najpierw wdał się w awanturę, twierdząc, że kotlet jest nieświeży, i o mało nie cisnął talerzem w kelnera, potem już tylko pił. W milczeniu. Elza nie widziała go wcześniej w takim stanie, ale intuicja podpowiadała jej, że jeśli mężczyzna jest rozdrażniony, to nie należy wchodzić mu w drogę.

– Pewnie twoi – rzucił opryskliwie, coraz częściej kierując złe spojrzenia w stronę stolika pod oknem. Okupowało go kilku śniadych, czarnowłosych wesołków. Bawili się coraz lepiej i coraz głośniej.

– Nie moi – ucięła.

Kilroy was here

– A kto? Przecież nie Meksykanie – Bruno zaśmiał się szyderczo z własnego dowcipu.

– Grecy, głupku – jej również udzieliła się irytacja. – W Zgorzelcu mieszka ich parę tysięcy. Nie widziałeś, ilu przyszło na występ?

Ale Bruno już nie słyszał pytania.

Grecy – huczało mu w głowie od pierwszego słowa. To oni gwizdali i drwili z niego podczas pokazu – uznał i nagle wskrzesił starego demona. Wojna. Herbert. Wyspa Rodos. Podstępna grecka pułapka, która zabiła mu brata. Leży tam teraz rozszarpany przez minę w zbiorowej mogile. Niepochowany ani z honorami, ani we własnym grobie, ani nawet w jednym kawałku. I dotąd niepomszczony.

Powoli wstał od stołu.

Elza na widok jego przemiany poblądła i chwyciła go za rękaw koszuli, ale się wyrwał. Podszedł do stołu Greków i spytał przez zaciśnięte zęby:

– Co was tak śmieszy?

Zamilkli. Uśmiechy zastygły im na twarzach, które nagle stężały. Powinien był dostrzec, że ma przed sobą twardych, doświadczonych mężczyzn, którzy niejedno w życiu przeszli. Ale zaślepiła go nienawiść.

– Odejdź stąd – powiedział jeden z nich. – Zanim stanie ci się krzywda.

Bruno doskoczył do niego w sekundę i uderzył łokciem w twarz. Grek runął na podłogę wraz z krzesłem, a pozostali zerwali się z miejsc. Przegrupowali się w tej samej sekundzie. Żaden nie krzyknął ani nie okazał gniewu. Byli milczący i skupieni.

Janoszek zaatakował stojącego naprzeciwko, ale Grek, mniej więcej w jego wieku, uchylił się i uderzył go pięścią w wątrobę. Mocno i precyzyjnie. Bruno na chwilę stracił oddech i zgiął się z bólu, co tamci powinni byli wykorzystać. Wystarczył nokautujący cios w głowę, a potem buty.

Doskonale zdawali sobie z tego sprawę, a jednak nie ruszyli się z miejsc. Walczyli honorowo. Jeden na jednego.

Bruno wyprostował się z trudem i dysząc ciężko, rzucił się na przeciwnika. Usiłował chwycić go ramionami i przydusić. Grek przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę i odskoczył w bok, nie pozwalając się

złapać. A potem odbił się z obu stóp, co zwielokrotniło siłę uderzenia, i trzasnął go prosto w twarz.

Pięść trafiła w usta pod kątem, ześlizgnęła się po szczęce i tylko dzięki temu Janoszek nie stracił zębów. Otarł rękawem krew z rozbitych warg, a jego wściekłość sięgnęła zenitu. Szarpnął kieszeń naszytą na wojskowych spodniach i wyciągnął nóż.

Przez gromadę Greków przeszedł szmer.

Tym bardziej że przeciwnik Bruna rozejrzał się po swoich współplemieńcach, a wtedy jeden z nich podał mu składany, długi i wąski majcher z drewnianą rękojeścią. Starcie zaczynało się robić interesujące.

Płaski kawałek stali idealny do rzucania niespecjalnie nadaje się do kontaktowej walki wręcz. Zwłaszcza w dłoni kogoś, kto najlepiej panuje nad nożem w chwili, gdy wypuszcza go z ręki, a nie trzyma.

Janoszek wykonał kilka zamasztych cięć, które pokroiły powietrze. Ale Grek był doświadczony w podobnych pojedynkach. Tańczył, przerzucał nóż z ręki do ręki, zgrabnie unikając ostrza przeciwnika, które w pewnej chwili jednak dosięgnęło jego łokcia.

Poczuł zapach własnej krwi i to go rozjuszyło.

Przy kolejnym sierpie zanurkował pod ramieniem Bruna i uderzył, celując w serce. Najlepsze miejsce, by definitywnie zakończyć walkę.

Ostrze zgrzytnęło o kość żebrową i Janoszek mocno się zachwiał. W ostatnim przebłysku świadomości cofnął się o kilka kroków i rzucił w tamtego trzymanym w dłoni nożem.

Grecy zawyli.

Przez moment wpatrywali się w kawałek stali tkwiący w brzuchu przyjaciela, a potem ruszyli wszyscy. Honor wycofał się przed ślepą żądzą mordy.

Zbili się w gromadę, aby powalić i rozdeptać wroga. Ale w tym momencie na ich plecach wylądowała Elza. Gryzła i orała twarze paznokciami, a kiedy jeden z Greków uderzył ją w policzek, pochwyciła z najbliższego stolika butelkę i roztrzaskała mu ją na głowie.

Nie chcieli walczyć z kobietą. Zabrali rannych i wyszli.

Bruno leżał na wznak na podłodze.

– Jest tu telefon?! – Elza krzyczała do przerażonych kelnerów. – Dzwońcie po pogotowie!

– Żadnego pogotowia. – Bruno chwycił ją za rękę. – Tylko nie do szpitala – szepnął i osunął się w ciemność.

Pierwszym obrazem, jaki zarejestrował, gdy odzyskał przytomność, była ciemna grecka twarz.

Szarpnął się, ale pochylony nad nim mężczyzna przytrzymał go za ramiona.

– Leż, gadzio – powiedział spokojnie. – Bo się wykrwawisz do reszty.

Krucze włosy, czarne wąsy i bródka tego samego koloru nadawały jego rysom coś diabolicznego, a jednocześnie sprawiało, że Bruno miał pewność, że już kiedyś widział tego człowieka. Tylko gdzie? – próbował przedrzeć się przez zasłonę mroku.

Nagle go olśniło.

Alvaro! Jego mistrz z cyrku Buscha przeżył i jakimś cudem się nim zaopiekował. Znowu byli w cyrkowym wozie. Słyszał rzenie koni, dźwięki skrzypiec i gwar rozmów trupy szykującej się do występu. Chcąc to wszystko potwierdzić, rozejrzał się w poszukiwaniu twarzy Alvara, która zniknęła mu z pola widzenia. Ale napotkał wzrok stojącej obok Elzy. Była smutna i zapłakana.

Wyciągnął do niej rękę.

– Nic mi nie będzie – powiedział uspokajająco, ale to nie podziałało. – Gdzie ja jestem?

– W taborze pod Zgorzelcem – wyjaśniła. – Za nic w świecie nie chciałeś jechać do szpitala. Dlaczego? – w swoim stylu przygwoździła go pytaniem.

Potrzebował trochę czasu, żeby zebrać i posklejać myśli.

– Byłem w więzieniu – powiedział. – Gdybyś mnie zawiozła do szpitala... Z raną kłutą... Lekarze na izbie przyjęć w takiej sytuacji mają obowiązek wezwać milicję. W tej chwili byłbym w szpitalu więziennym.

Potem byłaby sprawa i wyrok za bójkę na noże. A że dopiero wyszedłem, sędzia dałby mi z pięć lat.

Popatrzyła na niego z uznaniem.

– Kto mnie pozszywał? – Bruno zerknął na węzełki nici trzymające w kupie ranę na piersi.

Elza odwróciła się i z za jej pleców wyłoniła się twarz z bródką.

– Don Alvaro – szepnął Bruno.

– Co ty pleciesz, gadzio? Jaki Don Alvaro? – spytał jego opiekun i spojrzał na Elzę: – Gorzej z nim. Traci rozum.

– Nie – zaprotestował Bruno. – Wszystko rozumiem. Po prostu podobieństwo...

– To jest Ferko – wyjaśniła Elza, przedstawiając Cygana. – Szere Rom, przywódca grupy.

Bruno próbował podnieść rękę, aby podziękować, ale nic z tego nie wyszło.

– Leż spokojnie – powiedział Ferko. – Minie trochę czasu, zanim nabierzesz sił.

Janoszek ponownie zerknął na fachowe szwy.

– Ty mnie połatałeś? – spytał.

– Leczę konie – stwierdził Cygan. – Wszyscy w okolicy to wiedzą. Elza też wiedziała. Dlatego cię przywiozła. Kto to jest Alvaro? – zmienił temat wyraźnie zaintrygowany.

– Cygan z Moraw. Mój przyjaciel i mistrz. Nauczył mnie sztuki rzucania nożami.

– Nie – pokręcił głową Ferko. – On ci dał kawałek swojej cygańskiej duszy. Bez tego żaden gadzio nie zrozumie się z nożem.

– Kto to gadzio?

– Nie-Cygan.

Janoszek nie odpowiedział. Przed oczami przeleciały mu kadry wspomnień, z których wyrwało go pytanie Ferka:

– Co teraz jest z twoim Alvarem?

– Jeszcze przed wojną aresztowało go Gestapo i poszedł do obozu koncentracyjnego. Nie wiem, gdzie teraz jest.

– Pewnie w powietrzu – uznał Ferko. – Dla Cyganów to była jedyna droga wyjścia z łagru: przez komin. Mnie przekłęci esesmani wymordowali całą rodzinę.

Bruno pobladł i pomyślał o tatuażu z grupą krwi, który nosił jak większość żołnierzy SS na lewym ramieniu w pobliżu pachy. Na szczęście alfabetem łacińskim, nie gotykiem, którym tatuowano wcześniej, zanim trafił do batalionu Skorzenego. Ferko albo tego nie zauważył, albo nie wiedział, że był to jeden ze sposobów, dzięki któremu rozpoznawano byłych esesmanów.

Chrząknął, bo niemal natychmiast zaschło mu w gardle.

– Chcesz pić? – spytała Elza, a kiedy przytaknął, wzięła emaliowane wiaderko i wyszła z wozu.

– Co ona taka smutna? – spytał Bruno.

Szero Rom ściągnął brwi.

– Masz kawałek cygańskiej duszy, gadzio – powiedział. – Ale nie możesz mieć naszej kobiety. Przeznaczylismy dla niej jednego z młodych w taborze. Dlatego jak wydobrzejesz – odejdiesz, a ona zostanie. Wiedziała doskonale, że tak się to skończy, jeśli do nas przyjdzie. A jednak przyszła, żeby cię ratować. Rozumiesz?

Bruno pokiwał głową.

– Przysięgnij na swój nóż, że jej nie porwiesz – dodał Ferko. – Inaczej młodzieniec wybrany dla Elzy przez starszyznę będzie musiał pójść za wami i cię zabić. Dla Cygana zemsta rzecz święta.

Bruno postawił kołnierz marynarki i energicznie zabrał się do demontażu swoich akcesoriów.

Śpieszył się.

Jesień w tym roku pojawiła się brutalnie. Bez cienia szacunku dla kalendarza zabrała część lata, na dodatek przyniosła temperaturę, która zwyczajowo kojarzyła się z zimą.

Ze stojaka przypominającego sztalugę zdjął okrągłą drewnianą tarczę z zamontowanymi z tyłu zawiasami. Złożył ją na pół i zaniósł do przyczepy motocykla, po czym wrócił po stojak. Odkręcał motylkową śrubę, która trzymała całą konstrukcję, gdy zauważył za plecami jakiś cień. Przedwcześnie zachodzące słońce na coś się przydało.

Nie przerwał rozkładania stojaka, a kiedy się odwrócił, ujrzał szczupłego mężczyznę w długim popielatym płaszczu, kapeluszu i kraciastym szaliku. Tajniak jak nic.

Stał kilka metrów od Bruna. Prawą rękę trzymał w kieszeni, a lewą – odzianą w czarną skórzaną rękawiczkę – powoli unosił papierosa do ust.

– Dobry pan jest, panie Janoszek – powiedział z uznaniem.

– Pan mnie zna? – zdziwił się Bruno. Przecież podczas występów konsekwentnie używał tylko pseudonimu artystycznego.

– Ależ naturalnie – tamten przybrał ton nieco sztucznej uprzejmości.

– Można wiedzieć skąd? Bo jakoś sobie nie przypominam. – Bruno pochylił się po części stojaka.

– Taki mam zawód.

– Pan z milicji czy Służby Bezpieczeństwa?

Mężczyzna lekko się zmieszał.

– Nie panie, Janoszek. Wręcz przeciwnie. Widziałem pana parę razy przed wojną w cyrku Buscha. Zarzycki jestem. – Podszedł bliżej, wyciągnął rękę z kieszeni i wytwornie się ukłonił.

Bruno przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

– Tam występowało dwustu ludzi – powiedział Bruno. – Dziw bierze, że akurat mnie pan zapamiętał.

Zarzycki się uśmiechnął.

– Pozwoli pan zaprosić się na kieliszek koniaczku? – zaproponował. – Ziąb dziś jak w listopadzie.

Bruno uznał, że to dobry pomysł. Zapakował do przyczepy elementy stojaka, czemu Zarzycki przyglądał się z boku. Mógłbyś pomóc, skoroś taki serdeczny – pomyślał Bruno – ale pewnie nie chcesz zniszczyć tych

szykownych rękawiczek. Nakrył przyczepę plandeką, zasznurował i wskazał dłonią szyld pobliskiego baru.

Koniaku nie było. Skwaszona kobieta za kontuarem zaproponowała jarzębiak, na co, chcąc nie chcąc, przystali.

– Za cyrk – Zarzycki uniósł kieliszek.

– Pomyślności – odpowiedział Bruno i wypił. Alkohol wypełnił go przyjemnym ciepłem. – Pan, rozumiem, amator cyrku?

– Jesteśmy, że tak powiem, kolegami po fachu. Przed wojną miałem angaż u braci Staniewskich.

Janoszek uniósł brwi.

– Jaki numer pan robiłeś?

– Rzucałem nożami – odparł Zarzycki.

Bruno zrobił minę jak rozbitek na bezludnej wyspie, który po latach spotyka drugiego takiego jak on.

– Winszuję! I funduję drugą kolejkę – powiedział. – Nadal pracuje pan w cyrku?

– Pracuję – potwierdził Zarzycki.

– Wobec tego muszę przyjechać i zobaczyć pana występ.

– Już nie występuję.

– Nie? – Bruno zrobił wielkie oczy. – Przecież jesteśmy w podobnym wieku.

Zarzycki uniósł prawą dłoń w czarnej rękawiczce i postukał nią w blat baru. Była drewniana.

– Powstanie warszawskie – wyjaśnił.

Bruno nie odpowiedział.

– Jestem dyrektorem cyrku obwoźnego – przerwał ciszę Zarzycki. – Założyłem go po wojnie z paroma kolegami, ale nas upaństwowili. Zostaliśmy pracownikami Zjednoczonego Przedsiębiorstwa Rozrywkowego, ale mam swobodę doboru ludzi i repertuaru. W to się nie wtrącają. Byle na arenie nie wyśmiewać się z ustroju ludowej ojczyzny – zaśmiał się, co bardziej przypomniało krótki atak kaszlu. – Dlatego, panie Janoszek, chciałbym pana zaangażować.

– Mnie?

– A pana, pana. Nie widziałem większego talentu. No może poza Don Alvarem. Ale w końcu to on pana wyuczył. Niech mi pan wierzy, znam się na tym. Dam dobrą gażę i nie będzie pan musiał tłuc się tym motorem po pipidówkach. Specjalnie po to przyjechałem na Dolny Śląsk. Dzięki panu podwoimy zyski.

Bruno poskrobał się w podbródek.

– To ładna piosenka, panie Zarzycki, ale ja nie mogę wstąpić do pana chóru.

– Będzie pan gwiazdą wieczoru, a o gwiazdy dbamy szczególnie. Własny wóz cyrkowy, darmowe urlopy nad morzem albo w górach, premie...

– Nie w tym rzecz – pokręcił głową Janoszek. – Mam brudne papiery. Siedziałem w kryminale.

– Polityka? – zerknął na niego Zarzycki.

– Tak, ale nie taka, jak pan myśli. Siedziałem za to, że byłem w niemieckim wojsku.

Dyrektor cyrku przyjrzał mu się badawczo.

– Wcielili pana czy... dobrowolnie?

– Wcielili.

Zarzycki machnął ręką.

– Połowa mojego zespołu to ludzie z wyrokami. Cyrk to najlepsze miejsce dla tych, którzy nie lubią pytań o przeszłość.

Bruno przypomniał sobie, że już kiedyś to słyszał.

– Prawda – potwierdził. – Ale nie wie pan wszystkiego. Służyłem w SS.

Dyrektor zatrzymał lewą dłoń, którą wysłał do kieszeni w poszukiwaniu papierosów.

– Coś tu się nie zgadza – powiedział. – Do SS szło się na ochotnika. Nie pod przymusem.

– Ma pan rację – potwierdził Bruno. – Wcielili mnie do Wehrmachtu, ale rzucanie nożem spodobało się oficerowi jednostki specjalnej SS, który zadbał, aby mnie do niej przeniesiono.

Zapadło milczenie. Zarzycki bił się z myślami.

– Mówiłem, że nic z tego nie będzie – Janoszek klepnął się w udo i wstał z barowego stołka. – Ale skorośmy koledzy po fachu, to nie chciałem pana okłamywać. Wolałem powiedzieć prawdę, choć wiedziałem, że będzie pan miał z nią problem.

Dopił resztę wódki i chciał odejść, ale dyrektor cyrku kiwnął na barmankę.

– Jeszcze raz to samo.

Bruno zauważył zmianę w jego twarzy. W Zarzyckim nie było już uprzejmości człowieka, któremu zależy na ubiciu dobrego interesu. Patrzył zimno i twardo.

– Widzi pan, panie Janoszek, w powstaniu byłem w oddziale snajperów, choć mieliśmy zwykłe karabiny, bez lunet. Polowaliśmy przede wszystkim na esesmanów. To były bardzo trudne strzały, bo nie celowaliśmy w korpus, ale wyłącznie w głowę. Żeby zabić takiego jednym nabojem. Ma pan z tym problem?

ROZDZIAŁ 14.

**Starachowice – Sandomierz – Warszawa,
wiosna 1975 – jesień 1976 roku**

Mirosława Antosik, bardziej znana jako Kobieta-Guma, zgrabnie zeskoczyła ze stopni wagonu, zanim ten zdążył się zatrzymać, i sięgnęła po walizkę podaną przez uczynnego żołnierza.

Była po czterdziestce, ale jej nienaganna figura i uroda, rezultat ćwiczeń, diet i obkładania twarzy plasterkami świeżego ogórka, zapewniały Mirce niesłabnące zainteresowanie mężczyzn. Żołnierz, dwa razy od niej młodszy, czerstwy syn świętokrzyskiej wsi, adorował ją od Skarżyska. Przechwalał się urlopem otrzymanym za znakomite wyniki strzelania, odwagą, dzięki której wygrywał krwawe bójki na zabawach w remizie, oraz liczbą mórg, jakie odziedziczył po ojcach. Na Kobiecie-Gumie nie robiło to najmniejszego wrażenia, choć przez cztery stacje patrzyła na niego z podziwem i stroiła zachwycone miny.

Zawsze chciała być aktorką.

Płeć uratowała ją przed przejęciem rodzinnego biznesu, bo urodziła się jako jedyna córka szewca z Mińska Mazowieckiego, a kto to widział, żeby baba naprawiała buty. Nawet nazwy na taką nie było, bo szewcowa to przecież żona, a nie mistrz obuwniczy w spódnicy.

Ku rozpaczliwej rodzinie Mirka trzy razy zdawała do szkoły teatralnej, trwoniąc na lekcje dykcji, śpiewu i tańca oszczędności z przybijania fleków. Kiedy nie dostała się po raz czwarty, wstąpiła do szkoły cyrkowej w Julinku, lekko naginając rzeczywistość i informując bliskich, że uczy się na artystkę.

Talent do sztuki cyrkowej miała umiarkowany, za to szybko odkryła w sobie potrzebę działania na rzecz innych. Jeszcze w szkole wstąpiła do organizacji młodzieżowej, a zaraz potem do partii. Czerwona książeczka

dawała jej odtąd angaże do różnych trup cyrkowych występujących na najwspanialszych arenach Polski powiatowej. Odpowiadało jej to. Zarabiała nieźle, w małych miasteczkach uchodziła za gwiazdę i nie ryzykowała złamania kręgosłupa podczas jakiegoś trudnego numeru, jakie wykonywano w najlepszych cyrkach. Została całkiem niezłą wołtyżerką, pokazującą akrobacje na koniu. Rumak był dość sędziwy i unikał nawet stępa, ale za to dało się na nim ustać. Dawała też pokazy żonglerki, pod warunkiem że nie obejmowały zbyt wielu podrzucanych przedmiotów naraz.

A potem się zakochała.

Jej wybranek miał ciemną karnację, ascetycznie chude ciało i czarne włosy sięgające pasa. Nosił turban i strugał Hindusa, choć urodził się w Łomży. W cyrku był fakirem. Połykał ogień i stąpał po rozżarzonych węglach, co nie robiło na nim specjalnego wrażenia. Od rana palił jakieś zielsko, dzięki któremu był miły, nie czuł bólu i nieustannie się uśmiechał.

Z Mirką spędził wiele beztroskich chwil. Ulotnił się dopiero, gdy zaszła w ciążę. Nie zostawił jej nawet pieniędzy na skrobankę. Zostawił za to przedwojenną książkę o „zdrowiu fizycznym”, która nosiła dziwny tytuł *Hatha-Yoga* i nauczyła Mirkę oddychać tak, aby nie tylko zaakceptowała porzucenie przez kochanka, ale jeszcze się z tego cieszyła.

Podpatrując rysunki w książce, opanowała też wiele hinduskich wygibasów, które nieoczekiwanie otworzyły jej nowe drzwi do kariery. Nazywało się to karmą. Jak jedzenie.

Dzięki karmie Mirka Antosik przeszła cyrkową reinkarnację i narodziła się na nowo jako Kobieta-Guma.

Na jej pokazy waliły tłumy.

Kiedy zakładała nogi na kark i chodziła na rękach, przez widownię przechodził szmer grozy i podziwu. Kobiety patrzyły z zazdrością na jej gibkość, mężczyźni przełykali ślinę, mali chłopcy przygryzali wargi, a dziewczynki piszczwały i zakrywały oczy. Elastyczność Kobiety-Gumy przechodziła ludzkie pojęcie.

Poza areną triumfowała na zebraniach partyjnych. Potrafiła żarliwie mówić, agitowała równie sprawnie, jak wykonywała kwiat lotosu, a komitet zakładowy Zjednoczonego Przedsiębiorstwa Rozrywkowego wysyłał ją na najtrudniejsze odcinki frontu ideologicznego. Była etatową delegatką na zjazdy, ale też kimś w rodzaju uzdrowiciela. Jeśli w jakimś zespole cyrkowym szwankował socjalizm, wysyłano tam Kobietę-Gumę, a ona przywracała ład.

Kilka dni przed tym, zanim wsiadła do pociągu, zaprosił ją szef Przedsiębiorstwa i jak zwykle postawił sprawę jasno:

– Dostanie towarzysza nowego angaż.

– Gdzie? – spytała Mirka, przeglądając się w lusterku puderniczki.

– W cyrku Zarzyckiego.

– Co potrzeba?

– To nasz jedyny zespół bez podstawowej organizacji partyjnej. I pełno w nim szemranych typów. Zarzycki to były akowiec, paru innych po wyrokach. Chcę mieć pewność, że nic tam się nie lęgnie.

– Zrobi się. Gdzie oni teraz występują?

Szef zajrzał do skoroszytu.

– W Starachowicach.

Kobieta-Guma pokonała peron, ciasną halę dworca pamiętającą zabór rosyjski i kocie łby prowadzące na dość ruchliwą ulicę. „Marszałkowska” – przeczytała z rozbawieniem, bo krajobraz przyklejonych do siebie pożydowskich domków nijak nie przypominał centrum Warszawy.

Spytała o drogę do targowiska miejskiego, obok którego rozstawił się cyrk. Zagadnięty przechodzień nie wiedział, ale natychmiast pojawiło się kilkoro innych skorych do pomocy. Przekrzykiwali się, tłumacząc, jak dojść do placu, który na szczęście nie był daleko.

Dziesięć minut później, przekładając walizkę z ręki do ręki, weszła między wozy zgrupowane za namiotem, w którym odbywały się przedstawienia. Cyrkowy tabor wyglądał na wymarły, ale obok jednego z domów na kółkach Mirka dostrzegła półnagiego mężczyznę. Ustawił

na płytach chodnikowych trzy krzesła. Wyprężony jak struna na dwóch z nich opierał dłonie, na trzecim stopy i wykonywał serię pompek tak głębokich, że jego klatka piersiowa opuszczała się znacznie poniżej siedzeń. Mirka oceniła go na pięćdziesiąt lat. Ciało bez grama tłuszczu, perfekcyjnie wyrzeźbione mięśnie i gracia ruchów. Przystanęła na chwilę i patrzyła wzrokiem, który w powieściach dla pensjonarek określa się mianem maślanego.

Nie miała najmniejszych wątpliwości.

To był Mężczyzna-Guma. Druga połówka jabłka.

Udał, że jej nie widzi. Zgrabnie zeskoczył z krzesła i zaczął robić pompki na gołej ziemi, tym razem klaszcząc w dłonie przy każdej z nich.

– Kogo pani szuka? – spytał, nie patrząc w jej stronę. Nie był nawet zdyszany.

– Dyrektora Zarzyckiego.

– Niebieski wóz – poinformował.

– Dziękuję – odparła Mirka i dodała: – Będziemy razem pracować. Miało to zabrzmieć obiecująco, ale amator pompek nie zareagował tak, jak by tego oczekiwała. Jego klaśnięcie w dłonie, które nastąpiło sekundę później, było elementem ćwiczenia, nie dowodem entuzjazmu.

Po trzech dniach prób numer Mirki został doklejony do afisza.

Początkowo nie wstrząsnęło to starachowickim rynkiem rozrywkowym, ale dwa wieczory później bilety zaczęły się sprzedawać z wyraźną zwyżką. Miasta, w których wszyscy pracują w jednej fabryce, mają własne systemy obiegu informacji.

Bruno dyskretnie ukryty za kotarą obserwował, jak Kobieta--Guma wykonuje ewolucje, wywołując poruszenie widowni. Pokazała kilka figur niemożliwych do wykonania przez normalnego człowieka, po czym rozległy się werble i publiczność wstrzymała oddech przed numerem wieczoru.

Mirka, ubrana w jednoczęściowy kostium podobny do kąpielowego, weszła na okrągły stół ustawiony przez obsługę na środku areny. Uniosła wyprostowane ramiona wysoko nad głową i przechyliła się do tyłu tak

mocno, że oparła dłonie na blacie stołu, tworząc półkolisty mostek z brzuchem na szczycie. Następnie oderwała stopy od podłoża i stanęła na rękach, zachowując idealny pion.

Werble zawarczały.

A wtedy Kobieta-Guma znów się przegięła. Opuściła nad głową prawą nogę, oderwała od blatu lewą dłoń i chwyciła się za kostkę. Stojąc na jednej ręce, zbliżyła przytrzymywaną stopę do ust i pocałowała się w nią.

Cyrk oszalał.

Bruno właśnie szykował się do próby przed wieczornym przedstawieniem, gdy do namiotu wpadł klaun Zumbo.

– Słyszałeś? – spytał zaaferowany. – Dziś po przedstawieniu ta nowa robi przyjęcie.

– Kto? – Janoszek był zbyt skoncentrowany przed rzutem, żeby zastanawiać się nad cyrkową listą obecności.

– No ta – Zumbo odchylił się i dziwacznie wygiął ręce, bo klaunom znacznie łatwiej posługiwać się mową ciała.

– A... ta – skojarzył Bruno. – Co za przyjęcie?

– Wkupić się chce – stwierdził klaun. – Koło namiotu będzie ognisko, wódka i kiełbaski. Wszyscy są zaproszeni. Mamy sobie tylko wyciąć i zaostrzyć patyki. Najlepiej w kształcie widełek, bo wtedy kiełbasa nie zsunie się w ogień. Pożyczysz noża – popatrzył łakomie na kolekcję Janoszka leżącą na stoliku.

– Ja ci pożyczę! – Bruno wysunął w stronę Zumba zaciśniętą pięść, która im bardziej zbliżała się do twarzy, tym wydawała się większa.

– Tak tylko mi się powiedziało – wykręcił się klaun. – Przyjdiesz?

– Nie.

– Kiełbasa będzie – podkreślił Zumbo.

– Ciekawe skąd. W tym mieście w sklepach nie ma nawet słoniny.

– Ta nowa – szepnął klaun, podchodząc krok bliżej. – Mówią, że jest partyjna. Pewnie w komitecie załatwi. Przyjdiesz?

– Nie.

Zumbo popukał się w czoło i czmychnął, nie czekając na kolejną prezentację pięści.

Małe radio tranzystorowe niemiłosiernie zniekształcało piosenkę zespołu ABBA, jakby co najmniej nadawało audycję Wolnej Europy zakłócaną przez polskie służby.

Bruno podniósł się z pryczy w swoim wozie cyrkowym, popukał palcem w odbiornik, wysunął antenę, jak najdalej się dało, i zaczął manewrować tranzystorem jak wykrywaczem metali, szukając lepszego zasięgu fal. Bez rezultatu.

Odstawił radio na blat rozkładanego stołu, ze skrzynki na narzędzia wyciągnął kawałek miedzianego drutu, przymocował go do anteny i wystawił przez uchylone okno. Dopiero wówczas ABBA zabrzmiała jak należy.

Zadowolony wyciągnął się na pryczy, gdy usłyszał pukanie.

– Otwarte! – krzyknął niezadowolony z kolejnych zakłóceń.

Drzwi wozu uchyliły się na tyle, że zmieściła się w nich głowa Kobiety-Gumy.

– Dobry wieczór – powiedziała.

Bruno usiadł.

– Dobry wieczór.

– Urządzam dziś ognisko dla trupy cyrkowej – zawiadomiła głowa. – Liczyłam, że pan przyjdzie.

Janoszek podrapał się w policzek.

– Nie jestem przygotowany – to pierwsze, co mu przyszło do głowy.

– Nie trzeba być przygotowanym.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Obrażę się, jeśli pan nie przyjmie zaproszenia.

Gdy dziesięć minut później pojawił się przy ognisku witany żarcikami o borsuku, który wylazł z nory, Mirka zrobiła mu miejsce obok siebie. Biesiadnicy zajmowali ławki dla widowni wyniesione z namiotu

cyrkowego, dlatego manewr wymagał ścieśnienia się kilkunastu osób. Bruno usiadł, czując niemal już zapomniany dotyk kobiecego uda.

Godzinę później Mirka przylgnęła do niego znacznie śmieiej.

– Chłodno się robi – wyjaśniła. – Tobie nie zimno?

Zaprzeczył uśmiechem. Kobieta-Guma była już ze wszystkimi po bruderszafcie. Rzeczywiście wyczarowała skądś parę kilo kiełbasy i kilka butelek wódki. Impreza się rozkręcała. Dwóch cyrkowych akompaniatorów grało na gitarach, a chóralny śpiew niósł się po ławkach otaczających targowisko. Co chwilę przerywały go toasty na cześć fundatorki.

Kobieta-Guma była szczęśliwa.

Jakiś czas później, gdy patyki po pieczeniu kiełbas spłonęły już na stosie, a struny gitar i te głosowe zaczęły okazywać zmęczenie, Mirka wstała i postukała widelcem w butelkę po wódce.

Towarzystwo na chwilę umilkło.

– Kochani – powiedziała. – Dziękuję, że przyszliście cieszyć się ze mną tym, że dołączyłam do załogi cyrku Zarzyckiego. Jestem wdzięczna za tak serdeczne przyjęcie i przekonana, że nawiążę tu wiele przyjaźni. Jeśli macie ochotę jeszcze posiedzieć, to mam niespodziankę – oznajmiła i wyjęła z torby pod ławką dwie półlitrowki żytniej.

Uniosła je do góry w obydwu rękach. Odpowiedziały jej brawa i gwizdy.

– Bawcie się dobrze – dodała z uśmiechem, ale my już was pożegnamy.

Ujęła Bruna za rękę i pociągnęła za sobą.

– Uuuuuuu... – zareagowali cyrkowcy. – Stary borsuk znalazł wreszcie tresera.

– Idziemy do ciebie – zdecydowała Mirka, gdy odeszli na odległość szeptu.

Nie protestował. Ani teraz, ani dziesięć minut później, gdy po namiętym pocałunku w wozie ściągnęła z niego koszulę i zaczęła rozpinać spodnie.

A potem, podobnie jak przy ognisku, wzięła sprawy w swoje ręce.

Przeprowadzka Mirosławy Antosik do wozu Bruna Janoszka nastąpiła szybciej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Już w Sandomierzu, podczas następnego przystanku na trasie cyrku, dyrektor Zarzycki znalazł się w pilnej potrzebie zakwaterowania jakiegoś nowego artysty, a skoro akrobatka z mistrzem rzucania nożami i tak śpią w jednym wozie...

Mirka natychmiast okazała dobre serce i zadeklarowała oddanie swojego domu potrzebującemu. Bruno nie oponował, choć przez chwilę miał minę ofiary komisji kwaterunkowej zajmującej się tak zwanym zagęszczaniem, czyli racjonalną gospodarką powierzchnią mieszkalną w kontekście zasobów ludzkich.

Wozy cyrkowe nie są z gumy, ale na szczęście Mirka nie miała zbyt wielu rzeczy. Miała za to ambicje aranżacji wnętrza.

Ubrana w szorty i koszulkę na ramiączkach, w której codziennie ćwiczyła jogę, zaczęła od mycia szafek kuchennych, a potem odsunęła kotarę i przeniosła się do części sypialnej.

– Co to jest? – spytała, oglądając przedmiot znaleziony na półce pod sufitem, do której dobrała się, stojąc na palcach.

– Talizman – odparł Bruno wyciągnięty na pryczy, która awansowała do stopnia małżeńskiego łoża, choć nie poszerzyło to jej ani o centymetr.

– Jaki talizman? – Mirka, zafascynowana wierzeniami hinduskimi, była bardzo czuła na takie rzeczy.

– Egipski.

– Skąd masz?

– Dostałem w Kairze.

– Byłeś w Egipcie? – jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. – Boże – jęknęła. Co ja bym dała, żeby tam pojechać. – Opowiedz – w sekundę wylądowała przy nim na łożku. – Jak się tam znalazłeś?

Wzruszył ramionami.

– Pracowałem jako instruktor w armii egipskiej.

Zrobiła minę dziecka wyczekującego na przeczytanie bajki. Lubiła go słuchać, a on po raz pierwszy od czasów Herberta poczuł, że znalazł

pokrewną duszę. Otwierał się. Opowiadał o Zaodrze, śmierci brata, batalionie Friedenthal.

– Mówiłem ci, że po służbie u Skorzenego chętnie zatrudniano nas w charakterze konsultantów wojskowych – przypomniawszy. – W wielu państwach.

– Ale w Egipcie? – zdumiała się. – Przecież to kraj żyjący w przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Więc skąd tam byli... – zawiesiła głos.

– Esesmani, chciałaś powiedzieć?

Zrobiła przeproszącą minę.

– Zanim zaczął się romans Kairu z Moskwą, przyjmowano tam Niemców z honorami. Potem się to zmieniło.

– Musiałeś uciekać?

– Nie – uśmiechnął się. – Wyjechałem z własnej woli, aby zobaczyć się z matką.

Mirka obracała w palcach glinianą tabliczkę.

– Co to za talizman?

– Jest na nim Sechmet, egipska bogini zemsty. Jedna z najważniejszych.

– Kto ci to dał?

– Jakiś starzec na bazarze. Prawie niewidomy. Obejrzał moją dłoń i uznał, że powinienem mieć ten amulet.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może był magiem. A może to czysty przypadek.

– Szukasz zemsty?

Bruno nie odpowiedział.

– Szukasz – Mirka zrobiła to za niego. – Nie powinieneś tego robić.

– Bo co?

Podniosła się na łokciu, patrząc mu prosto w twarz.

– Bo nienawiść można zwalczyć tylko miłością. To jedna z siedmiu najważniejszych nauk Buddy.

Zrobił sceptyczną minę.

– Ciekawe, jak by twój Budda zachował się na froncie, stojąc naprzeciw wroga opętanego żądzą krwi i mordy.

– Pokonałby go łagodnością.

– Wiesz co? – zirytował się Bruno. – Lepiej skończmy tę rozmowę.

Pogładziła go po policzku.

– Umysł jest wszystkim. Stajemy się tym, co myślimy. Nie chcę, abyś stał się zemstą.

Bruno usiadł na łóżku i wyjął wizerunek Sechmet z jej dłoni.

Objęła go, przytulając się do pleców.

– Na kim chcesz się zemścić?

– Na ludziach, którzy zabili mi brata.

– Miałeś brata?

– Miałem.

– Co mu się stało?

– Musisz zadawać tyle pytań? – irytacja Bruna przybierała na sile. – Zamordowali go. W Grecji. Kiedyś tam pojedę. Znajdę ich. I może pokonam łagodnością – zaśmiał się kpiąco, wstał i wyszedł z wozu.

Dyrektor Zarzycki wyszedł z centrali Przedsiębiorstwa Rozrywkowego i lewą ręką sięgnął po paczkę papierosów. Odwrócił ją do góry dnem i sprawnym ruchem uderzył o kant drugiej, drewnianej dłoni, tak że jeden z carmenów wysunął się samoczynnie. Chwytał go ustami i zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. W tym samym momencie ujrzał przed sobą płomień zapałki.

Podziękował koledze ze słynnego warszawskiego cyrku, który zatrzymał się obok, aby też zapalić.

– Gratuluję – powiedział kolega Zarzyckiego. – Dostałeś aż trzy miejsca. Kogo wyślesz?

Mówił o festiwalu sztuki cyrkowej państw socjalistycznych, który w tym roku miał się odbyć w Sofii. Za kilka miesięcy. Z reguły Polska, podobnie jak inne kraje, wysyłała na to wydarzenie największe gwiazdy areny, dlatego dzisiejsza decyzja szefa, że do Bułgarii pojedzie też trójka artystów podrzędnego cyrku, wywołała sporo komentarzy.

– Też jestem zaskoczony – wyznał Zarzycki.

– Ja nie – westchnął kolega. – Ta Antosik w rok zbudowała ci strukturę polityczną. Macie jedną z najmocniejszych podstawowych organizacji partyjnych w branży. Pokazy dla wychowanków domów dziecka, akcje społeczne, no, no. Powinszować. Nie na darmo ma pseudonim Kobieta-Guma. Elastyczna jest. Wie, jak cię ustawić w zjednoczeniu, żebyś dostawał dotacje i prezenty takie jak dziś.

– To autentyczna społeczniczka – zapewnił Zarzycki, ale tamten nawet nie udawał, że uwierzył.

– Więc kogo wyślesz?

– Jeszcze się nie zastanowiłem. Mirce należy się ten wyjazd za to, co zrobiła dla cyrku – głośno myślał. – Mam też fajnego nowego klauna. No i Bruna. Zgodzisz się, że trudno o lepszego?

Tamten przytaknął.

– Od lat ci go zazdrozczę.

– I próbowałeś podkupić.

Warszawiak uśmiechnął się chytrze.

– Muszę już lecieć – stwierdził. – Trzymaj się, stary.

Po powrocie do cyrku Zarzycki poprosił sekretarkę, aby posłała kogoś po Janoszkę.

Bruno zjawił się pół godziny później. Jak zwykle o nic nie pytał.

– Mam nowinę – powiedział dyrektor. – Dostaliśmy trzy miejsca na wyjazd na festiwal do Sofii. Chciałbym, abyś pojechał.

– Nie dostanę paszportu.

– Dostaniesz. Do Bułgarii można wprawdzie wyjechać na dowód osobisty, ale zjednoczenie wyrobi nam paszporty służbowe.

Janoszek niespokojnie poruszył się na krześle.

– Nie kombinuj – dyrektor pogroził mu palcem. – Do RFN z takim nie uciekniesz.

– Nie zamierzam uciekać.

– Pamiętaj, że ci ufam – Zarzycki popatrzył mu w oczy.

Bruno pokiwał głową.

– Ty też o tym pamiętaj – powiedział.

Mirka otworzyła okno wozu i wytrzepała ścierkę, którą zbierała kurz. Wzniecony przez nią siwy obłoczek natychmiast rozwiął wiatr.

Wróciła do porządków, korzystając z okazji, że Bruno wybrał się na spacer nad Wisłę. Ostatnio ciągle znikał. Cieszył się z wyjazdu do Bułgarii jak dziecko, ale jednocześnie zrobił się jeszcze bardziej małomówny i zamknięty. Próbowwała wyciągnąć z niego przyczynę tej zadumy, ale nie było szans. Jeśli Janoszek nie chciał o czymś mówić, nie pomogłyby nawet tortury.

Kichnęła od kurzu i nagle ją to zirytowało.

Wycierała półki i szafki wozu w każdą sobotę, ale szarego pyłu ciągle przybywało. Skąd? Okna wychodziły na teren porośnięty trawą, na butach też nie przynosili brudu, bo Mirka nalegała na zostawianie ich przed drzwiami, więc?

Rozejrzała się po wnętrzu wozu z uwagą detektywa dokonującego oględzin miejsca zbrodni i odkryła przyczynę. Łóżko. Koc nietrzepany od świąt. I to nie wiadomo od których.

Ściągnęła go delikatnie i wyniosła przed wóz.

Odczekała kilka minut, aż pojawi się ktoś, kto mógłby jej pomóc, ale cyrkowy tabor wyglądał na wymarły. Zwinęła koc w ciasny kłębek i zapukała do drzwi klauna Zumbo.

Bez charakterystyki wyglądał tak, że żaden z widzów nie poznałby go na ulicy, choć ciągle miał głęboko melancholijną minę.

Stanęli naprzeciwko siebie, mocno trzymając w dłoniach rogi koca, składając je, a potem rozkładając energicznym ruchem, z jednoczesnym wyrzuceniem środka tkaniny w górę. Chmura kurzu przysłoniła świat.

– Myślałem, że co noc porządnie trzepiecie ten koc – zachichotał Zumbo, ale Mirka nie zareagowała.

Powtarzali czynność aż do zmęczenia.

– Mogę ci pożyczyć trzepaczkę, jeśli masz jakiś dywanik – zaoferował klaun.

– Dywanika nie mam, ale może materac? – zastanowiła się. – Skoro w kocu nagromadziło się tyle kurzu, to w nim pewnie też.

– Dasz radę sama czy pomóc ci go wynieść?

– Poradzę sobie, dziękuję, Zumbo. Dobry z ciebie kumpel.

Klaun się ucieszył i zniknął w swoim wozie. Po chwili wyszedł z niego z wielką wiklinową trzepaczką.

Mirka ściągnęła pościel i uniosła materac, aby łatwiej było zdjąć go z łóżka. Nie był lekki i szczerze pożałowała, że nie przyjęła pomocy Zumba. Ale wstyd jej było do niego wracać.

Szarpnęła mocno. Materac ustąpił i w tej samej chwili na podłogę wozu wypadł szkolny zeszyt w niebieskich okładkach. Musiał być pod nim ukryty.

Przykucnęła i zajrzała do środka.

Między kartkami pokrytymi równym pismem Bruna znalazła fotografię młodego mężczyzny w niemieckim mundurze. Był tak przystojny, że przez dłuższą chwilę nie mogła oderwać od niego oczu. Wreszcie odwróciła odbitkę i przeczytała na odwrocie: Herbert Janoschek 1943.

Brat Bruna. Ten zamordowany w Grecji, o którym nie chciał mówić.

Usiadła na krześle, szukając rozwiązania zagadki w zeszycie. Pierwsze kartki zapisane były po polsku i dotyczyły geografii Grecji. Ale resztę notatek Bruno prowadził już po niemiecku. Zrozumiała jedynie nazwę jakiejś formacji militarnej 999 *Afrika-Division* oraz *Griechenland*. Czyli znów Grecja. To słowo powtarzało się najczęściej. Zrezygnowana uświadomiła sobie, że nie dowie się niczego więcej. Jednak na ostatniej kartce notesu dostrzegła coś dziwnego. Wcześniejsze zapiski sporządzone były ołówkiem, ale tę stronę wypełniały adnotacje w trzech kolorach. Napisane długopisem, w którym za pomocą specjalnych suwaków można było zmieniać wkłady: niebieski, zielony i czerwony.

Bruno kupił ten długopis pod koniec ubiegłego tygodnia, a zatem notatki były świeże.

Na czerwono zadawał pytania. Rozpoznała jedynie, że interesowali go *Menchen* i *Partisan*. Ludzie, którzy byli w ruchu oporu? O co mogło

chodzić? Jeszcze większą zagadką były notatki zielone, złożone z odległości podanych w kilometrach. I niebieskie. Jakieś komentarze wyglądające na listę przedmiotów. Znała wśród nich tylko jedno słowo: *Messer*. Nóż.

Wszystko to wydało się jej mocno podejrzane.

Zamierzała poczekać na powrót Bruna, przyznać się, że zajrzała do notesu, który przypadkiem odkryła podczas porządków, i zapytać, co to wszystko znaczy. Ale zmieniła zdanie w obawie przed jego gniewem.

Uniosła materac, aby z powrotem przesunąć go na miejsce, i wtedy zauważyła, że było pod nim coś jeszcze.

Mapa samochodowa Bułgarii.

Rozłożyła ją. Tu również Bruno użył swojego trójkolorowego długopisu. Oznaczył kilka dróg łączących Sofię z miejscowością Petricz, odległą od stolicy Bułgarii o jakieś dwieście kilometrów.

Mirka nigdy nie słyszała tej nazwy, ale kiedy bliżej przyjrzała się mapie, kawałki układanki w jej głowie zaczęły wskakiwać na właściwe miejsca.

Szef Przedsiębiorstwa Rozrywkowego chodził wzdłuż gabinetu, nerwowo paląc papierosa i nie zważając na popiół spadający na dywan.

– I co teraz? – spytał dyrektora Zarzyckiego siedzącego na krześle dla interesantów, a raczej tworzącego wraz z meblem kamienną rzeźbę. Miał szarą twarz cmentarnego posągu i mniej więcej tyle samo do powiedzenia.

– To pewne? – bąknął wreszcie.

– Towarzyszka Antosik twierdzi, że ten wasz Janoszek chciał podczas wyjazdu do Sofii uciec za granicę.

– Ale jak? Z Bułgarii?

– Nie wiem jak. Wiem, że chciał. Cofam jego wniosek o paszport służbowy. A wy się dobrze zastanówcie, dyrektorze, czy chcecie mieć w zespole taki element.

– To mi się w głowie nie mieści – stwierdził Zarzycki. – Antosik i Janoszek od dawna są parą. I to udaną. Wszyscy w moim... w naszym cyrku – poprawił się, im zazdroszą, że nie są już pierwszej młodości,

a jednak... A może się pokłócili? – ożywił się. – Może to jakiś prywatny rewanż Mirki, bo Bruno ją czymś rozzłościł.

– Towarzyszka Antosik to poważna i odpowiedzialna osoba – upomniał go szef. – Na poważnym stanowisku partyjnym. Nie posuwałaby się do takich zagrań.

Zarzycki w milczeniu pokiwał głową.

– Porozmawiam z Janoszką – obiecał. – Może...

– Nigdzie nie pojedzie – szef zdecydowanym ruchem zgasił niedopałek w kryształowej popielniczce. – Nie chcę nadawać tej sprawie rozgłosu, ale decyzję podjąłem. Znajdźcie kogoś na jego miejsce.

Dwie godziny później Zarzycki wpadł do wozu Janoszka wściekły jak osa.

Bruno stał przy rozkładanym stoliku kuchennym, krojąc warzywa na sałatkę.

– A więc tak można ci ufać? – krzyknął dyrektor.

– O co ci chodzi?

– O to, że chciałeś wykorzystać służbowy paszport, aby uciec z kraju.

– Kto ci to powiedział? – Bruno zaczerwienił się jak pomidor, który właśnie szedł pod nóż.

– Szef zjednoczenia.

– A jemu kto?

Zarzycki na moment się zapowietrzył.

– Nie wiem – skłamał. – Zapytaj go.

Janoszek odłożył nóż i oparł obydwie dłonie na blacie. Milczał.

– Od początku czułem, że coś tu śmierdzi – stwierdził Zarzycki z wyrzutem. – Ale zapewniałeś mnie, że wszystko jest w porządku, że niczego nie kombinujesz z tym wyjazdem. Kłamałeś w żywe oczy. Po dwudziestu latach przyjaźni.

– Nie kłamałem.

– Jeszcze masz czelność zaprzeczać?! – złość dyrektora znów przybrała na sile.

– Wypytywałeś mnie, czy chcę uciec do Niemiec. Zaprzeczyłem. Zgodnie z prawdą.

– To gdzie zamierzałeś uciec?

– Uciec? Nigdzie. Chciałem na parę dni wyjechać do Grecji.

– „Na parę dni wyjechać do Grecji” – powtórzył z kpiną Zarzycki. – Czy ty siebie słyszysz? Kto by cię tam wpuścił ze służbowym polskim paszportem bez wizy?

– Przeszedłbym przez zieloną granicę. Jestem przeszkolony, wiem, jak to się robi.

Dyrektor zakrył oczy dłońmi, a kiedy je opuścił, na jego twarzy gniew mieszał się z szyderstwem.

– Ale po co? Zjeść parę pomarańczy? Zwiedzić Akropol? Po co, do jasnej cholery?

– Grecy zamordowali mojego brata. Chciałem załatwić tę sprawę i wrócić.

Zarzycki przyjrzał mu się uważniej.

– Kiedy to się stało?

– Podczas wojny.

– Zginął na froncie?

– W pułapce.

– Oszalałeś? Chcesz śledztwa po trzydziestu latach? Przypominasz sobie, żeby podczas wojny funkcjonowały wydziały do spraw zabójstw? Ktoś zdejmował odciski palców i zbierał dowody? Miejsca zbrodni były wszędzie. Zabijaliśmy ludzi hurtowo. Ty i ja też.

– Za każdym, kto przeżył wojnę – powiedział Bruno – ciągną się niezamknięte sprawy z tamtych czasów. Nie masz takich?

Zarzycki nie odpowiedział.

– No widzisz – Janoszek uznał to za potwierdzenie. – Tym bardziej powinienesz zrozumieć.

– Co? Zemstę? Trochę spóźniona, nie uważasz?

– Dlatego trzeba się spieszyć. Póki jeszcze żyją ci, którym trzeba odpłacić. Oko za oko. Śmierć za śmierć.

– Kompletnie ci odbiło – stwierdził dyrektor i cofnął się o krok w stronę drzwi. – Idziesz na urlop. Dwa tygodnie. Wyjedź jeszcze dziś. I... – uniósł palec wskazujący. – To jest ostatni taki numer. Szef zjednoczenia sugerował, żebym cię wyrzucił od razu. Nie zrobię tego, ale jeśli jeszcze raz choćby pomyślisz o...

– Skąd on wiedział? – przerwał mu Bruno. – Nie kłam, że nie wiesz.

Zarzycki ściągnął usta.

– Może mówisz przez sen – stwierdził.

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby Mirka zorientowała się, że Bruno już wie.

Siedział na ławce przed ich wozem, w jednej dłoni trzymał nóż, a w drugiej patyk i strugał go z dziwną determinacją. Wióry spadały mu na buty, obok których stała spakowana walizka.

– Spotkałam Zarzyckiego – zaczęła ostrożnie. – Powiedział, że wysłał cię na urlop. Wyjeżdżasz?

Bruno nie odpowiedział.

– Nie powiesz nawet, gdzie się wybierasz?

– Jak to gdzie? – oderwał wzrok od patyka. – Do Bułgarii.

Zaczerwieniła się.

– Bruno – powiedziała zduszonym głosem. – Zrobiłam to dla ciebie. Dla nas. Nie chciałam cię stracić. Kocham cię, zrozum to, proszę.

Uśmiechnął się sarkastycznie.

– Drugi raz w życiu zaufałem kobiecie i drugi raz dowiaduję się, że zostałem zdradzony z... miłości. Jak wy to robicie, bo słowo daję, nie pojmuję.

– Nie zdradziłam cię.

– Nie, oczywiście, że nie – stwierdził, modulując głos, żeby zabrzmiało to maksymalnie fałszywie. – A co zrobiłaś?

– Być może uratowałam ci życie. Co myślałeś? Że wyskoczysz na chwilę do Grecji, zabijesz paru ludzi, którzy mogli mieć coś wspólnego ze śmiercią twojego brata, i wrócisz do Sofii jak gdyby nigdy nic?

– Bredzisz!

– Nie rób ze mnie głupiej. Kiedy przypadkiem znalazłam twój zeszyt i mapę...

– Przypadkiem – podkreślił z tym samym sarkazmem co poprzednio.

– Tak! Przypadkiem! Wypadły na podłogę podczas sprzątanía, wyobraź sobie. Zobaczyłam, że zaznaczyłeś na mapie miejscowość Petricz, tuż przy granicy z Grecją, i domyśliłam się, jaki masz plan. Reszty dowiedziałam się z zeszytu. O Herbercie, jego śmierci i tak dalej.

– Czytasz po niemiecku?

– Przepisałam kilka notatek. Koleżanka mi przetłumaczyła.

Bruno wstał.

– Winszuję sukcesu. Nie pojedę do Sofii, a szef zjednoczenia kazał Zarzyckiemu mnie zwolnić.

– Mnie obiecał, że wstrzyma twój wyjazd, ale włos ci z głowy nie spadnie.

Janoszek uniósł brwi ze zdumienia.

– I uwierzyłaś? To komunista taki sam jak ty. A komuniści to kłamcy i ludzie dwulicowi. Chcesz się przekonać? Spójrz w lustro.

– Bruno... Rozumiem, że jesteś zły, ale proszę, przemyśl to wszystko – powiedziała. – Dobrze nam razem i nadal może tak być.

– Wracam za dwa tygodnie – schylił się po walizkę. – Jeśli nadal tu będziesz, złożę Zarzyckiemu wypowiedzenie. Nie chcę cię więcej widzieć – powiedział.

Mirka była bliska płaczu.

– Zaczekaj – poprosiła drżącym głosem.

Przystanął.

– Nie rozumiesz, że z moją przeszłością nikt nigdy nie pozwoli mi wyjechać z tego kraju?! A już na pewno nie po tym, co zrobiłaś. Nie mam już na co czekać.

CZEŚĆ TRZECIA

Idź i kończ podejrzone dzieło

(Wergiliusz, *Eneida*, ks. VI, w. 629)

ROZDZIAŁ 15.

Lądek-Zdrój – Wrocław,
lato – jesień 1990 roku

Nadkomisarz Jan Tosidowski, komendant komisariatu policji w Lądku-Zdroju, przyłożył lornetkę do oczu i dokładnie zlustrował wąską, górską szosę.

Prowadziła z Czechosłowacji, odległej raptem o kilka kilometrów. Była dobrze widoczna ze wzgórza, na którym Tosidowski od godziny leżał plackiem, zamaskowany gałęziami niczym zwiadowca oddziału komandosów. Do dyspozycji miał prywatną lornetkę z pękniętym szkłem, kupioną parę lat temu od radzieckiego żołnierza we Wrocławiu, termos z kawą oraz pistolet P-64, model milicyjny. Cholernie nieporęczny, zwłaszcza w wielkiej dłoni byłego boksera, za to dający odrzut o sile kopnięcia wkurzonego osła.

Pod swoimi rozkazami miał trzech ludzi wyspecjalizowanych w chwytaniu sprawców kradzieży ręczników z sanatoriów.

Przeciwno sobie nieznaną liczbę zawodowych bandytów należących do gangu złodziei samochodów. Byli uzbrojeni w broń automatyczną i pozbawieni jakichkolwiek skrupułów, nawet jeśli chodzi o strzelanie do glin. Starcie zapowiadało się emocjonująco jak bitwa pod Termopilami – tym bardziej że komendant zaplanował zatrzymanie kradzionych pojazdów w wąskim przesmyku między dwoma wzniesieniami pokrytymi lasem.

Cynk o przerzucie aut dostał dwie godziny temu od znajomego z Urzędu Ochrony Państwa. Zdobył tę informację „drogą operacyjną”

– Zbóje zmienili szlak przerzutu samochodów, które juchają w Monachium i Norymberdze – powiedział znajomy, używając slangu. – Dotychczas szło to przez Zgorzelec, ale Niemcy z Bundesgrenzschutz

dogadali się z naszymi pogranicznikami i wzmocnili kontrolę. Dlatego złodzieje ciągną teraz fury przez Czechosłowację. Wiemy o transporcie, który pójdzie dziś koło południa z Hradca Kralowe wprost na Łądek. Powodzenia, komendancie – dodał i odłożył słuchawkę.

Tosidowski natychmiast zadzwonił do Kłodzka i Wrocławia, ale w czasie administracyjnego i emocjonalnego przekształcania milicji w policję na wsparcie mógł liczyć w trzecim kwartale przyszłego roku. Musiał działać sam.

– Na razie czysto – powiedział do mikrofonu przenośnego radia, otrzymując informację zwrotną w postaci szumów i trzasków dających nadzieję, że policjanci ukryci w zasadzce przynajmniej go usłyszeli.

Przeniósł ciężar ciała na lewy bok w obawie, że zaraz dostanie odleżyn, i wtedy w oddali ujrzał jakiś ruch. Natychmiast sięgnął po lornetkę, którą po chwili odrzucił, chwytając krótkofalówkę.

– Tu Pierwszy, tu Pierwszy. Jak mnie słyszycie? Odbiór.

– Słyszę cię, Pierwszy – odparł Drugi, a Trzeci po chwili potwierdził to samo.

– Jada – Tosidowski nie bawił się już w konspirację. – Trzy mercedesy, pięć beemek. I chyba jaguar. Wszystkie na białych blachach. Są na wysokości pękniętego dębu. Kilometr od was. Rozciągajcie kolczatkę.

– Zrozumiałem – zaskrzeczał Drugi. – Bez odbioru.

– Zaczekaj, Drugi! – komendant zdążył w ostatniej chwili. – Skręcają w prawo. Na polanę nad strumieniem. Zapowiada się postój. Tam ich capniemy. Zbiórka na szosie przed wjazdem w las. Dyskretnie. Upewnij się, czy nie wystawili czujek.

Dziesięć minut później byli na miejscu.

Tosidowski rozdał zadania, szybko i konkretnie jak trener przed ostatnimi minutami meczu. Wsiedli w służbowego poloneza i nie włączając sygnałów dźwiękowych, wjechali na polanę tak, aby zablokować z niej wyjazd.

– Stać! Policja! – krzyčeli, wypadając z radiowozu z bronią gotową do strzału, ale bandyci nie okazali najmniejszych oznak zdenerwowania.

Jedli bułki i kiełbasę z niemieckiego Aldika, opierając się o karoserie samochodów. Patrzyli na podnieconych policjantów z wyraźnym politowaniem.

– Który tu dowodzi? – spytał wielki facet bez karku, przeżuwając kęs bułki, a nie usłyszawszy odpowiedzi, dostrzegł gwiazdki na pagonach Tosidowskiego i powiedział:

– Szeryf, masz tu dwa koła papieru dla ciebie i dla chłopaków – powiedział, wyciągając w stronę komendanta plik wyjętych z kieszeni dolarów – i gubcie się stąd.

Ale policjant nawet nie spojrzał na pieniądze.

– Jesteś aresztowany – oznajmił Karkowi, na co ten ściągnął z nadgarstka zegarek.

– Masz, kurwa – syknął. – Robicie się coraz bardziej pazerni.

Tosidowski spojrzał przelotnie na rolexa i wzruszył ramionami:

– Czym ty chcesz mi zaimponować? – spytał kpiąco. – Ja wczoraj miałem mundurówkę – odparł tonem, jakby dodatek do pensji był główną wygraną w totolotka, a nie jałmużną, za którą może mógłby kupić jedną wskazówkę rolexa. I to tę mniejszą.

Sięgnął po kajdanki.

Bandyta wyciągnął ręce, ale nagle cofnął prawą i wymierzył potężny sierp w twarz policjanta. Tosidowski odchylił się w ostatnim momencie, kontruując jednocześnie lewym prostym. Jego ciało wciąż pamiętało lata spędzone na ringu wrocławskiej Gwardii.

Kark zrobił dwa kroki do tyłu, ale nie kontrolował już swoich nóg. Uderzył plecami w boczne drzwi jednego z mercedesów i osunął się, osiadając na tyłku. Jego półprzytomne oczy wyrażały bezbrzeżne zdumienie.

– Kujcie ich – rozkazał Tosidowski, a reszta bandytów posłusznie wyciągnęła ręce. Jeden próbował ucieczki w las, ale ostrzegawczy strzał w powietrze z broni komendanta zatrzymał go w miejscu. Akurat do tego P-64 nadawał się idealnie. Bezbłędnie trafiał w niebo i robił bardzo dużo bardzo sugestywnego huk.

– Powiniennem dać ci naganę – powiedział kilka godzin później przełożony z Kłodzka, który przyjechał do Łądka wraz z ekipą podziwiającą kradzione cacka motoryzacji.

– Za co? – spytał zaczepnie Tosidowski, choć doskonale znał odpowiedź.

– Za samowolkę.

– Dzwoniłem i do was, i do Wrocławia. Nie było szans na wsparcie. Gdybyśmy nie zadziałali, te auta byłyby jutro za wschodnią granicą. A tak macie złodziei w puszcze i pochwalicie się sukcesem przed kolegami z Niemiec.

– Prywatnie to ja to rozumiem, Jasiu – stwierdził przełożony. – Ale te nowe procedury są tak durne, że... Dobra – machnął ręką. Jakoś to zamotam. Pisz raport o konieczności użycia broni służbowej. Muszę go mieć na rano.

No jasne – pomyślał Tosidowski, gdy się pożegnali. W końcu jeden nabój z arsenału polskiej policji poszedł do nieba. Trzeba to będzie drobiazgowo opisać i wiarygodnie uzasadnić. Szkoda, że bandyci nie mają procedur. Gdyby mieli, przestępczość spadłaby do zera, a wielu chłopaków, zastrzelonych z zimną krwią na służbie, nadal by żyło.

Zmierzchało, gdy usiadł przy biurku w komisariacie i wkręcił do maszyny papier. „Nam strzelać nie kazano” – chciał pożyczyć początek utworu od Mickiewicza, ale pokusę oddalił dzwonek telefonu.

– Melduje się dyżurny, panie kapitanie – zabrzmiało w słuchawce.

– Nadkomisarzu – sprostował.

– A tak, przepraszam. Ciągle nie umiem się przestawić. Melduje się dyżurny, panie nadkomisarzu.

– Nie musi pan powtarzać dwa razy.

– Jak to dwa razy? – zdziwił się dyżurny.

– Nieważne. Niech pan mówi, o co chodzi.

– Ze szpitala dzwonią. Mogę łączyć?

– Tak, proszę.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem rozległ się głos oddziałowej, która pracowała z Marysią, jego siostrą bliźniaczką.

– Panie Janku, przyjedzie pan? – spytała pielęgniarka.

– Znowu?

Po drugiej stronie linii dało się słyszeć dyskretne chrząknięcie. Widać oddziałowa nie była sama w pokoju.

– Dziękuję, że pani zadzwoniła – powiedział. – Zaraz będę.

Pielęgniarka czekała na niego przed izbą przyjęć.

– Piła? – spytał.

Skinęła głową.

– Nie powinno jej tu być. Nie w takim stanie. Pacjenci widzą.

– Jasne. Zaraz ją zabiorę. Raz jeszcze pani dziękuję.

Pielęgniarka posmutniała i ruszyła przodem, wskazując Tosidowskiemu drzwi do pokoju lekarzy.

Marysia spała na leżance.

Potrząsnął jej ramieniem. Bez skutku. Nie był w stanie jej dobudzić.

Wyszedł na korytarz, odszukał oddziałową.

– Musiałbym ją zanieść do auta – bezradnie rozłożył ręce.

– Niech pan wraca do lekarskiego, zaraz przyjdę.

Po pięciu minutach pielęgniarka zastukała do drzwi. Otworzył je i przytrzymał, aby mogła wjechać z mobilnym stojakiem do kroplówek. Sprawnie założyła Marysi wenflon i podłączyła płyn.

– Sól fizjologiczna, glukoza, elektrolity, magnez – wyliczyła jak na egzaminie. – Za godzinę stanie na nogi. Posiedzi pan z nią?

– Oczywiście. A co z dyżurem? Może ją ktoś zastąpić?

– Pani doktor nie ma dziś dyżuru. Została po pracy – wyjaśniła oddziałowa, jakby chodziło o społeczniczkę, która poświęciła szpitalowi swój prywatny czas.

– To się musi skończyć – powiedział już w jej mieszkaniu. Leżała na wersalce, trzeźwa, ale oszołomiona dawką alkoholu i trudną

do zniesienia pustką po jego przyśpieszonym wypłukaniu. Kac duszy. O wiele gorszy od tego, który torturuje ciało bólem głowy i nudnościami.

– Przyniesiesz mi wody z kuchni? – spytała. – Jest w dzbanku na stole. Dosyp po łyżeczce cukru, soli i proszku do pieczenia. Wszystko znajdziesz na blacie.

– Jesteś dobrze przygotowana na takie sytuacje – zauważył.

– Potrzebuję jeszcze elektrolitów – wyjaśniła, nalewając wody do szklanki, choć niezbyt pewnie posługiwała się dłońmi. – Zaraz będzie lepiej.

– Marija, powinnaś się leczyć – użył greckiego brzmienia jej imienia w nadziei, że może to w czymś pomoże. – Niszczysz siebie, matkę, która o mały włos uniknęła zawału, i mnie. Niszczysz pamięć o ojcu.

– Z czego mam się leczyć? – spytała zmęczonym głosem, w którym pobrzmiwała irytacja.

– Nie udawaj głupiej. Wiesz lepiej ode mnie. Idź na odwyk.

– Nie jestem alkoholiczką.

– Nie? A który to raz w tym tygodniu? Masz świadomość, że upiłaś się do nieprzytomności w miejscu pracy?

– Były imieniny kolegi z ortopedii. Miał dobry francuski koniak i jak zobaczył, że mi smakuje, co trochę uzupełniał kieliszek. Błąd. Jako lekarz powinnam wiedzieć, że trzeba pić czystą wódkę, a nie garbniki do skóry.

– Bardzo mnie pocieszyłaś – zakpił. – Jestem już całkowicie spokojny, wiedząc, że masz świadomość, jak działa alkohol.

– Janis – zmieniła ton. – Masz rację. Przystopuję. Jestem odtruta, przez parę dni wezmę relanium i wyjdę na prostą. Obiecuję.

Pogłaskał ją po włosach.

Po wiosennych wydarzeniach w dawnej kopalni uranu w Kletnie, które wywróciły dotychczasowe życie Tosidowskich do góry nogami [Historię rodziny Tosidowskich oraz tajemnicę kopalni w Kletnie znajdzie czytelnik w powieści Katharsis. (przyp. aut.)], wszyscy powinniśmy zostać alkoholikami – pomyślał. Matka ciągle była na rehabilitacji kardiologicznej, ale Marija ucierpiała najbardziej. Trudno sobie nawet

wyobrazić, co przeżyła. Dobrze, że mi swego czasu porządnie obili łeb na ringu, bo może też bym oszalał – uznał i popatrzył ze współczuciem na siostrę, która zapadła w płytki, niespokojny sen. Domknął drzwi, starając się zrobić to jak najciszej, i wyszedł.

Kolacja czekała na stole nakryta torebką foliową.

Kanapki z mortadela, a obok w misce – prawdziwa grecka sałatka. Ósemki pomidorów obranych ze skórki, plastry świeżego ogórka, krążki cebuli i najważniejsze: czarne oliwki oraz feta. Wyczarowana skądś przez matkę, która utrzymywała bliski kontakt ze stowarzyszeniem Greków we Wrocławiu.

Odgłosy z kuchni obudziły żonę, która stanęła w drzwiach w koszuli nocnej, aby spytać, czy wszystko w porządku.

– Wcześniej się położyłam – wyjaśniła. – Migrena. A ty? Miałeś ciężki dzień? Późno wróciłeś.

– Złapaliśmy gang złodziei samochodów, ale premii za to raczej nie będzie.

– Jak to?

– Góra uznała, że działałam zbyt samowolnie.

– Pieprzyć ich. Nie dość, że cię nie doceniają, to jeszcze trzymali do tej pory.

– To nie przez nich – Jan spojrzał na zegar nad kuchennym stołem. – Marija – dodał.

– Znowu?

Kiwnął głową.

– Musiałem ją odwiedzić do domu i trochę z nią posiedzieć. Miała kroplówkę.

Alicja Tosidowska zakryła usta dłonią.

– Była pijana w szpitalu?

– Do nieprzytomności.

– Boże kochany, trzeba jej jakoś pomóc. Znam dobrego psychiatrę.

– Psychiatrę? – zdziwił się.

– No jasne. Poza tym, że musi wyjść z nałogu, to powinna wyprostować wszystko, co się ostatnio stało, bo ją to zagryzie.

– Bo to pozwoli sobie pomóc? – zwałpił. – Twierdzi, że nie ma problemu.

– Tobie się nie przyzna. Ale mnie... Dużo ostatnio rozmawiamy.

– Nic mi nie mówiłaś.

– To nasze babskie sprawy. Wydaje mi się, że do niej dopiero teraz dotarła wasza grecka trauma. Nigdy nie wspominała, jak uciekaliście przez góry do Albanii, o statku, który was przywiózł do Gdyni, szpitalu na wyspie Wolin. Teraz ciągle o tym mówi. Ty to pamiętasz?

– Jak przez mgłę. Jedne obrazy wyraźniej, inne mniej. Dobrze pamiętam Wolin, a potem Wrocław, jak tato umierał. Ale greckiej wsi, w której się urodziliśmy, nie potrafię sobie przypomnieć.

– Ona też nie. Powiedziała, że musi tam pojechać. W ogóle chciałyby wrócić do Grecji na stałe.

– Świetnie – zirytował się. – I co niby zamierza tam robić?

– Być lekarzem w Salonikach i nazywać się Marija Tosidos, jak w dzieciństwie.

– Taka patriotka? – spytał złośliwie. – Niech się najpierw nauczy ojczystego języka, bo ledwie duka – skwitował. – Co za pomysł? Przecież tam, bez naszej kontroli, zapiałaby się na śmierć.

Alicja ściągnęła folię z miski.

– To tylko mrzonki biednej, skołatanej kobiety – pocieszyła go. – Jedz i kładź się spać. Jest po północy.

Ale mąż popatrzył niechętnie na grecką sałatkę, którą zawsze uwielbiał, i odsunął ją od siebie.

– Odechciało mi się. Może rano.

To były błogie wakacje.

Lądek spędził je na spacerach, leżakach i potańcówkach sprzyjających flirtom kuracjuszy. Poza pozamałżeńskim obściskiwaniem się na parkowych ławkach nie odnotowano naruszeń prawa. A kiedy nikt go

nie narusza, jedynym problemem policji jest to, jak podnieść wyniki wykrywalności przestępstw, których nie ma.

Nadkomisarz Tosidowski przechadzał się leniwie w pobliżu centrum zdrojowego, oddając się słońcu, które tego lata zaczerniło jego śniadą twarz. Miał na sobie dżinsy i koszulkę polo, co nie wywoływało sensacji, jaką mógłby spowodować widok Murzyna w policyjnym mundurze.

Dlatego krępy i łysawy kierowca ciężarówki, który zaparkował przy Kościuszki, uznał go za cudzoziemskiego turystę, którym nie warto się przejmować. Wysiadł z szoferki, poprawił pogniecioną odzież, po czym otworzył kłódkę na drzwiach części transportowej, uchylił je i zerknął do środka. Upewniwszy się, że wszystko w porządku, założył kłódkę z powrotem. Podszedł do szoferki, przejrzał się w bocznym lusterku, przecesał włosy palcami i rozejrzał się wokół. Pewnie w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby coś zjeść.

Przeszedł kilkanaście kroków w górę ulicy, po czym nagle zawrócił, podszedł do ciężarówki i raz jeszcze sprawdził kłódkę, szarpiąc nią kilka razy. Musiał przewozić coś wartościowego.

Auto nie było oznakowane logotypem ani nazwą żadnej firmy, a grecki nos Jana Tosidowskiego, wcześniej Janisa Tosidosa, podpowiadał mu, że coś tu brzydko pachnie. Wszedł do najbliższego sklepu i poprosił o udostępnienie telefonu.

– To ja – powiedział, gdy po wybraniu numeru komisariatu zgłosił się dyżurny. – Przy Kościuszki parkuje ciężarówka na niemieckich blachach. Sprawdźcie ją na wszelki wypadek.

Radiowóz podjechał kilka minut później i dyskretnie stanął w bocznej uliczce. Wysiadł z niego aspirant Dec – jeden z najsprytniejszych policjantów w mieście. Dyskretnie kiwnął na komendanta. Tosidowski podszedł.

– Sorry, że tak na komendanta macham – powiedział – ale lepiej się przyznać. Jeśli facet wiezie coś trefnego, pryśnie, jak zobaczy, że kręcimy się koło jego wozu. Podejdziemy, gdy wróci.

Tosidowski przyznał mu rację.

Po kwadransie kierowca znów się pojawił. Głośnym beknięciem potwierdził, że zatrzymał się w Łądku w celach gastronomicznych. Znów sprawdził kłódkę, a potem otworzył kluczykiem drzwi szoferki.

– Policja – wyrósł przed nim aspirant Dec.

– *Ich verstehe nicht* – odparł tamten, choć słowo wypowiedziane przez Deca zarówno po polsku, jak i niemiecku brzmi bardzo podobnie.

– Dokumenty wozu i list przewozowy proszę – powiedział aspirant, ale tamten tylko wzruszył ramionami na znak, że nadal nic nie rozumie.

– Papiry – Dec lekko podniósł głos, a gdy je otrzymał i przejrzał, spytał:

– Co wieziesz?

Kierowca bezradnie rozłożył ręce.

– Otwieraj kłódkę.

Ponieważ spektakl nierozumienia trwał w najlepsze, Dec wyjaśnił mu swoją prośbę na migi. Wtedy tamten pokazał dramatyczną pantomimę, z której wynikało, że nie ma ani pojęcia, co wiezie, ani klucza do ładowni.

Tosidowski, który stał parę metrów dalej, podszedł, zaświecił mu w oczy odznaką i wskazał kieszeń, w której kierowca na jego oczach schował kluczyk do kłódki.

Ciężarówka była wypakowana po brzegi kartonami papierosów, na których w Niemczech zarabiano się kilkakrotną przebitkę.

W komisariacie kierowca konsekwentnie udawał głupiego. Nic nie wie, nie zna ani słowa po polsku.

– Trzeba będzie ściągnąć tłumacza – Dec podrapał się w głowę, ale Jan wpadł na lepszy pomysł:

– Posłuchajcie, aspirancie – powiedział. – Zabierzcie go do piwnicy i przepytajcie. Ale – uniósł palec – tak, żeby nie było śladów. Najlepiej podłączcie mu jaja do prądu. Jeśli nie przypomni sobie języka polskiego, wezwijcie tłumacza. – Mrugnął porozumiewawczo, gdy zatrzymany nie patrzył.

– Ja już sobie przypominałem, panie komendancie – oświadczył nagle kierowca bez cienia obcego akcentu.

Podczas składania zeznań musiał mieć przed oczami wizję tego, co mogło się wydarzyć w piwnicy, bo był niezwykle wylewny. Tosidowski zadawał pytania, Dec wystukiwał odpowiedzi na maszynie do pisania.

W pewnej chwili przemytnik poczuł się na tyle swobodnie, że założył nogę na nogę, a wówczas Jan zobaczył, że prawa nogawka spodni powędrowała go góry, odsłaniając mocno opuchniętą kostkę. Biała skarpetka frotté była na niej tak opięta, że omal nie pękła. Skręcenie? – pomyślał nadkomisarz. Niemożliwe. Facet nawet nie utykał, idąc do radiowozu. Kłopoty z krążeniem?

Jan przypomniał sobie obrzęk swoich nóg przed operacją wymiany zastawki serca, która przerwała jego karierę bokserską. Zaniepokoił się. Wbił wzrok w kostkę przemytnika, a kiedy podniósł oczy i spojrzał mu w twarz, tamten był blady jak jego białe skarpety.

– Źle się pan czuje? – spytał.

– Tak, bardzo źle – jęknął zatrzymany.

Jeszcze mi tego potrzeba, żeby mi tu aresztant odjechał na atak serca – pomyślał w popłochu i chwycił za telefon, żeby wezwać karetkę, ale nagle coś zauważył. Odłożył słuchawkę i podszedł do przemytnika.

– Odsuń skarpetę – powiedział.

Tamten chwycił się za klatkę piersiową.

– Serce... – szepnął, jakby za chwilę miał umrzeć. – Nie mogę się schylić.

Tosidowski przykłęknął i opuścił skarpetę zdecydowanym ruchem. Kostka przemytnika była grubo owinięta banknotami pięćdziesięciomarkowymi, które zachodziły na siebie, tworząc obręcz podtrzymywaną dwoma gumkami od słoików.

Aspirant Dec gwizdnął.

– Już możesz wyzdrowieć – powiedział komendant, wstając z klęczek. – Aspirancie – odwrócił się – banknoty przeliczyć, sporządzić notatkę i zabezpieczyć w swojej szafie do przyjazdu prokuratora.

Kilka dni później przeglądał faksy z listami gończymi.

Fotografie przestępców, rozmazane przez maszynę do wysyłania obrazów na odległość, były tak niewyraźne, że Tosidowski zastanowił się nad sensem ich wywieszania na tablicy w komisariacie. Podobizny bandziorów z afiszy na Dzikim Zachodzie z czasów szeryfa Wyatta Earpa były bardziej rozpoznawalne.

Technika – pomyślał, spoglądając kpiąco na faks połączony z aparatem telefonicznym, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– Wejść – warknął, choć zwykle był bardziej uprzejmy.

W drzwiach stanęła sekretarka. Trzymała w dłoni służbowe radio.

– Aspirant Dec – poinformowała, oddając mu urządzenie.

Nadkomisarz wypowiedział do mikrofonu swój kryptonim.

– Komendancie – Dec wydawał się zaaferowany. – Musi komendant przyjechać na szosę do Ołdrzychowic. Czwarty kilometr za Łądkiem.

– Co się stało?

– Potrącenie pieszego.

– Ze skutkiem śmiertelnym?

– Nie. Ale...

– Mów jaśniej.

– Musi komendant przyjechać – powtórzył aspirant. – Bez odbioru – dodał.

Rozpoznał jej auto z daleka.

Mały niebieski fiat z czerwonymi drzwiami od strony pasażera. Sam objeżdżał z Marysią komisję z częściami samochodowymi, aby znaleźć drzwi na wymianę, bo poprzednie nie nadawały się do użytku po stłuczce.

Za parę dni maluch pani doktor był umówiony na wizytę u lakiernika, który miał mu przywrócić jednolity kolor. Tymczasem stał na poboczu drogi w jakiejś nienaturalnej pozycji, jakby skulony z bólu. Jan szybko znalazł przyczynę. Prawa opona sflaczała i tkwiła na feldze ostatkiem siły, reflektor po tej samej stronie był kompletnie rozbity, a maska mocno wgnieciona. „Potrącenie pieszego” – przypomniawszy sobie słowa Deca

i zaparkował kilkadziesiąt metrów od miejsca zdarzenia, z którego właśnie odjeżdżała karetka. Na sygnale.

Przywitał się z dwoma funkcjonariuszami drogówki z Kłodzka i podszedł do radiowozu, w którym siedziała Marysia. Patrzyła na niego przestraszona.

– Komendant pozwoli – Dec odciągnął go na bok. – Pani doktor odmówiła dmuchania w balonik.

Tosidowski poczuł zawrót głowy.

Piła. Znowu. Przez kilka tygodni był spokój. Opamiętała się, zaczęła chodzić na górskie spacerunki i lepiej się odżywiać. Wszyscy odetchnęli z ulgą, chcąc wierzyć, że to koniec alkoholowego koszmaru. Mylili się.

– Co się stało? – spytał Deca.

– Kierująca małym fiatem – zaczął aspirant, jakby stał przed kamerą telewizji relacjonującą wypadek – uderzyła w prawidłowo idącego poboczem starszego mężczyznę. Odwieziono go do szpitala z otwartym złamaniem lewej kończyny dolnej, prawdopodobnie pęknięciem miednicy i wstrząsem mózgu. Są świadkowie – dodał konfidencjonalnie.

W tej samej chwili podszedł do nich sierżant z kłodzkiej drogówki.

– Komendancie, siostra nie wyraziła zgody na oddechowy test na obecność alkoholu. Musimy jechać na badanie krwi.

– Rozumiem – odparł Tosidowski. – Róbcie swoje – dodał, widząc, że obydwaj funkcjonariusze w białych czapkach są wyraźnie spięci. Obawiali się z jego strony prób mataczenia.

– Pojedziesz do szpitala w Łądku – zawołał sierżant do swojego podwładnego z drogówki. – Na pobranie krwi.

– Muszę skończyć pomiary – odparł tamten. – Krótkie ślady hamowania. Musiała jechać szybko i zorientowała się w ostatniej chwili, jak już było za późno.

– Ile ci z tym zejdzie? – spytał sierżant.

– Pół godziny, może czterdzieści minut.

Dowódca akcji zaklął pod nosem.

– Do wieczora będziemy tu tkwić – skomentował.

– Ja pojedę – zaproponował Dec. – Po pobraniu krwi odwiozę panią Marię do domu – odwrócił się do Tosidowskiego.

– Dzięki – ucieszył się sierżant w białej czapce. – Powiedz, żeby wynik był jak najszybciej.

– Nie ucz ojca dzieci robić – odparł aspirant i usiadł za kierownicą radiowozu, w którym siedziała siostra komendanta. – Za godzinę jestem z powrotem – rzucił i uruchomił silnik.

Tosidowski uznał, że nic tu po nim. Miał wrażenie, że zarówno Dec, jak i policjanci z drogówki byli zaskoczeni, że niczego nie zrobił. Nawet nie próbował pomóc siostrze. Nawet nie sprawdził, gdzie jest granica, do której mógłby się posunąć, prosząc ich o zatuszowanie sprawy.

Nie kiwnął palcem. Ci z Kłodzka udawali, że nic się nie stało, ale Dec, odjeżdżając, patrzył na niego z niekłamanym wyrzutem. Rodzina to świętość. Kto jak kto, ale Grek powinien to wiedzieć najlepiej.

Dlatego następnego dnia w komisariacie mocno się zdziwił, gdy aspirant wtargnął do jego gabinetu po jednym puknięciu w drzwi i pomachał wydrukowanym wynikiem badań.

– Analiza krwi nie wykazała nawet jednej setnej promila alkoholu – oznajmił z triumfem.

Tosidowski zaniemówił. Wczoraj widział wyraźnie, że Marysia była co najmniej po dwóch drinkach. Do diabła, wszyscy to widzieli!

– Jak to możliwe? – spytał, wstając i wyciągając rękę po dokument. Dec podał mu go i chytrze się uśmiechnął.

– Jesteśmy u siebie, komendancie. Krew pobierała znajoma pielęgniarka, z którą chodziłem osiem lat do podstawówki.

– Sfałszowała wynik? – nadkomisarz wyglądał na przestraszonego.

– To nie ona decyduje o wyniku, tylko laboratorium. Ale oni nie mieli tu nic do gadania. Krew była czysta.

– Jakim cudem?

– Bo to była moja krew – wyjaśnił Dec, patrząc mu prosto w oczy. – Poszła do badania w probówce z nazwiskiem pani doktor Tosidowskiej.

Jan klapnął na krzesło.

– Coś ty najlepszego zrobił? – spytał. – Przecież jak to się wyda...

– A niby jak ma się wydać? Kto miałby zakablować? Ja? A może pana siostra?

– Pielęgniarka. Ta twoja znajoma z podstawówki.

– Nie – Dec zaprzeczył z cynicznym uśmiechem. – Od kiedy pobrała mi krew i wysłała ją do badania jako próbkę pani doktor, też do tego należy. Tak czy nie? Nie będzie przecież kablować na siebie.

Nadkomisarz Tosidowski nie odpowiedział ani słowa.

Przez kilka dni unikali się z Decem. Komendant rozpamiętywał przekręt i zastanawiał się, jak zareagują tamci z drogówki, gdy zobaczą wynik badania. Aspirant z kolei był głęboko urażony, że nawet nie usłyszał „dziękuję”.

W piątek sekretarka wezwała go do szefa.

– Melduję się, panie komendancie – powiedział, wchodząc do gabinetu.

– Siadaj – Tosidowski wskazał mu krzesło.

– Postoję.

– Jak chcesz. W poniedziałek będzie u nas prokurator, który prowadzi sprawę przemytu papierosów. Przygotuj kwity. Podpisane zeznania kierowcy, protokół i notatkę zatrzymania tych dwóch tysięcy marek jako dowodu rzeczowego.

– Jakich dwóch tysięcy marek? – spytał spokojnie Dec.

– Tych, które zatrzymany kierowca miał owinięte wokół kostki. Przecież sam mówiłeś, ile tego jest po przeliczeniu – przypomniał.

– Komendancie – aspirant spojrzał mu prosto w twarz. – W kwitach nie ma ani słowa o żadnych markach. A skoro w kwitach nie ma, to znaczy, że nigdy nie istniały.

– Co ty pieprzysz? – zdenerwował się Tosidowski. – Przecież sam je odkryłem na jego nodze.

– Nie pieprzę – odparł zimno Dec. – Tylko stwierdzam fakty. Dwa fakty: po pierwsze, nie było żadnych marek. Po drugie, uważam, że jesteście kwita.

Tosidowski poczuł, jak zalewa go fala gniewu.

– Uważasz, że jesteśmy kwita? – spytał przez zaciśnięte szczęki.

– Za siostrę.

– A czy ja cię prosiłem, żebyś oddawał swoją krew?

Dec nie odpowiedział.

– Aspirancie – powiedział komendant zmienionym głosem i popukał palcem w blat. – W poniedziałek o ósmej rano na tym biurku widzę komplet kwitów i pieniądze zatrzymanego. Czy to jest jasne?

Dec nadal milczał.

– Możesz odejść – powiedział Tosidowski, choć miał ochotę użyć zupełnie innego sformułowania, sugerującego, że podwładny ma natychmiast opuścić jego gabinet.

Srebrny golf dwójka zatrzymał się przy wjeździe do Lasu Osobowickiego we Wrocławiu i ucichł. Kierowca, mężczyzna przed pięćdziesiątką o prostej sylwetce i ruchach zakodowanych przez musztrę, wysiadł i machnął ręką młodemu człowiekowi na siedzeniu pasażera.

Młodzieniec miał rozpiętą skórzaną kurtkę, pod którą widać było szelki podtrzymujące kaburę z pistoletem. Poza nim dysponował jeszcze jedną bronią – odznaką funkcjonariusza Urzędu Ochrony Państwa. Na ewentualnych amatorów golfa wystarczy. Złodzieje samochodów rozplenili się we Wrocławiu jak zaraza i mieli coraz większy tupet, ale pewnych granic nie przekraczali nawet oni.

Mężczyzna, który wysiadł z auta, dziarsko ruszył ścieżką spacerową, która po kilkuset metrach doprowadziła go do malowniczej polanki. Ustawiono na niej drewniane ławy i stoliki dla amatorów pikników. Przy jednym z nich siedział szpakowaty brunet, który podniósł się na widok gościa i przywitał go uściskiem dłoni.

– Czołem, panie pułkowniku – powiedział.

– Serwus. Co słyhać w naszej dzielnej policji?

– Stara bida – odparł zapytany. – Tyle że po nowemu.

Panowie znali się od kilkunastu lat, z czasów, gdy pułkownik UOP-u był kapitanem Wojskowych Służb Informacyjnych, a podinspektor policji

porucznikiem Milicji Obywatelskiej. Już wtedy prowadzili coś w rodzaju prywatnej giełdy wiadomości i ocalili ten pożyteczny obyczaj w czasach demokracji.

Podinspektor potrzebował od służb cynków o sprawach, do których mógłby się w odpowiedniej chwili podłączyć, założyć komuś kajdanki i dostać medal. Pułkownik umiejętnie mu cynki dozował, oczekując w zamian pełnego serwisu informacji o wszystkim, co dzieje się we wrocławskiej komendzie. Interesowało go przede wszystkim to, co policja starała się ukryć.

Rozmawiali blisko czterdzieści minut.

Na koniec podali sobie dłonie i pułkownik wstał, aby wrócić do samochodu.

– Coś jeszcze – przypomniał sobie podinspektor. – To mało ważne, ale może powinienes wiedzieć. Twój protegowany z Łądka ma kłopoty.

Pułkownik zatrzymał się w pół kroku.

– Co się wydarzyło?

– Przyszedł na niego raport od podwładnego. Jakiegoś aspiranta. Twierdzi, że Tosidowski kazał mu oddać swoją krew do badania po tym, jak jego siostra spowodowała wypadek po pijaku.

Oficer UOP-u zastanowił się przez chwilę.

– A co na to Tosidowski? – spytał.

– Pewnie wiesz, że to Grek? – zerknął na niego policjant. – Oni są tak honorowi, że nie skłamią, nawet jakby im to miało pomóc. Przyznał, że krew została zamieniona, ale z własnej inicjatywy tego aspiranta.

– Czyli słowo przeciwko słowu.

– No, niezupełnie. Nawet jeśli tak było, to jako przełożony miał obowiązek o tym zawiadomić, a nie zrobił tego. Więc myślę, że komisja dyscyplinarna uwierzy raczej w słowo aspiranta. Moim zdaniem twój Tosidowski ma przesrane.

– Co mu grozi?

– W najlepszym wypadku poleci ze stołka szeryfa w Łądku, pójdzie do jakiegoś Pierdziszewa na stójkowego, obetną mu kasę i na parę lat

zapomni o słowach „awans” i „nagroda”

– A w najgorszym?

– Będzie musiał odejść ze służby.

– Masz na to wpływ?

– Mogę się wkręcić do komisji dyscyplinarnej w zastępstwie komendanta wojewódzkiego.

– To się wkręc.

– Zgoda, ale jeśli reszta będzie za tym, żeby go uwalić, to nic nie wskóram. Zwłaszcza jeśli wojewódzki wydał już na niego wyrok. Wiesz, o co chodzi. Komendant liże dupę tym, co teraz rządzą, i woli zmarnować dobrego gliniarza, niż narazić się na zarzut, że kryje policjanta, który ma problem z etyką.

– Nie chodzi mi o to, abyś go w tej komisji bronił – powiedział powoli pułkownik UOP-u.

– A o co?

– Abyś dopilnował, że go zwolnicie z policji.

Podinspektor przyjrzał mu się uważnie.

– Przecież twój awans po sprawie Kletna to zasługa Tosidowskiego. Powiedz mi, w co ty pogrywasz?

– Dowiesz się w swoim czasie. Zadzwoń, kiedy ma się odbyć ta komisja. Nie pożałujesz. No, czas na mnie – ponownie wstał z ławy. – Serwus.

Podinspektor nie odpowiedział.

Koniec świata opisany w Księdze Apokalipsy Świętego Jana w przypadku Jana Tosidowskiego miał zupełnie inny przebieg. Nie było czterech jeźdźców, trupiobladych koni ani bestii. Były za to pieczęcie, które zatwierdziły katastrofalny koniec kariery szefa posterunku w Łądku. Zwolnienie ze służby w trybie dyscyplinarnym, utrata mieszkania służbowego, pensji, ubezpieczenia zdrowotnego i emerytury. Bezdomność i bezrobocie w wieku czterdziestu trzech lat.

Przyjął wyrok z pochyloną głową, którą po chwili przecząco pokręcił, gdy przewodniczący komisji spytał, czy chce coś powiedzieć.

Założył czapkę, zsalutował i wyszedł.

Starał się iść normalnym krokiem, ale nogi miał jak z waty. Wszyscy wokół udawali, że na niego nie patrzą, ale zerkali i oglądali się, gdy ich mijali. Wilki nie współczują członkowi watahy, który przez własną głupotę dał się postrzelić myśliwemu i zaraz się wykrwawi.

Wyszedł z komendy i odetchnął głęboko, z przekonaniem, że jakkolwiek banalnie to wypadnie, pójdzie się upić. Nie uniesie tematu. Może potem, jak wytrzeźwieje i nie będzie miał czasu na kaca, bo trzeba się będzie pakować i wynosić. Dokąd? Do matki? Do wynajętego mieszkania? Za co wynajętego? Miał ochotę zakryć rękami głowę, nad którą krążyło drapieżne stado czarnych myśli, gdy usłyszał za sobą znajomy głos:

– Jak poszło, panie nadkomisarzu?

Odwrócił się.

Za nim stał pułkownik Kozłowski z UOP-u, człowiek, który swego czasu ulokował go w Łądku i któremu pomógł rozwiązać sprawę uranu ukrytego w Kletnie.

– Niech pan nie odpowiada – powiedział Kozłowski, patrząc mu prosto w twarz. – Chyba się domyślam.

– Skąd pan wiedział o komisji? – spytał Tosidowski.

– Taki mam zawód – pułkownik rozłożył ręce. – I co teraz, panie nadkomisarzu?

– Proszę tak do mnie nie mówić. To już przeszłość.

– Ooo, niechże pan nie histeryzuje. Mój znajomy ksiądz mawia, że Pan Bóg zamyka jedne drzwi, ale otwiera drugie.

– Jasne – skwitował kwaśno Tosidowski. – Parę miesięcy temu, przed weryfikacją, zastanawiałem się, gdzie pójdę do roboty, jak policja mnie nie zechce.

– I co pan wymyślił?

– Do ochrony. Nocni stróże z milicyjną przeszłością ciągle mają wzięcie. Będę pilnował jakiegoś parkingu albo hurtowni.

– Do ochrony, mówi pan? – Kozłowski ściągnął brwi. – A wie pan, że to świetna myśl. Co by pan powiedział na Urząd Ochrony Państwa?

Jan spojrział na niego kpiąco.

– Od kiedy to służby zatrudniają szemranych byłych policjantów?

– Od zawsze.

– Pan żartuje, prawda?

– Ani mi to w głowie! Od kiedy się poznaliśmy, uważałem pana za idealnego człowieka do tej roboty. Już dwa razy dał mi pan kosza, gdy proponowałem transfer do służb. Trzeciej odmowy nie przyjmuję.

– Zwolniono mnie dyscyplinarnie.

– To pan usłyszał od sztywniaków z komisji. Ważne, co będzie w kwitach. A zapewniam, że nic nie będzie. Przejdzie pan do nas na własną prośbę z nienaganną opinią z policji.

– Jakim cudem?

– Mój szef zadzwoni do pańskiego.

– To nie przejdzie – pokręcił głową Tosidowski. – Komendant wojewódzki nie znosi szefa wrocławskiego UOP-u. Z wzajemnością.

Kozłowski zrobił minę podkreślającą powagę sytuacji.

– Mam na myśli mojego szefa z Warszawy. A jeśli będzie trzeba, to i ministra spraw wewnętrznych.

ROZDZIAŁ 16.

Stuttgart – Wrocław – Kair,
jesień – zima 1990 roku

Gwar rozmów zmieszany z dźwiękami zderzających się kufli wzbijał się pod sufit sali gimnastycznej jednej z prywatnych szkół w Stuttgarcie i wracał na dół, dodając animuszu uczestnikom biesiady. Sala, w której na co dzień ćwiczono przewroty w tył, dziś była świadkiem czegoś bardzo podobnego, ale w wersji politycznej.

Przy stołach ustawionych przez firmę organizującą imprezy siedziało około trzystu osób zrzeszonych w Związku Wypędzonych ze Śląska. Wiele kobiet i mężczyzn miało na sobie stroje ludowe, reszta tanie torlenowe sukienki lub garnitury z sieci handlowych. Młodzi byli na sportowo i bojowo, co dotyczyło zwłaszcza grupy skinów w czarnych dżinsach, T-shirtach i glanach służących do deptania odmiennych poglądów.

Jedli.

Na stołach parowały krupnioki, kiełbaski i zasmażana kiszona kapusta z kminkiem. Do tego kołoczki z serem lub makiem oraz piwo. Ocean piwa, roznoszonego w litrowych kufiach z grubego szkła przez wydekolowane kelnerki zaprawione w Oktoberfestach. Każda z nich zabierała kiść kufli naraz, osiągając podczas wieczoru lepsze wyniki w rwaniu i podrzucie niż członkowie kadry olimpijskiej RFN w podnoszeniu ciężarów.

W pewnej chwili na scenę, na której stał statyw z mikrofonem, wszedł dobrze odżywiony mężczyzna, prowadząc za rączkę siedmio-, może ośmioletnią dziewczynkę ubraną jak solistka zespołu pieśni i tańca z Opola.

Sala ucichła.

Dzieci zawsze skupiają uwagę i budzą zainteresowanie, jakby były czymś niezwykłym. Zdjęcie dziecka na okładce czasopisma zawsze podnosi

sprzedaż o trzydzieści procent, o czym mężczyzna idący z dziewczynką przez scenę dobrze wiedział. Był drukarzem i wydawcą gazetek kilku ziomkostw. W śląskim Związku Wypędzonych pełnił obowiązki przewodniczącego.

Podeszli do mikrofonu, który musiał być w zмовie z potężnymi głośnikami, bo kiedy tylko przewodniczący ujął go w dłoń, salę wypełnił przeraźliwy pisk. Ktoś z obsługi technicznej wbiegł na scenę i szybko usunął problem, po czym przewodniczący stanął z mikrofonem w ręku, dumnie unosząc głowę. Nic nie mówił. Nikogo nie witał. Nikomu nie dziękował za przybycie.

Bez słowa podał mikrofon dziewczynce, a ta zaczęła śpiewać dziecięcym głosem *Kein schöner Land*.

Przez chwilę zagłuszył ją dźwięk odsuwanych krzesel, a potem cała sala wstała i podjęła pieśń. Do kufli z piwem kapały łzy nostalgii.

– Drodzy przyjaciele – powiedział przewodniczący, gdy wybrzmiały sentymenty i burza braw dla dziewczynki. – Dziś mija rok od zburzenia muru berlińskiego, który stał się symbolem przemocy obcych narzucających nam swoją wolę i hańbiącego podziału Niemiec.

Przez salę przeszedł szmer aprobaty.

– Ale muru już nie ma! Niemcy znów są jedne i wielkie!

Kilkanaście osób znów zaczęło bić brawa, ale mówca uciszył ich gestem.

– Jedne i wielkie – powtórzył. – Połączyliśmy się z landami byłej NRD, ale nasza wschodnia granica ciągle jest sztuczna. Na mapę nanieśli ją ci, którzy wygrali wojnę. Poza tą niesprawiedliwą i nielegalną linią graniczną nadal pozostaje Śląsk. Nasz Śląsk! Bez niego Niemcy nigdy nie będą kompletne!

Teraz od braw można było ogłuchnąć. Przewodniczący sycił się nimi przez kilka minut owacji na stojąco. Gdy umilkły, powiedział:

– Dziś, kiedy Europa totalnie się zmienia, stajemy przed historyczną szansą odzyskania dziedzictwa. Ziemi przodków. Nie możemy zmarnować tej szansy. Są tu z nami członkowie korporacji akademickiej Silingia z Köln,

stowarzyszenia założonego przez niemieckich studentów wypędzonych ze Śląska. Pokażcie się, kochani!

Od stołu na środku sali wstało kilku mocno starszych panów w czapkach studenckich, jednakowych klubowych krawatach i marynarkach z emblematami na górnej kieszonce. Przywitali się, machając wszystkim, w akompaniamencie braw i pozdrowień.

– Ci wybitni ludzie nauki – podkreślił mówca, ciągle wskazując dłonią dziadków przebranych za studentów – nazwali swoje stowarzyszenie od germańskiego plemienia Silingów, dumnego i bohaterskiego ludu, który uczestniczył w zdobyciu Rzymu i obaleniu największego imperium starożytności. Wiecie, gdzie Silingowie mieli swoją ojczyznę? Na Śląsku! To od ich nazwy pochodzi słowo „Silesia”. To ich świętą górą była Ślęza. Żadnych Słowian! Tylko nas, Germanów! Czas odbudować niemiecki dom w pełnej krasie!

Aplauz nie pozwolił się uciszyć.

Po kilku próbach przewodniczący zdołał wreszcie przekrzyczeć tłum.

– Zapraszam na scenę wybitnego gościa – powiedział uroczyście. – Człowieka, w którego ręce powinniśmy złożyć naszą sprawę. Znacie go doskonale. To ikona niemieckiego przemysłu, ale też myśli propaństwowej – stwierdził, zrobił teatralną pauzę i dodał głosem podniesionym o kilka tonów:

– Przed wami doktor Manfred Broll!

Na scenę wskoczył dziarski siedemdziesięciolatek, szczupły i wytworny – od drogich mokasynów po imponującą kolekcję białych zębów. Wyglądały jak jarzeniówki na jego opalonej twarzy, pomarszczonej, czerstwej i budzącej zaufanie jak u kowboja z reklamy marlboro. Z kimś takim można palić papierosy bez obaw o raka płuc.

– Nie lubię mówić – zaczął prowokacyjnie. – Zwłaszcza że w waszej sprawie powiedziano już zbyt wiele słów – smutno pokręcił głową. – Czas na konkrety i czyny!

Pstryknął palcami i w tej samej sekundzie zgasły światła, a na ścianie za mównicą pojawiło się pierwsze przeźrocze. Przedstawiało Churchilla, Trumana i Stalina rozpartych w wiklinowych fotelach podczas konferencji w Poczdamie latem 1945. Byli zadowoleni z siebie.

Na sali rozległy się gwizdy.

Manfred Broll zrobił przeproszającą minę.

– Nie pokazuję wam tych ludzi, żeby was rozgniewać – wyjaśnił – ale żeby przypomnieć ważne dla nas wydarzenie. A tak! Ważne! – podniósł głos wobec jeszcze głośniejszych gwizdów. – Otóż ta tragiczna dla nas konferencja przyniosła jedno istotne postanowienie...

Zaczekał, aż sala ucichnie.

– W protokole poczdamskim zapisano, że przebieg zachodniej granicy Polski jest odroczonej do konferencji pokojowej z udziałem rządu państwa niemieckiego. Ale taka konferencja nigdy się nie odbyła! Dlaczego? Bo Niemcy nie miały jednego państwa ani jednego rządu, tylko dwa: federalny w Bonn i komunistyczny w Berlinie. A to oznacza, że trzej królowie – wskazał przeźrocze z sarkastycznym uśmiechem – wpadli w Poczdamie we własną pułapkę. Odracząc kwestię linii oddzielającej nas od Polski na czas nieokreślony, tym samym potwierdzili, że Niemcy istnieją w granicach z 31 grudnia 1937 roku! Czyli że zgodnie z prawem międzynarodowym zachodnia granica Polski jest nielegalna, a niemiecki Śląsk pozostaje częścią naszego państwa. Pod tymczasowym polskim zarządem.

– Kochani – Broll uspokoił oklaski gestem obu dłoni, jakim zachęca się śmigłowce do lądowania. – Niestety, tu dobre wiadomości się kończą.

Poprosił o kolejne przeźrocze i światło rzutnika rozpostarło na ścianie dokument opatrzony godłem państwowym.

– Na mocy tego porozumienia – mówca dotknął obrazu na ścianie wskaźnikiem zakończonym czerwoną strzałką – NRD od miesiąca należy do RFN. Nareszcie mamy wspólny rząd. Ale nie łudźmy się: jedną z pierwszych rzeczy, jakie ten rząd zrobi, będzie uznanie zachodniej granicy Polski.

Zerknął na zegarek dla lepszego efektu.

– Według moich źródeł stanie się to jeszcze w tym tygodniu.

Sala zaczęła buczeć.

– Tak, kochani – Broll rozłożył ręce. – Szansa na odzyskanie Śląska, o której pięknie mówił pan przewodniczący, przepadnie bezpowrotnie. Europa się zmienia, to prawda. Chętnie przyjęła rozpad bloku komunistycznego, ale teraz będzie się chciała przypodobać byłym państwom tego bloku, aby krzewić tam zachodnią cywilizację i tworzyć nowe rynki. Na rewizję granic z pewnością się nie zgodzi.

Zapadła cisza.

– Ale możemy odzyskać Śląsk inną drogą – powiedział Broll w chwili, gdy milczenie stało się nieznośne. – Będę do tego potrzebował waszej pomocy, zaangażowania i pracy. Będę potrzebował informacji od waszych rodzin i przyjaciół w Polsce. Jak wiecie, na Opolszczyźnie narodowość niemiecką deklaruje co czwarty mieszkaniec regionu. Od paru miesięcy mają własne, legalne stowarzyszenie. Działają. Świecą przykładem. I to jest mój cel: pokazać Europie, do kogo naprawdę powinien należeć Śląsk! Do Polaków, którzy go zdewastowali i niszczą nadal? Czy do Niemców? Gospodarnych, pracowitych, mających za sobą wielowiekową niemiecką tradycję tych ziem, prawo moralne i wsparcie kapitału? Musimy to dobitnie udowodnić, a wtedy raz jeszcze porozmawiamy sobie z Europą o sprawiedliwości i wschodniej granicy Niemiec.

Skinął głową na obsługę rzutnika i przedstawił swój plan.

Jan Tosidowski pokręcił korbką, opuszczając szybę w drzwiczkach małego fiata, i odpowiedział na pytanie wartownika.

Ten na dźwięk nazwiska pułkownika Kozłowskiego zmienił ton na znacznie uprzejmiejszy i wskazał mu miejsce parkingowe przeznaczone dla gości. Szlaban podniósł się jak semafor otwierający przejazd i Tosidowski wjechał na dziedziniec.

Gabinet szefa zarządu kontrwywiadu znajdował się w dyskretnym skrzydle gmachu, z dala od służbowego zgiełku instytucji, która całe dnie

spędzała pod prysznicem historii, starając się zmyć z siebie brud i fetor poprzedniczki – komunistycznej Służby Bezpieczeństwa.

Pomieszczenie było niewielkie i urządzone dość ascetycznie, na co mogły mieć wpływ kartony ustawione pod ścianą, do których spakowano część przedmiotów.

– Zmiana biura? – spytał Tosidowski.

– Zmiana – potwierdził pułkownik. – Na warszawskie.

Gość zrobił zdziwioną minę.

– Niech pan się nie obawia, nadkomisarzu – uspokoił go Kozłowski. – Dla naszego planu to nawet lepiej.

– A jaki jest nasz plan?

– Złożył pan raport o odejściu ze służby z powodów osobistych? – pułkownik odpowiedział pytaniem.

– Złożyłem.

– I co?

– Komendant wojewódzki wyraził zgodę i palnął mi mowę o stracie tak wartościowego policjanta. Chce mi dać dyplom i urządzić uroczyste pożegnanie w Łądku. O dyscyplinarce nie wspomniał ani słowem.

– Bo po dyscyplinarce nie ma już śladu. A na pożegnanie niech się pan nie zgadza. Ludzie w Łądku wiedzą o incydencie z pańską siostrą i prawdziwej przyczynie pana odejścia. Już ten pański aspirant się o to postarał.

Tosidowski skinął głową.

– To jaki jest plan? – powtórzył.

Kozłowski zapalił papierosa.

– Przejdzie pan do Urzędu Ochrony Państwa, zachowując stopień kapitana. Pensja, świadczenia i tak dalej. Oczywiście mieszkanie służbowe.

– Gdzie?

– W Opolu.

– W Opolu? – Tosidowski wyraźnie się zaniepokoił.

– Coś nie tak? – spytał Kozłowski.

Jan milczał przez chwilę.

– Nie, ale... Mam kłopot z siostrą. Jeśli zostawię ją samą w Łądku, to obawiam się, że...

– ...zapije się na śmierć – dokończył Kozłowski. Nigdy nie owijał w bawełnę. – Niech pan się nie martwi. Pomyśleliśmy o tym.

Tosidowski spojrzał pytająco.

– Opole jest dużym garnizonem i ma bardzo dobry szpital wojskowy. Myślę, że potrzebują tam kardiologa.

– Wiedzą o tym, że potrzebują?

– Dowiedzą się. Pani doktor Tosidowska zawsze marzyła o kardiochirurgii, prawda? Zazdrośni koledzy skutecznie utrudnili jej praktykę u profesora Jana Molla, który wstawił panu zastawkę serca, ale my możemy pomóc jej swoim kanałem. W centralnym szpitalu MSW w Warszawie ordynatorem jest pan doktor Zbigniew Religa. Bardzo zdolny człowiek i pasjonat kardiochirurgii.

– Zaczyna mnie niepokoić rozmiar długu, jaki u pana zaciągam – powiedział Tosidowski.

– Ależ, kapitanie. Bez przesady. To tylko przyjacielska przysługa kolegi z tej samej służby. Ile lat się znamy? Uran z Kletna połączył nas nierozzerwalnie, nie sądzi pan?

– Dziękuję, panie pułkowniku.

– Nie ma za co. Mówiąc po męsku: jak siostra dostanie to, o czym marzyła, to przejdą jej melancholie topione w gorzale. Wyjazd z Łądka, gdzie ma tyle koszmarnych wspomnień, też jej dobrze zrobi.

– Nie wiem, jak się odwdzięczę.

– Za to ja wiem – odparł Kozłowski. – Dobrą pracą. Przejdzie pan na nasz stan osobowy, ale zachowa pan pewną autonomię.

Jan słuchał uważnie.

– Będzie pan dowodził operacją o kryptonimie „Heimat”, do której UOP w Opolu oficjalnie się nie miesza. Dlatego sam pan sobie dobierze ludzi i sformuje z nich grupę specjalną. Raporty tylko do mnie.

– Czego dotyczy ta operacja?

– Bardzo delikatnej kwestii. Niemieckich zakusów na przejęcie Śląska.

Tosidowski uniósł brwi.

– Państwo niemieckie chce...?

– Nie państwo – przerwał mu pułkownik. – Pewna grupa wpływowych i bogatych ludzi. Niemniej jednak nie wiemy, jaki to ma zasięg ani kto za nimi stoi. Dlatego opolski UOP trzymamy od tego z daleka. Niemcy patrzą im na ręce, a to teraz nasi przyjaciele. Nie możemy jawnie okazywać im nieufności i ich inwigilować, rozumie pan? Dlatego będziemy działać po cichu i dyskretnie. Pan się idealnie do tego nadaje.

– Dlaczego ja?

– Po pierwsze, nie jest pan zbyt rozmowny, a to w naszej robocie wielka zaleta. Po drugie, jest pan zawodowcem, wiem to od lat. Po trzecie, atutem jest pańskie pochodzenie. Nikt Grekowi z krwi i kości nie zarzuci, że stoi pan po którejś ze stron. A musimy działać niezwykle ostrożnie, żeby nie narobić smrodu na europejskich salonach, na które nas zapraszają.

– Co wiemy o przeciwniku?

– Proszę posłuchać uważnie, bo w operacji „Heimat” unikamy notatek. Czy to jasne?

– Słucham.

Kozłowski odetchnął głęboko.

– Mózgiem planu jest niejaki Manfred Broll, starszy dżentelmen ze Stuttgartu z doktoratem i wysoką pozycją w świecie niemieckiego biznesu. Przemysł metalurgiczny. Huty, stalownie, fabryki części samochodowych. Grube miliony. Otóż pan Broll wpadł na pomysł, że skoro nie da się odzyskać Śląska drogą interwencji w organach międzynarodowych, to należy go przejąć ekonomicznie.

– W jaki sposób?

– Wbrew pozorom dziecinnie łatwy. Polskie zakłady przemysłowe z różnych dziedzin gospodarki po transformacji padają jak muchy. Można je kupić za bezcen. Podobnie jak nieruchomości. Ziemię, działki budowlane, domy, sklepy, kina, siedziby instytucji, które przestały być potrzebne. I to właśnie zamierza robić pan Broll. Zakładać spółki *joint venture*, które nasz nowy rząd wita z otwartymi ramionami, i obejmować

w nich udział, które w odpowiedniej chwili wykupi, spłacając wspólników. Jeśli wpompuje w to naprawdę duży kapitał, to za parę lat może się stać poważnym właścicielem Śląska. Poważniejszym niż państwo polskie, które wyprzedaje majątek bez opamiętania. Na wolnym rynku wszystko wolno. Ale kiedy obudzimy się z ręką w nocniku, będzie za późno. Wtedy przyjdzie nam tańczyć tak, jak zagra Manfred Broll.

– Czy ten Broll – Tosidowski poskrobał się w podbródek – chce rozwijać te wszystkie firmy?

– Tak jest.

– To co w tym złego? Bo nie rozumiem. Będzie stawiał na nogi przedsiębiorstwa, dawał pracę ludziom, remontował budynki...

– Prawda, że to piękne? Tym bardziej ludzie na Śląsku go poprą i będą wielbić. Polski rząd również. Pytanie tylko, jakie pan Broll ma intencje. Chce zarobić? Nie sądzę. Ma forsy jak lodu. Więc o co chodzi?

– Ambicję? Chciwość? Nienasylenie? – strzelał Tosidowski.

– Nie wie pan wszystkiego – stwierdził pułkownik. – Manfred Broll to były esesman. Bliski współpracownik Otta Skorzenego. Słyszał pan o najślawniejszym komandosie Hitlera?

– To ten, co odbił Mussoliniego? – spytał Jan.

– Ten sam. Podczas wojny w brawurowej akcji uwolnił dyktatora Włoch, a po wojnie niezłe mieszał na całym świecie. Uruchomił w Egipcie fabrykę rakiet balistycznych, w czym zresztą pomagał mu Broll, i robił wiele innych interesujących rzeczy. Są tacy, którzy utrzymują, że mógł nawet maczać palce w zamachu na prezydenta Kennedy'ego.

– I myśli pan, że to on stoi za śląskim planem Brolla?

– Nie. Skorzeny piętnaście lat temu zmarł na raka. Ale zostało wielu takich jak on. Wysokich oficerów SS ze smykałką do interesów. Broll ma licznych przyjaciół z podobnym rodowodem. To oni zagrają z nami w pokera o Śląsk. Nie zdziwiłbym się, gdyby należał do tego niemiecki wywiad. Dlatego trzeba mieć oczy i uszy otwarte. Zwłaszcza że ja chcę wiedzieć wszystko: kogo Broll tu przyśle, jakie obiekty ich interesują,

nawet co jedli na śniadanie. Musi pan stać się niewidzialny i zaglądać im w karty.

Niebo nad Kairem było jeszcze szafirowe, gdy Karim Ali Hassan obmył twarz wodą, jak nakazuje Koran, i sięgnął po dywanik do modlitw. Rozwinął sadzdzadę na podłodze salonu i przekrzywił tak, aby była skierowana na południowy wschód, w stronę cytadeli. Tysiąc siedemset kilometrów za cytadelą znajduje się Mekka, i to właśnie ku niej trzeba zwrócić twarz, aby prosić o błogosławieństwo Allaha.

Z wiekiem Karim stawał się coraz bardziej pobożny. Sumiennie pilnował pięciu codziennych modlitw, ale najbardziej lubił pierwszą z nich – fadžr, odmawianą przed wschodem słońca. Przynosiła ukojenie jego skołatanej duszy i pozwalała nabrać sił do zmagania z nadchodzącym dniem.

Od kilku miesięcy Karima przygniatał ciężar życiowej porażki.

W młodości spotkał najwspanialszego z ludzi, Wodza Trzeciej Rzeszy, który wytyczył mu drogę niczym Prorok. W niemieckim mundurze budował tajne obiekty wojskowe w Sudetach. Posiadał tajemnicę kopalni w Kletnie, a Allah sprawił, że stał się jedynym człowiekiem na ziemi, który znał miejsce ukrycia tam pojemników ze wzbogaconym uranem.

To było jego błogosławieństwo i przekleństwo zarazem.

Przez dziesięciolecia był panem życia i śmierci milionów ludzi, ale nie dane mu było tego wykorzystać. Z egipskiej placówki dyplomatycznej w Warszawie wyrzucono go zaraz po wojnie. Potem opadła żelazna kurtyna.

W Polsce zostawił uran, kobietę, którą pokochał, i dziecko w jej łonie. Nie porzucił ich. Przez osiemnaście lat, dopóki jego syn Marco nie osiągnął pełnoletności, co miesiąc wysyłał do Gdyni pieniądze. Rok później, z narażeniem własnego życia, cudem przemycił Marka do Kairu.

Mieszkali razem ponad dwadzieścia lat.

Wychował go na mężczyznę. Karim był grubą rybą w egipskich służbach specjalnych, dlatego syna trenowali najlepsi. Niemcy. Dawni komandosi SS. Nauczył się strzelać, walczyć i myśleć. Ojciec oficjalnie

przygotowywał go do pracy w prestiżowej agencji ochrony założonej jeszcze przez Skorzenego, ale tak naprawdę miał swój ukryty cel.

Uran.

Wystarczyło odnaleźć tajny bunkier w sudeckim lesie koło Kletna, wydobyć dwanaście pojemników, zapakować je na samochód dostawczy i przewieźć przez Czechosłowację do Wiednia. Tu już zajęliby się nim ludzie z Bractwa Muzułmańskiego, strażnicy idei Amina al-Husseiniego – mentora Karima, który dawno temu poznał go ze swoim serdecznym przyjacielem Adolfem Hitlerem.

Tą ideą było stworzenie Rzeszy Arabskiej na wzór tej, którą zbudowały faszystowskie Niemcy, a raczej próbowały zbudować w Europie. Rzeszy silnej, niezależnej, czystej narodowo i pozbawionej Żydów.

Państwa islamskiego.

Ale bogowie inaczej raczyli rozsądzić. Hitler został pokonany przez światowe żydostwo, które załęgło się na Bliskim Wschodzie jak trąd. Na imię mu było Izrael. Symbol wiecznej hańby dla ziemi dwóch największych proroków islamu: Mahometa i Isy ibn Maryama, którego chrześcijanie nazywali Jezusem Chrystusem, a Żydzi skazali na śmierć na krzyżu.

Uran mógł to wszystko zmienić jednym oddechem Allaha.

Karim znał ludzi, którzy byli na to gotowi. Polityków z partii Baas rządzącej w Syrii i Iranie. Bojowników z Hezbollahu i Organizacji Wyzwolenia Palestyny. I wielu bajecznie bogatych właścicieli pól naftowych zdolnych sfinansować nuklearny dżihad.

Skończył modlitwę, podniósł się z klęczek i podszedł do okna, wypatrując świtu.

Wiele lat temu powierzył przygotowanie misji ewakuacji pojemników z uranem jednemu człowiekowi, jakiemu zaufał. Sięgnął po zdjęcie stojące na komodzie, na którym Karim stał uśmiechnięty na tle piramid w otoczeniu dawnych komandosów SS. Jeden z nich przyklęknął na piasku i uniósł do góry dłoń, w której trzymał nóż. Za głownię, jakby za chwilę miał nim rzucić w fotografa.

Bruno Janoschek.

Co się z nim stało? – zapytał sam siebie po raz setny, ale ciemność za oknem nie dawała odpowiedzi.

Za namową Karima pojechał do Polski i przepadł bez śladu. Egipcjanin próbował szukać go przez ambasadę, ale nie dało to żadnego rezultatu.

Kilka lat czekał na znak życia od Bruna, ale się nie doczekał.

Wtedy pomyślał o Marku.

Zaryzykował podróż do Polski, mimo że był w tym kraju *persona non grata*. Spotkał się z dawną miłością i synem. Pojechał w Sudety. Osobiście przekonał się, że schowek z uranem nie został naruszony. A to mogło znaczyć tylko dwie rzeczy: albo Bruno Janoschek stchórzył i nigdy do niego nie dotarł, albo nie żył. Ale materiał potrzebny do budowy bomby atomowej nadal leżał pod ziemią, nakryty cienką warstwą poszycia i igieł, które przez lata spadały z jodeł rosnących koło Kletna.

Jednak wyprawa do Polski skończyła się źle. Karim zabił człowieka. Musiał uciekać. Dotarł do Kairu tylko dzięki pomocy egipskich służb. Syna zabrał ze sobą.

Marek był gotowy do misji odzyskania uranu już po dwóch latach szkolenia, ale sposobność nadarzyła się dopiero po upadku komunizmu. W totalnym chaosie, jaki zapanował w Polsce na początku 1990 roku. Warunki były wymarzone.

Tyle że jego syn zdradził.

Zawsze kiedy wracała ta myśl, ciało Karima reagowało. Różnie. Kłuciem w sercu. Duszącą minutą, w czasie której nie potrafił złapać tchu, albo gwałtownym przyśpieszeniem tętna. Pocił się wtedy jak w saunie i stosował do zaleceń lekarza, który kazał mu oddychać, jakby pompował piłkę. To zmieniało ciśnienie w klatce piersiowej i pozwalało wrócić do normy. Zanim się przyzwyczaił, kilka razy dzwonił po karetkę, ale w kartotece kliniki rządowej w Kairze miał już diagnozę: „objawy somatyczne wywołane stresem”.

– Musimy ratować tych, którzy naprawdę potrzebują pomocy – odpowiadał lekarz po drugiej stronie linii i odkładał słuchawkę.

Dziś również poczuł, że na wspomnienie Marka robi mu się słabo, ale opanował to. Miał przed sobą ważny dzień.

Wczesnym popołudniem do Kairu przylatywał Manfred Broll.

Głośniki w terminalu przylotów Cairo International Airport zapowiedziały samolot z Frankfurtu, dodając, że wyląduje o czasie. No tak, Lufthansa – pomyślał Karim. Arabskie linie zawsze się spóźniały.

Przeszedł w miejsce, z którego dobrze było widać pasażerów wychodzących z bagażami, i w tłumie bladych poszukiwaczy egipskiego słońca odnalazł Brolla. Z trudem. W końcu nie widzieli się dwadzieścia kilka lat. Były Scharführer SS zachował nienaganną sylwetkę, ale jego twarz mocno się postarzała.

Karim uśmiechnął się pod wąsem.

Manfred miał na sobie wełniany płaszcz, jedwabny szalik i sztyblety.

– Już zapomniałeś, że w grudniu mamy tu dwadzieścia stopni? – zaczepił go, chwytając za rękaw, gdy Broll przechodził obok.

– Karim! – Niemiec szczerze się ucieszył. – Nic się nie zmieniłeś.

– Gdybym się nie zmienił, tobyś mnie poznał – uśmiechnął się Egipcjanin. – Ściągaj ten płaszcz, bo zwracamy na siebie uwagę.

Przeszli na parking, gdzie Karim otworzył kluczykiem bagażnik nowego mercedesa.

Broll cmoknął z uznaniem.

– Stary sentyment do niemieckich aut?

– Po przejściu na emeryturę myślałem o karierze taksówkarza – odparł Karim. – A na taryfę mercedes najlepszy. Niemieccy turyści nie chcą wsiadać do starych peugeotów.

Manfred Broll parsknął śmiechem.

– To poproszę o kurs do jakiejś dobrej restauracji. Zapraszam cię na obiad.

– Widzę, że zapomniałeś nie tylko o temperaturze, ale i o dobrych obyczajach. Jesteśmy na moim terytorium. To ja zapraszam. Jedziemy do knajpki w parku Al-Azhar. Najlepsza *kofta* w mieście.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać – powiedział Broll, gdy usiedli przy stoliku. – Nie przepadaliliśmy za sobą, gdy pracowałem w Kairze.

Karim Ali Hassan skinął głową.

– To prawda. Uważałem, że zadzierasza nosa i uważasz się za kogoś lepszego od Egipcjan, ale szanuję cię za to, że zostałeś, gdy wszyscy Niemcy uciekali stąd gdzie pieprz rośnie.

– Dziwisz się? To, co w pewnej chwili zaczęło się dziać z waszym programem raketowym, wywołało błądy strach. Heinz Krug, który zarządzał produkcją pocisków balistycznych, zaginął bez śladu. Do innych strzelano. Niemiecka sekretarka inżyniera Pilza otworzyła kopertę, w której był ładunek wybuchowy. Straciła oczy i nie słyszy. Żydzi sterroryzowali wszystkich.

– Ciebie nie.

– Nie zwykłem uciekać jak szczur. Moi ochroniarze, jeszcze z batalionu Friedenthal, znaleźli i rozbili bombę podłożoną pod samochodem, którym jeździłem do pracy. Zastrzelili też jakiegoś zamachowca. Chciałem doprowadzić ten program do końca. Żałuję, że się nie udało. Mosad odpowiada za to, że egipskie rakiety wzorowane na naszych V-2 powstały, ale nie zostały dokończone i nie miały dobrych urządzeń naprowadzających. Szkoda. Może Izraela już by nie było.

Karim słuchał w milczeniu, a jego twarz posępniała.

– To Skorzeny sprzedał nas Żydom – oświadczył.

– Oszalałeś? – Broll spojrzał na niego gniewnie. – Co ty wygadujesz?

– Prawdę.

– Chcesz mi wmówić, że izraelski wywiad współpracował z Obersturmbannführerem Waffen-SS? To niewykonalne.

– Jesteś naiwny, Manfred.

Broll starał się uspokoić wzburzenie.

– Niby dlaczego miałby to zrobić?

– Dla ochrony własnego tyłka. Informacje, jakie Skorzeny przekazywał Mosadowi o naszych rakietach i Niemcach, którzy je budowali, były jego

polisą na życie. Tylko dlatego Żydzi go nie odstrzelili, choć był na liście.

– Fantazja z powieści szpiegowskiej – uznał Broll.

– A jednak.

– Czemu wobec tego wy go nie odstrzeliliście?

– Kiedy otrzymaliśmy niezbite dowody, Skorzeny miał już raka. On nas wyręczył.

Manfred Broll próbował ułożyć sobie to wszystko w głowie, co chyba nie bardzo się udawało.

– Co cię sprowadza do Kairu? – spytał Karim, ratując go z opresji domysłów.

– Potrzebuję pieniędzy.

– Ty? Jeden z największych rekinów niemieckiego przemysłu metalowego?

– Metalowe marki to zbyt mało na projekt, który rozpocząłem. Potrzebuję petrodolarów.

– Co to za projekt?

Broll się pochylił, oparł łokcie o blat stolika i oświadczył:

– Chcę przejąć Śląsk dla Niemiec.

A potem opowiedział swój plan.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? – spytał Karim, gdy Manfred skończył mówić.

– Bo zawsze wierzyłeś w wielkie Niemcy. Bo cię szanuję. Bo jesteś ważną postacią w świecie islamu – Broll odchyłał po kolei palce dłoni. – Bo twojej prośbie nie odmówi żaden z obrzydliwie bogatych szejków cuchnących naftą. Mam mówić dalej?

– Co szejkowie mogą z tego mieć? – spytał Karim.

– Dobry zwrot z inwestycji. Przedsiębiorstwa na Śląsku można dziś kupować za bezcen. Polska wyprzedaje je za jedną czwartą ceny, albo i taniej. Wystarczy trochę zainwestować, naprawić błędy tych żałosnych komunistycznych nieudaczników i otworzyć nowym firmom europejskie możliwości współpracy gospodarczej. Naszym nowym firmom – uniósł

do góry palec wskazujący. – Szejkowie mogą mieć udział w zyskach albo korzystnie odsprzedać nam udziały. Jak będą chcieli.

Karim się uśmiechnął.

– To bardzo nęcące, przyjacielu. Ale dla Europejczyków. Ropa naftowa to biznes ze znacznie większą liczbą zer. Nie przekonasz ich perspektywą zysków, o jakich mówisz. To skala jednego szybu naftowego, a oni mają ich tysiące.

– Czym wobec tego można ich przekonać?

– Szczerze? – spytał Karim, ale w tej samej chwili kelner podał *kofte*, której zapach go zahipnotyzował. Uniósł oczy do nieba i wskazał półmisek wielkopańskim gestem.

– Częstuj się, przyjacielu.

Broll sięgnął po patyk otoczony mieloną jagnięciną z przyprawami, ale jedzenie nie było mu teraz w głowie. Otwierał usta, aby powtórzyć pytanie, ale Karim pogroził mu palcem:

– Nie waż się teraz mówić o interesach. Nie jesteśmy w bawarskiej piwiarni. Jedz i chwal Boga.

A to Bóg ugotował? – chciał spytać Niemiec, ale ugryzł się w język.

Gdy skończyli, Karim oblizał palce i poprosił kelnera o dwie porcje *om ali* – legendarnego puddingu chlebowego. Broll posłusznie milczał.

– Pytasz o to, czym przekonać szejków? – Egipcjanin wrócił do rozmowy, przechylając mikroskopijną filiżankę piekielnie mocnej kawy. – Tylko jednym. Trzeba powiedzieć, że to oferta biznesowa od Manfreda Brolla, człowieka, który do końca walczył o egipskie rakiety Al Zafir i Al Kahir, które miały spaść na Izrael.

– Podejmiesz się tego?

Karim Ali Hassan zmrużył oczy.

– Przejdziemy się? To bardzo piękny park.

Zapłacił rachunek z sowitym napiwkiem dla kelnera i wyszli.

– Widzisz, przyjacielu – Karim odezwał się po kilku krokach. – Ja również miałem wielki plan. Może nawet większy niż twój. Przygotowywałem się do jego realizacji przez ponad czterdzieści lat. Niestety, wymagało to

wyjazdu do Polski, gdzie nie miałem prawa wstępu, a potem jeszcze byłem ścigany listem gończym. Powierzyłem tajemnicę mojemu synowi...

– Pamiętam, zostawiłeś w Polsce dzieciaka, którego nigdy nie widziałeś.

– Widziałem. To znaczy zobaczyłem, jak miał osiemnaście lat. Zaraz po twoim powrocie do Niemiec udało się sprowadzić Marka do Kairu. Kochałem go. Mieszkał ze mną i szkolił się do misji związanej z moim planem. Był doskonale przygotowany. Pozostawało tylko czekać na okazję. Ta zdarzyła się na początku tego roku. Marco wyjechał do Polski, aby przeprowadzić całą akcję, ale... – głos Karima nagle uwiązł mu w gardle.

– Zginął? – spytał Broll z wyraźną troską.

– Gorzej – odparł Egipcjanin. – Zdradził mnie.

Zapadła cisza.

– Powiesz mi, o co chodziło? Co to była za tajemnica?

Karim wahał się przez dłuższą chwilę.

– Pod koniec wojny byłem świadkiem ukrycia w podziemnym bunkrze w Sudetach pojemników ze wzbogaconym uranem. Hitler chciał zbudować bombę atomową, ale za późno się do tego zabrał. Niestety.

Manfred Broll otworzył usta ze zdumienia.

– Twój rząd o tym wie?

Egipcjanin przecząco pokręcił głową.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wszystkiego, gdy mieszkałem w Kairze? Mogliśmy razem ze Skorzenym wydostać te pojemniki z Polski.

– Zachowywałeś się wtedy jak kolonialny gubernator Egiptu – westchnął Karim. – Nie ufałem ci. A Skorzenemu tym bardziej.

– Domyślałem się, że powierzyłeś tajemnicę Markowi.

Twarz Karima wykrzywił grymas bólu i wściekłości. Milczał, co było najbardziej wymowną odpowiedzią.

– Co się teraz dzieje z twoim synem? – spytał Broll.

– To już nie jest mój syn.

– W porządku. To co się teraz dzieje z Markiem?

– Z tego, co wiem, mieszka w Gdyni i zajmuje się nielegalnym wydobywaniem bursztynu. To gangster.

– Przykro mi, Karim. Domyślam się, co czujesz.

– Nie. Nie domyślasz się – stwierdził Egipcjanin. – On zabił moje marzenia, rozumiesz? Marzenia, które pielęgnowałem przez tyle dekad. Myślałem, że przekażę uran moim braciom i stanę się kimś wielkim dla sprawy państwa islamskiego. Takiego, jakim widział je największy wizjoner naszych czasów – Adolf Hitler. Potężnej Rzeszy Arabskiej. Silnej gospodarczo i militarnie. Oczyszczającej półwysep z trądu żydostwa. Nietykanej dla Ameryki, bo mającej broń atomową. Służyłem tej idei przez całe życie. Marco o tym doskonale wiedział. A jednak nie zawahał się mnie poniżyć i zhańbić.

Broll wyłapał dziwną emfazę w jego głosie i gestach. Tak zachowują się ludzie, którym zaczyna odbijać. Przeszło mu przez myśl, że niepotrzebnie tu przyjechał.

Karim nagle zatrzymał się na środku parkowej alejki.

– Pomogę ci, Manfred – oświadczył, jakby czytał w jego myślach. – Doprowadzę cię do sezamu z setkami milionów petrodolarów. A potem wypowiem zakłęcie Ali Baby.

Niemiec poczuł olbrzymią, radosną ulgę.

– Gwarantuję ci bardzo wysoką prowizję od pozyskanych...

– Nie chcę pieniędzy – przerwał mu Egipcjanin.

– A czego chcesz?

Karim spojrzał mu w oczy.

– Marka. Przynieś mi jego głowę.

ROZDZIAŁ 17.

Opole,
grudzień 1990 – marzec 1991 roku

Kapitan UOP-u Jan Tosidowski zasunął drzwi przedziału i ustawił się w kolejce do wyjścia z wagonu. Pociąg zwalniał, co dawało okazję, aby popatrzeć na Opole.

Dziesięciopiętrowe bloki na Zaodrze, po lewej zaśnieżona wyspa Bolko, potem przedwojenne wille na Pasiece. Dopasowywał obrazy do planu miasta, który studiował od kilku dni. Dobra orientacja w terenie sprawiała, że czuł się pewniej. Kiedyś w Budapeszcie doprowadził do miejsca zbiórki całą milicyjną wycieczkę, która zgubiła się w okolicach wzgórza Gellerta i nikt nie potrafił dogadać się z Węgrymi bezskutecznie pytanymi o drogę.

Pisk hamulców zapowiedział nagłe szarpnięcie, dlatego przytrzymał się klamki od drzwi przedziału, choć inni nie wpadli na ten pomysł i pasażerowie przed nim polecili do przodu niczym kostki domina. Wysiadali, złorzecząc Polskim Kolejom Państwowym, jakby to one były winne prawom fizyki.

Na peronie czekała Alicja, która przyjechała do Opola kilka dni temu razem ze szwagierką, by objąć obowiązki w nowym miejscu pracy.

Pocałował ją w policzek.

– Gdzie Marysia? – spytał lekko zaniepokojony.

– Wszystko w porządku – uspokoiła go żona. – Ma dziś pierwszy dyżur.

– A...?

– Nic się nie dzieje. Widziałam się z nią wczoraj i przedwczoraj. Była trzeźwa.

– Jak twój szpital?

– Pokażę ci, to niedaleko, na placu Kopernika – oświadczyła tonem kogoś, kto w Opolu spędził kilka dziesięcioleci, a nie dni. – Trochę stary

i zaniedbany, ale kończy się budowa nowego. Mają nas przenieść może w przyszłym roku. Ty wiesz, że będzie tam tomograf komputerowy?

Jana ucieszył jej entuzjizm. Bał się tych przenosin. Nie wiedział, jak zareagują na nie żona i siostra, zwłaszcza że obydwie miały już za sobą prywatny exodus z Wrocławia do Łądku. A jak mówi przysłowie: dwa razy się przeprowadzić to tak, jakby się raz spalić.

Wziął ją za rękę i poszli w stronę hotelu.

– Jak na randce – Alicja przytuliła się do jego ramienia. – Wiesz już, gdzie dostaniemy mieszkanie?

– Na osiedlu Chabry. Ósme piętro, ale jest winda. Jutro pójdziemy obejrzeć.

– Ładnie się nazywa – uznała.

Śniadanie zjadł sam.

Alicja zaczynała dyżur o szóstej, gdy restauracja hotelowa nie wydawała jeszcze posiłków. Spieszyła się. Przełożona pielęgniarek, jej nowa szefowa, była miła, ale punktualności i porządku pilnowała jak pruski kapral.

Wrócił do pokoju, przebrał się w garnitur i zawiązując szalik, spojrzął na plan miasta. Miał do pokonania jakieś siedemset metrów. Spacer. Stanowczo spacer.

Doszedł do nowoczesnej bryły teatru, przeciął ulicę Kośnego i wszedł w Matejki. Poślizgnął się i o mało nie przewrócił zapatrzony w eleganckie kamienice, do których wchodziło się po schodkach. Były zadbane, otulone niewielkimi ogródkami i wyglądały jak na pocztówce z ekskluzywnej dzielnicy Paryża albo Amsterdamu. W Łądku przyzwyczał oczy do widoku świetnej architektury, ale tamta miała jakoś mniej szczęścia do renowacji.

Skręcił w Grunwaldzką, zatrzymując się przed niewielkim pałacykiem. Numer na tabliczce przytwierdzonej do muru był tym, którego szukał. Pchnął furtkę i wszedł na teren posesji. W tym samym momencie dostrzegł ruch firanki w oknie na parterze. Mężczyzna, który ją odsunął, uniósł dłoń do góry na powitanie i wykonał zapraszający gest.

Jan zapukał do drzwi.

Otworzył mu człowiek zza firanki. Wysoki, dobrze zbudowany, z włosami niemal sięgającymi ramion. Miał pogodną, niemal uśmiechniętą twarz.

– Świerc – przedstawił się, wyciągając rękę.

– Melduje się kapitan Tosidowski, panie pułkowniku – Jan uściśnął dłoń szefa miejscowego UOP-u.

– Wiem, wiem. Pracowałem w komendzie z paroma kolegami z Gwardii Opole, którym spuściłeś niezły łomot. Mówili, że tańczyłeś na ringu jak nikt. Praca nóg to podstawa, co nie?

Tosidowski potwierdził.

– Sam kiedyś próbowałem boksu, ale lepsi szybko wybili mi to ze łba. Dosłownie i w przenośni – roześmiał się. – Chodź, pokażę ci twoje gospodarstwo.

Mieszkanie na parterze było tak wysokie, że bez trudu można by w nim zbudować antresolę. Odnowione, gładkie i pomalowane na biało ściany zwieńczała ozdobna faseta łącząca je sufitem. Na podłodze lśnił dębowy, dobrze wyfroterowany parkiet. W salonie ustawiono trzy proste biurka z tabliczkami znamionowymi Urzędu Ochrony Państwa, trzy biurowe krzesła i trzy niewielkie szafy. Rozmiar pomieszczenia sprawiał, że wyglądały jak meble dla krasnoludków.

W sąsiednim pokoju znajdował się stół konferencyjny, metalowa szafa na to, czego nie można było oglądać, i regał na to, co było można. W holu po prawej stronie od wejścia była wygodna łazienka, po lewej – skromnie urządzona kuchnia z jadalnią, a w niej kwadratowy stolik z metalowymi krzesłami obitymi dermą, pewnie z jakiejś resortowej kantyny. Za lodówką kryły się niskie drzwi prowadzące do ciemnej spiżarni.

– Tu możesz urządzić areszt – zażartował Świerc i wrócili do pokoju, a raczej sali ze stołem konferencyjnym.

– Pytania? Prośby? Komentarze? – spytał szef opolskiego UOP-u, gdy usiedli.

– Wszystko idealnie, panie pułkowniku. Nawet więcej. Nie spodziewałem się takich komnat.

– Nie przyzwyczajaj się. Kiedy skończy się twoja operacja, dostaniesz klitkę na Nysy Łużyckiej jak wszyscy. Tymczasem działasz tu i nikt o tobie nie wie. Nawet w firmie. Tak chce góra. Żeby nie było, że inwigiluje naszych przyjaciół Niemców.

Tosidowski wyczuł sarkazm i spojrzał na pułkownika uważniej.

– Trudno się tak przestawić z dnia na dzień, że ci, którzy byli największymi wrogami, teraz są naszymi braćmi. Co nie?

Tosidowski ścisnął usta, przywołując na twarz minę „co zrobić, takie życie”

– Jesteśmy obaj podejrzanymi pamiątkami po czasach słusznie minionych – powiedział Świerc. – Ty nosiłeś milicyjny mundur, ja cywilne ciuchy w безпеce. Byłem w kontrwywiadzie. Sekcja niemiecka – wyjaśnił.

– W sprawach twojej operacji raportujesz bezpośrednio do Kozłowskiego. Ale jakby co, dzwoń, zawsze pomogę. Zęby na tym zjadłem. Jestem tutejszy. Ślżak z Opola – dodał.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

– Dam ci dwoje dobrych ludzi. Porucznik Andrzej Waszczuk przyszedł ze służb wojskowych. Kozłowski z pewnością go zna i potwierdzi, że to bardzo sprawny oficer operacyjny. Cichy, precyzyjny, skuteczny. Skupiony na pracy. Druga siła fachowa to kapitan Ewa Turwid. W służbie od kilkunastu lat, zawsze w przestępstwach gospodarczych. Nie znajdziesz nikogo lepszego od firm, przedsiębiorstw i przekrętów finansowych. Prawniczka, oblatana w tych nowych spółkach. Sprytna na tyle, że mogłaby sprzedać i kupić tuzin panów prezesów w białych skarpetach i nawet by się nie zorientowali. Przyjechała z Poznania, nikt jej tu nie zna, śmiało może działać pod przykrywką.

– Kiedy mogę się z nimi spotkać?

– A do kiedy zostajesz?

– Chciałbym pojutrze wrócić do Łądka, pozamykać sprawy i załatwić przewóz gratów.

– Wobec tego jutro o dziesiątej – Świerc wyciągnął w jego stronę pęk kluczy. – Tu masz komplet. Od drzwi i szafy pancерnej. Teraz ty tu sprzątasz

– uśmiechnął się i wstał.

Tosidowski również.

– Aha – pułkownik jeszcze coś sobie przypomniał. – Mam ciotkę, kuzynkę mojej mamy. Jest już na emeryturze, ale ciągle w doskonałej formie. Przez wiele lat pracowała w bibliotece, po archiwach porusza się jak ryba w wodzie. Znajdzie wszystko i każdego, o kim kiedykolwiek powstała jakakolwiek wzmianka. Mrówa nieprawdopodobna. Na dodatek – perfekt niemiecki. Pracuje dorywczo dla Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, ale też wielokrotnie pomagała mi w poprzedniej robocie, przeszukując kwity. Zaufana. Jest cywilem, ale podpisała zachowanie tajemnicy i ma certyfikat bezpieczeństwa. Jakbyś chciał, mogłaby ci się przydać. Zna Opole od urodzenia, zna Niemców, zna ich archiwa. Już tu w UOP-ie wysyłałem ją dwa razy do Berlina.

– Bardzo chętnie – powiedział Tosidowski. – To może niech też jutro zajrzy.

– Po waszej pierwszej operatywce, o jedenastej? – upewnił się Świerc.

– Doskonale. Jak się ta pani nazywa?

– Małgorzata Gajda. Dla rodziny Margareta albo po prostu: Greta.

Nie wiadomo, skąd zerwał się mroźny wiatr, który pozamiatał z ulicy wczorajszy sypki śnieg i ukręcił z niego miniaturową trąbę powietrzną.

Jan Tosidowski chuchnął w dłonie.

Po tylu latach w Łądku zimy nie robiły na nim wrażenia, ale tam nosił grubą kurtkę na watolinie, ocieplane buty i wełniane rękawiczki, a do Opola wystroił się w jesienny płaszcz pasujący do garnituru. Z tego samego powodu na nogach miał półbuty na skórzanych podeszwach, dlatego drobił krocuki na oblodzonym chodniku i co chwilę unosił ręce jak solistka w *Jeziorze Łabędzim*.

Skręcił w Grunwaldzką i z daleka zauważył dwoje ludzi stojących przed willą, która miała być kwaterą główną operacji „Heimat”.

Kobieta mogła być w jego wieku, albo nawet starsza, ale bardzo zadbana. Wyglądała na arystokratkę. Idealnie prosta sylwetka, oszczędne

gesty, nienaganny strój. Beżowy zimowy płaszcz z gatunku tych, które najbliżej można kupić w Berlinie, eleganckie kozaki, doskonale dobrane dodatki – od rękawiczek po torebkę i oprawki okularów. Nikt nigdy nie domyśliłby się, że ta żywa ilustracja z paryskiego żurnala dla pań może mieć coś wspólnego z organami ścigania.

Mężczyzna był znacznie mniej ciekawy.

Ubrany nijako. Tak jak zaleca podręcznik, który radzi, co nałożyć, aby nikt tego nie zapamiętał i nie potrafił później podać rysopisu. Był wzrostu Jana Tosidowskiego i nawet go przypominał. Ciemna karnacja, czarne oczy i włosy. Gdyby chcieli wmówić komuś, że są spokrewnieni, nie mieliby z tym kłopotu.

– Dlaczego marzniecie na dworze? – spytał zamiast oficjalnego powitania.

– Bo pan kapitan ma jedyne klucze – odparł mężczyzna.

Jan skinął głową i otworzył patentowe zamki w drzwiach, po czym wypiął służące do tego klucze z metalowego kółka.

– Panie poruczniku – podał Waszczukowi. – Proszę dorobić dwa komplety. Dla siebie i dla pani kapitan – dodał i skinął głową Turwid. Tym samym prezentację mieli już za sobą.

Pięćdziesiąt minut później wiedzieli, co mają robić.

Dyskutowali, popijając kawę oparci o puste szafki w kuchni, gdy ścienny zegar nad stołem w jadalni dał znać, że jest jedenasta. W tym samym momencie rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi.

Tosidowski odbił się od szafki, żeby otworzyć, ale Waszczuk go ubiegł.

– Mam bliżej, kapitanie – wyjaśnił.

Za moment w przedpokoju dało się słyszeć radosne powitanie. Najwyraźniej porucznik znał się z ciotką szefa i była to znajomość pełna wzajemnej sympatii.

Jan wyszedł z kuchni powitać gościa.

Greta Gajda była szczupła, krótko ostrzyżona i energiczna, mimo swoich sześćdziesięciu ośmiu lat. Miała twarz budzącą zaufanie i mądre oczy,

które natychmiast rejestrowały i przetwarzały obrazy. O takich ludziach mawia się, że potrafią przejrzeć innych na wylot.

– Przepraszam, że się gapię – odezwała się, wyciągając rękę, ale jesteście z Andrzejem podobni jak bracia.

– Nic mi o tym nie wiadomo – uśmiechnął się Tosidowski. – Z tego, co wiem, tato był wierny mamie.

Waszczuk z Gretą wymienili spłoszone spojrzenia, sądząc, że kapitan uznał uwagę za nietakt.

– Po prostu podobny typ urody – dodał Jan, żeby oczyścić atmosferę.

– Jesteśmy w Opolu – powiedziała Greta, zdejmując kurtkę narciarską, pod którą miała grubą wełnianą golf. – Dlatego nie zadaję pytania: „Skąd pan pochodzi?”, tylko skąd pochodzą rodzice. Wszystko się tu po wojnie przemieszało, więc...

– Jestem Grekiem – odparł Jan. – Obydwoje rodzice pochodzą z Salonik. Ojciec był specem od materiałów wybuchowych i bohaterem ruchu oporu. Po wojnie osiedlił się wraz z mamą w górach Pindos, niedaleko Albanii. Tam się urodziłem.

Greta uniosła brwi, ale nie było w tym zdziwienia.

– Zaskoczyłem panią?

– Nie... Może przez chwilę. Przepraszam. Mój mąż zginął w Grecji.

Jan chrząknął zakłopotany.

– Zginął w walce z partyzantami. W pułapce minowej zastawionej przez kogoś, kto się na tym znał.

Zapanowała kłopotliwa cisza.

– Przykro mi z powodu śmierci pana Gajdy – powiedział Jan. – Jeśli moje pochodzenie...

– Mąż nosił inne nazwisko – wyjaśniła Greta. – Po jego śmierci wróciłam do pańskiego. A pańskie pochodzenie nie ma nic do rzeczy. Nie pan i nie pańscy rodacy przymusowo wcielili Herberta do wojska i wysłali do Grecji. Zrobili to Niemcy – dodała zimno.

Tosidowski zrozumiał, że ta kobieta nie pomaga kontrwywiadowi, bo nudzi się na emeryturze.

Przed świętami udało się przewieźć rzeczy.

Wprawdzie pokój, który miał być sypialnią, ciągle pełnił funkcję magazynu pudeł, paczek, walizek i ubrań oblepiających krzesła na kształt kopców termitów, ale salon był już domem.

Jak niewiele trzeba – myślał Jan, wieszając na ścianie oprawiony w prostą ramkę pejzaż lazurowego morza i białych chat z niebieskimi oknami. Godzinę temu to pomieszczenie było puste i obce, ale wystarczył obrazek, dywan na podłodze, wersalka i stół z krzesłami, aby zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej dłoni Hestii, greckiej bogini domowego ogniska.

Święta mieli spędzić we dwoje z Alicją.

Syn zakochany po uszy pierwszą studencką miłością wyjechał do dziewczyny. Oczywiście, podobnie jak ojciec, za nic nie przyznałby się do uczuć, dlatego twierdził, że podjął taką decyzję z powodów kulturowych. Chciał być na tradycyjnej polskiej wieczerzy poprzedzającej Boże Narodzenie. Zjeść smażonego karpia, śpiewać kolędy i iść na pasterkę.

Faktem jest, że Wigilia Tosidowskich była dość osobliwa.

Obchodzili ją 24 grudnia, jak sąsiedzi, ale lista dalszych podobieństw była krótka. Alicja, katoliczka, wprowadziła do repertuaru wieczoru postne pierogi, śledzie, makowiec i opłatek, ale Jan – wnuk prawosławnego księdza z Salonik – musiał mieć *kataifi*, orzechowe ciasto bez mąki. I danie z siekanego mięsa wieprzowego umieszczonego między warstwami kapusty, mocno doprawione pieprzem i czosnkiem. Alicja nauczyła się je przyrządzać, co było o wiele łatwiejsze niż wymówienie nazwy potrawy. Wigilia kapitana Tosidowskiego przypadała dopiero za trzynaście dni, menu było kwestią ekumeniczną.

Marysia wzięła dyżur.

Kiedy do niej zadzwonił z wiadomością, że mają już mieszkanie, bardzo się ucieszyła.

– Zapraszamy na parape... – trochę za późno ugryzł się w język.

– Nie martw się, Janis – powiedziała. – Mam prawdziwy grecki sok pomarańczowy w puszcze. Przyniosę. Nim wzniesiemy toast.

– Fantastycznie! A może przyjdiesz w Wigilię?

– Kurczę, już się zgodziłam na dyżur.

– Nie możesz tego odkręcić?

– Nie bardzo.

– Może cię aresztuję? – zażartował. Dawno nie rozmawiali tak swobodnie.

– Zadzwoń jutro. Może uda się zamienić z kimś na pierwszy lub drugi dzień świąt.

Udało się.

Po siedemnastej zapowiedział ją gong zamontowany na drzwiach.

– *Kataifi* pachnie aż w windzie – powiedziała i ucałowała Alicję w obydwie policzki. – Powinnaś zostać honorową obywatelką Grecji.

– Świetnie wyglądasz, Marija – odwdzięczyła się prawdziwym brzmieniem jej imienia.

Mówiła prawdę. Bliźniaczka Jana, starsza od brata o dwadzieścia minut, miała gładką cerę i piękne czarne oczy, których urody nie zakłócało przekrwienie po alkoholu. Delikatny makijaż i elegancki strój były kolejnym dowodem na to, że zaczęła o siebie dbać.

– Dzwoniłaś do mamy? – spytał Jan.

– Udało mi się przedwczoraj – Marysia z jego pomocą wydobyła się z zimowego płaszcza. – Świetnie jej zrobił ten wyjazd do Salonik. Krewni nie chcą jej wypuścić. Może wróci dopiero w połowie stycznia, po Bożym Narodzeniu.

– Chodź do pokoju – zachęcił ją brat, gdy Alicja przeprosiła i zniknęła w kuchni.

– No właśnie! Pokazuj mieszkanie.

Chwaliła wszystko, nawet graciarnię.

– O, jak pięknie – rozczuliła się na widok udekorowanego stołu w salonie. – Cztery nakrycia? Dla zbłąkanego wędrowca? Przyjąłeś polski obyczaj?

– Wpadnie kolega z pracy – wyjaśnił.

Twarz siostry stężała.

– Co ty kombinujesz, Janis?

Zmieszał się. Dopiero teraz do niego dotarło, że Marysia może odebrać to opacznie. Po tym, co przeżyła w Łądku, nie chciała słyszeć o mężczyznach.

– Swatasz mnie? – spytała purpurowa z gniewu. – Już zapomniałeś?

– Nie. To nie tak. Źle to rozumiesz. On jest sam. Pomyślałem...

– To dlatego tak ci zależało, żebym się zamieniła na dyżur? Wiesz co? Wychodzę.

Alicja stanęła w drzwiach zaniepokojona jej podniesionym głosem.

– Nie będziesz mną manipulował!

– Marija – Jan był niemal przerażony. – Przysięgam ci, że nawet mi to przez myśl nie przeszło! Wczoraj się dowiedziałem, że mój nowy współpracownik spędza samotnie Wigilię. Po prostu żal mi się go zrobiło. Nie pomyślałem.

Gong, który odezwał się w tym samym momencie, zabrzmiał jak zakończenie rundy.

Andrzej Waszczuk wszedł do przedpokoju z uprzejmą miną gościa, który odwiedza kogoś po raz pierwszy, ale na widok wzburzenia Marysi uśmiech mu zgasł. Pewnie wziął ją za panią domu, wściekłą, że mąż sprowadził na wigilię nieproszonego, obcego człowieka. Sytuacja w przedpokoju zaczynała przypominać generator wysokiego napięcia.

– Moja siostra – powiedział Jan i zerknął za plecy Marysi.

– Alu, pozwól. To jest pan porucznik, o którym ci opowiadałem.

– Andrzej – przedstawił się gość, podając rękę żonie szefa, a potem zawiesił ją w powietrzu i cofnął. Siostra najwyraźniej nie była skłonna do powitań.

– Ja właśnie... – zaczęła, szukając wymówki usprawiedliwiającej wyjście, ale Alicja spiorunowała ją wzrokiem.

– Marysiu – powiedziała karcącym tonem. – Pomożesz mi z zupą?

Przez dobrą minutę przy stole słyhać było tylko dźwięki łyżek dotykających talerzy wypełnionych grzybówką z łazankami.

– Jesteście państwo bardzo podobni z panem kapitanem – zauważył Waszczuk, zwracając się do Marysi najcieplej, jak potrafił.

Ale brunetka siedząca po jego prawej ręce pozostała lodową rzeźbą.

– Pan też jest Grekiem? – wypaliła w odpowiedzi.

– Może i jestem – stwierdził.

Oczy Marysi zapłonęły nowym gniewem. Odłożyła łyżkę.

– To miał być żart? – syknęła.

– Nie, proszę pani – odparł. Ta kobieta zaczynała go irytować. – To nie jest żart. Wychowałem się w domu dziecka. Nigdy nie znałem rodziców, a nazwisko, które noszę, otrzymałem z urzędu. W podstawówce dzieci uważały mnie za Cygana. Koledzy w wojsku za bękarta. Kiedy powstał słynny szpital w Łodzi, mówili, że powinien tam być specjalny oddział dla takich jak ja: Centrum Zdrowia Matki Polki i ojca Araba. Więc jeśli pani lepiej się z tym poczuje, to mogę być Grekiem.

Ewa Turwid weszła do kuchni, nalała sobie szklankę wody z kranu i rozpuściła w niej dwie tabletki aspiryny.

– Przeziębiałaś się? – spytał Tosidowski, siedzący w jadalni nad talerzykiem z kanapkami. Od dwóch miesięcy byli po imieniu. Jan nie wytrzymał kolejnej wymiany w stylu: „Proszę o raport, pani kapitan” – „Proszę bardzo, panie kapitanie” – „Dziękuję, pani kapitan”. Wydało mu się to kapitalnym absurdem i wydał rozkaz przejścia na ty.

Waszczuk dostąpił spoufalenia nieco wcześniej, podczas pamiętnej wigilii u Tosidowskich. Zapowiadała się na nieuchronną katastrofę, a skończyła rumieńcem wstydu siostry szefa, przeprosinami i naprawdę miłym wieczorem.

– Nie, nie przeziębiałam się – oświadczyła Turwid. – To kac. Kac operacyjny.

– A cóż to za okazja? – chciał wiedzieć Jan.

– Lokalne „biznesmeny” zaprosiły mnie wczoraj na koktajl – stwierdziła, drwiąco podkreślając ostatnie słowo. – Oni wiedzą, co to koktajl – pogardliwie pokręciła głową, w której nadal obracała się karuzela. – Boże jedyny. Co za buractwo. Na wielkopolskich dożynkach wojewódzkich nie widziałam tyle słomy, ile im wystaje z butów.

– To po co z nimi piłaś?

– Po co? Dla Polski. Te ćwoki wiedzą więcej o prywatyzacji opolskich firm niż Ministerstwo Przekształceń Własnościowych. Warszawka skupia się na tym, żeby byli dostojnicy partyjni nie uwłaszczali się na majątku państwowym. Niemców mają gdzieś, choćby chcieli kupić Westerplatte i zamienić w lunapark ze strzelnicą.

– Dowiedziałaś się czegoś ciekawego?

– Yhmm.

– Powiesz?

– Muszę jeszcze sprawdzić parę tropów.

– Broll ci gdzieś wypłynął?

– Jest ostrożny i wyjątkowo sprytny. Ale założę się, że na Opolszczyźnie ma już parę spółek, które kupują udziały w przedsiębiorstwach. Oczywiście nigdzie nie figuruje osobiście. Podstawia firmy z Niemiec. Ciotka Greta je sprawdza.

– Sprawdza? Gdzie? – spytał zaskoczony.

– W Niemczech.

– Jak to w Niemczech?

– Normalnie. Zwraca się do tamtejszych instytucji, które prowadzą rejestr spółek handlowych. Tam obowiązuje sprawozdawczość, a takie informacje jak wysokość kapitału, skład zarządu, udziałowcy, bilanse i profil działalności – są jawne. Greta o nie prosi, a oni przysyłają.

– Jak prosi? – zdumienie Tosidowskiego rosło z minuty na minutę.

– W oficjalnych pismach.

– Jako kto? UOP?

– No coś ty! – Ewa Turwid popatrzyła nie niego jak na wariata. – Założyłyśmy sobie Polsko-Niemiecką Izbę Współpracy Gospodarczej. Greta

jest prezesem, ja wice.

– Jak to „założyłyśmy sobie”?

– Normalnie. Dziś stowarzyszenie zakładasz w urzędzie w pięć minut. Papier firmowy wydrukuję ci każdy zakład poligraficzny, a pieczętkę możesz sobie wyrobić na gębę. Jaką tylko chcesz. Cała reszta to lipa. Greta pisze, że Izba jest zainteresowana wymianą handlową z niemiecką spółką, dlatego potrzebujemy jej *dossier* z rejestru. Dostajemy to od ręki. Jeszcze nam życzą dobrej współpracy.

– Skąd wiecie, o które spółki pytać?

– Dlatego piję z biznesmenami – wytłumaczyła. – Po pół litrze na głowę robią się bardzo rozmowni. Sypią informacjami jak z rękawa. To sępy polujące na umierające przedsiębiorstwa. Doskonale wiedzą, którymi interesują się Niemcy.

– Po połówce na głowę? – nie uwierzył Jan. – I ty dotrzymujesz im kroku? Zawsze sądziłem, że wypijasz na przyjęciu najwyżej kieliszek szampana.

– O, to bardzo miłe jest – stwierdziła, ale niestety muszę cię rozczarować. Upijanie się z mężczyznami to doskonała metoda pozyskania informacji.

– Pod warunkiem, że je pamiętasz – skomentował kąśliwie.

– Pół litra wódki nie robi na mnie żadnego wrażenia. Przed akcją wypijam pół kieliszka oliwy i dwa-trzy litry wody.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– W Moskwie. Spędziłam tam jakiś czas. A, i jeszcze coś. – Turwid rozkręciła się w udzielaniu pijackich rad. – Nie wolno mieszać alkoholi, a jeśli już mieszasz, to pamiętaj: nigdy nie spożywaj słabszych trunków po mocniejszych. Odwrotnie, owszem.

– Najpierw słabsze, potem mocniejsze – powtórzył Tosidowski, zastanawiając się, czy Marysia o tym wie.

– Dokładnie tak. Jest taka zasada: *Beer after whisky is risky. Whisky after beer is clear.*

– To też z Moskwy?

Popatrzyła na niego skonsternowana pytaniem.

– Z Londynu.

– Tam również piłaś dla Polski?

– Oczywiście – uśmiechnęła się szeroko.

– No nieźle. – Jan podrapał się w policzek. – Pijaństwo obliczone na zdobycie informacji i fikcyjna Polsko-Niemiecka Izba Gospodarcza. Będzie cyrk, jak to się wyda.

– Nie wyda się.

– Gdzie przychodzi korespondencja z Niemiec?

– Tu. To jest oficjalna siedziba Izby – pokazała palcem podłogę w jadalni. Pokręcił głową.

– Nie masz się czym martwić. Dzięki temu Greta znalazła już dwie ciekawe firmy ze Stuttgartu zainteresowane kupnem fabryk w Nysie i Głuchołazach. Przedstawiły się jako „wiodące” na rynku Republiki Federalnej, a powstały parę tygodni temu. To wydmuszki. Głowę dam, że należą do spisku Brolla.

Zanim Tosidowski zdążył sformułować komentarz, otworzyły się drzwi wejściowe i rozległo obtupywanie butów ze śniegu. Był już marzec, ale zima nie zamierzała dać za wygraną.

Chwilę później do jadalni wszedł Andrzej Waszczuk, wymachując trzymaną w dłoni broszurą.

– Tu jesteście – stwierdził. – Macie, zobaczcie.

Jan sięgnął po podłużny arkusz kredowego papieru złożonego na sześć części tworzących wygodną książeczkę z tytułem wydrukowanym tłustą czcionką na pierwszej stronie: „Śląsk. Kraj niemiecki”

– Co to jest? – spytał.

– Ulotka, którą ktoś rozdaje po wsiach i małych miasteczkach. Głównie tam, gdzie od paru tygodni jak grzyby po deszczu powstają terenowe koła Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Opolszczyźnie.

– Skąd wiesz?

– Mam u nich informatora. Jeszcze z czasów wojska.

– Wiedzą, kto to kolportuje? – Tosidowski popukał palcem w broszurę leżącą na blacie stołu.

– Twierdzą, że nie. Ale jakiś czas temu szefostwo mniejszości niemieckiej w Gogolinie odwiedził gość o rysopisie, który łatwo dopasować do Brolla. Przyjechał ciemnoszarym mercedesem S-klasą na niemieckich tablicach. Z kierowcą wyglądającym jak ochroniarz.

– Dowiedziałeś się, czego chciał?

– Obiecywał pieniądze dla mniejszości od rządu w Berlinie. Pomoc dla wsi, środki na budowę dróg, domów kultury i pływalni. Ponoć słuchali go i ślinka im ciekła, dopóki nie zaczął nawijać, że Śląsk powinien najpierw odbudować swoją dawną świetność, a potem wrócić do Niemiec. Chłopacy z Gogolina trochę się zdenerwowali i powiedzieli, że oni chcą działać dla dobra Niemców w Polsce, a nie zmieniać granice i burzyć porządek w Europie. I że samo podejrzenie o coś takiego mogłoby im mocno zaszkodzić.

– I co? – spytała Ewa Turwid.

– Nic – odparł Waszczuk. – Facet wstał i odjechał. A parę dni później pojawiła się ta broszura.

– Czytałeś ją? – wtrącił się Tosidowski. – Można to podciągnąć pod działalność antypaństwową albo wichrzycielstwo?

– Nie ma szans – odparł Waszczuk. – Ani jednego złego słowa o Polsce czy Polakach. Mapki, wykresy, sylwetki wybitnych uczonych, ludzi kultury i arystokratów ze Śląska, oczywiście z „von” przed nazwiskiem. No i argumenty. Dziesiątki argumentów, że to zawsze był i jest kraj niemiecki, który po wojnie Polska po prostu dostała w zarządzanie, co było sprzeczne z prawem międzynarodowym i nielegalne.

– Było? – Jan spojrzał na Ewę Turwid.

– Można tak interpretować prawo na korzyść Niemców. Ale to już historia. Ogólnoniemiecki rząd właśnie uznał zachodnią granicę Polski i jest po sprawie. O żadnej nielegalności nie ma już mowy.

– Nawołują tu do czegoś? – Tosidowski wrócił do broszury.

– Nie wprost. Ale wyraźnie piszą o konieczności powrotu Śląska do Niemiec. Oczywiście – sięgnął po ulotkę, zerknął na jej ostatni akapit i zacytował: „Przy pomocy środków pokojowych”

– Oczywiście – zakpił Jan. – A jak ty to wszystko tłumaczysz? – zwrócił się do Waszczuka.

– Moim zdaniem Manfred Broll uruchamia drugi front. Poza przejmowaniem firm, wykupywaniem ziemi i budynków spróbuje namieszać w głowach tutejszym.

– Po co? – uprzedził pytanie Tosidowskiego. – Żeby uzyskać społeczne poparcie dla swojej akcji. Najłatwiej manipulować ludźmi, których się ogłupi, okłamie, zaapeluje do ich patriotyzmu i wskaże im wroga. Z takimi można wszystko.

– Myślisz, że posuną się do jakichś konkretnych działań? – spytała Ewa Turwid.

– Nie myślę – odpowiedział Waszczuk. – Jestem pewien. I nie każą nam zbyt długo czekać.

Ciemnoszary mercedes 500 SE zatrzymał się na światłach przy dawnej Breslauerstrasse, a kiedy rozbłysło zielone, skręcił na południe. Minął most na kanale Ulgi i pusty plac, na którym po wojnie przystawały cyrkowe namioty przywożące miastu rozrywkę. Znow skręcił w lewo, przejeżdżając obok koszar 10. Sudeckiej Dywizji Pancerniej, którą przez ostatnie czterdzieści lat szkolono do walki z Bundeswehrą. Na placu stało kilka czołgów wyraźnie zakłopotanych sytuacją.

– Jak się nazywała ta cholerna wieś? – spytał Manfred Broll zapatrzonej w wozy bojowe za ogrodzeniem jednostki.

Konrad, trzydziestoletni nazista ze Stuttgartu, urodzony na wsi pod Opolem, zerknął na karteczkę przyczepioną do deski rozdzielczej.

– Chrząszczyce.

Broll próbował powtórzyć, ale wywołało to tylko atak irytacji i soczyste przekleństwo.

– Co za piekielna nazwa. Polaczki chyba specjalnie taką dali, nam na złość.

Konrad wzruszył ramionami. Szczerze mówiąc, miał to gdzieś. Lubił przyjeżdżać z szefem do Polski. Prowadził auto, za którym jedna połowa

miejscowych się oglądała, a druga chciała je ukraść. Dostawał sowite wynagrodzenie, spał w dobrych hotelach, a na wiejskich dyskotekach był spełnieniem marzeń dziewczyn, które okazywały mu daleko idącą przychylność w zamian za obietnice, że zabierze je do Reichu. Historia i polityka kompletnie go nie interesowały.

– Daleko jeszcze? – spytał Broll.

– Jedna wioska po drodze i będziemy na miejscu – odparł, zerkając na zegarek. Za dziewiętnaście minut miał zjeść banana, sto pięćdziesiąt gramów gotowanej piersi kurczaka i dwieście ryżu. Na masę. Wszystko miał odliczone jak w aptece i schowane w plastikowym pojemniku. Od paru lat robił postępy w kulturystyce.

Zaparkował przed kościołem.

Wyszedł, stanął na chodniku i przez kilka minut przypatrywał się ludziom, szukając odpowiedniej osoby. Wybór padł na starszą, zgarbioną kobietę niosącą do kościoła kwiat w doniczce. Miała na sobie szarą kurtkę bez wątpienia przysłaną w paczce z Niemiec.

– *Grüss Gott* – zaryzykował Konrad, dochodząc do wniosku, że jeśli trafił na repatriantkę, to babcia najwyżej minie go bez słowa.

Ale ta się zatrzymała i spojrzała z zaciekawieniem.

– Do grobu Pana Jezusa? – wskazał oczami doniczkę i spytał ze śląską intonacją zakodowaną w dzieciństwie.

– Do grobu – potwierdziła. Była zdumiona zachowaniem łysego wielkoluda o ramionach jak gałęzie dębu, który potrafił być uprzejmy i znał się na sprawach wiary. – Wielkanoc za dziesięć dni.

– Mom do vos pytanie – Konrad użył formy oznaczającej szacunek dla starszych. – Szukom jednyego chopa, lo kerego mom geszenk z Reichu.

Manfred Broll obserwował scenę pod kościołem przez przednią szybę mercedesa, wokół którego zgromadziło się kilku wyrostków wpatrzonych w auto jak w rozkładówkę „Playboya”

Babcia, którą zaczepił Konrad, najpierw potakująco pokiwała głową, a potem odstawiła doniczkę na przykościelny murek i zaczęła coś tłumaczyć, pomagając sobie gestami obydwu rąk. Na koniec Konrad

ładnie się uklonił i pewnie podziękował, bo kiedy się odwrócił, wracając do auta, kobieta patrzyła za nim znacznie dłużej, niż nakazuje zwykła ciekawość.

– Wszystko wiem – powiedział, podchodząc do drzwi pasażera, gdy Broll opuścił elektryczną szybę.

– Wsiadaj – zarządził.

– To pięćset metrów stąd. Łatwiej dojść pieszo.

– Wsiadaj – powtórzył Broll. – Nie zostawię auta w środku wsi na oczach wszystkich. Już się tu kręci paru cwaniaków w skórzanych kurtkach. Jechali oplem manta. Od razu zwolnili na jego widok. Jeśli to złodzieje...

– Niech spróbują – Konrad poruszył głową jak zapaśnik przed walką, aż zatrzeszczały kręgi szyjne. Wsiadł za kierownicę, przez chwilę porównywał obraz wsi ze wskazówkami babci i ruszył powoli wąską drogą obok kościoła.

Po dwóch minutach dojechali na miejsce.

– Mogę zostać, szefie? – spytał.

– Pora karmienia? – zażartował Broll i udzielił zezwolenia wielkopańskim gestem dłoni. Wysiadł, wygładził płaszcz, otworzył drewnianą furtkę, z której schodziła stara olejna farba, i wszedł na niewielki ganek.

Zastukał do drzwi.

Usłyszał szuranie podeszew w sieni, a potem zgrzyt zamka i skrzypnięcie zawiasów. W progu stanął szczupły mężczyzna, wyglądający znacznie młodziej od Manfreda. Miał łysą czaszkę i gęste, krzaczaste brwi. Jego profil mógł się skojarzyć z zarysem głowy drapieżnego ptaka. Jastrzębia albo nawet orła. Ubrany był w czarne sztruksowe spodnie i kraciastą flanelową koszulę zapiętą na ostatni guzik pod szyją.

Wpatrywał się w gościa, który wydawał mu się znajomy, ale najwyraźniej miał kłopot z identyfikacją.

Manfred Broll wybawił go od wysiłku przeszukiwania pamięci.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Witaj, Bruno. Sto lat cię nie widziałem.

ROZDZIAŁ 18.

Opole – Rijad – Kair,
marzec – kwiecień 1991

Janoszek zamarł jak postać z bajki zamieniona w bryłę lodu.

Żyły w nim tylko oczy. Wędrowały po twarzy Brolla, wpatrywały się w niego, jakby wrócił z zaświatów.

Powoli topniał.

Najpierw drgnęły mu dłonie, potem odzyskał władzę w ramionach. Uściskali się, przez dłuższą chwilę trwając w objęciach.

– Manfred – szepnął wzruszony. – Wierzyć się nie chce, że to naprawdę ty. Chodź, chodź do domu – usunął się, puszczając gościa przodem i poklepując po plecach.

– Co u ciebie? – spytał Broll, podnosząc głos, żeby gospodarz usłyszał go z kuchni, w której przygotowywał kawę.

– A jak widzisz – odpowiedział Bruno, wchodząc do pokoju z tacą, na której niósł dwie filiżanki, talerzyki, niewielki dzbanek od kompletu i paterę z ciastem. Ręce miał ciągle pewne.

– Ładnie mieszkasz.

– Kupiłem ten domek trzy lata temu i wyremontowałem własnymi siłami. Dużo ludzi wyjechało wtedy do Niemiec na stałe. Sprzedawali za bezcen, byle się uwolnić od Polski.

Broll upił łyk kawy z wyraźnym zadowoleniem.

– Świetna – uznał, choć wcale tak nie było.

– Po egipsku zaparzyłem. Pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć. Co się z tobą działo, przyjacielu, po tym, jak wyjechałeś z Kairu? Przepadłeś jak kamień w wodę.

Bruno zmarkotniał.

– Byłem w więzieniu. Siedem lat.

– O cholera – zaklął Manfred. – A wiesz, że tego się obawiałem. Ostrzegałem cię, żebyś nie jechał, pamiętasz? Po co ci to wtedy było? Przez wiele lat się zastanawiałem i nie znalazłem odpowiedzi.

– Chciałem się zobaczyć z matką – wykręcił się Bruno, ale nie zabrzmiało to zbyt wiarygodnie.

– Za co cię zamknęli?

– Za SS.

– Jasne.

– A potem, jak już wyszedłeś, nie mogłeś mnie odszukać? Wrócić do Stuttgartu?

Janoszek na moment zacisnął usta.

– Nikt by mi nie dał paszportu, Manfred. Przez cały ten czas miałem przyklejoną na czole etykietkę esesmana. Gdybym zaczął cię szukać i pisać do RFN, jak nic zrobiliby ze mnie niemieckiego szpiega.

– Skąd wiedzieli o SS?

– Pamiętasz „Flinka”? Skurwiela, który chciał udusić Herberta i w którego rzuciłem bagnetem?

– Od tego zaczęła się nasza przyjaźń.

– Jego matka sprzedała mnie milicji. Wiedziała, gdzie służyłem, napisała donos. Z zemsty.

– Odpłaciłeś jej?

– Można tak powiedzieć.

– Co robiłeś przez te wszystkie lata po więzieniu?

– To, co przed wojną. Pracowałem w cyrku.

– Żartujesz?

– Nie – uśmiechnął się. – Jestem emerytowanym artystą Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych w Warszawie.

– Rzucałeś nożami?

– No przecież, że nie tresowałem kanarków – roześmiał się Bruno. – Napijemy się po jednym? Chyba że ty samochodem...

– Mam kierowcę.

Janoszek podszedł do barku i wydobył karafkę z nalewką.

– Z czarnej porzeczki – wyjaśnił. – Domowej roboty.

Stuknęli się kieliszkami.

– Za spotkanie.

– *Prosit* – odparł Manfred.

– Jak mnie znalazłeś? – zainteresował się Bruno.

– Po wspomnieniach. Mój kierowca mówi po polsku, więc najpierw dowiedział się, że twoja szemrana dzielnica Odervorstadt, o której tyle opowiadałeś, nazywa się teraz Za... – utknął.

– Zaodrze – pomógł mu Janoszek.

– No właśnie. Pojechaliśmy do najstarszych domów nad samą rzeką i Konrad zaczął wypytywać o ludzi, którzy mieszkali tu przed wojną. Znalazł jednego dziadka. Stary był podpity i nazwiska nie kojarzył, ale jak się dowiedział, że chodzi o gościa, który rzucał nożem, od razu mu się rozjaśniło. To on nam powiedział, że po śmierci matki kupiłeś dom w tej wsi, której nazwy nie wymienię, choćbym chciał. Mówisz, że dużo ludzi stąd wyjechało do Niemiec?

– Dużo. Ale ci, co zostali, też czują się Niemcami. Mają po dwa paszporty, tam pracują i zarabiają, tu wydają. Żyć nie umierać, biorąc po uwagę wartość marki i złotówki.

– A ty?

– Ja też wystąpię o niemiecki paszport. Za stary jestem, żeby układać kostkę brukową albo pracować na budowie jak większość sąsiadów, ale pomyślałem, że schowam sobie w szufladzie razem z polskim. Przez całe lata nie wolno mi było mieć żadnego paszportu, to teraz będę miał dwa.

– Domyślam się, że na grób brata też nie mogłeś pojechać – zaczął ostrożnie Manfred.

– Nie. Chciałbym w tym roku na jesień, jak przyoszczędzę trochę grosza. Ciągłe pamiętasz o Herbercie. Dziękuję.

Broll układał coś w myślach.

– Wiesz co? – powiedział po chwili. – Wybierzmy się tam razem. Co ty na to? Wyprawa starych kamratów na wyspę Rodos połączona z oddaniem hołdu towarzysowi broni. Wszystkie koszty biorę na siebie.

Janoszkowi zaszklily się oczy.

– Nie zapomnę ci tego, Manfred. Jesteś prawdziwym przyjacielem. Ale najpierw pojedę sam. Mam tam coś do załatwienia.

– Nadal szukasz zemsty?

– Rachunki muszą zostać wyrównane – odparł Bruno.

Broll domyślił się, że Bruno będzie po latach szukał zemsty, ale udał, że nie skojarzył jego oświadczenia. Odpowiedział uśmiechem.

– Nie powiedziałaś, jak żyjesz i co cię sprowadza do Polski – stwierdził Janoszek.

– Mam pewien wielki plan – oświadczył Broll niemal uroczyście. – Ale to nie czas i nie miejsce. Dziś chciałem odszukać starego przyjaciela i to się udało. Nie ma nic ważniejszego. Świętujmy.

Bruno napełnił kieliszki nalewką.

– Ale jeśli jesteś ciekaw, co wymyśliłem. – Manfred spojrzał na niego badawczo. – To zapraszam jutro o czternastej na obiad. Zatrzymałem się w Zajeździe Kasztelańskim. Bardzo dobra restauracja. Znasz?

– Tak. Przecież to na Zaodrze. Byłem dwa czy trzy razy. Rzeczywiście dobrze dają jeść, ale strasznie drogo.

– Tym się nie przejmuj. Masz się jak dostać?

– Jest jakiś autobus do Opola. Koło południa. A jak nie, to zabiorę się stopem.

– O wpół do drugiej podjedzie po ciebie Konrad – zdecydował Broll i podniósł kieliszek:

– Za powrót starych, dobrych czasów, przyjacielu.

Karim Ali Hassan przyklęknął, aby zasznurować buty, które zdjął przed wejściem do meczetu na lotnisku Króla Chalida w Rijadzie.

Wstał, namacał w kieszeni muzułmański różaniec, z którym nie rozstawał się od czasów wojny, i pochylił głowę, aby raz jeszcze podziękować Allahowi za udane spotkanie.

Przyleciał wczoraj z Kairu porozmawiać z przyjaciółmi, z którymi łączyła go idea państwa islamskiego. Kolację zjedli w gronie kilku osób, które

wkrótce dyskretnie się ulotniły, zostawiając Karima z dwoma Saudyjczykami. To oni podejmowali decyzje. Mieli za sobą bajecznie duże pieniądze z handlu ropą naftową i mogli dużo. Bardzo dużo.

Z kamiennymi twarzami wysłuchali propozycji wsparcia działań Manfreda Brolla na Śląsku. Polska była dla nich nieistotną planetą w dalekiej galaktyce, ale nazwisko człowieka, który nadzorował budowę raket dla Egiptu, zrobiło swoje.

– Ile pieniędzy on potrzebuje? – spytał starszy z Saudyjczyków. Mimo że to on z racji wieku miał prawo zadania pierwszego pytania, Karima uderzyła niezwykła jednomyślność obydwu rozmówców. Nigdy na siebie nie patrzyli, a jednak kiwali lub kręcili głowami idealnie w tym samym momencie, jakby mieli jeden mózg i ten sam układ nerwowy.

– To nie kwestia dotacji, ale udziału w biznesie – raz jeszcze wyjaśnił Karim. – Niemcy chcą kupić przedsiębiorstwa w tym regionie, aby kontrolować gospodarkę i mieć decydujący głos w sprawie przyszłości Śląska. Docelowo dążą do tego, aby te ziemie wróciły do nich.

– Chcą wywołać tam wojnę? – spytał młodszy.

– Nie. Myślą o pokojowym przejęciu. Biznes, który trafi w ich ręce, będzie się rozwijał i przynosił zyski. Dziś wy kupicie w nim udziały, a jutro możecie je sprzedać za dwa razy taką sumę. Niemcy chętnie odkupią, jak już się tam umocnią. To gospodarni, pracowici ludzie. Znają się na tym.

– Jaką branżą chcesz nas zainteresować?

Karim był dobrze przygotowany przez Brolla.

– Cementową. W miejscu, o którym mówię, są bardzo bogate złoża minerałów, z których się go robi, ale również liczne cementownie. Teraz, gdy Polska się prywatyzuje, można je kupić za jedną trzecią wartości. Drugiej takiej okazji nie będzie.

Saudyjczycy milczeli.

Żadnych komentarzy, gestów ani nawet spojrzeń w stylu „co o tym myślisz?”

Karimowi zaschło w ustach, więc nalał sobie szklankę soku z pomarańczy, wypił i dodał, żeby rozładować napięcie:

– Mamy pod dostatkiem piasku, dosypmy do niego cement, dolejmy wody i możemy budować nowy świat. Twardy i silny.

Ale obydwaj Saudyjczycy nie zareagowali nawet ruchem powiek.

– Spotkajmy się z panem Brollem. Najlepiej w Dubaju – powiedział młodszy, w chwili gdy Egipcjanin był już przekonany, że nic z tego.

– *Inszallah* – potwierdził starszy. Jeśli Bóg zechce.

Karim uśmiechnął się na wspomnienie tej chwili i przeszedł do terminala odlotów, gdzie odprawiano pasażerów samolotu Air Arabia Egypt do Kairu.

Do mieszkania wrócił taksówką.

Wziął prysznic, przygotował sobie kolację z suszonego bobu, jajek i warzyw, które miał w lodówce. W lekkiej lnianej koszuli usiadł na kanapie, przygotowując fajkę wodną. Zaciągnął się dymem, który wypełnił jego płuca aromatem tytoniowej melasy połączonej z mięszem winogron, a duszę poczuciem satysfakcji.

Miał Manfreda Brolla w ręku.

Mężczyzna w białej koszuli, bordowej kamizelce i czarnej muszce uprzejmie skinął głową, stawiając przed gośćmi talerze z daniami. Jego gesty stanowiły wyćwiczone połączenie wytworności z usługowością, co zawsze działało na polskich Niemców z Reichu. Lubili się tu czuć panami.

Przyjeżdżali autami, którymi wstyd się było pokazać w Dortmundzie, ale w Opolu były obiektem motoryzacyjnego pożądania. Nosili tureckie swetry, wranglery, kowbojskie buty i skrapiali się czerwonym joopem albo innymi perfumami dalekiego zasięgu.

Kelner w Kasztelanie wiedział doskonale, jak połaskotać ich pychę, aby dostać napiwek, choć potrafili czytać rachunek po trzy razy i liczyć każdego feniga.

A jednak ci byli zupełnie inni.

Ten z elegancko przystrzyżonymi włosami wyglądał niczym minister albo dyplomata. Prążkowany garnitur, niebieska koszula z mankietami na spinki, dyskretny krawat, drogie buty. Posługiwał się sztucami z gracją kogoś, kogo uczono dobrych manier. Miał klasę.

Zagadką był ten drugi, łysy. Ubrany jak łajza. Wyświecony na łokciach bordowy garnitur z bistoru wisiał na nim niczym na uszkodzonym manekinie. Koszula z długimi kołnierzykami ostatnio była modna wśród hipisów w czasach wojny w Wietnamie, podobnie jak krótki, szeroki krawat.

Mimo to przyjechał mercedesem 500 SE, i to z kierowcą, a raczej gorylem, który czekał na niego w aucie. Kelnerowi nie dawało to spokoju. Próbował cokolwiek podsłuchać, ale goście rozmawiali po niemiecku.

Mówił Broll.

Kroił swojego schabowego na kawałeczki niczym imperator, który dzieli mapę podbitego kraju i rozdaje co lepsze kąski według uznania. Opowiadał o swoim planie, czarował wizją odkupienia Śląska, szeleścił milionami marek i wyliczał to, co już udało się przejąć.

Bruno Janoszek słuchał. Jadł niezgrabnie, zdziwiony, że nóż do potraw jest o wiele trudniejszy do opanowania niż ten do rzucania. Strącił na obrus część kiszzonego ogórka, a potem przeniósł ją palcami na talerz i zjadł, choć tkanina, która pokrywała stół, miała plamy na gastronomicznym honorze.

– Wierzysz, że to jest możliwe? – spytał, gdy Manfred opuścił kurtynę po swoim monodramie.

– To się już dzieje, przyjacielu. I nabiera rozpędu. Czas sięgnąć po rzeczy kluczowe: cementownie, duże fabryki.

– Masz aż tyle pieniędzy?

Broll przeżuł dokładnie kawałek kotleta.

– Nie uwierzysz, kto jest moim partnerem w finansowaniu tego przedsięwzięcia. I nie czekając na zgadywanke, dodał:

– Karim. Nasz przyjaciel z Kairu.

Janoszek nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Z tego, co pamiętam, nie przepadaliście za sobą.
– Było, minęło – Manfred uciął temat niedbałym machnięciem noża do schabowego. – Ważne, że dziś żyjemy w przyjaźni, a Karim organizuje mi wsparcie naftowych szejków. Uwierzysz?

Bruno zmienił się na twarzy.

– Coś się stało? – zaniepokoił się Broll. – Powiedziałem coś nie tak?

Janoszek odłożył sztućce, opierając je o brzeg talerza.

– Zastanawiałem się, czy ci o tym mówić, żeby nie wyszło, że chciałem być miły z powodu twoich odwiedzin.

– Gadaj, nie kryguj się jak dziewica.

– Może nie uwierzysz, ale złożyłem wniosek o paszport z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałem odwiedzić grób Herberta na Rodos. Po drugie, postanowiłem odszukać ciebie.

– Mnie?

– Tak. Teraz, kiedy nie ma już muru berlińskiego, a kontakty z Niemcami przestały być dla mnie zagrożeniem, chciałem odnaleźć ciebie, Manfred.

Broll popatrzył na niego lekko zaskoczony. W determinacji Bruna coś się kryło.

– Znam pewną tajemnicę z czasów wojny – powiedział Janoszek, ścisząc głos. – Trzymam ją w sobie od lat, ale teraz... Gdy pojawiły się możliwości... Pomyślałem, że powiem ją tobie i razem coś z tym zrobimy. To, co wiem, jest bardzo dużo warte, Manfred. Dla twoich zamiarów to mogłaby być wielka szansa. Myślę, że można na tym zarobić pieniądze, o jakich się nam nie śniło.

– O co chodzi? – szepnął podekscytowany Broll.

– O uran. Pewnie gotowy do produkcji bomby albo głowic atomowych. Każde mocarstwo... – urwał na widok miny Manfreda.

– Mogłem się domyślić, że to Karim przysłał cię wtedy do Polski – powiedział Broll.

– Ty wiesz? O Sudetach? O bunkrze?

– Wiem. Dowiedziałem się dopiero teraz, kiedy byłem w Kairze. Czyli ciebie tam wysłał dwadzieścia parę lat temu?

– Mnie.

– Ukryłeś to przede mną i Skorzenym – stwierdził z nutą pretensji.

– Dałem słowo. Karim wam nie ufał.

Broll nerwowo dłubał widelcem w talerzu.

– Za to cię aresztowali? – spytał. – Wpadłeś w Sudetach?

– Nie. Mówiłem prawdę. Za SS. W Sudetach byłem tylko zbadać teren. Karim narysował mi plan. Wiedziałem, gdzie jest bunkier, ale nie miałem pojęcia, co w nim ukryto. Byłem pewien, że złoto, dzieła sztuki albo jakieś archiwa. W więzieniu myślałem o tym codziennie. Czytałem gazety i roiło mi się w głowie, że może jest tam schowana bursztynowa komnata.

Broll uśmiechnął się do swoich myśli.

– Dopiero po wielu latach – mówił dalej Bruno – gdy dawałem pokazy w tamtych stronach, dowiedziałem się, że w Kletnie Rusczy w największej tajemnicy wydobywali rudę uranu, i domyśliłem się, że Niemcy też musieli wiedzieć, że tam są jego złoża. Skojarzyłem fakty. Manfred – spojrzał Brollowi prosto w oczy. – Byłem tam dwa lata temu. Wiem dokładnie, gdzie jest schowek Karima. Nikt już nie pilnuje tego terenu. Wejście do starej kopalni jest zamknięte, a wokół nie ma żywej duszy. Pomyślałem, że gdybym cię odnalazł, to razem... No wiesz. Zawsze znałeś odpowiednich ludzi, którzy pomogliby poszukać kupca na taki towar.

– Nic z tego – oświadczył Broll.

Bruno niespokojnie poruszył się na krześle.

– Kiedy ty zniknąłeś, Karim przez lata przygotowywał do tej akcji swojego syna, Marka. Kojarzysz go?

– No tak. Mieszkał z matką w Polsce.

– Karimowi udało się go jakoś ściągnąć do Egiptu i wyszkolić. Nawiasem mówiąc, zajęli się tym nasi dawni koledzy z batalionu Friedenthal. W zeszłym roku wysłał Marka w Sudety. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, ale w kluczowym momencie synek go zdradził.

Janoszek pobladł.

– Ukradł uran?

– Szczegółów nie znam. Wiem, że temat jest nieaktualny. Karimowi wszystko się zawaliło. Na moje oko jest w depresji.

– Leczy się?

– Na to leki nie pomogą. On chce śmierci Marka.

Bruno zmarszczył czoło.

– Spytam wprost – powiedział Manfred. – Pomożesz mi w tym?

– Ja?

– Ty. Ilu ludzi zabiłeś, Bruno? Trzydziestu? Pięćdziesięciu?

– To było na wojnie.

– Teraz też jest wojna. Tylko inna. Ja nie mam wyboru. Muszę się tym zająć. Dla Karima i dla naszej sprawy. Z tobą lub bez ciebie.

– Dlatego do mnie przyjechałeś?

Broll przecząco pokręcił głową.

– Nie. Przyjechałem, bo chciałem cię namówić na udział w moim śląskim planie. Zatrudnić, jak niegdyś w Stuttgarcie. Potrzebuję tu na miejscu kogoś takiego jak ty. Zaufanego i niezawodnego. Nie byłem pewien, czy w ogóle powiem ci o Marku. Sam wywołałeś temat.

Janoszek wpatrywał się w talerz.

– Co się z nim teraz dzieje?

– Mieszka w Gdyni. Handluje bursztynem. Z Ruskimi i innym szemranym towarzystwem. Niełatwo go będzie dopaść.

– Dlaczego zdradził?

– Karim twierdzi, że przekabacił go jeden skurwiel ze służb specjalnych. Grek.

Bruno drgnął, a w oczach błysnęło mu coś złowrogiego.

– Grek – powtórzył, przełykając ślinę.

– Tak jest – potwierdził Broll. – Skurwiel działał w Sudetach przy uranie, a teraz – wyobraź sobie – przenieśli go do Opola i kieruje grupą, która ma udaremnić mój plan. To teraz nasz wróg numer jeden.

Twarz Bruna ciemniała, a oczy zwężyły się coraz bardziej.

– Co ci chodzi po głowie? – zaniepokoił się Manfred.

– Krew Herberta nadal nie jest pomszczona – odparł Janoszek nie swoim głosem. – Mam rachunki do wyrównania z Grekami.

– Nie wariuj – ostrzegł Broll. – To oficer Urzędu Ochrony Państwa. Jest nietykalny.

– Nie ma ludzi nietykalnych.

Broll się zirytował.

– Żałuję, że ci w ogóle o nim powiedziałem.

– Wystaw mi go – powiedział twardo Bruno. – A załatwię sprawę Marka. Sam. Nie będziesz musiał jeździć do żadnej Gdyni.

– Nie mogę. Zabicie Greka mogłoby rozwalić całą moją operację. Teraz jedynie mnie obserwują. Jest spokój. Ale po czymś takim... Nie chcę nawet myśleć. Rozumiesz? Nie ma mowy. Przynajmniej nie teraz – dodał, widząc zawód, jaki sprawia Janoszkowi.

– A kiedy?

– W swoim czasie.

– Czyli mamy umowę?

– Powiedzmy, że tak. Pomożesz mi w mojej akcji? Dobrze ci zapłacę.

Bruno Janoszek przymknął oczy. Potrzebował chwili ciszy i ciemności, aby to wszystko ułożyć w myślach.

Grupa wyrostków okupująca placyk za budką Ruchu w pobliżu pętli autobusowej na Dambonia prowadziła jakiś ożywiony spór, gdy nagle któryś z nich zauważył intruza.

Starszy facet, nonszalancko oparty o kiosk, wyraźnie się im przyglądał. Ich kiosk. Obiekt kultowy, na którym ćwiczyły włamania trzy pokolenia ferajny z Zaodrza.

Gdyby był w ich wieku, już by go rozsmarowali podszwami po chodniku za naruszenie terytorium, ale mógłby być ich dziadkiem, więc dali spokój. Skończyło się na paru przekleństwach i wyzywających spojrzeniach.

Wtedy intruz odbił się od ściany kiosku i powoli ruszył w ich stronę. Nie okazali obawy, ale instynktownie przybrali pozycje dające dwie

możliwości: walczyć lub uciekać. Wpatrywali się w reklamówkę, którą starszy facet niósł w lewej ręce.

– Sprawa jest – powiedział, stając dwa metry przed nimi.

Nikt nie odpowiedział.

Sięgnął do reklamówki i zaczął wyjmować z niej puszkę z niemieckim piwem. Gang kioskowy zareagował ożywieniem. Brali od niego piwo, oglądali je i cmokali z uznaniem.

– Nie giąc puszek – ostrzegł jeden z nich. – Ja zbieram.

Bruno Janoszek uśmiechnął się w duchu na wyznanie kolekcjonera, który w domu ciągle był małym chłopcem z naturalnymi w tym wieku skłonnościami hobbystycznymi, a dopiero za kioskiem przemieniał się w chuligana. Podał mu heinekena.

– Co potrzeba? – spytał obdarowany. – Skopać komuś ogródek? – dodał kpiąco.

– A może skopać komuś dupę? – wtrącił się jego sąsiad, chudy blondyn bawiący się harcerską finką.

– Pokaż ten nóż – poprosił Bruno, ale tamten cofnął się o krok.

– No co? Boisz się?

To poskutkowało.

Chudzielec wyciągnął rękę z finką. Janoszek zważył ją na dłoni, a potem ujął za główkę i rzucił. Nóż zatoczył półobrót i wbił się w drewnianą ścianę kiosku.

– Skopać dupę potrafię sam – powiedział.

Kilku chłopaków gwizdnęło z podziwem.

– Chcecie zarobić? – spytał.

– Jasne.

– Trzeba trochę postraszyć Niemców, którzy tu przyjeżdżają – powiedział Bruno. – Piszecie się na to?

Chuligani popatrzyli po sobie z wahaniem.

– Po kij ich straszyć? – spytał któryś. – Niech przyjeżdżają. Przynajmniej jest komu jumać fury.

Kilku innych zarechotało.

Bruno nie podjął dyskusji.

– Płacę za coś takiego – sięgnął do kieszeni po kartkę i podał temu, który wcześniej dostał heinekena, tłumacząc, na czym mu zależy.

Przestępczy plankton Zaodrza zbił się w gromadkę i przez chwilę trwała narada prowadzona szeptem.

– Pasuje nam – powiedział wreszcie blondyn z finką.

Bruno kiwnął głową i sięgnął do reklamówki po zupełnie inne puszki.

Policyjny polonez objechał plac Wolności położony na głównym pijackim szlaku miasta, wiodącym z rynku na dworzec. Tu najczęściej dochodziło do incydentów, które dały się zapisać w rejestrze wykroczeń i przyjemnie podnosiły policyjne statystyki.

Ale dziś nic się nie działo.

Może na obywateli podziałała magia Wielkiego Tygodnia, w którym Kościół zaleca się spowiadać i zastanawiać nad swoim nikczemnym życiem. A może było za zimno. Dochodziła szósta trzydzieści, wschodziło słońce, a po placu chodził mało kto. Aspirant za kierownicą poloneza ziewnął głośno, czym natychmiast zaraził siedzącego obok młodzieńca w randze posterunkowego.

A jednak to on dostrzegł kilku wyrostków skupionych przed kinem Odra. O tej porze nie grano nawet poranków filmowych, dlatego posterunkowy trącił aspiranta łokciem i ruchem podbródka wskazał ruch przed wejściem. Starszy kolega skręcił kierownicą i wjechał wprost na chodnik, blokując wyrostkom ewentualną drogę ucieczki.

Policjanci przyjrzeni się im zza szyb radiowozu i wtedy dostrzegli napisy na murach. „Niemcy raus!”, „Opole dla Polaków” oraz kilka swastyk wiszących na szubienicach jak na murach Warszawy podczas okupacji.

Aspirant wypadł z poloneza w mgnieniu oka, rozkazując posterunkowemu, aby zawiadomił komendę.

– Wandalizm? – upewnił się młody.

– Tak, ale polityczny! – odkrzyknął dowódca patrolu, po czym wrzasnął w stronę chuliganów nadal trzymających w dłoniach puszki z farbą

w sprayu.

– Policja! Rzucić to!

Wykonali posłusznie.

– Wszyscy na kolana. Obok siebie. Ręce na głowę!

Stało się.

Aspirant zaczął ich skuwać po dwóch jednymi kajdankami, w czym pomagał mu posterunkowy, gdy jeden z zatrzymanych zaczął nagle skomleć:

– To nie my, panie władzo. Taki jeden facet nam kazał. Zmusił nas! O! Tam siedzi! Na ławce koło pomnika – wyrostek zerwał się na równe nogi i zaczął gwałtownie wymachiwać rękami.

– Aresztujcie go! – krzyczał na całe gardło. – To on nam kazał!

Aspirant podskoczył do niego z zaciśniętymi pięściami.

– Stul mordę!

A widząc zdziwioną minę młodego policjanta, wyjaśnił:

– Nie widzisz, że ten gnój ostrzega tamtego faceta?

Brunowi wystarczył rzut oka na zamieszanie pod kinem, aby zorientować się, o co chodzi. Powoli wstał z ławki i ruszył w stronę zielonego mostku nad Młynówką, zerkając ukradkiem na gliniarza, który mówił coś do krótkofalówki.

Nawet gdyby był mistrzem olimpijskim w biegach na krótkim dystansie, nie ma szans mnie dopaść – uznał Janoszek i w tym samym momencie usłyszał pisk opon drugiego radiowozu nadjeżdżającego od strony ulicy Powolnego.

Funkcjonariusz, który wyskoczył zza kierownicy, był przejęty rolą. Celował w Bruna z pistoletu i wrzeszczał tak, że słyhać go było w Krapkowicach.

Z uzbrojonymi ludźmi w takich emocjach lepiej nie dyskutować.

Janoszek posłusznie położył się na trawniku z szeroko rozłożonymi rękami, a wtedy ten z radiowozu podbiegł do niego i przygwoździł butem do ziemi. Najwyraźniej nie bardzo wiedział, co robić dalej, ale pojawił się zdyszany młody posterunkowy tuż po sprincie spod kina.

– Daj kajdanki – powiedział do narwanego kolegi. Kazał zatrzymanemu usiąść, po czym skuł mu ręce z tyłu, chwycił za ramię i podniósł.

– Mamy go – oznajmił z triumfem.

Kierowca radiowozu, który mierzył do Bruna z pistoletu, uniósł podbródek i pytająco wyciągnął głowę w stronę aspiranta, który coś do niego krzyczał. Wreszcie zrozumiał.

– Jadę tam pomóc mu zapakować i zawieźć zatrzymanych na dołek – powiedział. – A ty odprowadź tego dziadka. Masz trzysta metrów do komendy.

– Ruszaj – posterunkowy szarpnął Janoszka za ramię, ale ten potknął się tak mocno, że przyklęknął na jedno kolano.

– Nie mogę tak iść – jęknął, gdy policjant ponownie pomógł mu się podnieść. – Jestem stary. Mam chory błędnik. Za chwilę znów się wywrócę.

– Przecież nie będę cię niósł – zdenerwował się policjant. – Zachciało ci się polityki, to zapierdalaj na komendę.

– Niech mnie pan skuje z przodu, to wtedy złapię równowagę.

Posterunkowy bez słowa zniknął za jego plecami i odpiął kajdanki.

Bruno przełożył ręce do przodu, aby łatwiej było je skuć i uśmiechnął się z wdzięcznością. Policjant uniósł kajdanki i w tym samym momencie dostał tak silny cios czołem w nasadę nosa, że świat najpierw zawirował, a potem pogrążył się w ciemności.

– Polskie skiny – powiedział nadkomisarz z opolskiej dochodzeniówki, zaciągając się papierosem i przeglądając fotografie przedstawiające napisy, które w nocy oszpeciły mury w śródmieściu. – Mówię ci, oni za tym stoją. Mamy doniesienie, że sprofanowali też parę grobów z niemieckimi nazwiskami na Półwsi. Wiem, że sprawa polityczna, i musiałem zawiadomić UOP, ale to tylko skiny. Chcesz się założyć?

Kapitan Tosidowski siedział po drugiej stronie jego biurka. Milczał.

– Gówniarze złapani na gorącym uczynku twierdzą, że ktoś im zapłacił za malowanie tych haseł. Nawet dał kartki z wzorami. Zobacz, jak cwanie

zapisane nazwisko naszego biskupa – policjant podsunął Janowi złożoną na czworo stronę wyrwaną ze szkolnego zeszytu.

– „Nossol do Niemiec!” – odczytał.

– Przyjrzyj się pisowni. Dwa „s” są gotykami. Jak symbol SS.

– Czy ci artyści od malowania podali chociaż rysopis człowieka, który ich wynajął?

– To młodzi geroje z Zaodrza. Potwierdzili, że działali na zlecenie, żeby ratować własne dupy, ale na tym koniec. Żadnych szczegółów. Nagle wszyscy mają zaniki pamięci albo kłopoty z oczami. Tacy nie kapują glinom.

– A gdyby ich przycisnąć? Pojedynczo?

– Każdy poda inny rysopis i wtedy dopiero zgłupiejemy.

– Co z twoimi ludźmi? Też go przecież widzieli.

Nadkomisarz podniósł słuchawkę telefonu bez tarczy.

– Dawajcie tu obydwu. Piorunem.

Chwilę później zameldował się sierżant, który po raz pierwszy w życiu trzymał kogoś na muszce, oraz wystraszony posterunkowy.

– Ładnie ci nasadził fiołków na gębie – nadkomisarz skomentował sińce rozlewające się pod oczami po obu stronach spuchniętego nosa posterunkowego. Możesz go opisać?

– To jakiś spec od sztuk walki, nadkomisarzu. Niewysoki, ale napakowany i cholernie silny.

– Rysopis mi daj – zniecierpliwiał się przełożony. – Charakterystyka mnie nie interesuje.

– Wiek?

– Po trzydziestce, co nie? – posterunkowy zwrócił się do sierżanta, a tamten przytaknął.

– Włosy?

– Łysy.

– A nie mówiłem? – nadkomisarz spojrzał wymownie na Tosidowskiego.

– Skin.

– Oczy?

– Nie przyjrzałem się, nie było czasu.

– W co był ubrany?

Posterunkowy opisał.

– Potwierdzasz? – nadkomisarz przeniósł wzrok na sierżanta.

– Tak jest.

– Obaj odejść. A ty – wskazał palcem posterunkowego – do grafika i robisz portret pamięciowy sprawcy.

Wyszli.

Na korytarzu sierżant otarł pot z czoła. – Ale żeś pojechał – stwierdził z wyrzutem. – „Napakowany, po trzydziestce”. W życiu go nie złapią z takim rysopisem.

– Lepsze to, niż miałbym się przyznać, że jakiś dziadyga spuścił mi wpierdol – uznał posterunkowy. – To byłby koniec kariery w policji. Zjedliby mnie żywcem.

Ryk był tak donośny, że pułkownik Kozłowski zatrzymał się na środku parkowej alejki i zmarszczył brwi. Na spacerze po uroczej, zielonej i wiosennej wyspie Bolko w Opolu spodziewał się raczej śpiewu skowronków, a nie odgłosów jakiejś bestii.

– Taruka – wyjaśnił idący obok Tosidowski. – Słonica – dodał na widok zdezorientowanej miny pułkownika. – Za tymi drzewami jest zoo. Taruka mieszka w nim od kilkudziesięciu lat, ale urodziła się na wolności, chyba w Indiach. Czasami sobie o tym przypomina.

Kozłowski skinął głową.

– Chciałem się spotkać – powiedział – bo sytuacja nabiera tempa. Ekipa Brolla wykupuje coraz więcej udziałów w prywatyzowanych przedsiębiorstwach na Śląsku. Musi mi pan dać coś konkretnego, panie kapitanie, bo na razie bawimy się z nimi w ciuciubabkę. Ale to my mamy zawiązane oczy.

– To trudna gra – odparł Tosidowski. – Rząd promuje tworzenie spółek z obcym kapitałem, a my mamy widzieć w tym niebezpieczeństwo. Moja sekcja to urząd ochrony państwa przed nim samym. Ale radzimy sobie –

uspokoił Kozłowskiego, któremu coraz bardziej rzedła mina. – Ewa i Greta znalazły dwie niemieckie firmy, które zainwestowały sporą kasę na Opolszczyźnie, ale... sfałszowały swoją historię.

– O, to już coś – ucieszył się pułkownik. – Jeśli uda się je powiązać z Brollem, podważymy jego wiarygodność.

– Właśnie tak. Jesteśmy blisko.

Przeszli w milczeniu kilkanaście kroków.

– Warszawę zaniepokoiły te napisy na murach – powiedział Kozłowski.

– Policja zapewnia, że to robota polskich nacjonalistów. Chcę znać pańskie zdanie.

– Policja się myli. Moim zdaniem to prowokacja Brolla.

– Skąd to przypuszczenie?

– Reportaż z tej akcji telewizja lokalna pokazała tego samego dnia, kiedy napisy się pojawiły. Jego autorem był dziennikarz powiązany z mniejszością niemiecką, który w TV Opole obsługuje ich tematy, bo jak pan wie, zażyczyli sobie dostępu do mediów.

– Mamy wolność – stwierdził Kozłowski.

– Mamy. Ale nie wiem, czy zwrócił pan pułkownik uwagę na to, że w reportażu pokazano bardzo wiele tych napisów. Jakby ktoś, kto je filmował, doskonale wiedział, gdzie są.

– To nie było trudne.

– Moim zdaniem było. Bo wszystkie sfilmowano w bardzo słabym świetle. O świcie. Natychmiast po tym, gdy je namalowano.

Kozłowski przystanął.

– Sugeruje pan, że jedni malowali, a drudzy od razu nagrywali? Że to było ukartowane?

– Nie sugeruję. Jestem pewien. Polscy skini raczej nie zawiadamiają proniemieckiego dziennikarza, że będą wypisywać na murach nacjonalistyczne hasła.

Pułkownik schylił się po wyschnięty patyk i zaczął nim wymachiwać jak wskaźnikiem na wykładzie.

– To ma sens – uznał. – Nasi koledzy z niemieckich służb informują o znacznym ożywieniu w środowiskach ziomkostw. Zwłaszcza tych z Opolszczyzny. Zdjęcia napisów z Opolą pokazał pierwszy program niemieckiej telewizji. Podniósł się raban. Tak zwane związki wypędzonych biją na alarm, że ich rodacy w Polsce nie są bezpieczni.

– Napisy pojawiły się tuż przed Wielkanocą. W czasie, gdy mamy w Opolu najwięcej gości zza Odry. Z jakimi wspomnieniami wrócą do Niemiec? Po pierwsze: Polacy ukradli im kilkanaście aut. Po drugie: Polacy deklarują wobec nich jawną wrogość. Moim zdaniem, panie pułkowniku, Broll buduje na Śląsku antagonizm – uznał Tosidowski.

– Tylko po co?

– Stara rzymska zasada: dziel i rządź. Podzielonymi ludźmi najłatwiej manipulować. Trzeba tylko znaleźć im wrogów i zaszcześcić wzajemną nienawiść.

Bruno Janoszek polizał znaczek, który przykleił do koperty zaadresowanej do Państwowego Studium Cyrkowego w Julinku, które zaoferowało mu prowadzenie zajęć.

Przesunął list przez szczelinę pod szybą w stronę puszystej pani, która ostemplowała go z hukiem i umieściła w przegródce korespondencji do wysłania. Podziękował i uśmiechnął się w duchu na widok tablicy ogłoszeń, do której przypięto pinezkami portret pamięciowy groźnego przestępcy poszukiwanego za napad na policjanta. Był do niego podobny jak Dalajlama do Arnolda Schwarzeneggera.

W błogim poczuciu bezpieczeństwa minął komendę miejską, przespacerował się Krakowską, a potem skręcił obok restauracji Europa w kamienistą uliczkę prowadzącą na plac Kopernika. Od jakiegoś czasu królowało tu targowisko, na którym można było kupić wszystko, czego nie można było kupić w sklepach. Spółdzielcza sieć handlowa, faworyta PRL, właśnie kończyła swoją niechlubną historię.

Czekolady z orzechami, mydełko Fa, banany i marcepany wylegiwały się na stolikach turystycznych, straganach i ladach „szczęk” – blaszanych

kiosków, które zamykało się na noc jak paszczę wieloryba.

Janoszek przeszedł kilka alejek w poszukiwaniu piwa w puszcze, które polubił jeszcze w Stuttgarcie, gdy nagle zobaczył Gretę.

Kupowała winogrona.

Wnikliwie oglądała kiście, odsuwając dłoń sprzedawcy, który usiłował podsunąć jej inne, pewnie z nadpsutymi owocami. Wreszcie uległ, zapakował to, co wybrała klientka, do papierowej torebki po cukrze i przyjął zapłatę z uśmiechem wymuszonej uprzejmości.

Greta zabrała zakupy i odeszła.

Bruno po raz pierwszy od bardzo dawna nie wiedział, co ma zrobić. Próbował się odwrócić i odejść w drugą stronę, ale w końcu, niemal bezwiednie, ruszył za nią. Minął warzywniak z winogronami, obrzucając je niechętnym spojrzeniem. „Greckie” – głosiła kartka nabazgrana flamastrem. Dlaczego kupiła greckie? – zastanowił się. Mniejsze, zielone i pewnie cierpkie. Obok leżały hiszpańskie o jędrnych owocach wielkich jak śliwki i pełnych słońca. Cena była taka sama.

Odszukał wzrokiem Gretę. Przeszła przez jezdnię i skręciła w ulicę Kośnego. Trzymał się kilkadziesiąt metrów dalej, skupiony i gotowy na manewr, gdyby tylko się odwróciła. A może by go nie poznała? Ile to lat minęło, gdy widział ją po raz ostatni? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć?

Zniknęła za zakrętem w Matejki, a potem zatrzymała się przed furką odnowionej przedwojennej willi na Grunwaldzkiej. Tu teraz mieszkała? Sama? Dom, mimo swoich rozmiarów, nie wyglądał na wielorodzinnny. Żadnych wózków czy rowerków dziecięcych na podwórzu, prania na sznurkach, psów ani innych śladów lokatorskich. Żadnych grządek ani klombów. Jedynie świeża trawa, która jeszcze nie nadawała się do koszenia. I nowe pojemniki na śmieci ustawione pod ścianą. Czyste, jakby nikt z nich nie korzystał.

Notował to wszystko w myślach, próbując rozwiązać zagadkę dziwnego domu, gdy otworzyły się drzwi wejściowe i wyszedł z nich śniady, czarnowłosy mężczyzna w białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Bruno

przesunął się za pień drzewa rosnącego po drugiej stronie ulicy w opuszczonym ogrodzie.

Śniady uśmiechnął się na widok Greta, a ona wyciągnęła w jego stronę torebkę z winogronami. Musiała mówić coś przyjemnego, bo tamten nagle się uradował, jakby otrzymał bardzo dobrą wiadomość, uniósł ręce do góry, a następnie ujął dłonie Greta, ucałował i wyjął z nich torebkę. Oderwał owoc winogrona, włożył do ust i zrobił rozanieloną minę.

W tej samej chwili Bruno zrozumiał. To musiał być Grek. Wyglądał jak Grek i gestykulował jak Grek, z którym niegdyś przegrał w Zgorzelcu walkę na noże. Jego ostentacyjny zachwyty wywołały greckie winogrona.

Janoszek odczekał, aż obydwójce znikną za drzwiami willi, i odszedł, próbując wyprostować znaki zapytania, które splatały mu się w myślach.

Wrócił następnego dnia. A potem następnego.

Obserwował dom, przypominając sobie wszystko, czego nauczył się w zamku Friedenthal i co pozwalało pozostać niewidzialnym. Po kilku dniach już wiedział: Greta tu nie mieszkała. Nikt nie mieszkał. Ani Grek, ani elegancka kobieta o wyglądzie prawdziwej damy. Przychodzili rano, każde osobno, wychodzili wieczorem. Nie całowali się na powitanie i pożegnanie, nawet gdy razem zamykali drzwi na klucz. Greta przychodziła późnym popołudniem. Sprzątała tu?

Prawdziwe zaskoczenie nadeszło trzeciego dnia obserwacji. Grek zbiegł po schodkach willi, zerkając na zegarek, i szybkim krokiem ruszył w stronę dzielnicy generalskiej.

Idealna sytuacja do śledzenia. Ludzie, którzy się śpieszą, nie zwracają uwagi na otoczenie.

Utrzymując bezpieczną odległość, przeszedł za Grekiem obok ceglanego muru Aresztu Śledczego przy Sądowej, a potem, pod wiaduktem, na drugą stronę ulicy Nysy Łużyckiej. Tu go olśniło. Obserwowany człowiek wszedł do siedziby Urzędu Ochrony Państwa.

Ale zanim wszedł, wymienił pozdrowienia z grupą mężczyzn, którzy wyszli z budynku. Znali się. Typowe spotkanie kolegów z pracy.

Greku, którego śledził, musiał być tym samym nietykalnym oficerem UOP-u, o którym mówił Manfred Broll.

Bruno przytknął oczy. Doskonale pamiętał ten budynek. Dawno temu, gdy ulica nazywała się jeszcze Adolf Hitler Strasse, mieściła się w nim szkoła rolnicza. Chodziło do niej kilku kumpli z Zaodrza. Często odwiedzali ich z Herbertem, za którym szalały dziewczyny z „Rolnika”

A potem przysła wojna i jego przystojny brat, którego wszyscy lubili, został podstępnie zabity.

Przez Greków.

CZEŚĆ CZWARTA

*Oby z kości naszych
powstał mściciel*

(Wergiliusz, *Eneida*, ks. IV, w. 625)

ROZDZIAŁ 19.

Stuttgart – Opole – Chrząszczyce,
kwiecień – maj 1991 roku

Manfred Broll przyszedł przed czasem.

Obejrzał salę niewielkiej restauracji Zum Ackerbürger niedaleko Wilhelmstrasse w Stuttgarcie, którą wynajął na dzisiejszy wieczór, i z uznaniem pokiwał głową. Nieskazitelnie czyste, wyprasowane obrusy, serwetki, sztucce i naczynia w idealnym szyku, krzesła ustawione równo jak kompania reprezentacyjna podczas parady.

– *Perfekt* – uniósł kciuk skierowany w górę i wyciągnął go w stronę szefa sali, na co ten zareagował krótkim wojskowym ukłonem. Podał Brollowi kartę.

– Menu na dzisiejszy wieczór.

Manfred przeczytał i zmarszczki na twarzy niemal mu się wygładziły. Prawdziwa niemiecka kuchnia. Na przystawkę deska pasztetów i wędlin, potem gęsiną w sosie pieczeniowym z duszoną czerwoną kapustą i *spätzlami* – kładzionymi kluskami popularnymi zwłaszcza na południu landu. Wieńczył to wszystko tort szwarcwaldzki nasączony wiśniówką domowej roboty.

Po raz kolejny udzielił sobie pochwały za wybór miejsca. Na widok tych wszystkich tureckich, chińskich, wietnamskich i arabskich knajp dla imigracyjnej hołoty, które rozpleniły się w mieście, czuł ucisk w żołądku i zbierało mu się na wymioty.

Tymczasem w drzwiach restauracji pojawiła się pierwsza dwójka gości: znany przedsiębiorca sympatyzujący ze skrajną prawicą oraz członkini zarządu banku o podobnych namiętnościach politycznych. Kilka minut później dosiedli się do nich dawni towarzysze broni Manfreda Brolla – dziś grube ryby przemysłu metalurgicznego, dwaj przedstawiciele spółek

finansowych oraz goście spoza miasta. Wszyscy zaangażowani w projekt inwestowania na Śląsku. Na końcu dotarła trzyosobowa delegacja Związku Wypędzonych z Opolszczyzny, tłumacząc spóźnienie ignorancją ciemnoskórego taksówkarza, który mało co rozumiał po niemiecku i pomylił drogę z dworca. Goście za stołem z politowaniem pokiwali głowami: Dobry Boże, co się dzieje z tym krajem?

– Przyjaciele – zaczął Broll po pasztetach. – Z radością informuję, że nasza śląska sprawa rozwija się lepiej, niż oczekiwaliśmy – dał znak dłonią kelnerowi, który rozwinął planszę obciążoną na dole drewnianą listwą i zawieszoną na stojaku do map.

– To aktywa, które już mamy – pokazał wskaźnikiem słupek po lewej stronie wykresu. – A to ich faktyczna wartość rynkowa – dotknął słupka po prawej, który miał się do lewego jak wieżowiec do parterowego domku z płaskim dachem.

Rozległy się brawa, choć nie aż takie, jakich oczekiwał.

– Pięknie to wygląda – powiedział ktoś z końca stołu. – Ale śląski przemysł jest olbrzymi. Nie wiem, ile musielibyśmy włożyć, aby zyskać nad nim kontrolę zdolną dyktować jakiejkolwiek warunki. Nie wiem, czy nie zasypujemy pieniędzmi studni bez dna.

Zapadło milczenie.

– Dlatego nie powinniśmy się już rozdrabniać – stwierdził Broll, próbując rozwiązać wątpliwości. – Musimy sięgnąć po kluczową branżę na Śląsku Opolskim.

– Czyli? – spytała wiceprezeska banku.

– Cement – odparł. – Przemysł cementowy. Niemcy go potrzebują. Zwłaszcza teraz, gdy wróciły do nas tereny dawnego NRD. Musimy budować domy, szkoły, kina, sklepy i biurowce. I drogi. Tysiące kilometrów dróg. Solidnych, niemieckich. Z betonu, nie z asfaltu, który co parę miesięcy trzeba łątać. Opolskie złoża minerałów i cementownie czekają – dodał z emfazą.

– Na południu Śląska Opolskiego, w Górach Opawskich, były kiedyś kopalnie złota – powiedział z końca stołu ten sam głos co poprzednio. –

One by nam się bardziej przydały.

Sala wybuchła śmiechem.

Broll uspokajał zebranych gestem obu dłoni, z trudem maskując irytację, ale żart ośmielił szefa ziomkostwa:

– Broszura o niemieckim Śląsku bardzo się nam podobała – stwierdził. – Ale na Opolszczyźnie ludzie się przestraszyli. Wiemy od rodzin. Oni nie mała wycierpieli od komunistów i nie chcą wywoływania fermentu, bo nie wiadomo, jak to się może skończyć. Nasz *Heimat* jest nadal w polskich rękach. Mniejszość niemiecka dostała wszystko, co chciała, i nie potrzebuje tego stracić.

Wy tchórze, wy cholerni tchórze – w Manfredzie kipiał gniew, ale słuchał z zatroskaną miną.

– Nawet Herbert Hupka – kontynuował szef ziomkostwa – człowiek, którym na Śląsku straszono polskie dzieci, do niedawna najgłośniejszemu protestował przeciwko uznaniu przez Niemcy obecnej granicy z Polską. A dziś? Mówi o Polakach coraz cieplej i jeździ do rodzinnego Raciborza, gdzie kiedyś by go ukamienowano.

– Możemy starać się o powrót Śląska, jak to przedstawia pan Broll – dodał inny z działaczy. – Ale nie chcemy drażnić Polaków. Nie chcemy, aby reagowali na nas tak, jak zareagowali w Opolu napisami na murach.

– Napisy były naszym dziełem – wypalił Manfred.

Salę na moment ogarnęła grobowa cisza.

– Czy to służy biznesowi? – spytał jeden z nestorów stuttgarckiego przemysłu.

– To służy naszej integracji – odparł Broll, ale nikogo nie przekonał. Ludzie zaczęli szemrać.

– Chciałem podać jeszcze jeden komunikat – sięgnął po asa w rękawie. – Zostałem zaproszony do Dubaju przez poważnych ludzi zainteresowanych naszym projektem – oświadczył. – To nam zapewni finansowanie kupna cementowni.

– Kiedy to spotkanie? – zainteresował się jeden z przedsiębiorców.

– Zaraz, jak tylko załatwię pewną rzecz w Polsce.

– Czyli nie ma jeszcze terminu?

– To kwestia dni – skłamał. – Wszystko jest przygotowane. Jeszcze otworzymy na to konto szampana – zapewnił. Kilku gości bez przekonania pokiwało głowami. Reszta miała miny z gatunku pożyjemy, zobaczymy.

Gęś przeleciała w ciszy.

Pół godziny później goście zaczęli wychodzić, tłumacząc się pilnymi obowiązkami. Klepali go po plecach, ale Manfred Broll czuł, jakby stał na bardzo śliskim lodzie, a na nogach miał bardzo ostre łyżwy. Każde protekcyjne klepięcie mogło sprawić, że się wywróci.

Po kwadransie obok niego stał już tylko szef sali.

– Zostało sporo kawałków tortu – powiedział. – Zapakować panu?

– Nie, dziękuję – Broll sprawiał wrażenie, jakby postarzał się o kilka lat.

– Jak pan woli. – Ukłonił się szef i wyciągnął w jego stronę rękę z niewielką srebrną tacą.

– Rachunek za dziś.

Drewno było sęcate i siekiera co chwilę ześlizgiwała się podczas uderzeń, tnąc nierówne kawałki. Bruno Janoszek jak zwykle kupił pół kubika pieńków w nadleśnictwie Prószków, ale tym razem trafił nie najlepiej. Rąbał je ze złością, przewidując, że będą się źle układać w szopie, a zimą strzelać w kominku.

Uniósł siekierę, aby rozłupać kolejnego sękacza, gdy zauważył, że ktoś zbliża się drogą od strony kościoła. Osłonił oczy od słońca i ze zdumieniem rozpoznał Manfreda Brolla. Przyjaciel miał na sobie sportowe buty, dżinsy i koszulkę polo. Identyfikację utrudniały okulary przeciwsłoneczne oraz czapka, jaką noszą amerykańscy bejsboliści.

– Pieszko? – zdziwił się Bruno, podchodząc do płotu.

– Przyjechałem taksówką – wyjaśnił Broll. – Pokręciłem się po wsi, żeby sprawdzić, czy nie ciągnę za sobą ogona. Nie chciałbym doprowadzić polskich służb do ciebie.

Janoszek otworzył furtkę i wpuścił go na podwórze, wskazując dłonią miejsce, w którym rąbał drewno.

- Dawno cię nie było, Manfred – stwierdził, sięgając po siekiere.
- Musiałem się przyznać po tej akcji z napisami na murach. Sam rozumiesz.

Bruno pokiwał głową.

- Przydały się chociaż? Pomogły w twoim planie?

Manfred cmoknął z dezaprobatą.

- Niestety. Ci z mniejszości, zamiast się oburzyć i stworzyć wspólny front, zaczęli trząść portkami. To stado zajęcy, szczęśliwych, że chwilowo zawieszono sezon polowań.

- W mediach było głośno – zauważył Janoszek.

– Tak, u nas też. Ale pismaki to potępiły. Rząd Niemiec chce pojednania, wspólnej Europy i obrastania w tłuszcz dobrobytu. Śląsk interesuje ich jako adres sentymentalnych wycieczek organizowanych dla starych pierdzieli. Niemcy chcą pomagać tutejszym gminom, aby te wyglądały jak w Reichu. Żeby można się było czuć jak u siebie. Wyspać w przyzwoitym hotelu, dobrze nazreć i skorzystać z czystego kibla. To ich obchodzi. W dupie mają honor, tradycję i dumę narodową.

- To co robimy dalej? – Bruno uniósł siekiere.

– Musimy sięgnąć po przemysł cementowy. Ta branża to potęga. Jak znajdzie się w naszych rękach i zacznie być właściwie zarządzana, podbijemy Europę. Samo byłe NRD potrzebuje milionów ton cementu. Zrobimy na tym majątek, o jakim się nam nawet nie śniło. Przy okazji stworzymy nowe miejsca pracy dla Ślązaków z Opolszczyzny i pokażemy, kto tu jest dobrym gospodarzem.

- Nie porywasz się z motyką na słońce? – spytał Janoszek, opuszczając siekiere. – Ile kosztuje taka cementownia?

- Wszystko w twoich rękach, Bruno.

- Moich?

– Jeśli, tak jak obiecałeś, pojedziesz do Gdyni i załatwisz sprawę Marka, Karim Ali Hassan odkręci nam kran z petrodolarami.

- To jego warunek? Śmierć syna?

– Jego warunek to zemsta. Jest coś ważniejszego? Kto jak kto, ale ty powinienes to rozumieć.

Janoszek ponownie uniósł siekierę, ale tym razem z impetem rozłupał nią solidny kawał drewna.

– Masz rację – potwierdził. – Zemsta.

Zmierzchało, gdy następnego dnia Bruno wszedł do opuszczonego ogrodu przy Grunwaldzkiej. Chciał raz jeszcze przyjrzeć się willi, w której pracowali Greta i jej grecki znajomy z Urzędu Ochrony Państwa.

W dwóch oknach na parterze paliło się światło, choć nie widać było żadnego ruchu. Po godzinie oczekiwania, gdy na dworze zrobiło się prawie całkiem ciemno, Janoszek uznał, że dziś już niczego się nie dowie.

Zaczęło padać, więc postawił kołnierz marynarki. Właśnie wychodził zza drzewa, gdy w oknach willi po kolei zgasły światła.

Cofnął się za pień jabłoni.

Drzwi otworzyły się kilka sekund później i stanął w nich mężczyzna. Żarówka pod daszkiem, pewnie uruchamiana czujnikiem ruchu, roztoczyła bladą poświatę. Ale to wystarczyło, by Bruno go rozpoznał.

To był Grek. Ta śniada twarz, czarne włosy i lekko przygarbiona sylwetka, jakby kulił się z zimna albo trzymał gardę niczym bokser na ringu. Ta sama nieprzemakalna zielona kurtka, którą miał na sobie, gdy Janoszek śledził go w drodze do UOP-u na Nysy Łużyckiej.

Patrzył, jak Grek zamyka kilka zamków w drzwiach, a potem zbiega po schodach. Spieszył się. Albo za domem ma auto – pomyślał Bruno – albo pójdzie na autobus. Najbliżej na Oleską. Skoncentrował się nad obserwacją, gdy tamten otworzył kluczem żelazną furtkę w ogrodzeniu, wyszedł na ulicę, przekręcił klucz, sprawdził, czy wejście na posesję jest dobrze zamknięte, i ruszył w stronę Katowickiej.

Bruno wstrzymał oddech.

Taka okazja mogła się więcej nie nadarzyć. Deszcz przybierał na sile. Na ulicy nie było żywej duszy, a nawet gdyby była, widoczność sięgała zaledwie kilku metrów. Latarnie wyglądające, jakby brały prysznic, nie

miały zbyt wiele do powiedzenia. Ich aktywność ograniczała się do mętnych żółtych poświat wielkości koła od roweru.

Janoszek namacał w futerale wojskowy nóż, który niedawno kupił na targowisku od Rosjan, i ruszył w ślad za tamtym.

Przyśpieszył, zbliżając się na tyle, aby kontrolować sytuację. Ale nagle się przestraszył, że nie będzie umiał wybrać tej jednej, najważniejszej chwili, którą rozpoznawać dawno temu uczył go Don Alvaro. Czym innym było rzucanie nożem do cyrkowej tarczy, pni drzew, desek, a nawet ludzi. Na wojnie, w akcji nie myślał. Działał instynktownie, a okoliczności same podpowiadały mu odpowiedni moment.

Teraz musiał decydować sam. Miał przed sobą skulone plecy mężczyzny w zielonej kurtce z ortalionu i jakieś trzysta metrów ulicy Grunwaldzkiej, która na wysokości szpitala krzyżowała się z ruchliwą, mocno oświetloną Katowicką. Dwieście dziewięćdziesiąt pięć metrów. Dwieście dziewięćdziesiąt. Dwieście osiemdzie...

Wyszarpnął nóż, wyczuwał go przez kilka sekund, po czym zatrzymał się i krzyknął:

– Greku!

Mężczyzna machinalnie zrobił jeszcze dwa kroki, po czym stanął i odwrócił się zdumiony.

Bruno ocenił dystans i rzucił.

Nóż wypełnił idealnie jego rozkazy. Przekoziółkował w powietrzu i z siłą będącą sumą odległości oraz ciężaru stali wbił się w serce.

Lekarz dyżurny izby przyjęć szpitala wojskowego przy ulicy Wróblewskiego w Opolu odsłonił prześcieradło, które przykrywało pacjenta przywiezionego właśnie karetką. Poczul zawrót głowy.

– Chryste Panie – szepnął, choć był ateistą, ale w tej sytuacji zwyczajowe „o kurwa”, jakim reagował na trudne przypadki, wydało mu się co najmniej nietaktowne.

Przytrzymał się wózka, żeby nie stracić równowagi, i raz jeszcze spojrzął na mężczyznę leżącego na wznak z nożem w sercu.

– Jak to się stało? – spytał drżącym głosem młodego lekarza z pogotowia. Jeszcze bardziej roztrzęsionego.

– Nie wiemy – lekarz poszukał oczami wsparcia sanitariusza, który prowadził karetkę. – Dostaliśmy wezwanie od kobiety, która widziała zdarzenie przez okno. To znaczy widziała, że ktoś czymś rzucił, a ten tu upadł na chodnik. Nie podnosił się, więc zadzwoniła na pogotowie. Akurat byliśmy na Katowickiej, ale tam nie ma chirurgii...

– Ale na placu Kopernika jest! – doktor z izby przyjęć nie mógł przeżyć, że taki przypadek trafił się akurat jemu. – Mieliście kilkaset metrów! Dlaczego wiózł go pan aż do nas?!

– Dlatego – odparł lekarz pogotowia, wyjmując z kieszeni legitymację. – To oficer Urzędu Ochrony Państwa.

– O kurwa – wojskowy medyk tym razem nie odwoływał się do opatrności Bożej. – Trzeba natychmiast zawiadomić UOP – spojrzał przerażony na pielęgniarkę, która pobiegła do telefonu. – A jego... Co pan radzi, panie kolego? Ja jestem laryngologiem.

– A ja dopiero po studiach – jęknął lekarz pogotowia.

– Tu trzeba kardiochirurga! Do Zabrza! – zdecydował nagle. – Odwieźcie go do Zabrza!

– Nie dojedzie – uznał młody absolwent medycyny. – Czynności życiowe słabną.

Doktor z izby przyjęć nie odpowiedział. Złapał się za głowę, ale zaraz opuścił ręce ze wstydu przed pielęgniarką, która wbiegła do pomieszczenia.

– Zawiadomiłam, doktorze. Przyjadą w ciągu pół godziny.

– Siostró, kto dziś jest jeszcze u nas na dyżurze?

Pomyślała przez chwilę.

– Doktor Tosidowska.

– Świetnie! Kardiolog! Niech ją siostra woła.

– Ale... – zawahała się pielęgniarka, zerkając na lekarza pogotowia.

– Znowu? – jęknął dyżurny. – Trudno. Dawać ją tu. W tej chwili.

Parę minut później Marysia weszła do izby przyjęć. Lekko się chwiała, co być może było spowodowane wyrwaniem z głębokiego snu. Albo niezbyt dużą dawką alkoholu. Niewielką, bo wyglądało na to, że doktor Tosidowska natychmiast wytrzeźwiała.

Przez moment wpatrywała się w twarz pacjenta. Nagle rzuciła się, jakby dostała zastrzyk adrenaliny w serce.

– Na salę operacyjną! – krzyknęła. – Natychmiast!

Siostra spojrzała pytająco na laryngologa z izby przyjęć. Ten uznał za stosowne zainterweniować.

– Operujemy?! Kto? Trzeba ściągnąć lekarza dyżurnego z chirurgii.

– To nic nie da – stwierdziła Tosidowska. – Ja to zrobię. Pan i pan asystujecie – rozkazała. A wy – spiorunowała wzrokiem pielęgniarkę i sanitariusza z karetki – czemu stoicie? Na salę!

– Stać! – laryngolog chwycił wózek. – Pani nie ma prawa, koleżanko.

– Do czego prawa? – podniosła głos. – Do ratowania życia? On za chwilę umrze. Chce pan usłyszeć zarzut nieudzielenia pomocy oficerowi UOP-u?

– Pani go zna? – spytał i nie czekając na odpowiedź, w tej samej chwili zmienił zdanie:

– Na salę operacyjną! – zarządził. – Idziemy! Panowie wiozą pacjenta – machnął dłonią na załogę karetki, a siostra woła dyżurnego z chirurgii. I anesteziologa!

Bruno Janoszek zdążył na ostatni pokaes do Chrząszczyc.

W autobusie sporo miejsc było zajętych. Do domów wracali robotnicy z cementowni, ekspedientki, studenci, kucharki, urzędnicy, pielęgniarki i konduktorzy. I on. Morderca. Ciągle w rękawiczkach, które założył, żeby nie zostawić na nożu odcisków palców.

Ściągnął je, żeby nie zwracać na siebie uwagi pasażerów, i ukrył w kieszeni marynarki. Oparł głowę o zapłakaną szybę i przymknął powieki.

Dokonało się. Grek nie żył. Zapłacił za Herberta, za tyle lat pielęgnowania zemsty, za upokorzenie przegranej walki na noże

w Zgorzelcu, za Gretę, która zdradziła po raz drugi i współpracowała z UOP-em, za ściganie Manfreda.

A przede wszystkim za to, że był Grekiem.

Taki porządek rzeczy. Alvaro zginął, bo był Cyganem. Żydów gazowano i palono za to, że byli Żydami. Polaków zabijano, bo byli Polakami, a Niemców, bo byli Niemcami. Nikt ich nie pytał, czy im się to podoba, czy nie. Pan Bóg, o którym Bruno tyle nasłuchał się od matki, nie miał narodowości. Nie obchodziło go to. Zostawił tę kwestię ludziom, a oni załatwili sprawę po swojemu.

Dotarł do domu przed dziesiątą.

Zdjął przemoczoną marynarkę i wytarł się ręcznikiem. Sięgnął do kredensu po karafkę z nalewką i do szafy po pudło ze zdjęciami, które zostało po matce. Wypił kieliszek i zaczął oglądać stare fotografie.

Ulice przedwojennego Zaodrza. Ich dom i Breslauerstrasse, na której wszystko się zaczęło. Zamknął powieki i ulicą jego wspomnień przedfilował barwny pochód cyrku Buscha. Klauni i akrobaci, dzikie zwierzęta i ich treserzy, Alvaro i Paco w identycznych sombrerach.

Otworzył oczy, jakby to mogło uruchomić stopklatkę i sprawić, żeby scena nie działała się dalej. Żeby nie wydarzyło się wszystko to, co wydarzyło się później. Incydent z „Flinkiem”, konieczność ucieczki z domu, zdrada Grety, wojna, śmierć Herberta w Grecji, więzienie. Ale życie tak nie działa.

Odszukał fotografię, do której miał szczególny sentyment. Stali na niej z Herbertem nad brzegiem Odry, którą płynął statek wycieczkowy pełen machających do nich ludzi. Byli młodzi i beztroscy. Bruno, rozebrany do pasa, prężył mięśnie wyćwiczone codzienną gimnastyką, Herbert trzymał w dłoni wielki rzeczny kamień jak Hamlet czyjąś tam czaszkę. Obok stała Greta, ale dawno temu Bruno odciął ją nożyczkami. Został tylko łokieć, który zasłaniał ramię Herberta. Nie dało się go amputować, żeby nie zepsuć kadru.

Odłożył zdjęcie do pudełka. Stracił ochotę na wspomnienia.

Nic nie czuł.

Ulgi ani strachu. Wyrzutów sumienia ani satysfakcji z dokonanej zemsty. Stało się to, co miało się stać. To wszystko.

Chirurg spóźnił się kilka minut, a kiedy przygotowany do operacji wszedł do sali, doktor Tosidowska już pracowała.

Pacjent z nożem w prawej komorze serca był zaintubowany i podłączony do aparatury, którą kontrolował anestezjolog. Spojrzeli sobie w oczy. Nie miał nimi nic dobrego do powiedzenia. Wręcz odwrotnie. Los człowieka na stole był przesądzony. Tętno i ciśnienie były tego samego zdania.

– Skalpel – Tosidowska wyciągnęła dłoń w stronę instrumentariuszki.

– Co pani robi? – spytał przestraszony chirurg. – Uraz wymaga otwarcia klatki piersiowej. Trzeba przepiłować mostek.

– Nie ma na to czasu – powiedziała Tosidowska. – Wykonuję cięcie czwartej przestrzeni międzyżebrowej na linii środkowo-obojęzycznej – oznajmiła jak na wykładzie z anatomii i zatopiła ostrze w ciele pacjenta. Czoło chirurga zrosiły krople potu, które pielęgniarka wytarła kawałkiem gazy.

– Siostró – upomniała ją Marysia. – Proszę się teraz nie zajmować panem doktorem, tylko pacjentem. Robimy torakotomię. Uchwyty i rozwieracz, poproszę! Doktorze, otwieram chorego, jest pan silnym facetem, niech pan maksymalnie rozszerzy i da mi jak największy dostęp do powierzchni serca.

Chirurg patrzył na nią jak na filmie o znachorze, który stracił pamięć, a w krytycznej sytuacji okazał się wybitnym profesorem medycyny. Mocno ujął uchwyty zaczepione o żebra i otworzył klatkę piersiową, na ile tylko się dało. Zachowanie Tosidowskiej, która najwyraźniej wiedziała, co robi, dodało mu pewności siebie.

Z uszkodzonego płuca, przez ranę zadaną nożem, przy każdym oddechu wydobywały się bąbelki powietrza. Marysia usunęła krew i płyn gazikami, po czym odsunęła płuco do góry, powierzając je laryngologowi, który stał przy stole z uniesionymi rękami i czekał na swoje zadania.

– Proszę trzymać haki.

Wyciągnęła nóż przebijający worek osierdziowy i tkwiący w sercu. Uchyliła się przed strumyczkiem krwi, który wystrzelił z rany na sporą wysokość.

– Nożyczki – zawołała, a instrumentariuszka natychmiast je podała.

Laryngolog patrzył przerażony, jak Marysia tnę worek osierdziowy.

– Muszę – wyjaśniła mu. – Inaczej dojdzie do tamponady. Krew wypełni ciasną przestrzeń wokół serca, zaciśnie jego komory i zatrzyma krążenie. Pacjent natychmiast umrze.

Gwałtowny wypływ krwi to potwierdził. Serce, które teraz mieli jak na dłoni, przez cały czas ją wyrzucało. Jego powinnością było pompować i tłoczyć, bez względu na okoliczności. Dopóki się da.

Marysia pęsetami rozsunęła nacięte pericardium. Wewnątrz widać było tylko sinogranatowe galaretowate skrzepy. Jak rafy koralowe w krwawym morzu. Zażądała ssaka, usunęła je i pomagając sobie gazą, uwidoczniała dziurę w sercu. W tej samej sekundzie wskazującym palcem prawej dłoni zatkała otwór. Rozejrzała się wokół. Wszyscy obecni z przerażeniem wpatrywali się w pole operacyjne.

– Sytuacja opanowana – powiedziała. – Siostro, poproszę szwy.

Spojrzała w stronę anestezjologa.

– Uzupełniasz płyny?

Skinął głową.

– I jak?

– Wygląda na to, że stan pacjenta się stabilizuje. Ze stu sześćdziesięciu mamy już tętno sto dwadzieścia. Częstoskurcz się cofa.

Tosidowska zszyła ranę, powoli dociągając węzły, aby nie przecięły kruchego mięśnia prawej komory. Po upewnieniu się, że dokonana naprawa jest szczelna, umieściła dren i zrekonstruowała osierdzie. Potem przejęła od laryngologa płuco i pokryła zranione miejsce opatrunkiem hemostatycznym.

– Zamknie pan? – zapytała chirurga, wskazując klatkę piersiową rozplataną jak po ciosie toporem. Po zdjęciu uchwytów jej porządek

anatomiczny samoczynnie wracał na swoje miejsce.

– Oczywiście – skinął głową. – Proszę odpocząć.

Tosidowska odeszła od stołu.

– Pani doktor – zatrzymał ją głos lekarza, który zabierał się do zakładania drenów do jamy opłucnowej i szycia przestrzeni międzyżebrowej.

– Tak? – spytała. Nie miała siły, aby się odwrócić.

– Proszę wybaczyć, że na początku w panią wątpiłem. Nie wiedziałem, że jest pani znakomitym kardiochirurgiem.

– Ja też nie wiedziałam – odparła i wyszła z sali operacyjnej.

Pół godziny później laryngolog wracał na dyżur.

Na korytarzu dostrzegł grupę kilku mężczyzn otaczających dyrektora szpitala. Chyba przyjechał z jakiejś uroczystości łowieckiej, bo miał na sobie ciemnozielone spodnie wpuszczone w wełniane skarpety, trzewiki i marynarkę w tym samym kolorze, ze skórzanymi wyłogami, zapinaną na metalowe guziki. W dłoni trzymał kapelusik z piórkiem i pewnie, gdy go nałożył, wyglądał jak bawarski burmistrz. Mężczyźni byli po cywilnemu, ale nietrudno było się domyślić, kim są. Jeden z nich poufale trzymał dłoń na ramieniu Marii Tosidowskiej, jakby okazywał jej wdzięczność albo współczucie. A może jedno i drugie?

Ciekawe, co ta pijaczka ma wspólnego z UOP-em? – zastanowił się laryngolog i wszedł do izby przyjęć.

Po trzeciej nad ranem, gdy mógł wreszcie chwilę odpocząć w pokoju lekarskim, usłyszał pukanie.

Dyżurny chirurg.

– Śpisz? – spytał, uchylając drzwi.

– Już nie – odpowiedział lekko rozdrażniony. – Chodź.

Kolega usiadł na krześle przy niewielkim białym biurku dosuniętym do ściany.

– Nieźle, co? – zagaił. – Będziemy długo pamiętać ten dzień.

– Słyszę, że jesteś zafascynowany.

– Bo jestem.

- A nie zauważyłaś, jaka Tosidowska była roztrzęsiona?
- Ty byś nie był?
- Stary – zirytował się laryngolog. – Ty ślepy jesteś czy co? Nigdy nie miałaś kaca po gwałtownym wytrzeźwieniu? To była pijacka telepawka, a nie roztrzęsienie. W takim stanie nie powinna podchodzić do stołu.
- Może i lepiej, że była w takim stanie – uznał chirurg.
- Co? Popieprzyło cię?
- Wiesz co? Jak ja wypiję dwie lufy, to gadam po angielsku i tańczę jak John Travolta. A bez alkoholu – ni w ząb.
- Nie rób sobie jaj – powiedział laryngolog. – To trzeba zgłosić.
- Zgłoś – odparł chirurg. – Ale wiedz, że zarówno ja, jak i siostry z bloku operacyjnego zaprzeczmy. Ty chcesz ratować przepisy. Tosidowska uratowała człowieka. Widzisz różnicę?

Sprzedawczyni w sklepie spożywczym w Chrzęszczycach odkroiła połówkę chleba i sięgnęła na półkę po pasztet w słoiku.

Boże – jęknęła w duchu – jak ten Janoszek się odżywia. Mężczyzna z niego jeszcze całkiem, całkiem, a wygląda jak półtora nieszczęścia. Każdy miesiąc mu widać, a brzucha świadczącego o tym, że ma w domu dobrą żonkę, ani śladu. Już ja bym cię wykarmiła, chudzino – pomyślała, bo była wdową i z takich myśli nie musiała się spowiadać.

Bruno zapłacił, podziękował i wyszedł ze sklepu wprost na listonosza.

– Dobrze, że pana widzę – ucieszył się dostawca poczty, zsiadając z roweru. – Nie będę musiał pedałować pod dom. Telegram do pana.

– Telegram? – zdziwił się Bruno. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni otrzymał coś takiego.

– Pan pokwituje – powiedział listonosz, podsuwając mu jakiś formularz przyczepiony do zeszytu i podstawiając zgarbione plecy, żeby zastąpiły pulpit.

Janoszek otworzył zgięty karteluszek z orłem, napisami pocztowymi i naklejonymi paskami białego papieru, na których widniała treść depechy: „Czekam wieczorem po 19.00. Zadzwon. Pilne”. Potem następował numer

telefonu z opolskim kierunkowym i podpis: Manfred. Po polsku, pewnie telegram nadał Konrad.

Zamyślił się. Czyli Broll już wiedział o śmierci Greka. Ale dlaczego chciał to załatwić przez telefon?

Podszedł do budki przytwierdzonej do ściany urzędu, podniósł słuchawkę i upewniwszy się, że aparat jest sprawny, wrócił do sklepu.

– Najtańszą kartę telefoniczną – poprosił, kładąc na ladzie banknot.

Do dziewiętnastej pozostało siedem godzin.

Przyszedł kwadrans przed czasem, aby zająć miejsce w ewentualnej kolejce. Od kiedy pojawił się nowoczesny telefon, do którego nie trzeba było wrzucać kilograma monet, miejscowi często dzwonili do Niemiec. Na szczęście byli oszczędni. Również w słowach.

Ale dziś nie było nikogo. Wieczór był wyjątkowo ciepły, jakby nadchodzące lato przysłało swój zwiastun. Pewnie wszyscy przyjdą po dziesiątej, jak będzie tańsza taryfa – pomyślał Bruno, spojrzął na zegarek i wybrał numer podany w telegramie.

Manfred odebrał po pierwszym dzwonku.

– Coś się stało – powiedział na powitanie. W jego głosie brzmiało napięcie.

– Co? – Bruno udał zaskoczonego.

– Nie wiem – stwierdził Broll. – UOP mnie dziś przesłuchiwał. Byli wyraźnie zdenerwowani.

– Skąd rozmawiasz? – spytał Bruno.

– Z prywatnego mieszkania kolegi Konrada. To bezpieczny numer.

– Dostałeś wezwanie?

– Nie. Wtedy to byłoby oficjalne przesłuchanie. Poszedłbym do nich z prawnikiem z konsulatu, który zabroniłby mi odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Wiedzieli o tym, dlatego sprytnie mnie podeszli. Przysiedli się do stolika w Zajeździe Kasztelańskim, gdy kończyłem śniadanie. Wiesz, niby towarzyska pogawędka.

– Czego chcieli?

– Pytali, co robiłem wczoraj wieczorem między dwudziestą trzydzieści a dwudziestą pierwszą.

– Po co im to było?

– Nie mam pojęcia. Coś musiało się stać – powtórzył. – Jestem pewien, że teraz nie spuszczają mnie z oka. Dlatego poprosiłem Konrada, żeby wysłał do ciebie telegram, i przyjechaliśmy do mieszkania tego kolegi.

– Nie jechali za wami?

– Nawet jak jechali, to nic im to nie dało. Kolega mieszka w dziesięciopiętrowym bloku. Nie sprawdzą, który guzik windy wcisnęliśmy.

Czyli UOP zataił przed nim śmierć Greka – mózg Bruna pracował na najwyższych obrotach. Grają po cichu, nie pokazując kart.

– Co postanowiłeś? – spytał.

– Absolutnie nie możemy się teraz widywać. Nie wiedzą o tobie, a jesteś moim asem w rękawie. Planowałem powierzyć ci jeszcze jedno bardzo ważne zadanie, ale to teraz wykluczone. Nie możesz się wynurzać. Dlatego Konrad się tym zajmie. Ja na jakiś czas wracam do Niemiec.

– Co to za zadanie?

W słuchawce zapadła chwilowa cisza.

– Bruno, przemyślałem wszystko jeszcze raz. I dochodzę do wniosku, że poza wykupem przedsiębiorstw muszę potrząsnąć całym tym towarzystwem – stwierdził Manfred. – Zrobić coś spektakularnego. Coś, co wszystkim udowodni, że na Śląsku żadnego pojednania nie będzie.

– Do czego zmierzasz?

– Do referendum – oświadczył Broll. – Jeśli zrobi się naprawdę gorąco, a Polacy z Niemcami skoczą tu sobie do gardeł, nie będzie innego wyjścia. Tchórzliwa Europa, pragnąca spokoju, będzie musiała rozdzielić strony konfliktu. Jak to zrobią? Ano tak, jak lubią: demokratycznie. Zapytają Ślązaków, jaką chcą mieć narodowość i w jakim kraju mieszkać. I do tego dostosują granice. Rozumiesz?

Bruno słuchał, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

– Już raz taki plebiscyt się tu odbył – przypomniał Manfred. – Nie tak dawno temu. Raptem sześćdziesiąt dziewięć lat. Po powstaniach śląskich. Niemcy nieźle na tym wyszły.

– Chcesz wywołać kolejne powstanie śląskie? – spytał Janoszek. – Tym razem przeciw Polakom?

Broll milczał przez chwilę, a potem spytał:

– Sam mi mówiłeś takie przysłowie. O niemożliwym braterstwie. Pamiętasz? Jak to szło?

– Jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem – przypomniał Bruno.

Manfred cmoknął z zadowolenia.

– Proste i prawdziwe słowa. I o to chodzi. Trzeba je powtarzać na każdym kroku. Aż do skutku. Aż obydwie narody wezmą się na Śląsku za łby. Potrzebujemy chaosu – oświadczył tonem nawiedzonego kaznodziei. – I gwarantuję ci, że go wywołam.

– To jest to zadanie?

– Tak. Mam niewiele czasu. Muszę zdążyć do końca czerwca, a przygotowań jest mnóstwo.

– Jesteś pewien, że nie potrzebujesz mojej pomocy?

– Nie tym razem. Nie możesz się rozpraszać. Załatw sprawę w Gdyni, Bruno. To jest twój priorytet.

– Nie martw się – obiecał Janoszek.

– Posłuchaj – szepnął Broll. – Od tej chwili cisza w eterze. Konrad zajmie się przygotowaniem do naszej czerwcowej operacji, ale nie będzie się kontaktował ani on z tobą, ani ty z nim. UOP depcze nam po piętach. Ja znikam na dwa-trzy tygodnie. Jak w Gdyni będzie po wszystkim, zostaw wiadomość na moje nazwisko w recepcji Zajazdu Kasztelańskiego. Coś, czego nie zrozumie nikt poza nami. „Sprawa załatwiona” albo coś w tym stylu. Wiesz.

– Wiem.

– I jeszcze jedno – dodał Manfred. – Bądź bardzo ostrożny. Ten Grek, który nas tropi, to wyjątkowo przebiegły człowiek. Trzeba na niego

uważać.

Janoszek poczuł nagłą suchość w gardle. Z trudem przełknął ślinę i spytał:

– Skąd wiesz, że jest przebiegły?

– Poznałem go dziś rano.

– Co ty gadasz? – Bruno przez chwilę pomyślał, że Broll rzeczywiście zwariował, a jego paranoja jest tak silna, że powoduje halucynacje.

– Był jednym z tych, którzy przysiedli się do mnie przy śniadaniu – wyjaśnił Broll. – To on zadawał pytania. Dobrze ci radzę, miej się na baczności. Ten facet potrafi zaskoczyć.

ROZDZIAŁ 20.

Opole – Chrząszczyce,
maj 1991

– To miałem być ja – powiedział kapitan Jan Tosidowski, rysując jakieś dziwne figury geometryczne w bloku do notowania, który leżał przed nim na stole.

Siedzieli w trójkę w sali konferencyjnej konspiracyjnego lokalu przy Grunwaldzkiej. Już nie wydawał się im bezpieczny.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała Ewa Turwid. – Bo jesteście podobni? Bo miał na sobie twoją kurtkę? Zaczęło padać, więc ją pożyczył. Moim zdaniem to był przypadkowy incydent. Andrzej coś zauważył, stanął w czyjejs obronie albo zwyczajnie padł ofiarą bandziorów odbierających ludziom portfele. Mało się tego teraz dzieje? Gówniarze, którym marzy się mafia, robią takie rzeczy, żeby się wykazać i trafić do środowiska gangsterskiego. Wywiązała się bójka i ktoś wbił mu nóż w serce. Taka jest moja teoria.

– Nie można tego wykluczyć – stwierdził Tosidowski. – Ale nie można też wykluczyć, że ktoś chciał nas zaatakować.

– Niemcy? – spytała Turwid. – A może Rosjanie? Nienawidzą nas za to, że odwróciliśmy się w stronę Zachodu, a ich traktujemy jak potencjalnego wroga. Nóż, który twoja siostra wyjęła z serca Andrzeja, to radziecki ZIK.

– Można taki kupić na targowisku przy Reymonta – wtrąciła Greta. – Żołnierze Armii Radzieckiej przed wyjazdem z Polski sprzedają, co tylko się da.

Tosidowski słuchał.

– Każda wersja jest prawdopodobna i każdą trzeba będzie sprawdzić. Pułkownik Świerc powołał już specjalną grupę. Spotkaliśmy się z Brollem.

Ewa Turwid uniosła brwi ze zdziwienia, ale nie skomentowała.

- Intuicja mówi mi, że to nie jego robota – dodał Jan.
- A nie mówi czyja? – spytała z lekkim rozbawieniem. Nie sądziła, że w służbach specjalnych można się kierować przeczuciami.
- W ubiegłym roku zajmowałem się sprawą uranu ukrytego przez hitlerowców w Sudetach. Mocno pokrzyżowaliśmy komuś szyki i być może to rewanż.
- Czyj rewanż? – chciała wiedzieć Turwid, ale w tym momencie zadzwonił telefon.
- Ja odbiorę – Tosidowski wstał od stołu i przeszedł do sąsiedniego pokoju.
- Wrócił po kilku minutach wyraźnie poruszony.
- Andrzej odzyskał przytomność – oświadczył.
- Będzie żył? – Greta niemal podniosła się z krzesła.
- Marysia twierdzi, że tak.
- Bogu dzięki.
- Powiedział coś? – spytała Ewa.
- Zaledwie kilka słów. Nie możemy go jeszcze przesłuchać. Marysia zabrania.
- Coś z tych słów wynika?
- Potwierdzenie tego, co mówiłem. Napastnik szedł za nim, w pewnej chwili krzyknął: „Greku!”, a kiedy Andrzej się odwrócił, rzucił w niego nożem.
- Rzucił? – upewniła się Turwid.
- Tak, z kilku metrów. To był zawodowiec. I polował na mnie – dodał dobitnie.
- Greta zastygła za stołem z grobową miną. Była blada jak ściana za jej plecami.
- Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Tosidowski.
- Tak – odpowiedziała zmienionym głosem. Sprawiała wrażenie zdezorientowanej, jakby właśnie wybudziła się z hipnozy.

Bruno Janoszek bezskutecznie próbował uporządkować myśli.

Przed oczami ciągle miał scenę z Grunwaldzkiej. Widział wyraźnie, jak Grek zamyka drzwi willi i schodzi po schodach odwrócony w jego stronę. Padał deszcz, ale w świetle latarni mignęła mu jego śniada twarz i czarne włosy wystające spod kaptura kurtki. Tej samej, w której Bruno widział go ostatnio.

Zapamiętał coś jeszcze.

Zdziwione czarne oczy, gdy krzyknął, a Grek się odwrócił. I nóż, dość ciężki ruski szturmowiec, który wbił się w jego serce.

Jakim cudem ten sam człowiek rano rozmawiał z Brollem w Zajeździe Kasztelańskim? Zmartwychwstał? A może na Grunwaldzkiej zginął ktoś inny?

Po rozmowie z Manfredem wracał do domu jak w amoku. Kartę telefoniczną zostawił w automacie, a po drodze potknął się z powodu sznurowadła, które rozwiązało się nie wiadomo kiedy. Zasnął dopiero po solidnej porcji wódki.

Następnego dnia nic się nie wydarzyło.

Porąbał resztę drewna, co było dobrym sposobem na odpędzenie złych myśli. Po południu poszedł do sklepu. Kupił puszkę śledzi w pomidorach, dwa piwa i gazetę. O zabójstwie oficera UOP-u nie było w niej ani słowa.

Wieczorem usłyszał pukanie do drzwi.

Wstał z wersalki, na której czytał książkę o cyrku, i poszedł otworzyć.

– Poznajesz mnie?

Nie odpowiedział. Chciał, ale nie potrafił uruchomić strun głosowych. Łatwo było obserwować Gretę z ukrycia tamtego dnia, kiedy natknął się na nią na targowisku, ale teraz, gdy stanęła w progu, twarzą w twarz, nie poradził sobie z tym. Stał jak sparaliżowany. Bez słów, bez gestów, bez pomysłu, jak zareagować.

Odebrała to jako wyraz tej samej wrogości, która ciągnęła się od wojny.

– Nie musisz ze mną rozmawiać, Bruno – oświadczyła. – Wystarczy, że mnie wysłuchasz.

Milczał.

– Wszystko wiem – powiedziała. – Dokonałeś zamachu na niewinnego człowieka. Cudem przeżył.

– Jak to przeżył? – głos Janoszka zaskrzyphiał jak dawno nienaoliwiane zawiasy.

Popatrzyła na niego smutno, kiwając głową.

– Przynajmniej się nie wypierasz. Jak tylko usłyszałam, że rzucono w niego nożem, domyśliłam się, że to ty. Śledziłeś mnie, prawda? To ja cię zaprowadziłam na Grunwaldzką. Ale nie udało ci się. On przeżył. Dobry Bóg sprawił, że trafił na learkę o złotych rękach. W warunkach zwykłego szpitala wykonała operację na otwartym sercu.

Bruno poczuł zawrót głowy. Przymknął oczy, aby łatwiej zebrać myśli, i scena z Grunwaldzkiej powróciła wyraźnie, jak odtworzona z magnetowidu. On krzyczy, Grek się odwraca. Zamach. Rzut. Trafienie. Dokładnie tam, gdzie chciał. Tego się nie przeżywa. Nóż w sercu to śmierć.

Zacisnął powieki.

– Pozwól mi zrozumieć, Bruno, dlaczego to zrobiłeś? – Otworzył oczy pod wpływem głosu Greta, który wyraźnie drżał.

– Wiesz dlaczego.

– Nie, nie wiem.

– Dla Herberta. Za jego podstępną śmierć z rąk Greków. Przez czterdzieści osiem lat nie było dnia, abym o tym nie myślał.

Greta pobladła.

– Boże jedyny. Czy na tej ziemi jest człowiek z pragnieniem zemsty silniejszym niż twoje?

Nie odpowiedział. Przez moment chciał jej zatrzaskać drzwi przed nosem, ale zareagował zupełnie inaczej.

– Wejdiesz do środka? – spytał.

Przekroczyła próg z obawą, z jaką sierotka z bajki wchodzi do jaskini potwora. Przycupnęła na brzegu krzesła, które jej wskazał.

– Pomyliłeś się – powiedziała. – To nie był kapitan Tosidowski, tylko oficer do niego podobny. Nie Grek – dodała twardo. – Po prostu człowiek,

który o mały włos nie zginął z ręki szaleńca, bo ma podobną karnację i założył nie swoją kurtkę.

– Nie Grek – Bruno powtórzył jak echo.

– To jest obsesja – stwierdziła.

– Przelali krew mojego brata...

– Przestań! – podniosła głos. – Herbert nie zginął w żadnej Grecji. Nigdy tam nie był.

Zachwiał się.

Przez chwilę była pewna, że upadnie, ale chwycił dłonią krawędź stołu i odzyskał równowagę. Był blady, jakby twarz zastąpiono mu gipsowym odlewem. Znow zamknął oczy, ale nie miał już siły ich otworzyć.

– Co ty mówisz? – szepnął.

– Twój brat zmarł na żółtaczkę w więzieniu Stadelheim w Monachium siedem lat po wojnie.

Powoli uniósł powieki, jakby usiłował dociec, czy to, co słyszy, dzieje się naprawdę.

– Skąd...

– Na początku roku dostałam list od fundacji z Berlina, która walczy o prawa niewinnych ludzi, których nigdy nie ułaskawiono i nie zrehabilitowano. Oni nazywają to największą hańbą swojego prawodawstwa. Trudno w to uwierzyć, ale powojenne państwo niemieckie nadal represjonowało osoby skazane w czasach hitlerowskich. Z wyzwolonych obozów koncentracyjnych wypuszczano na wolność wszystkich, ale ich nie. Oni trafiali do więzień, aby kontynuować wyroki wydane przez nazistów. Nadal byli przestępcami.

– Jacy oni? – Bruno nic z tego nie rozumiał.

Greta popatrzyła mu prosto w oczy.

– Herbert był homoseksualistą.

Konrad skończył omlet, przygotowany według przepisu mistrza Niemiec w kulturystyce, i uzupełnił go miską twarogu. Zanotował przybliżoną gramaturę łatwo przyswajalnych białek, aby po południu zamienić ją

na odpowiednią liczbę pompek i ćwiczeń ze sprężynami, które w podróży zastępowały mu siłownię.

Od kilku dni mieszkał w wynajętym przez Brolla domu w Czarnowąsach pod Opolem. Na skraju wsi, co gwarantowało dyskrecję i doskonałe pole obserwacji. Nikt nie mógł tu ani podjechać, ani podejść niezauważony. Nie było sąsiadów i ich wścibskich oczu.

Skontrolował czas i wyjrzał przez okno. Damian powinien już tu być.

Nie wiadomo, czy myśli Konrada miały jakąś siłę sprawczą, ale dosłownie w tej samej chwili na ulicy Wolności pojawiła się rozklekotana nysa z emblematami Zakładu Energetycznego na drzwiach.

Damian kupił to auto na wyprzedaży. Bonusem było kilka zwojów starych kabli, parę zardzewiałych narzędzi i brudny kombinezon, który zapomniano usunąć z paki samochodu. Nie przeszkadzały mu te graty, więc jeździły razem z nim. Poza tym mogły się przydać.

Damian znał Konrada od zawsze. Razem dorastali i chodzili do szkoły w Opolu.

Już w ósmej klasie połączyło ich upodobanie do militariów, zwłaszcza niemieckich. Mieli prawdziwe hełmy Wehrmachtu, bagnety, guziki od mundurów, a nawet fragmenty broni pozyskiwane drogą wymiany na inne skarby należące do samców w okresie dojrzewania.

Gdy dojrzeli, przyszła ideologia. Na swojego idola wybrali Adolfa Hitlera i choć za bardzo nie rozumieli, o co mu chodziło, uszyli sobie opaski ze swastykami, zbierali znaczki z podobizną Führera i wszelkie inne przejawy i dowody głoszonej przez niego nienawiści.

Potem poszli do zawodówki elektrycznej, gdzie dołączyło do nich trzech innych fanów nazizmu. Urządzali ogniska z pochodniami, hajlowali, palili kukły Żydów, a nawet pobili ciemnoskórego studenta Wyższej Szkoły Inżynierskiej, nie mając pojęcia, że pochodził z Egiptu – kraju, w którym Hitler uchodził za nowożytnego Boga.

Po stanie wojennym Konrad wyjechał z rodziną na stałe do Reichu, a Damian zaczął pracę w Zakładzie Energetycznym jako specjalista od kopania rowów. Chwilę później upomniała się o niego armia.

Spodobało mu się. Nie było to wprawdzie Waffen-SS, tylko brygada saperów Ludowego Wojska Polskiego, ale po dwóch latach zgodził się zostać zawodowym trepem. Miał dobrą pensję, przywileje i mógł wydawać rozkazy.

Do czasu, gdy ktoś doniósł, że zatruwa umysły rekrutów ideologią faszystowską, i wyrzucili go z odpowiednią adnotacją w aktach Wojskowej Służby Wewnętrznej.

Wrócił do Zakładu Energetycznego, już jako monter. Dwa lata tłukł się nyską po awariach, potem, gdy zaczął się wolny rynek, odkupił auto i chciał założyć własną firmę, ale była to chęć zbyt wątła. Odkładana z dnia na dzień i z piwa na piwo.

Konrada, który po dziesięciu latach zapukał do jego drzwi, powitał z otwartymi ramionami. Zwłaszcza że przywiózł perspektywę zarobku w markach, a na następne spotkanie przyprowadził swojego szefa. Prawdziwego esesmana. Damian drżał z emocji jak katolik, którego dom nawiedził anioł ze skrzydłami. Zaparzył kawę, a potem pobiegł do szafy i przyniósł swoją najcenniejszą relikwię: przedwojenne wydanie *Mein Kampf* Adolfa Hitlera.

Szef Konrada obejrzał je z namaszczeniem, przesunął palcami po grzbiecie i otworzył na stronie z notą bibliograficzną.

– Mam to samo wydanie – powiedział. – Z osobistą dedykacją autora.

Damianowi z wrażenia łyżeczka spadła na podłogę.

Szef Konrada, który przedstawił się jako Manfred, potrzebował dostępu do bezpiecznego telefonu. Damian miał numer, a nawet stary ebonitowy aparat z czasów, gdy pracował w pogotowiu energetycznym. Z ukłonem wskazał go dłonią, a potem kraśniał z dumy, gdy jego nowy przyjaciel następnego dnia umówił się o dziewiętnastej na konspiracyjną rozmowę z kimś, kto zadzwonił punktualnie co do sekundy. Niemiecka precyzja.

Kilka dni później zaparkował nyskę przed domem w Czarnowąsach i nacisnął klakson.

Konrad wyszedł ubrany w jakiś stary drelich, niosąc skrzynkę z narzędziami. Z uznaniem spojrzął na kumpla ubranego w kombinezon

Zakładu Energetycznego, podał mu rękę i ruszyli.

Pierwszy etap akcji Manfreda Brolla, która 28 czerwca miała potrzęsnać Europą, właśnie się zaczął.

– Zwariowałaś – uznał Bruno, przyglądając się uważnie Grecie. – Straciłaś rozum. Herbert był pedziem?! Puknij ty się w łeb. Przecież byliście małżeństwem.

– Właśnie dlatego.

Janoszek kręcił głową tak intensywnie, jakby chciał strząsnąć z niej myśli, które obsiadły go niczym stado pajaków. Ich jad mógł zabić.

– Nie dociera to do ciebie, prawda? – odezwała się Greta. Na chwilę zakryła twarz dłońmi, jakby to mogło uspokoić emocje. Czuła, że przekazanie Brunowi tej wiadomości będzie trudne, ale nie spodziewała się, że aż tak. Opuściła ręce i wzięła głęboki oddech:

– Kiedy Herbert zaczął pracować w urzędzie rejencji, jakiś drań z partii hitlerowskiej złożył na niego donos. Kiedyś był mimowolnym świadkiem sceny, która jednoznacznie dowodziła, że Herbert dopuścił się „nierządu sprzecznego z naturą”. Nie wiem, co tam zaszło. Może całował się z jakimś chłopakiem? Paragraf 175 niemieckiego kodeksu karnego. Za coś takiego szło się do więzienia.

Bruno słuchał z miną widza oglądającego w kinie film grozy.

– Poza donosem dowodów nie było, ale zaczęła się nagonka. Herbert był śledzony i prześladowany w pracy. Szef oświadczył, że się nim brzydzi, nigdy nie poda mu ręki i przy pierwszej najdrobniejszej okazji wyrzuci go z biura rejencji z wilczym biletem. Wtedy przyszedł do mnie. Ja znałam jego sekret, byliśmy przecież najlepszymi przyjaciółmi. Razem postanowiliśmy, że weźmiemy ślub. To przekreślało wszystkie podejrzenia wobec Herberta.

– Dlaczego nie przyszlście z tym do mnie?

– Bruno – Greta na moment przymknęła powieki. – On się potwornie wstydził. Zwłaszcza przed tobą. Byliście jednością. Braćmi Janoszek. Ty wysportowany, twardy, zawsze gotowy stanąć do walki w jego obronie.

A on? Nie dość, że był starszym bratem pod opieką młodszego brata, to jeszcze pederastą. Na Zaodrze! Pamiętasz, jak traktowano tam „cioty”? Musiałam przysiąc, że nigdy ci nie zdradzę jego tajemnicy. Słowa dotrzymałam. Do teraz.

– Ale jak wy, pod jednym dachem, w jednym łóżku...?

– Normalnie. Herbert nigdy mnie nie dotknął. Byłeś i jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu... I jedynym, którego kochałam.

Bruno poczuł, jak coś ściska go za gardło. Bezradność i poczucie, że nie wiadomo, jak się zachować, bywają silniejsze od wzruszeń.

– Greta... Gdybym wiedział...

– Daj spokój – machnęła dłonią. – Czasu nie cofniesz. Łudziliśmy się z Herbertem, że jakoś ci to wszystko wytłumaczymy, że jakoś się ułoży. Ale z tobą nigdy nie było rozmowy. Nie znam bardziej zaciętrzewionego człowieka. Bratu wybaczyłeś. Mnie nigdy. Musiałam się z tym pogodzić.

Milczał, patrząc w ciemność gęstniejącą za oknem.

– W zeszłym roku – powiedziała Greta – dostałam pismo z fundacji walczącej o przywrócenie godności homoseksualistom więzionym w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, a potem przez rząd RFN. Dotarli do akt Herberta, który podał mnie jako najbliższą rodzinę. Napisali, że paragraf 175 został złagodzony dopiero teraz, czterdzieści pięć lat po wojnie, i mogę ubiegać się o uniewinnienie Herberta oraz odszkodowanie.

– Napisałaś do nich?

– Pojechałam. W aktach znalazłam nazwisko lekarza, który opiekował się Herbertem po tym, jak uratowałeś mu życie, zabijając „Flinka”.

– Pamiętam tego doktora – powiedział Bruno. – Poznałem go, kiedy odwiedziłem Herberta w szpitalu. Bardzo dobrze się o nim wyrażał.

– Odwiedziłam go w Berlinie – powiedziała Greta. – Jest wybitnym uczonym, emerytowanym profesorem neurochirurgii. Bardzo się wzruszył. Z Herbertem byli parą, wiesz? Zakochali się w sobie w tym szpitalu od pierwszego wejrzenia. Zachowywali najwyższą ostrożność, ale i tak się wydało. Ojciec tego lekarza był generałem. Szychą w Wehrmachcie.

Przyjechał do dyrektora szpitala. Przy nim zadzwonił do twojej jednostki. Tej, do której Herbert miał być przyjęty po rekonwalescencji. Rozmawiał z człowiekiem, który wszystko załatwiał w imieniu Skorzenego.

– Broll... – szepnął Bruno. Zbyt cicho, aby Greta dosłyszała.

– Generał zaproponował temu człowiekowi z twojej jednostki dyskretne zabranie Herberta do koszar i ukłucie łba sprawie. Ale tamten człowiek stanowczo odmówił.

Bruno znów pobladł.

– Stwierdził, że homoseksualista nie będzie kalął dobrego imienia batalionu Friedenthal – mówiła dalej Greta – i że władze szpitala mają z nim zrobić to, co nakazuje prawo. Dyrektor nie miał wyboru. Generał tego samego dnia załatwił przeniesienie syna do wojskowego lazaretu na drugim końcu Niemiec. A Herbert – głos się jej załamał – trafił do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

Twarz Bruna zmieniała się pod wpływem nagłego bólu.

– Nasza jednostka stacjonowała tuż obok – wydusił przez ściśnięte gardło. – Codziennie patrzyłem na baraki łagru. Nie miałem pojęcia, że gdzieś tam jest Herbert.

– Nic byś nie wskórał – pocieszyła go Greta.

– Wiem. Zwłaszcza że ci z różowymi trójkątami byli w obozach szczególnie prześladowani. Czytałem o tym.

– Ale trzymali się razem – Greta weszła mu w słowo. – W Sachsenhausen Herbert zaprzyjaźnił się z homoseksualistami. Wciągnęli go do elitarnej grupy więźniów: grafików i drukarzy, którzy zajmowali się fałszowaniem pieniędzy. Głównie funtów brytyjskich. Hitler planował wydrukowanie ich tyłu, żeby zachwiać gospodarką Anglii. Ponoć były nie do rozpoznania.

Spojrzał zaskoczony.

– Potwierdzam – przytaknął. – Nie dało się ich odróżnić od prawdziwych.

Tym razem ona osłupiała przez moment.

– Widziałeś je?

– Płaciłem nimi. We Włoszech przed akcją odbicia Mussoliniego. Nikt nigdy się nie zorientował, że to fałszywki.

– Ci, którzy drukowali banknoty w Sachsenhausen, mieli o wiele lepsze warunki niż inni więźniowie i zupełnie inaczej ich traktowano. Byli niezbędni. Jestem przekonana, że tylko dzięki temu Herbert przeżył. Ale jego radość z wyzwolenia obozu nie trwała długo. Anglicy i Amerykanie zamknęli w więzieniach pięćdziesiąt tysięcy homoseksualistów. Tłumaczyli się, że chcieli uszanować niemieckie prawo. Paragraf 175. Według niego ci z różowymi trójkątami, którzy cierpieli w obozach koncentracyjnych, nadal byli kryminalistami skazanymi za przestępstwa na tle seksualnym.

– Ten lekarz nie próbował Herbertowi pomóc?

– Próbował – potwierdziła Greta. – Ale co mógł wskórać Niemiec zaraz po wkroczeniu Amerykanów? Dopiero po czterech latach, jak już powstało państwo niemieckie, dostał zgodę na widzenie. Z Herbertem było już marnie. Chorował. W obozie, w ramach eksperymentu medycznego, wstrzykiwano mu męskie hormony, żeby stracił zainteresowanie swoją płcią i skierował pożądanie w stronę kobiet. Nic to nie dało, ale podczas któregoś z zabiegów wraz z hormonami dostał wirusa zapalenia wątroby. Pewnie nikt się nie przejmował czystością igieł dla zboczeńców... Zmarł niedługo po ich widzeniu.

Bruno po raz kolejny zacisnął powieki.

– Pewnie zadajesz sobie pytanie, po co do ciebie przyjechałam? – spytała.

Otworzył oczy.

– UOP nie odpuści ci tego zamachu, Bruno. Wiem, że jesteś dobrze wyszkolony i potrafisz się kryć, ale prędzej czy później, za rok albo pięć, Andrzej Waszczuk rozpozna cię gdzieś na ulicy.

– Kim jest Andrzej Waszczuk?

– Oficerem, któremu wbiłeś nóż w serce.

Milczał.

– Musisz wyjechać – powiedziała stanowczo. – Sprzedaj ten dom. Jedź do Niemiec. Dobrze ci tam było. I będzie. Masz dwa obywatelstwa?

Skinął głową.

– Wyjedź. Dostaniesz opiekę i pieniądze. A o tym tu... Nikt się nie dowie.

– Łamiesz prawo – stwierdził cicho. – I to dla kogo? Dla człowieka, który przez tyle lat cię krzywdził swoją zapiekłością. Dlaczego to robisz? Dlaczego na mnie nie doniosłaś?

– Nie potrafiłam.

Wstała z krzesła. Przez moment nie wiedziała, co zrobić z rękami. Wreszcie lekko je uniosła i opuściła w geście bezradności.

– To jest nasze ostatnie spotkanie – oznajmiła. – Wszystko, co miało zostać powiedziane – zostało. Nie patrzmy już wstecz. Wszystko, co zaczęło się wtedy od zatargu z „Flinkiem”, właśnie się skończyło, rozumiesz? Koniec. Koniec zemsty, gniewu i zabijania.

Podeszła do drzwi i zawahała się, naciskając klamkę.

– Wyjedź, Bruno – powtórzyła. – I nigdy nie wracaj.

ROZDZIAŁ 21.

Opole – Gdynia – Sopot – Gdańsk,
maj – czerwiec 1991 roku

Portier, który samotnie strzegł gmachu Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, wyposażony jedynie w telefon, grzałkę, radio tranzystorowe i reumatyzm, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Przed gmach uczelni od strony ulicy Oleskiej wtargnęła nyska i zatrzymała się tuż przed głównym wejściem.

Portier oniemiał z oburzenia.

Na plac przed wejściem nikt, ale to nikt, nie miał prawa wjeżdżać autem. Nawet rektor w todzie i gronostajach drobił kroki na pobliski parking, bo jego służbowa wołga nie ośmieliłaby się tu zatrzymać.

Portier zrobił minę jak ksiądz koncelebrujący mszę na widok kogoś wjeżdżającego do kościoła na motocyklu i wypadł ze swojego kantorka. Nie zważając na ból stawów, pchnął ciężkie dębowe drzwi wszechniczy wiedzy i podbiegł do nyski z szeroko rozłożonymi ramionami.

– Nie wolno! Zakaz! Odjeżdżać stąd w tej chwili!

Ale monter w kombinezonie Zakładu Energetycznego, który wysiadł z kabiny furgonetki, nie zareagował na jego krzyki.

– Pan zgłaszał awarię? – spytał od niechcienia.

– Niczego nie zgłaszałem! Jaką awarię?

– Zasilania.

– Nie ma żadnej awarii.

– Słyszałeś? – monter zwrócił się do kolegi w szoferce przyglądającemu się scenie znad opuszczonej szyby. – Pan mówi, że nie ma żadnej awarii. Daj kwit, pan podpisze i jedziemy dalej.

– Nic nie będę podpisywał – zachnął się portier.

– Musisz pan – zawyrokował ten z szoferki. – Albo jest awaria i ją usuwamy, albo nie. Jak nie, potrzebne nam odwołanie zgłoszenia,

bo rozliczają nas, żebyśmy nie jeździli po próżnicy.

Portier walczył z myślami.

– Muszę zadzwonić do administracji – rzucił.

– Dzwon pan – Damian wzruszył ramionami.

Starszy człowiek, podtrzymując dłonią biodro, jakby to mogło pomóc, wrócił do swojej dziupli, ale zaraz pojawił się z powrotem.

– Telefon nie działa – oświadczył już o wiele pokorniej.

Monter ani jego współpracownik z szoferki nie wydawali się zaskoczeni.

– Idziemy sprawdzić – orzekł Damian.

– Czy... – zawahał się portier. – Byliby panowie uprzejmi przestawić samochód?

– Mamy w nim wszystkie narzędzia – rzekł Konrad.

– Wpuszczę panów od drugiej strony budynku.

– W porządku – zgodzili się, grając rolę przyjaznych, co portiera wyraźnie ucieszyło.

Kilka minut później weszli do holu uczelni z torbą montera na ramieniu i starym amperomierzem w ręku, zerkając na co zgrabniejsze studentki.

– Co panowie chcą skontrolować? – spytał portier. – Skrzynkę? Jest na zewnątrz.

Damian udał, że się zastanawia. Pół godziny temu otworzył skrzynkę uniwersalnym kluczem, wyłączając część zasilania.

– To na koniec – oświadczył. – Teraz pokaż pan piwnice.

– Piwnice? – zdziwił się portier.

– Panie, przed rokiem byłem tu na inspekcji. W protokole napisałem, że część instalacji w podpiwniczeniu budynku wymaga wymiany – Damian kłamał jak z nut. – Została wymieniona? – przygwoździł portiera wzrokiem.

– Nie moja rzecz – stróż uczelni poczuł niepokój.

– A będzie pana rzecz, jak to wszystko pójdzie z dymem? – monter zatoczył dłonią szerokie koło obejmujące hol z biblioteką, rektoratem i dziekanatami. – Otwieraj pan piwnice.

Wewnątrz panował zaduch jak w grobowcu faraona.

Korytarze były wąskie i dość niskie, a wzdłuż nich, tuż pod sufitem, biegły grube kable elektryczne, które Konradowi przypominały żyły na rękach po serii intensywnych ćwiczeń z ciężkimi hantlami. Damian przystawał co jakiś czas i uważnie je badał.

– I jak? – spytał portier.

– Skończymy, to powiem. Co jest za tamtymi drzwiami? – zainteresował się.

– Pomieszczenia pod aulą.

– O! – Damian uniósł palec. – Tam było najgorzej. Otwieramy.

Obejrzał wszystko w milczeniu, potęgując napięcie, po czym powiedział do portiera:

– Nie jest tak źle. Widzę, że to, co zaleciłem, zostało wykonane.

– To skąd awaria?

– Mówiłem, na końcu zajrzę do skrzynki. Myślałem, że tu było przebicie, ale pewnie strzelił jakiś bezpiecznik.

Wyszli spod auli, a portier zamknął drzwi na klucz.

– A te? – spytał Damian, wskazując boczne wejście do korytarza. – Dokąd prowadzą?

– Do schronu – odparł portier. – Ale tam nikt nie wchodzi i światła nie pali. Pozostałość z czasów, gdy Rusczy z Amerykańcami straszili się atomem. Panowie za młodzi, żeby pamiętać. Schron tak wielki, że wszyscy studenci by się zmieścili jakby co. Ciągnie się aż po akademiki.

Wrócili do holu. Konrad otrzepywał drelich z kurzu.

– Pan poczeka z kolegą – powiedział Damian. – Zajrzę do tej skrzynki.

Parę minut później pojawił się z powrotem.

– Jednak bezpiecznik – stwierdził. – Wymieniłem. Sprawdź pan.

Portier poczłapał do swojego kantorka, podniósł słuchawkę telefonu, a zaraz potem kciuk skierowany do góry.

Wyszli z Konradem na kampus. Między gmachem głównym a dwoma blokami akademickimi połączonymi wspólnym korytarzem i nazwanymi „spójnikiem” wznosiło się sztuczne wzniesienie, na którym znajdowało się

asfaltowe boisko do koszykówki. A obok trawniki i krzewy, w których ukryte były obiekty przypominające betonowe domki dla krasnoludków. Wysokie na metr, miały lekko spadziste, kryte blachą dachy i duże kratki zamiast okien. Wywietrzniki schronu.

– Martwiłeś się, jak się dostaniemy do piwnic. – Damian klepnął kolegę w ramię. – Wystarczy wyjąć którąś z tych kratownic, zejść do schronu, przejść pod te drzwi, które przed chwilą widzieliśmy, przewiercić zamek i jesteśmy tam, gdzie chcieliśmy. Widziałeś. Piwnice zamknięte na głucho. Nikt nas nie usłyszy.

Twarz Konrada rozpromieniła się, jakby na boczym karku zawieszono mu złoty medal mistrzostw w kulturystyce.

Bruno Janoszek oparł przedramiona o drewnianą balustradę mola i otworzył notes z zapiskami.

Przyjechał do Sopotu przed dwoma dniami w związku ze zleceniem Brolla. Po całonocnej podróży z przesiadkami wysiadł na peronie kurortu, który od dawna chciał odwiedzić. Parokrotnie był w Trójmieście z cyrkiem Zarzyckiego, ale nigdy nie znalazł czasu na przyjazd tu z Gdyni lub Gdańska, choć miasta zlewały się ze sobą w jedną urbanistyczną całość.

Pierwsze wrażenie sprawiło, że pożałował.

Obskurny dworzec przypominał stację kolejową gdzieś w Polsce B, a wewnątrz kręciło się kilku kloszardów, podkreślających swoją obecność zapachem i ochrypłymi głosami. Było brudno i odpychająco.

Przed barakiem PKP, do którego nijak nie pasowała tablica z nazwą modnego kurortu, stało kilka osób wyglądających jak pikieta. W dłoniach trzymali plansze domowej roboty przytwierdzone do drewnianych listewek. Każda zawierała identyczny komunikat: „Wolne pokoje”

Do wakacji brakowało jeszcze dwóch tygodni, dlatego pikieta była dość liczna i przyjezdny mógł przebierać w ofertach. Niestety, jedynym kryterium podjęcia decyzji był wygląd osoby trzymającej tablicę. Na żadnej z nich nie było ani słowa o lokalizacji i urządzeniu pokoju, widoku na morze, łazience, śniadaniu czy cenie. Turystyczna ruletka.

Bruno obstawił starszą panią stojącą parę kroków dalej od innych. Była zdziwiona i chyba nawet wzruszona, że wyminął tamtych i podszedł właśnie do niej. Opowiedziała o swojej kwaterze i poszli.

Pokój znajdował się na parterze starej willi w górnej części miasta. Okno wychodziło na ogród, za którym rozciągały się morenowe wzgórza porośnięte lasem. Był ciemny, ale Bruno nie przepadał za nadmiarem światła.

Poza starszą panią na parterze willi mieszkała jej niepełnosprawna córka poruszająca się o kulach i stary pies, dla którego kul jeszcze nie wymyślono, chociaż by mu się przydały. Na powitanie polizał dłoń Bruna, co mu się ponoć nie zdarzało i co starsza pani uznała za dobry znak. Przyjęła pod dach dobrego człowieka.

Oparty o balustradę mola Bruno zastanawiał się, czy rzeczywiście nim jest.

Od czasu rozmowy z Gretą nie potrafił pogodzić się ze światem. Był jak ślepiec, który po pięćdziesięciu latach odzyskuje wzrok, ale zamiast się cieszyć, czuje przygnębienie. Wszystko, co widzi, wydaje mu się obce i niepokojące. Atakowany zewsząd przez obrazy nie potrafi przejść ulicą, którą setki razy pokonywał bez trudu, pomagając sobie białą laską. Ciężar rzeczywistości staje się nie do zniesienia. Aż dochodzi do wniosku, że lepiej byłoby na powrót oślepnąć. Nigdy nie poznać prawdy o Herbercie, Grecie, Brollu.

Brollu.

Przedwczoraj, gdy kobieta wynajmująca kwatery turystom pokazała mu jego pokój, zmył z siebie zapach podróży, a potem wyciągnął się na wysłużonej wersalce i zasnął.

Obudził się, gdy słońce było już na zachodzie.

Poprosił gospodynię o żelazko. Nie miała deski do prasowania, ale w cyrku nauczył się dbać o kostium w każdych warunkach. Rozłożył na stole ręcznik i sprawnie przywrócił schludny wygląd najlepszym spodniom i białej koszuli w niebieskie prążki, które mocno się zdeformowały w torbie podróżnej.

Ogolił się, wklepał w policzki kroplę wody toaletowej, na ramiona narzucił szetlandzki sweter kupiony w Pewexie za dolary, które zostały z nieudanej akcji z Pietrzakiem, i na moment zatrzymał się przed lustrem w przedpokoju.

– Niech pan weźmie zapasowy klucz od drzwi wejściowych – powiedziała gospodyni, przewidując późny powrót gościa. – Jest w skrzynce obok framugi. Z bursztynowym breloczkiem.

Uznał to za dobry znak.

Bez trudu dotarł w okolice dworca, przed którym stało kilka taksówek. Wsiadł do pierwszej z nich, beżowej wołgi. Za kierownicą siedział mężczyzna w jego wieku.

– Dokąd pan życzy? – zapytał, włączając taksometr.

– Do Gdyni.

– Robi się – taksówkarz uśmiechnął się, był wyraźnie zadowolony, że trafił mu się długi kurs. – Gdzie konkretnie jedziemy?

– Chciałbym się dobrze zabawić – powiedział Bruno. – A przy okazji pogadać z ludźmi, którzy mają głowę do interesów. Przyjechałem ze Stuttgartu, mam do wymiany trochę marek, ale interesuje mnie przede wszystkim bursztyn.

Kierowca wołgi zerknął w lusterko wsteczne i obrzucił go taksującym spojrzeniem. Jak ty jesteś niemieckim biznesmenem – pomyślał – to ja szoferem królowej Anglii.

– Nie mam pojęcia, gdzie bywają ludzie od walut i bursztynu – skłamał. – Ale mogę pana zawieźć do Maxima.

– W porządku – zgodził się Bruno.

– Tylko wie pan. – Taksówkarz posłał do lusterka szeroki uśmiech. – Tam trzeba być muzykalnym.

– Nie rozumiem.

– No, trzeba mieć harmonię pieniędzy.

– Dam sobie radę – zapewnił go Bruno i zmienił temat. – Wygodne auto.

– Ruskie, ale z niemiecką duszą – wyjaśnił kierowca. – Włożyłem mu silnik mercedesa. Idealnie pasuje do wołgi. A na taryfę nie ma lepszego.

Bramkarz w Maximie obrzucił go niechętnym spojrzeniem, ale usunął się, robiąc przejście.

Bruno podszedł do baru, nad którym wznosił się kamienny łuk, i zajął jeden ze stołków obitych skórą. Wieczór był jeszcze młody, większość miejsc świeciła pustkami.

– Piwko? – Barman błyskawicznie i bezbłędnie ocenił stan portfela gościa po jego wyglądzie.

– Poproszę.

Psycholog zza kontuaru położył przed nim okrągłą tekturkę z logotypem niemieckiego browaru, na której umieścił pokal i nalał do niego heinekena, dbając, aby piana zachowała właściwe proporcje w stosunku do złocistego płynu.

– Co pana do nas sprowadza? – spytał, jakby doskonale wiedział, że przybysz, który pojawił się po raz pierwszy, nie wszedł tu, bo chciał ugasić pragnienie.

– Szukam kogoś, kto zajmuje się bursztynem.

Facet zza baru spojrzał na niego z lekkim szyderstwem.

– To nie u nas, łaskawy panie. Koło mola w Sopocie znajdzie pan odpowiednie stragany.

– Interesuje mnie większa ilość – Bruno nie wyczuł kpiny.

Barman zrobił smutną minę i na moment schował głowę w ramionach.

Przybysz położył na kontuarze banknot pięciomarkowy.

– Słyszałem, że może mi pomóc taki śniady gość. Nosi egipskie nazwisko Hassan.

Facet zza baru obrzucił banknot ironicznym spojrzeniem.

– Tyle to za piwo – uświadomił Bruna, uklonił się i zniknął na zapleczu.

Zanim wrócił, do stołka Janoszka podszedł mężczyzna w czarnym golfie. Nie wyglądał zachęcająco.

– Wypij piwo – powiedział – i spływaj.

– Dlaczego?

– Bo może ci się stać jakaś krzywda. Takich, co wypytują, ciągle spotykają tu niemiłe przygody. Masz pięć minut – oznajmił i odszedł.

Barman wyszedł z zaplecza i rozłożył ręce z cynicznym uśmieszkiem.

Bruno popatrzył na niego z pogardą. Odpiął mankiet koszuli, odsłaniając tatuaż na przedramieniu.

– Tam, gdzie ja spędziłem siedem lat, niemiłe przygody spotykały kapusiów – wstał ze stołka, ostentacyjnie odsuwając w jego stronę niedopite piwo.

Facet za barem zaczerwienił się ze wstydu.

– Niech pan spróbuje w Piekiełku – powiedział szeptem. – To nocny klub w podziemiach hotelu Gdynia.

„Już teraz wiem, że dni są tylko po to, by do ciebie wracać każdą nocą złotą” – brzmiał głos wokalisty naśladujący brzmienie lidera Lady Pank, a wokół kilka par równie nieudolnie próbowało utrzymać równowagę zagrożoną wypitym alkoholem.

Bruno usiadł na kanapce przy niewielkim stoliku, sprowadził wzrokiem kelnera w fioletowej koszuli. Zamówił whisky z colą.

„Nie pytaj mnie o jutro, to za tysiąc lat” – jęknął wokalista, co najwyraźniej wzięła sobie do serca dobrze zbudowana szatynka, która postanowiła nie tracić czasu. Przycupnęła obok Bruna z kuszącym uśmiechem i pytaniem zadany zmysłowym tonem:

– Cześć. Postawisz mi drinka?

Janoszek skinął głową, ale nie zdążył przywołać kelnera, bo ten nagle wyrósł jak spod ziemi.

– Dla mnie grzechotnika, Zbysiu – powiedziała szatynka, a kiedy facet w fioletowej koszuli się zdematerializował, wyciągnęła dłoń z długimi, wypielęgnowanymi paznokciami:

– Sandra.

– Bruno.

– Bruno? Cudzoziemiec?

– Ze Stuttgartu.

– Dużo was teraz wraca – Sandra wyjęła z torebki papierosa, czekając, aż jej przypali.

– Ja wróciłem w pięćdziesiątym czwartym – oświadczył Bruno.

Amatorka fikołków nie miała zamiaru obciążać swojej urodziwej głowy wiedzą prehistoryczną, dlatego tylko wzruszyła ramionami.

– Biznes? – zainteresowała się, szacując swoje szanse na zarobek.

– Tak. Chcę się zająć bursztynem. Na większą skalę. Możesz polecić kogoś, z kim mógłbym o tym pogadać?

Sandra zrobiła minę, z której nietrudno było wyczytać, że temat jest śliski.

– Idź do jakiegoś jubilera. Oni mają kontakty.

– Szukam dostawcy, nie detalisty. Słyszałem o jednym facecie. Ma na imię Marek i nosi...

– Arabskie nazwisko? – dokończyła za niego Sandra.

Bruno się ucieszył.

– Właśnie tak. Gdzie mogę go...?

Sandra znów mu przerwała. Najpierw unosząc dłoń, jakby chciała wyhamować pytanie, a potem oświadczając powoli i wyraźnie:

– Nie znam człowieka. Rozumiesz? I tobie też nie radzę znać.

Zaciągnęła się dymem.

– Idziemy na pokój?

– Ile bierzesz?

– Pięćdziesiąt papierów za godzinę.

Bruno przecząco pokręcił głową.

– Nie stać cię? – spytała Sandra z cynicznym uśmiechem. – A pytasz o ludzi od bursztynu? Jedź do Ciechocinka – powiedziała, wstając i z politowaniem muskając dłonią jego policzek. – Tam będziesz miał branie. I bursztynu se trochę kupisz. Na nalewkę. To odmładza.

Odeszła od stolika i nagle rozpląnęła się w ciemności, bo w sali wygaszono światła. Niemal jednocześnie na parkiecie pojawiło się koło namalowane przez punktowy reflektor. Zespół muzyczny zagrał tusz i w kole światła pojawiła się kobieta w kostiumie arabskiej hurysy.

Bruno, który w Egipcie podziwiał mistrzynię tańca brzucha, patrzył na jej ruchy z rozbawieniem zmieszany z irytacją. Celem tańca wcale nie było podkreślenie zmysłowości ciała, ale pozbycie się elementów kostiumu. Chwilami przypominało konkurs pod hasłem: „Jak się rozebrać bez pomocy rąk”, i dokładnie tym samym się skończyło. Kiedy tancerka uwolniła piersi od błyszczącego stanika, przez Piekiełko przeszedł szmer zadowolenia, który po kilku chwilach zamienił się w burzę braw. Były reakcją na zrzucenie majtek i prezentację gęstej i obfitej kępy włosów na łonie tancerki. Reflektor pozwolił wpatrywać się w nie przez kilka sekund, po czym zgasł. Salę na powrót wypełniły światła kinkietów.

Jestem idiotą – doszedł do wniosku Bruno. Błądzą w pogoni za kimś, kto doprowadzi mnie do Marka Hassana, a rozwiązanie mam w ręku. Jeśli chcesz znaleźć jabłko – mawiał Don Alvaro – nie trać czasu na poszukiwanie go pod gruszą. Idź pod jabłonkę.

Następnego dnia przed południem z budki w Sopocie zadzwonił do Zarzyckiego. Dyrektor cyrku był już na emeryturze, więc Bruno liczył, że zastanie go w domu.

– Kopę lat – ucieszył się. – Co u ciebie, stary frycu? Przeprowadziłeś się do Reichu?

– Za późno na to – odparł Janoszek. – Ale kupiłem mały domek na wsi pod Opolem, a to prawie to samo.

Zarzycki zakrztusił się od śmiechu.

– Po prośbie dzwonię – powiedział Bruno.

– Mów. Pomogę, jeśli będę mógł.

– Masz jeszcze układy w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych?

– Mam – odparł były dyrektor cyrku. – Firma się sprywatyzowała, ale zostało w niej sporo ludzi z dawnych czasów. Czego potrzebujesz?

– Szukam kogoś, kto organizuje występy w nocnych klubach w Trójmieście. Striptiz i tak dalej. Muszę dotrzeć do jednego gościa z półświatka, który dobrze się kamufluje. Nie wiem, jak go namierzyć.

– Muszę pomyśleć i podzwonić – uznał Zarzycki. – Daj mi parę godzin.

Bruno odwiesił słuchawkę i zszedł w dół słynnego sopockiego deptaka. „Bohaterów Monte Cassino” – przeczytał tabliczkę z nazwą ulicy. Ciekawe których – pomyślał. Tych, co zdobyli klasztorne wzgórze, czy tych, co go bronili? Przez moment stanęły mu przed oczami sceny z odbicia Mussoliniego w Campo Imperatore, ale przepędził je zapach gofrów.

– Znalazłem człowieka – powiedział parę godzin później Zarzycki. – Mówią na niego Fabian. Powołaj się na mnie, a powinien ci pomóc.

– Gdzie go znajdę?

– Każdego wieczoru jest w kasynie przy Grand Hotelu.

Bruno zanotował.

– W kasynie – powtórzył. – Tośmy czasów doczekali.

– Co masz na myśli? – spytał Zarzycki po drugiej stronie linii.

– Znam ludzi, którzy odsiedzieli parę lat, bo kręcili w domu ruletkę.

– A ja znam takich, którzy poszli do pierdła za nielegalny obrót dewizami. Jeden z nich opowiadał mi, że jak stanął na taborecie, to za oknem celi widział szyld z napisem „Kantor”. Ludzie codziennie sprzedawali i kupowali w nim waluty, czyli robili dokładnie to samo, za co on miał prawomocny wyrok i musiał siedzieć jeszcze parę miesięcy. Bruno? – spytał na koniec opowieści.

– Jestem.

– Masz jakieś kłopoty?

– Nie – Janoszek uspokoił dawnego przełożonego. – Wszystko dobrze. Muszę tylko coś załatwić.

– Uważaj na siebie.

– Dzięki. Przede wszystkim za zamiar na tego – zerknął do notatek – Fabiana.

– Nie ma za co.

– Przyjedź kiedyś do mnie – zachęcił emerytowanego dyrektora.

– O nie – roześmiał się Zarzycki. – Wiesz, że nie trawię szwabów.

Mewy na molo wrzeszczały jak opętane.

Janoszek spojrział na zegarek i ruszył w stronę dworca, skąd odjeżdżała kolejka do Gdańska.

Poprzedniego wieczoru dowiedział się o Marku Hassanie wszystkiego, czego potrzebował. Fabian był doskonale przygotowany do rozmowy.

– Napijesz się? – spytał, gdy Bruno wyjawiał, kto go przysłała.

Potwierdził ruchem głowy.

Fabian podszedł do baru i wrócił z dwoma wysokimi szklankami wypełnionymi w jednej trzeciej wódką.

– Sok czy cola?

– Może być czysta.

– To rozumiem – uśmiechnął się. – Mój patent – wskazał z dumą szklanki z alkoholem. – Drink grzechotnik.

– Nie znam – odparł Bruno.

– Zdradzę ci przepis. Wlewasz do szklanki trzy pięćdziesiątki wódki i wrzucasz trzy kostki lodu.

Janoszek patrzył na niego, nie rozumiejąc.

Fabian zagrzechotał lodem w szklance i obaj się roześmiali.

– Nadal pracujesz w cyrku? – spytał Bruna. – Widziałem cię kiedyś w Gdańsku.

– Nie. Od paru lat jestem na emeryturze.

– Ja w przyszłym roku.

Janoszek kiwnął głową.

– Chcesz zagrać? – spytał Fabian, odwracając głowę w stronę sali.

– Nie mam szczęścia.

– Szczęściu trzeba pomagać. Dziś kilku gości nawrzucało do tego drugiego automatu z lewej kupę pieniędzy. Spróbuj, może odda. Mnie nie wolno. Jestem z firmy.

– Nie, dzięki.

– Jak chcesz – powiedział Fabian z lekkim rozczarowaniem. – To kogo szukasz?

Bruno wyjaśnił.

Opiekun kasyna sięgnął po serwetkę, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki długopis i napisał kilka słów.

– Tam go znajdziesz.

Na peronie zerknął raz jeszcze w notatki i zapamiętał adres.

Sklep mieścił się przy ulicy Mariackiej, która na pierwszy rzut oka nie miała końca ani początku. Z jednej strony zatykał ją olbrzymi ceglany kościół, z drugiej budynki nad Motławą. Brukowana uliczka nadal wyglądała jak przed wiekami, w czasach świetności gdańskiego mieszczaństwa. Była bardzo pocztówkowa.

Wszedł, poruszając staromodny dzwonek zawieszony nad drzwiami. Bardzo atrakcyjna dziewczyna za ladą uniosła rzęsy, a kotara zasłaniająca zaplecze lekko się poruszyła. Tak jak przypuszczał. Sklep z bursztynową biżuterią był przykrywką dla czegoś znacznie większego. Pewnie to coś miało swoją siedzibę za kotarą, z dala od ludzkich oczu i ciekawości.

Uklonił się najładniej, jak potrafił, i poprosił o rozmowę z panem Markiem.

– Szefa nie ma – odpowiedziała dziewczyna jak nakręcana lalka odtwarzająca w kółko jedno zdanie.

– A kiedy będzie?

– Nie wiem.

– To szkoda – powiedział, podnosząc głos, żeby dotarł za kotarę. – Bo mam dla niego ważną wiadomość z Kairu.

Kotara odsunęła się nagle. Wyszło zza niej dwóch mężczyzn.

Postawny brunet z czarną bródką, jaką niegdyś nosił Don Alvaro, i drugi – rasy słowiańskiej o bacznym oczach i kocich ruchach człowieka przyzwyczajonego do niebezpieczeństw.

– Słucham – powiedział brunet.

– Marek? – upewnił się Janoszek.

Tamten skinął głową i spytał:

– O co chodzi?

– Przyjechałem cię zabić – odparł Bruno.

ROZDZIAŁ 22.

Świętoszów – Gdańsk – Opole,
czerwiec 1991 roku

Wieżyczka dawnej willi komendanta garnizonu w Świętoszowie majaczyła między drzewami jak dom z bajki o złej czarownicy.

Konrad z Damianem zaparkowali nyskę w umówionym miejscu, czekając na ludzi, z którymi umówili się wczoraj w mieście. Pili kawę z termosu i rozmawiali o filmach, gdy do ich uszu dotarł warkot silnika wojskowego gaza.

Kontrahentów było dwóch. Kapral i sierżant Zwienigorodzkiej Dywizji Pancерnej. Obaj twardzi, o twarzach pozbawionych mimiki i pustych oczach. Nie rozglądali się. Nie okazywali żadnych innych oznak niepokoju, choć za to, co robili, groził sąd i więzienie. Ale kto im mógł podskoczyć? Polska policja? Byli poza jej jurysdykcją. Radziecka żandarmeria? Robiła to samo co oni. W najgorszym wypadku trzeba by im odpalić działkę.

Kapral wyłączył silnik, bez słowa wyskoczył z otwartego auta, przeszedł na tył i odkrył plandekę zasłaniającą tylne siedzenia. Sierżant, który w spokoju zapalił papierosa, nie ruszając się z siedzenia pasażera, kiwnął ręką: idźcie zobaczyć.

Pod plandeką leżało kilka kałasznikowów. Dwa z rozkładanymi kolbami, reszta z drewnianymi. Do tego kilkanaście magazynków. Mała drewniana skrzynka z granatami i sporo innego sprzętu – od noktowizorów po buty i kurtki czołgistów.

– Chcielibyśmy to – Damian wskazał towar leżący pod siedzeniem, na podłodze samochodu.

Kapral powiedział coś po rosyjsku i sierżant wysiadł, podchodząc do nich leniwym krokiem drapieżnika.

– A ty znasz się na tym? – spytał łamaną polszczyzną.

– Byłem sześć lat podoficerem w brygadzie saperów – odparł Damian. – A ty się znasz?

– Byłem rok w Afganistanie – odpowiedział Rosjanin, czym zamknął dyskusję.

– Ile za to chcesz?

Sierżant podał cenę.

– Za dużo. W Legnicy kupiliśmy taniej.

– To ty jedź do Legnicy – stwierdził zimno radziecki sierżant i odwrócił się na pięcie.

– Poczekaj – wtrącił się Konrad. – Damy dwadzieścia więcej.

– Trzydzieści – powiedział Rosjanin.

– Zgoda.

Przenieśli towar do nyski.

Damian policzył i zapisał najnowszy nabytek w zeszycie.

– Ile już mamy? – spytał Konrad.

– Wystarczy. Możemy wracać.

Czuorny blondyn stojący za ladą sklepu z bursztynem na dźwięk słów Janoszka błyskawicznie sięgnął za pasek spodni, ale Marco Ali Hassan zatrzymał go ruchem dłoni.

– Jaka to wiadomość z Kairu? – spytał.

– Poufna – odpowiedział Bruno.

Marek zastanawiał się przez chwilę. W końcu skinął na ochroniarza, który podszedł do intruza, uniósł mu ramiona jak strachowi na wróble i sprawnie obszukał. Łącznie z kołnierzem marynarki, w którym można było ukryć płaski nóż. Zawodowiec.

W tej samej chwili do sklepu weszła para Szwedów i Marek wskazał Brunowi kotarę.

Usiedli w niewielkim biurze pełnym szpargałów jak w egipskim sklepie z pamiątkami.

– Słucham – powtórzył Marek.

– Dostałem na ciebie zlecenie – powiedział Bruno bez emocji.

- Od kogo?
 - Od Manfreda Brolla, przyjaciela Karima Alego Hassana.
 - Długo mieszkałem w Kairze – stwierdził Marek. – Ale nie znam żadnego Brolla.
 - Bo to stara znajomość, odnowiona niedawno.
 - Dlaczego ten Broll chciałby mojej śmierci?
 - Nie on. Karim. Wiesz dlaczego. Za uran.
- Marek przyjrzał mu się uważnie.
- Skąd o tym wiesz? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, dodał:
 - Ten Broll jest od Skorzenego?
- Janoszek skinął głową.
- Ty też?
- Powtórzył skinienie.
- Jesteś Bruno, prawda?
- Tym razem zaniemówił.
- Słyszałem o tobie. Nieraz. Ciebie pierwszego Karim wysłał w Sudety, żebyś odnalazł bunkier z pojemnikami. Ale przepadłeś bez wieści.
 - Zamknęli mnie. Na siedem lat.
 - Za uran?
 - Za SS.
- Marek pokiwał głową.
- Do misji w Sudetach szkolili mnie w Kairze twoi kumple z oddziału. Sprawni goście. Byli po sześćdziesiątce, a ciągle wynajmowali się jako najemnicy w różnych afrykańskich awanturach. Otto i Kurt – spojrzał badawczo.
 - Kurt ciągle się jąka? – spytał Bruno.
- Marek uśmiechnął się pod wąsem.
- Ciesz się, że cię zamknęli.
 - Bo?
 - Bo gdybyś przerzucił pojemniki do Austrii, użyźniałbyś teraz glebę w jakimś lesie. Chyba że lisy by cię wykopały. Rozumiesz? Karim

planował cię sprzątnąć zaraz po wykonaniu zadania. Chociaż i tak byś nie wy dostał tego uranu.

– Dlaczego?

– To długa historia.

Janoszek zamilkł i układał coś w myślach.

– Po co tu przyjechałeś? – spytał Marek. – Oczekujesz, że przebiję ofertę Karima i zapłacę ci więcej?

– Nie po to.

– To o co ci chodzi?

– Powiedzmy, że chcę pokrzyżować Brollowi szyki. Karim postawił mu warunek, że jeśli ty zginiesz, to on uruchomi pieniądze szejków naftowych na bardzo ważny projekt Brolla.

– To skurwiel – od zaciśniętych szczęk Markowi zadrgały mięśnie policzków. – Dwa tygodnie temu odszukał mój domowy numer i zadzwonił.

– Zadzwonił do ciebie? Karim? – Bruno nie ukrywał zdziwienia.

– Tak. Po ponad roku od wydarzeń w Sudetach. Wyjaśniłem mu przyczyny, dla których wskazałem bunkier polskim służbom. Gdy wysłuchał, powiedział, że rozumie. Skończyliśmy rozmowę w zgodzie. Mimo to...

– ...zlecenia nie odwołał – dokończył Bruno. Typowe. Chciał, żebyś się poczuł bezpieczny. Najłatwiej upolować zwierzynę, która nie czuje zagrożenia.

– Zapłaci mi za to – syknął Marek.

– Mam nawet pewien pomysł. – Bruno wygodniej usadowił się na krześle.

Dwa dni później wrócił do Chrząższyc pierwszym autobusem z Opola. Po kolejnej nocy w pociągu bezpańskie koty, które dokarmiał, wypatrzyły go z daleka. Biegły z głośnym miauczeniem i ogonami prostymi niczym anteny do wykrywania ludzkiej łaskawości.

Otworzył im puszkę rybek, którą miał w lodówce, i usiadł na ławce przed domem zbyt zmęczony, aby się położyć do łóżka i zasnąć. Potrzebował aklimatyzacji jak ktoś, kto przelatuje samolotem kilka stref czasowych.

Koty zjadły i łąsiły się do jego łydek.

Przymknął oczy, opierając głowę o ścianę domu, i przywołał obraz Brolla.

W Gdyni zadał mu pierwszy cios. Manfred nie dostanie swoich petrodolarów. Do załatwienia została sprawa Herberta.

Broll zawiesił kontakt, ale przekazał ustalenia. Po powrocie z Gdyni Bruno miał zostawić wiadomość w recepcji Zajazdu Kasztelańskiego. Zaszifrowane potwierdzenie, że Marek nie żyje.

Sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął z niej przekreślony długopisem przez konduktora bilet PKP na przejazd ze stacji Gdynia Główna Osobowa do Opola Głównego. Wstał, wszedł do domu i w szafce z papierami odnalazł pustą kopertę. Włożył do niej bilet, zakleił i napisał nazwisko adresata. W tej samej chwili poczuł znużenie, a organizm zameldował gotowość do snu.

Przesyłkę zawiózł popołudniowym pekaesem.

Recepcjonistka, młoda kobieta o inteligentnych oczach, przez chwilę wzięła kopertę w dłoń.

– Pana Brolla od dawna u nas nie było – powiedziała. Nie musiała informować przybysza, że niemal codziennie ktoś odbiera pocztę Niemca, i nie poinformowała. Dyskrecja zawodowa.

– Mimo to chciałbym to zostawić – stwierdził Janoszek. – Może wkrótce się pojawi.

– Jak pan sobie życzy – uśmiechnęła się recepcjonistka. Manfred Broll budził w niej coraz większy niepokój. Pytali o niego tajniacy z Urzędu Ochrony Państwa, pocztę odbierał facet napakowany jak Terminator, a teraz jeszcze ten starszy gość, w którym było coś, co wywoływało lęk.

Następnego dnia przed południem przed domem zatrzymała się nyska z Zakładu Energetycznego.

Bruno nacisnął wyłącznik, żeby sprawdzić, czy jest prąd, ale wszystko było w porządku. Wyszedł na zewnątrz spytać, o co chodzi.

Młody człowiek, który wysiadł z auta, podszedł do furtki.

– Pan Broll czeka na telefon o tej samej porze i pod tym samym numerem, co ostatnio – powiedział bez wstępów. – Ma pan ten numer?

Bruno potwierdził, na co młody skinął głową, wsiadł do nyski i odjechał.

Manfred odebrał po pierwszym dzwonku.

– Dostałem twoją wiadomość – powiedział. – Jak poszło w Gdyni?

– Dobrze. Powinniśmy się spotkać.

– Teraz nie mogę. Pojutrze domykam moją operację.

– To nie potrwa długo – zapewnił Bruno. – Mam dla ciebie dowód, o który prosiłeś. Dla Karima – skłamał.

– Super – ucieszył się Manfred. – Przyślę dziś do ciebie człowieka. Tego, który rano przywiózł wiadomość.

– Musimy się spotkać osobiście.

W słuchawce na moment zapadła cisza.

– Dziwnie brzmisz – zaniepokoił się Broll. – Coś się dzieje?

– Spotkamy się, to wszystko wyjaśnię.

– Odezwę się po piątku – powiedział Broll i odłożył słuchawkę.

Niedobrze – pomyślał Bruno. Broll nabrał podejrzeń. Będzie ostrożny. Na spotkanie przyjedzie ze swoim gorylem, a może i tym drugim z nyski. To komplikuje sprawę.

Muszę wykonać ruch, nie czekając, aż się odezwie – uznał. Zaskoczyć go. Tylko gdzie? Sądząc z kierunkowego, jest pod jakimś prywatnym telefonem w Opolu lub okolicy. Jak się dowiedzieć, z jakim adresem powiązany jest ten numer? Przeszukał pamięć, odnajdując w niej znajomego, który miał jakiś układ i za łapówki załatwiał ludziom telefony. Może tu też będzie mógł coś zdziałać, zwłaszcza jeśli zobaczy marki.

Następnego dnia wysiadł z pokaesu na dworcu autobusowym i przeszedł wzdłuż Reymonta na plac Kopernika, gdzie mieszkał dobroczyńca od telefonów.

W pewnej chwili coś przykuło jego uwagę.

Ulicę Oleską przecinał transparent przymocowany do dwóch latarni niczym kończąca wyścig szarfa z napisem „Meta”. Ozdabiały go flagi Polski i Niemiec, między którymi widniały słowa: „Śląsk miejscem pojednania i współpracy”, i niżej: „Witamy uczestników zjazdu miast partnerskich”.

Bruno poszukał wzrokiem kiosku.

Kilka minut później wertował płachtę gazety, w czym przeszkadzał jej rozmiar i wiatr, dość silny jak na koniec czerwca. To, czego szukał, znalazł na piątej kolumnie.

Przebiegł wzrokiem linijki tekstu. „Roszczenia ziomkostw, które nadal kwestionują zachodnią granicę Polski i domagają się przyłączenia Śląska do Niemiec, skłoniły rządy obydwu państw do zorganizowania zjazdu, w którym uczestniczyć będą władze miast położonych po dwóch stronach Odry” – pisał dziennikarz „Trybuny Opolskiej”. „Wydarzenie z udziałem kilkuset gości rozpocznie się od części oficjalnej w auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu jutro o godzinie 10.00”.

Dalej następowały komentarze polityków, którzy przy okazji chcieli ugrać coś dla siebie i zachłystywali się, jaka to cenna inicjatywa, jak zniweluje niechęć Polaków i Niemców na Śląsku oraz wskaże drogę do wspólnej Europy, bez antagonizmów, podziałów i rewanżyzmu.

Artykuł kończył akapit, że zjazd odbywa się pod patronatem dwóch miast, które zawarły porozumienie o partnerstwie i współpracy, gdy w Polsce jeszcze rządziła komuna, a mur berliński nie pękał. Łodzi i Stuttgartu.

Stuttgartu. Miasta Brolla.

„Na Śląsku żadnego pojednania nie będzie”. „Potrzebujemy chaosu” – Bruno w tej samej chwili przypomniał sobie jego słowa i kawałki układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca.

Zaintrygowany wszedł w Oleską, stając przed gmachem WSP udekorowanej flagami szarpanymi przez wiatr. Minął budynek, skręcając w stronę Domu Studenta „Mrowisko”, a stamtąd na kampus. Przespacerował się aż do ulicy Matejki i przystanął. Przed sobą miał kościół akademicki i coś jeszcze.

Nyskę z Zakładu Energetycznego. Tę samą, która wczoraj zatrzymała się przed jego domem w Chrzęszczycach.

Zaparkowano ją niemal pod rozłożystym krzakiem bzu, co gwarantowało dyskrecję. Była pusta.

Wycofał się na kampus. Usiadł na ławce przy boisku koszykówki ku radości kilku wyrostków, którzy nareszcie doczekali się kibica. Starali się naśladować ruchy czarnoskórych gwiazd basketu, ale wychodziło im to jak pingwinom gra w badmintona.

Bruno udawał zainteresowanie, a nawet parę razy zaklaskał, gdy którejs z drużyn udało się przypadkiem trafić w tablicę, ale tak naprawdę nie spuszczał oka z nyski.

Po godzinie zmienił miejsce. Przeniósł się pod kościół, gdzie akurat zaczynała się msza o osiemnastej, a kilka osób uczestniczyło w niej na zewnątrz świątyni. Wiercił się i zniesmaczył kilka starszych pań, co chwilę odwracając głowę od Najświętszego Sakramentu.

Potem spacerował. Wzdłuż Matejki, pod akademikami i na przedsiönku dzielnicy generalskiej, skąd widać było auto. Zbliżył się do niego na jakieś dwieście metrów, gdy nagle obok furgonetki pojawił się człowiek, który wczoraj przywiózł mu wiadomość. Bruno błyskawicznie wycofał się za róg Delikatesów.

Chłopak z nyski otworzył jej tylne drzwiczki, wysunął ciężką brezentową torbę. Wyglądała na wojskową. Postawił ją na chodniku, zamknął auto kluczykiem, chwycił oburącz dziwny bagaż i zgięty pod jego ciężarem zniknął w krzewach porastających trawnik niedaleko auli.

Odczekał kilka minut i poszedł za nim. Ale ten z nyski zniknął. Wyrósł jak spod ziemi i zapadł się jak pod ziemię.

Bruno ostrożnie wszedł w kępę krzaków. Rozejrzał się i dostrzegł, że otaczają spory wywietrznik od schronu, jakie masowo budowano w czasach, gdy powstała uczelnia.

Sprawdził metalowe kratownice osadzone w ceglanych ścianach. Jedna z nich była obluzowana. Po jej wyjęciu dorosły mężczyzna mógł się precyzyjnie przesuwać przez otwór bez najmniejszego trudu.

Janoszek odszedł na kampus, błogosławiąc nadciągający mrok, który ułatwiał mu zadanie.

Po jakimś czasie krzaki się poruszyły.

Najpierw wyszedł z nich człowiek z nyski, a tuż za nim Konrad. Byli umorusani i zmęczeni. Wsiedli do auta, silnik parokrotnie zarzęził jak w agonii, ale wreszcie dał się namówić do pracy. Furgonetka ruszyła. Bruno odprowadził ją do Oleskiej, a kiedy skręciła w lewo na ruchliwym skrzyżowaniu w stronę Zaodrza, wrócił w krzaki.

Teraz albo nigdy.

Podszedł do wywietrznika, zdjął kratownicę i namacał grubą linę z węzłami co pół metra, przymocowaną do przeciwległej kratownicy.

Zszedł w ciemność.

Poruszał się korytarzem po omacku, żałując, że nie ma latarki, gdy na końcu przestrzeni, w której się znalazł, ujrzał uchylone drzwi, a za nimi blade światło. Podkradł się na palcach.

Za drzwiami był korytarz prowadzący do kolejnych drzwi. Otwartych.

Bruno zerknął na nie, ogarniając wzrokiem duże pomieszczenie. Według jego orientacji musiało się znajdować bezpośrednio pod aulą. Wszystkie jego okienka biegnące pod sufitem i wychodzące na trawnik były szczelnie zasłonięte grubą czarną tkaniną.

Na środku, odwrócony plecami do drzwi, stał Manfred Broll. Miał na sobie czarny dres, a w rękach trzymał końcówki kilkunastu czarnych kabli, które rozchodziły się w różnych kierunkach. Przypominał olbrzymiego pająka.

Janoszek powędrował wzrokiem wzdłuż kabli. Połączono je z ułożonymi pod ścianami kostkami trotylu, pociskami moździerzowymi i wiązkami

granatów. Wokół walało się kilka drewnianych skrzynek z emblematami armii radzieckiej.

– Okłamałeś mnie, Manfred – powiedział głośno.

Broll odwrócił się gwałtownie.

– Co tu robisz? – rzucił zaskoczony. – Jak się tu dostałeś?

– Okłamałeś mnie – powtórzył Bruno.

– O czym ty mówisz?

– O Herbercie. O moim bracie.

Przez twarz Brolla przebiegł grymas niezadowolenia.

– On nie zginął w żadnej Grecji – powiedział Janoszek. – Zmarł w więzieniu po tym, jak wyszedł z obozu w Sachsenhausen. Trafił tam przez ciebie. To ty odmówiłeś przyjęcia go do batalionu Friedenthal, choć dyrektor szpitala chciał zatuszowania sprawy.

Broll stężał. Opuścił głowę jak bokser, który zainkasował cios i nie chce pokazać przeciwnikowi, że trafienie było niemal nokautujące. Zrobił pół kroku do tyłu i przez chwilę sprawiał wrażenie, że rzuci się na Janoszka, ale zdołał się opanować. Gdy podniósł głowę, jego oczy były już skupione i lodowato zimne.

– A co miałem zrobić? – syknął. – Prędzej czy później by się wydało. I wszyscy trzej mielibyśmy kłopoty. Herbert, ja i ty. Nie miałem wyjścia.

– Miałeś. Mogłeś ze mną pogadać, znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie. Ale ty wolałeś skazać mojego brata na obóz, a mnie okłamać.

– Musiałem cię okłamać. Zrozum. Szykowała się akcja odbicia Mussoliniego, nie mogłem pozwolić na obniżenie morale. Co byłbyś wart, gdybyś pojechał do Włoch ze świadomością, że twój brat jest homoseksualistą i trafił za to do Sachsenhausen? Jak by to wpłynęło na innych? Pomyśl chwilę, człowieku!

Bruno nie odpowiedział.

Broll uniósł dłonie z kablami w geście bezradności i upuścił je na podłogę, jakby w pantomimie grał scenę śmierci czarnego pająka.

W tej samej chwili sięgnął za pasek spodni. Wyszarpnął niewielkiego Walthera PPK. Przeładował. Ale Janoszek był szybszy.

Broll wrzasnął, chwytając się za ramię, w które na dobrych kilka centymetrów wbiła się głownia płaskiego cyrkowego noża. Pistolet z hukiem spadł na betonową podłogę.

– Oko już nie to, co? – syknął.

– Gdybym rzucał w serce, już byłoby po tobie – odparł Bruno. – Ale komuś coś obiecałem. Koniec zabijania.

– Zawsze byłeś mięczakiem. Wiedziałem, że nie masz czystej niemieckiej krwi. Nigdy ci nie ufałem.

– Chcesz mnie sprowokować, żebym cię dokończył? – spytał Bruno. – Nic z tego.

Wyjął z kieszeni drugi nóż, odciął nim kawałek lewego rękawa dresu Brolla, rozdarł i zawiązał na ramieniu z nożem opaskę uciskową. Po czym skrępował mu ręce z tyłu i pchnął. Broll klapnął na tyłek w środku swoich kabli. Znowu wyglądał jak pajak. Tym razem rozdeptany.

Bruno obszedł materiały wybuchowe pod ścianą, odrywając od nich przewody. Gdy skończył, odprowadzany wściekłym wzrokiem Brolla, schylił się po pistolet, obejrzał, cmoknął z uznaniem i wyszedł z pomieszczenia.

Na końcu korytarza nacisnął klamkę drzwi prowadzących na schody do holu uczelni. Były otwarte. Pokonał kilkanaście stopni, wychodząc prosto w grupę ludzi, którzy zawzięcie dyskutowali o jakichś sprawach technicznych związanych z jutrzejszą uroczystością. Ukrył pistolet pod marynarką i podszedł do kantorka portiera.

– Ma pan nieproszonego gościa na dole pod aulą – powiedział. – Niech pan dzwoni po policję, bo wkrótce pojawią się dwaj następni. A to – położył pistolet na blacie kantorka – na wypadek, gdyby sprawiali kłopoty.

Portier osłupiał.

– Kim pan jest? – spytał przestraszony.

– Ja? – spytał Bruno. – Mnie tu w ogóle nie ma.

Pół godziny później zapukał do drzwi znajomego z Zaodrza, z którym czasami grali w szachy. Pomachał mu przed nosem reklamówką z kilkoma piwami.

– Przenocujesz mnie? – spytał.

– Pekaes ci uciekł?

– Nie. Ale rano znowu muszę być w Opolu. Nie chce mi się jeździć tam i z powrotem, a czeka mnie ciężki dzień. Muszę się wyspać.

Następnego dnia przed ósmą umył twarz, zjadł z kolegą śniadanie i ruszył w stronę centrum. Przed mostem skręcił w lewo, przeciął łączkę nad rzeką i doszedł do zatoczki, w której dawno temu z Herbertem łowili kiełbie.

Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej glinianą tabliczkę z rysunkiem bogini Sechmet. Rzucił ją daleko w nurt Odry.

W tym samym momencie, jakby za sprawą magii talizmanu, przypomniał sobie Brolla stojącego z nożem wbitym w ramię i nagle powróciło do niego wspomnienie karabiniera z Campo Imperatore sprzed czterdziestu ośmiu lat.

Spojrzał w wodę i ujrzał w niej taką samą twarz, jaką miał tamten Włoch. Twarz człowieka, który robił to, co uważał za słuszne, choć być może się mylił. I który chce odpocząć, bo ma już wszystkiego serdecznie dość.

Dziesięć minut później wszedł do komendy miejskiej policji i zapukał w szybę dyżurki.

Otyłemu sierżantowi pełniącemu służbę to się nie spodobało.

– To już nie można się odezwać po ludzku? – warknął. – Trzeba się tłuc? O co chodzi?

– Jestem poszukiwanym przestępcą – powiedział Bruno Janoszek.

Sierżant zerknął na niego zza szafców uformowanych pod oczami przez tłuszcz.

– Żartów ci się zachciewa, dziadku? – spytał. – Idź stąd, bo jak wyjdę...

– Zasapałbyś się, synku, zanim byś do mnie podszedł – powiedział Bruno z politowaniem.

– Jazda stąd! Ale już! – wściekł się policjant.

Janoszek wzruszył ramionami i wyszedł.

Przez chwilę stał przed komendą, dając szansę sierżantowi na zmianę zdania, ale nic takiego nie nastąpiło.

Westchnął i powoli ruszył w stronę Grunwaldzkiej.

Drzwi willi, do której wtedy wchodziła Greta, otworzył kapitan Jan Tosidowski. Spojrzał pytająco.

– To ja rzuciłem nożem w twojego kolegę, Greku – powiedział Bruno.

Czyli to nie będzie zwykła wizyta – pomyślał dwa dni później, gdy funkcjonariusz Służby Więziennej zaprowadził go do salki widzeń, a nie rozmównicy, z której korzystali podopieczni Aresztu Śledczego w Opolu.

Zdjął mu kajdanki, posadził przy pustym stole i wyszedł.

Chwilę później do pomieszczenia wszedł Jan Tosidowski.

– Dzień dobry, panie Janoszek – powiedział.

Bruno skinął głową.

– Przyszedłem panu podziękować.

Spojrzał na niego zaskoczony.

– Uratował pan życie wielu ludzi. Może stu. Może więcej.

– Broll naprawdę zamierzał wysadzić aulę, gdy wszyscy do niej wejdą?

– Tak zeznał. Tym dwóm faszystom z bożej łaski, którzy mu pomagali, powiedział, że chodzi tylko o zniszczenie budynku rano przed rozpoczęciem obrad. Ale podczas przesłuchania podkreślał kilkakrotnie, że chciał ofiar. Według jego chorej wyobraźni tylko to mogło zwrócić uwagę świata i wywołać zamieszanie. Roiło mu się referendum i powrót Opola do Niemiec.

– I przyznaje się, tak po prostu? Mimo że wie, co go za to czeka?

– Chce zostać męczennikiem sprawy śląskiej. Zażądał konferencji prasowej, pan sobie wyobraża? Powstrzymał pan szaleńca, panie Janoszek. Jest pan...

– Nie zna pan całej prawdy – przerwał mu Bruno. – Na początku mu pomagałem. Te napisy na murach...

– Udam, że tego nie słyszałem – stwierdził kapitan Tosidowski.

– Ale dopuścił się pan czynu karalnego z kodeksu – dodał po chwili. – Stanie pan za to przed sądem. Niemniej zapewniam pana, że zarówno porucznik Waszczuk, jak i ja złożymy zeznania, które pana nie obciążą. Zamierzamy powiedzieć, że działał pan w amoku, ale finalnie udaremnił pan zamach terrorystyczny na olbrzymią skalę. To będzie miało duże znaczenie dla sądu. Postaramy się, aby tak właśnie było. Dostanie pan dwa, może trzy lata. Wyjdzie po roku.

Bruno patrzył na niego bez żadnych emocji.

Tosidowski chrząknął lekko zdezorientowany.

– Może nie powinienem tego mówić, ale mamy też swoje układy z więziennictwem. Zadbam, aby trafił pan w dobre miejsce i miał dobre warunki.

Janoszek milczał.

– Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

Bruno ocknął się jak ze snu.

– Znam więzienie – powiedział. – Często dają tam na obiad ryż z jabłkami i cynamonem. Jeśli można, to chciałbym dostawać bez cynamonu. Nie lubię go.

Tosidowski z przekonaniem skinął głową.

– Obiecuję – wstał z krzesła. – Ale jest tu ze mną ktoś jeszcze.

– Mogłam się domyślić, że mnie nie posłuchasz i nie wyjedziesz – powiedziała Greta. – Nigdy mnie nie słuchałeś.

Nie odpowiedział.

– Ja też przyszedłam ci podziękować za udaremnienie tego szaleństwa.

– Nie jestem żadnym bohaterem – machnął dłonią, jakby oganiał się od natrętnego owada. – Zrobiłem to dla Herberta. To on miał prawdziwą siłę i odwagę, nie ja. Nosił ciężar swojej tajemnicy przez tyle lat. Ukrywał ją nawet przede mną. Choć byliśmy przecież braćmi Janoszek – uśmiechnął się blado. – I za nią zginął. Jemu należy się medal. No i tobie – dodał. –

Za to, że powiedziałaś: koniec z zabijaniem. Jak widzisz, jednak cię posłuchałem.

– Zachowałeś się jak człowiek, którego kiedyś znałam. Dawno temu w Odervorstadt. I którego podziwiałam tak jak w tej chwili.

Zrobiła pół kroku, jakby chciała do niego podejść, ale zatrzymała się i zaczerwieniła.

– Chcę też powiedzieć, że... Że będę cię wypatrywać Bruno. W sensie... Jak wyjdiesz... Żebyśmy razem pojechali na grób Herberta. Ten prawdziwy. W Monachium.

Na widok tego, co ujrzała na jego twarzy, warto było czekać pięćdziesiąt lat.

EPILOG

Przeznaczenie znajdzie drogę
(Wergiliusz, *Eneida*, ks. X, w. 113)

Opole – Kair,
wrzesień 1991 roku

Kapitan Jan Tosidowski próbował przekręcić klucz w zamku drzwi willi na Grunwaldzkiej, ale mechanizm stawiał opór. Powtórzył próbę. Bez skutku. Odruchowo nacisnął klamkę i mocno się zdziwił. Drzwi były otwarte.

Wszedł do środka, rejestrując odgłosy z kuchni. Wewnątrz stał Andrzej Waszczuk. Parzył kawę.

Tosidowski szczerze się ucieszył.

– Wróciłeś do pracy? – uściskał go. – Kiedy?

– Przed tygodniem. Nie chciałem ci zawracać głowy na urlopie, dlatego nie zawiadamiałem.

– Bardzo się cieszę. Zrobiłeś od razu dla mnie? – wskazał dwa kubki na blacie.

Waszczuk się zmieszał.

– A chcesz? To proszę... Zaraz zrobię następną.

– Kawa jest dla mnie – w drzwiach jadalni stanęła Marysia.

– Co ty tu robisz? – spytał Jan i nagle zaniepokoiła go jej poważna mina.

– Czy twoja wizyta ma związek z sercem pana porucznika?

– Dokładnie tak. Możemy porozmawiać? – odsunęła się, robiąc mu przejście do jadalni.

– Zostawię państwa – uznał Waszczuk, podając im kubki z kawą i zamykając za sobą drzwi.

- Co się dzieje? Co z nim? – Tosidowski nie ukrywał zdenerwowania.
- Wszystko dobrze – powiedziała Marysia. – Nawet lepiej niż dobrze.
- Co to znaczy?

Nabrała powietrza.

– Chciałam, żebyś dowiedział się tego ode mnie: od jakiegoś czasu z Andrzejem... Jesteśmy razem.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– To się zaczęło jeszcze w szpitalu. Poświęcałam mu dużo uwagi, chciałam być pewna, że wszystko się dobrze zrasta. No i tak jakoś się ułożyło... On kiedyś zażartował, że jego serce należy do mnie, takie tam. Potem był na rehabilitacji w Ustroniu Śląskim, a jak wrócił, to się odwdzieczył, ratując mnie.

– Co ty mówisz?

– Wstydziałam się iść na odwyk, dlatego postanowiłam, że spróbuję sama. Odtrułam się, zaopatrzyłam w leki, wzięłam parę dni wolnego i zamknęłam się w domu. Andrzej przez cały czas był ze mną. Trochę mną rzucało o ściany, ale razem daliśmy radę. Już jest dobrze.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę – ujął jej dłonie. – Z tego, że nie pijesz i że wy... Bałem się, że twoja trauma po Łądku...

Położyła palec na ustach.

– Andrzej wie. Powiedziałam mu o wszystkim. Ale nie wracajmy do tego. Nigdy więcej.

– Oczywiście – zapewnił i spojrzał na nią uszczęśliwiony.

– Jedziemy do Grecji – oświadczyła z uśmiechem. – Pojutrze. Co ci przywieźć?

Dziesięć dni później oficjalnie zdał lokal na Grunwaldzkiej. Operacja „Heimat” została zamknięta. Bez Brolla polsko-niemieckie relacje gospodarcze na Śląsku wróciły na właściwy tor. Sukces udaremnienia zamachu podczas zjazdu pojednania przyniósł Tosidowskiemu awans na majora. Dwie belki i gwiazdkę w prezencie od Bruna Janoszka. Pokój, który dostał w siedzibie UOP-u przy Nysy Łużyckiej, tak jak zapowiedział

Świerc – był ciasny. Ale przynajmniej miał blisko do mieszkania na Chabrach.

Wrócił do domu po siedemnastej.

Na stole znalazł kartkę od Alicji, która poszła do fryzjera i zapowiadała, że nie wróci szybko. Obok niej leżało kilka kopert z korespondencją. Rachunki za prąd i gaz, jakieś zawiadomienie ze spółdzielni mieszkaniowej i pocztówka z Grecji.

Cztery obrazki połączone w środku prostokątem z biało-niebieską flagą. Charakterystyczne kolumny na tle starożytnych ruin, wypalone słońcem wzgórze porośnięte drzewami oliwkowymi, błękitne niebo nad białymi domkami i twarz posągu jakiejś bogini.

Odwrócił pocztówkę i przeczytał nazwę miejscowości. Ramnus w Attyce. Niedaleko słynnego Maratonu.

„Przesyłamy Ci pozdrowienia z miejsca kultu Nemezis – pisała Marija. – Była boginią zemsty, sprawiedliwości i przeznaczenia. Ścigała przestępców. Kupiłam Ci jej posążek na nowe biurko. Jutro jedziemy w góry Grammos. Zrobimy zdjęcia. Ciekawe, czy rozpoznasz dom, w którym się urodziliśmy”

Janis Tosidos zamknął oczy i uśmiechnął się do swoich myśli.

Dokładnie w tym samym czasie na ulicę Al-Shabouri w Kairze podjechał czarny citroën, parkując kilka centymetrów od krawężnika. Kierowca został w aucie. Pasażer – szpakowaty starszy mężczyzna w beżowym garniturze – wysiadł i wszedł do eleganckiego domu po drugiej stronie ulicy.

Nacisnął dzwonek przy drzwiach mieszkania na drugim piętrze.

Karim Ali Hassan otworzył je i ucieszył się na widok gościa. Od czasu przejścia na emeryturę dawni koledzy z wywiadu prawie go nie odwiedzali. Szerokim gestem zaprosił go do środka.

– Prowadzisz w okolicy wykopaliska archeologiczne? – spytał. – Bo ja od jakiegoś czasu czuję się już jak mumia.

Szpakowaty oficer wywiadu zdobył się na wymuszony uśmiech, ale wyraźnie nie był w nastroju do żartów.

– Nie przynoszę dobrych wiadomości – powiedział.

Karim natychmiast spoważniał.

– Co się stało? – spytał.

– Otrzymaliśmy list z Polski. Nadawcą jest Marco Hassan. To bardzo obciążający materiał, Karim.

– Kiedy przyszedł ten list?

– Dwa miesiące temu.

– I dopiero teraz z tym przychodzisz?

– Musieliśmy sprawdzić zawarte w nim informacje. Niestety, wszystkie się potwierdziły.

– O czym ty mówisz?

– O twojej współpracy z fundamentalistami i wielu innych sprawach. Rząd zdecydowanie odcina się od zwolenników dżihadu, którzy dążą do wywoływania konfliktów na świecie, tymczasem ty – wieloletni oficer egipskiego wywiadu – utrzymujesz z nimi relacje i planujesz islamską wojnę na globalną skalę? Postradałeś rozum?

– To bzdura. Pomówienia człowieka, który mnie zdradził.

– Tak? A po co w największej tajemnicy wysłałeś go do Polski? Komu chciałeś przekazać uran, który miał stamtąd wydostać?

Karim zacisnął szczęki.

– Dlaczego nigdy Egipt nie dowiedział się o tym uranie od swojego oficera wywiadu?

– Komu miałem o tym powiedzieć? Naserowi, który lizał dupę Ruskim? Czy temu głupcowi Sadatowi?

– Ten głupiec dostał Pokojową Nagrodę Nobla – stwierdził przybysz. – Mówimy o lojalności wobec własnego rządu. I jeszcze coś: podjąłeś się organizacji finansowania operacji, która miała zdestabilizować sytuację w Europie Środkowej.

– To oszczerstwo.

– Nie, Karim. To prawda. Wraz z listem przyszło oświadczenie człowieka, który gotów jest zeznać przed sądem, że współpracowałeś w tej sprawie z niemieckim rewizjonistą, któremu zleciłeś zabójstwo Marka Hassana.

Karim ciężko opadł na krzesło.

– Zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji? Nie? To ci podpowiem: usłyszysz zarzut zdrady stanu – podsumował oficer.

– Przyjechałeś mnie aresztować?

– Nie jestem od tego. Za godzinę zrobi to policja. Masz jakieś służbowe papiery, których nie powinni znaleźć?

– Nie.

– Paszport?

Karim wstał, podszedł do regału z książkami i sięgnął po dokument, który leżał tam od czasu podróży do Arabii Saudyjskiej.

Oficer schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Broń?

Ali Hassan ruszył w stronę ratanowej komody, ale tamten powstrzymał go ruchem dłoni i sam otworzył szufladę. Wyjął pistolet, sprawdził kilkoma fachowymi ruchami, po czym wysunął magazynek, wyłuskał z niego wszystkie naboje i umieścił je w kieszeni spodni. Pistolet odłożył na komodę.

Karim był blady jak kreda.

– Możesz mi jakoś pomóc? – zapytał. – Tyle lat pracowaliśmy razem.

– Mogę – odparł oficer. – W komorze nabojujowej zostawiłem jeden pocisk.

Odgłos strzału z pistoletu, który rozległ się na drugim piętrze domu przy Al-Shabouri, nie zrobił na nikim wrażenia.

Młodzi przechodzący ulicą w ogóle nie kojarzyli tego dźwięku. Starsi, odpoczywający na balkonach, wyparli go z pamięci. Trwał sekundę i sekundę później już było po nim. Zgasł w donośnym śmiechu kilku nastolatek komentujących wydarzenia w szkole, w klaksonach nerwowych kierowców i śpiewnym okrzyku muezzina wzywającego na popołudniową modlitwę asr. Konieczną, aby Allah zbudował człowiekowi dom w Raju.

Szpakowaty oficer wywiadu pochylił głowę w stronę pobliskiego meczetu. Wytrwał tak kilka sekund, po czym wsiadł do citroëna, który odbił od krawężnika i zanurzył się w przedwieczornym gwarze miasta.

Sopot, 14 stycznia 2023 roku

POSŁOWIE

Bruno Janoszek ma pierwowzór. Był nim dziadek mojej koleżanki ze studiów (autochtonki spod Opola), podczas wojny komandos w oddziale Otta Skorzenego. Nigdy nie zgodził się o tym opowiedzieć, czemu w realiach początku lat osiemdziesiątych trudno się było dziwić. Byli esesmani raczej nie udzielali wówczas wywiadów dziennikarzom polskich gazet komunistycznych. Pozostał na pierwszym miejscu listy moich reporterskich niespełnień. I tak już będzie zawsze.

Cyrkowe umiejętności i perypetie Bruna Janoszka są wytworem mojej wyobraźni, natomiast realia z tym związane – już nie. Prawdziwy jest berliński cyrk Buscha i jego pochód przez Breslauerstrasse w 1936 roku, choć bez Don Alvara – postaci równie fikcyjnej jak jego małpka Paco. Z kolei przywołany w powieści Lionel, światowej sławy artysta cyrkowy, człowiek-lew, żył naprawdę. Nazywał się Stefan Bibrowski, chorował na hipertrichozę (nadmierne owłosienie) i w wieku czterech lat został sprzedany do cyrku, co być może uratowało mu życie, bo wieś pod Grójcem, w której się urodził, uważała go za wilkołaka.

Cyrk Buscha rzeczywiście dawał występy na placu przy ówczesnej Nikolaistrasse (dziś Książąt Opolskich), co jest wierne realiom, podobnie jak nazwy wszystkich innych miejsc przedwojennego Opola, w których dzieje się akcja powieści. Prawdziwa jest niechlubna reputacja Zaodrza. Przed wojną i po niej.

Powieść stara się zachować również autentyzm Berlina, w czasach gdy mieszkał w nim Bruno. Kawiarnia na dachu domu handlowego Karstadt była popularna w mieście, nic zatem dziwnego, że wśród jej bywalców był również Manfred Broll – postać całkowicie zmyślona. Pozwoliłem sobie umieścić go w pobliżu Otta Skorzenego, którego biografia, wygląd, charakter i „dokonania” są wiernym odbiciem tego, co pozostawił po sobie historykom. Łącznie ze współpracą z Mosadem, który nie wahał się

zwerbować byłego pułkownika SS i dobrze wykorzystać jego wiedzę w obronie Izraela.

Szczególność staranność starałem się zachować w relacji z uwolnienia faszystowskiego dyktatora Włoch – Benito Mussoliniego – 12 września 1943 roku w ośrodku narciarskim Campo Imperatore. Poza rzutem nożem w karabiniera wszelkie szczegóły tej operacji są wierne prawdzie, potwierdzonej w kilku tekstach źródłowych, w tym zapiskach samego Skorzenego. Akcja przyniosła mu sławę i miano najbardziej niebezpiecznego człowieka w Europie. Jego plan zabicia Churchilla, Roosevelta i Stalina podczas konferencji w Teheranie istniał naprawdę i kto wie jakby się skończył, gdyby niemieckie dowództwo nie uznało, że stolica Iranu to zbyt odległe miejsce na przeprowadzenie takiej akcji i w miarę bezpieczne wycofanie jej uczestników.

Prawdziwa jest 999. Lekka Dywizja Afrykańska, której resztki rzeczywiście walczyły w Grecji. Prawdziwy zamek Friedenthal i sąsiadujący z nim obóz koncentracyjny Sachsenhausen.

Egipski romans z nazistami, wysokimi oficerami SS, funkcjonariuszami Gestapo miał miejsce naprawdę, identycznie jak projekt Otta Skorzenego „Fabryka 333” budowy rakiet ziemia-ziemia na patencie V-2. To on sprowadził do Kairu twórców niemieckiej broni rakietowej, choć później „sypnął” ich Mosadowi. W efekcie egipskie rakiety Al Zafir i Al Kahir nigdy nie uderzyły w Tel Awiw. Faktem jest, że dawni komandosi Skorzenego szkolili pod piramidami tamtejsze oddziały specjalne.

Występujący na kartach powieści egipscy przywódcy, wojskowi i politycy: Gamal Abdel Naser, Anwar as-Sadat, Muhammad Abd al-Hakim Amir oraz bracia Dżamal i Salah Salim, to postacie autentyczne.

Mam nadzieję, że z uwagi na skąpe materiały źródłowe nie popełniłem gafy w przedstawieniu powojennego Kairu i Stuttgartu pod kuratelą francuską. Prawdziwa jest, związana z tym ostatnim miastem, historia byłego szofera arcyksięcia Ferdynanda (zamordowanego później w Sarajewie) – Ferdinanda Porsche. Tego Porsche. Produkowany

w Stuttgarcie pierwszy roadster firmy stworzonej przez jego syna naprawdę kosztował 2600 dolarów.

Prawdziwe są obrazy powojennego Opola oraz zakładu karnego w Strzelcach Opolskich, gdzie rzeczywiście odsiadywał wyrok dożywocia kat Warszawy i zbrodniarz nazistowski Paul Otto Geibel. W czasach opisywanych w powieści więziennym bibliotekarzem był tam Ludwik Kalkstein, który wydał Gestapo dowódcę podziemnej Armii Krajowej gen. Stefana Grota-Roweckiego, zamordowanego w obozie w Sachsenhausen. Wątek fałszowania tam funtów też jest prawdziwy. Operacja miała kryptonim „Bernhard”, a pracowało przy niej 140 fachowców z całej Europy, wyselekcjonowanych spośród więźniów obozów koncentracyjnych. Wyprodukowali 132 miliony funtów, co stworzyło poważne, trwające jeszcze po wojnie problemy brytyjskiemu systemowi finansowemu. Otto Skorzeny rzeczywiście płacił tymi banknotami podczas operacji „Eiche” („Dąb”), zakończonej pomyślnym odbiciem Mussoliniego.

Realia działalności ziomkostw i Związku Wypędzonych miałem okazję poznać osobiście podczas pracy reporterskiej w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Broszurę „Śląsk kraj niemiecki” mam w swoim archiwum do dziś.

Antyniemieckie napisy na murach Opola również pojawiły się naprawdę, choć nieco później niż wydarzenia opisane w powieści. Udział w ich kreowaniu dziennikarza telewizyjnego zajmującego się tematyką mniejszości niemieckiej, niestety, nie jest moim wymysłem. Zresztą podobne incydenty zdarzały się na Śląsku Opolskim dość często, aranżowane przez ludzi pokroju i poglądów Manfreda Brolla. Nie znaleźli jednak zwolenników wśród miejscowej ludności, mimo że narodowość niemiecką zadeklarowało tu ponad 100 tys. ludzi. Wioski w pobliżu Opola: Chrzęszczyce i Czarnowąsy, są typowo autochtoniczne.

Cyrk Zarzyckiego został zmyślony.

Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe funkcjonują do dziś.

Prawdziwe są realia Trójmiasta w roku 1991, gdy odwiedza je Bruno: słynny Maxim, Piekiełko w hotelu Orbis Gdynia i kasyno przy sopockim

Grand Hotelu, wówczas jedno z trzech w Polsce.

Posłowie zaczęło się od studiów na WSP w Opolu i na tej samej uczelni zostanie zakończone.

Pomysł wysadzenia auli jest literackim pastiszem prawdziwego wydarzenia z nocy 5 na 6 października 1971 roku, kiedy to Jerzy Kowalczyk (wspierany przez brata Ryszarda) zdetonował bombę własnej produkcji, dokonując niemal całkowitego zniszczenia obiektu, w którym następnego dnia miała się odbyć akademія z okazji Święta Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Planowano udekorować podczas niej funkcjonariuszy, którzy strzelali do gdańskich robotników w grudniu 1970 roku. Na skutek wybuchu – który zerwał dach auli i sprawił, że zapadła się podłoga, oraz zniszczył wnętrze – nikt nie ucierpiał. Mimo to Jerzego skazano na karę śmierci, a jego brata – adiunkta w Katedrze Fizyki Doświadczalnej WSP w Opolu – na 25 lat pozbawienia wolności. O złagodzenie wyroków apelowali liczni polscy intelektualiści, w tym Wisława Szymborska i Stanisław Lem. Ich działanie przyniosło skutek.

Wykład inaugurujący rok akademicki 1980/81, podczas którego poznałem wnuczkę komandosa z oddziału Otta Skorzenego (o czym dowiedziałem się znacznie później), odbył się w odbudowanej auli, w której czuć było jeszcze zapach świeżej farby.

PODZIĘKOWANIA

Ściskam dłoń Krzysztofowi Steckiemu, dawnemu koledze redakcyjnemu, a obecnie pracownikowi Instytutu Śląskiego w Opolu, za poprowadzenie mnie przedwojennymi ulicami miasta i wytropienie tutejszych aktywności rozrywkowych cyrku Buscha. Za wyjaśnienie zawiłych relacji między Polską Ludową a Niemiecką Republiką Federalną (później RFN) w czasach, gdy obydwa państwa nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, dziękuję dr. Markowi Mazurkiewiczowi z Zakładu Badań Śląskoznawczych IŚ w Opolu. Jestem wdzięczny również przemiłym i uczynnym paniom dyrektorkom Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu: Elżbiecie Kampie i Danucie Łuczak, które pomogły w kronikarskich poszukiwaniach zmian nazw opolskich ulic, a zwłaszcza placu Hanki Sawickiej (dawny Breslauerplatz, późniejszy plac Piłsudskiego), z którym mieliśmy mały kłopot.

Z całego serca (jakkolwiek dwuznacznie to brzmi) dziękuję wybitnemu kardiochirurgowi – prof. dr. hab. Piotrowi Siondalskiemu z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego – za to, że pozwolił mi asystować w literackiej operacji usunięcia noża z prawej komory serca Andrzeja Waszczuka. Piotrze, jesteś najlepszym narratorem wśród kardiochirurgów, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. A przy okazji: miejska legenda (a może wcale nie legenda) mówi, że podobna operacja rzeczywiście się w Opolu odbyła, w bardzo zbliżonych okolicznościach, jeśli wiecie, co mam na myśli. Pacjentowi usunięto nóż i uratowano życie.

Dziękuję moim najbliższym.

Mamie Justynie, która w wieku 92 lat nie wyobraża sobie dnia bez książki. Przybranej córce Amelii. Żonie Kasi, która z troską i cierpliwością pomaga mi przekopywać fabularne mielizny, a radzi mądrze. Nie o każdym mogę to powiedzieć, ale jej rady zawsze mnie przekonują. Ósma książka i ani jednej kłótni.

Kłaniam się ekipie Wydawnictwa Agora. Małgosi za gościnność. Pawłowi za redakcję. Kasi za troskę o całość. Asi za kreatywność i skuteczność promocyjną. Iwonie i jej ludziom za sprzedaż, targi i doping. Pozdrawiam ekipy KulturalnySklep.pl oraz Publio.pl.

Duma mnie rozpiera z powodu słów uznania napisanych przez koleżanki i kolegów po piórze. *Savoir-vivre* zabrania mi wymieniania waszych wielkich nazwisk, bo przyjaźń i koleżeństwo są stokroć cenniejsze od marketingu, ale nigdy wam tego nie zapomnę.

Dziękuję wreszcie moim literackim szalikowcom: blogerkom i blogerom, czytelniczkom i czytelnikom. Wszystkim, którzy czekają i czytają. Dajecie mi więcej, niż przypuszczacie.